

ZASKAKUJĄCY FINAŁ MROCZNEJ ŁÓDZKIEJ TRYLOGII

KRZYSZTOF
DOMARADZKI

RESET



KRZYSZTOF
DOMARADZKI

RESET

Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2019

Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Prolog

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

Przypisy końcowe

Redakcja: Mirosław Grabowski
Korekta: Jolanta Świetlikowska
Projekt okładki: Magda Kuc

Zdjęcie na okładce: Blue Collectors / Stocksy.com
Copyright © by Krzysztof Domaradzki, 2019
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, 2019

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.

Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN 978-83-8143-246-7

Wydawnictwo
**CZARNA
OWCA**
www.czarnaowca.pl

Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.

ul. Wspólna 35 lok. 5, 00-519 Warszawa www.czarnaowca.pl

Redakcja: tel. 22 616 29 20; e-mail: redakcja@czarnaowca.pl

Dział handlowy: tel. 22 616 29 36; e-mail: handel@czarnaowca.pl

Sklep internetowy: tel. 22 616 12 72; e-mail: sklep@czarnaowca.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

*Dla Łodzi.
Oraz wszystkich przyjaciół, których tam mam.*

Prolog

Jej białe łapy odróżniały się od reszty ciała pokrytego cętkowaną rudoczną sierścią. Były jak skarpetki. Podciągnięte pod kolana, żeby nikt ich nie przeoczył. Zakładane wyłącznie odświętnie. Wyłącznie w wyjątkowe dni. Na przykład w Dzień Pański.

Seweryn wodził wzrokiem za kotką, która skradała się przez środek podwórka. Zmierzała w jego stronę wolnym, arystokratycznym krokiem, płynnie uginając tułów i falując nim na boki. Zatrzymała się w połowie drogi. Usiadła na szutrowej nawierzchni i wyciągnęła przed siebie tylną łapę. Zaczęła ją lizać. Nie była jeszcze gotowa, żeby się z nim spotkać. Nie była dość czysta. Wreszcie podniosła głowę, popatrzyła nieufnie w kierunku wyjścia z podwórka i wznowiła wędrówkę.

Nie odrywając wzroku od zwierzęcia, Seweryn dotknął swojej twarzy. Pomarszczone czoło. Nos z krzywą przegrodą powodującą permanentny katar i nosowanie. Policzki pokryte bliznami, które z reguły ukrywał pod sztucznym zarostem. Jego twarz zbyt często się zmieniała, żeby mógł do niej przywyknąć. Zbyt często miał wrażenie, że należy do kogoś innego. Kogoś, kogo nie zna. Anonima. Człowieka, który nie potrzebuje tożsamości. Traktującego ciało wyłącznie jako powłokę, którą w każdej chwili może zmienić.

Kotka w końcu do niego podeszła. Leniwie przeciągnęła się na jego nodze, wbijając ostre pazury w skórę. Potem szybko podrapała się za uchem

i potrząsnęła głową, jakby chciała wyrzucić z niej niepotrzebne myśli. Zaczęła robić slalom między nogami Seweryna, ocierając się o nie grzbietem. Łasiła się do niego. Liczyła na coś. Na porcję głaskania. Albo przekąskę. Albo na to, że położy ją sobie na kolanach, pozwalając jej zwinąć się w kulkę i zasnąć. W przeświadczeniu, że właśnie tam, rozplaszczona na jego nogach, jest najbezpieczniejsza.

– Polubiła cię.

Seweryn spojrział na kobietę, która weszła na podwórko. Była koszmarnie zapuszczona. Miała na sobie brudną koszulkę, dziurawe dżinsy oraz solidnie schodzone klapki, w które ledwo wcisnęła zakończone zagryzionymi paznokciami stopy. Choć brakowało jej kilku zębów, uśmiechała się, jakby chciała się tym pochwalić. Trzymając papierosa we wnące po jednym z siekaczy, celowała palcem w kotkę.

– Nazwałam ją Łatka, przez te białe skarpetki – powiedziała. – Naprawdę cię polubiła. Rzadko się zdarza, żeby tak lgnęła do nieznajomych.

– Nie dałem jej żadnego powodu – odparł Seweryn.

– Nie musiałeś. Zwierzęta wyczuwają dobroć. To instynkt. Są od nas wielokrotnie mądrzejsze. Tylko czasem nie chce im się tego okazywać.

Kobieta przedreptała po podwórku w taki sposób, jakby nikt jej nie nauczył, że chodzenie wymaga podnoszenia stóp. Schyliła się do plastikowej miski. Potrząsnęła nią, sprawdzając, czy w środku jest woda. Następnie rzuciła niedopałek na ziemię i przydepnęła go klapkiem.

– Po sterylizacji Łatka zrobiła się bardziej czuła – wyjaśniła, zagapiona na kotkę, która położyła się pod nogami Seweryna, eksponując kudłaty brzuch.

– Nie wiedziałem, że jest wysterylizowana.

– Nie miałam wyboru. Trzy razy miała cieczkę. Zawsze wtedy znikwała na kilka dni i wracała zapłodniona. Ustalenie ojcostwa pewnie graniczyłoby z cudem. – Kobieta zarechotała, a po chwili powietrze przeciął jej suchy kaszel. – Moja babka topiła małe w rzece. Matka zresztą też. Ale ja tak nie potrafię. Nie

mogę. Sumienie mi nie pozwala. Pierwsze dwie partie kociąt rozdałam. Trzecią zostawiłam w parku. Czwartej już nie było.

Wyjęła z kieszeni paczkę papierosów. Potrząsnęła nią. Pusto.

– Idę do sklepu. Chcesz coś?

Seweryn pokręcił głową. Gapił się na kotkę, która bawiła się sznurówką.

– Jesteś małomówny, wiesz?

– Nie odzywam się, kiedy nie mam nic do powiedzenia.

– Nie twierdzę, że przeszkadza mi twoje milczenie. Nie lubię ludzi, którzy ciągle kłapią dziobem. Ale skoro mamy razem mieszkać, fajnie byłoby się poznać. Dowiedzieć czegoś o sobie.

Kobieta długo wpatrywała się w twarz siedzącego na murku olbrzyma, próbując odgadnąć, o czym on myśli. Kim jest. Co tutaj robi. Dlaczego pojawił się w jej życiu, oferując pomoc w codziennych zajęciach w zamian za nocleg. Wiedziała, że musiał zrobić coś złego. Coś nielegalnego. Albo że przeżył tragedię, po której postanowił wyrzucić swoją egzystencję do góry nogami. Ale nie miała czasu ani ochoty się nad tym zastanawiać. Ani tym bardziej odwagi, żeby się przebić przez tę ponurą górę ciszy.

Ponownie wycelowała palcem w kotkę.

– Podrap ją przy ogonie. To jej ulubione miejsce.

Kiedy kobieta wyszła z podwórka, Seweryn schylił się po Łatkę. Miauknęła z zadowolenia, gdy położył ją sobie na kolanach. Jego potężne dłonie spoczęły na kocim grzbiecie, ewidentnie stworzonym do tego, żeby go drapać. Wodził po nim posuwistym ruchem tak długo, aż zwierzę zaczęło mruścić. Z każdą sekundą coraz głośniejsze, jak rozpędzający się miniaturowy traktor. Seweryn stopniowo zwiększał nacisk na kręgosłup, czując, jak pod jego palcami pracują płuca zwierzęcia. Łatki. Kocie kurwy w białych skarpetkach.

Baba miała rację, pomyślał. Był mrukiem i mizantropem. Nie wierzył, że otwieranie gęby może przynieść coś pozytywnego. Ludzie nie potrafili czynić dobra za pomocą słów. Ich usta były nieuleczalnie chore. Zaprogramowane na destrukcję. Na sprzeniewierzenie się Bogu.

Żeby ich za to rozliczyć, nie potrzebował otwartej gęby.

Kiedy jego uścisk stał się jeszcze mocniejszy, Łatka pisnęła z bólu. Chwilę później regularny pomruk przeszedł w powarkiwanie, które co kilka sekund przerywały rozpaczliwe miauknięcia. Kotka wbiła pazury w jego nogi. Próbowwała walczyć. Uciec. Zatrzymać nadciągający kataklizm. Ale chwyt Seweryna był zbyt silny. Znacznie silniejszy niż jej wola życia.

Jeżeli Łatka rzeczywiście miała instynkt, to tym razem ją zawiódł. Nie zakomunikował, że ten człowiek podjął nieodwołalną decyzję. Że jego uścisk w pewnym momencie stanie się nie do zniesienia. Że jest tylko kwestią czasu, kiedy przestanie się wić, a jej elastyczne ciało sflaczeje, stając się nic niewartą zbieraniną mięśni i kości.

Instynkt nie podpowiedział kotce, że jest już za późno.

Dla niej.

Dla niego.

Dla wszystkich.

Mógłbyś to przyciszyć? – Drapał się po czole, jakby chciał zedrzeć z niego skórę.

Artur Waliszewski odwrócił się w stronę pasażera. Obserwował go przez dłuższą chwilę, próbując odgadnąć, co tak naprawdę mu przeszkadza. Przypuszczał, że nie chodzi o głośność drumandbassowego seta ani o rodzaj muzyki. Ani też o próbę rozkręcenia imprezy w samochodzie w poniedziałek rano, gdzieś pomiędzy pierwszą a drugą kawą. Nie chodziło też o kaca. To musiało być coś innego. Coś, co od dłuższego czasu próbowało pożreć Witolda Ptaka od środka.

– Bo?

– Co „bo”?

– Dlaczego miałbym przyciszyć? – Artur skakał wzrokiem między Witoldem a drogą, jakby wykonywał głową jakiś układ taneczny. – Bo łeb cię boli? Bo jesteś nie w sosie? Bo stało się coś, o czym nie chcesz mi w powiedzieć?

– Coś takiego – burknął Witold, nie przestając masować czoła. – Powiedzmy, że mam już tego wszystkiego dosyć. Tej roboty, zmieniających się szefów, ciągłych roszad kadrowych. Tych cholernych zabójstw. A szczególnie uganiania się za tym świrem. No i... – zawahał się – moje życie rodzinne się posypało.

– Jest bardzo źle?

Witold pokiwał głową.

– Postanowiliśmy się rozwieść.

– Co ty pieprzysz?!

– Klamka już zapadła. Separacja utwierdziła nas w tym pomysle. Tak będzie najlepiej. Przynajmniej dla Edyty i dziewczyn.

– A dla ciebie?

– Dla mnie nie ma dobrej opcji. Ani nawet średniej. – Witold w końcu spojrzał przed siebie i ciężko wypuścił powietrze. – Ale byłoby miło, gdybyśmy w końcu złapali tego skurwysyna. Mógłbym wtedy odpocząć i wszystko przemyśleć.

– Nie masz wyboru. Musisz trochę zbastować. Ile ty masz lat? Czterdzieści pięć?

– Chciałbym.

– Czyli jesteś prawie pięćdziesięcioletnim policjantem, który pochłania hektolitry kawy, tyra po kilkanaście godzin dziennie i żyje w stresie. A do tego lubi pochlać. – Artur czekał, aż Witold zaprotestuje, ale nic takiego nie nastąpiło. – Jesteś w grupie ryzyka.

– Czego?

– Zawału. Pilnuj się.

Witold po raz kolejny przejechał dłonią po czole. Myśląc nad słowami Artura, zapatrzył się w boczną szybę.

– A ty lepiej pilnuj swojego nosa. Jesteśmy na miejscu.

Postawili samochód na kamienistym parkingu. Wysiedli, przeszli kilkadziesiąt metrów i zatrzymali się przed garażami. A właściwie tym, co kiedyś nimi było. Z podłużnego pawilonu, podzielonego na cztery nieduże pomieszczenia, pozostał jedynie betonowy szkielet. Jego wnętrze wypełniały dziesiątki stopionych przedmiotów, resztki drewnianych mebli i kawałki urządzeń, które właściciele nieruchomości musieli składować od lat.

Przed pawilonem stała Beata Tarka. Technik kryminalistyki miała na sobie poprzecierane dzinsy i wyblakłą bluzkę. Jej strój idealnie współgrał ze zniszczoną cerą, której nawet nie próbowała zatuszować makijażem. Była

o głowę niższa od rosnących policjantów. Leniwie paliła papierosa. Wydawała się poirytowana i zniecierpliwiona. Jak zawsze.

– Niezły syf – syknął Artur na powitanie. – Jak do tego doszło?

– W jednym z garaży ktoś podłożył ogień – wyjaśniła Tarka charakterystycznym przepalonym głosem. – Oblał wnętrze benzyną i wykorzystał gazety jako rozpałkę. Klasyka podpaleń.

– Przecież to wygląda, jakby tu pierdolnęła bomba wodorowa.

– W sąsiednim garażu stał samochód. Zajął się ogniem, zanim strażacy wyważyli drzwi.

– Do kogo należy garaż, w którym podłożono ogień? – zapytał Witold.

– To jest najciekawsze. – Tarka wetknęła papierosa do ust i zanurkowała dłonią do tylnej kieszeni spodni. – Właścicielem jest niejaki Maksymilian Brzozowski. Ale dowiedział się o tym w dniu, w którym odwiedziła go policja.

– Ktoś pożyczył jego tożsamość?

– Wszystko na to wskazuje. I chyba wiadomo kto. – Tarka posłała policjantom wymowne spojrzenie. – Brzozowski ma psa, piętnastoletniego owczarka niemieckiego. Kiedyś leczył go w przychodni, w której pracował Seweryn Kostka. Z kolei poprzedni właściciel garażu twierdzi, że sprzedał go jakiemuś drągalowi, który zaoferował bardzo atrakcyjną cenę.

– Kiedy to było?

– Osiem lat temu.

Policjanci zamilkli. Wyobrażali sobie, co Kostka mógł robić przez te lata. Nie były to przyjemne wizje.

– Dlaczego rozmawiamy o tym z tobą, a nie z policjantami zajmującymi się podpaleniem? – spytał Artur, przerywając ciszę.

– To źle, że odwałam za was robotę? – Tarka próbowała się uśmiechnąć, ale nie wyszło jej to najlepiej. – O tym garażu dowiedziałam się zupełnie przypadkowo od koleżanki z laboratorium kryminalistycznego. Pewien szczegół zwrócił moją uwagę, więc przyjechałam, żeby mu się przyjrzeć. Wy też powinniście to zobaczyć.

Tarka zaprowadziła policjantów na pogorzelnisko. Weszli do garażu przy akompaniamencie chrzęszczącego pod stopami żwiru i szkła.

– Nie wszystko spłonęło – powiedziała Tarka. – Zachowały się metalowe stelaże mebli i narzędzia. Rzeczy, które ludzie przeważnie trzymają w garażu albo piwnicy. A do tego kilka nietypowych urządzeń, takich jak maszyna do szycia czy imadło. Ale to nie one są interesujące.

Wycelowała palcem w ścianę. Popękana betonową powierzchnię przecinały dziesiątki napisów. Część z nich przyćmił ogień, przez co nie dało się ich odczytać. Ale inne były aż nadto wyraźne.

– Co to, kurwa, jest? – zapytał Artur.

– Złote myśli – powiedziała Tarka. – Sentencje. Bon moty. Nazwij to, jak chcesz.

Witold ukucnął przed jednym z napisów. Zmrużył oczy, jakby musiał przyzwyczaić do niego wzrok.

– „Przeklęty ten, co wypełnia dzieło Pańskie niedbale! Przeklęty ten, który swój miecz powstrzymuje od krwi!”¹. – Odwrócił się do Artura i Tarki. – To z Biblii.

– A konkretnie z Księgi Jeremiasza ze Starego Testamentu – dodała technik, zerkając do notatek. – Jest tego więcej. Znacznie więcej.

– W mieszkaniu Kostki znaleźliśmy Biblię – zauważył Artur. – Zostawił w niej mnóstwo samoprzylepnych karteczek, na których prowadził zapiski. – Wzruszył ramionami. – Przynajmniej facet ma jakieś hobby.

– „Ktokolwiek sprzeciwi się twojemu głosowi i nie będzie posłuszny twemu słowu we wszystkim, co mu rozkażesz, musi umrzeć. Tylko ty bądź mężny i mocny”². – Witold, kucnąwszy, przesunął się wzdłuż ściany i odczytywał kolejne kaligraficznie zapisane cytaty. – „Jeśli kobieta zbliży się do jakiegoś zwierzęcia, aby z nim się złączyć, zabijesz i kobietę, i zwierzę. Oboje będą ukarani śmiercią, sami śmierć na siebie ściągnęli”³. – Potrząsnął głową. – Chyba musimy sprowadzić tu biblistę.

– Raczej psychiatrę – burknął Artur i zerknął na Tarkę. – Widziałas tutaj coś, co może doprowadzić nas do Kostki?

– Nie sądzę. Ale warto przyjrzeć się tym gratom. Może uda się ustalić, skąd pochodzą, a wtedy będzie nam łatwiej zrozumieć, jak wyglądało dotychczasowe życie Kostki. To znaczy wam. – Tarka ponownie spróbowała się uśmiechnąć. Ponownie bez powodzenia. – Ja nie zamierzam grzebać w przeszłości tego psychola.

Chwilę później policjanci na powrót znaleźli się przy samochodzie. Paląc papierosa, Witold przyglądał się szarobieżowym blokom gęsto obrastającym ulice. Wolno trawił to, czego się dowiedział w ciągu ostatnich piętnastu minut.

– Gdyby nie podpalił tego garażu, tobyśmy się nigdy o nim nie dowiedzieli – powiedział. – Po co to zrobił?

Artur, zatopiony w rozmowie na Messengerze, potrzebował paru sekund, aby zrozumieć, że te słowa skierowane były do niego.

– Może chciał się pochwalić, że zbudował taką norę.

Witold pokręcił głową.

– Raczej pokazać, że pali za sobą mosty.

– I to dosłownie.

Witold wycelował palcem przed siebie.

– Wiesz, że mieszkam zaledwie kilka bloków stąd? Przy skrzyżowaniu Ossowskiego z Lorentza, w samym sercu Kozin. Słyszałem o tym pożarze, ale nie skojarzyłem go z naszą sprawą.

Artur popatrzył na Witolda.

– Chyba nie będziesz się tym zadręczać, co?

– Możliwe, że mijaliśmy się na ulicy. Ciekawe, czy wiedział, kim jestem. I czy rechotał za każdym razem, kiedy mnie spotykał.

– To mało prawdopodobne. Poza tym nie sądzę, żeby Kostka z czegokolwiek rechotał.

Witold wzruszył ramionami.

– Pewnie masz rację. Wracajmy na komendę.

Bartosz Adamski żuł gumę jeszcze długo po tym, jak straciła smak. Niewiele brakowało, by zapomniał wypluć ją przed wejściem do sali konferencyjnej. Był zestresowany. Bardziej, niż się spodziewał. A na pewno bardziej, niż mógł się tego spodziewać jeszcze dwa tygodnie wcześniej.

Minęło piętnaście dni, odkąd policjanci z Wydziału Kryminalnego Komendy Wojewódzkiej Policji w Łodzi zrobili nalot na mieszkanie Seweryna Kostki. Piętnaście dni, w których trakcie powinni poradzić sobie z odnalezieniem i pojmaniem człowieka podejrzewanego o zabójstwo co najmniej trzech kobiet. Piętnaście dni, które miały być jednymi z najlepszych w zawodowym życiu Adamskiego.

Ale te piętnaście dni zamieniło się w jego największy koszmar.

Dlatego gdy wchodził do pomieszczenia pełnego dziennikarzy, z gumą do żucia zawiniętą w chusteczkę i wepchniętą do kieszeni, nie mógł się czuć pewnie. Wręcz przeciwnie. Podejrzewał, że doświadcza tego samego uczucia niepokoju, z jakim notorycznie musiał się zmagać jego poprzednik na stanowisku naczelnika Wydziału Kryminalnego. Mariusz Szczebiot. Cierpiący na nerwicę natręctw introwertyk, który pogrzyżył się za sprawą własnej nieudolności. Adamski uważał, że jest jego idealnym przeciwieństwem. Facetem, który lubi presję i potrafi sobie radzić ze stresem. Zwycięzcą. Człowiekiem, który samym wyglądem – starannie uczesanymi blond włosami, dobrze dobranym garniturem i hollywoodzkim uśmiechem – przekonuje, że wie, co robi.

Ale nie tym razem.

Piętnaście dni.

Kurwa mać.

Kiedy Adamski pochylał się nad mikrofonem, przy którym chwilę wcześniej zaanonsował go rzecznik prasowy komendy, wiedział, że tym razem jego występ nie będzie dobry. Nie mógł być. Nie w tych okolicznościach.

– Szanowni państwo, nazywam się Bartosz Adamski. Jestem naczelnikiem Wydziału Kryminalnego Komendy Wojewódzkiej Policji w Łodzi. Jak część

z państwa wie z poprzednich konferencji, od jakiegoś czasu odpowiadam za śledztwo w sprawie trzech zabójstw: studentki Martyny Bułeckiej, policjantki Magdaleny Giętkiej, a także emerytki Henryki Świst. O ich popełnienie podejrzewamy Seweryna Kostkę. Proponuję przeprowadzić konferencję według standardowej formuły: najpierw powiem parę słów o poszukiwaniach, a potem przejdziemy do zadawania pytań. Czy to dla państwa w porządku?

Kilku reporterów kiwnęło głowami. Pozostali wgapiali się w naczelnika, jakby chcieli mu wyrzucić krzywdę. Adamski przełknął ślinę i zerknął do notatek. Wiedział, że dziennikarze nie znoszą oficjeli dukających komunały i odczytujących z kartki PR-owy bełkot. Że ich przychylność można kupić naturalnością, pewnością siebie i odpowiednim doborem słów. Tym, że powie się ciut więcej, niż mogą usłyszeć od przeciętnego gryzpiórka. Ale nie zawsze oratorskie popisy się sprawdzają. Czasem część merytoryczna jest zbyt miąka, żeby zgrabnymi słówkami, uśmiechami i prezencją można było kogokolwiek zadowolić. Czasem nie da się nic zrobić. Wówczas można się tylko wsłuchiwać w odgłos własnego upadku.

– Upłynęło piętnaści dni, odkąd nadkomisarz Witold Ptak i komisarz Tomasz Kawęcki natknęli się na Seweryna Kostkę. Od tego czasu trwają szeroko zakrojone poszukiwania podejrzanego, w które zaangażowana jest nie tylko większość naszego departamentu, ale też funkcjonariusze z kilku innych jednostek oraz nasi koledzy z zagranicy działający na mocy europejskiego nakazu aresztowania. Wspólnie monitorujemy przejścia graniczne, dworce kolejowe i autobusowe oraz porty lotnicze, sprawdzamy noclegownie w Łodzi i innych polskich miastach, a także jesteśmy w stałym kontakcie z ludźmi, którzy są lub byli w jakikolwiek sposób związani z Kostką. Jednocześnie próbujemy ustalić dotychczasowy przebieg zagadkowego życia podejrzanego, co może mieć niebagatelny wpływ na poszukiwania, śledztwo i późniejsze postępowanie sądowe. – Adamski odłożył notatki i podniósł głowę. – Mówiąc wprost: ustalamy, do czego tak naprawdę zdolny jest ten człowiek.

Kilkoro dziennikarzy zaczęło ziewać albo bawić się telefonami. Adamski nie powiedział nic, czego by nie wiedzieli.

– Niestety, ze względu na dobro sprawy nie wolno mi dzielić się z państwem szczegółami naszych działań operacyjnych. Mogę jedynie powiedzieć, że sprawca nadal przebywa na wolności, ale intensywnie pracujemy nad tym, żeby to się zmieniło. Nie ukrywam, że liczymy także na państwa pomoc. Nagłaśnianie sprawy i kolejne publikacje zdjęć podejrzanego w mediach mogą sprawić, że ktoś poinformuje nas o miejscu pobytu Kostki. – Podciągnął rękaw marynarki i zerknął na zegarek. Pięć minut. Wystarczy, żeby ich nie zanudzić. A jednocześnie nie dać im dość czasu na zbombardowanie go pytaniami. – A teraz przejdźmy do części, która z pewnością bardziej państwa interesuje, czyli do zadawania pytań. Kto chciałby zacząć?

Kilka rąk powędrowało w górę. Jeden z pracowników zespołu prasowego, do tej pory stojący za Adamskim niczym jego sekundant, wskazał dziennikarkę z drugiego rzędu.

– Kamila Sieradzka, Radio dla Was. Czy w ciągu tych piętnastu dni udało się państwu zebrać dowody jednoznacznie świadczące o tym, że to Seweryn Kostka jest sprawcą tych zabójstw?

Adamski wzruszył ramionami.

– Mogę powiedzieć tylko tyle, że już sporo o Kostce wiemy. Trafiliśmy na jego trop, kiedy szukaliśmy zabójcy Martynty Bułeckiej, więc wydaje się najmocniej powiązany z tą sprawą. Ale znajdujemy coraz to nowe poszlaki przemawiające za tym, że może być zamieszany także w śmierć dwóch innych kobiet, o których wspomniałem na początku. Oczywiście dowody ostatecznie oceni sąd, ale wraz z prokuratorem Adamem Wargą, który nadzoruje to dochodzenie, uważamy, że podejrzanym jest seryjnym zabójcą.

Szukał wzrokiem tęgiej sylwetki prokuratora, który momentami okazywał ostentacyjny brak zainteresowania śledztwem. Faceta w cieniu, prawdopodobnie wiedzącego na temat tych zabójstw więcej niż pozostali. Więcej, niż powinien

wiedzieć jako prokurator. Ale na razie Adamski nie potrafił tego udowodnić. Ani zlokalizować Wargi. Jak zwykle.

– Czy to nie dziwne, że na dworcach, lotniskach i przejściach granicznych nie zauważono Kostki? Jakie jest według pana prawdopodobieństwo, że podejrzany wyjechał z Polski?

– Sprawdzamy różne warianty, ale moim zdaniem Kostka nadal przebywa w kraju.

– To dlaczego tak trudno go złapać?

Adamski ciężko westchnął.

– Szczerze? Sam chciałbym to wiedzieć. Może to niezbyt dyplomatyczna odpowiedź, ale taka jest prawda. Przypuszczam, że albo Kostka doskonale się ukrywa, podając za kogoś, kim nie jest, albo ktoś mu pomaga. Nie wiem, kiedy go dorwiemy, ale jestem pewien, że to zrobimy.

– Błażej Tarnowski z Telewizji Łódź. Czy to prawda, że komisarz Kawęcki, który trafił na trop Kostki, zwolnił się z pracy zaraz po interwencji w mieszkaniu podejrzanego?

– Tak, to prawda.

– Dlaczego?

– O to należałoby zapytać komisarza Kawęckiego. Odchodząc ze służby, nikomu nie podał powodów swojej decyzji. A przynajmniej ja nic od niego nie usłyszałem.

– Nie widzi pan w tym niczego dziwnego?

– Wykonujemy trudną i obciążającą psychicznie pracę. Zdziwiłbym się, gdyby intensywne kilkumiesięczne poszukiwania zabójcy Martyny Bułeckiej w ogóle nie odcisnęły piętna na komisarzu Kawęckim. Moim zdaniem niepotrzebnie doszukuje się pan w tej decyzji drugiego dna.

– Jeszcze jedno pytanie, panie naczelniku. Sąsiedzi Kostki twierdzą, że któryś z policjantów starających się zatrzymać podejrzanego był przebrany za księdza. Co więcej, uważają, że próbują państwo zataić tę informację. Jak się pan do tego odniesie?

– Jak już parokrotnie mówiłem, nie posiadamy żadnej wiedzy na temat policjanta paradującego w stroju księdza. Dlatego traktuję tę informację jako głupią plotkę. Jeżeli pragną państwo zobaczyć policjanta w stroju księdza, następnym razem mogę się wystroić w sutannę.

Dowcip, który miał pokazać, że Adamski jest bardziej wyluzowany niż w rzeczywistości, okazał się niezbyt śmieszny. I niezbyt skuteczny.

– Kinga Groniec, „Głos Miasta”. Kilka tygodni temu opublikowaliśmy duży tekst o skandalu pedofilskim w łódzkiej prokuraturze. Czy zamierzają państwo jakoś zareagować na te doniesienia?

Adamski był przygotowany na to pytanie. Padało na każdej konferencji.

– Z całym szacunkiem, ale to pytanie nie ma żadnego związku z naszymi poszukiwaniami. Powinna je pani skierować do przedstawicieli prokuratury.

– Oni nie chcą rozmawiać z prasą. A w artykule jest mowa także o policjantach.

– Naprawdę nie ma powodu, abym ja czy ktokolwiek z mojego zespołu się do tego odnosił. – Ponownie zerknął na zegarek. – Kończy nam się czas. Proszę o ostatnio pytanie.

– Piotr Wochoński z „Expressu Łódzkiego”. Czy niedawna napaść na Alicję Mioduszewską, autorkę wspomnianego tekstu, ma jakiś związek z poszukiwaniami Kostki?

Pracownik zespołu prasowego uznał, że powinien utemperować młodego dziennikarza, który wyrywa się przed szereg.

– Pan naczelnik... – zaczął, ale Adamski powstrzymał go machnięciem ręką.

– A uważa pan, że może mieć? – zapytał.

– Alicja zajmowała się sprawą Bułeckiej – wyjaśnił Wochoński. – Napisała kilka ostrych tekstów na ten temat. Skrytykowała w nich policję i prokuraturę. Istnienie związku między sprawą Kostki a napaścią na Alicję wydaje się zatem całkiem prawdopodobne.

– Jeszcze tego nie wiemy.

– A jak pan sądzi?

Adamski zastanowił się przez chwilę, zanim pochylił się nad mikrofonem.

– Chciałbym wierzyć, że nie. Na dzisiaj to wszystko. Dziękuję.

Roman Basznikow zajmował miejsce na tylnym siedzeniu samochodu i wpatrywał się w boczną szybę. Obserwował mężczyznę, który wyszedł z obskurnego baru i niespiesznie, paląc papierosa, kierował się w stronę przystanku autobusowego. Dzielilo ich jakieś pięćdziesiąt metrów, ale nawet z takiej odległości Roman był w stanie dostrzec, że facet jest kompletnie pijany.

– Podjechać bliżej? – spytał Quentin, który prowadził auto tak, jakby chciał pobić rekord świata w jeździe na półsprzęgle.

– Nie trzeba – odparł Roman. – Stąd odjeżdżają tylko dwa autobusy. Oba kierują się w stronę Teofilowa. Ustaw się tak, żebyśmy mogli za nimi ruszyć.

Quentin ze zdziwieniem popatrzył na Romana, jednocześnie realizując jego polecenie.

– Nie wiedziałem, że znasz rozkład jazdy.

– Bo nie znam. Ale przygotowałem się na dzisiaj.

– W ogóle korzystałeś kiedyś w Łodzi z MPK?

– A wyglądam na gościa, który jeździ autobusami?

– Nie. Nie wyglądasz też na faceta, który samodzielnie prowadzi obserwacje.

– Czasem jeśli chcesz, żeby coś zostało zrobione dobrze, musisz to zrobić sam. – Roman poklepał oparcie fotela, na którym siedział Quentin. – Wsiadł do autobusu. Oczekaj piętnaście sekund i włącz się do ruchu.

Włożył dwie tabletki przeciwbólowe do ust i popił wodą. Rozparł się na siedzeniu, czekając, aż lek zacznie działać. Quentin ma rację, pomyślał. Nie jeździł komunikacją miejską. Bardzo rzadko prowadził obserwacje. Jeszcze rzadziej zdarzało mu się snuć po mieście za wrogami. Ale prawdziwie zaskakujące było dopiero to, że zgodził się na współpracę z jednym z nich. Z psem. Być może najgorszym ze wszystkich, jakich do tej pory poznał w tym kraju. Mającym zadziwiająco mało do stracenia. A przez to kompletnie nieprzewidywalnym.

– Podoba ci się ten samochód? – zapytał Quentin, który najwyraźniej nie mógł znieść jazdy w ciszy.

– Nie znam się na autach. Skąd go wytrzasnąłeś?

– Pożyczyłem od takiego jednego gościa. Nienotowanego – dodał, uprzedzając pytanie Romana. – Dziesięcioletni golf piątka. Kompaktowy, nierzucający się w oczy. Wykombinowałem, że będziemy w nim wyglądać zupełnie zwyczajnie. Jak kierowca Ubera i jego pasażer.

– A więc wyszedłeś z założenia, że może nas zobaczyć?

– Nie. Po prostu jestem przezorny. – Quentin zerknął na szefa. – Podobnie jak ty.

Roman nigdy nie przypuszczał, że kiedyś będzie się codziennie widywał z Quentinem. Że ten twardogłowy facet z charakterystycznie wysuniętą szczęką, przez którą przypominał słynnego hollywoodzkiego reżysera, stanie się jego przybocznym. Kiedy Roman ponad dwadzieścia lat temu przyjechał do Polski, Quentin był zwykłym chłopcem na posyłki. Wciągającym fetę gnojkiem, który wyładowywał na świecie gniew. Stosującym wyłącznie *argumentum ad baculum* – groźbę i siłę. Roman wciągnął go do swojej grupy, ponieważ wydawał mu się najgorszy spośród dziesiątek głupków, z których usług okazjonalnie korzystał. Był najbrutalniejszy ze wszystkich. Najbardziej bezwzględny. Najobrzydliwszy. Idealny do osłaniania tyłów i robienia za ludzką tarczę. Ale potem się okazało, że Quentin ma ambicje. Że nie chce być jedynie wulkanem agresji wykorzystywanym przez mądrzejszych od siebie do wrywania wrogom paznokci. Że ma ochotę zostać pełnoprawnym członkiem organizacji. Jednym z zaufanych doradców Romana. Jego prawą ręką. A może nawet kimś więcej.

Roman musiał pilnować, żeby pragnienie nieśmiertelności nie zdominowało Quentina. Żeby nie wzbił się zbyt blisko słońca. Bo spadając, mógłby go pociągnąć za sobą.

Kiedy były policjant wysiadł z autobusu, Quentin przejechał przez skrzyżowanie i skręcił w pierwszą ulicę w prawo. Przyspieszył. Minął kilka samochodów i jeszcze raz zakręcił, jak gdyby rozłożył zawracanie na raty.

Niedługo później ponownie dojrżeli cel. Człapał w kierunku olbrzymich hal magazynowych, które stanowiły nieodłączny krajobraz Teofilowa Przemysłowego.

– Nic nie kombinował – stwierdził Roman. – Pojechał prosto do pracy.

– Musi mieć poważne problemy z chłaniem, skoro przed robotą przesiaduje w barze.

– To akurat nie powinno nas martwić.

– Nie?

– Uzależnionych łatwiej się kontroluje. – Roman zerknął w lusterku wstecznym na Quentina. Chciał się upewnić, czy zrozumiał jego aluzję. – Zaparkuj tak, żebym mógł obserwować wejście do magazynu. Następnie zrobisz obchód wokół hali. Jeśli się okaże, że jest z niej jakieś inne wyjście, zadzwonisz do któregoś ze swoich nienotowanych kumpli i powiesz mu, żeby przywiózł ci samochód. Musimy mieć pewność, że nie stracimy faceta z oczu.

– Do tego stopnia mu nie ufasz?

– Nikomu nie ufam. – Roman zerknął na zegarek. – A już na pewno nie psu, który proponuje mi układ.

Quentin pokiwał głową, a następnie spełnił prośbę szefa. Zatrzymał się pomiędzy dwoma halami przedzielonymi wąską jednopasmową drogą, na której z trudem manewrowały tiry. Wyłączył silnik.

– Wsiadaj – nakazał Roman.

– Czy naprawdę nie może tego zrobić ktoś inny? Znam ludzi, którzy nie puszcza pary z ust, nawet gdy im się podepnie akumulator do jaj.

Roman pokręcił głową, po czym szeroko rozłożył ręce. Ciekawiło go, czy Quentin podąży wzrokiem za jego kikutem. Za okaleczoną, pozbawioną czterech palców dłonią, która przypominała nieudolnie uszytą rękawiczkę.

Uśmiechnął się. Po tylu latach wciąż to robił. Wciąż gapił się na jego kikut, jakby widział go po raz pierwszy. I wciąż bał się zapytać, co mu się stało.

A dopóki nie starczało mu na to odwagi, Roman mógł się czuć bezpiecznie.

Komisarz Anna Stelmach nie miała wątpliwości, że w policji nie brak seksistowskich, napastliwych buców, którzy uważają, że baby nadają się wyłącznie do stania przy garach lub dawania dupy. Ktoś jednak kiedyś jej powiedział, że powinna się tam wystrzegać nie ich, ale kobiet. Zwłaszcza tych ambitnych. Zwinnie wspinających się po szczeblach kariery. Gotowych zrobić więcej niż inni, żeby osiągnąć to, na czym im zależy. A czasem więcej, niż pozwala przyzwoitość.

Gdyby osoba, która dała Stelmach tę radę, wiedziała, co czeka młoda komisarz, kazałaby się jej zatrzymać. Zawrócić. Spieprzać jak najdalej. Pod żadnym pozorem nie iść na konfrontację z młodszą inspektorką Olgą Knap, dyrektorką Biura Spraw Wewnętrznych Komendy Głównej Policji. Kobieta, która z niewidzialnego pociągania za sznurki i tkania nici dziwacznych powiązań mogłaby napisać doktorat.

Knap, poważna brunetka z krótko obciętymi włosami, raz po raz maczała torebkę herbaty we wrzątku. Wyglądała przez okno na wiecznie zakorkowaną Puławską. Na drewnianym biurku dyrektorki leżał obszerny raport, nad którym Stelmach pracowała przez kilka ostatnich miesięcy. Bliżej Knap znajdowała się pojedyncza kartka w formacie A4. Zapewne streszczenie raportu przygotowane przez jednego z jej przydupasów. To na jego podstawie Knap miała rozstrzygnąć, czy Stelmach wykonała w Łodzi kawał dobrej roboty, czy zmarnowała zasoby BSW i pół roku pracy.

– A więc nie udało ci się dowieść, że Kawęcki współpracuje z gangsterami – zaczęła, nie patrząc na Stelmach.

Wreszcie wyciągnęła torebkę z kubka i wrzuciła ją do stojącego pod biurkiem kosza.

– Nie, ale mamy mnóstwo poszlak, które na to wskazują – odparła Stelmach.

– Mieliśmy je, zanim wysłaliśmy cię do Łodzi.

– Ale tym razem to coś więcej niż kilka podejrzanie wyglądających liczb w Excelu. – Stelmach wycelowała palcem w raport. – Jestem absolutnie pewna,

że Kawęcki współpracuje z Mariuszem Ryterem, gangsterem i właścicielem firmy ochroniarskiej Herkules. Zabezpiecza jego biznes.

– W jaki sposób?

– Do tej pory mechanizm był prosty. Ryter wystawiał Kawęckiemu rywali, którzy podobnie jak on parali się wymuszaniem haraczy, tylko robili to w sposób mniej dyskretny. Ten ich zgarniał, torując gangsterowi drogę do rozwoju firmy. Do wciskania usług ochroniarskich i systemów antywłamaniowych traumatyzowanym przedsiębiorcom. Poza tym Kawęcki dostarczał mu informacje, dzięki którym Ryter znajdował się poza policyjnymi radarami. Ze zgromadzonych materiałów trudno wyciągnąć inne wnioski.

– I dlatego Kawęcki postanowił odejść z policji? Bo ty i ten facet z łódzkiego oddziału BSW zaczęliście na niego naciskać? Bał się, że go dopadniecie?

– Tak przypuszczam. W przeciwnym wypadku nie odszedłby ze służby zaraz po odkryciu tożsamości człowieka, za którym uganiał się od miesięcy.

– Może uznał, że zrobił, co do niego należało? Że teraz wystarczy wypuścić psy gończe?

Stelmach ciężko westchnęła. Z trudem przychodziło jej tłumienie irytacji.

– Z całym szacunkiem, ale nie poznała pani Kawęckiego. To nie jest typ człowieka, który odpuszcza.

Knap rzuciła podwładnej ciężkie, zawiesziste spojrzenie. Oceniała ją. Badała. Testowała, czy stroi się w piórka, aby chronić twarz, czy rzeczywiście wierzy w to, co mówi.

– Kilka miesięcy temu chciałaś zająć się tą sprawą, żeby wyjechać z Warszawy. Oderwać się od życia, jakie wiodłaś. Nabrać dystansu do pewnych spraw. A teraz chcesz wrócić do Łodzi, aby dokończyć śledztwo, które na razie prowadzi donikąd.

Stelmach kiwnęła głową. Choć nie miała pojęcia, czy Knap właśnie tego od niej oczekuje.

– Co właściwie chcesz osiągnąć? – spytała dyrektorka.

– Dowiedzieć się, o co w tym wszystkim chodzi. Poznać prawdę.

Knap się roześmiała. Przesunęła kubek z herbatą na bok, położyła na skraju biurka kartkę i ją odwróciła. Stelmach odruchowo na nią zerknęła. Na siebie. Na swoje zdjęcie przypięte u góry wydruku. Dyrektorka błyskawicznie przestudiowała jej życiorys. Delikatnie uniosła kąciki ust.

– Jesteś już nie tak młodą, ale wciąż bardzo naiwną osobą. Obawiam się, że jeśli szybko się to nie zmieni, wkrótce tego pożałujesz. – Odłożyła kartkę, sięgnęła po kubek i siorbnęła łyk herbaty. Ponownie zapatrzyła się w okno, za którym rozgrywał się stołeczny sajgon. – Dwa miesiące.

– Słucham?

– Masz dodatkowe dwa miesiące. Wrócisz do Łodzi i spróbujesz zamknąć tę sprawę. Sama, po cichu, nie angażując w to policjantów z lokalnego BSW. Zrobisz to przy minimalnym budżecie. Ale jeśli po tych dwóch miesiącach przywieziesz takie dyrdymały – wskazała brodą kartkę – będzie to prawdopodobnie ostatni raport, jaki sporządzisz w swoim policyjnym życiu. Czy to jasne?

Stelmach energicznie pokiwała głową. Uśmiechnęła się. Jak człowiek idący na ścięcie, którego w ostatniej chwili oddelegowano na dodatkową porcję tortur.

Witold Ptak wpatrywał się w migającą jarzeniówkę, która zachowywała się tak, jakby ktoś co kilka sekund odcinał jej dopływ prądu. Przyglądał się lekarzom i pielęgniarce krzątającym się po korytarzu, dzielącym niezrozumiałymi dla niego informacjami. Patrzył na pacjentów, którzy snuli się bez celu, dla zabicia czasu zaglądając po kilka razy do tych samych sal. Wreszcie zerkał na telefon. Czekał na esemesa od Edyty. Miała go poinformować, kiedy może się z nim spotkać, aby uzgodnić plan rozstania. Wymyślić, jak to zrobić, żeby ich córki jak najmniej na tym ucierpiały. Żeby to wyglądało cywilizowanie. Dorośle. Godnie. Jakby się, kurwa, nic nie stało.

Wetknął telefon do kieszeni i poderwał się z krzesła, kiedy podeszła do niego filigranowa lekarka w towarzystwie faceta wyglądającego jak podstarzały wykidajło. Przywitali się, przedstawili i wyjaśnili, co tu robią. Ona opiekowała

się kobietą, którą Witold przyszedł odwiedzić. On próbował wy badać, dlaczego wylądowała w szpitalu.

– Nie może się pan z nią zobaczyć – powiedział policjant, który przedstawił się jako komisarz Grzegorz Zajdel.

– Dlaczego?

– Ona sobie tego nie życzy.

– Przekazaliście jej, kim jestem?

Policjant kiwnął głową.

– Wie, kim pan jest. I nie chce mieć z panem do czynienia.

– Może to reakcja szokowa. – Witold zerknął na doktor Izabelę Kobryn, licząc na to, że potwierdzi jego słowa.

– To mało prawdopodobne – powiedziała lekarka. – Ona już wyszła z szoku. Doskonale rozumie, co ją spotkało. Raczej przemawia przez nią gniew.

– Uważa, że nie zrobił pan dostatecznie dużo, żeby temu zapobiec – dodał Zajdel.

Witold podrapał się po głowie. Nie potrafił się odnieść do tych słów. I wcale nie chciał. Postanowił zmienić temat.

– Jak ona się czuje?

Doktor Kobryn wzruszyła ramionami.

– Powiedziałabym, że zaskakująco dobrze, zważywszy na to, co ją spotkało. Zaskakująco dobrze jak na wielokrotnie zgwałconą i brutalnie pobitą kobietę.

Witold smętnie pokiwał głową.

– Jej życiu nic nie zagraża?

Lekarka westchnęła. Jakby musiała tłumaczyć coś prostego opornemu dzieciakowi.

– Prawdę mówiąc, nie wyobrażam sobie, aby mogła z tego wyjść bez depresji i zaburzeń lękowych. Nie sądzę, żeby była w stanie kiedykolwiek zbudować zdrową intymną relację z mężczyzną. Nie wspominając o tym, że najprawdopodobniej nigdy nie zostanie matką. A żeby jeszcze się kiedyś uśmiechnąć, będzie musiała wstawić kilka implantów stomatologicznych albo

odbudować całą szczękę. – Kobryn rozłożyła ręce. – Więc tak, jej życiu nic nie zagraża. Tyle że wydaje się cholernie mało prawdopodobne, żeby miała ochotę dalej je wieść.

Oschle pożegnała policjantów i wróciła do swoich obowiązków. Kiedy mężczyźni zostali sami, Witold ponownie usiadł na krześle i schował twarz w dłoniach.

– Wiecie, kto to zrobił? – zapytał.

Zajdel usiadł obok. Ściągnął usta i potrząsnął głową.

– Było ich trzech. Dopadli ją w parku, gdy uprawiała wieczorny jogging. Naprzemiennie bili ją i gwałcili.

– Wiem, czytałem akta sprawy. Będzie w stanie ich rozpoznać?

– Trudno powiedzieć. Widziała ich twarze. Nie ukrywali się. Zaprosiliśmy rysownika, aby sporządzić portrety pamięciowe, ale przy pierwszym podejściu nie potrafiła precyzyjnie ich opisać. Chyba jest jeszcze za wcześnie, żeby naciskać na nią w tej sprawie.

– Przynajmniej jest jakaś nadzieja.

– Ona twierdzi, że chodzi o artykuł, który napisała kilka tygodni temu. Że to dlatego ją zgwałcili. To była kara.

– Za artykuł o prokuratorze Pszoniaku i jego pedofilskich skłonnościach?

Zajdel pokiwał głową.

– Powiedziała, że to prokurator Adam Warga, wieloletni współpracownik Pszoniaka, kazał tym gościom ją dopaść.

– Jezu Chryste – westchnął Witold.

Nie był tym ani trochę zaskoczony, ale czuł, że w obecności Zajdla właśnie tak powinien zareagować. Jakby się nie spodziewał, że dostanie w mordę, mimo że od dawna nadstawiał policzek.

Witold wraz z Tomkiem Kawęckim przez wiele miesięcy uganiał się za Wargą, próbując znaleźć dowody na to, że on, Pszoniak i kilkudziesięciu facetów ze szczytów władzy zawiązało w Łodzi swoisty klub rozpusty, w którym oddawało się najbardziej wyuzdanym seksualnym zachciankom. Także

z udziałem nieletnich. Po rozmowach z kilkoma prawnikami dwaj policjanci nabrali pewności, że ten podziemny świat cynicznych dewiantów istnieje. I że jest jeszcze paskudniejszy, niż przypuszczali. Ale bez twardych dowodów nie byli w stanie nic z tym zrobić. Potrzebowali ludzi, którzy wejdą do tego środowiska.

Nie znaleźli jednak nikogo, kogo mogliby o to poprosić. Nikogo, kto względnie bezpiecznie mógłby się wkupić w łaski pedofilów i zwyrodnialców. Ale Kawęckiego to nie powstrzymało. Nie konsultując niczego z Witoldem, zaczął wciągać cywilów do swojej gry. Wpychać niewinnych ludzi na miny, jakby byli mięsem armatnim. Znalazł parę, która według niego idealnie nadawała się do tego zadania. Dziennikarkę Alicję Mioduszewską i pisarza Jakuba Możejkę. Dwoje naiwnych, pogrążonych w problemach ludzi, którzy postanowili połączyć siły, żeby rozwikłać zagadkę zabójstwa Martyny Bułeckiej i paru innych zbrodni, jakich prawdopodobnie dopuścił się ten sam człowiek. A przy okazji zrobić to, do czego Kawęcki ich namaścił. Wsadzić kij w mrowisko, nie mając bladego pojęcia, co z niego wypełźnie.

To nasza wina, pomyślał Witold. Moja i Kawęckiego. Powinienem był go powstrzymać, zanim zrujnował tej kobiecie życie.

– Muszę z nią porozmawiać – odezwał się po dłuższym namyśle.

– Przykro mi, ale to ja prowadzę śledztwo w tej sprawie – zaproponował Zajdel.

– I według mnie najważniejsze jest to, żeby Alicja jak najszybciej doszła do siebie, bo być może wtedy będzie w stanie rozpoznać tych bydlaków. Wątpię, żeby ludzie, którzy dopuścili się czegoś takiego, mogli mieć czyste kartoteki. Dlatego przekopaliśmy nasze bazy i przygotowaliśmy wstępną listę podejrzanych. Może Alicji uda się kogoś rozpoznać. Ale najpierw musi wydobrzcć. Żeby wydobrzcć, musi być odizolowana od stresu. A pan, sądząc po tym, jak zareagowała na pańskie nazwisko, jest dla niej jednym wielkim stresorem.

Zajdel podniósł się z krzesła i obmacał kieszenie. Wyciągnął małe notatnik. Otworzył go na jednej z ostatnich zapisanych stron.

– Ale może nam pan pomóc – oznajmił. – Alicja ciągle wypytuje o Jakuba Możejkę. To popularny pisarz i jej znajomy. Może nawet ktoś więcej niż znajomy. Dziewczyna twierdzi, że skoro jeszcze jej nie odwiedził, musiało mu się przytrafić coś złego. Boi się, że jego też dopadli.

– A wy, jak rozumiem, nie możecie go odnaleźć?

– Jakby się zapadł pod ziemię. – Zajdel schował notatnik z powrotem. – To co, pomoże nam pan?

Witold pokiwał głową.

Chwilę później poczuł wibrację telefonu. Wyjął go z kieszeni. Przeczytał esemesa od Edyty. Zaklął.

– Coś nie tak? – spytał Zajdel.

– Nie wiem – odparł Witold, nie odrywając wzroku od smartfona. – Czasami mam wrażenie, że utknąłem w koszmarze, z którego nie jestem w stanie się wybudzić.

Facet w dżinsach i koszuli w biało-niebieską kratę przyglądał się mężczyźnie w czarnym ochroniarskim swetrze. Obaj wyglądali tak, jakby musieli nosić te stroje za karę. Jakby byli stworzeni do zupełnie innych uniformów. Facetowi w koszuli bardziej pasowałyby krótkie spodenki i porozciągana koszulka z jakimś angielskim napisem, który kilka osób uznałoby za zabawny, a większość za żaloszny lub obraźliwy. Mężczyźnie w ochroniarskim kombinezonie pasowałyby coś pstrokatego i krzykliwego. Dziwaczno. Sprawiającego, że wyróżniałby się z tłumu. Nie dlatego, że był wyjątkowy, choć niewątpliwie różnił się od przeciętnych zjadaczy chleba, ale po to, żeby ludzie wiedzieli, kogo należy unikać. Żeby nie podchodząc bliżej, mogli zobaczyć jego napuchniętą od wódki gębę i wychudzone ciało. Żeby ciekawość nie kazała im rozwiązać zagadki tego ponurego typu.

I żeby pod żadnym pozorem nie próbowali nawiązać kontaktu z Tomkiem Kawęckim.

– To prosta robota – odezwał się facet w koszuli. – Właściwie sprowadza się do trzech rzeczy. Po pierwsze, musisz pilnować, żeby pracownicy nie wynieśli z magazynu czegoś, co do nich nie należy. Wystarczy od czasu do czasu pomachać skanerem, kiedy będą przechodzić obok. Po drugie, nie wolno ci spać. I po trzecie, powinieneś udawać, na przykład przychodząc do pracy trzeźwy, że nie masz tej roboty kompletnie w dupie. – Zrobił pauzę, żeby nabrać powietrza.

– Jak to, kurwa, możliwe, że w ciągu kilku pierwszych dni, kiedy powinno ci najbardziej zależeć na zrobieniu dobrego wrażenia, złamałeś wszystkie zasady?

Tomek Kawęcki wzruszył ramionami. Zapalił papierosa, gapiąc się na odjeżdżające spod magazynu samochody kurierów.

– Rzadko oglądam nagrania z monitoringu – kontynuował facet w koszuli. – Może jestem naiwny, ale uważam, że ludzie powinni sobie ufać. Tak po prostu. Żeby wszystkim żyło się milej, w mniejszym stresie, na nieco obniżonej czujności. Ale wczoraj coś mnie tknęło. Włączyłem nagranie z kamery przy wejściu na halę. Obejrzałem początek twojego piątkowego dyżuru. A nawet zrobiłem to dwa razy. Nie mogłem uwierzyć, że ochroniarz, którego dopiero co zatrudniłem, zaraz po wejściu na halę wytrąbił dwie dwusetki wody i poszedł spać. – Z niedowierzaniem pokręcił głową. – I co ja mam teraz z tobą zrobić?

– Wyrzucić.

– Słucham?

– Za coś takiego powinienes mnie wyrzucić.

Kawęcki przeniósł wzrok na faceta w koszuli i zaczął się w niego intensywnie wpatrywać. Wyobrażał sobie, że jego nowy szef przed laty dorabiał do kieszonkowego, mając się różnych niewymagających intelektualnego wysiłku zajęć: tyrając na budowie, zrywając truskawki albo pieląc chwasty. Któregoś dnia trafił na magazyn. Spodobała mu się ta praca, ponieważ była lżejsza, lepiej płatna, a do tego często na noc, a on nigdy nie należał do rannych ptaszków. Przez kilka lat pracował jako magazynier, mozolnie wyrabiając sobie coraz silniejszą pozycję w firmie. Może po drodze ukończył zaocznie logistykę, zarządzanie albo jakąś turystykę i rekreację. W każdym razie w końcu dostał się do akwariarium. Został menedżerem. Facetem w kraciastej koszuli. Rozdzielającym robotę i wydającym polecenia. Dopiął swego, chociaż nigdy nie sądził, że stanie się to celem jego życia.

– Przyjąłem cię do pracy, ponieważ jesteś byłym policjantem – wyjaśnił teraz. – I dlatego, że Eryk Dziwisz cię polecił. Był bardzo przekonujący. Wręcz

nalegał, żebym cię zatrudnił. Jakby był ci winien przysługę. Ale po tych paru dniach mam ochotę wyjechać was obu.

Jego twarz czerwieniała z każdą sekundą. Być może brakowało mu doświadczenia w udzielaniu reprimendy. Może jeszcze nikogo nie zwolnił i nie wiedział, jak się do tego zabrać. Albo odbijały się na nim trudy weekendu, ponieważ nie wyglądał na człowieka wyznającego wstrzeźliwość. Ale Kawęcki przypuszczał, że facet po prostu źle się czuje w jego towarzystwie. Stojąc przed czterdziestoparoletnim, skacowanym, brudnym, zblazowanym gościem, który mimo wszystko uważa go za śmiecia. Który całym sobą daje mu do zrozumienia, że cokolwiek od niego usłyszy, nie zrobi to na nim żadnego wrażenia. Jakby mógł umrzeć wyłącznie od własnych ciosów, formujących się w jego trzewiach i walących prosto w serce.

– Dasz mi choć jeden argument, żebym cię nie wyrzucił?

Kawęcki zrobił krok w jego stronę.

– Jeśli mnie nie zwolnisz, nie wspomnę swoim dawnym kolegom, że twoi pracownicy handlują narkotykami.

– Co ty pieprzysz?

Kawęcki wypalił papierosa po sam filtr. Upuścił niedopałek pod nogi i przykrył go butem.

– Na razie to tylko niegroźna plotka. Niewinnie zasiane ziarno, które będzie powoli kiełkować w maleńkich mózdkach magazynierów i ochroniarzy. Potem dotrze do twoich kumpli z akwarium. A na koniec wyjdzie poza mury tego budynku. – Zatoczył ręką okrąg. – Ludzie z zewnątrz zapewne uznają to za bzdurę. Nie uwierzą, że mogłeś dopuścić do takiego zaniedbania. Zlecą szczegółową kontrolę tego pierdolnika. A wtedy wykonam magiczny trik. Sprawię, że ta niegroźna plotka stanie się prawdą. – Wzruszył ramionami. – Chyba że się zakolegujemy.

Uśmiechnął się do faceta, którego twarz przypominała już wielki czerwony balon. Poklepał go po ramieniu. Po przyjacielsku. Jak gdyby go pocieszał.

Odwrócił się i ruszył przed siebie, leniwie przebierając nogami. Po kilkunastu sekundach zniknął za kawalkadą tirów.

– Może nam pan powiedzieć, jak wyglądał standardowy dzień pracy Seweryna Kostki?

Doktor Leszek Merc, właściciel kliniki weterynaryjnej VetPatrol, podrapał się w środek łysej głowy. Nieufnie spoglądał na przesłuchujących go policjantów, jakby podejrzewał, że w którymś momencie przestaną zadawać pytania i postanowią spuścić mu wpierdol. Ze swoją puciołową twarzą, pokrytą niezbyt imponującą siwiejącą brodą, wydawał się stary i umęczony życiem, mimo że dopiero dobijał do czterdziestki.

– Przecież już o tym mówiłem – burknął. – Jeden z waszych kolegów wypytywał mnie zaraz po ucieczce Seweryna.

Witold Ptak zerknął na Artura Waliszewskiego, a potem ponownie przeniósł wzrok na Merca, który tak intensywnie maltretował swoją głacę, że aż pojawiła się na niej czerwona pręga.

– Ludzie dzielą się na tych, którzy chętnie z nami rozmawiają, z łatwością wydobywając z pamięci istotne dla nas szczegóły, oraz tych, z których musimy wyciągać je siłą. Na przykład podczas takich rozmów. – Witold rozejrzał się po niewielkim bezosobowym pokoju przesłuchań, który równie dobrze mógłby służyć za graciarnię. Albo salę tortur. – Pan najwyraźniej zalicza się do drugiej grupy. Z zeznań, które pan złożył zaraz po ucieczce Kostki, niestety nic nie wynika.

– Czego ode mnie oczekujecie?

– Zaangażowania – włączył się Artur. – Że wysili pan mózgownicę i powie coś, co pomoże nam dorwać tego świra.

Ręka Merca ponownie powędrowała na czubek głowy. Skrzywił się, kiedy wyczuł pod palcami ranę.

– Przychodził do pracy przede mną. Zwykle jako pierwsza osoba w przychodni. Zawsze brał poranne dyżury. Był bardzo sumiennym facetem.

I bardzo nudnym. – Weterynarz zaśmiał się, kręcąc głową. – Trudno się o nim mówi, wiedząc, co zrobił.

– Na razie nic nie wiadomo. Proszę kontynuować.

– Miał swoje rytuały. Dyżur zaczynał od kawy, słodkiej bułki, którą kupował w cukierni obok kliniki, i przeglądu prasy. Potem skupiał się wyłącznie na swoich zadaniach. Nigdy nie odkładał roboty na później. Jeśli miał sprawdzić stan leków albo przygotować salę zabiegową, od razu się do tego zabierał. Myślę, że pojęcie prokrastynacji było mu obce.

– Rzeczywiście, nie brzmi to szczególnie... ciekawie – zauważył Artur. – Wyróżniał się czymś nietypowym na tle innych pracowników?

Merc przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią. W końcu potrząsnął głową.

– Jaki był w stosunku do ludzi? – spytał Witold.

– Nikt nie złożył na niego skargi do Łódzkiej Izby Lekarsko-Weterynaryjnej. W serwisie ZnanyLekarz.pl ma raczej dobre opinie. Jeśli pojawiały się jakieś zarzuty pod adresem Seweryna, dotyczyły jego słabej komunikatywności.

– A jak traktował zwierzęta?

– Profesjonalnie. Chłodno. – Merc zapatrzył się w jakiś punkt na ścianie. – Ktoś z zewnątrz mógłby powiedzieć, że nie lubił swojej pracy, ale według mnie zachowywał do niej zdrowy dystans. Pod tym względem byliśmy do siebie podobni.

– Dlaczego w ogóle go pan zatrudnił?

– Bronił się swoim CV. Właściwie byłem nawet lekko zaskoczony, że ktoś z jego doświadczeniem i umiejętnościami nie próbuje otworzyć własnej praktyki. – Przejechał dłonią po czaszce, w ostatniej chwili powstrzymując się przed ponownym rozdrapaniem rany. – Po tych kilku latach mogę powiedzieć, że był kompetentny, sumienny i względnie tani. Nie stwarzał problemów. Nie brał urlopów na żądanie. Nie chorował. Prawdę mówiąc, był moim najlepszym pracownikiem. Gdybym nie wiedział, kim jest, bez chwili wahania zatrudniłbym go ponownie.

– Urlopy – odezwał się Artur, patrząc na Witolda. Potem przeniósł wzrok na weterynarza. – Ma pan wykaz jego nieobecności w pracy?

– Jeśli pogrzebie w komputerze, pewnie coś się znajdzie.

– Proszę to zrobić – powiedział stanowczo Witold. – Ktoś go odwiedzał? Rozmawiał z kimś? Dzwonił do kogoś albo ktoś do niego?

– Nie przypominam sobie.

– A o czym panowie rozmawiali?

– O pracy.

– Tylko?

– Właściwie tak. – Merc zamyślił się na chwilę. – Kiedyś rozmawialiśmy o religii.

Witold i Artur spojrzeli po sobie.

– O czym konkretnie?

– O Judaszu. – Weterynarz popatrzył na swoje dłonie. – Seweryn przedstawił ciekawą teorię. Powiedział, że Judasz nie oszukał Jezusa. Że to wszystko... rzekoma zdrada w zamian za srebrniki oraz tajemnicze samobójstwo... było ukartowane. On uważa, że to Jezus poprosił Judasza, żeby go wydał. Wybrał swojego najlepszego ucznia. Najsilniejszego spośród apostołów. Jedyne, który miał dość odwagi, żeby zostać wykonawcą woli Chrystusa. Umożliwić mu zmartwychwstanie, jednocześnie skazując się na wieczne potępienie. – Potrząsnął głową. – To było dosyć dziwne. Nie mówił o tym jak nawiedzony bigot. Raczej jak naukowiec. Nerd, który nie bardzo wiedząc, co zrobić z wolnym czasem, dogłębnie zanurzył się w historię chrześcijaństwa i teorie spiskowe.

Przez kilka ciągnących się w nieskończoność sekund milczeli. Artur skrobał coś w notatniku, a Witold intensywnie wpatrywał się w lekarza.

– Jakie gazety czytał? – zapytał.

– Słucham?

– Wspominał pan, że Kostka zaczynał dzień od przeglądu prasy. Co czytał?

– Wszystko. Przynosił ze sobą kilka dzienników. Po pracy zabierał je do domu.

– Pytał pan, dlaczego to robi?

Merc wygiął usta w podkowę i pokręcił głową.

Witold przez dłuższą chwilę nad czymś się zastanawiał, po czym zwrócił się do Artura.

– Czy Kostka prenumerował jakieś czasopisma? – zapytał.

– Nic nam o tym nie wiadomo.

– W takim razie musiał kupować je w jakimś kiosku, salonie prasowym albo osiedlowym sklepie. Skoro lubi rytuały, pewnie robił to codziennie w tym samym miejscu. – Witold postukał palcami w stół, a następnie ponownie spojrzał na Merca. – Jest jakiś punkt z prasą obok pańskiej kliniki?

– Po drugiej stronie ulicy mamy kiosk. To naprawdę takie ważne?

– Jeśli nie kupował tych gazet przez internet, musiał mu je sprzedawać jakiś człowiek. Sklepikarz, kioskarz albo ktoś w tym stylu. Niektórzy ludzie chętniej otwierają się przed obcymi niż znajomymi. Może Kostka też się do nich zalicza. – Wzruszył ramionami, jakby nie wierzył własnym słowom. – Zawsze to jakiś punkt zaczepienia.

Weterynarz popatrzył na niego, a potem na Artura. Roześmiał się.

– Sorry, ale to brzmi, jakbyście byli w ciemnej dupie.

Policjanci chcieli mu jakoś odpowiedzieć, ale nie bardzo wiedzieli jak. Facet z rozdrapaną łysą głacą trafił w samo sedno.

– *See You Later, Alligator* – tymi słowami Janusz Dębiec pożegnał się z Bartoszem Adamskim, kiedy widzieli się po raz ostatni. Jeszcze kilka tygodni wcześniej te angielskie wstawki, przypominające, że komendant spędził kilka lat w Stanach, wydawały mu się zabawne. Były wyróżnikami Dębca. Maleńkimi stempelkami, którymi zdobił swoją obecność. Ale od tego czasu sporo się zmieniło. Dziś Adamski uważał, że są żałosne. Jak weselne suchary wycharkiwanie przez podpitego wujka.

Czekając na komendanta w jego gabinecie, wpatrzony w przypięte do ściany kije golfowe oraz sąsiadującą z nimi karykaturę Dębca, nacelnik Wydziału Kryminalnego czuł się jak bohater czarnej komedii. Był nieproszonym gościem w pokoju przerośniętego gówniarza. Faceta, który całe życie czekał na to, aby któregoś dnia dorwać się do władzy. Nie dla sławy, wpływu czy pieniędzy. Nie po to, żeby móc się puszyć przed rodziną albo kolegami ze szkolnych lat. Nie ze względu na przerośnięte ego. Ale właśnie z uwagi na ten cholerny gabinet. Był jego prywatnym placem zabaw. Kolorową kokardką zawiązaną na czubku niezbyt imponującego fiuta.

Dębiec dotarł na spotkanie z parominutowym opóźnieniem. Był mierzącym około stu dziewięćdziesięciu centymetrów elegantem po sześćdziesiątce. Zadbanym, utrzymującym nienaganną formę, ubranym w dobrze skrojony garnitur. Przeważnie uśmiechniętym. Z nieco usztywnioną twarzą, co musiało być następstwem jakichś zabiegów upiększających. Przywitał się z Adamskim i schował za masywnym biurkiem.

– Jak się czujesz w nowych butach? Nie są za duże? – zapytał zaczepnie, ale zanim Adamski odpowiedział, zaśmiał się ze swojego dowcipu. – A tak zupełnie serio, to zważywszy na okoliczności, idzie ci całkiem nieźle.

– Dziękuję. Chciał pan porozmawiać. Domyślam się, że chodzi o sprawę Kostki.

– Nie do końca. To znaczy... – komendant się zawahał – nie chodzi o samo śledztwo, ale o kwestie komunikacyjne. Nie będę owijał w bawełnę. Nie podoba mi się to, w jaki sposób informujesz opinię publiczną o postępach w sprawie i domniemyanych powiązaniach między niektórymi zdarzeniami.

Adamski zmarszczył brwi.

– Nie bardzo rozumiem. Chciałby pan, żebym podawał nieprawdziwe informacje?

– W żadnym wypadku. Chodzi o to, że nie powinieneś tak nagłaśniać tej sprawy. A tym bardziej zachęcać dziennikarzy, żeby o niej jak najwięcej pisali. Wiem, co w ten sposób chcesz osiągnąć, ale to się nie uda.

– Nie?

– Doprowadzisz do tego, że ludzie będą uważać cię za nieudacznika, który nie radzi sobie ze śledztwem. – Dębiec potrząsnął głową. – Jeszcze ani razu dziennikarze nie pomogli mi w schwytaniu sprawcy. Ani razu – powtórzył, unosząc wycelowany w sufit palec. – Ale za każdym razem przyciągali masę wariatów, którzy tylko spowalniają śledztwo.

– Może nie miał pan nigdy takiego przypadku?

Komendant zacisnął zęby. Jego wzrok sugerował, że ma ochotę chwycić Adamskiego za grzywkę i rozbić jego łeb o kant biurka.

– *You're missing the point* – powiedział, wyraźnie wymawiając każde słowo. – Nagłaśnianie sprawy szkodzi nam wszystkim. A zwłaszcza tobie. – Wychylił się do przodu. – Właśnie przekonywałem ludzi z Komendy Głównej, że szefem wydziału uczyniłem człowieka, który poradzi sobie ze schwytaniem Kostki. I zrobi to w sposób niebudzący kontrowersji. Powiedziałem, że choć nie masz dużego doświadczenia i z pewnością nie jest ci lekko, to jesteś twardym, byстрыm i cholernie ambitnym facetem, który nie da się złamać. – Spojrzał naczelnikowi głęboko w oczy. – Mam nadzieję, że ich nie okłamałem.

Adamski głośno westchnął.

– Też mam taką nadzieję – odparł.

Nie brzmiał zbyt przekonująco.

Najpierw usłyszał dziewczęcy śmiech: donośny, ordynarny, bezwstydnny. Potem pojawił się męski: cichszy, krótszy, bardziej zachowawczy. Nastawiony na cel. Wyraźnie świadczący o tym, że cokolwiek ten mężczyzna robił, nie zamierzał dziewczyny rozbawić. Chciał tylko, żeby mu się oddała. Żeby zamiast rechotać, zdarła z niego spodnie. Miał nadzieję, że te niewinne igraszki – łaskotanie, podgryzanie karku, podszczypywanie – przerodzą się w ostre rżnięcie. Bez gry wstępnej. Bez zbędnego pierdolenia.

Jakub Możejko nasłuchiwał przez ścianę przeplatających się śmiechów. Z każdą sekundą denerwował się coraz bardziej. Zazdrościł tym młodym.

Chciałby być na ich miejscu. Doświadczać beztroski. Nie martwić się tym, co przyniesie jutro. Nie bać się, że jutra nie będzie. Nie musieć uciekać przed czymś, co nie do końca rozumiał. Nie musieć ukrywać się przed ludźmi, którzy nie cofną się przed niczym. Przekonał się o tym, kiedy infiltrował ich środowisko. Potwierdzenie przynieśli mu dwaj napakowani goryle, którzy czyhali na niego pod blokiem.

A potem jeszcze dowiedział się o Alicji...

Zastanawiał się, jak mogli do tego dopuścić. W jaki sposób dali się w to wplątać? Dlaczego postanowili pomóc Kawęckiemu w rozbijaniu szajki pedofilskiej? W uganianiu się za zwyrodniałymi prawnikami, politykami i biznesmenami; ludźmi zbyt wpływowymi, żeby dało się wyrzucić im krzywdę?

Dlaczego, kurwa, byli tak naiwni?

Śmiechy nagle ustały. Możejko usłyszał bose stopy plaskające na zimnych płytkach. Chwilę później zaskrzypiały drzwi w jego pokoju. Odwrócił się od komputera i ujrzał ją po raz pierwszy. Dziewczynę z ordynarnym śmiechem. Ubraną jedynie w majtki i męską koszulkę.

– Przepraszam – powiedziała zawstydzona. – Pomyliłam pokoje. Chciałam pójść do toalety.

– Te drzwi wyglądają na tyle nietypowo, że można się pomylić. Nic się nie stało. – Możejko podniósł się z krzesła i wyciągnął do niej rękę. – Kuba.

– Zuza.

Dziewczyna zawiesiła na nim spojrzenie. Nawet będąc w rozsypce, przyciągał uwagę kobiet. Był szczupłym facetem po czterdziestce. Miał regularne rysy, równy kilkudniowy zarost i włosy przyprószone siwizną. Efektownie się starzał. Jakby fizjonomia omyłkowo wynagradzała go za dobre sprawowanie.

Zuza poparadowała przez chwilę w majtkach, a następnie uśmiechnęła się i wyszła z pokoju. Możejko odprowadził ją wzrokiem. Nie była w jego typie. Brakowało jej krągłości. Kilku dodatkowych kilogramów, które powinna

proporcjonalnie rozdzielić między uda, pośladki i cycki. Wyglądała zbyt dziewczęco. Jak mocno wymalowana nastolatka, która puszcza się na lewo i prawo z dwudziestoletnimi chłopakami. Tyle że dla Możejki nie miało to większego znaczenia. Gdyby tylko nadarzyła się okazja, toby ją wziął. Ją i jej puszczalskie koleżanki. Po kolei albo wszystkie naraz. Nieważne. Byle szybciej. Byle na moment zaspokoić nienasyconą chuć.

Upłynęło najwyżej pół minuty od przypadkowego wtargnięcia do pokoju, kiedy Możejko usłyszał pukanie do drzwi.

– Proszę.

Do środka wszedł długowłosy chudzielec z nagim torsem. Miał na sobie jedynie krótkie sportowe spodenki. I zapewne nic pod nimi. Z włosami wygolonymi po bokach głowy i spiętymi w kucyk przypominał samuraja. Przez kilka sekund milczał, miętosząc w rękach idealnie skręconego jointa.

– Słyszałem, że poznałeś Zuzę – oznajmił. Jego głos brzmiał tak, jakby przepalił go jeszcze przed mutacją. – To moja dziewczyna.

– Domyśliłem się.

– Jesteśmy ze sobą od miesiąca. Albo od pięciu tygodni. Nie pamiętam. W każdym razie niedługo. Ma osiemnaście lat.

– Tak czy siak gratuluję.

Samuraj patrzył nie na Możejkę, lecz na skręta. Zastanawiał się, czy może go jeszcze jakoś upiększyć.

– Nie powinieneś być w pracy? – zapytał. – Mieszkasz tu od tygodnia, a jeszcze nie widziałem, żebyś stąd wychodził.

– Pracuję zdalnie.

– Co robisz?

– Piszę. Jestem pisarzem.

– Co piszesz?

Możejko głośno westchnął. Zerknął na ekran komputera, jakby musiał to sobie przypomnieć.

– Jeszcze do niedawna myślałem, że reportaż kryminalny. Ale teraz już sam nie wiem.

– Mhm.

Samuraj zaczął opalać jointa zapalniczką. Kiedy skończył, pomachał nim do Możejki. Ten jednak pokręcił głową.

– Nie jestem głupi – powiedział Samuraj. – Wiem, że się ukrywasz. W przeciwnym wypadku nie wprowadziłbyś się od razu, bez zweryfikowania, jak wygląda ten pokój. I przytargałbyś ze sobą coś więcej niż laptopa i torbę ciuchów. Ale to nie moja sprawa. Dopóki jacyś smutni ludzie nie zaczną dobijać się do drzwi, nie zamierzam się tym przejmować. Martwi mnie tylko jedno.

– Co?

– Skoro nie chodzisz do normalnej pracy, skąd weźmiesz hajs, żeby zapłacić za kolejny miesiąc?

– Odłożyłem trochę na czarną godzinę.

– Na długo ci starczy?

– Kilka miesięcy wytrzymam.

– A co potem?

Dobre pytanie, pomyślał Możejko. Kiedy naprędce wymyślał plan, sądził, że to tylko rozwiązanie tymczasowe. Na parę dni. Najwyżej na kilka tygodni. Miał nadzieję, że ktoś przyjdzie mu z pomocą. Albo że wszystko jakoś samo się wyjaśni. Ale na razie nie zanosilo się ani na jedno, ani na drugie.

– Co studiujesz? – zapytał Możejko.

– Historię sztuki.

– A twoi znajomi?

– Różnie. Dziennikarstwo, kulturoznawstwo, polonistykę... takie tam humanistyczne bzdety.

– To dobrze się składa. Przez kilka lat byłem wykładowcą na Uniwersytecie Łódzkim.

– Poważnie?

– Inaczej bym cię nie poznał. – Możejko uśmiechnął się do chłopaka. – Mogę zapewnić twoim kumplom dostęp do niektórych testów. Albo pisać za nich prace: semestralne, licencjackie, magisterskie czy jakie tam będą potrzebne. Jeśli chcesz, obaj możemy na tym zarobić.

Samuraj włożył jointa między zęby, ściągnął gumkę z włosów i ponownie je zawiązał.

– Brzmi kusząco – powiedział niewyraźnie, zanim wyciągnął blanta z ust. – Może za jakiś czas w to wejść. Ale najpierw chciałbym wyjaśnić dwie inne sprawy. – Wycelował palcem w biurko, na którym oprócz laptopa leżały nieużywana podkładka pod mysz, kilka długopisów, karta debetowa i zwinięty w rulon banknot. A także tysiące drobin białego proszku, którego zdecydowana większość wylądowała w krwiobiegu Mozejki. – Nie jestem dilerem.

– Wiem.

– Pomogłem ci tylko dlatego, że wyglądałeś na gościa w potrzebie, a ja akurat miałem łatwe dojście.

– Rozumiem.

– Nie prosz mnie więcej o wachanie. Jeśli będziesz chciał zajarać, zawsze możesz zapukać do mojego pokoju. Z reguły mam coś przy sobie, chętnie się podzielę. Ale twarde rzeczy mnie nie kręcą. I prawdę mówiąc, wolałbym, żeby nie było ich w moim mieszkaniu.

Samuraj prawdopodobnie liczył na to, że Możejko złoży mu jakieś oficjalne zapewnienie, ale ten tylko niewyraźnie pokiwał głową. Wolał nie składać żadnych deklaracji.

– A ta druga sprawa?

– Zuza.

– Co z nią?

– Urwę ci łeb, jeśli się dowiem, że ją ruchasz.

Możejko długo wpatrywał się w Samuraja. Długowłosemu chudzielcowi ewidentnie nie było do twarzy z groźbami.

– Jesteście ze sobą miesiąc i już zakładasz, że może cię zdradzić?

– Nie zakładam. Ale wolę dmuchać na zimne.

– Jeśli będzie chciała cię zdradzić, zrobi to. Nie będę musiał jej w tym pomagać.

– Po prostu nie chcę, żebyś się z nią ruchał, dobra?

Możejkę pokiwał głową. Niewyraźnie. Niepewnie. W tej kwestii też wolał niczego nie obiecywać.

Nauczył się nie przywiązywać do rzeczy, miejsc czy ludzi. Nie rozpamiętywać. Nie żałować. Nie cierpieć z powodu zdarzeń, na które nie miał całkowitego wpływu.

Nie myślał o domu. O korzeniach. O dzieciństwie. Nie analizował swojej historii. Nie zastanawiał się, z jakiego powodu tak często zmieniał miejsce zamieszkania. Dlaczego dzieci traktowały go jak odludka. Kto pierwszy stwierdził, że różni się od rówieśników. Nie roztrząsał tych wszystkich przykrych zdarzeń, które co jakiś czas nawiedzały jego wyobraźnię. Niczym mikrotraumy pragnące za wszelką cenę odznaczyć swoją obecność na przepastnej czarnej plamie.

Nie myślał o rodzicach. Tych pierwszych nie zdążył poznać. Drugich zdążył znienawidzić. Była to dziwna para istot, które do siebie charakterologicznie nie pasowały. Właściwie nie miały ze sobą nic wspólnego. Różniły się pod każdym rzucającym się w oczy względem. A mimo to postanowiły wieść wspólne życie. Do czasu. Do momentu, w którym jedno z nich zachorowało, a drugie nie potrafiło się z tym pogodzić. A przez to uciekło w otępienie. W destrukcję. W wódkę. Urządziło piekło sobie oraz dziecku, które tych dwoje dziwaków z jakiegoś irracjonalnego powodu postanowiło adoptować.

Nie myślał o młodości. Nie analizował, czy podejmował wtedy słuszne decyzje. Czy droga, którą obrał, była optymalna. Czy mógł coś zrobić lepiej. Mądrzej. Sprytniej. Nie miało to zresztą większego znaczenia. Od tych decyzji zależało jedynie jego równoległe życie. Prowadzone na pokaz. Z potrzeb finansowych i wizerunkowych. A także po to, żeby ludzie, których spotykał,

mieli jakiś punkt odniesienia. Żeby mogli identyfikować go nie tylko z wielkim, pokracznym ciałem. Tożsamość była dla niego wyłącznie narzędziem. Jak dla szpiega, który ma do wykonania konkretne zadanie. On też je miał. To było coś, do czego został namaszczony. Co potrafił robić najlepiej na świecie.

Było już grubo po północy, kiedy stanął na środku podwórka. Rozejrzał się. Popatrzył na otaczające go budynki. Na domy, z których dochodziły najróżniejsze odgłosy. Telewizora. Pochrapywań. Kaszlu. Kłótni. Ruchania.

Ludzkie zoo, pomyślał. Otoczone drewnem i betonem. Wmurowane w środek świata, który nie był przeznaczony dla człekopodobnych stworów kierujących się partykularnymi interesami. Nietroszczącymi się o dobro zbiorowości. Nieprzejmującymi się gangreną toczącą miasta i wsie. Nielgnącymi do Boga.

Uklęknął. Wykonał w powietrzu znak krzyża. Zaczął się modlić.

Myślał o Bogu.

Myślał o tym, co musi zrobić.

Myślał o niej. O kolejnej, którą spotka. Tej ostatniej.

Uśmiechnął się. Dawno nie był tak szczęśliwy.

Chciałeś się ze mną widzieć.

Bartosz Adamski potrzebował kilku sekund, żeby przetrwać słowa Witolda Ptaka. Ze zdziwioną miną gapił się na barczystego policjanta. Jak facet z zaawansowanym alzheimerem, któremu choroba właśnie wyryła kolejną lukę w mózgu. W końcu odsunął się od komputera, przetarł zmęczone oczy i pokiwał głową.

– Zwalniasz mnie? – spytał Witold.

Adamski spojrział na niego. Znów z tą samą miną. Znów nie robiąc najlepszego wrażenia.

– A powinienem?

– Przez telefon brzmiałeś tak, jakbyś miał do przekazania złą nowinę.

Naczelnik potrząsnął głową. Wskazał dłonią krzesło stojące przed jego biurkiem.

– Nie zwalniam cię. Jeszcze nie.

Witold usiadł i rozejrzał się po gabinecie. Adamski potrzebował ledwie paru tygodni, żeby zagrabić go sto razy bardziej niż Mariusz Szczebiot, który przez kilkanaście miesięcy piastował stanowisko naczelnika Wydziału Kryminalnego. Zupełnie jakby Adamski wziął sobie za cel, by jak najbardziej różnić się od poprzednika. By na jego naturalną ślamazarność odpowiedzieć dynamiką, energią i łatwością podejmowania decyzji. By strach, zachowawczość i nerwicę

natręctw Szczebiota skontrolować irytującą pewnością siebie. By jego sztywniactwo i formalizm zastąpić luzem i zdroworozsądkowym podejściem.

Taka zmiana nawet odpowiadała Witoldowi. Co nie oznacza, że polubił nowego szefa. Ani że kiedykolwiek mogłoby to nastąpić.

– Chciałem z tobą pogadać sam na sam – oznajmił Adamski.

– O czym?

Naczelnik wychylił się do przodu. Sięgnął po leżącą na blacie paczkę gum. Wrzucił orbitkę do ust i ponownie osunął się na oparcie.

– O Adamie Wardze. Udało ci się dowiedzieć czegoś nowego?

Witold pokręcił głową.

– Prawdę mówiąc, nie miałem na to czasu. Całą energię włożyłem w poszukiwania Kostki.

– I w ratowanie małżeństwa. – Adamski uśmiechnął się chytrze. – Nie myśl sobie, że jestem wścibski. Po prostu interesuję się swoimi pracownikami. Chcę wiedzieć, co się dzieje w ich życiu prywatnym i czy może to rzutować na pracę. To także jeden z powodów, dla których nie trulem ci dupy bardziej, niż wymagała tego sytuacja. Ale zdaje się, że już po ptokach, co?

Witold bezwiednie zacisnął pięści. Miał ochotę przeskoczyć przez biurko i zetrzeć Adamskiemu z gęby tę kretyńską minę. Zmiażdżyć jego energicznie pracującą zuchwę. Ale po chwili zrozumiał, że w zasadzie nie ma podstaw, żeby się na niego złościć. Że raczej powinien być mu do pewnego stopnia wdzięczny.

– A jeśli chodzi o Wargę, udało mi się częściowo cię wyręczyć.

Naczelnik otworzył górną szufladę i zaczął się przekopywać przez stertę nieopisanych dokumentów. Potrzebował mniej więcej minuty, żeby znaleźć to, czego szukał. Wyjął kartkę formatu A4 i położył ją na blacie.

– Co to jest? – spytał Witold.

– Portret pamięciowy. Sporządził go rysownik na podstawie opisu sąsiadki Henryki Świst. Przypomniała sobie, że dzień przed znalezieniem zwłok kręcił się na klatce jakiś podejrzany typ. Być może zabójca. Albo ktoś, kto ma z nim coś wspólnego. – Przesunął kartkę na drugą stronę biurka. – Przypomina ci kogoś?

Witold wpatrywał się w rysunek, jakby nie mógł uwierzyć w to, co widzi.

– To Warga – stwierdził. – Chyba że wszystkie tłuściochy w tym mieście wyglądają tak samo.

– Świst zginęła dlatego, że wiedziała zbyt dużo. Prawdopodobnie знаła tożsamość Kostki, kiedy my nie mieliśmy jeszcze o nim pojęcia. W każdym razie do tej pory podejrzewaliśmy, że to on ją zabił. Teraz jednak doszedł nam kolejny podejrzany. Może nawet więcej niż jeden. – Gęba Adamskiego ponownie się wykrzywiła w złośliwym uśmiechu. – W szufladzie mam jeszcze dwa takie rysunki. Chciałbyś je zobaczyć?

Witold pokręcił głową. Nie chciał. Nie musiał. Dobrze wiedział, kogo na nich zobaczy.

Henryka Świst przez kilka miesięcy pomagała Sewerynowi Kostce. Dostarczała zakupy do mieszkania, w którym zabójca z jakiegoś powodu przetrzymywał grupę uchodźców z Ukrainy i Białorusi. Możliwe, że wykorzystywał niedomagającą intelektualnie, ale wciąż sprawną fizycznie staruszkę do czegoś więcej. Witold Ptak i Tomek Kawęcki dowiedzieli się o Świst, gdy odnaleźli uchodźców. Ale kiedy dotarli do jej mieszkania, było już za późno. Ktoś udusił staruszkę, a następnie stworzył w mieszkaniu tropikalne warunki, żeby przyspieszyć rozkład zwłok. Zapewne po to, aby jeszcze bardziej zagmatwać śledztwo. A przynajmniej było to jedyne logiczne wytłumaczenie, jakie policjantom udało się wykombinować.

Kawęcki i Ptak uciekli z mieszkania staruszki z nadzieją, że nikt się nie dowie o ich bezprawnym wtargnięciu. Że zakręcona i niedowidząca sąsiadka Henryki Świst, która pomogła im się dostać do lokalu, nie będzie w stanie ich rozpoznać.

Nie po raz pierwszy okazali się dziecięco naiwni.

– Długo się zastanawiałem, co zrobić z tą wiedzą – powiedział Adamski, celując palcem w rysunek. – Czy nie powinienem was tym pograć? Pozbyć się raz na zawsze. Ale Kawęcki usunął się sam, a ty w końcu zaczęłaś się zachowywać racjonalnie. Jakbyś się uwolnił spod wpływu tego świra. – Rozłożył ręce. – Przede wszystkim jednak doszedłem do wniosku, że na twoim

miejscu postąpiłbym podobnie. Też miałbym w dupie przepisy, gdybym wiedział, że w jakimś mieszkaniu mogę znaleźć trupa. Tyle że po wszystkim przyznałbym się do tego swojemu szefowi.

Witold pokiwał głową.

– Masz rację. Przepraszam.

– Nie oczekuję od ciebie przeprosin, tylko wyjaśnienia, co Warga robił w mieszkaniu Świst.

Witold długo się nad tym zastanawiał.

– Sprzątał po swoim koledze – powiedział w końcu. – Kostka zorganizował tę hucpę kilka dni wcześniej. Pewnie chciał to zrobić sam, ale kiedy się dowiedział, że znaleźliśmy uchodźców, wolał nie ryzykować wizyty w mieszkaniu staruszki. Dlatego do pozgarniania grzejników, farelek i innych urządzeń, które wykorzystał do podgrzania ciała Świst, wysłał tam Wargę. Zrobił z prokuratora swojego sługusa. Faceta od brudnej roboty.

Słuchając Witolda, Adamski kiwał głową. Szukał luk w jego rozumowaniu, ale żadnej nie znalazł.

– Czyli jesteś pewny, że to on kryje zabójcę?

– Absolutnie pewny.

– A masz na to jakiś dowód?

– Niestety, nie.

Witold przez moment gapił się na biurko. Na rysunkową podobiznę Wargi. Nawet na niej jest odpychający, pomyślał.

– Ale ty możesz go mieć. – Przeniósł wzrok na naczelnika. – Kilka tygodni temu powiedziałaś, że Warga zataił informację o wizycie Magdy u Kostki. Udało ci się to potwierdzić?

Adamski ciężko westchnął. Wiadomość o tym, że Magda Giętka na kilka dni przed śmiercią odwiedziła Seweryna Kostkę w jego mieszkaniu, nigdy nie dotarła do Witolda, Kawęckiego ani pozostałych policjantów z Wydziału Kryminalnego. Sprawą zabójstwa policjantki od początku zajmował się ówczesny zespół Adamskiego. I od początku miał się dzielić z kryminalnymi

wszelkimi informacjami na temat śledztwa. Wiadomość o wizycie Magdy u Kostki mogłaby zakończyć tę sprawę wiele miesięcy temu, zniknęła jednak z oficjalnej dokumentacji. Dziwnym trafem łącznikiem między zespołem Adamskiego a kryminalnymi był prokurator Warga. To on otrzymywał raporty od Adamskiego i przesyłał je dalej. Pełnił rolę filtra. A także – jak się okazało – cenzora.

– Z tego też nie zrobimy dowodu – powiedział naczelnik.

– Jak to?

– Informatycy przeanalizowali obieg dokumentów. Informacja zniknęła z raportu, zanim ten trafił do Wargi. Ktoś inny musiał usunąć wzmiankę o spotkaniu Magdy z Kostką.

– Kto?

– Ja. – Adamski spojrzał Witoldowi głęboko w oczy. – Wygląda to tak, jakbym to ja się jej pozbył. Warga lub ktoś, kto mu pomaga, musiał grzebać w moim komputerze. – Pokręcił głową. – Ten pieprzony grubas jest znacznie sprytniejszy, niż nam się zdawało.

Witold przytaknął.

– I groźniejszy. Jest też znacznie groźniejszy, niż sądziliśmy.

Adamski poprawił nienagannie ułożoną grzywkę. Wpatrując się w Witolda, intensywnie żuł gumę. Jakby to robił na czas.

– Podejrzewamy wysoko postawionego urzędnika. To dobry moment, żeby podjąć decyzję, czy jesteśmy gotowi zaryzykować kariery i rzucić mu się do gardła. I czy stać nas na to, żeby sobie bezgranicznie zaufać. Nie jak policjanci. Jak dwaj faceci z dużymi jajami, którzy chcą zrobić coś pożytecznego. Nawet jeśli mogą za to dostać po dupie. – Ponownie poruszył grzywkę. – Więc jak? Wchodzisz w to?

Witold westchnął ciężko.

– Wbrew temu, co powiedziałaś, nie czuję, żebym miał wybór. Ale przydałoby się nam wsparcie.

– Masz kogoś konkretnego na myśli?

Witold nerwowo poruszył się na krześle.

– Niestety, tak.

Artur Waliszewski zaciągnął się elektronicznym papierosem i wypuścił dym nad głowę. Spojrzał przed siebie. Na kobietę, która siedziała po drugiej stronie kwadratowego stolika, patrząc to na niego, to na parujący kubek. Uśmiechnął się do niej, choć miał świadomość, że nie odwzajemni uśmiechu. Wiedział, że nim gardzi. Że czuje do niego odrazę. Jawną, namacalną, nieskrywaną. W dodatku z tendencją rosnącą.

Anna Stelmach dała to odczuć Arturowi, kiedy poprzednio się widzieli – w ciasnym, ponurym pokoju przesłuchań, w którym razem z jakimś nieudacznikiem w okularach wypytywała go o Tomka Kawęckiego. O funkcjonowanie Wydziału Kryminalnego. O niego. Nawet o jego rodzinę. Ta wysoka, nieco sztywna blondynka, starająca się ukryć urodę pod nudnym urzędowym strojem, chciała wiedzieć o nim wszystko. Poznać jego zwyczaje. Odkryć motywacje. A przede wszystkim zrozumieć, dlaczego, do cholery, jest takim dupkiem.

– Moja żona byłaby zazdrosna – powiedział Artur. – O panią.

– Dlaczego?

– Sądzi, że ciężko pracuję, próbując złapać grasującego po mieście psychopatę. Byłoby jej przykro, gdyby się dowiedziała, że wyskoczyłem na kawę z laską ze stolicy.

– Żona musi darzyć pana bardzo ograniczonym zaufaniem.

Artur rozciągnął gębę w uśmiechu, a następnie parokrotnie zaciągnął się e-papierosem. Odłożył go na stół i poprawił rękawy czarnej koszulki, tak aby idealnie opinały jego ramiona i podkreślały muskulaturę.

– Myślałem, że pani problem rozwiązał się sam. W momencie, w którym Kawęcki wymiksował się z policji.

– On niewątpliwie na to liczy. Ale ani ja, ani moja szefowa nie uważamy, żeby to załatwiało sprawę. Nie można rozgrzeszyć gangstera tylko dlatego, że

przeszedł na emeryturę.

– Gangstera – powtórzył Artur, jak gdyby sprawdzał, czy jest w stanie wymówić to słowo. – Rzuca pani poważne oskarżenia. Zwłaszcza że nie ma na to żadnych dowodów.

– Wróciłam do Łodzi, żeby je zdobyć. I chciałabym, żeby pan mi w tym pomógł.

Artur zaśmiał się nerwowo.

– Jak pani to sobie wyobraża?

– Szukam kogoś, kto dobrze zna Łódź i lokalną policję. Kto wie, w których burdelach pracują nieletnie panny, kto handluje dragami i kim są gangsterzy, którzy kręcą całym tym bajzłem. Pan pracował w obyczajówce, a teraz robi w kryminalnym. Poznał najgorsze strony tego miasta. Mógłby pan zostać moim przewodnikiem.

– Czyli kim?

– Potrzebuję czujnych uszu w komendzie.

Artur pokręcił głową.

– Nigdy nie byłem dobry w podpierdalaniu kolegów.

– Tu nie chodzi o podpierdalanie, tylko o dostarczanie podstawowych informacji. – Stelmach głośno westchnęła. – Spędziłam w tym cholernym mieście kilka miesięcy i wciąż niewiele z tego rozumiem. Żeby się ponownie nie pogubić, potrzebuję tłumacza. Z łódzkiego na polski.

Artur, wyraźnie rozweselony, pochylił się w stronę Stelmach.

– A więc przyznaje pani, że wasze śledztwo w sprawie Kawęckiego było kompletną klapą?

– Jeśli to w czymś panu pomoże, to tak. Przyznaję.

Policjant sięgnął po kawę. Opróżnił kubek kilkoma szybkimi łykami. Odstawił naczynie na stolik i zaczął je obracać wokół własnej osi. Bawił się nim jak niedziałającym bączkiem.

– Co będę z tego miał? – spytał.

– Tak się składa, że żona kolegi, który ma wobec mnie spory dług wdzięczności, jest naczelnikiem łódzkiego Wydziału do Walki z Przestępczością Gospodarczą. Dowiedziałam się, że za jakiś czas będzie potrzebowała nowego zastępcy, bo obecny wybiera się na emeryturę. Przydałby się jej ktoś młody, kto zna policyjne środowisko, ma kontakty i wiedzę ekonomiczną. Na przykład policjant, który interesuje się finansami i po godzinach gra na giełdzie.

Artur potrząsnął głową.

– Jestem za cienki w uszach. Mam za mały staż i zbyt niski stopień.

– Ale wkrótce obrośnie pan w piórka. Wtedy uruchomię maszynę lobbingową. Oczywiście nie mogę niczego obiecać, ale jestem w stanie sprawić, że zostanie pan pierwszym kandydatem na to stanowisko.

Artur przez dłuższą chwilę zastanawiał się nad propozycją Stelmach. Jednocześnie gapił się na nią tak, jakby chciał ją zgwałcić na odległość.

– Możemy przejść na ty? – zapytał.

– Jeśli musimy.

– Dlaczego wybrałaś akurat mnie?

Dobre pytanie, pomyślała Stelmach. Na pewno nie zrobiła tego ze względu na jego osobowość. Uważała Artura za seksistowskiego dupka, mizoginistę i chama, obdarzonego irytującym przekonaniem o swojej zajebistości. Za materialistę marzącego o bananowym życiu. Egocentrycznego lalusia, który darzy uwielbieniem siebie i swoje ciało. Uosabiał wszystko to, czego nienawidziła w mężczyznach. Najchętniej nie miałyby z nim nic wspólnego. Ale czuła, że w tym policyjnym domu wariatów tylko do niego może się zwrócić o pomoc.

– Jesteś inny niż twoi koledzy – powiedziała.

– Bardziej chciwy?

– Racjonalny. Podejmujesz decyzje, które są najlepsze dla ciebie. Nawet jeżeli twoi bliscy przez to cierpią. – Spodziewała się, że może go zranić taką oceną. Ale nie dostrzegła na jego twarzy żadnej oznaki gniewu. – Poza tym nie znosisz Kawęckiego. Podobnie jak ja.

– Akurat pod tym względem nie jesteśmy wyjątkowi.

Artur wyciągnął rękę przez stół. Po kilku sekundach Stelmach pochyliła się do przodu, żeby ucisnąć jego dłoń. Zamierzała natychmiast cofnąć ramię i jeszcze szybciej zapomnieć, że miała kontakt z jego ciałem, ale Artur miał inny plan. Przytrzymał jej dłoń. Obejrzał ją jak towar na straganie. Zarejestrował, że nie ma na niej żadnych błyskotek. Żadnych pierścionków. Żadnej obrączki.

– Mam jeszcze jeden warunek – powiedział.

– Jaki?

W końcu puścił jej dłoń i opadł na oparcie.

– Umówisz się ze mną.

Stelmach powitała jego propozycję parsknięciem.

– Mówię serio – nie ustępował. – Chciałbym, żebyś wyszła ze mną na miasto. Wypiła kilka shotów. Pogadała. W najbliższy weekend robię małą policyjną imprezę na Piotrkowskiej, więc będzie dobra okazja. Specjalnie dla ciebie zaproszę na nią wyłącznie ludzi spoza kryminalnego.

– Po co?

– Żebyś nie czuła się niekomfortowo i mogła robić swoje.

– Po co miałabym z tobą wyjść?

Artur wzruszył ramionami.

– Aby mnie lepiej poznać. Wówczas zmienisz o mnie zdanie.

Stelmach długo analizowała tę propozycję, dostrzegając dziesiątki argumentów przeciwko wyjściu z Arturem i tylko jeden za. Jego ofertę uznała wręcz za bardziej amoralną niż kumoterstwo i nepotyzm. Problem w tym, że miała dramatycznie ograniczone pole manewru.

– Zgoda – powiedziała. – Ale nie może się tam pojawić nikt, kto mógłby pokrzyżować moje śledztwo.

– Bez obaw. Zadbam o to.

– Poza tym wyjście na drinka nie oznacza, że dam ci dupy.

– Wiem. Nawet bym tego nie chciał. A przynajmniej nie w ten sposób. – Posłał jej zawadiacki uśmiech. – Chcę cię zdobyć. Sprawić, byś z własnej woli

wskoczyła na mojego fiuta.

Stelmach pokręciła głową.

– Twoje szanse właśnie drastycznie zmaląły.

Artur nie przestawał się uśmiechać.

– I tak warto było się dowiedzieć, że są większe niż zero.

Komendant Janusz Dębiec poprawił komin polarowy, którym osłaniał szyję przed wiatrem, i nieznacznie przesunął beret. Uniósł głowę, by spojrzeć przed siebie. Od podłużnego i prostego greena dzieliło go mniej więcej dwadzieścia metrów prowadzących przez wąski fairway, z obu stron porośnięty wysoką trawą. Musiał być precyzyjny, ponieważ tuż za chorągiewką zaczynał się szeroki, wyjątkowo uciążliwy bunkier, z którego już nieraz musiał wychodzić.

Okolo trzydziestu metrów do dołka, ocenił Dębiec. Postanowił chipować. Posłać piłkę nisko nad fairwayem, wylądować na samym początku greena i potoczyć ją pod chorągiewkę. *Chip and run*. Sprytny wariant, który musiał wykonać za pomocą wedge'a. Mniej energochłonny od wysokiego loba ironsem. I znacznie bezpieczniejszy. A bezpieczeństwo było tym, na czym szczególnie mu zależało. Nie tylko w golfie.

Pierwszy raz zetknął się z tym sportem w Stanach Zjednoczonych. Spędził tam rok, zaraz po upadku komuny. Załapał się na organizowany przez FBI kurs wykrywania przestępstw finansowych w sektorze prywatnym. Niewiele z niego wyniósł. Ale zdołał przez ten rok przesiąknąć amerykańską mentalnością. Nauczył się emanować luzem i beztróską. Posiadł łatwość czerpania frajdy z życia. Nabral pseudopozytywnej manieri powtarzania, że wszystko jest w porządku, nawet jeśli świat uporczywie wysyła sygnały, że to nieprawda.

Według Dębca wywodzący się ze Szkocji golf jest na wskroś amerykański. Dla niego to wisienka na torcie zachodniego świata. Najlepsze świadectwo przynależności do elity: finansowej, kulturowej, intelektualnej. Do klubu zwycięzców. Uwielbiał te wymyślne nazwy zagrań, kijów czy elementów pola, których nikt nie próbował tłumaczyć na polski. Tę łątkę wysublimowania

przypiętą do sportu, z powodzeniem uprawianego nawet przez starców. To wspaniałe uczucie, które towarzyszy golfiście, gdy po udanym zagranu zmierza do kolejnego dołka. Czując się jak król życia. Jak mistrz. *Like a fucking boss.*

Wykonał kilka przymiarek do uderzenia, przeszywając kijem powietrze. Przybliżył się do piłki, stając tak, aby znajdowała się centralnie przed nim. Zablokował ręce w nadgarstkach, które nieznacznie wypuścił do przodu. Otworzył biodra do celu i wziął krótki zamach. Uderzył. Po płaskim ponaddwudziestometrowym locie piłka uderzyła w początek greena i potoczyła się w stronę chorągiewki. Dębiec śledził ją wzrokiem, aż zatrzymała się mniej więcej pięć metrów przed celem. Nie za blisko, nie za daleko. Bezpiecznie. Dokładnie tak, jak chciał.

– Powinieneś tego spróbować – odezwał się.

– Golfa?

– Sportu. Może być też tenis albo squash. – Opuścił głowę, zawieszając wzrok na masywnym bebechu Adama Wargi. – Ale radziłbym ci zacząć od golfa.

Prokurator był fizycznym przeciwieństwem komendanta. Wyglądał, jakby pożarł brata bliźniaka, i ewidentnie brakowało mu luzu. Nawet na polu golfowym nie rozstawał się z wypchaną aktówką bujającą się na wysokości kolan. Na jego wymiętej koszuli, która wyłaniała się spomiędzy klap marynarki, widniały okrągłe plamy potu. W dodatku zdawały się rozszerzać z każdą sekundą. Jak ekspresowo rozprzestrzeniający się wirus.

– To już ostatnie golfowe podrygi w tym roku – oznajmił Dębiec, pakując wedge'a do torby. – Jesienią zwykle przenoszę się do hali i ćwiczę uderzenia. Szlifuję technikę. Chętnie udzielę ci kilku rad.

– Nie przyszedłem tutaj, żebyś namawiał mnie na golfa.

Dębiec zarzucił torbę na ramię i spojrzał na Wargę. Prokurator był zziębnięty. Doczłapanie do piątego dołka sporo go kosztowało. Dębiec bał się, że wykituje, zanim dojdą do greena.

– Czytasz czasem komentarze pod tekstami na temat naszych śledztw? – zapytał grubas, ledwo nadążając za komendantem.

– Staram się tego nie robić.

– A powinieneś. Wówczas byś wiedział, że nie jest dobrze. Ludzie zaczęli operować nazwiskami. Domagają się głów.

– Czyich?

– Najczęściej twojej albo szefa Prokuratury Okręgowej. Czasem mojej. Dziennikarze skutecznie podsycają gniew łodzian, którzy w dobie internetu jeszcze nie mieli do czynienia ze sprawą tego kalibru. – Warga zamilkł, żeby wyrównać oddech. Bez powodzenia. – Na razie nie dostrzegają związku pomiędzy sprawą Kostki a paroma innymi przykrymi zdarzeniami z ostatnich tygodni, ale to pewnie tylko kwestia czasu. Trzeba im dać pożywkę. A najlepiej sprawcę.

– Kostka na razie nam się wymyka.

– Nie mówię o nim.

Komendant przystanął przed piłką i spojrzał na Wargę. Zlustrował prokuratora od stóp do głów. Uśmiechnął się, jakby oglądanie tego karakańskiego ciała sprawiało mu nieustanną frajdę. Znali się od lat. Wiele razem przeszli. Sporo osiągnęli. A mimo to Dębiec wciąż nie mógł uwierzyć, że stworzył duet z tym żalonym człowieczkiem. Z tą poczwarką wetkniętą w garnitur. Ze studwudziestokilogramowym ścierwem.

Wyciągnął z torby putter, kij z charakterystyczną wąską główką. Ustawił się przy samej piłce. Wycelował. Wykonał niewielki zamach. Uderzył. Trafił. To mój dobry dzień, pomyślał.

Spakował kij do torby. Ruszyli wzdłuż przeszkody wodnej w kierunku kolejnego dołka.

– Kto wpadł na pomysł z wydaniem sprawcy? – zapytał komendant. – Ty czy Zbigniew?

– A ma to jakieś znaczenie?

– Pytam wyłącznie z ciekawości.

– Ja zlokalizowałem problem. On znalazł rozwiązanie.

Dębiec pokiwał głową.

– Tak myślałem.

– Co to ma znaczyć?

– Jesteś analitykiem. Dłubaczem, który jest w stanie zlokalizować gnijący element w pozornie perfekcyjnej konstrukcji. Natomiast Zbigniew jest wizjonerem. Facetem potrafiącym znaleźć wyjście nawet z najbardziej gównianej sytuacji. W dodatku nie boi się ubrudzić rąk.

– Mówisz, jakbyś go poznał.

– Bo znam. Tyle że nikt nas sobie nie przedstawił. I oby tak pozostało.

Zatrzymali się przed szóstym dołkiem. Dębiec wbił w trawę tee i ustawił na nim piłkę. Sięgnął po drivera, najdłuższy i najlżejszy kij, który jednocześnie umożliwiał najdalsze uderzenia. Poszukał wzrokiem chorągiewki. Sto dwadzieścia metrów. Agresywny gracz próbowałby w pierwszym uderzeniu wylądować w okolicach dołka, na samym początku maleńkiego greena. Zachowawczy i roztropny – taki jak Dębiec – skupiłby się na tym, żeby bezpiecznie przerzucić piłkę nad wodą.

– Rozmawiałeś z Adamskim? – zapytał Wargę.

Przymierzając się do uderzenia, Dębiec pokiwał głową.

– Wyglądał na zmartwionego. Przez jakiś czas pewnie będzie go to gryzło, ale potem znów zacznie robić swoje.

– Myślisz, że jest niereformowalny?

– Nie wiem. Na pewno jest uparty i butny. Bardziej niż jego ojciec.

– Powinniśmy się nim martwić?

– Dopóki ugania się za Kostką, nie stanowi dla nas problemu.

Dębiec zamachnął się i uderzył. Piłka poleciała wysoko nad wodą i zatrzymała się na końcu greena, mniej więcej dwadzieścia metrów od chorągiewki. Bezpiecznie. Pewnie. Zgodnie z planem.

Uśmiechnął się do Wargi, a ten po chwili odpowiedział mu tym samym. Przypominało to zetknięcie dwóch równoległych, zupełnie niepodobnych do

siebie światów. A jednak równie obrzydliwych.

– Co to, kurwa, jest?

Witold Ptak wycelował palcem w podłogę. A właściwie w czarną obślinioną kulkę, która wpatrywała się w niego maślanym wzrokiem.

– Pies – odparł Tomek Kawęcki.

– Co ty nie powiesz.

– Buldog francuski.

– Jak się wabi?

– Frenchie.

– Nazwałeś buldoga francuskiego Frenchie?

Kawęcki zapalił papierosa. Popatrzył na psa, który przeskakiwał wzrokiem z jednego mężczyzny na drugiego. Jakby nie mógł się zdecydować, któremu bardziej pragnie wylizać twarz.

– A jak miałem go nazwać, Adolf?

– Sądziłem, że stać cię na coś bardziej kreatywnego. Skąd go masz?

– Dostałem od pewnego lekarza.

– Jako prezent?

– Wyświadczyłem temu człowiekowi przysługę. Chcesz wejść?

Kawęcki odsunął się od drzwi. Witold niepewnie zerknął w głąb mieszkania, jak gdyby spodziewał się w nim ujrzeć zgraję nagich ludzi. Ciężko wypuścił powietrze. Po chwili zastanowienia wszedł do środka.

Było już za późno, żeby zawrócić.

Potrzebował kilku sekund, żeby przywyknąć do gryzącego smrodu papierosów, którym przesiąkło mieszkanie Kawęckiego. Przeszedł przez obity boazerią przedpokój, odpychając psa, który próbował się na niego wspiąć, i wszedł do salonu. Pomieszczenie wyglądało inaczej, niż je zapamiętał. Dziesiątki kartek, zdjęć i rysunków, z których Kawęcki kilka miesięcy wcześniej uformował dziwną mapę myśli, mającą pomóc mu w śledztwie, teraz leżały w rogu pokoju na stercie papierów. Salon był pusty, jeśli nie liczyć drewnianego

krzesła oraz biurka, na którym stały laptop i trzy opróżnione puszki po piwie. Mieszkanie wyglądało tak, jakby Kawęcki przygotowywał się do remontu. Albo wyprowadzki.

- Posprzątałeś tu – zauważył Witold.
- Próbuję stanąć na nogi.
- Słyszałem, że zacząłeś nową pracę. Jako ochroniarz.
- Nie miałem wyboru. Musiałem znaleźć jakieś źródło utrzymania.
- Szybko ci poszło. Ile czasu minęło od twojego odejścia? Trzy tygodnie?
- Znajomy mnie wkręcił.
- Znajomy? – zdziwił się Witold. – Nie wiedziałem, że masz znajomych.
- Ja też nie.

Kawęcki podszedł do biurka i zgasił papierosa w puszcze po piwie, którą przerobił na popielniczkę. Wskazał brodą laptopa.

– Czytałem o poszukiwaniach Kostki. Nie wygląda to dobrze. Słowa Adamskiego pachną desperacją.

– Nie mamy pojęcia, gdzie on jest ani jak go szukać – przyznał Witold. – Znaleźliśmy samochód oraz garaż, który prawdopodobnie był dla Kostki czymś w rodzaju sanktuarium. Prześledziliśmy jego karierę. Porozmawialiśmy z kilkudziesięcioma osobami z jego otoczenia. Nawet, kurwa, z kioskarzem, u którego codziennie zaopatrywał się w gazety. I kompletnie nic z tego nie wyniknęło.

Kawęcki przed dłuższą chwilę wpatrywał się w Witolda, spodziewając się dalszego ciągu utyskiwania. W końcu sięgnął po kolejnego papierosa. Zapalił i podszedł do okna. Wyjrzał na kremowe bloki Radogoszcza, z których wyłaniali się pędzący do pracy ludzie.

– Wiesz, że on uderzy ponownie? – zapytał, odwracając się do Witolda. – I zrobi to wkrótce. Ma świadomość, że czas ucieka.

Witold niechętnie skinął głową. Długo odsuwał od siebie tę myśl. Czarny scenariusz, w którym Kostka nie tylko zaszywa się w jakiejś norze, robiąc, co się

da, żeby nie zostać schwytanym, ale także planuje następny atak. Jeszcze jedno brutalne uderzenie.

– Złapiemy go – powiedział bez przekonania. – Tak samo jak Wargę. I każdego, kto pomagał tym zwyrodnialcom.

– Nie wątpię. Nasz wydział świetnie sobie radzi z eliminowaniem czarnych owiec ze swoich szeregów.

Patrząc na kwaśny uśmiech Tomka, Witold również zapalił.

Przypomniawszy sobie ich rozmowę sprzed paru tygodni. Kawęcki wyjaśnił mu wtedy, dlaczego odszedł z policji. Opowiedział o swojej współpracy z firmą ochroniarską Herkules, dynamicznie rosnącym łódzkim przedsiębiorstwem, które oparło swój biznes na trudnej do udowodnienia metodzie wymuszania haraczy. Wy tłumaczył, jak właściciel tej spółki Mariusz Ryter wmanewrował go we współudział w grupie przestępczej. Jak uczynił z niego swojego informatora i taran do niszczenia rywali. Jak wykorzystał jego błąd. Bolesną pomyłkę, za którą jeden z żołnierzy Rytera zapłacił życiem.

Kawęcki nie miał pojęcia, w jaki sposób Witold zareaguje na wieść, że w przyływie emocji zastrzelił nieuzbrojonego gangstera, a potem – już w pełni świadomie, na zimno, żeby chronić własną dupę – zgodził się pomagać jego sprytnemu mocodawcy. Właściwie miał nadzieję, że go aresztuje. Albo wystawi ludziom z Biura Spraw Wewnętrznych, którzy od miesięcy deptali mu po piętach. Zamiast tego Witold postanowił zerwać z nim kontakt. Odsunąć się od niego. Wyciąć go ze swojego życia.

Ale zdołał to zrobić tylko na kilka tygodni.

– Po co przyszedłeś?

Gapiąc się w podłogę, Witold masował pomarszczone czoło. Cokolwiek zamierzał powiedzieć, nie przychodziło mu to łatwo.

– Potrzebujemy twojej pomocy – oznajmił. – To ty pchałeś śledztwo naprzód. Widziałeś rzeczy, których inni nie zauważali albo nie chcieli dostrzec. – Spojrzał na Kawęckiego. – Bez ciebie trudno będzie nam dopaść Kostkę.

– Nie jestem już psem.

– Zawsze nim będziesz. Tyle że bez obroży.

Kawęcki zaśmiał się pod nosem.

– Chcesz mnie przekonać, żebym za darmo robił to, za co ty pobierasz pensję. I żebym jeszcze robił to lepiej.

– Bo wiem, że nie odpuścisz Kostce. Bez względu na to, ile będzie cię to kosztować i kto przy tym ucierpi.

Kawęcki spojrzał na Witolda, szukając na jego twarzy oznak złośliwości. Jadu ściekającego z warg. Obrzydzenia bijącego z oczu. Jakiegoś wstrętu deformującego gębę. Nic takiego jednak nie zobaczył. A to oznaczało, że Witold po prostu stwierdził fakt. W zawołany sposób oznajmił, że Kawęcki jest bezdusznym walcem, który rozjeżdża wszystkich na swojej drodze.

– Poza tym przyszedłem sprawdzić, jak się trzymasz.

Kawęcki wydmuchnął dym, rozkładając ręce.

– Jakoś.

– Masz jeszcze te bóle brzucha?

Kawęcki skrzywił się na ich wspomnienie. Smętnie pokiwał głową.

– Mimo to wyglądasz lepiej niż ostatnio.

– Od kilku dni nie piję wódki.

– I jak ci z tym?

– Nieswojo. Jakbym łąził w cudzym ciele.

Podszedł do biurka, żeby zgasić peta. Następnie schylił się i podniósł buldoga, który nieustannie kręcił mu się między nogami. Pies, merdając krótkim ogonem, zaczął go lizać po brodzie. Wydawał się irracjonalnie szczęśliwy w rękach zapijaczzonego ekspolicjanta.

– Skoro już tu jesteś, mam prośbę. – Kawęcki popatrzył na psa, jak gdyby nie mógł zrozumieć, co ta dziwna istota robi w jego mieszkaniu. – Byłoby miło, gdybyś od czasu do czasu mnie odwiedził. Albo chociaż zadzwonił.

– Po co?

– Kontrolnie. Żeby sprawdzić, czy żyję. – Posłał Witoldowi surowe spojrzenie. – Nie chciałbym, żeby Frenchie umarł z głodu, jeżeli niechący

wykituję.

– Niechcący?

– Trudno znaleźć wystarczająco dobry powód, żeby tak po prostu umrzeć.

Witold przekrzywił głowę i spojrzał na psa. A potem na jego osobliwego właściciela.

Niechcący powtórzył w myślach. Wolał nie wnikać, co to właściwie oznacza.

Karolina miała paskudną manierę. Za każdym razem, kiedy patrzyła na siostrę, przywdziewała cierpiętniczy uśmiech. Jej puciołowata buzia zamieniała się w agregator wszelkiego smutku. Przeistaczała się w jedno okrągłe, irytujące przypomnienie, że stało się coś złego. Paskudnego. Do tego stopnia niehumanicznego, że usta młodej kobiety nie potrafiły nieskrępowanie się rozciągnąć.

Patrząc na kolejny męczeński uśmiech siostry, Alicja Mioduszevska miała wrażenie, że spogląda na zakonnicę, która minęła się z powołaniem. Albo na zatroskanego ogra z jakiejś wiejskiej kreskówki. W każdym razie miała już dość jej spojrzenia. Dość tych wszystkich złęknionych spojrzeń, które rzucali jej rodzice, lekarze, pielęgniarki, a nawet policjanci. Dość tego cholernego szpitala, w którym spędziła ostatnie dwa tygodnie.

– Poradzę sobie – burknęła.

Karolina gapiła się na nią przez dobrych kilka sekund, jak gdyby nie mogła się pogodzić z jej samowolą, ale w końcu odsunęła się od łóżka. Alicja ostrożnie się podniosła. Zaczęła się ubierać. Najpierw włożyła luźne dresowe spodnie, potem białą koszulkę i na nią czarną bluzę z kapturem. Spakowała swoje rzeczy – kosmetyczkę, ręcznik, brudne ciuchy oraz tablet – do obszernej sportowej torby. Na koniec włożyła kurtkę. Kiedy wciskała rękę do rękawa, poczuła ból żeber. Mogła już normalnie oddychać, ale wciąż odczuwała skutki złamania. Zdarzało jej się o nim zapomnieć, ponieważ w całej symfonii urazów ten wybrzmiewał najciszej.

– Rodzice czekają na dole – odezwała się Karolina, zerkając na telefon.

– Po co?

- Chcą cię zabrać do domu.
- Przecież mówiłam, że sobie poradzę. Pojadę do siebie.
- Rodzice mówili, że tak będzie najlepiej. Że...
- A skąd oni, kurwa, wiedzą, co jest dla mnie najlepsze?

Czyżby ich też ktoś zgwałcił i pobił do nieprzytomności? Na nich też rzuciło się trzech stukilogramowych facetów? Wybili im zęby? Ruchali naprzemiennie, zaśmiewając się do rozpuku? Zeszczali się na twarz?

Te wszystkie pytania cisnęły się Alicji na usta, ale żadnego z nich nie zadała. Na szczęście.

– Przepraszam – powiedziała, poprawiając opatrunek na głowie. – Nie powinnam się na was wyżywać.

– Nie masz za co przepraszać. – Karolina posłała jej kolejne żalose spojrzenie. – Pozwól chociaż, żeby cię odwieźli. Jeśli nie ty, to przynajmniej oni poczują się dzięki temu lepiej.

Alicja przez kilka sekund stała w bezruchu. W końcu naciągnęła kaptur na głowę, ostrożnie założyła torbę na ramię i ruszyła za siostrą. Bezszelestnie przeszła przez korytarz, udając, że nie zauważa pacjentów, lekarzy i pielęgniarek, których widywała przez ostatnie dwa tygodnie. Mimo że chodzenie nadal sprawiało jej ból, musiała się stąd wydostać. Wrócić do domu i skonfrontować się z nową rzeczywistością. Musiała zweryfikować, czy będzie w stanie ją zdzierżyć.

– Zejdźmy schodami – powiedziała, kiedy Karolina zatrzymała się przed windą.

– Jesteś pewna?

Nie była. Ale też nie wyobrażała sobie, jak miałyby wytrzymać kilkanaście sekund w windzie, gdyby dosiadł się do nich ktoś trzeci. Lekarz, pielęgniarz, pacjent albo gość. Jakiś facet. Skurwiel z jajami i fiutem. Nie mogłyby znieść jego spojrzenia. Tego udawanego żalu, którym przykryłyby zwykłe wścibstwo i podejrzliwość. Tłącego się w jego przykrym mózdzku przypuszczenia, że zasłużyła na to, co ją spotkało.

Przeczytała zbyt wiele komentarzy pod swoimi artykułami, żeby pozwolić sobie na naiwność. Wiedziała, że osiągnie ją ostracyzm. Była pewna, że usłyszy to, co kobiety zwykle słyszą w takich sytuacjach. Że zapracowała na to. Zasłużyła. Doigrała się. Sprowokowała ich: ciałem, ubiorem, myślą, słowem. Tym, że istnieje. Że ośmieliła się wyleźć z domu. Nawet jeśli kiedyś uda jej się dojść do prawdy, będą mówić to samo. Że mogła nie pisać. Nie wsadzać nosa w nie swoje sprawy. Że zamiast marzyć o karierze, mogła znaleźć męża, siedzieć na dupie, rodzić bachory i lepić pierogi dla swojego pana i władcy.

Szła w dół po schodach, uważnie stawiając każdy krok. Starła się jak najmniej poruszać ciałem, żeby nie wprawiać bioder i głowy w drganie. Nie ze względu na ból, ale żeby nie budzić wspomnień. Nie prowokować sytuacji zmuszających mózg do reakcji. Do przetwarzania danych. A tym bardziej do snucia domysłów na temat przyszłości. Zdarzało się, że myślała o niej zupełnie trzeźwo, bez emocji, jak niezbyt nowoczesny robot, który z dziesiątków rozrzuconych w przestrzeni pomysłów próbował uformować jakiś plan działania. Ale przeważnie widziała tylko przepastną pustkę.

Podczas dwutygodniowego pobytu w szpitalu miała mnóstwo czasu na myślenie. O swoich powybijanych zębach, o dziecku, którego nie będzie mogła mieć, o być może bezpowrotnie utraconej kobiecości. Często się zastanawiała, czy to wszystko, co ją spotkało, nie jest tylko bardzo złożonym, realistycznym i ciągnącym się w nieskończoność koszmarem.

Ale najwięcej czasu poświęciła jemu. Facetowi z nożem. Temu, który się do niej nieustannie uśmiechał. Hersztowi tej pierdolonej bandy.

Nie wiedziała, czy kiedykolwiek się po tym otrząśnie. Podejrzewała, że już zawsze mężczyźni będą ją napawać lękiem i wstrętem. Nie wierzyła w możliwość osiągnięcia równowagi duchowej. Wątpiła, czy po czymś takim może jeszcze zostać zwyczajną pożeraczką szarych dni, wolną od traum bombardujących jej psychikę. Ale jednego była pewna: że dopóki ten skurwiel i jego mocodawcy nie odpowiedzą za to, co jej zrobili, dopóty będzie miała motywację, żeby żyć. Żeby ich ścigać. Żeby walczyć.

– Możesz mnie na chwilę zostawić? – spytała.

– Ale...

– Chciałabym pobyć sama. Chociaż przez chwilę. Proszę.

Karolina rzuciła jej wymowne spojrzenie. Tym razem nie męczeńskie. Tym razem mówiące, że przez kilka ostatnich lat Alicja robiła wszystko, żeby być sama. Silna, niezależna i uparta. I że nie skończyło się to dla niej dobrze.

– Poczekam w samochodzie – powiedziała.

Alicja odprowadziła ją wzrokiem, żeby zlokalizować auto rodziców. Odwróciła się do niego plecami. Drżącymi dłońmi wyciągnęła z kieszeni telefon. Wybrała numer. Ten sam, pod który wielokrotnie próbowała się dodzwonić, odkąd odzyskała przytomność.

Brak sygnału. Znowu.

Nie miała pojęcia, co to oznacza. Ale była pewna, że nic dobrego.

To był jeden z pospolitych wczesnojesiennych poranków: szarych, sennych, nienastrajających optymizmem. I jedno z pospolitych porannych zebrań w Komendzie Wojewódzkiej Policji w Łodzi. Nadkomisarz Witold Ptak wpatrywał się w pospolite twarze kilkunastu znudzonych funkcjonariuszy, którzy niezbyt dobrze udawali, że interesuje ich to, co ma do powiedzenia.

A zamierzał przekazać im coś niepospolitego.

Uruchomił projektor, do którego chwilę wcześniej podłączył laptopa, i wyświetlił na ścianie pierwszy slajd swojej lapidarnej prezentacji. Zdjęcie numer jeden.

– Oto Martyna Bułeczka – oznajmił.

Fotografia przypominała kadr z horroru. Wyjątkowo krwawego. Brutalnego. Bezsensownego. Stworzonego wyłącznie po to, aby epatować ohydą i agresją. Zamiast kawy Witold zafundował kolegom niezbyt wyszukany turpizm.

– Dwudziestoczteroletnia studentka polonistyki na Uniwersytecie Łódzkim – kontynuował. – Sprawca najprawdopodobniej wtargnął do jej mieszkania na Próchnika i błyskawicznie ją obezwładnił. Następnie przez kilka dni torturował. Między innymi gwałcąc za pomocą pałki oraz wytresowanego w tym celu psa. A kiedy już mu się to znudziło, postanowił porąbać jej ciało siekierą. Po nocy

spędzonej w towarzystwie zwłok i dokładnym wysprzątaniu lokalu wyszedł z mieszkania ofiary. Nikt go nie widział. Nikt niczego nie słyszał.

Witold przerzucił slajd. Zdjęcie numer dwa. Równie obsceniczne.

– Magdalena Giętka. Trzydziestodwuletnia policjantka z Wydziału Kryminalnego. Nasza koleżanka. Sprawca uprowadził ją sprzed mieszkania, włamawszy się wcześniej do jej samochodu. Przez kilka dni przetrzymywał, faszerując zepsutym mięsem, lekami i różnymi substancjami chemicznymi. Zapewne trochę z nimi przesadził. Dzięki temu Magda już nie żyła, kiedy jakiś czas później przeciął ją na pół i powiesił jej ciało na drzewie.

Kolejny slajd. Zdjęcie numer trzy.

– Henryka Świst. Siedemdziesięcioośmioletnia emerytka. Sprawca utrzymywał z nią specyficzną relację. Wiele wskazuje na to, że nieświadomie pomagała mu... w robieniu tego, co robił. Ale w pewnym momencie stała się dla niego zagrożeniem. Dlatego wszedł do jej mieszkania, tak jak to robił dziesiątki razy wcześniej, i ją udusił. Po wszystkim próbował stworzyć w mieszkaniu Świst tropikalne warunki, żeby przyspieszyć rozkład zwłok i utrudnić nam ustalenie, kiedy została zamordowana.

Przerzucił na następny slajd. Znajdowały się na nim wszystkie trzy zdjęcia. Tworzyły upiorny trójkąt, nad którym wisiał znak zapytania.

– Na pewno zastanawiacie się, dlaczego ściągnąłem was tutaj bladym świtem i pokazuję wam zdjęcia, które już wielokrotnie oglądaliście. Pewnie podejrzewacie, że zrobiłem to, żeby zmotywować was do cięższej pracy. Jak jakiś marny coach, który uczył się psychologii z amerykańskich seriali. – Witold potrząsnął głową. – Jeśli tak, to macie rację. Zrobiłem to dla popisu. Żeby choć trochę was zszokować. Ale przede wszystkim po to, żeby wam przypomnieć, z kim mamy do czynienia.

Rozejrzał się po sali. Policjanci nie wydawali się szczególnie zainteresowani jego wystąpieniem, ale przynajmniej przestali ziewać i ukradkowo zerkać na telefony. To prawdopodobnie największe skupienie, na jakie mógł liczyć o tak wczesnej godzinie. Wyjątek stanowił Bartosz Adamski. Siedział w ostatnim

rzędzie, nerwowo popijał kawę i gapił się na Witolda, jakby próbował włożyć mu w usta swoje słowa. Kiwnął głową, kiedy spotkali się wzrokiem.

– Do tej pory próbowaliśmy prowadzić szeroko zakrojone poszukiwania Seweryna Kostki – kontynuował Witold. – W Łodzi, na terenie kraju i za granicą. Próbowaliśmy poznać jego historię. Dowiedzieć się, co robił, gdy był młody. Z kim się zadawał. Dlaczego zaczął zabijać. Ale okazuje się, że próbując zrobić wszystko, tak naprawdę nie osiągnęliśmy nic. Nie dowiedzieliśmy się, gdzie powinniśmy go szukać. Jak długa jest lista jego ofiar? Iloma tożsamościami się posługuje? Gdzie się podzieli jego biologiczni rodzice? Nie mamy pojęcia, czy wyjechał za granicę. Czy przed nami ucieka, czy może zaszył się w jakiejś kryjówce? Czy wciąż stanowi zagrożenie? Czy ktoś mu pomaga? Nawet nie mamy pewności, czy to on stoi za wszystkimi zabójstwami.

Wycelował palcem w ścianę i zrobił teatralną pauzę. Następnie wcisnął spację i jego prezentacja wypluła kolejny slajd. Ponownie pojawiło się na nim ciało Martynty Bułeckiej. Na kilkunastu zdjęciach. W kilkunastu kawałkach.

– Jesteśmy natomiast pewni, że to Kostka zabił Bułecką. Szukając sprawcy tej zbrodni, trafiliśmy na jego trop. Udało nam się ustalić, że podając się za Igora Krenca, podejrzany pracował jako asystent stomatologiczny w klinice Climed. To tam poznał ginekologa, który potajemnie dokonywał późnych aborcji, a jedną z jego pacjentek była Bułeczka. Podejrzewając, że Kostka wybiera na swoje ofiary kobiety usuwające ciążę, dotarliśmy do lekarzy, którzy go znali. A potem doszliśmy po nitce do kłębka. – Witold wziął głęboki oddech. – A przynajmniej tak nam się wydawało. Dziś, prawdę mówiąc, jestem pełen wątpliwości. Nie wiem, czy zajmując się sprawą Bułeckiej, nie popełniliśmy jakiegoś błędu. I czy nie zafiksowaliśmy się na szukaniu człowieka, który nie ma z tym wszystkim nic wspólnego. – Spojrzał na zdziwione twarze. Wydawało się, że policjanci nie dowierzają własnym uszom. – Dlatego chciałbym, żebyśmy zaczęli śledztwo od początku. I skupili się na zabójstwie, od którego wszystko się zaczęło. Nie na szukaniu ducha, lecz na weryfikowaniu tego, czy rzeczywiście powinniśmy się za nim uganiać.

– Mówisz poważnie? – odezwał się Artur Waliszewski, który siedział najbliżej Witolda.

– Śmiertelnie poważnie. Większość z nas dalej będzie szukać Kostki: współpracować z kolegami z sąsiednich jednostek, kontaktować się z polskimi i zagranicznymi organami ścigania, a także przetrząsać każdy kąt, w którym mógł się ukryć. Ale część osób wróci do zabójstwa Bułeckiej. Chcę, żebyśmy jeszcze raz przeanalizowali wszystkie ustalenia w tej sprawie. Żebyśmy dotarli do ludzi, z którymi wtedy rozmawialiśmy, i ponownie ich przesłuchali. Musimy przestudiować każdą linijkę raportów napisanych w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Wiem, że to może brzmieć jak szaleństwo, ale to jedyna droga. Jeśli Kostka nie jest człowiekiem, którego powinniśmy szukać, musimy się o tym jak najszybciej dowiedzieć. A jeżeli to rzeczywiście on zabił te kobiety, być może po ponownym rozpatrzeniu sprawy Bułeckiej dowiemy się, jak go dorwać. – Zerknął na Adamskiego, który miarowo kiwał głową. – Oczywiście wszystko, co tu ustaliliśmy, nie może wyjść poza tę salę. Czy to jasne?

Witold zerknął na policjantów. Kilka osób nieśmiało i zupełnie bez przekonania pokiwało głowami.

– Macie jakieś pytania?

Mieli. Musieli mieć. Jeżeli Kostka tego nie zrobił, to czemu uciekał, kiedy zobaczył policjantów pod domem? Dlaczego ktoś, kto jest niewinny, zapadł się pod ziemię? Czy właśnie oznajmiłeś, że ponad pół roku twojej pracy jest głównie warte? Jednak żadne z pytań nie padło. Jakby policjanci byli zbyt oszołomieni tym, co usłyszeli, żeby otworzyć usta.

– Za pół godziny wyślę wam instrukcję, jak od tej pory będziemy działać – oznajmił Witold. – Do roboty.

W ciągu kilkudziesięciu sekund pomieszczenie opustoszało, a funkcjonariusze rozpięchli się po budynku. Rechotali i żartowali, jakby przechodząc przez próg sali konferencyjnej, wymazali ostatnie kilkanaście minut z pamięci. W środku zostali jedynie Witold i Adamski. Jeszcze bardziej zmieszani niż przed odprawą.

– Jesteś pewien, że dobrze robimy? – zapytał Witold, odłączając komputer od projektora.

Adamski wzruszył ramionami.

– Warga może się ucieszyć, że błędzimy we mgle, albo zmartwić tym, co możemy znaleźć, ponownie badając sprawę Bułeckiej. W każdym razie powinien się skupić na działaniach tej nowo powstałej grupy. Jest też szansa, że odizolujemy od poszukiwań kreta, który wynosi Wardze informacje. Musimy tylko dobrze wyselekcjonować ludzi do tego zespołu.

Witold smętnie pokiwał głową. Nie był przekonany do tego pomysłu. Podobnie jak cała zgraja policjantów, którym przedstawił ten pokręcony plan.

– Widziałeś się z Kawęckim? – spytał Adamski.

– Byłem u niego w mieszkaniu.

– Odważnie. I co powiedział?

– Nic.

– Jak to „nic”?

– On nie będzie z nami współpracował. A na pewno nie w taki sposób, w jaki to sobie wyobrażamy. Nie był w stanie podporządkować się żadnemu z nas, kiedy mogliśmy mieć na niego jakieś przełożenie, więc tym bardziej nie zrobi tego teraz. Ale na pewno nie zostawi tej sprawy.

– A jak on się trzyma?

– Lepiej niż ostatnio.

– To znaczy?

– Był trzeźwy. W miarę.

Adamski ciężko westchnął.

– Ciekawe, jak długo pociągnie.

Miała być jedna lampka, dwie,

Poszły konie wio, było lampek moc, ej!

Jesteś jak elektrownia, co

Całe miasto chce zaopatrzyć w prąd, ej!

Tomek Kawęcki poruszył pokrętłem głośnika, wypełniając mieszkanie elektronicznym rockiem. Zaciągnął się mocno papierosem i wypuścił przed siebie chmurę dymu. Gapił się to na podskakującego na podłodze buldoga, jak zawsze gotowego do zabawy, to na oszronioną butelkę, którą chwilę wcześniej wyciągnął z zamrażarki. Przypominała mu niezbyt finezyjną raketę kosmiczną wyprodukowaną w Korei Północnej, Rosji albo na Białorusi, w każdym razie gdzieś, gdzie designerzy musieli sprostać topornym dyktatorskim gustom. Poddała swoje silniki chłodzeniu, aby nie przegrzać się na starcie. Żeby potem, w chwili próby, móc ruszyć w stronę nieznanego uniwersum z pełną mocą, zostawiając za sobą ogień, dym i zgliszcza.

*Nie mów, stary, że ma kaganiec,
Że masz na smyczy metylowego psa, ej!
Ten pies ci z filmu wyszarpuje klatki,
A ostatni sezon z życia pies w całości zjadł.*

To był szósty dzień Kawęckiego bez gorzały. Nie bez alkoholu, ale bez wódki. Wymyślił sobie nową terapię. Tym razem postanowił spróbować redukcji. Stopniowego wyciszania demona. Wytłumiania jego chorych, wiecznie niezaspokojonych pragnień. Obłaskawiania stwora za pomocą niskowoltażowych trunków. Bał się twardego detoksu. Po nieszczęśliwym zerwaniu poprzedniego – rozpoczętego po zabójstwie Martynty Bułeckiej, a zakończonego dzień przed znalezieniem zwłok Magdy Giętkiej – wpadł w pijacki amok, z którego przez wiele miesięcy nie mógł się wydostać. I to pomimo parokrotnego otarcia się o śmierć oraz regularnie nawiedzającego go bólu w trzewiach, którego do dzisiaj nie zdiagnozował. Zaczął w dramatycznym tempie osuwać się w przepaść.

Wciąż nad nią wisiał. Ale tym razem chociaż próbował odpalić poduszki przed upadkiem.

*W tej piosence, co ją Prońko śpiewa,
Facet robi małą i ma Krysią w domu cyrk,
Ty po małej robisz ćwiartkę, pół, trzy czwarte,*

A gdy robisz krowę, to mam w domu syf.

Często się zastanawiał, czy to ona go zgładziła. Czy to wódka – bezbarwna, niepozorna, a przy bliższym poznaniu bezpruderyjna dama, która zamienia ludzi w bydło – zrujnowała jego życie. Regularnie cofał się pamięcią, próbując to rozstrzygnąć. Do pierwszych kieliszków wypijanych w szkole policyjnej, kiedy wódka niwelowała kontrast między nim a jego tępymi kolegami. Do czasu, gdy za jej pomocą finalizował znojne tygodnie pracy, włóczęc się po łódzkich spelunach. Do momentu, w którym przeniósł melinę do domu i zaczął z niego kolejno wypierdalać gości. W pewnym momencie wódka stała się jego nieodłącznym kompanem. Smutnym, pozbawionym właściwości cieniem, który nie odstępował go na krok, odkąd on wdrapał się na ostatnie piętro kamienicy na Targowej i pociągnął za spust.

W żłobie leżysz znów, nie przybieży nikt.

A może wódka była tylko usprawiedliwieniem. Może zdecydowanie przeszacował jej wpływ na swoje życie. Uczynił z niej wygodne wytłumaczenie dla choroby umysłowej, która kazała mu nieustannie stawać okoniem. Tkwić w jakiejś dziwnej, zagmatwanej rzeczywistości, stworzonej z dwóch grup ludzi: Kawęckiego oraz reszty. Może problemem był nie alkohol, lecz autodestrukcyjne skłonności, przez które stawał sam przeciwko wszystkim. Może to one prowokowały go do aktów błędnie pojmowanego bohaterstwa. Do walki z niewidzialnymi monstrami. Może dał się omotać swojej psychice. Pozwolił jej wmanewrować w rolę bohatera wynędzniałego gnojka, który nie ma świata nic do zaoferowania. Który potrafi się jedynie bezmyślnie odbijać od bezbarwnych ścian codzienności.

Wróć, gdy przestaniesz tańczyć,

Gdy wygrzebiesz się z serpentyn,

Wróć, gdy się skończy bal.

Kawęcki wstał, odklejając koszulę od krzesła. Popatrzył na swój spartański pokój. Pokręcił głową.

To nie jest dobre miejsce, żeby żyć, pomyślał.

Ani żeby umrzeć.

Zgasił papierosa w prowizorycznej popielniczce. Zgarnął z biurka klucze i przy elektronicznych dźwiękach wypluwanych z głośników ruszył do wyjścia.

Ja pas! Ja pas! Ja pas! Ja pas! Ja pas! Ja pas!

Ja pas! Ja pas! Ja pas! Ja pas! Ja pas! Ja pas! ⁴

Szota i Lewan. Gruzińscy bliźniacy przypominający dwóch emerytowanych, solidnie obitych bokserów wagi lekkiej. Niezadający pytań. Niewdający się w dyskusje. Przeważnie milczący. Dwaj bezwzględni, wielofunkcyjni cyngle. Parający się handlem agresywnymi psami, ludźmi i narkotykami.

Quentin. Z charakterystycznie wysuniętą szczęką. Agresywny. Porywczy. Okrutny. Wymarzony kandydat do pracy w więzieniu Abu Ghraib. Człowiek od trudnej, dyskretnej roboty. Oddany żołnierz i prawa ręka szefa. Od kilku lat wdrażany w coraz bardziej skomplikowane działania organizacji.

I wreszcie Roman. Sztywniak w garniturze, o posępnej twarzy i z kikutem zamiast dłoni. Opanowany. Ironiczny. Złośliwy. Nienasycony. Gruzin, który perfekcyjnie zasymilował się z łódzkim półświatkiem. Herszt bandy. Jeden z najniebezpieczniejszych ludzi w mieście.

Tomek Kawęcki spędził pół godziny w tramwaju, przedostając się z Radogoszcza do Śródmieścia, żeby spotkać czterech mężczyzn, którzy go szczerze nienawidzą. Siedzieli na zapleczu Hydry, obscurnego lokalu na Kościuszki, przy jednym z dwóch pokerowych stołów w kształcie oktagonu. Na zielonym blacie, otoczonym efektownymi skórzanymi podłokietnikami, stały butelki piwa, drinki, wypełniona petami popielniczka i maleńkie lustro ze zwiniętym w rulon banknotem. Na środku stołu leżała czerwona talia. Każdy z graczy miał przed sobą kupkę żetonów oraz po dwie karty.

Gangsterzy wyglądali tak, jakby grali w pokera całą noc i przy każdym rozdaniu serwowali sobie nowy trunek. Byli zmęczeni i pijani. Przynajmniej bliźniacy; ich głowy znajdowały się w ciągłym ruchu, popychane z góry do dołu niewidzialną siłą. A także Quentin, który w dodatku nieustannie pociągał nosem, jak gdyby zafundował sobie ścisłą kokainową dietę. Nieprzypadkowo to właśnie

obok niego leżało lusterko z banknotem. Tylko Roman wyglądał inaczej. Świeżej. Mądrzej. Jak sęprzyczajony do ataku.

– Gdzie wasz barman? – zapytał Kawęcki, wspominając wąsatego grubasa, któremu kilka miesięcy wcześniej rozkwaśił kastetem jaja. Kolejnego faceta, który go nienawdził.

– Zluzowałem go.

Roman uśmiechnął się do Kawęckiego. Jego słowa zabrzmiały tak, jakby nie było sensu szukać barmana. Ani teraz, ani kiedykolwiek później.

– Miałem nadzieję, że będziemy sami – powiedział Kawęcki. – Tylko ty i ja.

Stukając kikutem w podłokietnik, Roman oznajmił graczom, że czeka na kolejny ruch. Quentin, który pełnił rolę krupiera, wyłożył trzy karty na stół. Damę pik, waleta kier i dziewiątkę kier.

– To moi najbliżsi ludzie – oznajmił Roman. – Nie mam przed nimi sekretów. Przynajmniej w sprawach biznesowych.

Tomek obserwował Quentina, który także wlepił w niego spojrzenie. Zastrzełiłby mnie bez mrugnięcia okiem, z największą przyjemnością, gdyby tylko szef kazał mu to zrobić, pomyślał.

– Może to i lepiej – odezwał się, zapalając papierosa. – Nie będziesz musiał tłumaczyć swoim przygłupom wszystkiego od początku.

Szota poderwał się z miejsca, ale Roman powstrzymał go zdecydowanym gestem ręki. Drugi bliźniak długo przeszywał Kawęckiego wzrokiem. Obaj mieli ochotę go rozszarpać. Obaj już parokrotnie byli tego bliscy.

Po raz pierwszy Kawęcki zobaczył ich w Lesie Łagiewnickim, kiedy spotkali się z Sewerynem Kostką. Zabójca oddawał im psa. Wielkiego doga argentyńskiego, którego najprawdopodobniej wykorzystał, by upokorzyć Martynę Bułęcką. Kawęcki chciał ich wtedy zatrzymać. Dopaść wielkoluda i zakończyć cały cyrk, zanim na dobre się rozkręci. Ale kiedy się skradał, ktoś zaszedł go od tyłu i uderzył pałką w łeb. Do dziś nie wiedział, kto to zrobił. Ale gdyby postawił na Quentina, nie ryzykowałby wiele.

Kolejne spotkania Kawęckiego z bliźniakami były równie nieprzyjemne. Najpierw napadli na niego w parku Julianowskim. Próbowali go zabić albo nastraszyć. Kawęcki był tak pijany, że nie potrafił tego jednoznacznie stwierdzić. Dopiero przy kolejnej okazji nie miał wątpliwości co do ich zamiarów. Bliźniacy przy sporej prędkości zepchnęli jego auto z drogi. Tylko cud, opatrność albo fart sprawił, że skończyło się to jedynie odrapaniami, siniakami i potwornym bólem głowy.

– Obrażając nas, nie zwiększasz swoich szans na przeżycie – oznajmił Roman. – Zwłaszcza że twoje informacje są dla nas coraz mniej przydatne.

– Wiem. Liczyłem na to, że jako emerytowany policjant będę w stanie wyciągać dla was różne smakowite kąski. Ale się przeliczyłem. Dlatego wymyśliłem inne rozwiązanie.

Roman uśmiechnął się pod nosem. Przechylił się na bok i wyciągnął z kieszeni marynarki opakowanie tabletek przeciwbólowych. Włożył jedną do ust i popił swoim ulubionym drinkiem – białym Rosjaninem. Chwilę później sięgnął do leżącego przed nim stosu żetonów i podbił stawkę. Pozostali gracze szybko wyrównali. Wtedy Quentin wyjął z talii kolejną kartę. Siódmką kier.

– Ciągłe coś kombinujesz – odezwał się Roman. – Wymyślasz, zmieniasz reguły, proponujesz nowe układy. Nie potrafisz się skupić. Tacy jak ty rozpoczynają mnóstwo rzeczy, ale niczego nie kończą. I w efekcie zostają z niczym. – Zerknął na Kawęckiego, jednocześnie celując palcem w stół. – Tacy jak ty w pokerze tracą najwięcej. Jedni przegrywają majątek. Inni życie.

– Tym razem wykombinowałem coś, co może cię uczynić wielokrotnie bogatszym.

Roman przyjrzał się graczom: Quentin wypuszczał nad głowę kółka dymu, a bliźniacy nieustannie, niemal synchronicznie zerkali w karty, nie mogąc zapamiętać kolorów, numerów albo figur, które mieli na ręce. Chwilę później wypchnął przed siebie wszystkie żetony.

– *All in* – powiedział i zwrócił się do Kawęckiego: – Dlaczego myślisz, że zależy mi na bogactwie?

– Zależy ci na władzy. A ona płynie z hajsu. Musisz go mieć, żeby być tym, kim chcesz.

Bracia długo myśleli nad tym, co zrobić z zagrywką Romana. W końcu spasowali. Z kolei Quentin nie zastanawiał się ani chwili – od razu przesunął karty z ręki na środek, a potem pomógł Romanowi zgarnąć żetony.

Kawęcki nachylił się nad stołem. Zgasił peta i posłał gangsterom pogardliwy uśmiech.

– A w pokera akurat byłbym niezły. Idę o zakład, że bym was ograł.

– Ale z ciebie, kurwa, cwaniak – warknął Quentin.

– Dlaczego miałbyś z nami wygrać? – zainteresował się Roman.

– Bo mam dobrą pamięć. A do tego jestem spostrzegawczy. – Kawęcki wycelował palcem w bliźniaków. – Obaj potrzebowali jednej karty do skompletowania strita. Dlatego ciągle zerkali na rękę, upewniając się, czy coś im się nie popierdoliło. Gdybyś nie wszedł *all in*, pewnie by nieznacznie podbili stawkę, licząc na to, że kolejną kartą załatwią sprawę. Ale po twoim zagranu spēkali, przekonani, że masz kolor. – Przeniósł wzrok na Quentina. – Ty pewnie miałeś jakąś parę. Może nawet dwie. A może byłeś blisko strita albo koloru. Ale wymiękłeś. Widać, że w ogóle nie czujesz pokera. Nie sprawia ci przyjemności. Grasz i tracisz pieniądze tylko dlatego, że chcesz się przypodobać szefowi. Albo żeby umilić sobie wączanie koksu.

– A ja? – zapytał Roman.

– Ty nie miałeś nic. Null. Ale wiedziałeś, że jeśli zablefujesz, reszta się zesra. Zarejestrowałeś, że bliźniacy czają się na strita, a Quentin jest mało zainteresowany tym, co się dzieje na stole. Poza tym grasz z nimi wyłącznie po to, żeby dowieść swojej dominacji. By im przypomnieć, jak wygląda hierarchia w tej grupie. Lubisz otaczać się słabszymi od siebie. Bez względu na to, czy chodzi o interesy, czy o pokera.

Roman długo przyglądał się Kawęckiemu. W końcu opróżnił drinka i strzelił palcami.

– Przynieście mi jeszcze jednego. Albo dwa. – Kiedy jeden z bliźniaków poderwał się z miejsca i ruszył w stronę wyjścia, gangster spojrzał na Kawęckiego. – Zagrasz z nami.

– Nie mam pieniędzy.

– Pożyczę ci.

– Nie jestem hazardzistą.

Roman roześmiał się, jakby usłyszał sprośny dowcip.

– Jesteś największym hazardzistą z nas wszystkich. Tylko ty kłudziesz na szali swoje życie. I to grając wyjątkowo marnymi kartami. Nie nabiorę się na twój blef, tak jak oni nabrali się na mój. Więc jeśli karty ci nie pomogą, będziesz miał przejebane.

Kawęcki ciężko sapnął. Po chwili przysunął krzesło spod sąsiedniego stołu i usiadł naprzeciwko Romana.

– Chcesz posłuchać, co wymyśliłem? – zapytał.

Gangster dwukrotnie skinął głową. Kiedy Quentin zaczął rozdawać karty, Kawęcki zapalił papierosa i rozpoczął swoją opowieść.

– Janusz Marcel Dębiec. Trzeba być kompletnym zjebem, żeby tak nazwać syna.

Witold Ptak wpatrywał się w Artura Waliszewskiego, jak gdyby nie zrozumiał jego słów. I poniekąd tak było. Miał wrażenie, że jego kumpel podzielił się tym spostrzeżeniem bez konkretnego powodu. Ot tak, żeby nie milczeć przez kilka najbliższych minut, które spędzą przed budynkiem Komendy Wojewódzkiej Policji.

– Dysonans – powiedział Witold, zapalając szluga.

– Co?

– To skrajnie różne imiona. W latach pięćdziesiątych, sześćdziesiątych czy siedemdziesiątych mnóstwo Polaków nazywało synów Januszami. Stworzyli całą kastę dzisiejszych nosaczy, którzy leżą na kanapie w klapkach Kubota, żłopiają tani browar i pomstują na ciapatych. Marcel to było wtedy nowoczesne i raczej nieznanne imię, rzadko nadawane bachorom. Według mnie rodzice Dębca

nie chcieli wyrządzić synowi krzywdy, a zarazem pragnęli uczynić go wyjątkowym. – Witold wzruszył ramionami. – Może miało to jakiś sens.

Artur pokręcił głową. Albo nie dawał wiary tym wyjaśnieniom, albo nie miał ochoty ich słuchać.

– Coś się tak przyjebał do tego Dębca? – spytał Witold.

– Nie lubię go.

– Szef jak szef. Zwyczajny bufon. Znam wielu takich jak on.

– Nie o to chodzi.

– A o co?

Artur ciężko westchnął. Zaciągnął się e-papierosem i wydmuchnął przed siebie potężną chmurę dymu.

– Wiesz, że Dębiec znał się ze starym Adamskiego?

– Nie dziwota. Obaj tu pracowali. Są w podobnym wieku.

– Mieli też podobne ambicje. Chcieli zostać szefami tego burdelu. – Artur wskazał brodą budynek. – Podobno Adamski był bliżej wygranej.

– Skąd to wiesz?

– Od jednego emerytowanego psa, który był świadkiem tamtych wydarzeń. Adamski miał opinię twardego i nieprzekupnego gliny. Był powszechnie lubiany. W dodatku jest rodowitym łodzianinem, a ponoć szukali wtedy jakiegoś lokalsa.

– To dlaczego wygrał Dębiec?

– Adamski w ostatniej chwili wycofał się z wyścigu. Zrezygnował ze służby. Jako powód podał wypalenie zawodowe. – Artur spojrzął za siebie, żeby się upewnić, że nikt oprócz Witolda go nie usłyszy. – Poza tym Dębiec kumplował się z Pszoniakiem. Znali się dobre kilkadziesiąt lat. Pszoniak odwiedził Dębca w Stanach, kiedy ten był na kursie organizowanym przez FBI. – Ponownie zerknął za siebie. – Ten pies, z którym rozmawiałem, twierdzi, że stary Adamskiego zaliczył alkoholową wpadkę. Najebany wsiadł za kółko i potrafił jakiegoś faceta. Podobno Dębiec pomógł mu zataić tę sprawę w zamian za rezygnację z walki o stołek komendanta.

– To ciekawe. – Witold zastanowił się. – Myślisz, że teraz Dębiec rozgrywa jego syna?

– Nie wiem. Ale to całkiem prawdopodobne. Zastanów się nad tym. Dębiec szantażował ojca Adamskiego. Wybił się na jego nieszczęściu. A skoro kumpłował się z prokuratorem Pszoniakiem, musiał też znać jego wiernego przydupasa Wargę. – Artur potrząsnął głową. – To wszystko strasznie śmierdzi. Jak gównu na skarpetce.

– Mówiłeś komuś o tym?

– Szczebiotowi.

– I co?

– Twierdzi, że skonfrontował się z Dębciem, a ten odparł wszystkie zarzuty i kazał mu spierdalać. Ale moim zdaniem Szczebiot zmyśla. Nie starczyło mu jaj, żeby to zrobić.

Witold zgasił papierosa w popielnicy. Zaraz potem wyciągnął z paczki następnego. Myślał. Mariusz Szczebiot, poprzedni szef Wydziału Kryminalnego, z całą pewnością nie zaliczał się do chojraków. Nie był przebojowym facetem, który wchodząc do pokoju, zrywa panele z podłóg. Zawsze grał zachowawczo. Mówił to, co inni – zwłaszcza jego przełożeni – chcieli usłyszeć. Ale był na swój sposób skuteczny. Potrafił zatroszczyć się o swoją karierę. Nawet jeśli wymagało to od niego zrobienia czegoś wbrew woli. Czegoś, co każdy szanujący się człowiek musiałby później odchorować.

– Tak czy inaczej, Szczebiot nie wyszedł na tym najgorzej – oznajmił Witold.

– Nie? Wylądował w jakiejś pipidowie. Koordynuje śledztwa w sprawie chlorów, którzy okładają swoje baby po mordach.

– Ale ma to, czego chciał. Święty spokój. – Witold spojrzał na Artura. – To wszystko, o czym chciałeś pogadać?

Artur potrząsnął głową.

– Dlaczego oddelegowałeś mnie do grupy, która ma się zajmować Bułęcką? Dobrze wiesz, że już rzygam tą sprawą.

– Potrzebuję tam swojego człowieka.

– Po co?

– Żeby patrzeć innym na łapy.

– Mamy kreta?

Witold westchnął. Zastanawiał się, jak dużo może przekazać Arturowi.

– Nie wiem, ale ostatnio dzieje się tu wiele niepokojących rzeczy. Zbyt wiele. Na szczęście dobrze znasz sprawę Bułeckiej i więcej uwagi będziesz mógł poświęcić Wardze i komendantowi.

– Nie brzmi to jak przemyślany plan. W ogóle to, kurwa, nie brzmi.

Artur gapił się na nerwowo palącego Witolda, czekając, aż ten coś wyprodukuje. Jakiś wniosek. Wskazówkę. Cokolwiek. Jednak tego dnia jego intelektualna fabryka działała wyjątkowo topornie, wypływając towary nienadające się do ekspozycji. Koślawe, paskudne klocki, które nie pasowały do żadnej konstrukcji.

– A wiesz, jak Dębiec nazwał córkę? – Artur ponownie się ożywił. – Marcelina. Marcel i Marcelina. Kurwa. – Parsknął. – Jakby wymyślał ksywę dla zabawki.

Dwie wizyty w pubie jednego dnia nie były dla Tomka Kawęckiego niczym szczególnym. Tym bardziej że drugim lokalem była Sobota, miejsce, którego zdjęcie można by wykorzystać w Wikipedii do zobrazowania hasła „osiedlowa speluna”.

Kawęcki był stałym bywalcem bałuckiej mordowni, która pełniła rolę niemego świadka jego degrengolady. Asystowała mu w codziennym upadaniu się. Uprzykrzała życie za pomocą wylewającej się z każdego zakamarka tandety, plującego z głośników disco polo, nieuprzejmej barmanki i wścibskich spojrzeń miejscowych meneli. Przez pewien czas Kawęcki był dla bywalców Soboty obiektem wzmożonej obserwacji. Całymi godzinami przesiadywał przy barze, hipnotycznie wpatrując się w stojący przed nim kieliszek. Ze wszystkich sił starał się go nie opróżnić. Szło mu nawet nieźle. Do czasu. W końcu wypompował się z heroizmu.

Siedząc przy barze z kuflem piwa i papierosem, Kawęcki przyglądał się kobiecie w skórzanej kurtce i dżinsach, która właśnie weszła do lokalu. Rzuciła mu przelotne spojrzenie, ustawiła na niego kurs i błyskawicznie przemknęła przez środek pubu. Nie rozglądając się. Nie reagując na ciekawskie spojrzenia klientów. Nie interesując się niczym oprócz telefonu, który pchał ją przed siebie niczym kompas. Zanim poświęciła Kawęckiemu odrobinę uwagi, przystanęła przed stołkiem barowym i wstukała kolejną niecierpiącą zwłoki wiadomość na Messengerze.

– Usiądź i zamów coś – powiedział Kawęcki. – Najlepiej wódkę.

– Przyjechałam samochodem – odparła Ferenc, poprawiając spięte w kucyk czarne włosy.

– No to weź piwo.

Kawęcki przechylił w jej stronę kufel. Ferenc niepewnie zerknęła do środka, jakby spodziewała się w nim ujrzeć dryfujące gównno. Potem w identyczny sposób spojrzała na Kawęckiego.

– Dlaczego spotykamy się w takim miejscu? – zapytała, rozglądając się na boki, jak gdyby dopiero teraz się zorientowała, gdzie ją przyniosło.

– Po wejściu do tego pubu z reguły nie robię nic konstruktywnego. Nie knuję, nie załatwiam żadnych interesów. Tylko wlewam w siebie naftę. Tyle, ile jestem w stanie. Dlatego jeśli ktoś mnie obserwuje, to w tym momencie kończy robotę.

– Kawęcki wzruszył ramionami. – A przynajmniej tak to sobie wyobrażam. Ja bym tak zrobił. – Rozejrzał się po lokalu. – Poza tym często tu bywam.

– To akurat widać.

Ferenc posłała mu złośliwy uśmiech. Chwilę później ponownie sięgnęła po telefon.

Dołączyła do Wydziału Kryminalnego zaraz po zabójstwie Magdy Giętkiej. Miała być jej naturalną następczynią. Jednak okazała się zblazowaną policjantką, która leserstwem i abnegacją wysysała z innych energię. Nie interesowała się prowadzonym śledztwem ani sprawami wydziału. Nie zajmowało jej życie prywatne kolegów. Nie była nawet w połowie tak zaangażowana jak Magda.

Ta wszechogarniająca niechęć Ferenc była Kawęckiemu na rękę. Były szef kryminalnych Mariusz Szczebiot miał nadzieję, że nowa podwładna – podobnie jak wcześniej Giętka – będzie dostarczać mu informacje na temat wydziałowej czarnej owcy. Donosić o jego dziwactwach i przewinieniach. Że pozwoli mu przynajmniej pośrednio kontrolować Kawęckiego. Ale Ferenc nie robiła nic ponad to, co miała zapisane w umowie.

A na pewno nie robiła tego za darmo.

– Dlaczego ktoś miałby cię obserwować? – spytała.

– Podpadłem kilku ludziom.

– To powinni spuścić ci wpierdol, a nie zakładać ogon.

– To nie takie proste.

– W twoim życiu chyba nic nie jest proste, co?

Kawęcki przez chwilę zastanawiał się nad jej słowami. W zasadzie miała rację. Odkąd pamiętał, był mistrzem komplikowania nawet najbanalniejszych sytuacji.

– Kiedy usłyszałam o tych podejrzeniach, wiedziałam, że są prawdziwe – odezwała się Ferenc. – Nie miałam wątpliwości, że sprzedajesz gangusom informacje.

Zanurkowała do torebki i wydobyła z niej dużą brązową kopertę. Podała ją Kawęckiemu, a ten zajrzał do środka. Było tam kilkanaście kartek od góry do dołu zadrukowanych informacjami. Wyjął je i przeskanował wzrokiem. Skinął głową. Następnie zrulował wydruki, wetknął do kieszeni kurtki i oddał Ferenc kopertę. Niepostrzeżenie włożył do niej kilka banknotów.

– Nie potępiam cię – powiedziała Marta, upychając kopertę w torebce. – Trzeba sobie jakoś radzić. Sprzedając te informacje jednym gangusom, przynajmniej pozbywasz się innych. W ten nietypowy sposób utrzymujesz równowagę.

– Dzięki – powiedział Kawęcki, nie do końca pewny, czy ma za co dziękować. – Tyle że ja niczego nie sprzedaję. Nie robię tego dla pieniędzy.

– Szantażują cię?

– Powiedzmy, że mają na mnie kilka haków.

– Zamierzasz coś z tym zrobić?

Podrapał się po policzku.

– To nie takie...

– Przynudzasz. Jeśli nie chcesz, nie musimy o tym rozmawiać. A ja właściwie nie muszę tutaj być.

Kawęcki zerknął na Ferenc, która przez moment przypominała mu rozgniewaną nastolatkę. Następnie zgasił papierosa i wyzerował duszkiem kufel. Położył na blacie dwudziestozłotowy banknot i zsunął się ze stołka.

– Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, nie potrwa to długo – oznajmił.

– Co takiego?

Wycelował palcem w torebkę Ferenc.

– Poradzę sobie – odparła.

– Nie wątpię.

Kawęcki chciał coś dodać, ale zauważył, że przestała się nim interesować i ponownie skupiła wzrok na telefonie. Gdyby wyszedł z lokalu bez słowa, mogłaby to przeoczyć. Machnął na nią ręką i skierował się do wyjścia.

Uważał, że ma dar. Niespotykaną umiejętność czytania w ludziach. Przewiercania się wzrokiem przez fałszywą patynę i docierania do sedna ich istnień. Do prawdy. Do obrośniętych martwymi tkankami serc.

Mógł otrzymać ten dar od Boga. Może Stwórca uczynił go wykonawcą swojej woli. Tym, który ma naprawić jego niedociągnięcia. A może wybrał go do tej roli ze względu na ów dar. Coś, czego sam nie mógł mu ofiarować, ponieważ zasiewając w ludziach cechy, nadając im charakterystykę i wyjątkowość, nie miał nad tym pełnej kontroli. Ktoś mu nieustannie przeszkadzał w dziele tworzenia. Intruz, który bezpowrotnie uszkodził nasz świat.

Dzięki temu darowi Seweryn nie miał wątpliwości, że kobieta, której przyglądał się z samochodu, pasuje do jego schematu. Wyglądała na trzydziestokilkulatkę, ale wiedział, że jest starsza. Miała lekki makijaż. Włożyła

buty na obcasie, które uwydatniały jej zgrabną figurę. Zawsze nosiła dobrze leżące ubrania: szare lub granatowe garsonki, czarne spódnice, beżowe spodnie garniturowe, białe bluzki. Wydawała się idealna. Nieskalana. Czysta. Dlatego tym bardziej bolała Seweryna świadomość, co wyprawia ze swoim ciałem.

Od kilku dni podążał za nią niczym wszechwiedzący cień. Wsiadał do auta, które nie należało do niego, i podjeżdżał pod jej miejsce pracy. Kwadrans przed siedemnastą parkował na chodniku, skąd miał dobry widok na parking. Czekał, aż wyjdzie z budynku. Od tego momentu śledził ją do końca dnia. Do chwili, w której wracała do domu. Czasem robiła to bezpośrednio po pracy. A czasem zaliczała przystanek u faceta, który wprawdzie nie był jej mężem, ale znał jej ciało nie gorzej od niego.

Kiedy kobieta wsiadła do samochodu i wyruszyła z parkingu, Seweryn odczekał kilkanaście sekund i włączył się do ruchu. Przypuszczał, że nawet gdyby przez całą drogę siedział jej na zderzaku, toby się nie zorientowała, że ma ogon, ale na wszelki wypadek trzymał się kilka samochodów z tyłu. Jechał spokojnie, zgodnie z przepisami i ze stałą prędkością. Nie wzbudzając zainteresowania. Nie prowokując niebezpieczeństwa. Nie narażając się na policyjne kontrole. Poruszał się po mieście jak duch zaszyty wewnątrz nierzucającej się w oczy blaszanej karoserii. Był w tym dobry. Zawdzięczał to ogromnemu doświadczeniu. Dziesiątkom anonimowych obserwacji. Setkom przejechanych łódzkich tras. Tysiącom godzin spędzonym na ogonie kobiet, które gardziły swoim ciałem.

Czasem czuł się jak łowca. Predator. Pozaziemski stwór, który w obcym świecie urządzał polowanie. Ludzie sądzili, że Predator zabija dla rozrywki. Żeby się sprawdzić albo przejść inicjację. Ale to bzdura. On był czyścicielem. Usuwał stąd najgorsze jednostki: najbrutalniejsze, najpaskudniejsze, najbardziej niegodziwe. Zaprowadzał na Ziemi boski porządek.

Kobieta także tym razem nie pojechała prosto do domu. Zatrzymała się na parkingu przed supermarketem. Na kilka minut zniknęła w środku, a potem wróciła do samochodu z torbą wyładowaną produktami spożywczymi. A więc

dzisiaj zamierza zabawić u niego dłużej, pomyślał Seweryn. Ponownie za nią ruszył, żeby odprowadzić ją pod dom kochanka.

Miał chwilę zwątpienia. Wtedy gdy zobaczył policjantów, którzy wydawali się go obserwować. Musiał się pozbyć ich samochodu i spalić swoje sanktuarium. Zaszyć się na kilka dni. Pomyśleć. Ale kiedy otrząsnął się z marazmu, zepchnął w niebyt wszystkie irracjonalne obawy i zaczął na nowo układać plan. Przetawił priorytety. Przejrzał swoją listę i dokonał na niej ostatecznego przetasowania.

Wybrał tę ostatnią.

Najważniejszą.

Wiedział, że sam krwawi. Że znajduje się w odwrocie. Że będzie mu ciężej niż kiedykolwiek wcześniej. Ale miał świadomość, że nawet krwawiąc, musi zrobić to, do czego został stworzony. Musi wypełnić wolę Stwórcy.

Kiedy kobieta zaparkowała, przejechał obok niej i skręcił w osiedlową uliczkę. Zwolnił. Po chwili zatrzymał się na wysokości klatki schodowej. Zgasił światła. Patrzył, jak kobieta nerwowo drepcze w stronę bloku kochanka, dźwigając torbę ze sklepu i rozglądając się na boki. Jakby w momencie wyjścia z auta kompletnie odarła się z godności, którą emanowała na co dzień. Była zawstydzona. Zdegustowana. W pełni świadoma swojego grzechu. A mimo to zdecydowała się wcisnąć przycisk na domofonie i wejść na górę. Do jaskini rozpusty.

Kiedy światło na klatce zgasło, Seweryn wyciągnął z plecaka notatnik. Zapisał w nim datę i godzinę. Odnotował wizytę kobiety w sklepie i czas zakupów. Zapisał nawet, jakie produkty zauważył w jej torbie. Był metodyczny. Musiał być. To był niezbędny warunek przetrwania.

Przez kilkanaście sekund gapił się w okno mieszkania kochanka, a potem rozejrzał dookoła. Musiał się upewnić, że nikt go nie obserwuje. Nie chciał niczego pozostawić przypadkowi. W końcu uruchomił silnik.

Nie mam czasu na krwawienie, pomyślał.

Wrzucił jedynkę i skierował się w stronę swojego nowego domu.

Witold Ptak wyszedł z bloku i zapalił pierwszego tego dnia papierosa. Łapczywie się zaciągnął, jakby ledwo zniósł sześciogodzinny rozbrat z nikotyną. Postawił kołnierz kurtki, ponieważ inicjalne jesienne podmuchy wiatru były raczej zimne niż orzeźwiające, i udał się w stronę samochodu.

Kiedy minął sąsiednią klatkę schodową, skręcił w alejkę wyłożoną niedawno wymienionymi płytami chodnikowymi. Na jednej z nich, którą dzieciaki z Kozin zdążyły już ozdobić trudnymi do odcyfrowania bazgrołami sprejem, stanął jak wryty. Zagapił się na mężczyznę, który kilkanaście metrów dalej opierał się o jego auto.

Spojrzał na zegarek. Za pięć szósta. Zaklął pod nosem i ruszył przed siebie.

– Chciałem zadzwonić, ale po drodze rozładował mi się telefon – wyjaśnił Tomek Kawęcki, któremu najwyraźniej nie przeszkadzała zimna maska pod pośladkami. – Nie byłem pewien, jak zareagujesz na domofon, więc postanowiłem poczekać tutaj.

– Słusznie. Radzę ci nie przyzwyczajać się do myśli, że mam domofon. – Witold pokręcił głową. – Nie mogę powiedzieć, żebym się stęsknił za twoimi dziwactwami. Nie powinienes być teraz w pracy?

– Mam wyrozumiałego szefa.

Kawęcki miał na sobie ciężki zimowy płaszcz, który nosił od dobrych kilku lat. Jego chude ciało niknęło pod ubraniem, a wąska zaczerwieniona twarz chowała się za niezbyt imponującym zarostem. Z opadającą na oczy grzywką przypominał wygłodzonego owczarka nizinnego. W drżących dłoniach trzymał potężny termos z kawą. I to w zasadzie była jedyna dobra wiadomość, ponieważ zabierał go ze sobą wtedy, kiedy miał ochotę popracować. W trzeźwości. We względnej trzeźwości.

– Czego chcesz? – zapytał Witold.

– Potrzebuję legitymacji policyjnej i odznaki.

– Nie ma mowy.

– Muszę być wiarygodny, jeśli mam udawać policjanta. To mój warunek.

Witold wyrzucił papierosa na chodnik. Przygniótł go masywnym butem, jakby chciał rozłupać płytę. Wygrzebał z kieszeni kluczyki i przeszedł na drugą stronę auta.

– Wsiadaj – oznajmił.

Kawęcki, jak zwykle flegmatyczny, sprawiający wrażenie lekko opóźnionego, potrzebował paru sekund, żeby zareagować na polecenie. Kiedy się wreszcie rozsiadł na fotelu, Witold wychylił się w jego stronę.

– Chuchnij – powiedział.

– Po co?

– Po prostu chuchnij.

Kawęcki złożył usta w dzióbek i dmuchnął. Witold poczuł kwaśno-gorzka mieszanekę strawionego alkoholu i kawy. Typowy oddech skacowanego faceta, który próbuje doprowadzić się do ładu. W przypadku Kawęckiego to próbowanie oznaczało spory przełom.

Witold włożył kluczyki do stacyjki i uruchomił silnik.

Jadąc opustoszałą aleją Włókniarzy, przechodzącą z czasem w aleję Jana Pawła II, błyskawicznie przedostali się do skrzyżowania z Pabianicką. Skręcili w prawo, w jedną z ważniejszych arterii w mieście, i po kilku minutach

przemknęli obok Portu Łódź, drugiego największego centrum handlowego w Polsce, które rozmiarem ustępowało jedynie oddalonej o dziesięć kilometrów Manufakturze. Po kolejnym kwadransie jazdy w absolutnej ciszy byli już prawie na miejscu.

– Kostka urodził się w Pabianicach – odezwał się wreszcie Witold. – Przyszedł na świat jako Seweryn Majewski. Jego matka, Janina, szybko pozbyła się dziecka, a potem zapadła się pod ziemię. Ojciec pozostaje nieznany. Do dziś nie udało nam się dotrzeć do Majewskiej. Nawet nie wiemy, czy żyje. Ale znalazłem ginekologa, który przyjął poród, a potem pomógł znaleźć rodzinę zastępczą dla Seweryna. Obiecał mi, że zbierze informacje na temat Majewskiej. Nie wiem, czy to coś da, ale nie mając żadnego punktu zaczepiania, warto pogrzebać w zamierzchłej przeszłości tego świra. – Spojrzał w prawo. – Słuchasz mnie?

Kawęcki rzucił mu krótkie spojrzenie, po czym ponownie skupił się na bocznej szybie, do której kleił się przez większość drogi.

– Nie muszę – powiedział.

– Co to znaczy, że nie musisz?

Kawęcki nie odpowiedział. Zamiast tego postukał w szybę palcem wskazującym.

– Na najbliższym skrzyżowaniu skręć w prawo. Pokonasz ze sto metrów i będziesz mógł wjechać na parking.

– Byłeś tu? – zdziwił się Witold. – Kiedy?

– Dwa tygodnie temu.

Witold popatrzył na Kawęckiego. Nie doczekał się rozwinięcia wątku, więc pojechał zgodnie z sugestią i po chwili skręcił na parking Pabianickiego Centrum Medycznego. Potężnego, złożonego z kilku budynków kompleksu, który hospitalizuje ponad dwadzieścia tysięcy pacjentów rocznie. Wyłączył silnik i odpiął pasy. Spojrzał na Kawęckiego, który odmierzył w nakrętce kolejną porcję kawy. Nie zanosilo się na to, żeby miał wysiąść.

– Nie idziesz? – spytał Witold.

Kawęcki opróżniał nakrętkę małąkami, jakby żałował sobie napoju. Kiedy skończył, pokręcił głową.

– Wolałbym, żebyś ściągnął tego lekarza na parking.

– Nie możemy po prostu wejść na górę? Facet ma prawie siedemdziesiąt lat. Przed chwilą skończył dwunastogodzinny dyżur. Pewnie jest sturany i nie ma ochoty szwendać się po parkingu.

– To idź sam. Ja poczekam.

Witold ze zdenerwowania zacisnął pięści.

– O co ci, kurwa, znowu chodzi?

Kawęcki ciężko sapnął.

– Dwa tygodnie temu byłem w kiepskiej formie, przez co dotarłem tylko do recepcji. Nie spodobało mi się to. Możliwe, że nie byłem szczególnie uprzejmy dla pracowników szpitala. Nie sądzę, żeby tym razem pozwolili mi pójść dalej.

Witold pokręcił głową. Już w chwili, w której zgodził się zabrać ze sobą Kawęckiego, wiedział, że popełnia błąd. Wystarczyło pół godziny, by był pewien, że zapoczątkował kolejną katastrofę. Mimo to sięgnął po telefon.

Kilka minut później doktor Franciszek Herst, filigranowy mężczyzna w pogniecionym kitlu, z przeredzoną siwą czupryną i kartoflanym nosem, pojawił się na parkingu. Policjanci wyszli z samochodu. Przywitali się z doktorem, spodziewając się, że zapyta, dlaczego chcieli się spotkać w tak osobliwym miejscu. Ale nie zapytał. Zamiast tego uniósł dłonie w przeproszającym geście.

– Wybaczcie, panowie, że wyglądam, jakbym spał w rurze. – Mówił lekko zachrypniętym, spokojnym głosem, który zdawał się słabnąć z każdym słowem. – Miałem cholernie ciężki dyżur. Czasem odnoszę wrażenie, że nienarodzone dzieci mnie nienawidzą.

– Nic się nie stało – odparł Witold. Chwilę później razem z Kawęckim i Herstem zapalił papierosa. – Jesteśmy wdzięczni, że zgodził się pan pomóc.

Lekarz uśmiechnął się kwaśno.

– Kłopot w tym, że nie za bardzo mi się to udało.

Wsunął dłoń do kieszeni kitla i wydobyl złożoną na dwie części kartkę. Podał ją Witoldowi, który natychmiast rozłożył świstek. Kartka była zapisana ledwie w połowie, a to rzeczywiście nie wróżyło żadnych rewelacji.

– Janina Majewska jest jedną wielką zagadką. Nikt nie potrafił mi powiedzieć, gdzie przebywa i co się z nią stało. Jakby się rozplynęła w powietrzu. – Lekarz wycelował w kartkę. – Spisałem jedynie kilka informacji na temat Majewskiej i jej dziecka. Ale przypuszczam, że nie znajdziecie tam nic, czego byście nie wiedzieli.

Witold błyskawicznie przeskanował kartkę wzrokiem i podał ją Kawęckiemu. Ten jednak nawet na nią nie spojrział. Przez cały czas intensywnie przyglądał się lekarzowi, jak gdyby wątpił w każde jego słowo.

– Proszę opowiedzieć wszystko po kolei – powiedział Witold. – Jak pan poznał Janinę Majewską?

Lekarz wysmarkał się w chusteczkę i parokrotnie pociągnął nosem. Topornie zbierał myśli.

– Trafiła do szpitala w kwietniu siedemdziesiątego szóstego roku. Powiedziała, że boli ją brzuch, ale było jasne, że za moment będzie rodzić. Ona chyba też o tym wiedziała, ale wstydziła się do tego przyznać. Przestaliśmy się temu dziwić dopiero kilka godzin później, kiedy się dowiedzieliśmy, kim jest Majewska i czym się zajmuje. Oraz że spora część męskiej populacji Pabianic może pretendować do miana ojca jej dziecka.

– Przyszła sama?

– Jak palec. Zachowywała się tak, jakby przybyła z innego świata. Z nikim nie chciała rozmawiać. Do nikogo nie dzwoniła. Wydawała się na wszystkich i na wszystko obrażona. Jakby nie mogła się pogodzić z tym, że będzie rodzić.

– Była trzeźwa?

– O dziwo, tak.

Herst zaśmiał się chrapliwie. Chwilę później nagle zamilkł, uświadamiając sobie, że jego rechot mógł się wydać niestosowny.

– To był jeden z moich pierwszych porodów, dlatego dość dobrze go pamiętam. Pamiętam też, że Majewska w pośpiechu wyszła ze szpitala. Zgarnęła dziecko, jakby wynosiła paczkę kurierską. A potem, zaledwie kilka godzin później, przesyłka do nas wróciła.

– Jak to się stało?

– Wieczorem, kiedy w szpitalu było stosunkowo spokojnie, jakaś kobieta weszła do budynku i polazła z dzieckiem do damskiej toalety. Tam je zostawiła i uciekła. To była Majewska. Od tego czasu nikt jej nie widział.

– Domyśla się pan, dlaczego to zrobiła?

Ginekolog wzruszył ramionami.

– Pewnie doszła do wniosku, że dziecko tylko przysporzy jej problemów. Niektóre kobiety są stworzone do macierzyństwa, a inne fatalnie reagują na dzieci. Prawdę mówiąc, dobrze się stało, że po prostu je porzuciła. Mogła zrobić coś gorszego. Znacznie gorszego. Ostatnio słyszałem o babie z lubelskiego, która spaliła noworodka w piecu.

Mężczyźni zamilkli na dłuższą chwilę. Kawęcki zastanawiał się, czy w przypadku kogoś takiego jak Kostka spalenie w piecu rzeczywiście byłoby złym rozwiązaniem.

– Co według pana stało się z Majewską? – zapytał Witold.

– Nie mam pojęcia. Pytałem o to kolegów, którzy bardziej ode mnie interesują się życiem Pabianic, ale żaden o niej nie słyszał. Większość podejrzewa, że wyjechała z miasta.

– Dlaczego?

– Z łatką dziwki, która nie potrafi się zabezpieczyć przed ciążą, miałyby problem ze zdobywaniem klientów.

– Może się zmieniła i przemodelowała swoje życie.

– Może. Ale ja nie wierzę, że ludzie mogą się zmienić. A już na pewno nie w tak znaczący sposób.

– Może jest pan człowiekiem małej wiary – rzucił prowokacyjnie Kawęcki.

Herst ponownie wzruszył ramionami. Był chyba zbyt zmęczony, żeby wdawać się w polemikę.

– Poród przebiegł bez kłopotów? – spytał Witold, zmieniając temat.

– Do pewnego momentu wszystko było okej. Ale potem doszło do kolizji pępowinowej, która wywołała hipoksemię. Ona z kolei doprowadziła do hipoksji.

– Do czego?

– Pępowina zacisnęła się na szyi dziecka, czego nie widzieliśmy wcześniej na USG. Poradziliśmy sobie z tym, ale urodziło się z niedotlenieniem okołoporodowym. Dziecko może przez to doznać padaczki, porażenia mózgowego albo opóźnienia rozwoju.

– Ale Kostki to nie spotkało?

– Na szczęście albo na nieszczęście nie. Ale to nie wszystko. – Ginekolog popatrzył na policjantów. – Jego matka fatalnie się prowadziła. Będąc w ciąży, zażywała narkotyki i spożywała alkohol. W dodatku uprawiała seks, kiedy już nie powinna była tego robić.

– Skąd pan to wie, skoro Majewska z nikim nie rozmawiała?

– Pabianice to małe miasto. Niektóre plotki rozchodzą się tutaj w tempie błyskawicy. Choćby te o brzuchatej prostytutce, która ze względu na swój stan daje klientom zniżkę. – Herst złapał oddech. – Nie stwierdziliśmy u dziecka alkoholowego zespołu płodowego ani żadnych innych zaburzeń rozwojowych, ale nie można wykluczyć, że pojawiły się później.

Kawęcki wyrzucił peta na żwir. Zrobił kilka kroków wstecz i objął wzrokiem szpitalny budynek.

– Całe życie pan tu pracuje? – zapytał.

Herst rozłożył ręce.

– Tak wyszło. Od siedemdziesiątego piątego roku. Już ponad czterdzieści lat.

– Często się zdarza, żeby matki w ten sposób porzucały swoje dzieci?

– Kojarzę tylko ten przypadek.

– To gdy pojawi się następny, proszę zgarnąć noworodka i wrzucić go do pieca. – Kawęcki przeszył lekarza wzrokiem. – Oszczędzi pan wszystkim nieprzyjemności.

Odwrócił się i podreptał do samochodu, zostawiając przed szpitalem dwóch facetów z szeroko rozdziawionymi gębami.

To nie była prosta decyzja. Mogła wybrać popularne miejsce publiczne, przez które przewijają się tabuny ludzi. Dziesiątki baranów rzucających wścibskie, oceniające spojrzenia. Albo zdecydować się na jakieś odcięte od świata zadupie. Zapomniane i dyskretne, ale za to budzące wstrętne skojarzenia. Najgorsze z możliwych.

Po kilku godzinach intensywnego myślenia zdecydowała się na wariant tłoczny. Wstydlivy, żenujący, kompletnie upokarzający, ale pozwalający uniknąć traumy.

Teraz już nic nie będzie łatwe, pomyślała Alicja Mioduszevska.

Wysiadła z taksówki przy skrzyżowaniu Zachodniej z Ogrodową. Przed hotelem Andel's skręciła w prawo i przez efektowną ceglana bramę weszła na teren Manufaktury. Miała okulary przeciwsłoneczne, kapelusz oraz szal, który częściowo zasłaniał jej twarz. Mimo to, przeciskając się przez tłum, czuła się naga. Pozbawiona prywatności. Kompletnie odarta z dumy. Miała wrażenie, że jest trędowatym dziwolągiem, którego ktoś nieroztropnie wypuścił na ulicę.

Wjechała na pierwsze piętro i przebiła się przez hordę ludzi analizujących wywieszane nad lokalami menu. Ustawiała się w kolejce do McDonalda. Zamówiła waniliowego shake'a, zapłaciła kartą, a potem ruszyła w stronę gęsto rozstawionych kolorowych stolików. Krążyła między nimi przez dobrą minutę, zanim zlokalizowała ten, którego szukała. Siedział przy nim czterdziestoparoletni mężczyzna o szpakowatych włosach, w rozpiętej pod szyją czarnej koszuli i designerskich okularach przeciwsłonecznych. Przypominał podstarzałego gwiazdora porno.

– Mogę się przysiąc? – zapytała, ledwo otwierając usta. Ze wszystkich sił próbowała ukryć braki w uzębieniu.

– Proszę – odparł Jakub Możejko.

Wyglądał inaczej niż kilka tygodni wcześniej. Schudł i przybyło mu siwych włosów. Po jego charakterystycznym luzie nie pozostało ani śladu. Zamiast prezentować całą paletę uśmiechów, nerwowo rozglądał się na boki.

– Nikt cię nie śledził? – zapytał.

– A jak myślisz?

– Jesteś pewna?

– Odkąd wyszłam ze szpitala, zachowuję się jak przecwelonny recydywista. Gdyby ktoś za mną łąził, tobym o tym wiedziała.

Możejko wytarł usta serwetką. Następnie ściągnął plastikową przykrywkę z opróżnionego kubka kawy i wrzucił do niego papier.

– Przepraszam, że nie odwiedziłem cię w szpitalu – powiedział. – Chciałem, ale nie mogłem.

Odwrócił się w prawo. Długo przyglądał się mężczyźnie, który rozsiadł się przy sąsiednim stoliku. Bez jedzenia, bez napojów, tylko z telefonem, w który intensywnie się wpatrywał. Dopiero gdy dołączył do niego kolega, na oko stutrzydziestokilogramowy grubas z tacą uginającą się od hamburgerów, frytek i coli, Możejko ponownie zainteresował się Alicją.

– Oni ci to zrobili?

– Kogo masz na myśli?

– Przecież wiesz. – Ściszył głos. – Prawnika i jego świtę.

– To nie jest, kurwa, Lord Voldemort – zirytowała się Alicja. – Mów o nim normalnie. I tak, to byli wysłannicy Wargi. Trzech pierdolonych sadystów.

– Jesteś pewna, że to jego ludzie?

– Przyznali się do tego. – Alicja spuściła wzrok. – Jeden z nich stwierdził, że mogłam nie pisać tego artykułu. Powiedział to na samym początku. Potem skupili się na działaniu.

Wyjęła z torebki chusteczkę i wetknęła ją pod okulary. Osuszyła oczy, zanim łzy zaczęły spływać po policzkach.

– A co u ciebie? – spytała łamiącym się głosem.

Możejko ciężko westchnął.

– Musiałem zniknąć. Czaili się pod moim blokiem. Nie wiem, czego chcieli, ale wolałem nie sprawdzać. Uciekłem i się ukryłem.

– Gdzie?

Gapił się na kubek, jak gdyby ten był jego osobistym doradcą.

– Możesz mi powiedzieć – stwierdziła Alicja, widząc jego wahanie. – Przecież nie pobiegnę z tym do Wargi.

– U pewnego studenciaka, który pali za dużo skrętów i zbyt rzadko wkłada koszulkę. Zostałem jego tymczasowym współlokatorem.

Alicja uśmiechnęła się pod nosem. Odczekała kilka sekund, po czym ściągnęła okulary i odłożyła je na stół. Miała duże, smutne oczy, zaczerwienione i nabrzmiące od łez. Od wielogodzinnych sesji umartwiania się i spazmatycznych ataków hysterii.

– Liczyłam, że mnie odwiedzisz – oznajmiła. – Spędziłam dwa tygodnie w tym jebanym szpitalu.

– Dorwaliby mnie, gdybym się pojawił w okolicy. Wiesz o tym.

– Gównu mnie to obchodzi. Zdejmij okulary i spójrz na mnie. Spójrz, kurwa, na mnie!

Możejko nerwowo poprawił grzywkę i rozejrzył się na boki. W końcu spełnił żądanie Alicji.

– Zobacz, co mi zrobili. – Alicja zmusiła się, by na chwilę otworzyć usta. Rozciągnęła je w upiornym uśmiechu. – Przez tych skurwysynów nie będę miała dzieci. Nie potrafię spojrzeć w lustro. Nie czuję się bezpieczna we własnym domu. Zniszczyli mnie. – Zamilkła, gniotąc w palcach postrzępioną końcówkę szala. – Jest już za późno, żeby się wycofać. Nie zostawię tego.

– Ja też nie. – Możejko pochylił się nad stołem i ściszył głos. – Kiedy byłaś w szpitalu, pisałem książkę. A przynajmniej próbowałem to robić.

– Nie mówię o książce.

– A o czym?

Przyglądała mu się przez dłuższą chwilę. Jej usta drżały, a oczy samoistnie wypełniały się łzami. W końcu założyła z powrotem okulary i podciągnęła szalik. Schowała chusteczki do torebki, którą następnie zarzuciła na ramię.

– Co zamierzasz zrobić? – spytał Możejko.

Alicja przyglądała mu się przez dłuższą chwilę.

– Zobaczysz – fuknęła.

Chwilę później zniknęła między ludźmi. Zjechała windą na parter i wyszła z galerii.

– Możesz prowadzić?

Kawęcki zastanawiał się nad odpowiedzią, starając się nie patrzeć na siedzącego w fotelu kierowcy draba. Czuł na sobie spojrzenie tej wytatuowanej góry mięcha, która prawdopodobnie musiała się nieźle nagimnastykować, żeby wleźć do auta. I zapewne bardzo nie chciała go opuszczać.

– Chcesz wiedzieć, czy jestem trzeźwy? – Kawęcki odpowiedział pytaniem.

Siedzący na tylnym siedzeniu Roman skinął głową przez uchyloną szybę. I chyba lekko się uśmiechnął. A przynajmniej nieznacznie poruszył kącikami ust.

– Nie mam pojęcia – powiedział Kawęcki. – Nigdy nie sprawdzałem, jak szybko parują ze mnie promile.

Roman obojętnie wzruszył ramionami.

– Zaryzykujemy. Wypad! – rzucił do kierowcy, który wysiadając, zatrzęsł samochodem, jakby wychodził z kajaka. – Zrobimy sobie małą przejażdżkę po Łodzi.

Olbrzym wcisnął Kawęckiemu kluczyki w dłoń, jak gdyby chciał wypalić mu na skórze stygmat, po czym niezadowolony podreptał do Hydry. Kiedy zniknął w lokalu, były policjant rozejrzał się dookoła. Zastanawiał się, czy nie padł ofiarą brodatego żartu. Czy ktoś nie nagrywa go ukrytą kamerą. Czy nie

uczestniczy w jakiejś durnej grze albo reality show. Ciężko sapnął. W końcu bez przekonania usiadł za kółkiem.

Potrzebował mniej więcej minuty, żeby wyregulować odsunięty maksymalnie fotel i rozeznąć się w kokpicie nowiutkiego bmw. Kiedy to zrobił, uruchomił silnik, który powitał go stłumionym rykiem.

– Dokąd jedziemy?

– Na razie przed siebie – odparł Roman. – Będę cię na bieżąco instruował.

– Nie możesz sam poprowadzić? Takie z ciebie panisko, że wszędzie trzeba cię wozić?

Kawęcki odwrócił się do tyłu. Roman odłożył gazetę, którą przeglądał od paru minut, i uniósł okaleczoną lewą dłoń. Kawęcki długo wpatrywał się w jego kikut. Jakby zapomniał, że na początku tej kończyny znajduje się jej właściciel. Jakby marzył o tym, żeby dostać w zęby.

– Okej, to wiele tłumaczy – przyznał Kawęcki. – Ale nie wyjaśnia, dlaczego siedzisz z tyłu. Nie jesteś panią Daisy, a ja nie jestem, kurwa, Morganem Freemanem. Jeśli chcesz, żebym gdzieś z tobą pojechał, musisz usiąść z przodu.

Kawęcki widział, jak nieruchoma twarz Romana się zmienia. Jak nasiąka nieprzeniknionym mrokiem. Tak jak wtedy, kiedy widział się z nim po raz pierwszy. Gdy poznał go w barze. Gdy usłyszał od niego, że zamierza go zabić. I gdy na koniec – w akcie brawury, głupoty, szaleństwa albo wszystkiego naraz – zgarnął mu sprzed nosa drinka, czym praktycznie przypieczętował na siebie wyrok. Tylko szczęściu, kreatywności i może jeszcze szczególnemu urokowi osobistemu zawdzięczał to, że jeszcze żyje.

Roman po długim wahaniu wysiadł z auta i przeniósł się na przednie siedzenie.

Kawęcki czuł się co najmniej niezręcznie, siedząc w fotelu wygrzanym przez jakieś nasterydowane monstrum i prowadząc samochód należący do swojego niedoszłego zabójcy. W zapadającym zmroku jeździł po łódzkich osiedlach – Teofilowie, Żabieńcu oraz Złotnie – i wysłuchiwał opowieści zdziwaczałego gangstera o jego przeszłości. Roman pokazywał mu domy, w których mieszkał.

Prezentował puby i restauracje, gdzie umawiał się na randki z dziewczynami poznanymi po przyjeździe z Gruzji. Opowiadał o miejscach, w których pracował, zanim postanowił stworzyć organizację przestępczą. Zasypywał go ckliwymi anegdotkami. Zachowywał się tak, jakby starał się nawiązać z nim więź, która będzie znacznie wykraczać poza ich bieżącą współpracę.

– Jest jakiś konkretny powód, dla którego opowiadasz mi te historie? – spytał Kawęcki w momencie, kiedy ich sentymentalna podróż zaczęła dobiegać końca.

– Chciałem, żebyś mnie lepiej poznał.

– Po co?

Zerknął na Romana, ale ten tylko enigmatycznie się uśmiechnął. Kawęcki wiedział już, że ten uśmiech nie daje odpowiedzi. I że nie jest emanacją radości.

– Bardziej od twoich łódzkich początków interesują mnie dwie rzeczy.

– Co takiego?

– O ile się orientuję, jesteś całkiem przedsiębiorczym człowiekiem. Przywozisz różne towary ze Wschodu, żeby mieć przykrywkę dla handlu narkotykami, psami, jakimś podrabianym badziewiem i kradzionymi furami. Ale po jaką cholere handlujesz także ludźmi? – Zerknął na Romana. – Po co sprowadziłeś tira z Ukraińcami, którego przechwycił Kostka? Co zamierzałeś zrobić z tymi ludźmi? Przecież to były głównie kobiety i dzieci. Chyba nie chciałeś sprzedać ich do niemieckich burdeli.

Kawęcki wytrzymał świdrujące spojrzenie Romana. Czekał na odpowiedź, wyjaśnienie albo chociaż jakąś zawołowaną sugestię, ale gangster uparcie milczał.

– Powiedziałeś, że ciekawią cię dwie rzeczy – odezwał się wreszcie. – Jaka jest ta druga?

Kawęcki nie zwlekał.

– Co ci się stało w rękę?

Roman popatrzył na nierówną powierzchnię kikuta. Przez dłuższą chwilę przywoływał wspomnienia. Potem wyciągnął z kieszeni marynarki okrągłe pudełko tabletek i wrzucił dwie do ust. Połknął je bez popijania. Kiedy już się

wydawało, że zlekceważy kolejne pytanie, spojrzął w stronę Kawęckiego i powiedział:

– To się stało w Gruzji. Kiedy byłem mały, pies odgryzł mi palce. Dog argentyński. To jeden z powodów, dla których wiele lat później zacząłem nimi handlować. Wiedziałem, do czego są zdolne.

– Jak do tego doszło?

– Pies należał do policjanta, który zastrzelił mojego ojca, a potem przez wiele lat prześladował moją rodzinę. Któregoś dnia poszedłem do niego. Chciałem się dowiedzieć, dlaczego to robi. Czym ojciec mu podpadł. Dlaczego się nad nami znęca. Ale nie dostałem żadnych odpowiedzi. Facet nie chciał ze mną rozmawiać. Zamiast tego spuścił z łańcucha psa. – Roman uniósł kikut, żeby Kawęcki mógł mu się lepiej przyjrzeć. – Jak się pewnie domyślasz, ten policjant już nie żyje. Spłonął we własnym domu. Razem z żoną, dwiema kilkuletnimi córkami i oczywiście psem.

Kawęcki dał sobie kilkanaście sekund na przetrwanie tych informacji.

– Dlatego musiałeś wyjechać z Gruzji? Bo zabiłeś policjanta?

Roman wolno potrząsnął głową.

– Wyjechałem, bo straciłem wiarę w ten kraj. W ludzi, którzy w nim mieszkają. Stałem się wyznawcą destrukcji. A kiedy już pozbyłem się ludzi, których szczerze nienawidziłem, dalsze życie w tym miejscu przestało mieć dla mnie jakikolwiek sens.

Kawęcki spojrzął na gangstera, licząc na to, że to nie koniec historii. Ale ten nie miał ochoty jej ciągnąć. Przymknął oczy i potylicą dotknął zagłówek. Gdyby nie palce prawej dłoni, którymi nieustannie bębnił w drzwi, można by pomyśleć, że zasnął.

Niedługo później Kawęcki wbił się w ciąg samochodów sunących aleją Kościuszki na południe. Po kilku minutach jazdy ponownie wylądowali pod Hydrą. Gdy tylko zaparkował, z lokalu wyłonił się łysy mutant. Tym razem w towarzystwie Quentina.

– Przez jakiś czas nie będziemy się spotykać – oznajmił Roman, który nadal z zamkniętymi oczami opierał się o zagłówek. – Cieszysz się?

– Rzadko się z czegoś cieszę.

– A powinienes?

– Teraz czy ogólnie?

Roman w końcu oderwał się od fotela. Przetarł kłykciami oczy i uśmiechnął się do Kawęckiego.

– Chciałbyś powiedzieć coś jeszcze, zanim znikniesz?

Kawęcki wskazał palcem Quentina, który mordował go wzrokiem, odkąd stanął przed lokalem. A właściwie odkąd się poznali.

– Uważaj na niego – powiedział Tomek. – Gdyby mógł, toby ci odgryzł głowę.

– Gdyby mógł – powtórzył Roman.

Ponownie uniósł kąciki ust. Tym razem był to uśmiech. Ale nadal miał niewiele wspólnego z radością.

Sekretarka niepewnie zapukała do drzwi gabinetu Adama Wargi, a następnie nieznacznie je uchyliła. Jej małą głowę, ledwie wetkniętą w szparę między drzwiami a ościeżnicą, prokurator przywitał złowrogim spojrzeniem, mimo że nie wyglądał na szczególnie zarobionego. Siedział za biurkiem wciśnięty w brudny i poszarpany fotel, silnie kontrastujący z pozostałymi meblami w niemal sterylnym pomieszczeniu, i wpatrywał się w przyklejone do ściany gigantyczne puzzle przedstawiające bliżej nieokreśloną sielankową scenerię. Relaksował się. Zbierał siły. I to raczej nie na pracowitą końcówkę dnia, lecz na poderwanie się z fotela i powrót do domu.

– Ma pan gościa – oznajmiła sekretarka.

– Z nikim się nie umawiałem – odburknął Warga, zerkając na zegarek.

– To pan Halbert.

Prokurator rozdziawił usta, jakby nagle przestał panować nad oddechem. Poprawił się w fotelu i rozprostował koszulę. Dał sekretarce znak, że może

wpuścić gościa. Czekaając na niego, zaczął nerwowo wodzić rękoma po biurku. Chciał je wysprzątać, ale właściwie nie miał z czego.

Po mniej więcej trzydziestu sekundach Zbigniew Halbert wkroczył pewnym krokiem do biura prokuratora, zupełnie jakby wchodził do własnego gabinetu. Usiadł naprzeciwko Wargi, nie racząc się z nim przywitać. W dobrze skrojonym szarym garniturze, z nieruchomą, posagową twarzą i skoncentrowanym wzrokiem nie pozostawiał wątpliwości co do tego, czym się na co dzień zajmuje. Rządzeniem. Wydawaniem poleceń. Naginaniem ludzi i rzeczywistości do swoich potrzeb.

Warga znał Halberta w dwóch wydaniach: prywatnym i zawodowym. W tym pierwszym był niechlujnym, roześmianym, niepanującym nad emocjami facetem. Robiącym to, na co ma ochotę. To, do czego zmusza go haj. I z reguły znacznie więcej, niż pozwala na to elementarna przyzwoitość. W drugim wydaniu był zimnym, opanowanym, cyzelującym słowa człowiekiem interesu. Wyrachowanym, nietracącym czasu skurwielem, który dla wzmocnienia swojej pozycji gotów byłby sprzedać własną matkę.

Tego dnia wszedł do biura Wargi w trybie zawodowym. I sądząc po oschłym powitaniu, nie zamierzał długo w nim zabawić.

– Znalazłeś go? – zapytał.

– Jeszcze nie.

Halbert wymownie sapnął. Doskonale wiedział, że Warga nic w tej kwestii nie zdołał, ale chciał podkreślić swoje niezadowolenie.

– A co zrobiłeś, żeby go znaleźć?

– Moi ludzie cały czas obserwują mieszkanie Możejki. Przez dwadzieścia cztery godziny na dobę śledzą jego najbliższych: rodziców i siostrę. Nie spuszczaemy z oczu nawet dilerka, u którego się ostatnio zaopatrywał. Oprócz tego sprawdzamy jego telefon i monitorujemy aktywność w sieci.

Halbert wygiął usta w dzióbek. Wolno pokręcił głową.

– To za mało. Załóż Mioduszewskiej ogon. Prędzej czy później Możejko spróbuje się z nią spotkać. Bez względu na ryzyko.

Warga odgarnął grzywkę, która skleiała się z jego spoconym czołem.

– Obserwowaliśmy ją, gdy wychodziła ze szpitala. Wyglądała na nieźle przestraszona. Nieustannie rozglądała się na boki, jakby spodziewała się kolejnego ataku. Jeśli przydzielimy jej kogoś na stałe, zorientuje się, że jest obserwowana.

Halbert się uśmiechnął. Po raz pierwszy podczas tego spotkania. Prawdopodobnie po raz pierwszy tego dnia.

– No to co? – spytał. – Przecież nie chcemy ich zabić, tylko żeby się nas bali. I żeby nie zrobili już nic głupiego. – Spojrzał na zegarek. – Nie spuszczać Mioduszewskiej z oka. I znajdź Możejkę. A jak już to zrobisz, daj mi znać. Musimy go ukarać.

Podniósł się z krzesła. Odwrócił się o dziewięćdziesiąt stopni i zawiesił wzrok na puzzlach. Lekko przekrzywił głowę, jak gdyby chciał się lepiej przyjrzeć jakiemuś fragmentowi układanki.

– Za moment mamy wybory samorządowe – powiedział. – Muszę się na nich skoncentrować. A to oznacza, że nie będę miał czasu na głupoty. Nie chciałbym się dowiedzieć z prasy, że coś spierdoliłem.

– Jeszcze nic nie spierdoliłem. I nie spierdolę.

Halbert wbił w Wargę wyzuty z emocji wzrok. Nie mrugał. Nie poruszał twarzą. Przypominał androida, któremu zapomniano zaprogramować emocje.

Widząc, jak z nalanej gęby Wargi zaczyna spływać pot, zrozumiał, że osiągnął cel. Sprawił, że tłuścioch panicznie się go boi. A nic tak go nie cieszyło jak czyjś strach. To on był źródłem jego siły.

Przed opuszczeniem gabinetu posłał Wardze jeszcze jeden uśmiech. Drugi tego dnia. I z całą pewnością ostatni.

Wchodząc do budynku firmy Megafarm, Witold spodziewał się ujrzeć coś zupełnie innego. Sądził, że siedziba jednej z największych korporacji farmaceutycznych w Polsce, każdego roku produkującej i sprzedającej miliony leków bez recepty oraz suplementów diety, okaże się gigantycznym, szczelnie strzeżonym laboratorium, w którym każdy proces chroniony jest niczym tajemnica państwowa. Że zostanie w środku naukowców w kombinezonach ochronnych i okularach. Że będzie się czuł nieswojo pośród mózgowców zatopionych w świecie, którego kompletnie nie rozumiał. Tymczasem miał wrażenie, jakby wylądował w jednym wielkim call center. Nie było tam laboratorium, naukowców ani dziesiątków hermetycznie zamkniętych pomieszczeń, do których dostępu broniły masywne dźwiękoszczelne drzwi. Były za to obszerne, gwarne, rozsiane na trzech piętrach open space’y. Ich przestrzeń wypełniało kilkaset osób siedzących przy identycznych biurkach i przyklejonych do identycznych telefonów.

– Proszę tu poczekać – powiedział recepcjonista, który przedstawił się Witoldowi jako office manager. Bez imienia. Bez nazwiska. Po prostu office manager. – Przyrowadzę Damiana.

Witold stał przed wejściem na jeden z open space’ów. Uniósł głowę. Nad szerokimi drzwiami widniały dwa angielskie slogany: *Be Creative* oraz *No pain, no gain*. Wydawało mu się, że tylko jeden pasuje do tego miejsca.

Po mniej więcej minucie recepcjonista przyprowadził Damiana Fornalę. Był to krótko ostrzyżony czterdziestoparolatek z zadziwiająco pryszczatą twarzą, jak gdyby dopiero wkroczył w okres dojrzewania. Miał na sobie białą koszulę z podwiniętymi rękawami, którą trochę zbyt głęboko wpuścił w dzinsy, przez co jego tułów wydawał się nieproporcjonalnie krótki. Nosił siwiejącą kozią bródkę. Był zziębnięty i podekscytowany. Jakby właśnie opchnął cały kontener pigułek udających leki.

– Damian Fornal, dyrektor sprzedaży Megafarmu. – Przywitał się z Witoldem, odsłaniając rząd nierównych, ostro zakończonych zębów, a następnie wycelował kciukiem za siebie. – To nasze centrum biznesowe. Dział badań i rozwoju oraz laboratorium mamy w Pabianicach – wyjaśnił, jak gdyby czytał Witoldowi w myślach. – Napije się pan czegoś? Kawy? Herbaty?

– Dziękuję. Przejdźmy od razu do rzeczy. Możemy gdzieś spokojnie porozmawiać?

– Pewnie.

Fornal ruszył wąskim, kolorowym korytarzem, z którego wyrastały kolejne pomieszczenia. Ich nazwy pochodziły od tytułów znanych filmów i seriali medycznych: „Przebudzenia”, „Panaceum”, „Dr House”.

– To mój pomysł. – Wycelował palcem w tabliczkę z napisem „MASH”. – Zrobiliśmy to, żeby było weselej. Żebyśmy nie żyli wyłącznie targetami i deadline’ami. Zarząd nie przyjął tylko jednej zaproponowanej nazwy.

– Jakiej?

– „Lot nad kukułczym gniazdem”. Jeden z wiceprezesów uznał, że mogłaby godzić w powagę firmy. Straszny z niego sztywniak.

Uśmiechnął się przelotnie, ale zaraz potem ponownie ruszył korytarzem, zaglądając przez szybę do kolejnych sal i szukając pierwszej, która będzie wolna. Witold zorientował się, że to typ człowieka, który żyje szybko, myśli szybko i mówi szybko. Nielubiący tracić czasu. Na przykład na rozmowy i działania, które nie są absolutnie konieczne.

Pierwszym wolnym pomieszczeniem okazała się sala „Chirurgów”. Usiedli przy okrągłym stole konferencyjnym zastawionym kubkami po kawie i plastikowymi talerzykami. Na środku stał rząd butelek z wodą i sokiem pomarańczowym. Fornal wskazał dłonią napoje, ale policjant pokręcił głową.

– Jak to się stało, że weterynarz wylądował w korporacji farmaceutycznej? – zapytał Witold.

– Kasa. – Fornal rozciągnął twarz w uśmiechu. – Zdecydowała o tym wyłącznie kasa. Jako weterynarz zarabiałbym, nomen omen, psie pieniądze.

– Poważnie?

– Oczywiście, że tak. Przynajmniej jak na lekarskie warunki. Tutaj już od paru lat zgarniam od kilkunastu do kilkudziesięciu tysięcy złotych miesięcznie. W dodatku mam spore szanse, żeby któregoś dnia dochrapać się miejsca w zarządzie. Szefowie mnie lubią i cenią za wyniki.

– Co dokładnie pan robi?

– Sprzedaję. A właściwie zarządzam ludźmi sprzedającymi leki OTC, suplementy diety i masę innego pseudomedycznego badziewia, które ludzie żrą jak cukierki. – Fornal rozłożył ręce. – Tyle w teorii. W praktyce każdego dnia próbuję zapanować nad fontanną fakapów, która wybucha co parę minut. Nie jest to prosta ani przyjemna praca, ale po każdej wypłacie na jakiś czas o tym zapominam. – Wyciągnął z kieszeni dzwoniącego iPhone’a. Wyciszył go i odłożył na stół. – Chciał pan rozmawiać o Sewerynie.

Witold kiwnął głową.

– Dobrze go pan pamięta?

– O tyle, o ile. Tak jak pamięta się ludzi, z którymi się studiowało. I w zasadzie tylko studiowało. Seweryn nie był osobą szczególnie zaangażowaną w życie pozauczelniane. Nie wychodził na piwo. Nie spotykał się z nikim po zajęciach. To odludek, z którym trudno było nawiązać kontakt.

– Jeden z pana dawnych kolegów zeznał, że byliście z Kostką dosyć blisko.

Fornal pokręcił głową.

– Byłem z Sewerynem bliżej niż większość ludzi ze studiów, ale to nie oznacza, że dobrze go znałem.

– Co może pan o nim powiedzieć?

– Pewnie to, co już pan słyszał na jego temat. To zamknięty w sobie dziwak. Niezbyt wylewny i unikający towarzystwa. Prawdę mówiąc, zadawałem się z nim z dwóch powodów. Po pierwsze, było mi go żal. Współczułem mu. Nigdy nie potrafiłem być obojętny wobec ludzi, których inni ignorowali albo wytykali palcami. A po drugie, Seweryn dobrze się uczył. Znakomicie prowadził notatki. I chętnie się nimi dzielił. Przynajmniej ze mną. Wiem, że to nie brzmi najlepiej, ale zadawałem się z nim ze względów czysto pragmatycznych: żeby uciszyć sumienie i łatwiej przebrnąć przez studia.

Fornal sięgnął po telefon, który zadygotał na stole. Nie kłamie z tymi fakapami, pomyślał Witold. W ciągu następnych paru minut Fornal dostał kilkanaście wiadomości. Spadały na niego w lawinowym tempie.

– Długo myślałem, co mogę o nim powiedzieć – oznajmił, odpisując na jedną z wiadomości. – Zastanawiałem się, czy zapamiętałem coś, co mogło świadczyć o tym, że Seweryn nie jest najnormalniejszy. Szukałem dowodu na jego psychozę. Ale nic takiego nie znalazłem.

– Na pewno?

Fornal potrząsnął głową.

– Przypomniałem sobie natomiast kilka ciekawych faktów z jego życia. – Odłożył telefon i zerknął na Witolda, który wyraźnie się ożywił. – Wyobraża pan sobie, że w wieku dwudziestu pięciu lat Seweryn wciąż był prawiczkim?

– Skąd pan to wie?

– Kiedyś go upiłem. Ten jeden jedyny raz. Zaprosiłem go do akademika pod jakimś zmyślonym pretekstem. Postanowiłem go schlać i dowiedzieć się czegoś o nim. Za bardzo się przede mną nie otworzył, ponieważ szybko się ulotnił. Jak gdyby się przeraził, że jest pijany. Ale zanim to nastąpiło, wyśpiewał kilka rzeczy. Między innymi to, że nigdy nie zamoczył. – Fornal na chwilę zamilkł. –

Może to stąd wzięła się jego... choroba. Może to efekt skrajnej frustracji seksualnej.

– Może. Co jeszcze panu powiedział?

– Że nie dożyje starości.

– Dlaczego?

Fornal przywoływał wspomnienia, intensywnie szorując paznokciami po pryszczatej twarzy.

– Powiedział, że zamierza zrobić wszystkie istotne rzeczy w życiu, zanim się zestarzeje. Ale nie wiem, co konkretnie miał na myśli.

– Nie próbował go pan dopytać?

– Nie zdążyłem. Jak już mówiłem, szybko się zawinął. Z tego, co pamiętam, ledwo obaliliśmy dwa jabole.

Witold wyciągnął z kieszeni niewielki notatnik. Położył go na blacie i nie zaprzatając sobie głowy stukającym w telefon rozmówcą, zaczął coś notować.

– Czy Kostka był sprawnym człowiekiem? – spytał.

– Co ma pan na myśli?

– To wielki chłop. Jeśli nasze podejrzenia są słuszne, obezwładnił i skrzywdził kilka kobiet, wykorzystując swoją siłę fizyczną. Ale wiemy też, że kuleje i ma zadziwiająco małe stopy. To nam nie pasuje do jego obrazu.

Fornal uniósł brwi.

– Kuleje? Pierwsze słyszę. Nigdy nie zwracałem uwagi na jego buty, ale z całą pewnością nie kulał. Coś musiało mu się stać.

– Kiedy widział go pan po raz ostatni?

– Kilkanaście lat temu. Na zakończeniu studiów.

Witold przez chwilę intensywnie wpatrywał się w Fornalę, jakby widok jego pryszczatej gęby pomagał mu się skoncentrować. Potem zaczął coś bazgrać w notatniku.

– Czy zwykle nie jeździcie na takie rozmowy parami? – zapytał Fornal. – Dobry i zły glina? Riggs i Murtaugh?

– Kto?

– Duet z *Zabójczej broni*. Mel Gibson i Danny Glover. Nie kojarzy pan? Witold próbował odgrzebać film w pamięci, ale w końcu pokręcił głową.

– Chyba za dużo telewizji pan ogląda – powiedział.

– Albo pan za mało.

– Możliwe.

– To co z pana partnerem? Zbyt ostro zabalował? Jak Harvey Keitel w *Złym poruczniku*? – Fornal wyszczerzył ostre zęby.

– Szczerze? Nie mam pojęcia – odparł Witold. – Ale to całkiem możliwe.

– Na chuj tak dzwonisz?

– A na chuj się spóźniasz?

Chowając telefon do kieszeni, Kawęcki był niemal pewien, że za chwilę dostanie za tę odzywkę w mordę. Wytatuowany łysy facet, który przez odstające uszy przypominał wyrosniętego elfa, zbliżył się do niego niczym bokser próbujący nastraszyć rywala przed walką. Ale zamiast go uderzyć, tylko się do niego uśmiechnął.

Elf lubił agresję. A agresja lubiła jego.

Nazywał się Procent. Dawniej był popularnym, szanowanym w środowisku i budzącym lęk mokotowskim gangsterem. Ale pewnego dnia podpadł jeszcze bardziej znanemu, bardziej szanowanemu i niewątpliwie budzącemu większy lęk gangusowi. Skazał się tym samym na wieloletnią banicję. Pomógł mu ją zakończyć Mariusz Ryter, właściciel firmy Herkules. Dał Procentowi schronienie, kasę i możliwość robienia tego, w czym czuje się najlepiej. Przy okazji uczynił go swoim gorylem i chłopcem na posyłki. O dziwo, napakowanemu warszawskiemu gburowi spodobało się bycie sługusem Rytera – przypominającego niedożywnionego nastolatka gangstera, który pod przykrywką spółki sprzedającej systemy antywłamaniowe i usługi ochroniarskie rozwinął sprawną organizację przestępczą.

Życie bywa przewrotne, pomyślał Kawęcki.

Spotkali się tam, gdzie zawsze: na tyłach jednej ze szkół na Polesiu, obok betonowego boiska, które lśniło od potłuczonego szkła. Ich rozmowom z reguły akompaniowały salwy obelg wypadające z ust ganiających za piłką dzieciaków – zupełnie jak w *Ajlawju* Marka Koterskiego. Spotkania Procenta i Kawęckiego były krótkie. Trwały mniej więcej tyle, ile wypalenie jednego papierosa, góra dwóch. Tyle wystarczyło, żeby Kawęcki przekazał Procentowi informacje, z których Ryter miał zrobić pożytek.

– Choć wyjebali cię z psiarni, widzę, że nie wszystko się zmieniło – stwierdził Procent.

Wskazał brodą na dwie butelki piwa, które stały na ławce. Jedna była zamknięta. Drugą Kawęcki zdążył opróżnić do połowy.

– Nikt mnie nie wyjebał – odparł. – Sam się zwolniłem. A to – wycelował palcem w butelki – jest jedynie scenografią. Spotkaliśmy się za dnia, więc lepiej, żeby uznano nas za pijaków niż gangusów. – Popatrzył na Procenta. – Choć przez twoją aparycję trudno będzie kogokolwiek oszukać.

– Apa co?

– Przez twój ryj.

Kawęcki zapalił papierosa. Długo wpatrywał się w Procenta, który wydawał się zadowolony ze świadectwa, jakie mu przed chwilą wystawiono.

– Martwiliśmy się o ciebie – powiedział gangster, który również zapalił szluga. Następnie sięgnął po piwo i otworzył je zębami. – Myśleliśmy, że po odejściu z psiarni staniesz się bezużytecznym śmieciem. – Pociągnął spory łyk i beknął. – To zresztą jest dość ciekawe.

– Co?

– Jak ci się udaje wyciągać te informacje, skoro już nie jesteś psem? Nie masz do nich bezpośredniego dostępu, więc ktoś musi ci pomagać. A takich rzeczy ludzie nie robią za darmo. To rodzi kolejne pytanie: skąd masz na to kasę? Przecież nie z roboty na magazynie.

Procent czekał na wyjaśnienia, ale Kawęcki cały czas tępo wpatrywał się w chodnik, jak gdyby badał fakturę betonu. W dodatku ekspresowo palił

papierosa. Najwyraźniej chciał zakończyć to spotkanie szybciej niż zazwyczaj.

– Prawdę mówiąc, nadal się o ciebie martwimy – kontynuował Procent. – Zwłaszcza Mariusz. Niepokoi go, że jego źródelko w każdej chwili może wyschnąć. Albo zapić się na śmierć. – Wycelował palcem w piwo Kawęckiego. – Próbowałeś coś z tym zrobić?

– Na przykład co?

– Ograniczyć.

– Odstawiłem wódkę.

– I jak wrażenia?

Kawęcki wzruszył ramionami.

– Rządziej się upijam i więcej zapamiętuję. Ogólnie nie polecam.

Procent ze zrozumieniem pokiwał głową.

– Kiedyś też próbowałem zerwać z chlaniem. Nawet zaszyłem się na jakiś czas. Ale potem uznałem, że nie ma sensu się katować. Albo jesteś pijakiem, albo nie. Jeżeli lubisz łąć, to nie powinieneś wyrzekać się czegoś, co leży w twojej naturze.

Kawęcki wyrzucił peta na chodnik. Uniósł głowę.

– Głębokie – powiedział. – Powinieneś zostać twarzą jakiejś kampanii antyalkoholowej.

Procent zaśmiał się chrapliwie, jakby uruchamiał dawno nieużywany silnik. Następnie potrząsnął głową, rozdmuchując na boki dym.

– Nawet nie wiesz, jak często nachodzi mnie ochota, żeby roztrzaskać twój jebany łeb.

I vice versa, pomyślał Kawęcki. Zanurkował do kieszeni kurtki i wyjął kopertę. Przekazał ją Procentowi.

Gangster zajrzał do środka.

– Tak jak się umawialiśmy? – zapytał.

– Jeśli masz wątpliwości, możesz sprawdzić. Chyba umiesz czytać.

Procent rzucił Kawęckiemu gniewne spojrzenie. Być może oberwał w czuły punkt. Ale chwilę później wypogodniał.

– Mimo wszystko cieszę się, że z nami jesteś – oznajmił. – Lubię patrzeć na twój powolny upadek.

Klepnął Kawęckiego w ramię, jakby chciał złamać mu rękę. Ruszył w stronę ulicy przez środek boiska, bezceremonialnie przerywając dzieciakom mecz. Nie był typem faceta, który dba o pozory. Ani który dba o cokolwiek.

Bartosz Adamski wydobył z kieszeni wibrujący telefon. Spojrzał na nazwisko, które pojawiło się na wyświetlaczu. Zaklął. Kilka metrów przed nim znajdowały się drzwi prowadzące do sali konferencyjnej. Za chwilę zamierzał przez nie wejść, przeprosić za spóźnienie i zluzować rzecznika prasowego, który od paru minut odpowiadał na pytania zniecierpliwionych dziennikarzy. Powinien stanąć przed grupą kilkunastu reporterów i oznajmić, że w sprawie Seweryna Kostki wciąż mają więcej pytań niż odpowiedzi. Albo – zgodnie z sugestią Dębca – że są na dobrej drodze, aby schwytać zabójcę. I że zrobią to sami. Bez pomocy z zewnątrz. Bez wsparcia obywateli. I najlepiej z dala od wścibskich pismaków.

Dlatego to nie był dobry moment, żeby się rozpraszać. Ani żeby odebrać telefon. A już zwłaszcza od prokuratora Adama Wargi.

Choć akurat na to żaden moment nie wydawał się dobry.

– Halo?

– Mamy ich! – krzyknął Warga. – Mamy tych skurwysynów!

Adamski odsunął telefon od ucha. Nie spodziewał się takiej ekscytacji.

– Kogo? – zapytał.

– Jednego z gości, którzy zgwałcili Alicję Mioduszewską.

Adamski ze zdziwienia rozdziawił usta.

– Jesteś pewien?

– Na sto procent. Zdobyliśmy nagranie, na którym widać trzech facetów w ciężkich wojskowych ciuchach, którzy przechodzą niedaleko Parku na Zdrowiu mniej więcej pół godziny po tym, jak została napadnięta. Policjant z Komendy Miejskiej, który pracuje przy tej sprawie, rozpoznał jednego z nich. Chodzi z nim na crossfit. – Warga głośno odetchnął. – Sprawca nazywa się

Borys Weliński. Jest byłym wojskowym. Podejrzewamy, że jego kumple również.

– Powiedział już coś?

– Jeszcze nic.

Adamski słyszał ciężki oddech Wargi. Dyszenie, które zwykle słyszy się w słuchawce, kiedy ktoś wbiega po schodach. Znacznie rzadziej, gdy rozmówca siedzi wygodnie w fotelu.

– To na pewno on? – zapytał ponownie.

– DNA zgadza się z tym, które pobrano z miejsca przestępstwa. To on. Teraz trzeba tylko dotrzeć do jego kumpli.

Adamski zlokalizował na korytarzu plastikowe krzesło. Klapnął na nim, jak gdyby coś nagle wyssało z niego energię. Pochylił się przed siebie i oparł łokcie na kolanach. Myślał. Nie o Mioduszewskiej i jej oprawcach, tylko o Wardze. Zastanawiał się, dlaczego tłścioch aż tak się ucieszył. I dlaczego tak wściekle rozradowany postanowił do niego zadzwonić. Było w tym coś dziwnego. Nienaturalnego. I skrajnie niepokojącego.

– Nie cieszysz się? – odezwał się prokurator.

– Na razie trawię twoje doniesienia. Na radość jeszcze przyjdzie czas.

Adamski ponownie zamilkł. Chciał wychwycić jak najwięcej odgłosów w tle. Nawet jeśli miałyby to być tylko ciężkie sapanie do telefonu.

– Dobrze, że to nie on – odezwał się Wargę po dłuższej chwili. – Że to nie Kostka. Bałem się... – zamilkł na chwilę – bałem się, że nasza sprawa zamieni się w jeszcze większy syf. A przecież już teraz nie potrafimy tego uprzątnąć.

Adamski dalej nasłuchiwał. Myślał. Analizował ten dziwaczny potok słów.

– Potrafimy – odezwał się wreszcie.

– Słucham?

– Możemy uprzątnąć nasz syf. Mamy miotłę, tylko jeszcze nie wiemy, jak jej użyć. Ale to się zmieni.

– Oby.

Warga nieoczekiwanie się rozłączył, jakby poczuł, że rozmowa zaczyna zmierzać w innym kierunku, niż sobie wymarzył. Adamski wpatrywał się w telefon jeszcze długo po tym, jak sapanie prokuratora umilkło. Następnie zerknął na drzwi, przez które już dawno powinien przejść, i wystukał lapidarnego esemesa do rzecznika prasowego. Poderwał się z krzesła. Ruszył korytarzem, oddalając się od sali konferencyjnej. Chwilę później zniknął za rogiem.

Procent zatrzymał się przed parterowym budynkiem na Gdańskiej, który od dawna wystawiony był na sprzedaż. Odstawił butelkę piwa na chodnik, beknął i zbliżył się do ściany. Rozejrzał się na boki i rozpiął rozporek. Obsikując jakieś antysemityczne bazgroły, myślał o spotkaniu z Kawęckim.

Pod pewnymi względami byli do siebie podobni. Obaj popełnili błędy, przez które musieli się nauczyć żyć na zupełnie nowych zasadach. Obaj musieli się mocno pilnować, żeby przeszłość ich nie dopadła. Obaj musieli współpracować z Ryterem – czy im się to podobało, czy nie.

Różnica polegała na tym, że Procent uważał siebie za faceta, który ma cholernie dużo szczęścia. Bo gdyby jego losy potoczyły się ciut inaczej – gdyby nie wyjechał do Łodzi, nie spotkał na swojej drodze Rytera, nie zdołał zejść z radaru tych mściwych skurwysynów z Mokotowa – już dawno byłby trupem. W przypadku Kawęckiego spełnił się najgorszy scenariusz. W efekcie z zatwardziałego wroga przestępczości zorganizowanej były pies przeobraził się w niezwykle cennego sprzymierzeńca.

Zawsze dostajesz to, na co zasłużyłeś, pomyślał Procent.

Odwrócił się w prawo. Jego wzrok przykuł niski, śniady i ponadprzeciętnie owłosiony facet w bluzie z kapturem. Dzielilo ich mniej więcej dziesięć metrów, ale tamten szybko się zbliżał. W dodatku nie spuszczał Procenta z oczu. Jakby zamierzał wlepić mu mandat za sikanie w miejscu publicznym.

– Na co się, kurwa, gapisz?! – warknął Procent.

Facet nie odpowiedział. Dalej parł przed siebie, gapiąc się na sikającego dresiarza. Poruszał się nerwowo i dynamicznie, jak gdyby w nogach miał zamontowane sprężyny. Ręce luźno bujały się wzdłuż tułowia. Procent widział tylko jedną z jego dłoni, ponieważ drugą, prawą, nieznajomy ukrywał w rękawie.

Nie podobało mu się to. Z czymś się kojarzyło. Z czymś niepokojącym.

– Pytałem, na co się, kurwa, ga...

Nie dokończył. Bo kiedy zakapturzony facet znalazł się dwa metry od niego, szybkim ruchem ręki podciągnął prawy rękaw i zrobił wykrok, aby z impetem wyrzucić przed siebie cios. Procent zdążył jedynie podciągnąć dresy i zarejestrować kątem oka błysk kastetu zmierzającego prosto w jego mordę.

Poczuł uderzenie.

Oberwał w górną część policzka, z którego momentalnie pociekła krew. Ale nie w szczękę. Nie w skroń. Nie w okolicę ucha. Nawet jeśli ten karakan złamał mu kość jarzmową i poharatał gębę, to nie zdołał go przewrócić ani oszołomić. Dlatego gdy tylko Procent otrząsnął się po ciosie, rzucił się ku nogom przeciwnika.

Nie zważając na spadające uderzenia, powalił go na ziemię. Był od kurdupła co najmniej o głowę wyższy, a do tego o jakieś trzydzieści kilogramów cięższy. Błyskawicznie wykonał dosiad i zablokował napastnikowi prawą rękę – tę z kastetem. Teraz to on miał inicjatywę. Odciągnął wielką łapę do tyłu, żeby zadać pierwszy cios. Pierwszy z wielu. Pierwszy z całej serii pierdolnięć, którymi zamierzał wetrzeć w beton mordę tego ciapatego gnoja.

Ale nie zdołał wyprowadzić żadnego ciosu.

W pewnym momencie poczuł się zablokowany. Jakby ktoś za pomocą przycisku odciął mu prąd. Przez ułamek sekundy niczego nie widział i nic nie słyszał. Po chwili ujrzał swoją rękę, która zamiast wylądować na gębie karakana, bezwładnie opadła na chodnik. Zaraz po niej osunęło się na nią całe jego cielsko.

Leżąc we własnych szczynach, Procent czuł, jak dwóch kurdupli przetrząsa mu kieszenie.

Może jednak nie mam aż tyle szczęścia, pomyślał.

A potem stracił przytomność.

Była cudna. Regularne rysy, zgrabny nos, błękitne oczy, którymi zawsze intensywnie wpatrywała się w rozmówcę. Biły od niej siła i pewność siebie. Ale też ciepło, nienachalne i niekleiste. Jak od bizneswoman o gołębiu sercu.

Witold nie mógł oderwać od Edyty wzroku, jakby nie widział jej od lat. W pewnym momencie jego zawiesziste spojrzenie stało się niezręczne dla innych. Nie tylko dla niej, ale również dla dwóch prawników siedzących po obu stronach krótkiego prostokątnego stołu, który rozświetlało wpadające przez okno popołudniowe słońce. W końcu jeden z nich, reprezentujący Edytę adwokat Ireneusz Wiśniewski, wymownie chrząknął.

– Pozwoli pan mecenas, że zrobię wprowadzenie?

Adwokat Witolda, świeżo upieczony prawnik, którego nazwiska nie mógł zapamiętać, nerwowo pokiwał głową. Nawet jeżeli znał się na rzeczy, a jego jedyną wadą był brak doświadczenia, przez obezwładniający stres zachowywał się jak kompletny idiota. Nieustannie poprawiał mankiety albo dotykał twarzy, jak gdyby się bał, że zmartwienia spowodują u niego jakąś nieodwracalną metamorfozę. Witold znalazł go przez internet. Wpisał w Google frazę „adwokat rodzinny łódź”, przejrzał kilka stron i wykonał parę telefonów. Wybrał prawnika, który okazał się najtańszy. I prawdopodobnie najslabszy. A na pewno słabszy od Wiśniewskiego, czterdziestoparoletniego wymuskanego gogusia, który dochrapał się pozycji partnera w jakiejś butikowej kancelarii.

– Szanowni państwo – rozpoczął Wiśniewski – celem naszego spotkania jest przygotowanie się do rozprawy rozwodowej, która czeka nas już za kilka tygodni. Jak rozumiem, obu stronom zależy na tym, by odbyła się sprawnie i bez niepotrzebnych emocji. Aby tak się stało, dobrze jest wcześniej ustalić, jakie są oczekiwania rozwodzących się małżonków. – Spojrzał na Edytę, a potem na Witolda. Prawnika strony przeciwnej potraktował jak powietrze. – Z doświadczenia wiem, że im dokładniej omówimy wszelkie szczegóły przed rozprawą, tym łatwiej będzie nam rozmawiać o nich w obecności sędziego. I tym

większe jest prawdopodobieństwo, że uda się przebrnąć przez cały proces, nie narażając na nieprzyjemności dzieci, znajomych, a przede wszystkim samych państwa. – Otworzył leżącą przed nim teczkę i wyciągnął z niej pierwszą kartkę. – Dlatego dzisiaj musimy porozmawiać między innymi o państwa pożyciu małżeńskim, powodach, dla których zaczęło się ono psuć, relacjach z dziećmi, a także...

Witold podniósł rękę. Jak w szkole. Jakby cofnął się o ponad trzy dekady i znów był pryszczatym, niezbyt pojętym uczniem, którego interesowało głównie to, czy jakaś lekcja nie zostanie odwołana z powodu choroby nauczyciela. Wiśniewski, nieco zakłopotany, zamilkł i oddał mu głos.

– Czy mogę najpierw porozmawiać z żoną? – zapytał Witold. – Twarzą w twarz?

Prawnik Edyty spojrzał na klientkę. Ta skinęła głową.

– Oczywiście – powiedział Wiśniewski. – Panie mecenasie, zapraszam do swojego gabinetu. Proszę dać znać, kiedy będą państwo gotowi.

Gdy prawnicy wypełzli z sali, Witold ponownie skupił się na Edycie. Miał do niej wiele pytań. Było mnóstwo rzeczy, które chciał jej powiedzieć. Ale z maksymalnie ściśniętym gardłem ciężko było mu się odezwać. Właściwie nie powinien być tym zaskoczony, ponieważ nie potrafił porozumieć się z żoną już od co najmniej pół roku. Albo i dłużej. Znacznie dłużej. Może nawet od początku ich związku.

– Jak się trzymasz? – odezwał się, żeby przerwać nieznośną ciszę.

– Dobrze. A ty?

– Nieźle.

Nieźle? Przecież jestem w kompletnej rozsypce, pomyślał. Całkowicie rozmontowany. Zdewastowany rozpadem czegoś, co uznawał za największą wartość w życiu. Za wielkie, trwałe, niezbywalne dobro.

– Znalazłem mieszkanie – powiedział. – Na Kozinach. Chciałem być blisko dziewczyn.

I ciebie, zamierzał dodać. Ale intuicja podpowiadała mu, że zabrzmiałoby to zbyt desperacko. Albo stalkersko. W każdym razie nie tak, jak miało zabrzmieć.

– Wynajmuję je od jakiegoś dziadka, który przeprowadził się na przedmieścia. – Wzruszył ramionami. – Próbuję się jakoś zorganizować. Stanąć na nogi. Wymyślić siebie na nowo.

Kurwa, zaklął w myślach. Dlaczego brzmię jak nieudacznik? Z czego jej się tłumaczę? Przecież to nie ja wymyśliłem, że chcę się rozwieść. Że nie odpowiada mi życie, które wiedliśmy. Że to wszystko – rodzina, pożycie, wspólne plany – tak naprawdę jest nic niewarte.

– Dlaczego chciałeś, żebyśmy zostali sami? – spytała Edyta.

Witold, który od początku spotkania nerwowo przebierał rękoma pod stołem, teraz położył je na blacie. Popatrzył na żonę. Wejrzał w jej wielkie błękitne oczy. W to paraliżująco piękne spojrzenie.

– Jesteś pewna, że tego chcesz?

– Tak.

– A ja nie. To znaczy... – westchnął – nie chcę tego. Jestem pewien, że nie chcę się z tobą rozstać.

Edyta popatrzyła smutno.

– Przecież już o tym rozmawialiśmy. Przyznałeś mi rację. Powiedziałeś, że tak będzie najlepiej.

– Bo w tamtym momencie nie umiałem powiedzieć nic innego. Wiesz, że nie potrafię się z tobą kłócić.

Pokręciła głową.

– Nie. Ty nie potrafisz ze mną rozmawiać. To jest nasz największy problem: nie komunikujemy się. Nie rozumiemy. Nie mamy bladego pojęcia, co nam chodzi po głowie. Zachowujemy się jak dwoje nieznajomych próbujących zagadać do siebie na przystanku.

– Nie musi tak być.

Edyta chciała to jakoś skontrolować, ale tylko zacisnęła usta. Była zimna. Wyrachowana. Jak osoba, która wszystko skrupulatnie zaplanowała. I zamierzała

trzymać się planu.

– Nie możemy tego dłużej ciągnąć – oznajmiła. – A przynajmniej ja nie mogę.

– Dlaczego?

– Przecież wiesz.

– Nie wiem.

Przyglądała mu się przez chwilę. Potem schyliła się do torebki przewieszanej przez oparcie krzesła i wyjęła telefon.

– Miejmy to już za sobą. Proszę.

Nie powiedziała tego ze złością. Raczej z rezygnacją. Jakby była wykończona tym wszystkim. Ostatnimi latami małżeństwa, które przypominały cichą wojnę podjazdową. Nie było w nich grzmotów, fajerwerków, okrzyków, oskarżeń, dram. Był ciasno zawiązany worek z emocjami, który za nic w świecie nie chciał się otworzyć. Nawet teraz.

Edyta zadzwoniła do prawnika. Oznajmiła, że mogą już przyjść. Rozłączyła się.

Od tej chwili ani razu nie spojrzała na męża.

Bartosz Adamski długo przyglądał się drzwiom wejściowym do Soboty, jak gdyby czekał, aż ktoś je przed nim otworzy. Dzięki temu nie musiałby dotykać klamki, która – sądząc po pstrokatym szyldzie i renomie tego miejsca – była jednym z wielu elementów niemytych od otwarcia lokalu. Ciężko westchnął. Nie mógł uwierzyć, że jego zawodowa przyszłość zależy od faceta, który urządził w tej mordowni swoje królestwo.

W końcu przełamał obrzydzenie i wszedł.

Czując, jak jego buty kleją się do podłogi, przemaszerował wzdłuż baru, ściągając na siebie podejrzliwe spojrzenia klientów i barmanki. Widocznie rzadko widywali mężczyzn w marynarkach. Nie odzywając się do nikogo, podszedł do Kawęckiego, który siedział na końcu lady. W mocno przygarbionej

pozycji ślęczał nad piwem. Wyglądał tak, jakby w każdej chwili mógł usnąć i przydzwonić czołem w blat.

– Które to już dzisiaj? – zapytał Adamski, wskazując palcem kufel.

– Zabawne – odparł Kawęcki. – Kilka miesięcy temu Witold zadał mi identyczne pytanie.

– I co mu powiedziałaś?

– Że liczyłem, gdy byłem mały.

– Chyba młodszy.

Kawęcki uśmiechnął się pod nosem, widząc, jak Adamski lustruje stołek barowy. Zastanawiał się, czy może na nim posadzić dupę bez uszczerbku dla swoich eleganckich portek.

– Siódme. To mój siódmy browar. Nie mam dzisiaj najlepszego dnia.

– Dzisiaj? – zdziwił się Adamski, kiedy w końcu usiadł. – Słyszałem, że przyłazisz tu prawie codziennie. Po jaką cholere?

– Dobrze mi się tu myśli.

– O czym?

– O kim – poprawił go Kawęcki. – O Kostce.

Sporym pociągnięciem wyzerował piwo. Zapalił papierosa i przywołał ręką barmankę. Na siedmiu piwach miało się nie skończyć.

– Szukam analogii pomiędzy Kostką a innymi seryjnymi zabójcami – wyjaśnił. – Lubię wierzyć, że historia się powtarza. Że wszystko, czego doświadczamy, jest tylko unaocznioną reminiscencją czyichś żyć.

Adamski wymownie wypuścił powietrze. Przypomniał sobie ostrzeżenie Witolda: nie daj się wciągnąć w jego filozoficzny bełkot.

– Jest cała masa świrów, którzy hurtowo mordowali kobiety – zauważył. – Szukasz igły w stogu siana.

– Albo gorzej.

– To znaczy?

– Słyszałeś o zabójcy gejów w Łodzi?

– Pewnie jak większość psów w tym mieście. Co go łączy z Kostką?

– Brak akceptacji. – Kawęcki zamilkł, kiedy barmanka podsunęła mu pod nos kolejne piwo. Jakby potrzebował paru sekund na cichą celebrację tego wydarzenia. – Zabójca gejów wyławiał kochanków z pikiet organizowanych w okolicach Dworca Fabrycznego, parku Moniuszki i placu Dąbrowskiego. Zdobywał ich zaufanie, dzięki czemu zapraszali go do siebie. Na przestrzeni kilku lat brutalnie zamordował siedem osób, tworząc największą niewyjaśnioną serię zabójstw w historii polskiej kryminalistyki. I to wszystko dlatego, że nie mógł się pogodzić ze swoją orientacją.

– O ile mnie pamięć nie myli, śledczy podejrzewali także inne motywy. Przypuszczali, że robił to z zemsty za gwałt, jakiego dopuścił się na nim wychowawca z poprawczaka. Albo z pobudek ekonomicznych, ponieważ każda z jego ofiar została obrabowana.

Kawęcki potrząsnął głową.

– Bzdura. Gdyby nie był gejem, nie miałby takiej łatwości nawiązywania kontaktów. Musiał być wiarygodny i przekonujący. Zwłaszcza że wyruszył na łowy niedługo po zakończeniu akcji „Hiacynt”.

– Po czym?

– W połowie lat osiemdziesiątych komuchom zamarzyło się stworzenie katalogu polskich pedałów. Pod hasłem przeciwdziałania rozwojowi epidemii AIDS milicja zaczęła zbierać dane na temat środowiska homoseksualnego. W ten sposób powstało około jedenastu tysięcy różowych teczek.

– No dobra, ale jak to się ma do Kostki?

– Zabójca gejów prawdopodobnie traktował swój pociąg do mężczyzn jako nieuleczalną dysfunkcję. Nie mogąc znaleźć na nią lekarstwa, postanowił rozprawić się z ludźmi, którzy w jego mniemaniu stanowili jej źródło. To był jego sposób na neutralizację zaburzenia. Kostka także zмага się z czymś, co uważa za dysfunkcję. Może to być impotencja albo aseksualizm. Coś, co nie współgra z wyobrażeniem typowego mężczyzny. – Kawęcki zgasił peta w przepelnionej popielniczce. – Tyle że w przeciwieństwie do zabójcy gejów Kostka dobudował do tego ideologię religijną, która chroni takich jak on.

Dlatego nie wyżywa się na facetach zmagających się z tą samą dysfunkcją, tylko na osobach dokładnie przeciwnych, kobietach bardzo aktywnych seksualnie.

– Ciekawa teoria, ale kompletnie bezproduktywna – stwierdził Adamski. – Nie wiem, w jaki sposób twoje rozważania mogłyby doprowadzić nas do Kostki.

– Na razie doprowadziły mnie do smutnych wniosków. Bo jeśli historia się powtarza, to Kostka pozostanie bezkarna. – Kawęcki zerknął na rozmówcę. – Jedną z teorii głosi, że zabójca gejów nie został schwytany, ponieważ zmarł na AIDS. Ale według mnie po prostu zapadł się pod ziemię. Podejrzewam, że Kostka opracuje własną interpretację zniknięcia. – Pociągnął spory łyk, jakby musiał przepłukać gardło po tej historii. – Najgorsze jest to, że pewnie już zawsze będziemy tkwić w niewiedzy. Nigdy w pełni nie zrozumiemy, z czego wzięły się te wszystkie zabójstwa i co miały oznaczać. Przywykliśmy do życia w silnie stechnicyzowanym społeczeństwie, przez co nie potrafimy pogodzić się z tym, że zdarzają się jeszcze dziedziny, o których nie mamy bladego pojęcia. Których nie jesteśmy w stanie rozebrać na czynniki pierwsze, nazwać i sklasyfikować. Na przykład człowiek.

Adamski zmarszczył brwi.

– Strasznie przygnębiający z ciebie facet.

– Nie jesteś pierwszą osobą, od której to słyszę. – Kawęcki popatrzył na naczelnika. – Dlaczego tu przyszedłeś?

Adamski rozejrzał się po lokalu, jakby się bał, że ktoś może go usłyszeć.

– Jak pewnie się domyślasz, idea, aby wciągnąć cię do śledztwa, nie wyszła ode mnie. Właściwie początkowo uważałem, że to najgorszy pomysł na świecie. Ale Witold mnie przekonał, że potrzebujemy twojej pomocy.

– Bo to prawda. – Kawęcki posłał mu arogancki uśmiech. – Powinniście oddać mi swoje pensje.

Adamski poderwał się ze stołka. Patrząc na Kawęckiego z góry, włożył gumę do ust. Zaczął ją młócić zębami.

– Potraktuj jako gratyfikację to, że do czasu schwytania Kostki nie będę się interesował twoją przeszłością. Tym, o co podejrzewali cię ludzie

z wewnętrznego. Oni odpuścili temat. Zadowolili się tym, że zrezygnowałeś ze służby. Ale ja nie odpuszczam. Nigdy. Kiedy skończy się ten burdel, dowiem się, co odjebałeś. I jeśli mi się to nie spodoba, sprawię, że za to bekniesz.

Przez kilka długich sekund mierzyli się wzrokiem.

– Pamiętaj tylko o jednym – odezwał się Kawęcki. – To sprawa, w której nie należy się spodziewać szczęśliwego zakończenia. Może się okazać, że po wszystkim nie będziesz miał kogo ścigać. Albo nie będziesz w stanie tego zrobić. – Wzruszył ramionami i również zsunął się ze stołka. – Idę do kibla. Jeżeli nie zamierzasz za mnie zapłacić, po powrocie wołałbym cię tu nie spotkać.

Adamski zastanawiał się przez chwilę, czy nie powinien dać Kawęckiemu w mordę. Czysto profilaktycznie. Aby odpowiednio ustawić ich relację. Ale zamiast tego ruszył do wyjścia. Nie zamierzał spędzić w tej spelunie ani sekundy więcej.

Marcelina zerknęła na różowy zegarek. Dwudziesta pierwsza. Wiedziała to, zanim sprawdziła godzinę, ponieważ podwórko opustoszało. Rodzice wezwali dzieci do domu, wydzwanając na ich nowiutkie smartfony albo wołając z okien. Dzięki temu została na dworze zupełnie sama.

Nareszcie, pomyślała.

Zniknęły wszystkie drwiące spojrzenie. Zniknęły śmiechy. Wytykanie palcem. Złośliwe uwagi. Plotki. Przewiska. Zniknęło wszystko to, co tak często doprowadzało ją do łez.

Przyjrzała się ośmiu ponumerowanym kwadratami narysowanym na chodniku. Często zazdrościła rówieśniczkom, które w to grały. Z reguły dobrze się bawiły. Ale nigdy razem z nią. Jakby im podpadła swoim milczeniem. Nie próbowały jej zrozumieć. Nie interesowały się tym, dlaczego jest taka małomówna. Dlaczego krąży po podwórku sama, przyglądając się im z oddali. Dlaczego czasem marzy o tym, żeby nie istnieć. Żeby się nigdy nie urodzić.

Stała kilka metrów przed narysowaną na chodniku planszą. Wyrzuciła przed siebie kredę, którą dotąd ważyła w dłoni. Jedyńka. Trafiała za pierwszym

razem. Zadowolona z siebie zaczęła skakać: jedna stopa na jedynekę, jedna na dwójkę, jedna na trójkę, dwie stopy równolegle na czwórkę i piątkę, ponownie jedna na szóstkę, a potem jeszcze raz dwie na siódemkę i ósemkę. Udało się. Podskoczyła, obracając się w powietrzu o sto osiemdziesiąt stopni, a następnie ruszyła w drogę powrotną. Jedna stopa, dwie, jedna, jedna, jedna. Lądując na jedynce, schyliła się po kredę, po czym energicznie wyskoczyła z planszy. Wyszło idealnie. Tak jak to sobie wyobrażała, kiedy z oddali przyglądała się koleżankom.

Dopiero gdy znalazła się na miejscu startu, podniosła głowę. Nie była sama. Przed nią stał ogromny mężczyzna w czarnym płaszczu. Miał długą czarną brodę i czapkę z daszkiem. Znad jego okrągłych policzków wyłaniały się wąsko osadzone oczy. One również były czarne.

– Gra w klasy – odezwał się mężczyzna. Widząc zdziwienie na twarzy dziewczynki, wycelował palcem w planszę. – Tak to się nazywa. Nie wiedziałaś?

Marcelina pokręciła głową. Zdziwiła się, że ten pan się tym zainteresował. A jeszcze bardziej się zdziwiła, gdy wyciągnął przed siebie wielką dłoń.

– Podaj mi kredę – powiedział.

Spełniła jego polecenie i odsunęła się na bok. Mężczyzna, niespecjalnie celując, wyrzucił przed siebie kredę. Ósemka. Nie trafił w jedynekę, ale chyba szczególnie mu na tym nie zależało. Podszedł na miejsce startu. Zatrzymał się przed utworzonym z kwadratów polem i popatrzył na nie z góry. Marcelinie wydawał się tak ogromny, że mógłby z miejsca przeskoczyć całą planszę. Ale on pokonał ją tylko w myślach, wirtualnie, celując palcami w kolejne kwadraty i mrużąc coś pod nosem.

– Grałem w to, kiedy byłem w twoim wieku – powiedział. – Tak jak ty, sam. Zawsze sam. – Odwrócił się do dziewczynki. – Masz dziewięć lat, prawda?

– Dziewięć i pół – odparła.

– Czyli dziewięć. I nazywasz się Marcelina?

Pokiwała głową.

– A pan?

– To bez znaczenia. Moje imię i tak nic ci nie powie.

Dziewczynka nie miała pojęcia, skąd on zna jej imię. Próbowała sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek go widziała: w domu, w szkole albo na podwórku. Bez skutku.

– Chodzisz do kościoła? – zapytał, a Marcelina energicznie pokiwała głową.
– Jak często?

– Raz w tygodniu.

Mężczyzna odwrócił się do dziewczynki. Posłał jej surowe spojrzenie.

– A dlaczego chodzisz do kościoła?

– Bo tak trzeba.

– Kto tak powiedział?

– Moja mama.

Mężczyzna zerknął w stronę jej bloku i wyciągnął przed siebie palec. Celował w okno, w którym każdego dnia Marcelina wypatrywała matki.

– Modlisz się w domu? – zapytał.

Dziewczynka przytaknęła.

– O co się modlisz?

– O różne rzeczy.

– O co?

Marcelina spojrzała mężczyźnie w oczy, ale zaraz potem spuściła wzrok. Miał w sobie coś, co ją przerażało. Coś, co sprawiało, że chciało jej się płakać. Mogła to być jego potężna sylwetka. Albo dziwaczny, nienaturalny wygląd. Albo głos. Wysoki, nosowy, niepasujący do wielkiego cielska. Jak u osoby nienawykłej do mówienia.

– Po prostu się modłę – odparła, gapiąc się w beton.

Zbliżył się do niej. Poklepał po głowie. Czują, jak zostawia na jej włosach drobiny kredy.

– Twój ojciec jest policjantem, prawda?

Pokiwała głową.

– Zna pan mojego tatę?

– To zagubiony człowiek. Słaby. Łatwo poddający się pokusom. – Spojrzał w dół. Na dziewczynkę, której małeńka głowa w całości mieściła się w jego dłoni. – Jest zepsuty. Tak jak ty, mała kurewko.

Marcelina poczuła ucisk na głowie, nasilający się z każdą sekundą. Kiedy jęknęła z bólu, mężczyzna cofnął rękę. Następnie zanurkował do kieszeni. Wyjął zawiniątko, które zmieściło się w aromatyzowanej chusteczce.

– Przekaż to swojemu ojcu – powiedział, podając je dziewczynce.

– Co to jest?

– Palec. – Uśmiechnął się do niej, prezentując paskudny dziąsłowy uśmiech.

– Nie zgub go.

Marcelina długo wpatrywała się w zawiniątko. Palec. Wiedziała, że niektóre wyrazy mają wiele znaczeń. Michałek, piłka, babka, pilot. Palec też miał więcej niż jedno. Mógł być częścią ciała albo przekąską. Ale temu dziwnemu panu chyba nie chodziło o przekąskę.

Chciała go o to zapytać, ale nie zdążyła. Mężczyzna błyskawicznie się oddalił. Zniknął w mroku, który długimi mackami oplótł całe osiedle.

Witold próbował wywęszyć, czy Kawęcki jest trzeźwy. Dosłownie. Zamknął wszystkie okna w samochodzie i zaczął poruszać nozdrzami jak drapieżnik na polowaniu. Poczł charakterystyczny kwaśny zapach. Kacowy smród wydzielany przez skórę i usta Kawęckiego. Do tego delikatny fetor potu, który produkowało jego obabuchane grubą kurtką ciało. Ale na szczęście Kawęcki nie cuchnął świeżo wypitą gorzałą. Nie był pijany. Nie zaczął tego dnia od zrobienia z siebie nasączonego wódą ścierwa. I najwyraźniej nie upodlił się w piątek na tyle, żeby następnego dnia rano nie móc się zwlec z łóżka.

– O co chodzi? – spytał Witold, zerkając na Kawęckiego, który uśmiechał się do ekranu smartfona. – Dlaczego jesteś taki zadowolony?

– Bez powodu.

– Jest sobota. Dziewiąta rano. Zaczł się październik. Pada deszcz. W dodatku jedziemy do Pabianic, a ty rżysz do telefonu. To nie jest normalne.

– Żeby rzeć, musiałbym wydawać z siebie jakieś dźwięki.

Kawęcki schował telefon do kieszeni. Nadal się uśmiechał.

– Wolę, gdy jesteś smutny – powiedział Witold, ponownie skupiając się na drodze. – Wydajesz się wtedy normalniejszy.

Czuł, że popełnia gruby bład, wciągając Kawęckiego do śledztwa. Że kompromituje się prywatnie, zawodowo i na każdej innej płaszczyźnie, skoro

podejmuje współpracę z przestępcą. Z zabójcą wplątanym w gierkę jakiegoś cwane go gangstera. Jakby ponownie wchodził do rwącej rzeki, która już raz go wciągnęła, przeżuła i wypluła na brzeg z połamanymi nogami i wstrząśnieniem mózgu.

Czuł również, że nie ma wyboru. Że – jakkolwiek absurdalnie to zabrzmie – tylko współpraca z tym zblazowanym, odpychającym, irytującym, a przy tym zadziwiająco bystrym facetem może doprowadzić do schwytania Kostki. A przy odrobinie szczęścia także kilku innych.

– Policjanci znaleźli jednego z facetów, którzy zgwałcili Alicję Mioduszewską – oznajmił Witold.

Kawęcki, dotąd przyklejony do szyby, sprawiający wrażenie uwięzionego w półśnie, odwrócił się w jego stronę.

– Dopiero teraz mi o tym mówisz?

– Najpierw znaleźli nagranie, na którym widać trzech gości w wojskowych ciuchach wychodzących z Parku na Zdrowiu. Potem jakiś funkcjonariusz z Komendy Miejskiej rozpoznał jednego z nich. Nazywa się Borys Weliński. Badanie DNA potwierdziło, że to on napadł na dziennikarkę. Teraz trzeba tylko dorwać jego kumpli.

– Łatwo poszło, co?

– Podejrzanie łatwo. Dlatego w przyszłym tygodniu wybieram się do aresztu pogadać z tym facetem. Nie proponuję, żebyś do mnie dołączył, boby cię nie wpuścili.

– I tak bym nie pojechał. Nie chciałbym tracić czasu na faceta, który pewnie już dawno opracował całą litanię kłamstw. Powinniście wysłać do niego stażystę.

– Kawęcki ponownie spojrzał na Witolda. – Chyba nie sądzisz, że ten Weliński poda ci Wargę na tacy.

– Nie, ale może się czegoś dowiem. Czegokolwiek.

– Moim zdaniem powinieneś udawać, że gównu cię obchodzi Miodusze wska. Idąc tam, tylko napytasz sobie biedy.

– Już za późno. Byłem u niej w szpitalu.

Witold zamilkł. Czekał na pytanie Kawęckiego o Alicję: o jej stan zdrowia, o samopoczucie, o to, czy jeszcze kiedykolwiek będzie w stanie wrócić do normalnego życia. Ale ten zamilkł i ponownie przytulił się do szyby. Witold wiedział, że jego były partner cierpi na elementarny brak empatii. Że jest aspołecznym gnojkiem. Socjopata, który niewiele różni się od ludzi, których próbują dopaść.

Po kilkunastu minutach jazdy dotarli na miejsce. Zaparkowali pod szarym czteropiętrowym blokiem na osiedlu Piaski. Popatrzyli na pstrokate balkony, które zamiast roślin wypełniało rozwieszane na sznurkach pranie. Wypalili po papierosie i podeszli do domofonu. Chwilę później wdrapali się na trzecie piętro.

Zupełnie inaczej wyobrażali sobie spotkanie z bratem Janiny Majewskiej, matki Seweryna Kostki. Spodziewali się zobaczyć sześćdziesięciolatka, z przyjemnością – albo chociaż z umiarkowanie ograniczonym wstrętem – powracającego do czasów młodości. Do wspomnień, które przecież nie mogły być aż tak paskudne. Tymczasem schorowany, przykuty do łóżka mężczyzna, jakiego ujrzeli, zdawał się nie wiedzieć, co się wokół niego dzieje. Miał papierową cerę, cienkie siwe włosy i rozdziawione usta, z których ściekała ślina. Był całkowicie uzależniony od opryskliwego faceta w obsypanym łupieżem polo, nieustannie dotykającego wąsów. Jak gdyby nie mógł się nadziwić, że je wyhodował.

– Alzheimer – powiedział wąsacz. – Późno wykryty. Dopadł go w stosunkowo młodym wieku, przez co pieprzonym konowałam nawet nie przyszło do głowy, że może chorować na to gównno. Zdarzają mu się lepsze dni, ale przez większość czasu wygląda właśnie tak.

– A pan to kto? – zapytał Witold.

– Antoni Majewski. – Wąsacz wyciągnął rękę do policjanta. – Henryk to mój ojciec. Panowie, jak rozumiem, przyszli w sprawie potrącenia?

– Jakiego potrącenia?

– Sprzed kilku tygodni. Tata już wtedy słabo kontaktował, ale jeszcze poruszał się o własnych siłach. Kiedy byłem w robocie, wymyślił sobie, że

pójdzie po angiolkę. Ledwo zdążył wyjść z klatki. Kierowca twierdzi, że władował mu się prosto przed maskę. – Antoni wskazał palcem ojca. – Gdyby gość jechał trochę szybciej, byłoby po kłopotcie. A tak staruszek musi się męczyć. – Poruszył głową, strząsając na kołnierz kolejną lawinę łupieżu. – Skoro nie chodzi o wypadek, to co panowie tu robią?

Powiódł wzrokiem za Kawęckim, który niespecjalnie wsłuchując się w jego relację, krążył między dwoma niewielkimi pokojami dwudziestometrowego mieszkania. Zaglądał w każdy kąt. Co jakiś czas przenosił wzrok na Antoniego i kręcił głową, jakby chciał mu coś powiedzieć. Albo jakby nie mógł zrozumieć, co ten czterdziestoletni facet robi w tej odstręczającej dusznej klitce cuchnącej maścią na odleżyny i petami wysypującymi się z przepełnionej popielniczki. I dlaczego zgodził się opiekować schorowanym, poturbowanym, niekontaktującym ojcem, zamiast wysłać go do domu opieki, hospicjum albo jakiegoś innego ośrodka, w którym zajmują się tymi smutnymi resztkami ludzi.

– Interesuje nas Janina Majewska – odezwał się Witold i Antoni oderwał wzrok od Kawęckiego. – Liczyliśmy, że uda nam się porozmawiać z jej bratem. Ale wygląda, że fatygowaliśmy się na marne.

– Niekoniecznie – odparł Antoni. – Pewnie gdyby ojciec był zdrowy, toby powiedział wam więcej, ale ja też co nieco słyszałem. Ciotka Janina była dość znaną osobą w naszej rodzinie.

– A więc słyszał pan o jej dziecku?

Antoni parsknął pustym śmiechem.

– Chyba każdy w Pabianicach o nim słyszał. To dziecko było wypadkiem przy pracy. Dosłownie. Ciotka była... jak by to powiedzieć... dziwką. – Pogładził się po wąsach. – W dodatku miała problem z narkotykami. Zresztą te dwie rzeczy chyba często chodzą w parze. Mam na myśli prostytutkę i narkotyki.

– Zrozumiałem. – Witold wycelował palcem w Henryka Majewskiego. – Czy pański ojciec utrzymywał kontakt z siostrą po tym, jak porzuciła noworodka w szpitalu?

– Nie sędzę. Nigdy o takim spotkaniu nie wspominał. A ja nigdy jej nie widziałem.

– A wie pan, co się z nią później działo?

Antoni pokręcił głową.

– Wiem tylko, że wyjechała z Pabianic. Prawdopodobnie do Łodzi.

– Skąd pan to wie?

– Rozmawiałem kiedyś z facetem, z którym spotykała się w tamtym czasie. Oczywiście nie było to nic poważnego, prostytutce pewnie trudno było stworzyć normalny związek. W każdym razie tamten powiedział, że musiała się wynieść, bo nie mogła znieść klimatu, jaki zapanował w mieście po tym, co zrobiła. Czuła, że ludzie jej nienawidzą. Że każdy ma ochotę ją zlinczować. – Antoni wzruszył ramionami. – Ale moim zdaniem chodziło o coś innego. – Uśmiechnął się do Witolda. – O pieniądze. Po tej akcji z dzieciakiem musiała stracić większość klientów. Kto by chciał się bzykać z babą, która może zaciążyć, a po wszystkim jeszcze wyciąć taki numer?

Kawęcki w dalszym ciągu snuł się po mieszkaniu. W pewnym momencie zatrzymał się przed wiekową meblościanką. Majewscy trzymali w niej nieużywane naczynia, zapewne czekające na specjalną okazję, która nigdy się nie nadarzyła, stare encyklopedie oraz rodzinne fotografie. Na jednej z nich widnieli Antoni i Henryk. Wyglądali jak dwie niezbyt udane kopie jakiegoś innego człowieka. Jak dwie wersje beta, których nikomu nie chciało się dopracować. Zdjęcie zostało zrobione najwyżej kilka lat temu na rynku w Manufakturze. Wycieczka do centrum handlowego musiała być jednym z bardziej wzniosłych momentów w smutnym życiu dwóch samotnych mężczyzn.

– Gdyby ciotka Janina była trochę bliżej rodziny, pewnie zaopiekowałby się tym dzieckiem – oznajmił Antoni. – Mam na myśli swojego ojca. Był trochę dziwaczalym, ale dobrym człowiekiem. Zająłby się porzuconym bachorem tak samo jak mną. W efekcie kuzyn, którego nigdy nie poznałem, zostałby de facto moim przybranym bratem.

Patrząc na nieco skrępowany uśmiech Antoniego, Witold wolał się nie zastanawiać, czym mogłoby się to skończyć.

– Gdyby pańskiemu ojcu się poprawiło...

– Nie poprawi się. – Antoni wszedł mu w słowo. – Lekarze dają mu najwyżej kilka tygodni.

– To gdyby panu coś się przypomniało, proszę do mnie zadzwonić.

Witold wręczył mu wizytówkę.

– Właściwie nie powiedzieliście, dlaczego interesujecie się ciotką Janiną.

– Nie? – Witold zerknął na Kawęckiego, który wolno kręcił głową. – Może to i lepiej.

Kawęcki poprosił Witolda, aby wysadził go przy McDonalddie na rogu Limanowskiego i alei Włókniarzy. Począł, aż Witold odjedzie w stronę komendy, i zamiast wejść na hamburgera, ruszył w kierunku Teofilowa.

Mniej więcej pół godziny i trzy papierosy później doczłapał się do bloku na alei Pasjonistów, położonego w samym sercu mieszkaniowej części osiedla. Wybrał numer na domofonie. Przedstawił się, używając wyłącznie nazwiska. Odczekał kilkadziesiąt długich sekund, zanim usłyszał piskliwy sygnał, i zaczął się wdrapywać po schodach.

Drzwi do lokalu na drugim piętrze były otwarte, więc po prostu wszedł. Przywitał go rudy kot, który zerknął na niego nieufnie, a potem, mimo rzucającej się w oczy nadwagi, błyskawicznie pomknął na drugi koniec mieszkania, szorując pazurami po drewnianej podłodze. Kawęcki przeszedł przez korytarz, ostrożnie zaglądając do kolejnych pomieszczeń. W końcu dotarł do kuchni. Kobieta, do której przyszedł, stała oparta o blat, trzymając w dłoniach kubek herbaty. Miała na sobie znoszone dresy i grubą bluzę z kapturem. Milczała. Ale jej wzrok mówił wszystko.

– Ładne mieszkanie – stwierdził Kawęcki. – Minimalistyczne. W moim stylu.

– Czego chcesz? – warknęła Alicja Mioduszevska.

– Chętnie napiłbym się kawy. Ale twoja mina sugeruje, że mogę się jej nie doczekać.

– Jesteś prawdziwym wirtuozem dedukcji.

Kawęcki wycelował palcem w jej twarz.

– Słyszałem, że wyglądasz koszmarnie. Ale najwyraźniej ktoś wprowadził mnie w błąd.

Alicja starała się nie otwierać ust, żeby nie eksponować swoich nowych zębów, ale nie mogła się powstrzymać, by nie przejechać po nich językiem. Jakby chciała je wypchnąć. Zapomnieć, że kiedykolwiek były jej potrzebne.

– To rozwiązanie tymczasowe – powiedziała. – Bonding.

– Co takiego?

– Dentyści odbudowują połamane i powybijane zęby specjalnym kompozytem. Twierdzą, że to lepsze, a przynajmniej mniej inwazyjne rozwiązanie niż instalowanie implantów lub protezy. Jesteśmy na etapie sprawdzania, czy kompozyt może się przyjąć.

– I jak?

– Srak. Co cię to w ogóle obchodzi?

Kawęcki wzruszył ramionami.

– Masz rację. Nic mnie to nie obchodzi. Chciałem tylko jakoś zainicjować rozmowę. Na nic lepszego nie wpadłem.

– Zapytam ponownie i po raz ostatni: czego chcesz?

Kawęcki wyciągnął papierosa. Najpierw zapalił, a potem otworzył okno. Po paru sekundach na wewnętrzny parapet wskoczył kot, który najwyraźniej przestał się krępować obecnością intruza. Alicja musiała ściągnąć zwierzaka na podłogę, żeby się nie rzucił w bezpowrotną pogoń za ptakami.

– Wyjaśnijmy jedną rzecz – powiedział Kawęcki, spoglądając na kota, który wyglądał tak, jakby miał ochotę przegryźć Alicji aortę. – Nie uważam, żeby to, co cię spotkało, było moją winą. Wiedziałaś, kim są ludzie, którym nadepniesz na odcisk. Świadomie podjęłaś ryzyko. A dokładnych konsekwencji twojej

publikacji nikt nie był w stanie przewidzieć. Dlatego choć bardzo ci współczuję, nie zamierzam zadrećzać się tym, co cię spotkało.

– I co z tego?

– Nic. Po prostu chciałem, żebyś o tym wiedziała.

Alicja pociągnęła łyk herbaty. Skrzywiła się, jakby przełykała lekarstwo. Odstawiła kubek na stół i splotła ręce na piersi.

– Tylko po to przylazłeś? Oznajmić, że masz mnie w dupie?

– Nie tylko. Chciałem się upewnić, że nie zrobisz nic głupiego. Wiem, że niełatwo jest się przyznać do porażki. A jeszcze trudniej ją zaakceptować.

– O czym ty mówisz?

– Odpuść tę sprawę. Zapomnij, że próbowałaś się bawić w dziennikarkę śledczą. Postaraj się wrócić do normalnego życia.

– A co z Wargą?

– Nic. Takim jak on różne rzeczy uchodzą na sucho.

– Czyli ty też nie zamierzasz nic z tym zrobić?

– Chciałem. Nie udało się.

– I tak po prostu to zostawisz?

– Tym razem zrobię wyjątek. – Kawęcki ciężko sapnął. – Od dłuższego czasu życie mnie nie rozpieszcza i wątpię, żeby miało się to zmienić. Ale nie chcę go stracić przez jakiegoś spaślaka z prokuratury i jego zwyrodniałych kolegów. Nie zamierzam dać się zabić. I tobie radzę to samo. Spróbuj zadowolić się tym, że policja złapała człowieka, który ci to zrobił. – Wypuścił nad głowę dym, a potem skupił wzrok na Alicji. – Nie powiedzieli ci? – Wzruszył ramionami. – W takim razie przynoszę dobrą nowinę. Spróbuj się nią nacieszyć.

Kawęcki patrzył na Alicję. Na jej rozbiegany wzrok, którym strzelała we wszystkie strony, jakby straciła kontrolę nad źrenicami. Na oparte o stół dłonie, dzięki którym utrzymywała pion. Na ciało, które w każdej chwili mogło ulec implozji. W końcu wystrzelił peta za okno i zapytał:

– Co zamierzasz z tym zrobić?

Upłynęło kilkanaście sekund, zanim do Alicji dotarło, że Kawęcki oczekuje od niej odpowiedzi. Schyliła się po ocierającego się o jej nogi kota, który najwyraźniej zapomniał, że się na nią gniewa. Podniosła futrzaka na wysokość piersi i mocno przytuliła. Usiadła na plastikowym krześle. Wbiła wzrok w podłogę.

– Myślałam, że to się skończy po tym, jak zniszczyli mi samochód i nastraszyli rodzinę. Ale Warga posunął się dalej. Znacznie dalej. – Zerknęła na Kawęckiego. – Muszę odpowiedzieć mu tym samym. Zaskoczyć go. Posunąć się dalej, niż przypuszcza. Dalej, niż jestem w stanie to sobie wyobrazić. Zamierzam zniszczyć tego skurwysyna. Nawet jeśli miałabym przez to zdechnąć.

Kawęcki długo się wpatrywał w przesiąkniętą wściekłością twarz Alicji. W końcu posłał jej enigmatyczny uśmiech.

– W takim razie chyba jestem w stanie ci pomóc.

– Dawno nie mieliśmy od ciebie żadnego sygnału. Nie odpowiadałeś na telefony. Nie odpisywałeś na maile. A kiedy umówiłeś się ze swoim redaktorem prowadzącym, w ostatniej chwili odwołałeś spotkanie, nie podając żadnej przyczyny. Martwiliśmy się, że coś się stało. Prawdę mówiąc, nadal się martwimy.

Jakub Możejko nie lubił kłamać. Nie potrafił. Zwłaszcza gdy rozmawiał z ludźmi, którzy żyli z rozpoznawania łgarstw i wydobywania faktów z zaokrąglonych zdań. Którzy jedynie na podstawie tonu głosu i doboru słów potrafili stwierdzić, czy warto brać na poważnie termin, w jakim autor zobowiązał się oddać książkę. Z ludźmi takimi jak Feliks Gawroński, właściciel i prezes wydawnictwa.

– Pracowałem nad książką – wyjaśnił Możejko. – Nad reportażem, o którym rozmawialiśmy.

– Z jakim skutkiem?

– Niezłym. Naprawdę niezłym. Myślę, że w ciągu kilku tygodni prześlę pierwszą partię tekstu.

Kilka tygodni. Pierwsza partia. Możejko wiedział, że nie może być zbyt precyzyjny. Że jeśli chce zachować twarz, musi włożyć swoje plany w gigantyczne widełki. Kilka mogło oznaczać zarówno trzy, jak i dziewięć. A pierwsza partia równie dobrze mogła liczyć trzydzieści, jak i sto trzydzieści stron.

– Słyszałem o Alicji Mioduszewskiej – odezwał się Gawroński. – To straszne, co ją spotkało. Jesteś z nią w stałym kontakcie?

– Tak – skłamał Możejko.

– Jak ona się trzyma?

– Z każdym dniem coraz lepiej.

– A ty?

Możejko wiedział, co się kryje za tym pytaniem. Pod powłoką uprzejmego, inteligentnego i oczytanego bibliofila Gawroński chował prawdziwą naturę – zachłannego biznesmena. Faceta, który widzi w autorach poruszające się na dwóch nogach, zagubione, pędzące w dziwnych kierunkach tabelki Excela. Żywe rachunki zysków i strat.

– Bywało lepiej, ale jakoś sobie radzę – odparł Możejko. – Pisanie mi pomaga. Działa na mnie terapeutycznie.

Usłyszał, jak Gawroński zapala papierosa. Wiśniowego djaruma. Prezes wydawnictwa był jedyną znaną mu osobą, która kupowała papierosy przez internet. I jedyną, która tak bardzo się nimi pałowała.

– Posłuchaj. – Gawroński jeszcze bardziej spoważniał. – Kilkanaście dni temu odwiedziło mnie dwóch facetów. Pytali o ciebie. Mówili, że próbują się z tobą skontaktować, ale nie mogą do ciebie dotrzeć. Powiedziałem im, że mam ten sam problem. Twierdzili, że są z policji. Że chodzi o sprawę tej dziennikarki. Ale nie wyglądali na policjantów. Raczej na byłych wojskowych albo ludzi ze służb. – Ciężko westchnął. – Mówili, że są fanami twojej twórczości. Byli świetnie przygotowani. Popisywali się znajomością treści twoich książek. Próbowali wywęszyć, nad czym aktualnie pracujesz. Oczywiście niczego im nie

powiedziałem, twierdząc, że to nasza słodka tajemnica, ale myślę, że oni się tego domyślają. A to trochę komplikuje sprawę.

– Niby w jaki sposób?

Gawroński ponownie westchnął, a chwilę później się rozkasłał. Jego wiśniowe papieroski najwyraźniej mu nie służyły.

– Jako prezes wydawnictwa muszę dbać przede wszystkim o jego wyniki finansowe. I myślę, że twoja książka dobrze by im zrobiła. Ale jako mąż i ojciec trojga dzieci muszę myśleć o rodzinie. O jej bezpieczeństwie. A temu nie służą spotkania z dwoma smutnymi facetami, którzy zadziwiająco dużo wiedzą o mojej firmie, o mnie i o moich autorach.

Gawroński zamilkł, czekając na jakąś reakcję Możejki. Ale ten był zbyt przybity tą wiadomością, żeby cokolwiek powiedzieć.

Pochylił się na krześle. Wbił łokcie w kolana i oparł twarz na dłoni. Przypomniał sobie słowa Kawęckiego sprzed paru tygodni: „Tylko ta książka może zapewnić ci ochronę”. Usłyszał je po tym, gdy rozhisteryzowany i roztrzęsiony, na paskudnym narkotykowym zjeździe, wpadł do jego mieszkania i opowiedział mu o tym, czego się dowiedział o Zbigniewie Halbercie. O jego ukrytym życiu – pełnym narkotyków, seksu i imprez, na których krzywdzono nieletnich.

„Tylko ta książka może zapewnić ci ochronę”.

Kurwa mać.

– Rozumiem – odparł smutno. – Czyli nie ma sensu, żebym dalej pracował nad tekstem?

– Tego nie powiedziałem. Zawsze warto pisać, jeśli ma się dobry temat. – Gawroński zamilkł na chwilę. – Może chciałbyś się spotkać i o tym pogadać? Jeśli nie chcesz pokazywać się w wydawnictwie, mogę przyjeżdżać do ciebie. Musisz tylko powiedzieć gdzie...

Możejko się rozłączył. Odwrócił się w bok i wziął obszerny zamach. W ostatniej chwili powstrzymał się przed ciśnięciem smartfonem o ścianę. Przypomniał sobie, że nie należy do niego. Jego telefon był wyłączony, odkąd

zobaczył zbirów pod domem. Bał się, że go namierzą. Oni. Tajemniczy ludzie Wargi i Halberta. Skurwiele, którzy dopadli Alicję, a teraz próbują dorwać jego.

– Wszystko w porządku?

W drzwiach pokoju Możejki stanęła Zuza. Miała na sobie krótką skórzaną kurtkę, obcisłe lateksowe spodnie i brązowe buty na wysokim obcasie. Ostry makijaż dodawał jej lat. Już nie wyglądała na gimnazjalistkę, lecz na pewną siebie sucz, której lepiej nie podskakiwać.

– Tak – odparł Możejko. – Po prostu rozmowa nie do końca poszła po mojej myśli. Ale dzięki za telefon.

Podniósł się z krzesła i podszedł do dziewczyny. Oddał jej smartfona, zawieszając na niej spojrzenie. Albo mu się wydawało, albo odpowiedziała mu takim samym.

– Nie wiem, czy Przemek wspominał, ale wybieramy się na domówkę do kumpla. Może chciałbyś się przyłączyć?

– Dzięki, ale nie jestem imprezowym typem.

– Słyszałam coś innego.

Dotknęła nosa, jakby chciała się po nim delikatnie podrapać. Posłała Możejce wymowny uśmiech. Następnie wydobyła z wąskiej kieszeni tytkę wypełnioną białym proszkiem.

– Samuraj chyba nie przepada za takimi zabawami – zauważył Możejko.

– Kto?

– Twój chłopak.

Zaśmiała się. Szczerze i naturalnie. Znów na moment stała się dzieckiem. Ale chwilę później starła dziewczęcą minę i ponownie włożyła maskę suczy.

– Przemek nie lubi wielu rzeczy, które mi się podobają.

– Na przykład?

Ponownie się uśmiechnęła. Ale tym razem zupełnie inaczej. Jak dziwka czekająca na napiwek.

– Zresztą nieważne – powiedział Możejko. – Gdzie jest twój chłopak?

– Pojechał po zioło. Mamy się spotkać dopiero na imprezie.

Zuza podeszła do biurka, na którym stał laptop i kilka kubków po kawie. Zsunęła wszystko na skraj blatu, robiąc na środku miejsce na niewielką górę proszku. Za pomocą podrobionej legitymacji studenckiej uformowała dwie niezbyt zgrabne kreski. Brakowało jej wprawy. Możejko przypuszczał, że zazwyczaj ktoś ją w tym wyręcza.

– Co to jest? – spytał.

– Oficjalnie mefedron. Ale nieoficjalnie chuj wie.

Szybko zwinęła pięćdziesięciozłotowy banknot w rulon. Wciągnęła pierwszą kreskę, po czym zrobiła przy biurku miejsce dla Możejki. Oddała mu banknot. Westchnął. Jeżeli rzeczywiście się wahał, czy powinien to robić, czy w świetle ostatnich wydarzeń nie zafunduje sobie bad tripa, to nie było tego po nim widać. Pochylił się nad biurkiem i pozbył się drugiej ścieżki.

Przez kilka minut siedzieli w milczeniu, zanim narkotyki zakorzeniły się w ich krwiobiegu. A kiedy to nastąpiło, odczekali jeszcze, aż minie pierwsza fala uderzeniowa. Aż zapanują nad rozedrganym ciałem i myślami, które rozpierzchły się po ich maleńkich uniwersach. Pociągali nosami i rzucali sobie nerwowe spojrzenia. Jak dwoje ludzi, którzy właśnie zrobili coś bardzo złego. I to jeszcze przed popełnieniem właściwej zbrodni.

– O której wychodzisz na imprezę? – zapytał Możejko.

– Nie spieszy mi się. Mogą zacząć beze mnie.

Mozejko pokiwał głową. Przełknął spływający do gardła narkotyki, a potem popił go zimną kawą. Parokrotnie pociągnął nosem.

– Zdejmij kurtkę – powiedział. – Albo nie. – Chwycił dziewczynę za nadgarstki. Pociągnął ją w swoją stronę i posadził na łóżku. – Sam to zrobię.

Nie ma nic gorszego od ostentacyjnego okazywania bogactwa. Może z wyjątkiem jego ostentacyjnego tuszowania.

Kawęcki doszedł do takiego wniosku, kiedy patrzył na Mariusza Rytera. Właściciel firmy Herkules bardzo się starał, żeby nie wyglądać na odnoszącego sukcesy milionera. Żeby przypominać przeciętnego trzydziestolatka, który

w pośpiechu wskoczył w wygrzebane z szafy łachy i wyszedł z domu. Żeby uśpić czujność każdego, z kim przyjdzie mu się mierzyć – bez względu na to, czy będzie to srający hajsem krawaciarz, czy gangster próbujący sprzątnąć konkurencję. Czy ktoś taki jak on – cwaniak łączący najlepsze cechy przedsiębiorcy i gangstera.

Na spotkanie z Kawęckim włożył wysłużone dżinsy i szarą koszulkę. Przez dobrą minutę dreptał w miejscu, przyciskając telefon do ucha i przyglądając się całym hektarom niezagospodarowanej przestrzeni na Brusie, w miejscu dawnego poligonu wojskowego, na którym dopiero miały wyrosnąć osiedla i tereny rekreacyjne. Umówili się na odcięty od świata zadupiu, ponieważ Ryter był do bólu ostrożny. Mało kto wiedział, jak wygląda, ponieważ nigdy nie spotykał się z mediami. Nie bywał na konferencjach biznesowych. Nie udzielał się publicznie. Nie prowadził mediów społecznościowych. W internecie nie dało się znaleźć jego zdjęć. Starał się minimalizować ryzyko. I na razie świetnie na tym wychodził.

– Dobra – powiedział charakterystycznym basowym głosem, kiedy skończył rozmowę telefoniczną. Podszedł do Kawęckiego, który leniwie palił papierosa.

– Wytłumacz mi, o co tu chodzi.

– A o co pytasz?

– O Procenta.

– Co z nim?

– Nie zgrywaj się.

Kawęcki głośno westchnął.

– Widziałem się z nim wczoraj przez mniej więcej piętnaście minut, czyli o piętnaście za długo. Wręczyłem mu papiery, które miał ci przekazać. Czyżby o tym zapomniał?

Ryter długo przyglądał się Kawęckiemu, wbijając w niego wąsko osadzone oczy. Z jego irytująco wykrzywionej gęby próbował wyczytać, czy mówi prawdę.

– Zgubił je po drodze – powiedział. – Najprawdopodobniej wtedy, kiedy dwaj faceci dorwali go na Polesiu i spuścili mu srogi wpierdol.

– Co takiego?

– To, co słyszałeś. Wygląda jak po randce z Mikiem Tysonem. Trafił do szpitala ze wstrząśnieniem mózgu i połamanymi żebrami. Musiałem się nieźle nakombinować, żeby go stamtąd wyciągnąć, zanim psy zbiorą od niego zeznania. Ale nie to mnie martwi.

– A co?

– Dopadli go dwaj gruzińscy bracia: Szota i Lewan. To ogary Romana Basznikowa. Wyjątkowo nieprzyjemnego typu, z którym do tej pory nie wchodziliśmy sobie w drogę. Masz pomysł, dlaczego się to zmieniło? Dlaczego jakiś pojebany Gruzin zainteresował się moim biznesem?

Kawęcki wypuścił nad siebie dym.

– Nie nadepnąłeś mu na odcisk?

– Staram się trzymać z dala od ludzi niezrównoważonych psychicznie. Tego samego nie da się powiedzieć o tobie, co?

Ryter bawił się kluczykami do swojego starego, nieprzyciągającego uwagi peugeota, nieprzerwanie gapiąc się na Kawęckiego. Ten wyrzucił peta na ubitą ziemię i ciężko westchnął.

– Przez kilka miesięcy Roman próbował mnie zabić – powiedział. – Być może mścił się za zdemolowanie jednego z jego lokali. Może nie podobało mu się to, że szukam seryjnego zabójcy, który kupił od niego psa. A może po prostu uznał, że mu bruźdę. – Wzruszył ramionami. – Nie mam pojęcia. Wiem natomiast, że kilka razy otarłem się o śmierć z rąk tych dwóch kurdupli. Nie sądziłem, że kiedykolwiek do tego dojdzie, ale chyba rozumiem, co czuje Procent.

– Dlaczego przestali na ciebie polować?

– Nie wiem, czy przestali. – Kawęcki uśmiechnął się kwaśno. – Ale nie miałbym nic przeciwko, gdyby przerwali się na ciebie.

Ryter odpowiedział mu złośliwym uśmiechem. Z rzadką hiszpańską bródką i wystającymi kośćmi policzkowymi przypominał wnerwiającego, przemądrzałego nastolatka, którego nawet rodzice mają ochotę zamordować. Uniósł palec i pogroził Kawęckiemu.

– Jeśli się dowiem, że masz z tym coś wspólnego...

– O co mnie podejrzewasz?

– Nie wiem. Ale nie wierzę w zbiegi okoliczności. Może jesteś tylko pośrednikiem, który został w to przypadkowo wplątany. A może zwąchałeś się z Romanem, żeby cię nie zajeżdżał. I zaoferowałeś coś, na czym mu zależy. Mnie. – Ryter zerknął na telefon, który rozdzwaniał się średnio co trzydzieści sekund. Wyciszył go i skupił się na Kawęckim. – Nie zapomnij, że łączy nas specjalna więź. Jeśli się dowiem, że robisz mi koło pióra, dorwę cię. A jeżeli ściągniesz mnie na dno, pociągnę cię za sobą. Zadbam o to, żeby to był najbardziej bolesny upadek w twoim życiu.

Gangster zasalutował Kawęckiemu i udał się do zaparkowanego między drzewami auta. Uruchomił rzeźący silnik, wycofał się na główną drogę i odjechał w kierunku centrum.

Anna Stelmach zerknęła na zegar w telefonie. Dziewiętnasta trzydzieści. Pół godziny temu rozpoczęła się policyjna impreza, na którą zaprosił ją Artur Waliszewski. Siedziała przy barze w niczym niewyróżniającym się pubie na Piotrkowskiej, ubrana w czarny, nierzucający się w oczy sweter. Co chwila zerknęła w stronę drzwi wejściowych. Waliszewski nie kłamał, skonstatowała. Kolejni policjanci, którzy docierali do lokalu i zajmowali miejsca przy stole zarezerwowanym na nazwisko Artura, rzeczywiście nie pracowali w Wydziale Kryminalnym. A przynajmniej ona ich nie kojarzyła.

Tylko gdzie, do cholery, był Waliszewski?

W ciągu pół godziny Stelmach upiła ledwie kilka łyków piwa. Spodziewała się, że Artur będzie nalegał, żeby napiła się z nim wódki. W dodatku była więcej niż pewna, że spróbuje ją upić, licząc na to, że dzięki temu zdoła ją przelecieć.

Znała ten typ facetów. Napalonych, irytująco pewnych siebie gnojków. Zdecydowanie zbyt często miała z nimi do czynienia. Odnosiła wrażenie, że połowa Biura Spraw Wewnętrznych składa się z takich pajaców. Z czasem nauczyła się ich tolerować. Potem się przekonała, że może zacząć wykorzystywać ich do swoich celów. W końcu nabrała wprawy w zamienianiu napalonych durniów w pożytecznych idiotów.

Waliszewski miał być kolejnym.

Ale kiedy wreszcie pojawił się w pubie, Stelmach zrozumiała, że nic z tego nie będzie. Że to on zrobił z niej idiotkę.

Artur rozpiął skórzaną kurtkę, wciągnął na twarz najbardziej irytujący uśmiech, jaki miał w repertuarze, i podszedł do baru.

– Przyproceedziłem kolegę – oznajmił, wskazując kciukiem Kawęckiego, który człapał za jego plecami, jakby nie mógł nadążyć. – Myślałem o tym, co mi powiedziałaś. Użyłaś wtedy wielu trudnych słów. Zrozumiałem mniej więcej tyle, że chciałabyś się dowiedzieć, co porabia Kawęcki. Problem w tym, że ja nie sprzedaję kolegów. Nawet tych, za którymi, delikatnie mówiąc, nie przepadam. – Uśmiechnął się do Kawęckiego. – Ale nie chciałem zostawić na lodzie laski proszącej o pomoc, więc postanowiłem go przyproceedzić. *Voilà!* Oto on.

Odsunął się, robiąc przy barze miejsce dla Kawęckiego.

– Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jakim jesteś durnym skurwysynem – syknęła Stelmach.

Artur wzruszył ramionami.

– Może i nie. Ale za kilkanaście minut zamierzam być pijanym skurwysynem. A wy tymczasem utnijcie sobie miłą pogawędkę.

Kiedy Artur dołączył do znajomych, Kawęcki usiadł obok Stelmach. Przywołał ręką barmana i złożył zamówienie. Nie odezwał się, dopóki nie wylądował przed nim kufel piwa.

– Dlaczego tak bardzo chcesz mnie zgnoić? – zapytał.

– Nie chcę – zaprzeczyła Stelmach. – Po prostu wykonuję swoją pracę. Zamierzam wsadzić kolejnego przestępcę do pierdła.

– Za co?

– Mam wymienić? – Spojrzała na Kawęckiego, który pociągnął kilka łąpczywych łyków, jakby czekał na to cały dzień. – Za udział w zorganizowanej grupie przestępczej, przekazywanie informacji niejawnych i szereg innych działań na szkodę policji. W skrócie: za współpracę z Mariuszem Ryterem i jego świtą.

Kawęcki wysłuchał Stelmach, a następnie przechylił się na stołku, żeby wyciągnąć z kieszeni papierosa. Włożył jednego do ust. Chciał zapalić, ale zobaczył zmierzającego w jego stronę barmana, za wszelką cenę próbującego go powstrzymać. Zaklął pod nosem i wetknął szluga za ucho.

– Odkąd pojawił się zakaz palenia w miejscach publicznych, czuję się jak parias – powiedział.

– Nie wprowadzili tego zakazu wczoraj – zauważyła złośliwie Stelmach.

Kawęcki odpowiedział jej lekkim uśmiechem. Zapamiętał Stelmach jako zimną i wyrachowaną służbistkę, zawsze postępującą zgodnie z protokołem – co częściowo tłumaczyło, dlaczego pracowała w BSW. Doskonale pasowała do ciasnej i odhumanizowanej sali przesłuchań, z której normalny człowiek pragnie się jak najszybciej wydostać. Ale w rozwrzeszczanym lokalu – z każdą minutą coraz głośniejszym, coraz tłoczniejszym, wypełnionym coraz bardziej pijaną tłuszcą – przypominała zbłąkaną owcę. Kosmitkę, której w trakcie międzygalaktycznej podróży nawaliła nawigacja.

– Nie masz dowodów na to, że jestem przestępcą – odezwał się Kawęcki, obracając w dłoniach kufel. – Jedyne kilka przesłanek, w większości niezbyt mocnych. Oboje wiemy, że jak na kilka miesięcy poszukiwań nie jest to zbyt imponujący wynik. Działasz w obcym mieście, którego nie znosisz. W dodatku jesteś osamotniona. Twojemu leniwemu partnerowi nie chce się grzebać w tej sprawie albo dostałaś prikaz, że masz się tym zająć w pojedynkę. A mimo to uganasz się za mną z taką samą zawziętością jak na początku. Musisz być święcie przekonana, że jestem odrażającą kreaturą. – Zerknął na Stelmach. – Co

takiego zobaczyłaś we mnie podczas przesłuchań, że ryzykujesz karierę i dobre imię, aby mnie dopaść?

Stelmach przyjrzała się Kawęckiemu, który ponownie skupił się na błyskawicznie opróżnianym kuflu. Miał rację, przyznała. Nie chodziło o to, co na niego mają. Chodziło o niego. O jego bezczelność. O mizoginizm, którego nie próbował ukryć. O zepsucie, jakim зараżał innych. Chciała go dopaść nie ze względu na jego przestępstwa, ale za to, kim był. Żeby wyświadczyć ludziom przysługę, wykluczając dysfunkcyjnego socjopatę ze społeczeństwa.

Nie zdążyła mu tego powiedzieć, ponieważ Kawęcki opróżnił kufel i zsunął się ze stołka.

– Chodź – powiedział. – Opowiem ci, o co w tym wszystkim chodzi.

Stelmach, zupełnie skonsternowana, gapiała się na Kawęckiego, jakby zwrócił się do niej w nieistniejącym języku.

– Jeśli to jakiś głupi żart...

– Mówię serio.

– Po tym, co powiedziałam, chcesz się przede mną wypowiedzieć?

– Nigdy się nie spowiadałem i nie zamierzam nagle zacząć. Chciałbym cię po prostu wyprowadzić z błędu. Czy raczej... – zawahał się – nakreślić kontekst tego, co tak bardzo cię interesuje.

Stelmach analizowała jego propozycję, stukając palcami w blat.

– Nie odpuszczę ci – powiedziała. – Bez względu na to, co powiesz.

– Jeszcze zmienisz zdanie. Albo i nie. Nieważne. Przywykłem do tego, że ludzie chcą wyrządzić mi krzywdę. – Kawęcki wyjął papierosa z za ucha i włożył go do ust. – Rusz się, zanim zmienię zdanie. Ale najpierw – wycelował palcem w bar – zapłać za moje piwo.

Smutna. Jedna z niewielu łódzkich ulic z adekwatną nazwą. Wąska, niepozorna, na kilku odcinkach gęsto obstawiona samochodami, częściowo pokryta solidnie zużytym asfaltem, a częściowo wyłożona kostką. Wyrastała z krajowej czternastki i ciągnęła się przez mniej więcej kilometr wzdłuż gigantycznego Cmentarza na Dołach, Wojewódzkiego Ośrodka Ruchu Drogowego, jeszcze do niedawna o jednym z najgorszych w Polsce wskaźników zdawalności egzaminów na prawo jazdy, oraz Aresztu Śledczego, do którego trafiały największe szumowiny w mieście.

Bartosz Adamski wykorzystał swoje znajomości, żeby w poniedziałek rano, razem z Witoldem Ptakiem, spotkać się z Borysem Welińskim. Policjanci siedzieli w niewielkim klaustrofobicznym pomieszczeniu, czekając, aż strażnik przyprowadzi jednego z napastników, którzy zgwałcili Alicję Mioduszewską.

Borys Weliński, trzydziestoosmioletni były wojskowy, spędził kilka lat w Polskich Siłach Zadaniowych, brygadzie stacjonującej w prowincji Ghazni w Afganistanie. Niedługo po powrocie z misji odszedł z wojska. Od tego czasu pracował dla lokalnych biznesmenów i polityków jako agent ochrony osobistej. Starał się nie rzucać w oczy. Nie był notowany. Unikał mandatów. Nie miał konta na Facebooku, Instagramie ani Twitterze. Gdyby się nie ujawnił w sprawie Mioduszewskiej, można byłoby pomyśleć, że po powrocie z wojny przestał istnieć.

Odkąd został tymczasowo aresztowany, właściwie niewiele się zmieniło. Nie domagał się rozmów z adwokatem. Nie oczekiwał widzeń z bliskimi. Nie interesował się tym, co się z nim stanie. Zupełnie jakby osadzenie go na Smutnej było tylko chwilową niedogodnością. Gorzką pigułką, którą musi przełknąć.

– Dobry i zły glina? – zapytał Witold, odrywając Adamskiego od lektury wydrukowanych materiałów.

– O czym ty mówisz?

– O taktyce przesłuchania. Chcesz, żebym był dobrym gliną?

Adamski potrząsnął głową.

– Chyba naoglądałeś się za dużo filmów z Bruce'em Willisem.

Witold uśmiechnął się cierpko.

– To ciekawe. Kilka dni temu ktoś mi zarzucił, że mam braki w wykształceniu filmowym.

– Bo masz. – Adamski ponownie skupił się na leżących przed nim papierach.

– Skąd wiesz, że mam? Przecież nigdy nie rozmawialiśmy o filmach.

– Wydedukowałem to.

– Wydedukowałeś? Z czego?

– Tyrasz po dwanaście, trzynaście godzin na dobę, a potem się zajmujesz przechodzącym turbulencje małżeństwem. Wlewasz w siebie hektolitry kawy i energetyków, żeby przez cały czas działać na wysokich obrotach. Nieustannie oszukujesz zmęczony organizm. Pewnie robisz tak od kilkunastu lat, więc raczej nie masz czasu na oglądanie filmów. – Adamski ciężko westchnął i spojrzał na Witolda. – Nie potępiam cię. Właściwie jako twój przełożony powinienem się cieszyć, że tak bardzo zależy ci na pracy. Ale dostrzegam w tym rodzaj desperacji. Chorobliwego oddania sprawie, której nie warto się aż tak poświęcać. Poza tym wiem, że nie da się działać w takim trybie w nieskończoność. Jeśli nie zwolnisz, prędzej czy później za to zapłacisz. W taki czy inny sposób. Albo dostaniesz zawału przed pięćdziesiątką, albo zrobisz coś potwornie głupiego. W obu przypadkach poważnie mnie wkurwisz.

Kiedy Witold zastanawiał się nad tym, co usłyszał, drzwi do sali się otworzyły. Klawisz wprowadził Borysa Welińskiego. Był to mężczyzna średniego wzrostu, z gęstym siwiejącym zarostem, który zakrywał policzki, i ogoloną na zero głowę. Jego czoło przecinały głębokie zmarszczki. Miał na sobie szarą bluzę i pomarańczowe spodnie zarezerwowane dla najbardziej niebezpiecznych więźniów.

Usiadł naprzeciwko policjantów przy przylegającym do ściany podłużnym stole. Strażnik przypiął jego kajdanki do niewielkiego metalowego mocowania wystającego z blatu i opuścił pomieszczenie. Witold poczęstował Welińskiego papierosem, ale ten popatrzył na niego, jakby był niespełna rozumu.

– Nie mamy dużo czasu, więc od razu przejdziemy do rzeczy – zaczął Adamski. Przedstawił siebie i Witolda, a następnie zerknął do notatek. – Trzeciego września tego roku razem z dwoma mężczyznami napadłeś, pobiłeś i brutalnie zgwałciłeś Alicję Mioduszewską. Nie wyparłeś się tego. Nie protestowałeś podczas aresztowania. Nie próbowałeś podważyć wyniku badania DNA, które jednoznacznie wskazuje, że jesteś sprawcą. To oznacza, że spędzisz w jakimś pięknym zakładzie karnym od kilku do kilkunastu lat. Tylko od ciebie zależy, jak koszmarna będzie twoja odsiadka. – Wbił wzrok w Welińskiego, jakby chciał mu zbadać oczodoły. – Dlaczego wybraliście Alicję Mioduszewską?

Weliński wzruszył ramionami. Wyglądał na faceta, który nie ma najmniejszej ochoty na rozmowę z psami. Który w zasadzie mógłby spokojnie poczekać do rozprawy, a potem odsiedzieć swoje. Ale jakaś wewnętrzna siła nie pozwalała mu milczeć.

– Lubię dupy w legginsach – stwierdził. – Lubię je ruchać. A największą frajdę sprawia mi ruchanie szmat, które stawiają bierny opór.

– Nie zmyślasz? – Adamski wskazał palcem na papiery. – Nie byłeś do tej pory notowany. Nie masz żadnego gwałtu na koncie. Żadnego usiłowania. Nic.

Weliński uśmiechnął się szyderczo.

– Różne rzeczy robiło się w Afganistanie. Nie wszystko nadawało się do odnotowania w papierach.

Adamski położył na blacie splecione dłonie.

– Czyli twierdzisz, że zgwałciłeś Mioduszewską dla przyjemności?

– Tak właśnie twierdzę.

– Razem z dwoma koleżkami wystrojonymi w wojskowe ciuszki?

– Najwyraźniej mamy podobne upodobania.

– Mioduszevska nie była przypadkową ofiarą. Zaczailiście się na nią w parku i przeprowadziliście precyzyjnie zaplanowany atak.

– To nie musiała być ona. Nie wiedzieliśmy, kogo atakujemy. Po prostu wpadła nam w oko. Zadziałaliśmy instynktownie.

– Goniąc ją po parku i katując w krzakach?

– Tak wyszło. Improwizowaliśmy. Nie twierdzę, że wszystko poszło tak, jak byśmy tego chcieli.

– Zanim ją zgwałciliście, powiedziałaś Mioduszewskiej, że to kara za artykuł, który napisała. Za tekst dotyczący prokuratorów Andrzeja Pszoniaka i Adama Wargi.

Weliński parsknął śmiechem.

– Nawet o tym nie wiedziałem. – Pochylił się do przodu. – Po prostu lubię dostawać to, na co mam ochotę. A w tamtym momencie miałem ochotę wyruchać fajną dupę. Nie miało znaczenia, kim jest ani czym się zajmuje. Ale, nie ukrywam, ucieszyłem się, kiedy się dowiedziałem, że jest pismaczką. Nienawidzę tych kłamliwych kurew za to, co piszą o żołnierzach.

Weliński był zimny. Arogancki. Odpychający. Obrzydliwy. Wyrachowany. Świetnie przygotowany do odgrywanej roli.

– Znasz prokuratora Wargę? – zapytał Witold, który do tej pory w milczeniu palił papierosa.

– Nie znam żadnego prokuratora. Przynajmniej nie osobiście.

– A gdybyśmy powiedzieli, że to on zlecił ci napad na Mioduszewską? I że mamy na to dowody?

Weliński ponownie się roześmiał. Pochylił się nad stołem i przejechał dłońmi po łysej glacy. Popatrzył na policjantów jak na gości, którzy pomylili areszt

z zakładem psychiatrycznym.

– To powiedział bym, że jesteście skończonymi kretynami. Sądziłem, że skoro mamy mało czasu, to pogadamy o czymś poważnym.

Witold wypalił papierosa po sam filtr i zgniótł peta w popielniczce. Zerknął na Adamskiego, który siedział z rękoma skrzyżowanymi na piersi i rozglądał się po pomieszczeniu, mimo że nie było tam nic, na czym dałoby się zawiesić oko.

– Tak naprawdę nie zamierzaliśmy rozmawiać o niczym konkretnym – powiedział naczelnik. – Chcieliśmy cię tylko podrażnić i poobserwować twoje reakcje. Utrwalić je, a potem skonsultować ze specjalistą od zachowań niewerbalnych. On nam wyjaśni, czy powinieneś być sądzony wyłącznie za to, co zrobiłeś Mioduszewskiej, czy również za udział w zorganizowanej grupie przestępczej.

Weliński długo przyglądał się Adamskiemu. Miał srogą minę, ale jego oczy były roześmiane i szkliste. Jakby przyjął złoty strzał i czekał na efekt.

– W takim razie powodzenia – odparł, parokrotnie uderzając dłonią w stół. Spotkanie dobiegło końca.

Kilka minut później Ptak i Adamski stali przed samochodem zaparkowanym w pasie pojazdów między cmentarzem a aresztem. Pierwszy z nich palił papierosa. Drugi rozgryzał gumę do żucia. Milczeli, analizując to dziwne spotkanie.

– I co o tym sądzisz? – odezwał się w końcu Adamski.

– Nie wyglądał na szczególnie przejętego tym, że wylądował w areszcie. Ale z całą pewnością był wściekły. Musiał się zebrać w sobie, żeby się na ciebie nie rzucić, kiedy ściemniłeś o tej analizie niewerbalnej. To oznacza, że w którymś momencie nas okłamał.

– Niewykluczone. Choć odniosłem wrażenie, że o Wardze mówił szczerze. Może napaść na Mioduszewską zlecił mu jakiś pośrednik. Może rzeczywiście nie ma pojęcia, że tak naprawdę wykonywał zlecenie dla grubasa.

Witold pokiwał głową.

– Wygląda na to, że pośrednik zapomniał mu wspomnieć, że za to beknie.

– Chyba że Warga albo jakiś inny cwaniak ma plan, jak go stąd wyciągnąć. – Adamski westchnął. – Facet nie puści pary z ust. Jest dobrze wyszkolony. I prawdopodobnie lojalny.

– To żołnierz. Potrafi wykonywać polecenia bez zadawania zbędnych pytań.

Adamski odsunął się od samochodu i pomachał do faceta, który szedł drugą stroną ulicy. Tamten uniósł dłoń, rozejrzał się na boki i pospiesznie przeciął jezdnię.

– Wiesz, dla kogo Weliński pracował po zakończeniu służby? – zapytał Adamski.

– Próbowałem się dowiedzieć, ale nic na ten temat nie znalazłem – odparł Witold.

– Musimy do tego wrócić. Jeśli teoria z pośrednikiem ma sens, może to być jakiś trop. Zajmiesz się tym po godzinach?

– Mówiłeś, że powinienem wyluzować.

– Różne rzeczy mówię. Zrób to, okej?

Witold nie zdążył mu odpowiedzieć, ponieważ podszedł do nich wąsaty facet w sztruksowych spodniach i dżinsowej kurtce. Serdecznie przywitał się z Adamskim. Potem pospiesznie uściskał dłoń Witolda, posyłając mu przy tym podejrzliwe spojrzenie. Dopiero wtedy Witold rozpoznał majora Krystiana Zelera, zastępcę dyrektora Aresztu Śledczego w Łodzi. Do tej pory widywał go wyłącznie w mundurze. Wyłącznie za grubymi murami aresztu. Wyłącznie w wyjątkowo nieprzyjemnych okolicznościach.

To ostatnie akurat się nie zmieniło.

– I co? – spytał Zeler.

– Chuj wie – odparł ostro Adamski. – Facet na pewno kręci, ale jeszcze nie wiemy, w którą stronę. Masz nagranie z przesłuchania?

Zeler ponownie się rozejrzał, a następnie dyskretnie wręczył Adamskiemu pendrive.

– Świetnie – stwierdził naczelnik. – Jesteś w stanie zatrzeć ślady po nagraniu?

– Po czym? – Zeler uśmiechnął się spod wąsów. – Wiesz, że będzie cię to sporo kosztować?

– Wiem.

– I wiesz, że nie tylko ty masz kolegów na Smutnej? Że nawet jeśli zapewnię cię o dyskrecji, będziesz mógł wsadzić sobie to zapewnienie w dupę?

– To też wiem.

– Byłoby dobrze, gdybyśmy przez kilka tygodni się nie widywali. A najlepiej przez kilka miesięcy.

– Myślisz, że jestem palcem robiony?

– Po tym, o co mnie poprosiłeś, naprawdę nie wiem. Tak czy inaczej, trzymaj się!

Zeler ruszył wzdłuż Smutnej, oddalając się od aresztu, a policjanci wsiedli do samochodu. Witold uruchomił silnik i popatrzył na Adamskiego.

– Co mu obiecałeś? – zapytał.

– Wolałbyś nie wiedzieć.

Adamski wyglądał tak, jakby sam wolał nie wiedzieć.

Piotrek Wochoński miał w sobie mnóstwo dziecięcego uroku. Był nieporadny, zniewieściały i infantylny. A przy tym momentami wręcz irytująco sympatyczny, przez co wydawał się mocno oderwany od rzeczywistości. Nigdy nie dostrzegał kurzu i szadzi, które wrastały w Łódź i jego mieszkańców.

Zadziwiająco, pomyślała Alicja Mioduszevska, że ktoś taki został dziennikarzem. I to całkiem niezłym. Nawet jeśli sam nie zdawał sobie z tego sprawy.

Był jedną z niewielu znanych Alicji osób, które wykazywały się inteligencją emocjonalną i empatią. Przekonała się o tym ponownie, kiedy umówiła się z nim na kawę w jednym z lokali na Off Piotrkowskiej, wciśniętym w ceglany pofabryczny budynek. Nie miała ochoty tam być. Właściwie nigdzie nie miała ochoty być. Ale akurat tam Piotrek mógł stosunkowo szybko dotrzeć, wyrwawszy się na chwilę z pracy. Przyszedł na spotkanie spóźniony

o kilkanaście minut i z tak cierpiętniczą maską na twarzy, że Alicji zrobiło się go żal.

Zbliżył się do niej niepewnie. Nie wiedział, czy na powitanie może pocałować ją w policzek. Czy nie sprawi jej tym bólu. Dlatego delikatnie objął Alicję. Dopiero gdy oplotła go rękoma i przycisnęła, pozwolił sobie na nieco więcej wylewności.

– Dzwoniłem do ciebie z dziesięć razy – powiedział, siadając naprzeciwko. – Chciałem ci powiedzieć, że się spóźnię. Musiałem trochę pokombinować, żeby wyjść z redakcji.

– Zostawiłam telefon w domu.

Piotrek zrobił wielkie oczy.

– Jeszcze nigdy mi się to nie zdarzyło – powiedział. – To tak, jakby wyjść z domu bez butów.

– To wyobraź sobie, że jestem bosa.

Uśmiechnęła się do Piotrka, licząc na to, że ściągnie zmartwienie z jego twarzy. Udało się. Przynajmniej połowicznie. Na chwilę. Wiedziała, że później nie będzie tak wesoło.

– Co słychać w redakcji? – spytała.

Przez kilka lat pracowała z Piotrkiem Wochońskim w „Expressie Łódzkim”. Nie byli sobie szczególnie bliscy. Nie spotykali się po pracy. Nie dowcipkowali. Nie jadali wspólnie posiłków. Ale spędzali ze sobą po kilka, a czasem kilkanaście godzin dziennie. I w pewnym momencie się okazało, że obojgu tego brakuje. Że w zdehumanizowanych korporacyjnych warunkach wytworzyła się między nimi więź, o której istnieniu dowiedzieli się dopiero po rozstaniu.

– Kornelia w końcu wygryzła Bachniarza – odparł Piotrek. – Przejęła władzę w redakcji i od razu złapała wszystkich za gardło. Chce mieć nad nami pełną kontrolę. Zakazała pracy zdalnej i wprowadziła strasznie upierdliwą ewidencję obecności. Wysiadywanie dupogodzin stało się nowym biurowym standardem.

Kornelia Lemiesz. Typowa karierowiczka. Cwany korporacyjny gracz, z którym Alicja stoczyła kilka ciężkich bitew, kiedy ta była szefową działu

miejskiego i zastępczynią redaktora naczelnego Marka Bachniarza. I zapewne stoczyłaby wiele następnych, gdyby tylko została w „Expressie”. Gdyby tylko nie zachciało jej się bawić w dziennikarkę śledczą. Gdyby. Teraz to już nie miało żadnego znaczenia. A do pracy pod butem tej suki z pewnością nie tęskniła.

– To jak ci się udało wyrwać? – zapytała.

– Kornelia pojechała na jakieś spotkanie. – Piotrek zerknął na telefon. – Mam jeszcze godzinę spokoju. Ale dość o mnie. Co u ciebie. Jak się trzymasz?

– Nieźle – skłamała, odruchowo poprawiając okulary przeciwsłoneczne. – Na pewno lepiej niż jeszcze kilka dni temu. Uporałam się z większością fizycznych dolegliwości. Nawet wstawiłam sobie zęby, choć to na razie rozwiązanie tymczasowe. – Chciała się uśmiechnąć i pokazać Piotrkowi nowe kompozytowe uzębienie, ale w ostatniej chwili coś ją powstrzymało. Jeszcze było na to za wcześnie. Zdecydowanie za wcześnie. – Mam do ciebie gorącą prośbę. Tylko nie panikuj.

– Co?

– Obiecuj, że nie spanikujesz po tym, co ci powiem.

– Trudno coś takiego obiecać, nie wiedząc, co się usłyszy.

– Cały wic polega na tym, że nie możesz się wcześniej dowiedzieć. Zresztą nieważne. Po prostu spróbuj się uśmiechnąć. – Alicja ściągnęła okulary i położyła je na stole obok nietkniętej kawy. – Obserwują nas.

– Kto?

– Ludzie, którzy mnie skrzywdzili. Obserwują, odkąd wyszłam ze szpitala. A od dzisiaj prawdopodobnie będą obserwować również ciebie. Przepraszam.

Piotrek nie posłuchał Alicji – spanikował. Przywarł do krzesła. Znieruchomiał, zachowując nienaturalny półgębkowy uśmiech. Przypominał samojeda, wiecznie uśmiechniętego białego szpica.

– Nie zapomniałam telefonu – kontynuowała Alicja. – Zostawiłam go celowo. Przypuszczam, że mnie podsłuchują. Wgranie oprogramowania do smartfona to chyba najprostszy sposób, żeby to zrobić. Niewykluczone, że na twoim telefonie też coś zainstalują.

Dała Piotrkowi kilka sekund na przetrwanie tych informacji. Żeby nie zdradzić zdenerwowania, próbował coś zrobić z dłońmi, ale zdołał jedynie wcisnąć je pod stół.

– Nie wyciągnęłam cię po to, żeby cię zrobić – oznajmiła Alicja. – Potrzebuję pomocy. A konkretnie kontaktów. Masz jakichś znajomych w telewizji?

Piotrek długo zastanawiał się nad odpowiedzią. A raczej nad tym, jak wydobyć głos z gardła.

– Znam kilka osób z łódzkiego oddziału TVP – wymamrotał.

– A z ogólnopolskich mediów? Z „Newsweeka”, „Polityki”, Onetu albo Polsatu?

– Mam paru znajomych freelancerów, którzy od czasu do czasu piszą coś dla większych tytułów. Mogę z nimi pogadać. Czego potrzebujesz?

– Cichego i bezpośredniego dojścia do najważniejszych dziennikarzy śledczych w Polsce.

– Po co?

– Żeby opowiedzieć im pewną historię.

Piotrek nerwowo rozejrzał się na boki.

– Myślisz, że to łykną? Że nie mając kompletu dowodów, zechcą obsrać prokuratora?

Alicja pokręciła głową.

– Chcę opowiedzieć swoją historię. Pod własnym nazwiskiem. Jeśli się da, to także przed kamerą. Ze wszystkimi szczegółami. Nawet tymi najbardziej pojebanymi. – Zaczął jej się łamać głos. – Zamierzam urządzić wielką mediową dramę.

Piotrek odruchowo złapał się za głowę. Zaraz potem cofnął rękę.

– To brzmi jak samobójstwo.

– Skoro od czasu do czasu udaje się nagłośnić pedofilię w Kościele albo mobbing w wojsku, może uda się także z prokuraturą. Tylko muszę dotrzeć do ogólnopolskich tytułów, ponieważ te lokalne Warga i jego ludzie mają

w kieszeni. Muszę znaleźć dziennikarzy i redaktorów z wielkimi jajami. Albo nietykalnych dziennikarskich celebrytów. – Alicja pochyliła się do przodu. – Muszę, kurwa, coś z tym zrobić, bo inaczej zwariuję.

Piotrek ręką zniszczył starannie ułożoną fryzurę. Przyglądał się Alicji tak, jakby za moment miał się rozplakać.

– Nie wiem, czy chcę ci pomóc – powiedział.

– Wiem, że się boisz. Na twoim miejscu też bym się bała. Zrozumiem, jeśli...

– Nie chodzi o mnie, tylko o ciebie – przerwał jej Piotrek. – Boję się, że cię za to zabiją.

Alicja pociągnęła nosem. Ponownie założyła okulary i splotła ręce na piersi.

– Jebie mnie to – burknęła. – Kompletnie mnie to jebie.

Adam Warga siedział w lokalu, do którego jako jedyny – nie licząc właściciela i pracowników – mógł zaglądać przed oficjalnym otwarciem. Był to niepozorny bar mleczny w Śródmieściu, prowadzony przez faceta, który miał wobec prokuratora dług wdzięczności. Czasem w tym obszernym pomieszczeniu, wypełnionym kanciastymi stolikami pokrytymi ceratą i z brudnymi roletami w oknach, Warga organizował alternatywne centrum dowodzenia. Zwłaszcza wtedy, kiedy chciał odetchnąć od swojego gabinetu. Albo gdy musiał omówić sprawy, o których wolał nie dyskutować w budynku Prokuratury Okręgowej. Nie dlatego, że bał się wycieku albo podsłuchu. Po prostu uważał, że nie o wszystkim należy tam rozmawiać. Czuł podskórny przymus, żeby z niektórymi sprawami wyjść na zewnątrz. Do miejsca, o którym wie niewiele osób z jego zawodowego otoczenia.

Michał, właściciel baru, zaserwował mu jajecznicę na boczku, fantę oraz herbatę, którą podał w szklance osadzonej w srebrnym koszyczku. No skraju stołu leżała sterta dokumentów. Akta spraw, stenogramy z rozpraw, dziesiątki zdjęć, ekspertyzy. Warga zabrał je ze sobą, chociaż wiedział, że nie będzie się nimi zajmował. Nie tutaj. Nie teraz. Nie w momencie, w którym jego tłuste cielsko wisiało nad krawędzią.

Wymiótł jajecznicę z talerza, popił fantą i rozparł się na krześle. Gapił się na leżący na stole telefon i czekał. Wiedział, że się rozdzwoni. Że za moment rozlegnie się irytujący dzwonek iPhone'a. Że jest tylko kwestią czasu, kiedy ta pojebana machina wystartuje.

Nie musiał długo czekać. Nim dopił herbatę, rozpoczął się armagedon.

– I co? – zapytał Warga, odebrawszy telefon.

– Dziwna sprawa. Zgodnie z twoimi przypuszczeniami Adamski i Ptak spotkali się z Welińskim. Spędzili w sali przesłuchań kilkanaście minut. Podpisali wszystkie protokoły i tak dalej. Ale nigdzie nie ma nagrania z ich rozmowy.

– Co takiego?!

– Nie ma po nim śladu. Żadnego pliku. Pogadam z informatykami. Może uda im się odszukać nagranie albo dowiedzieć, co się z nim stało.

– Masz je, kurwa, znaleźć. Nie obchodzi mnie, jak to zrobisz.

Warga rozłączył się i trzasnął telefonem o stół. Odchylił się na oparcie krzesła. Siorbał herbatę i myślał. Chwilę później telefon ponownie się rozdzwonił. A wraz z irytującym dzwonkiem przyszła kolejna fala uderzeniowa.

– Halo?

– Mamy problem – oznajmił komendant Janusz Dębiec. – Kilka dni temu dostałem nietypowy prezent od córki. Nie bardzo wiem, co z nim zrobić.

– Co to za prezent?

– Kciuk. – Komendant zrobił teatralną pauzę. – Nie robiłem badań DNA, ale jestem pewien, że kiedyś należał do Martyny Bułeckiej.

– O kurwa.

– Zastanawiam się, czy trafił do mnie dlatego, że jestem komendantem policji, czy z jakiegoś innego, znacznie mniej przyjemnego powodu. Wolałbym zbyt długo nad tym nie rozmyślać. Rozumiesz, o czym mówię?

– Tak.

– Znajdź tego jebanego Seweryna.

Kiedy komendant się rozłączył, Warga odłożył telefon i dopił herbatę. Otarł pot z czoła. Przez kilka minut gapił się na stół, układając w głowie przebieg kolejnej rozmowy. W końcu drżącymi dłońmi sięgnął po telefon.

– O ile pamiętam, nie umawialiśmy się na rozmowę – przywitał go Zbigniew Halbert.

– Mamy problem – odparł Warga.

– Wolałbym, żebyś nie przynosił mi problemów, tylko propozycje rozwiązań.

– Adamski i Ptak rozmawiali z Welińskim. Spotkali się z nim dzisiaj rano. Ale nie to jest najgorsze. Nagranie z ich przesłuchania zniknęło.

– Jak to możliwe?

– Próbuję ustalić.

– To lepiej się pospiesz. – Halbert odsunął telefon od ucha i powiedział coś do człowieka, który wszedł do jego gabinetu. Zaklął. Chwilę później rozległo się trzaśnięcie drzwiami. – Dowiedz się, o czym rozmawiali. I pamiętaj, że jeśli coś w tej sprawie spierdolisz, będzie to prawdopodobnie ostatnia rzecz, która ci w życiu nie wyjdzie.

Halbert się rozłączył. Warga zerknął na wyświetlacz, jakby nie mógł w to uwierzyć.

Przez kilka następnych minut ścisnął telefon w dłoni mocniej, niż było to konieczne. Czuł, jak jego koszula nasiąka potem. Jak serce zaczyna łomotać pod żebrami. Nie mógł tego dłużej odkładać. Musiał wykonać jeszcze jeden telefon.

Zanurkował do wypchanego neseseru i wydobyl z niego piórniki. Wyjął stary telefon z klapką oraz kilkanaście kart prepaid. Wybrał pierwszą z brzegu i uruchomił telefon. Wpisał jeden z niewielu numerów, które znał na pamięć. Przystawił aparat do ucha.

Czekając, miał wrażenie, że za chwilę się rozpuści. Że jego otłuszczone serce wyrwie się z klatki piersiowej. A on sam umrze, nim usłyszy ten głos.

Głos Seweryna.

Ale numer, pod który dzwonił, był nieaktywny. Podobnie jak tydzień temu. I jak kilka tygodni wcześniej, kiedy po raz pierwszy próbował się dowiedzieć, co

Kostka planuje.

Warga wiedział, że i tak się tego dowie. Prędzej czy później.

I że bez względu na to, co Seweryn wymyśli, nikt nie będzie z tego zadowolony.

– Ile takich wypijasz?

Stojąc w przedpokoju mieszkania Kawęckiego, Witold wycelował palcem w kuchenny stół, który był niemal w całości zastawiony puszkami po piwie. Część z nich pełniła funkcję popielniczki, część wyglądała tak, jakby Kawęcki wyładowywał na nich gniew. Wszystkie były starannie opróżnione z zawartości.

– To zależy – odparł Kawęcki, zapalając papierosa. – Jeśli mam dobry dzień, udaje mi się skończyć na trzech, czterech. W te gorsze pęka osiem, dziewięć. Raz doszedłem do dwunastu.

– Skąd masz na to pieniądze?

– Jak widzisz, żyję oszczędnie. Nie wydaję za dużo na żarcie. Nie upiększam mieszkania. Nie płacę za benzynę. Dzięki temu stać mnie na to, żeby trzymać się z dala od wody.

Witold potrząsnął głową.

– To nie wygląda, jakbyś miał wyjść na prostą.

– Pogodziłem się z tym, że nigdy tego nie zrobię. Że już do końca życia alkohol będzie mnie definiował.

– Czyli się poddałeś.

– Albo zmądrzałem. I znalazłem sposób, żeby jakoś ze sobą wytrzymać.

Kawęcki schylił się i podrapał buldoga po głowie. Frenchie nie miał jednak ochoty na pieszczoty. Rzucił się panu na nogi, a następnie odskakiwał, licząc na to, że ten w końcu przyłączy się do zabawy. Że zwlecze dupsko z krzesła i przebiegnie się po mieszkaniu, okazując psu należną uwagę. Ale Kawęcki zdobył się tylko na połowiczne rozwiązanie: sięgnął po sfatygowaną piłkę tenisową i cisnął ją w stronę okna.

– Pies to twój sposób na samotność? – zapytał Witold, stając w progu pokoju.

Kawęcki się pochylił, żeby wyrwać piłeczkę z psiego pyska.

– Możliwe. A może wziąłem go dlatego, że po prostu lubię psy.

– Nigdy nie dawałeś tego po sobie poznać.

– W mojej hierarchii zwierzęta zawsze stały wyżej niż ludzie. Tyle że jestem kiepski w okazywaniu emocji.

– No tak. Autyzm.

– Nie mam autyzmu. – Kawęcki podniósł głowę i zerknął na Witolda, nie przerywając zabawy z buldogiem. – Ani zespołu Aspergera.

Witold zmarszczył brwi.

– Czyli to wszystko ściema?

– Lekarze rzeczywiście podejrzewali u mnie lekką formę autyzmu i nie byli pewni diagnozy. Ale wiele lat później udało im się to wykluczyć.

– A co z twoją pamięcią? Przecież to nie jest normalne, że zapamiętujesz niemal wszystko, co usłyszysz.

– To akurat zasługa ciężkiej pracy i dziwnych zainteresowań. Jako nastolatek fascynowałem się rozwojem umysłowym i treningiem pamięci. Przez kilka lat stymulowałem mózg, szkoląc się z mnemotechniki i szybkiego czytania. Dzięki temu wydawałem się znacznie bystrzejszy od rówieśników. W rzeczywistości jednak nie byłem dość bystry, żeby znaleźć sobie rozsądniejsze zajęcie niż praca w policji. – Kawęcki posłał Witoldowi chytry uśmiech. – Kiedy dorosłem, wymyśliłem, że historyjką o autyzmie będę w stanie zapewnić sobie święty spokój. Uczyniłem z niej łatwą do pielęgnowania ściemę.

– Czyli jesteś ekscentrykiem i wyrzutkiem.

– Który znalazł sobie psa, żeby nie być do reszty samotny. Jedni mają zwierzęta, inni wiarę. À propos. – Wstał z wysiłkiem i podszedł do okna. – Wiesz, że Polska jest światowym liderem pod względem różnic w religijności między starszym a młodszym pokoleniem?

– Co to znaczy?

– Według Pew Research Center zaliczamy się do najbardziej religijnych krajów świata. Tyle że młodzi Polacy mają Kościół w dupie. Wierzą w Boga, ale

nie ufają pedofilom w sutannach, a przez to rzadko się bawią w obrzędy religijne. W efekcie w żadnym państwie na świecie nie występuje tak gigantyczna rozbieżność między uczestnictwem w kościelnych ceremoniałach ludzi młodych i starych.

– I co z tego?

– Być może nic. A być może jest to kolejna rzecz, która przyczyniła się do wyobcowania Kostki. – Kawęcki, opierając się o wewnętrzny parapet, odwrócił się do Witolda. – Kiedy on popadał w religijną obsesję, w sferze duchowej jego rówieśników zachodził dokładnie odwrotny proces: laicyzowali się i odsuwali od Kościoła. W efekcie narastała w nim frustracja. Z każdym dniem czuł, że jest coraz bardziej niedopasowany do społeczeństwa. Coraz bardziej inny. Ulepiony z jakiejś gównianej gliny.

– Powiedzmy, że brzmi to całkiem sensownie. Tylko jak może nam to pomóc w schwytaniu tego świra?

– Nijak. Nie chodzi o to, żeby go złapać, tylko zrozumieć.

Witold zaśmiał się pod nosem.

– Gówno mnie obchodzą jego motywacje. Zrozumienie ich to tylko dodatek, bez którego możemy się obejść.

– A ja chciałbym wiedzieć, że Kostka widzi w tym jakiś sens. Że nie robi tego wyłącznie z nienawiści do ludzi. Że ścigamy człowieka, który pod wpływem czynników zewnętrznych przeszedł pokraczną metamorfozę, a nie zwyczajnego pojeba.

Witold głośno westchnął. Odzwyczaił się od mędrkowania Kawęckiego. Zdążył już zapomnieć, jak bardzo go ono drażni.

– To naprawdę ma aż takie znaczenie? – zapytał.

– Dla mnie ma. Ja też nienawidzę ludzi. – Kawęcki spojrzał Witoldowi w oczy. – Tylko okazuję to w mniej ostentacyjny sposób niż Kostka. Albo nie mam jaj, żeby robić to, na co tak naprawdę mam ochotę.

– Wspaniale. – Witold westchnął i zapalił papierosa. – Czyli psychopata ściga psychopatę. Ciągnie swój do swego, co?

Kawęcki wzruszył ramionami.

– Oby dociągnął.

Seweryn przyglądał się zaniedbanej kobiecie, która wyszła przed dom. Postawiła miskę na taborecie. Na szczycie piętrzącej się sterty różnokolorowych łąchów leżał koszyczek z drewnianymi spinaczami.

– Pomożesz mi? – zapytała.

Uniósł głowę i spojrzał w górę. Na stalowoszare niebo, które w ekspresowym tempie pokrywały ciemne chmury, jakby chciały zdążyć zasłonić je przed zmrokiem. Było jedynie kwestią minut, kiedy zaczną padać. Potwierdzały to wszystkie prognozy pogody. Ale zaniedbana kobieta im nie ufała. Była meteopatką. Uważała, że jej kości są lepszym prognostą niż mądrale z telewizji. A teraz gnaty wyraźnie jej mówiły, że nie będzie padać.

Kiedy Seweryn do niej podszedł, aby pomóc w rozwieszaniu prania na cienkich sznurkach rozciągniętych między altanami, posłała mu szczerbaty uśmiech i podała garść spinaczy.

– Kiedyś żyło tutaj więcej osób – powiedziała, inicjując rozmowę, która miała im umilić wspólną pracę. Chwilę później wyciągnęła przed siebie rękę i brudnym paznokciem wskazała sypiącą się chałupę. – Tam mieszkał Józef Stępień. Wyjątkowo zdolny człowiek. Artysta. Malarz. Kiedyś nawet namalował to podwórko. I to zupełnie z głowy, nawet na chwilę nie wyściubiając nosa poza izbę. Ale, niestety, za dużo pił. Zniszczył wątrobę. Nie miał nawet pięćdziesiątki, kiedy Bóg zabrał go do siebie. A niedługo później upomniał się o jego żonę Zofię. Prawdopodobnie umarła z żalu. Marek i Joanna, którzy teraz tam mieszkają, to ich dzieci. Na szczęście byli już dorośli, kiedy rodzice odeszli.

Seweryn zerknął na babę, która niemal doprowadziła się do łez, wspominając znajomego alkoholika i jego żonę. Drżącymi rękoma przerzuciła przez sznurek mokre spodnie i zabezpieczyła je klamerką. Zanim ponownie sięgnęła do miski, odwróciła się w stronę chałupy stojącej najbliżej wejścia na podwórko. Wycelowwała w nią brodą.

– A tam mieszkała Gabrysia Szolc. Była moją serdeczną przyjaciółką. Przegadałyśmy mnóstwo wieczorów, zanim znalazła się w złym miejscu o niewłaściwym czasie. Zginęła pod kołami samochodu prowadzonego przez nieletniego kierowcę.

Seweryn przerwał pracę i ponownie zerknął w górę. Na niebie pojawił się pierwszy tego wieczoru błysk.

– O czym? – zapytał.

– Słucham?

– O czym rozmawiałyście?

Kobieta zanurkowała do kieszeni džinsów i wyciągnęła z nich paczkę papierosów. Włożyła jednego do ust. Zapaliła. Śmierzący dym rozniósł się błyskawicznie, oblepiając wiszące na sznurkach szmaty.

– O różnych rzeczach – powiedziała po dłuższym namyśle. – O życiu. O Bogu. O rodzinie. O codziennych sprawach. Najczęściej rozmawiałyśmy o tym, co nas martwi. Byłyśmy swoimi powierniczkami. Mój Boże – westchnęła. – Tyle dobrych ludzi odeszło w ciągu ostatnich kilkunastu lat. Tyle dobrych dusz. – Pokręciła głową. – Czy ty też straciłeś kogoś bliskiego?

Kostka wycisnął koszulkę, a następnie energicznie przerzucił ją przez sznurek.

– Ja nie miałem kogo stracić. Ale wiem, o czym mówisz. Znałem kiedyś takie miejsce. – Wyciągnął przed siebie rękę, jakby chciał coś namalować w powietrzu. – Mieszkały w nim dwie rodziny, w dwóch jednakowych drewnianych domach. Miały wspólny wychodek i podwórko, na którym dorośli jadali śniadania albo organizowali ogniska, a dzieci grały w piłkę między drzewami. – Opuścił rękę. – Tamto miejsce też wydawało się szczęśliwe.

– Co się z nim stało?

– Spłonęło. Zostało zniszczone. Starte w pył.

– Dlaczego?

– Przez grzech. – Seweryn zanurkował do miski po kolejną sztukę odzieży. – Czasem wystarczy jeden zgniły owoc, żeby zniszczyć cały sad. Dlatego trzeba

się go pozbyć, zanim zarazi pozostałe.

Kobieta mocno zaciągnęła się szlugiem, spoglądając na Seweryna. Ale kiedy się do niej odwrócił, spuściła głowę. Nie czuła się dość silna, żeby spotkać się z jego wzrokiem. Ten potężny facet przypominający wyrosnięte dziecko miał w sobie coś, co sprawiało, że każda próba skrócenia dystansu bolała niczym połykanie żyletek. Jakby otoczył swoją intymność fortecą, której w żaden sposób nie dało się sforsować.

– Łatka zniknęła – powiedziała. – Zdarzało się jej uciekać, ale zawsze po paru dniach wracała. Nie widziałeś jej w okolicy?

– Ona nie przyjdzie – odparł Seweryn, wracając do rozwieszania prania.

– Skąd wiesz?

– Skręciłem jej kark. Zwłoki zakopałem na tyłach domu. Możesz sprawdzić.

– Zawiesił ostatnią rzecz z miski na sznurku i spojrział na babę. – Tobie też kiedyś skręcę kark.

Wrzucił kilka niewykorzystanych spinaczy do koszyka i wrócił do budynku. Kobieta, zupełnie osłupiała, odprowadziła go wzrokiem. Przekraczając granicę jego intymności, po raz kolejny poczuła się tak, jakby połknęła coś nieprzyjemnego. Coś, czego tym razem nie będzie w stanie wypluć.

Czy istnieje jakiś szczególny powód, dla którego chciałeś się spotkać akurat z tym księdzem?

Witold schował do kieszeni kurtki kluczyki od samochodu i podszedł do Kawęckiego, który siedział na jednej z ławek ustawionych wzdłuż alei Romantycznej na Radogoszczu Wschodzie i paląc papierosa, przyglądał się monumentalnemu, otoczonemu dwumetrowym ogrodzeniem kompleksowi Parafii Najświętszego Sakramentu.

– Czytałeś jego zeznania? – Kawęcki odpowiedział pytaniem na pytanie.

Witold usiadł obok niego na ławce.

– Jego i ośmiu innych księży, którzy mieli do czynienia z Kostką.

– I nic ci się nie rzuciło w oczy?

Witold wzruszył ramionami.

– Zeznał mniej więcej to samo co pozostali: że Kostka to dziwak, który odnalazł w Kościele lek na samotność.

– A więc jednak jesteś mało spostrzegawczy. – Kawęcki wyrzucił peta na chodnik i przygniótł go butem. – To jedyny klecha, który sam się do nas... czy tam do was... zgłosił. Jedyny, który z własnej woli podjął próbę scharakteryzowania Kostki. To może oznaczać, że łączyła go z nim jakaś więź. Poza tym Kostka prawdopodobnie nigdy nie mieszkał na Radogoszczu, a mimo to przyjeżdżał tu na msze. A to jest co najmniej zastanawiające.

– Nieźle to wykombinowałeś – przyznał Witold.

– Myślałeś, że wybrałem to miejsce dlatego, że mieszkam kilka bloków dalej?

– Prawdę mówiąc, tak.

Kawęcki uśmiechnął się do niego.

– Na twoim miejscu też bym tak pomyślał.

Kiedy skończyła się msza, wierni przy akompaniamencie dobiegającego z głębi budynku śpiewu masowo wypełzli z kościoła. Niedługo później pojawił się ksiądz Bogusław Jezierski. Był to mniej więcej sześćdziesięcioletni mężczyzna o krótkich siwych włosach i z dużym garbatym nosem dominującym na jego twarzy. Przywitał się z policjantami i zaproponował, aby weszli na plebanie, napili się kawy albo herbaty, ale ci woleli zostać na ławce. Na neutralnym terenie. Poza tym nie zamierzali zabrać księdzu wiele czasu. A przynajmniej chcieli, żeby tak mu się wydawało.

– W jakich okolicznościach poznał ksiądz Seweryna Kostkę? – zapytał Witold.

– To było kilka lat temu, wiosną dwa tysiące dwunastego roku – wyjaśnił Jezierski. – Seweryn został w kościele po porannej mszy. Usiadł w pierwszej ławce i zaczął się modlić. Kiedy skończył, podszedłem do niego. Tak gorliwie modlących się młodych ludzi nie widuje się często, więc nie chciałem przeoczyć okazji.

– A więc to ksiądz zapoczątkował tę znajomość.

– Tak, ale Seweryn tylko na to czekał.

– Jak to?

– Chciał, żebym go zauważył. Dlatego po nabożeństwie przeniósł się do przedniej części kościoła. A gdy rozpoczęliśmy rozmowę, odniosłem wrażenie, że postępuje zgodnie z wcześniej przygotowanym planem.

– O czym z księdzem rozmawiał?

– O religii. O nauczaniu Chrystusa. O tym, co wyczytał w Biblii. Był bardzo wnikliwy. Czułem się tak, jakbym rozmawiał z teologiem.

– Dlaczego wybrał akurat księdza?

Jeziernski bezradnie rozłożył ręce.

– Nie mam pojęcia. Nigdy go o to nie pytałem. Może zobaczył mojego vloga?

– Prowadzi ksiądz vloga?

– To chyba za dużo powiedziane. Nagrałem kilkanaście odcinków programu, w którym opowiadam o religii. Wymyśliłem, że będę kierował swoje wykłady do ateistów. Nie chciałem ich nakłaniać do konwersji, tylko sprawić, żeby lepiej zrozumieli katolików. Ale albo ta formuła nie wypaliła, albo okazałem się kiepskim youtuberem. W każdym razie odcinki miały po kilkadziesiąt wyświetleń. Ludzie trafiali na nie przez przypadek albo szukając w sieci bardzo niszowych treści.

– Kostka zaangażował się w życie Kościoła?

– Oj tak. Bardziej niż większość parafian.

– W co konkretnie?

– Pomagał starszym ludziom. Przez kilka miesięcy przyprowadzał na mszę i potem odprowadzał kobiety, które miały problemy z samodzielnym poruszaniem się, a także cierpiących na miażdżycę czy alzheimera. Poza tym uczestniczył w spotkaniach naszych grup. Także tej najbardziej kontrowersyjnej.

– Czyli?

Proboszcz głośno wypuścił powietrze.

– Czy panowie wierzą w Boga? Albo chociaż znają Pismo Święte?

– „Żadna inna książka nie była chętniej czytana i żadna nie wyrządziła więcej zła” – odezwał się niespodziewanie Kawęcki. – Tak Nietzsche wyraził się o Biblii. Dlatego regularnie do niej wracam. Za każdym razem mam wrażenie, że obcuje z marnej jakości fantastyką.

– Najwyraźniej jest pan człowiekiem małej wiary – stwierdził Jeziernski. – Ale skoro przeczytał pan Biblię od deski do deski, to pewnie zauważył, że Stary i Nowy Testament bardzo się od siebie różnią. Widać to zwłaszcza w obrazie Boga w dawnych tekstach. W Starym Testamencie jest znacznie sroższy. Bezwzględny. Przekaz płynący ze starszych tekstów jest zdecydowanie bardziej dosadny. Przez to dzisiejsi chrześcijanie, także za sprawą duchownych i ich

kazań, skupiają się niemal wyłącznie na Nowym Testamencie. Moim zdaniem to błąd. Dlatego jedna z grup, które zainicjowałem, zajmowała się analizą różnej maści niekanonicznych treści, pochodzących od amerykańskich pastorów, blogerów i influencerów religijnych czy właśnie ze Starego Testamentu. Niestety, trochę się to wymknęło spod kontroli.

– Co ksiądz ma na myśli? – zapytał Witold.

– Zamiast oddać się pogłębionej refleksji, niektórzy ludzie skupiali się na okrucieństwie opisanym w Starym Testamencie. Było to dla mnie sporym zaskoczeniem. Nie sądziłem, że kilkunastoosobowa zbiorowość, którą w znacznej mierze tworzyły emerytki i wdowy, może skrócić w tak niepokojącym kierunku.

– Kostka w swoim garażu wypisywał cytaty ze Starego Testamentu – zauważył Witold, zwracając się bardziej do Kawęckiego niż do księdza. – Co się stało z tą grupą?

– Po ostrej reprymendzie od przełożonych musiałem ją rozwiązać. Ale, o ile mi wiadomo, niektórzy z jej uczestników nie przestali się spotykać. Nie wiem, czy jest wśród nich Seweryn, ale moim zdaniem to całkiem prawdopodobne. Dzień rozwiązania grupy był ostatnim, w którym widziałem go w kościele.

– Musimy dostać listę osób, które chodziły na te spotkania. I to najlepiej jeszcze dzisiaj.

– Mam teraz godzinę wolnego. Pogrzebię w dokumentach.

– Dziękuję. – Witold zerknął na Kawęckiego, licząc na to, że ten też okaże księdzu wdzięczność. Ale grubo się przeliczył. – Zaczekamy tutaj – powiedział, posyłając proboszczowi przepaszający uśmiech.

– Jak panowie wolą. Propozycja wejścia na kawę jest nadal aktualna.

– Co się księdzu stało w nos? – zapytał Kawęcki.

Jeziński uśmiechnął się do niego.

– Dawne dzieje. Powiem panu tylko tyle, że nie zawsze byłem księdzem. A gdy nie robi się tego, do czego zostało się powołanym, człowiek ma różne głupie pomysły.

– Amen! – powiedział Kawęcki, kiwając głową. Wiedział to lepiej niż ktokolwiek inny.

Adamski odłożył obwiązaną sznurkiem teczkę na stertę papierów. Na jego biurku zdążył wyrosnąć kopiec dokumentów, z którymi jako naczelnik Wydziału Kryminalnego powinien się zapoznać. Zbiór mniej lub bardziej istotnych raportów związanych z funkcjonowaniem jego jednostki. Administracyjne bzdety, z których niewiele wynikało. Nie miał na nie czasu. A tym bardziej nie miał do tego głowy.

Utknął w sytuacji, w której nigdy nie chciał się znaleźć. Zawieszony między prawdą a kłamstwami. Obserwowany, a zarazem obserwujący innych. Osaczony problemami, które jeszcze kilka tygodni wcześniej nawet mu się nie śniły. Nie był pewien, czy Adam Wargę rzeczywiście dopuścił się czynów, o które Kawęcki i Witold go podejrzewają. Ani czy to prokurator stał za napaścią na Alicję Mioduszewską. Nie wiedział, czy komendant Janusz Dębiec wie o wybrykach Wargi i czy pomagał mu je zatuszować. Nie wiedział też, czy za tym wszystkim stoi ktoś jeszcze. Ktoś znacznie potężniejszy od Wargi i Dębca. Ktoś, kto pociąga za sznurki. Miał więcej pytań, przypuszczeń i niczym niepotwierdzonych domysłów niż odpowiedzi.

Do tego dochodził ten cholerny Roman Basznikow. Gangster, którego Adamski kiedyś chciał dopaść. Kiedyś, czyli zanim Roman odnalazł jego schorowanego brata i zagroził, że wyrządzi mu krzywdę, jeżeli naczelnik nie będzie z nim współpracował. Nie żądał wiele. Chciał tylko, żeby Wydział Kryminalny przestał się nim interesować. Żeby po odejściu Kawęckiego żaden policjant nie wpadł na pomysł przyciśnięcia Gruzina, który przy pomocy dwóch psychopatycznych bliźniaków i faceta wyglądającego jak Quentin Tarantino próbował sterroryzować miasto. Adamski wiedział, że to pozornie niegroźne odpuście gangsterowi może się skończyć fatalnie. Czuł się tak, jakby spuścił ze smyczy psa, który by zaznaczyć teren, nie obsikiwał drzew, tylko rzucał się na nie z zębami.

Przetarł kłykciami zmęczone oczy i włożył słuchawki do uszu. Odwrócił się do monitora i uruchomił Spotify. Wybrał swoją ulubioną płytę Wu-Tan Clanu – *36 Chambers*. I swój ulubiony singiel – *Wu-Tang Clan Ain't Nuttin ta Fuck Wit*. Jeden z najbardziej energicznych kawałków nowojorskiej ekipy, powstały pod wpływem fascynacji buddyjskimi wojownikami z klasztoru Szaolin. Zapewne nagrany w momencie, w którym RZA, Method Man i reszta ekipy byli – podobnie jak Adamski teraz – zagubieni i wściekli. Wkurwieni na cały świat. Ten kawałek miał ich zagrzewać do walki. Sprawiać, że wstępowała w nich ochota na rozłupanie komuś łba. A najlepiej kilku milionów łbów.

Wu-Tang Clan Ain't Nuttin ta Fuck Wit.

Bujając się w rytm muzyki, naczelnik przejrzał maile, które spływały na jego skrzynkę w lawinowym tempie. Większość była niewarta odnotowania. Ale jeden przykuł jego uwagę.

Dzień dobry, nazywam się Jędrzej Wujek. Jestem czterdziestoletnim przedsiębiorcą. Mieszkam w domu przy Łagiewnickiej 298. Wczoraj odwiedził mnie nieznajomy mężczyzna. Poprosił, żebym przejrzał nagrania z przydomowego monitoringu i przesłał policji kilkuminutowy fragment z dnia, w którym znaleziono ciało tej policjantki – Magdaleny Giętkiej. Chciał, żebym wysłał materiał bezpośrednio do Pana. Właściwie nalegał, żebym to zrobił. Przesyłam Panu plik WeTransferem i zostawiam swoje dane, na wypadek gdyby miał Pan jakieś pytania.

Adamski spodziewał się, że to jakaś nic nieznacząca pierdoła albo próbka domorosłej pornografii. Kolejna bzdura, która ukradnie mu czas. Mimo to ściągnął plik na dysk. Odpalił film w jednym z programów do odtwarzania wideo i pochylił się nad ekranem.

Na niezbyt wyraźnym nocnym nagraniu widać było wysokie ogrodzenie, efektowną bramę wjazdową, kawałek jezdnii oraz las, który obrastał drogę. Przez kilka minut nic się nie działo. Ale potem w odstępie zaledwie paru sekund mignęły dwa samochody. Adamski zatrzymał nagranie. Następnie przewijając film klatka po klatce, dotarł do momentu, w którym pierwsze z pędzących aut można było zobaczyć w pełnej krasie.

– O kurwa – zaklął, patrząc na niewyraźną postać w toyocie avensis o numerze rejestracyjnym EL 4720J. W ciągu ostatnich kilku tygodni zbyt często gapił się na zdjęcie tego człowieka, żeby mógł mieć wątpliwości, kto siedzi za kółkiem.

Opadł na fotel. Myślał. Ale po chwili gwałtownie się poderwał i ponownie zbliżył do ekranu. Przewinął nagranie do przodu. Zatrzymał je, gdy na ekranie ukazał się kolejny samochód. Tym razem blachy nic mu nie mówiły. Ale charakterystyczną sylwetkę kierowcy znał aż za dobrze.

Odchylił się na oparcie. Miał wrażenie, że serce za chwilę wyskoczy mu z klatki piersiowej. To, co odkrył, mogło zmienić wszystko. Na lepsze. Albo na znacznie gorsze.

Głęboko wcisnął słuchawki do uszu i poruszył pokrętłem głośnika, wsłuchując się we wściekłe okrzyki raperów.

Straight from the motherfucking slums that's busted.

Wu-Tang Clan ain't nuttin ta fuck wit!

Ponad trzysta tysięcy znaków nieskładnej bazgraniny. Około dwustu stron wypełnionych oskarżeniami, domysłami i wnioskami wysnutymi przez autora oraz parę śledczych o wątpliwej reputacji. Dziesiątki zarzutów postawionych prawnikom, prokuratorom i policjantom. Kilka pozornie potężnych dział wytoczonych przeciwko najbardziej wpływowym ludziom w mieście.

Jakub Możejko w końcu miał lepszy dzień. Bez kaca moralnego. Bez zjazdu. Bez ciągnącego w dół poczucia, że jest nikim. Wreszcie zdołał zebrać do kupy

gromadzone od kilku miesięcy notatki, fragmenty rozdziałów, wywiady z policjantami, studentami i prawnikami. Ku jego zdumieniu ta zbieranina domysłów, opinii i plotek wyglądała zupełnie nieźle. Jak zrab czegoś, co kiedyś może przeobrazić się w książkę. W reportaż obnażający słabości policji i prokuratury. Odsłaniający kulisy fatalnie poprowadzonego śledztwa i pokazujący przedziwne zależności między ludźmi z pierwszych stron gazet.

Kiedy Możejko z Alicją postanowili napisać książkę, miała to być historia Martynty Bułeckiej. Młodej, zagubionej kobiety, która zadurzyła się w swoim wykładowcy – Możejce. I która z jakiegoś powodu padła ofiarą psychopatycznego zabójcy. Chcieli podążyć tropem zbrodni. Pomóc policji w rozszyfrowaniu, kim jest sprawca i dlaczego dopuścił się czegoś tak strasznego. Chociaż w minimalnym stopniu przyczynić się do odkrycia prawdy. Poza tym Możejko liczył na to, że dzięki temu zdoła oczyścić sumienie.

Nie wiedział, czy o losie Martynty przesądziło to, że się prostytuowała i dokonała aborcji, czy fakt, że miała romans ze sporo starszym facetem. Nie potrafił wejść do umysłu świra, który ją zabił. Nie chciał tego robić. Mimo to czuł, że przynajmniej częściowo jest winny temu, co się stało. I że musi coś z tym zrobić, żeby nie stracić resztek szacunku dla samego siebie.

Jednak w tej chwili nawet ukończenie książki wydawało się mało prawdopodobne. Żeby tego dokonać, musiałby się odsłonić. Pokazać swoje intencje. Wypełznąć z ukrycia i porozmawiać z ludźmi zaangażowanymi w tamte wydarzenia. Ale sama perspektywa powrotu do mieszkania, do życia, które wiódł, zanim postanowił pomóc Kawęckiemu w rozpracowaniu grupy pedofilów, zanim dał się zdemaskować i zanim zobaczył dwóch napakowanych facetów pod domem, napawała go niewyobrażalnym lękiem. Zresztą nawet gdyby udało mu się dokończyć reportaż, to co z publikacją? Wydawca go wystawił. Prawdopodobnie dał się przekabacić Halbertowi i Wardze. Postąpił racjonalnie, wybierając spokojne życie zamiast nieustannej szarpaniny ze znacznie silniejszymi ludźmi. Możejko nie miał do niego żalu. Gdyby mógł cofnąć czas, zapewne postąpiłby tak samo.

Odsunął na moment smętne rozważania i wyjrzał przez okno na betonowy parking. Obok starego volkswagena z lancerskim spojlerem i czerwonymi pasami przecinającymi maskę stali Samuraj i Zuza. Kłócili się. Machali rękoma i obryzgiwali się gównem. Jak dwoje rozgorączkowanych, niepanujących nad emocjami dzieciaków, którymi w rzeczywistości byli. Zuza, wystrojona w workowate spodnie i różową bluzę, już nie przypominała bezwzględnej suczy, lecz zagubione dziecko. Możejko nie dostrzegał w niej nawet śladu kobiety, z którą kilka dni wcześniej wciągał mefedron i pieprzył się na kanapie. Nie widział w niej upierdliwej nimfomanki dobijającej się do jego pokoju za każdym razem, kiedy Samuraj wychodził z domu. Zdziwaczała toksyczna laska, która była gotowa zostać jego seksualną niewolnicą w zamian za odrobinę zainteresowania, gdzieś się ulotniła. Przynajmniej na chwilę.

Dobre i to, pomyślał Możejko.

Oderwał się od okna i zerknął na ekran komputera. Ponad trzysta tysięcy znaków. Dwieście stron. Jego i Alicję sporo to kosztowało. Nie chciał, żeby cały ten trud poszedł na marne. Nie w momencie, w którym do pełni szczęścia brakowało jedynie kilku pociągnięć pędzlem.

Wziął do ręki pożyczony od Samuraja telefon. Drżącymi palcami wstukał numer.

– Halo?

– To ja – powiedział i zamilkł. Liczył się z tym, że Alicja może od razu się rozłączyć. Ale nic takiego się nie stało. – Jak się czujesz?

– Jakoś. Czego chcesz?

Zawahał się. Nie wiedział, na jak dużą otwartość może sobie pozwolić. Nie wobec Alicji, ale względem ludzi, którzy mogli się przysłuchiwać ich rozmowie.

– Podsumowałem to, nad czym pracowaliśmy przez ostatnie miesiące.

– I?

– Ponad trzysta tysięcy znaków. Kilka rzeczy wygląda całkiem nieźle, nad innymi trzeba jeszcze popracować. Ale jesteśmy na dobrej drodze.

– Od bardzo, bardzo dawna nie byliśmy na dobrej drodze. I nie używaj liczby mnogiej, ponieważ ja już się wymiksowałam z tego projektu.

– Jak uważasz. Bez względu na twoją decyzję spróbuję to dokończyć. A jeśli się uda, będzie to nasz wspólny sukces.

– Jasne.

Możejko słyszał, że Alicja jest gdzieś na zewnątrz. Poruszała się w jakimś ruchliwym miejscu. Głosy przechodniów mieszały się z warkotem silników. Była wśród ludzi. Żyła. Pomimo tego, co ją spotkało, próbowała przetrwać.

– Myślałem o tym, co mi powiedziałas – odezwał się po dłuższej przerwie. – Cokolwiek planujesz, zamierzam ci pomóc.

Alicja się roześmiała.

– Nawet jeśli to cię skompromituje? Uznanego pana pisarza?

Drwiła z niego. Wiedział, że na to zasłużył.

– Bez względu na wszystko – odparł.

– Nie potrzebuję twojej pomocy.

– Albo tak ci się tylko wydaje. W każdym razie wiedz, że w razie czego możesz na mnie liczyć. Nie zostawię cię samej.

Czekał na ripostę. Na kolejną porcję podlanej gniewem ironii. Na jadowity komentarz, że o okazywaniu wsparcia mógł pomyśleć, zanim jej życie legło w gruzach. Ale Alicja po prostu się rozłączyła.

Odłożył telefon na biurko i ponownie wyjrzał przez okno. Zuza i Samuraj zniknęli. Obciachowy samochód dziewczyny też. Ale Samuraj nie pojechał z nią, tylko wrócił do mieszkania. Trzasnął drzwiami. Przemaszerował po korytarzu, jakby chciał wywiercić buciorami dziury w podłodze, i wparował do pokoju Możejki.

– Ty skurwysynu! – warknął i ruszył w jego stronę.

Słuchając audycji ekonomicznej w Trójce, Mariusz Ryter wygarniał łyżeczką lody z okrągłego pudełka. Był w swoim gabinecie. Siedział z nogami wyciągniętymi na blacie biurka i wertował „Parkiet”. Obok leżały „Forbes” oraz

„Puls Biznesu”. Ryter lubił czytać o polskich przedsiębiorcach. Poznawać ich historie. Dowiadywać się, jak osiągnęli sukces. Co musieli przejść, żeby znaleźć się tam, gdzie są. Na czym polega ich wyjątkowość. Lubiał się także zastanawiać, jakie są ich słabości. Co udało im się ukryć przed światem. Jak pozbyli się problemów, które wydawały się nie do rozwiązania. Co zrobili z rywalami. I czy nadal ich nienawidzą. Tak jak on nienawidzi swoich.

Za każdym razem podczas lektury doświadczał dysonansu. Przedsiębiorcom z czołówek gazet zazdrościł pozycji, a jednocześnie uważał ich za kretynów. Dlatego że się odsłaniali. Pchali się do mediów niczym ekshibicjoniści czujący nieodpartą pokusę, by poparadować bez majtek. Nadmuchiwali swoje ego, zamiast skupić się na pracy. Na produkowaniu pieniędzy. On nie rozmawiał z dziennikarzami. Nie uczestniczył w imprezach branżowych. Nie spotykał się z konkurentami, a znajomość z partnerami biznesowymi ograniczał do niezbędnego minimum. Lubiał ciszę. Zwłaszcza gdy otaczała jego firmę. Jego pieniądze. Jego krwawicę.

Usłyszał nieśmiało pukanie do drzwi. Po chwili do gabinetu zajrzała asystentka. Jak zwykle spłoszona. Zestresowana. Niebędąca w stanie ukryć nienawiści, jaką do niego czuła.

– Ma pan gościa – oznajmiła. – To pan...

– Wpuść go – burknął Ryter, nie przerywając lektury.

Procent wyglądał inaczej niż zazwyczaj. I to nie dlatego, że miał zmasakrowaną gębę, poharataną głowę i zabandażowane żebra, przez co jego wytatuowane łapska bardziej niż zwykle odstawały od tułowia. Chodziło o wyraz twarzy. Ryter zauważył, że z tej durnej mordy ulotniła się hardość. Zamiast wielkiego, wściekłego i nieobliczalnego faceta zobaczył wyrośniętego chłopca, któremu ktoś dał odrobinę zbyt mocny pstryczek w ucho.

– Oglądałeś *Chłopaki nie płaczą*? – zapytał Ryter.

– Co?

– Taki film. Z Milowiczem, Stuhrem, Pazurą...

– Wiem, kurwa, co to za film.

– Jest w nim taka scena, w której Fred mówi do Gruchy, że zrobili mu z ryja galarete. I że wygląda jak ponemiecki bunkier.

– No i co z tego?

– Przypominasz mi Gruchę. Brakuje ci tylko różowego sweterka.

– Bardzo, kurwa, śmieszne.

Ryter pokręcił głową.

– Nie dokuczam ci dlatego, że mnie to bawi. A przynajmniej nie tylko dlatego. Wyjaśnijmy sobie kilka rzeczy. – Odłożył gazetę na biurko, ściszył radio i zdjął nogi z blatu. – Kilka lat temu przygarnąłem cię do swojej firmy. Zaoferowałem dobre pieniądze i dałem szansę na powrót do życia, które lubisz. Ale nie zrobiłem tego w akcie miłosierdzia ani z sympatii. Wyciąganie gangusów z gówna nie jest moją misją społeczną. Zwerbowałem cię, ponieważ miałeś być moim facetem od brudnej roboty. Przerazającą górą mięcha, która nikogo i niczego się nie boi. A stałeś się workiem treningowym dla jakichś karłów.

– Wiem, że zjechałem – przyznał Procent. – Ale przecież nie zrobiłem tego celowo. Nie wymyśliłem sobie, że się podłożę dwóm pojebom, którzy mnie okradną.

– Skoro już do tego doszło, musisz ustalić, dlaczego tak się stało.

Procent pomasaował skronie, jakby próbował wycisnąć z nich myśl, która ugrzęzła w poskręcanych zwojach jego niezbyt dynamicznego mózgu.

– Ci bliźniacy śledzili Kawęckiego – powiedział.

– Od dawna to robią.

– Podobno parę razy próbowali go zabić.

– Gdyby faktycznie chcieli go zajebać, już dawno by to zrobili. Nie mieliby większych problemów z pozbyciem się pijaka, który ledwo kontroluje, co się wokół niego dzieje. – Gapiąc się na stół, Ryter pokręcił głową. – Może im wcale nie chodzi o Kawęckiego. Może chcą się dobrać do mnie.

– O czym ty mówisz?

– Sprawdziłem ich mocodawcę, tego całego Romana. Jego biznes ma się kiepsko. Traci wpływy na osiedlach. Jego bary i kasyna świecą pustkami.

A handel ludźmi, psami, narkotykami czy czymkolwiek, kurwa, co przewozi przez granicę, zawsze wiąże się z ryzykiem. Rok temu stracił ciężarówkę pełną imigrantów. W dodatku prawdopodobnie zajeżdżał mu ją zabójca, którego ściga Kawęcki.

– Skoro jest w tak czarnej dupie, to dlaczego nas atakuje?

Ryter sięgnął po pilota i jeszcze bardziej ściszył radio.

– Oglądasz czasem kolarstwo?

– Aż tak mnie nie pojebało.

– Szkoda, bo być może czegoś byś się nauczył. – Ryter uśmiechnął się złośliwie, ale natychmiast spoważniał. – Czasem, kiedy kolarz czuje, że ma gorszy dzień, decyduje się na atak. Na ruch wyprzedzający. Ucieka od peletonu na łatwym terenie, licząc na to, że gdy droga zacznie się piąć, wypracowana przewaga sprawi, że nie zostanie brutalnie zdystansowany przez grupę. To częsta taktyka sprinterów, którzy się boją, że na ciężkich górskich etapach nie zmieszczą się w limicie czasu. Postępują w myśl zasady, że najlepszą obroną jest atak. Nadażasz?

– Chyba tak – odparł bez przekonania Procent.

– Roman jest hazardzistą – kontynuował Ryter. – Być może ten atak to bluff. Ma chujowe karty, ale udaje, że jest inaczej.

Procent ostrożnie pokiwał wielką łysą głową. Podniósł z biurka długopis, żeby zająć czymś ręce. Wymachiwał nim tak, jakby nie wiedział, do czego służy.

– Co zamierzasz z tym zrobić? – zapytał.

– Nic.

– Nic?

– Na razie musimy się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi. Będziemy śledzić Kawęckiego i przyglądać się kolejnym ruchom Romana. Jeżeli to tylko zbieg okoliczności albo samowolka tych dwóch karłowatych jełopów, wolę nie wywoływać wojny z Gruzinem.

– To co mam robić?

– To, co robiłeś do tej pory. Naciskaj na Kawęckiego. Powiedz, że potrzebujesz więcej informacji, bo te, które miał ci przekazać, trafiły w ręce jakichś kurdupli. A potem uważnie go obserwuj. – Ryter sięgnął po gazetę. Tym razem po „Forbesa”. – I nie daj sobie ponownie obić mordy.

– Mówisz, kurwa, jakbym się o to prosił.

– Wyciągnąłem cię ze szpitala tak szybko, że nikt się nie połapał, kim naprawdę jesteś. Dzięki temu wciąż możesz mi służyć, zamiast spierdalać przed dawnymi kolegami z Wawy. Nie zapominaj, co mi zawdzięczasz.

Procent rzucił długopis na biurko i energicznie wyszedł z gabinetu.

Ryter podkreślił radio. Spojrzał na okładkę magazynu. Na uśmiechniętego faceta z burzą loków na głowie.

Pieprzony pajac, pomyślał. Kiedyś będę tam, gdzie ty. Ale nigdy nie rozpruję się w mediach. Przenigdy.

Zasłonił kubkiem lodów twarz z okładki i wrócił do pracy.

Adamski otworzył drzwi. Wyjrzał na korytarz, żeby się upewnić, czy mężczyzna, który chwilę wcześniej zdecydowanie zbyt długo trzymał palec na dzwonku, przyszedł sam. Następnie rzucił mu wrogie spojrzenie i przepuścił go w progu.

– Nawet na klatce nie mogłeś się powstrzymać? – zapytał.

Kawęcki wzruszył ramionami. Stojąc przed wysokim i szerokim lustrem w przedpokoju, mocno zaciągnął się papierosem.

– Nie chciałem walczyć ze swoją naturą – odparł. – Z tego, co widzę, ty też nie.

Skinął brodą na poliestrowy dres, w który Adamski wcisnął swoje szczupłe ciało.

– Ćwiczyłem, zanim przyszlście – wyjaśnił naczelnik. – Nikt cię nie śledził?

– Nikt, kto mógłby wyrządzić nam krzywdę.

Adamski wolał nie wnikać, co to oznacza.

Wskazał Kawęckiemu drogę do salonu. Jego mieszkanie mieściło się na drugim piętrze kamienicy na Narutowicza. Z okna roztaczał się efektowny widok

na Teatr Wielki. Witold już na nich czekał. Stał przed małym biurkiem z Ikei, które sprawiało wrażenie źle dobranego dodatku do imponującego zestawu muzycznego złożonego z nowoczesnej wieży, czterech wysokich kolumn i kilkuset płyt upchanych w sześciu półtorametrowych stojakach.

– Co to jest? – spytał Kawęcki, celując palcem w ekran notebooka, na którym czekał gotowy od odtworzenia film.

Adamski stanął obok biurka, tyłem do komputera, splótł ręce na klatce piersiowej i zaczął swoją opowieść.

– Któregoś pięknego dnia do mieszkania Jędrzeja Wujka, czterdziestoletniego właściciela sklepu z ciuchami w Zgierzu, zapukał nieznajomy. Nie przedstawił się. Stwierdził tylko, że kiedyś był związany z policją. Powiedział Wujkowi, że jedna z kamer, które ten zamontował w swojej fortecy przy Łagiewnickiej, mogła uchwycić coś interesującego. I że ma to związek z zabójstwem, o które zapewne już ktoś go wypytywał. Nieznajomy wskazał Wujkowi kamerę, która nagrywała bramę, podjazd i spory kawałek ulicy przed posesją. Następnie podał mu datę i godzinę. Powiedział, że ma wyciąć z nagrania fragment, na którym widać dwa samochody w krótkim czasie przejeżdżające obok domu, i przesłać je do szefa Wydziału Kryminalnego.

Witold i Kawęcki przyglądali się Adamskiemu, jakby mówił do nich w obcym języku. Chwilę później przerwali wzrok na ekran, gdyż naczelnik wyświetlił nagranie, które po raz pierwszy obejrzał w swoim biurze. Potem odtworzył film jeszcze raz, zatrzymując go w momencie pojawienia się pierwszego pojazdu.

– O kurwa! – warknął Witold. A kiedy Adamski zastopował nagranie na kolejnym pojeździe, ponownie zabluznił. Jeszcze głośniej. Z jeszcze większą wściekłością. – Kostka i Warga. A więc to prawda. Skurwiele działają razem.

– Dwudziesty pierwszy marca, godzina trzecia trzydzieści dwie – odezwał się Kawęcki. – Czyli mniej więcej półtorej godziny po zabójstwie Magdy.

Adamski pokiwał głową. Następnie odwrócił laptopa w swoją stronę, wszedł na Google Maps i wpisał adres Jędrzeja Wujka.

– Łagiewnicka dwieście dziewięćdziesiąt osiem – powiedział. – Jeżeli po zabójstwie Magdy sprawcy chcieli wrócić do miasta, musieli tamtędy przejeżdżać.

Witold odchylił się na krzesło i zapalił papierosa. Chwilę później dołączył do niego Kawęcki. W pomieszczeniu momentalnie zrobiło się szaro od dymu.

– Prokurator zamieszany w zabójstwo policjantki – odezwał się Witold. – Pięknie.

– Pewności nie mamy – odparł Adamski. – Wiemy natomiast, że Warga był w mieszkaniu Henryki Świst. I że Kostka nie byłby w stanie samodzielnie powiesić ciała Magdy na drzewie.

– Sprawdziłeś buty Wargi? – zapytał Kawęcki.

– Rozmiar czterdzieści dwa. – Adamski pomachał ręką, żeby rozpędzić dym. – Taki sam, jaki znaleźliśmy na miejscu zbrodni.

Witold smętnie pokiwał głową. Mimo zapewnień Kawęckiego przez długi czas był przekonany, że za zabójstwem Magdy stoją dwaj niewysocy mężczyźni noszący buty w rozmiarze czterdzieści jeden i czterdzieści dwa – takie odciski technicy kryminalistyki znaleźli na miejscu zbrodni. Trudno było mu uwierzyć, że w rzeczywistości mogą szukać dwumetrowego gościa z tak filigranowymi stopami. Wydawało się to zbyt dziwne. Zbyt mało prawdopodobne. Uwierzył w to dopiero po wizycie w mieszkaniu Kostki, w którym znaleźli całą paletę butów w rozmiarze czterdzieści jeden.

Nie miał tylko pojęcia, kto mógł mu pomagać.

Aż do teraz.

– To nie wszystko – odezwał się Adamski. – Rozmawiałem z tym Wujkiem. Poprosiłem go, żeby opisał człowieka, który go odwiedził. Powiedział, że był to wielki, brodaty, nienaturalnie poruszający się gość. Jakby się zmagał ze zwyrodnieniem stawów albo kulał. Według niego miał na sobie przebranie, w którym do złudzenia przypominał faceta z nagrania. – Oparł się o krawędź biurka, stając przed Kawęckim i Witoldem. – Macie pomysł, dlaczego Kostka nagle postanowił podpierdolić Wargę?

– Może się pokłócili – zasugerował Witold.

– O co?

– Warga nie wywiązał się z zadania. Pewnie miał zmylić trop, żebyśmy nigdy nie trafili na Kostkę.

– Nie chce mi się wierzyć, żeby Warga mógł się na coś takiego zgodzić.

– Może Kostka go szantażował.

– Czym?

– Nie wiem. Ujawnieniem jego mrocznej przeszłości?

Adamski pokręcił głową.

– Nie kupuję tego. A ty co o tym sądzisz?

Naczelnik zwrócił się do Kawęckiego, który wstał z krzesła i ostrożnie zbliżył się do okna. Spojrzał na monumentalny betonowy plac przed Teatrem Wielkim, z trzydziestopięciometrową fontanną w kształcie waginy, wyrzucającą z siebie podświetloną wodę i fragmenty utworów muzyki klasycznej.

– Mam pewien pomysł – powiedział i odwrócił się do policjantów. – Nie spodoba się wam.

Przystawiając złożoną w tubę dłoń do ust, Witold stłumił ziewnięcie. Zerknął na zegarek. Szósta dziesięć. Dziesięć minut po czasie. Powinien był się tego spodziewać. Kawęcki zawsze się spóźniał. Nie dlatego, że się nie wyrabiał czy zapominał nastawić budzik, lecz po to, by pokazać swoją wyższość. Nadrzędność. Aby dowieść, że to on odgrywa kluczową rolę, a cała reszta to tylko pacholki próbujące go spowolnić.

– Przemądrzały skurwiel – syknął Witold, ponownie zerkając na zegarek. Dwanaście po.

Był wściekły. Przede wszystkim na siebie. Na to, że znowu dał się wmanewrować w toksyczną relację, w której zawsze pełnił służalczą rolę. Jakby nie miał własnego zdania, własnego poczucia przyzwoitości, własnego kalendarza. Jakby był genetycznie uzależniony od Kawęckiego. Miał wrażenie, że gdyby ten zniknął z jego życia kilka lat wcześniej, gdyby wyparował, zanim zaraził go negatywizmem, albo gdyby nigdy się nie pojawił, nie doszłoby także do rozpadu jego małżeństwa.

Musiał zostawić te rozważania na później, ponieważ Kawęcki w końcu wypełzł z klatki schodowej. Niespiesznie, jakby wybierał się na wakacyjny spacer, podszedł do samochodu. Wgramolił się do środka wraz ze swoim niedorzecznym termosem i posłał Witoldowi krótki uśmiech.

– Brakowało ci tego? – zapytał.

– Czego?

– Pracy ze mną. Z facetem, który zaszantażował swojego kierownika na magazynie, żeby móc za darmo uganiać się za psychopatami.

Witold pokręcił głową. Włączył silnik.

– To tak, jakbyś zapytał gościa, który wygrał z nowotworem, czy brakuje mu raka.

Kawęcki wzruszył ramionami.

– Niektórzy przywiązują się do swoich chorób.

– Niektórzy?

– Na przykład ja. – Uśmiechnął się do Witolda. – Zawsze jest mi nieswojo, kiedy rozstaję się z wódką. Jakbym pojechał na urlop i zostawił w domu dziecko pod opieką jakiejś nudnej baby.

Witold starał się jak najbardziej koncentrować na drodze, a jak najmniej na tym, co mówi Kawęcki. Wkrótce szybko dołączyli do samochodowego kordonu rannych ptaszków, który sunął Zgierską w kierunku centrum.

– Co słyhać na komendzie? – spytał Kawęcki, gdy znaleźli się na wysokości Rynku Bałuckiego, który kilka lat temu z chaotycznej zbieraniny straganów przeistoczył się w obudowane halą targowisko.

– Motywacja w zespole siada z dnia na dzień – odparł Witold. – Wszystkim się wydaje, że Kostka wyjechał za granicę albo zaszył się w jakimś grajdole. Nikt nie dopuszcza do siebie myśli, że może się gdzieś czaić, czekając na okazję, żeby zadać ostateczny cios. Zresztą ja też w to nie wierzę. – Zerknął na Kawęckiego, który swoim zwyczajem wpatrywał się w boczną szybę. – Szukam tego świra wyłącznie po to, żeby mieć czyste sumienie.

Kawęcki odwrócił się na chwilę w stronę kierowcy, a potem ponownie skupił na rzeczywistości widocznej za szybą: odrapanych szarych budynkach i postkomunistycznych pawilonach, w które wciśnięto między innymi bar orientalny, sklep spożywczo-monopolowy, zakład bukmacherski i firmę pożyczkową.

– Zauważyłeś, że Kostka interesuje się starszymi kobietami? – zapytał. – Ruchliwymi emerytkami w typie Henryki Świsł. Albo bogobojnymi babami, dla których Kościół jest sensem życia.

– Bogobojnymi i mściwymi, jeżeli prawdą jest to, co powiedział ten proboszcz z Radogoszcza.

– Może zadawał się z nimi, żeby dotrzeć do swojej matki.

Witold przez kilka długich sekund zastanawiał się nad sugestią Kawęckiego.

– Jeżeli jego matka żyje, to jest od nich sporo młodsza – odparł. – Ma nieco ponad sześćdziesiąt lat.

– Wóda i hera pewnie ją solidnie postarzały. Ale to bez znaczenia. Moim zdaniem nie ma innego logicznego powodu, dla którego Kostka mógłby się nimi interesować.

– A co z motywacją seksualną?

– Co masz na myśli?

– Może Kostka jest gerontofilem. Staje mu tylko na widok starych bab. Słyszałeś o Richardzie Ramirezie?

– „Nocnym Prześladowcy”?

Witold kiwnął głową, choć przyklejony do szyby Kawęcki i tak nie mógł tego zobaczyć.

– Gwałcił i mordował kogo popadnie. Denatki miały od dziewięciu do osiemdziesięciu trzech lat. Może Kostka działa podobnie, a my przeoczyliśmy całą grupę jego ofiar.

– Wątpię. – Kawęcki wyciągnął spod nóg termos, napełnił nakrętkę kawą i błyskawicznie ją opróżnił. – Poprosiłem Artura o pomoc.

– W czym?

– Jest specem od burdeli. Powiedziałem mu, żeby rozpytał o Janinę Majewską. Może burdelmamy ją znają. W końcu w większości same zaczynały jako dziwki.

– Szansa, że po tylu latach ktoś przypomni sobie jakąś dupodajkę z Pabianic, jest minimalna.

– Chodzi o dziwkę, która porzuciła dziecko w szpitalnym kiblu. Ludzie zapamiętują takie rzeczy. Warto spróbować. Zresztą powiedziałem Arturowi, że popierasz ten pomysł. – Kawęcki nie musiał patrzeć na Witolda, żeby poczuć na sobie jego gniewne spojrzenie. – Chyba się ucieszył. Bo kiedy z nim rozmawiałem, był wyraźnie wkurwiony tym, że odstawiłeś go na boczny tor, kładąc mu ponownie grzebać w sprawie Bułeckiej.

Witold nie był tym zaskoczony. Na miejscu Artura też by się wkurwił.

– Mam swoje powody. Ktoś wynosi informacje z wydziału. Warga wie zdecydowanie więcej, niż powinien. Muszę znaleźć kreta.

– To nie Artur.

– Skąd wiesz?

Kawęcki uśmiechnął się głupkowato. Mimo ponaglącego spojrzenia i kolejnych pytań Witolda nie rozwinął tego wątku.

Po mniej więcej dwudziestu minutach jazdy byli na miejscu. Witold wjechał na słynny parking przy stacji Orlen na Tuwima, gdzie przed laty młodzi łodzianie uwielbiali rozpoczynać imprezy. Zatrzymał się pomiędzy dwoma równolegle zaparkowanymi autami, frontem do ulicy.

– Mam dobre przeczucie – powiedział Kawęcki.

– W odniesieniu do czego?

– W odniesieniu do nas. Tej sprawy. Wszystkiego, co teraz robimy. – Ponownie schylił się po termos i odmierzył sobie kolejną porcję kawy. – Klocki w końcu zaczynają wskakiwać na właściwe miejsca.

– Poważnie? – zdziwił się Witold i wycelował palcem przed siebie. – To powiedz, mądralo, gdzie zamierzasz wcisnąć ten klocek?

Z kamienicy jakieś dwadzieścia metrów przed nimi wytoczył się prokurator Adam Warga. Podszedł do zaparkowanego pod budynkiem auta. Załadował opasłą teczkę na fotel pasażera i nadludzkim wysiłkiem wcisnął się za kierownicę. Uruchomił silnik i włączył się do ruchu.

Najgrubszy klocek właśnie zaczął krążyć nad układanką.

Stelmach przyglądała się nagim plecóm mężczyzny, który stał nad kuchenką gazową wciśniętą do miniaturowej kuchni miniaturowego mieszkania i na miniaturowej patelni przyrządzał jajecznicę.

Niewiele o nim wiedziała i nie czuła szczególnie silniej potrzeby, żeby to zmieniać. Przynajmniej na razie. Nazywał się Patryk Gradowski. Był antyterrorystą. Kiedyś trenował rugby w drużynie Budowlanych Łódź. Nie oglądał piłki nożnej, ponieważ drażniło go nieustanne symulowanie. Nie przepadał za mocnym alkoholem, ale piwo mógł żłopać litrami. Nosił wąsy zamiast brody, ponieważ nie chciał wyglądać jak dziewięćdziesiąt procent kolegów z pracy.

A do tego był uprzejmy, zabawny i cholernie przystojny. Dość przystojny, żeby Anna zgodziła się pójść z nim do łóżka.

– Wiesz, że złamałam swoją zasadę? – odezwała się, przekrzykując odgłos skwierczenia jajek.

Siedziała przy schludnym miniaturowym stoliku wciśniętym w kąt kuchni.

– Jaką? – spytał Patryk.

– Jesteś pierwszym policjantem, z którym poszłam do łóżka. Wiele lat temu postanowiłem, że nigdy, ale to przenigdy nie prześpię się z psem.

– Dziwna zasada. Niepraktyczna.

– Nie ma nic gorszego od bycia dziewczyną policjanta, nawet jeśli jest się nią tylko przez jedną noc. Może tylko bycie dziewczyną piłkarza. To jak publiczne wyznanie, że jest się skończoną idiotką.

– Nie jesteś idiotką. I założę się, że tego nie żałujesz.

Patryk odwrócił się do niej i obdarzył ją szerokim, pewnym siebie uśmiechem. Podszedł do stolika i nałożył jajecznicę na talerze. Pocałował Stelmach w czoło i usiadł naprzeciwko.

Rzeczywiście nie żałowała. Poznała Patryka w pubie na Piotrkowskiej. Siedziała przy narożnym stoliku, gapiąc się na kufel chrzczonego piwa, i zastanawiała się, co właściwie tam robi. Wtedy podszedł do niej Patryk i uprzejmie zaproponował swoje towarzystwo. Nie odmówiła. Pierwszy raz

w życiu zgodziła się, by ktoś obcy dołączył do niej w pubie. Pierwszy raz dała nieznanemu facetowi szansę, żeby ją poderwał. Pierwszy raz miała nadzieję, że mu się to uda.

Oczywiście nie wszystko potoczyło się tak łatwo. Nie uwierzyła, gdy powiedział, że jest antyterrorystą. Wymknęła się do toalety i zadzwoniła do koleżanki, prosząc, aby go sprawdziła. Nie kłamał. Dopiero wtedy uznała, że warto spróbować. Zwłaszcza że miał mieszkanie w Śródmieściu, a ona musiała zmienić hotel na bardziej dziadowski, ponieważ niepokojąco szybko kurczył jej się budżet. Wykombinowała, że zbliżywszy się do Patryka, zapewni sobie darmowy nocleg i seks. Jedno i drugie niezłej jakości.

– Nad czym się zastanawiasz? – zapytał Patryk.

Nie wiedziała, czy może mu zaufać. Wciąż trudno było jej uwierzyć w taki zbieg okoliczności. Ale z drugiej strony facet był naprawdę miły. I dobry w łóżku. A do tego robił świetną jajecznicę.

– Pewien policjant nie daje mi spokoju – powiedziała po przeżuciu pierwszego kęsa. – I nie mam na myśli ciebie.

– Wczoraj wspominałaś, że przyjechałaś tu, żeby wsadzić do ciupy jakiegoś wałkarza z kryminalnego.

– Mhm. Kilka dni temu w przedziwny sposób zostałam przez niego zdekonspirowana.

– To znaczy?

– Jeden z jego kumpli mnie wydał. Sprowadził go do lokalu, w którym byłam. Sądziłam, że spotkanie skończy się awanturą i wyzwiskami. Kiedy kilka tygodni wcześniej próbowałam dobrać mu się do skóry, potraktował mnie jak śmiecia. Zachowywał się tak, jakby chciał pobić rekord świata w byciu chujem. Ale tym razem było inaczej. Bardziej racjonalnie. Cywilizowanie. Facet rzucił nowe światło na sprawę i pokazał mi kilka wątków, o których istnieniu nie miałam pojęcia.

– Ludzie się zmieniają.

– Ale nie w tak krótkim czasie.

– O co może mu chodzić?

– Pewnie próbuje wykorzystać mnie do swoich celów. Tylko jeszcze nie wiem jak. – Na moment zamilkła, spoglądając w stronę okna. – Opowiedział mi historię brutalnie zgwałconej łódzkiej dziennikarki.

– Słyszałem o tym. – Patryk wyraźnie się ożywił. – Podobno złapali gościa, który to zrobił.

– Jednego z trzech. Dwaj pozostali wciąż są na wolności. Ale według tego faceta z kryminalnego sami sprawcy są bez znaczenia. Twierdzi, że to tylko tępí wykonawcy poleceń kogoś, komu działalność dziennikarki była wyjątkowo nie na rękę.

Patryk zagwizdał pod nosem.

– Brzmi jak zaczątek grubej afery – powiedział, zgarniając kawałkiem chleba resztę jajecznicy.

– Ten policjant chce, żebym pomogła dziennikarce.

– Jak?

– Tego nie powiedział. Stwierdził tylko, że skoro „paniusia ze stolicy już po raz drugi pofatygowała się do Łodzi, to w końcu mogłaby zrobić coś pożytecznego”.

Stelmach wepchnęła do ust sporą porcję jajecznicy, patrząc, jak Patryk wstaje od stołu. Podeszedł do zlewu. Umył talerz oraz sztućce. Kiedy skończył, włożył na muskularne ciało koszulkę i zaczął wrzucać do torby rzeczy, które miały mu się przydać w ciągu dnia: strój sportowy, buty na zmianę, gotowe żarcie z hipermarketu oraz książkę.

– Wiesz, dlaczego wstąpiłem do AT? – zapytał w trakcie pakowania.

– Bo jesteś sadystą?

– Wtedy zostałem stomatologiem. – Uśmiechnął się szeroko. – Zgłosiłem się, ponieważ potrafię kilka razy podciągnąć się na drążku, nieźle pływam i lubię spuszczać swojemu organizmowi wpierdol. Ale także dlatego, że jako członek ekipy szturmowej nie muszę zajmować się tym, nad czym ci wszyscy ważniacy z kryminalnego, wewnętrznego czy narkotykowego łamią sobie głowy.

– Czyli?

– Rozkminianiem. Kto zlecił zabójstwo? Komu musiał zapłacić, żeby się udało? Kto jest prawdziwym gangusem, a kto nie? Wbrew pozorom jest to bardziej stresujące niż wyważanie drzwi i rzucanie ludzi na glebę. Przynajmniej dla mnie. Wolę zaliczać okazjonalne skoki adrenaliny niż się nieustannie umartwiać. – Zapiął suwak w torbie i podszedł do stołu. – Jest jeszcze jeden powód, dla którego wybrałem tę robotę. – Pochylił się, chwytając Annę za głowę. – Na pracę w AT łatwo się wrywa laski.

Pocałował ją w usta, a potem przyjął od niej klapsa w tyłek. Sięgnął do kieszeni i położył klucze na stoliku.

– Tak jak mówiłem, możesz tu trochę pomieszkać. Pod warunkiem że nie będziesz wybierać rzeczy z lodówki. Mam na myśli przede wszystkim piwo.

– Domyśliłam się.

– Na razie!

Stelmach odprowadziła Patryka – czy raczej jego pośladki – wzrokiem i wróciła do śniadania. A w zasadzie do rozmyślań na temat Kawęckiego. W ciągu kilku miesięcy, kiedy prowadziła przeciwko niemu śledztwo, zdążyła go zmienawidzić. Był narcystycznym, bucowatym dupkiem, który uważał innych za gorszych od siebie. Wstrętnym, zacofanym mizoginem. Dałaby wiele, żeby go dopaść. Żeby go posadzić. Żeby beknął za swoje przekręty.

Ale kiedy kilka dni temu dostała od niego całą stertę dokumentów obciążających prokuratora Adama Wargę i ludzi z jego otoczenia, grzechy Kawęckiego wydały jej się zupełnie bez znaczenia.

Czy zrobił to, żeby chronić tyłek? Żeby zamydląć jej oczy? Czy może w tym popieprzonym mieście rzeczywiście od lat działa się coś obrzydliwego z udziałem biznesmenów, polityków, prawników i wysoko postawionych policjantów?

Miała coraz mniej czasu, żeby znaleźć coś na Kawęckiego. Może więc warto było go posłuchać i pomóc tej dziennikarce.

Kiedy zjadła śniadanie, sięgnęła do walizki i wyjęła folder pełen rozmaitych dokumentów. Na wydrukach, które dostała od Kawęckiego, sprawdziła adres Alicji Mioduszewskiej. Następnie zgarnęła ze stołu klucze i ruszyła do wyjścia.

Wkładając buty, obiecała sobie, że wróci przed wieczorem, żeby spędzić kilka godzin z Patrykiem.

Chciała wyciągnąć coś dla siebie z pobytu w tym cholernym mieście.

– Dawno cię u nas nie było.

– Jestem zbyt młody i zbyt przystojny, żeby za to płacić. – Artur uśmiechnął się do burdelmamy.

Dobijająca do pięćdziesiątki kobieta ze zdecydowanie zbyt grubą warstwą makijażu – w dodatku ubrana w zdecydowanie zbyt młodzieżową kieckę – wyciągnęła w jego kierunku paczkę papierosów.

Artur Waliszewski stanowczo pokręcił głową.

– Śmierdzą ci ruskie fajki? – zapytała.

– Rzuciłem palenie. – Na potwierdzenie swoich słów wyjął z kieszeni elektrycznego papierosa.

– I słusznie. Palenie zabija.

Burdelmama wstała zza biurka i zamknęła drzwi do pokoju, który pełnił funkcję recepcji oraz jej biura. Sięgnęła po pilota, żeby ściszyć kineskopowy telewizor. Wróciła za biurko i widząc, że Artur dusi się od gryzącego smrodu fajek, który momentalnie wypełnił pomieszczenie, otworzyła okno. Usiadła na złowrogo skrzypiącym krześle. Odłożyła peta do popielniczki, splotła ręce na piersi i rzuciła Arturowi wyczekujące spojrzenie.

Znali się od kilkunastu lat. Pracując w obyczajówce, Artur wielokrotnie odwiedzał jej agencję towarzyską. Zwykle po to, żeby zasięgnąć języka u jednej z najbardziej doświadczonych osób w branży. By się dowiedzieć, kim są nowi gracze na rynku prostytucji, które agencje gonią narkotyki albo gdzie zmusza się nieletnie do nierządu. Ale czasem przychodził też jako klient, wiedząc, że z uwagi na swój fach może liczyć na specjalne traktowanie.

I zazwyczaj dostawał to, czego chciał.

– Szukam kogoś – powiedział.

– Każdy kogoś szuka.

– Nazywa się Janina Majewska. – Artur położył zdjęcie na biurku. – W połowie lat siedemdziesiątych pracowała w Pabianicach. Była tam całkiem znana, zwłaszcza po tym, gdy porzuciła noworodka w szpitalnym kiblu. Potem prawdopodobnie wyjechała do Łodzi. Niestety, to wszystko, co o niej wiemy. Ale zakładamy, że została w branży.

– Dlaczego?

– Była uzależniona od dragów i potrzebowała kasy.

– Czyli według ciebie każda kobieta z problemami żyje z dawania dupy?

– Nie każda. Większość.

Burdelmama założyła okulary i sięgnęła po zdjęcie. Nie zdradzając emocji, przyjrzała się kobiecie. Następnie znów wzięła papierosa, mocno się zaciągnęła i wypuściła dym nad głowę.

– Tyle lat robisz w policji i nadal gównie wiesz o naszej pracy – powiedziała.

– Chciałem się nauczyć, ale nie przyjęli mnie na burdelologię.

– Niektóre dziewczyny pracują w ten sposób, ponieważ sprawia im to przyjemność. Po prostu lubią się ruchać. Czerpią z tego frajdę, nawet jeśli od czasu do czasu muszą się rypać z najebanymi kawałkami mięcha. Dla niektórych dziewczyn to bardziej atrakcyjny sposób zarobkowania niż sprzątanie, kelnerowanie czy opiekowanie się bachorami. Wymagający i trudny, ale pozwalający żyć ponad stan. A więc dający coś, czego nie daje na przykład praca w policji. – Uśmiechnęła się złośliwie. – Co sprytniejsze dziewczyny potrafią odkładać pieniądze, dzięki czemu już po kilku latach mogą przejść na emeryturę. Albo pójść na swoje. Czasem wystarczy wynająć mieszkanie, zgarnąć kilka koleżanek i rozpuścić wici na mieście. Tak było w moim przypadku. Wiesz, że przez kilka lat prowadziłam firmę i jednocześnie... jak by to powiedzieć... byłam w niej zatrudniona?

– Czyli byłaś jednocześnie burdelmama i kurwą. – Artur nie potrafił sobie wyobrazić, jak ta zaniedbana kobieta z odpychającymi zbrązowiałymi zębami i nadwagą mogła kiedyś wabić swoim urokiem napalonych mężczyzn. – Takim grającym trenerem.

Burdelmama pokiwała głową.

– Jak Messi na mistrzostwach w Rosji.

– Nie wiedziałem, że interesujesz się piłką.

– Wielu rzeczy o mnie nie wiesz.

– To prawda. I chyba nie chcę wiedzieć. – Artur głośno westchnął. – Do rzeczy. Sprawdzisz tę kobietę czy nie?

– Nie muszę. – Burdelmama zgasła papierosa i przesunęła zdjęcie w stronę Artura. – Znam ją. Kumplowałyśmy się. Można powiedzieć, że jako starsza koleżanka służyła mi radą.

– Kiedy to było?

– Dawno temu. W latach osiemdziesiątych. Zresztą nie trwało to długo. Nie wiedziałam, że nazywa się Majewska, ale słyszałam o jej dziecku. Sama mi o tym powiedziała. Nie przyszło jej to łatwo. Musiała się ostro nafutrować, żeby opowiedzieć tę historię.

– Musimy ją znaleźć. Albo chociaż wyjaśnić, co się z nią stało. Co chcesz w zamian?

Uśmiechnęła się pod nosem i sięgnęła po kolejnego papierosa. Artur ucieszył się, gdy zamiast go zapalić, jedynie postukała ustnikiem o blat. Już myślał, że za chwilę się porzyga od tego smrodu. Zdążył od niego odwyknąć.

– Tym razem niczego od ciebie nie oczekuję – powiedziała. – Słyszałam, że kilka moich konkurentek musiało ostatnio zwinąć interes, więc zakładam, że wywiązałeś się z naszej ostatniej umowy. Teraz po prostu będziesz miał u mnie dług wdzięczności.

– O ile to, co powiesz, do czegoś nam się przyda.

Pokręciła głową.

– Będziesz mi dłużny dlatego, że zgodziłam się rozdrapać przeszłość. – Kobieta zamilkła na chwilę. – Powiedziałam, że niektóre dziewczyny lubią tę robotę. Nie mówiłam, że się do nich zaliczam.

Burdelmama w końcu zapaliła papierosa. Artur zapatrzył się na kiepa trzęsącego się w jej rozedrganej dłoni. Słuchając opowieści, pojął, że w tej branży nic nie jest takie, na jakie wygląda.

Zaparkowali na gigantycznym podłużnym parkingu przy alei Kościuszki, ciągnącym się od Żwirki i Wigury do Radwańskiej. Kawęcki wysiadł z samochodu, zapalił szluga i przeszedł na tyły wiaty przystankowej, żeby stamtąd obserwować nowoczesne biurowce kompleksu University Business Park. Do jednego z nich pół godziny wcześniej wszedł prokurator Adam Warga.

Kawęcki i Witold śledzili go przez cały dzień. Nie odstępowali na krok. Pojechali za Wargą do Prokuratury Okręgowej, dwóch sądów, restauracji i na komendę. Przyglądali się jemu i ludziom, z którymi się spotykał. Każdego z nich uważnie lustrowali w policyjnej bazie danych i internecie, szukając powiązań, które mogłyby ich zainteresować. Ale jeszcze nie natknęli się na nic godnego uwagi. Była to nudna wielogodzinna tułaczka za tłusciochem, któremu najwyraźniej trafił się zupełnie przeciętny prokuratorski dzień pracy.

Chyba że Warga był sprytniejszy, niż sądzili. Może się domyślił, że ma ogon. Może zmusił ich do bezowocnej wędrówki po mieście, żeby zabrać im czas. Może postanowił im odebrać resztę chęci do życia.

A jeżeli tak, to w pełni mu się to udało, pomyślał Kawęcki.

Wyrzucił peta na chodnik i wrócił do samochodu. Witold siedział w fotelu kierowcy. W lewej ręce trzymał zjedzoną do połowy słodką bułkę. W prawej miał telefon, który przyciskał do ucha. Jednak zamiast prowadzić rozmowę, realizował fatychną funkcję języka: pochrząkiwał i przytakiwał, sprawiając wrażenie bardziej skupionego na bułce niż na rozmówcy.

Kiedy skończył, westchnął i odwrócił się do Kawęckiego. Chciał się odezwać, ale ten go uprzedził.

– Myślałeś kiedyś o tym? – Wskazał brodą wyrastające po drugiej stronie ulicy biurowce.

– O czym?

– O normalnej pracy. O tym, żeby zamiast uganiać się za mętami, robić coś przyziemnego. Wypełniać tabelki w Excelu, chodzić na telekonferencje, wlewać w siebie hektolitry kawy, żeby nie usnąć nad klawiaturą. Albo kombinować, jak wcisnąć głównianą usługę kolejnemu frajerowi.

– Myślisz, że tym się zajmują ludzie w korporacjach?

– Nie wiem. Może się mylę. Może robią tam coś pożytecznego, a ja po latach spędzonych w policji nie potrafię tego obiektywnie ocenić, ponieważ wszystko, co nie wiąże się z wsadzaniem za kratki zwyrodnialców, wydaje mi się bezwartościowe. Chyba wszyscy tak mają, co? – Odwrócił się do Witolda. – Każdemu się wydaje, że wykonuje najważniejszą rzecz na świecie. Że jego praca ma znaczenie. Że złapanie gangusa, rozliczenie kogoś z podatku, przygotowanie kampanii reklamowej albo posprzątanie komuś mieszkania jest cholernie ważne. Tymczasem każdy tak naprawdę żyje we własnym mikroświecie, bezrefleksyjnie przerzucając kolejne kartki kalendarza. Dla ogółu jest nikim. I powinien być także nikim dla siebie, gdyby tylko było go stać na elementarną uczciwość.

Witold spojrział na Kawęckiego. Jego przygnębiające wywody często doprowadzały go do szału. Czasem niemal do łez. Ten ostatni zawiesił go gdzieś pomiędzy wściekłością a rozpaczą.

– Dzwonił Artur – powiedział, żeby czym prędzej zmienić temat. – Znalazł byłą dziwkę, która kojarzy Janinę Majewską. Co ciekawe, to właścicielka agencji towarzyskiej, do której chodził Jakub Możejko. Pamiętasz ją?

Kawęcki podrapał się po czole, jakby chciał w nim wyryć bruzdę, i ledwo dostrzegalnie kiwnął głową. Wydawał się wyczerpany – swoim ponurym wywodem, ciągnącym się w nieskończoność dniem albo życiem. A najprawdopodobniej wszystkim po trochu.

– Ta burdelmama twierdzi, że kiedyś kumpłowała się z Majewską – kontynuował Witold. – Przez jakiś czas pracowały dla tego samego sutenera,

obstawiając sąsiednie rejony miasta. Potem ich drogi się rozeszły. Burdelmama została w biznesie, a Majewska przeżyła nawrócenie. Skończyła z dragami i przestała dawać dupy. Stała na nogi. Zdobyła pracę w jakimś sklepie i zerwała kontakt z dawnymi znajomymi.

– Skończyła z dragami ot tak, z dnia na dzień? – zdziwił się Kawęcki.

– Nie, i to jest najciekawsze. Burdelmama twierdzi, że Majewska nagle zapalała wielką miłością do Boga. Wstąpiła do jakiejś organizacji religijnej. Ponoć totalnie ją to odmieniło.

Kawęcki w końcu ściągnął z twarzy dłoń i zerknął na Witolda. Przez dłuższą chwilę zastanawiał się nad jego słowami.

– Suma nałogów musi się zgadzać – powiedział.

– Nie rozumiem.

– Majewska zastąpiła dotychczasowy nałóg innym. Równie absorbującym, ale mniej szkodliwym. To wbrew pozorom często się zdarza. Jedni rzucają wódę dla triathlonów albo łażenia po Himalajach, a inni robią to dla Boga. Każdy przeskakuje ze skrajności w skrajność. – Zerknął na Witolda, który przyglądał mu się ze zdziwieniem. – Sporo czytałem o rzucaniu nałogów.

– Przecież nic nie mówię.

Kawęcki ziewnął.

– Czy Majewska mówiła coś o swoim synu? – zapytał.

– Powiedziała burdelmamie o noworodku. Ale nie wspomniała o niczym, co by sugerowało, że ma z nim jakikolwiek kontakt.

Przez kilka minut palili w milczeniu papierosy. Słuchając płynącej z radia muzyki, gapili się w ekrany telefonów. Obaj podskórnie czuli, że się błądzą. Że tracą czas. Że tego dnia zupełnie niepotrzebnie skazali się na swoje towarzystwo. Jakby wymyślili sobie obopólną karę – bardziej cywilizowaną od samobiczowania, ale równie nieprzyjemną.

Milczenie przerwał Witold. Na chwilę podniósł wzrok znad telefonu i zobaczył wychodzącego z budynku Wargę.

– Jest grubas – oznajmił. – Mam nadzieję, że tym razem skurwiel pojedzie prosto do domu.

Wrzucił wsteczny bieg i ostrożnie wycofał samochód. Na półsprężle, najciszej, jak potrafił, skierował się w stronę wyjazdu z parkingu.

– Zaczekaj – odezwał się Kawęcki.

Wycelował palcem w budynek. Niedługo po prokuraturze z biurowca wyszedł mniej więcej sześćdziesięcioletni mężczyzna w garniturze. Odwrócił się w stronę Wargi i zawiesił na nim wzrok, jak gdyby nie mógł się nadziwić jego pokracznej sylwetce. Potem przyłożył telefon do ucha i ruszył w przeciwnym kierunku.

– Kto to, kurwa, jest? – spytał Witold.

– Znam go – odparł Kawęcki, nie odrywając wzroku od mężczyzny. – Jedziemy za nim.

– A co z tłuściochem?

– Chuj z nim. To nie on pociąga za sznurki.

Kiedy mężczyzna wszedł do taksówki, Witold wyjechał z parkingu i ruszył za nim.

Ludziom się wydaje, że są przebiegli. Wyprzedzający wypadki. Sądzą, że są w stanie przewidzieć, co się stanie. Bezbłędnie odcyfrować sposób rozumowania najbliższych. Zataić swoje sekrety przed tymi, którzy znają ich najlepiej. Wydaje im się, że są sfinksami. Szachistami. Niezdradzającymi emocji maszynami.

Tak bardzo się myślą, pomyślał Seweryn. Prawda zawsze wypływa. W mniej lub bardziej nieprzyjemny sposób. W mniej lub bardziej nieprzyjemnych momentach.

On dbał o to, żeby wypływała w tych najpaskudniejszych.

Kobieta, którą obserwował od dłuższego czasu, również się łudziła, że nikt nie pozna prawdy. Że człowiek, przed którym ukrywa romans, nigdy się o nim nie dowie. Była dobrze zorganizowana. Ostrożna. Potrafiła trzymać popęd na wodzy, dzięki czemu nie pieprzyła się ze swoim gachem gdzie popadnie. Nie pozwalała mu się rznąć w samochodzie, restauracyjnym kiblu czy obskurnym

zaułku. Robili to wyłącznie w jego mieszkaniu. Wyłącznie po pracy. Wyłącznie po zapadnięciu zmroku, jak gdyby ciemność koła ich sumienia.

Była metodyczna. Po każdym numerku brała szybki prysznic, żeby nie pachnieć kochankiem, żeby go nie czuć. Czasem w trakcie wizyty u niego wysyłała maile, żeby zbudować fałszywy dowód na to, że w tym czasie pracowała. Jeśli ich spotkania się przeciągały, zawsze przygotowywała wiarygodną wymówkę. Nawet wtedy, gdy przed nikim nie musiała się tłumaczyć. Jakby robiła to dla siebie. Jakby miała problem z zaakceptowaniem tego, co czyni. Jakby potrzebowała alibi, żeby się nie znienawidzić.

Seweryn przypuszczał, że podobnie mogła postępować jego przybrana matka. Nie poznał jej dobrze. Właściwie nie poznał jej wcale. Zmarła na raka, gdy miała dwanaście lat. Najwięcej dowiedział się o niej od adopcyjnego ojca. On zresztą też poznał żonę dopiero po jej śmierci. To wtedy dowiedział się o facetach, z którymi go zdradzała. O numerach, które mu wycięła. O głębokiej pogardzie, jaką do niego czuła. O zorganizowanej przez nią iście błazeńskiej żonglerce, w której był jednym z elementów. Seweryn nienawidził tego człowieka za to, jak go traktował. Za bicie i wyzwiska. Za to, że swoim alkoholizmem zniszczył jego młodość. A najbardziej za to, że mimo przewlekłej choroby wykazywał się irracjonalną wolą życia. Jednocześnie doskonale go rozumiał. Nakręcał się jego nienawiścią do kobiety, która pośmiertnie zniszczyła mu życie. Do pewnego stopnia podziwiał drzemiącą w nim żarliwość. Ogromną moc niszczenia, która podtrzymywała go przy życiu.

Przynajmniej dopóki jego przybrany syn nie poczuł w sobie podobnej mocy.

Ubrany w strój dozorca, Seweryn bez problemu dostał się na klatkę schodową. Wdrapał się na jedną z najwyższych kondygnacji w bloku. Postawił na podłodze wiadro. Zamoczył w nim mopa i parokrotnie przejechał po kafelkach, zanim odstawił sprzęt pod ścianę.

Być może dawniej ktoś by się zainteresował dozorcą szorującym wieczorem półpiętro klatki schodowej. Ale ludzi już od wielu lat nic nie dziwiło. Wszystko stało się relatywne. Relatywnie normalne. Relatywnie akceptowalne. Relatywnie

obojętne. Nawet jeśli coś się komuś wydawało dziwne, nie wzniecał z tego powodu rwetesu. Nie dzwonił na policję. Ba, nie zwracał nawet takiej osobie uwagi, żeby nie wyjść na idiotę. Żeby komuś nie dokuczyć. Żeby się nie narazić. Ta rozprzestrzeniająca się znieczulica była dla Seweryna zbawienna. Dzięki niej mógł bez skrępowania wyciągnąć lornetkę i przyłgnąć do szyby.

Zabawne, pomyślał, że ludzie żyjący na górnych piętrach tak często rezygnują z zasłon, rolet czy firanek. Żyją w przeświadczeniu, że są tam bezpieczni i wolni od wścibskich spojrzeń sąsiadów. Że perfekcyjnie strzegą swojej prywatności. Mężczyzna, którego mieszkanie lustrował przez lornetkę, także zaliczał się do tej grupy. Dzięki temu Seweryn mógł obejrzeć cały spektakl.

W jednym z pomieszczeń dostrzegł kobietę, która przed chwilą wyszła z łazienki. Wstukała w telefonie wiadomość, prawdopodobnie jakiegoś służbowego maila, i schowała go do pozostawionej w przedpokoju torebki. Potem podeszła do kochanka, który czekał nią w sypialni. Pocałowała go. Długo i namiętnie. Tak jak zapewne od lat nie całowała męża. Delikatnie go popchnęła, żeby opadł na łóżko. Uklękła przed nim. Wprawnie wyciągnęła pasek ze szlufek. Zsunęła mu spodnie do kostek. Wzięła jego fiuta do ust. Zaczęła go ssać, pomagając sobie ręką.

Seweryn spojrział na usta jej kochanka. Nieustannie się poruszały. Instruował ją. Mówił, w jaki sposób ma go zadowalać. Po to do niego przyszła. Żeby nią sterował. Traktował jak marionetkę. Jak sekszabawkę albo spuszczoną ze smyczy sukę. Żeby wydawał jej polecenia, których nigdy nie usłyszałyby z ust męża.

W pewnym momencie kazał jej się podnieść i położyć na brzuchu. Wstał. Podciągnął jej spódnice i zaczął posuwać.

Seweryn był ciekaw, czy jego przybrana matka postępowała tak samo. Czy umawiała się z napalonymi gachami i robiła z nimi to, na co z mężem nigdy by się nie odważyła. Ale jeszcze bardziej go zastanawiało, co by zrobił jego przybrany ojciec, gdyby się o tym w porę dowiedział. Jak by się zachował, gdyby któregoś dnia wpadł do mieszkania takiego kochasia. Czy nienawiść,

którą przez lata wyładowywał na przybranym synu, potrafiłby przenieść na żonę? Seweryn nie był tego pewien. Czuł, że w takiej sytuacji ojciec okazałby się zerem. Pozorantem. Pozbawionym pazurów krzykaczem. Pewnie nie byłby w stanie skarcić tej kurwy. Być może nawet nie przyszłoby mu to do głowy.

Do tego potrzeba kogoś takiego jak ja, pomyślał.

Kiedy skończyli, kobieta, wciąż naga, ruszyła do łazienki. Zatrzymała się jeszcze w przedpokoju, żeby wydobyć z torebki telefon. Kolejny mail. Kolejna maskująca wiadomość. Gdy ją wysłała, na kilka minut zniknęła za drzwiami. Wyszła czysta i rozpromieniona. Podreptała do salonu. Chwilę później dołączył do niej gach, który przygotował w kuchni napoje – owocową herbatę dla niej i kawę z mlekiem dla siebie.

Seweryn nie słyszał, o czym rozmawiają, ale mógł się tego domyślić. Widział te dialogi na ich niespokojnych twarzach. Wiedział, że po paru minutach pieprzenia o niczym, opowiadania o trudach dnia i planach, których nigdy nie zrealizują, przejdą do rzeczy. Do ich wspólnej przyszłości. Potrafił wyczytać z ich zachowań, mimiki, gestów i mowy ciała, z pulsującej pod skórą żarliwości, że nie jest to dla nich jedynie przelotny romans. Nie spotykali się wyłącznie po to, żeby się pierdolić. Nawet jeśli jeszcze nie w pełni zdawali sobie z tego sprawę, było to coś więcej niż przedłużony seksualny epizod, o którym po jakimś czasie oboje mieliby zapomnieć. Łącząc swoje namiętności, skazali się na siebie. Rozpoczynając coś, czym tylko chcieli zaspokoić chuć, zdefiniowali się na resztę życia.

I bezpowrotnie skazali na cierpienie.

Po krótkiej rozmowie kobieta czule pożegnała się z kochankiem. Seweryn odnotował w zeszycie godzinę jej wyjścia. Dwudziesta pięćdziesiąt pięć. Tylko dwie minuty później niż ostatnio. Metodyczna suka, pomyślał. Gdyby wiedziała, jak bardzo ułatwia mi życie...

Zgarnął akcesoria dozorczy i ruszył schodami w dół. Po drodze minął dwoje młodych ludzi, którzy obładowani zakupami gramolili się do mieszkania. Kiedy

go zobaczyli, przestali się śmiać. Ale nic nie powiedzieli. Po prostu bali się, że mogą go urazić swoim rechotem.

Znieczulica, pomyślał Seweryn, uśmiechając się pod nosem. Moja ulubiona choroba społeczna. Osobista przepustka do nieśmiertelności.

Dear Mr Vanmarcke,

Thank you for the documentation. I sent it to our lawyers and Chief Financial Officer but I'm pretty sure that everything is fine. Looking forward to our cooperation.

Hope to see you soon in Poland. I'm going to show you our famous hospitality. And this time drinks are on me :)

Best regards,

Mariusz Ryter ⁵

Uśmiechnął się, czytając po raz drugi treść wiadomości, którą zamierzał wysłać jednemu z belgijskich klientów Herkulesa. Kilka tygodni wcześniej razem z dyrektorem sprzedaży odwiedził go w Brugii i po wyczerpującym dniu, zwieńczonym nudną wizytą w pubie, podczas której nawet nie przeszli na „ty”, rozpoczął ciągnącą się od kilkunastu dni grę pozorów. Partyjkę szachów, w której każda figura ma ukrytą wartość. Gracze przesuwają je po szachownicy za pomocą wymuszonych uprzejmości, dążąc do zaszachowania rywala jak najmniejszym kosztem. I najlepiej w taki sposób, żeby się nie zorientował, że przegrał.

Dla Mariusza Rytera biznes był w gruncie rzeczy prostą dziedziną. Uważał, że nie chodzi w nim o spekulowanie i odczytywanie trendów. Nie liczy się

znajomość inżynierii finansowej. Nie potrzeba dogłębnej wiedzy informatycznej, inżynierskiej czy biotechnologicznej. Bez znaczenia jest nawet ekonomia. Według Rytera w biznesie chodzi wyłącznie o umiejętność zaspokajania potrzeb. Te oczywiście nieustannie ewoluują, czasem w nieprzewidywalnych kierunkach. Ale jedna pozostaje niezmienna. Potrzeba bezpieczeństwa. Na piramidzie Masłowa ulokowana przy samej podstawie, tuż nad potrzebami fizjologicznymi, takimi jak żarcie, sranie czy ruchanie.

Kluczem do sukcesu Rytera nie było jednak zaspokojenie tej potrzeby, tylko uzmysłowienie klientom, że jest tak cholernie ważna. Zamiast systemów antywłamaniowych sprzedawał świadomość, że są niezbędne. A biznes sprowadzał do igrania z emocjami. Musiał być psychologiem, nie ekonomistą. Manipulatorem w białych rękawiczkach. Mistrzem szachowym, który równie sprawnie pogrywa z właścicielem sieci salonów kosmetycznych w Brugii, jak i z łódzkim sprzedawcą śrubek.

Wcisnął przycisk Wyślij, rozparł się na krześle i pociągnął łyk kawy. To dopiero pierwszy z kilku podobnych maili, które musiał wysłać tego dnia. Kiedy półtora roku wcześniej na jednym z posiedzeń zarządu przedstawił swoją strategię, zakładającą, że w ciągu kilku lat Herkules uzyska rangę międzynarodowego przedsiębiorstwa, jego menedżerowie zgodnie kiwali głowami. Ale w ich oczach widział pogardę. Przeświadczenie, że jakiś głupiutki żuczek z przerośniętymi ambicjami sypnął im w twarz potężną porcją dyrdymałów. Jednak niedługo później machina ruszyła. Pojawili się pierwsi klienci spoza Polski. Marka Herkules zaczęła być rozpoznawalna. I nagle stało się jasne, że wizja Rytera może się ziścić. I to nawet szybciej, niż mu się zdawało.

Oczywiście Ryter nie miał nic przeciwko temu. Zwłaszcza odkąd policja zainteresowała się jego powiązaniem z Kawęckim i pierwszy raz przyszło mu na myśl, że kiedyś może zostać zmuszony do biznesowej emigracji.

Często powtarzał, że osiągnie sukces bez względu na wszystko. Bez względu na to, ile będzie go to kosztowało. Oraz co i kogo będzie musiał po drodze

poświęcić.

Jego stara nokia zawibrowała na stole. Sięgnął po nią i spojrzął na wyświetlacz. Szymon Taras. Szef zaopatrzenia.

– Panie prezesie, mamy problem.

Ryter rzucił okiem na zegar w prawym górnym rogu laptopa. Siódma czterdzieści pięć. Skoro Taras odważył się zadzwonić o tak dantejskiej porze, było jasne, że mają problem.

– O co chodzi?

– Nie wiem, jak to powiedzieć... – Taras się zawahał. – Chyba powinien pan to zobaczyć. Jesteśmy w magazynie.

– Zaraz tam będę.

Podniósł się z biurka i wyszedł z gabinetu.

Herkules wynajmował dwa połączone ze sobą budynki przy ulicy Granicznej, w sąsiedztwie paru zakładów produkcyjnych i osiedla domków jednorodzinnych. W mniejszym Ryter urządził biuro: zwyczajne, niewyszukane, zastawione tanimi meblami. Większy, znacznie ważniejszy, podzielił na dwie części podobnej wielkości. Pierwsza była magazynem, w którym gromadził sprowadzane z Azji komponenty do systemów antywłamaniowych – czujniki, detektory, sygnalizatory, klawiatury, nadajniki i różnego rodzaju moduły. W drugiej części mieściła się prosta hala produkcyjna, gdzie kilkadziesiąt osób zamieniało to chińskie bądzie wie w produkty. Niebieskie kołnierzyki je upiększały, malowały, zdobiły i elegancko opakowywały, a młodzi informatycy wgrywali na nie proste oprogramowanie, by na koniec gogusie w gajerach mogli je wciskać nieznanym się na rzeczy naiwniakom jako antywłamaniowe iPhone'y. To – plus dobry marketing – wystarczyło, żeby zbudować firmę osiągającą kilkadziesiąt milionów złotych przychodu rocznie.

Ryter wszedł do sąsiedniego budynku i zamknął za sobą drzwi. Zbliżył się do stłoczonych w narożniku hali pracowników w drelichowych kombinezonach. Spomiędzy nich wyłonił się Szymon Taras, pięćdziesięcioletni wąsacz w dżinsowych spodniach oraz prostej kraciastej koszuli.

– Co się stało? – spytał Ryter.

– Proszę spojrzeć. – Taras wskazał palcem okrągłą szparę o średnicy mniej więcej półtora metra. – Ktoś się włamał do magazynu.

Ryter długo się wpatrywał w wypaloną w blaszanej ścianie dziurę. Wiedział, że nie jest to najtrwalszy budynek. Żeby postawić tak rachityczną i taną konstrukcję, musiał przekupić kontrolera z nadzoru budowlanego. Nie dziwiło go, że zimą pracownicy utyskiwali na niską temperaturę i że z roku na rok musiał płacić więcej za ogrzewanie. Był w pełni świadomy tego, że ściany jego fabryki można łatwo sforsować. Ale nigdy nie przypuszczał, że ktoś się na to odważy.

– Co ukradli? – zapytał, starając się zachować spokój.

Szef zaopatrzenia odciągnął go na bok.

– Głównie komponenty – powiedział półszepem. – Ale nie przypadkowe.

– To znaczy?

– Wiedzieli, co kraść. Zajebali tylko te czujniki i moduły, które nie były ubezpieczone. – Taras zrobił pół kroku w stronę Rytera i jeszcze bardziej ściszył głos. – Kupowaliśmy je pod stołem, żeby zaoszczędzić na podatkach. Nie ubezpieczyliśmy ich, żeby nie wzbudzać niepotrzebnego zainteresowania.

Ryter zacisnął pięści. To był jego pomysł. Do tego dnia wydawał mu się genialny.

– Dlaczego nie zadziałał alarm? – zapytał.

– Bo go nie mamy.

– Jak to, kurwa, „nie mamy”?

– Prezes powiedział, że nikt nie jest na tyle głupi, żeby okradać firmę produkującą systemy antywłamaniowe i prowadzącą działalność ochroniarską.

– Naprawdę tak powiedziałem?

Taras pokiwał głową.

Kurwa, zaklął w myślach Ryter. Szewc bez butów chodzi.

– Monitoringu też nie mamy? – spytał.

– Mamy, ale z kilkunastu kamer działają tylko cztery. Żadna z nich nie nagrywa tej części magazynu.

– Ja pierdolę! – wściekł się Ryter. – A więc nie mamy alarmu, trzymamy w magazynie nieubezpieczone produkty, a dwa budynki o powierzchni czterech tysięcy metrów kwadratowych są pod nadzorem łącznie czterech kamer. Co to, kurwa, ma być? Firma teoretyczna?

Taras bezradnie wzruszył ramionami. Głośno przełknął ślinę.

– To szef tutaj rządzi. My tylko wykonujemy polecenia.

– Wiem. – Ryter trochę się uspokoił. – Nie mam do ciebie pretensji. Po prostu nie mogę uwierzyć, że coś takiego się wydarzyło. – Zamilkł na chwilę, żeby zebrać myśli. – Zgłoś to na psy. Wymyśl, jak możemy odzyskać chociaż część pieniędzy, i daj mi znać, co wykombinowałeś. A ja spróbuję odnaleźć te komponenty.

Taras pokiwał głową i natychmiast wziął się do roboty. Ryter po raz ostatni zerknął na wielką japę w ścianie, po czym odwrócił się na pięcie i wyszedł z budynku.

Październikowe powietrze było ostre i coraz wyraźniej pachniało nadciągającą zimą, ale w ogóle mu to nie przeszkadzało. Wręcz przeciwnie. Potrzebował orzeźwienia. To, co się wydarzyło, było karą za nieuzasadnione skąpstwo. Za błędy. A przede wszystkim za to, że zbyt wolno zareagował na pojawienie się nowego konkurenta. Nie docenił wroga, który okazał się dość zdeterminowany i odważny, żeby poznać jego firmę na wskroś i uderzyć w jej miękkie podbrzusze.

Wyjął z kieszeni telefon. Wybrał numer Procenta.

– Co tam? – powitał go beztrąsko gangster.

– Posłuchaj mnie uważnie. Roman właśnie napadł na mój magazyn. Zjebał mi sporo kosztownych zabawek. Nie zrobiłby tego, gdyby ktoś nie szepnął mu paru słów na temat mojej firmy. – Ryter zrobił pauzę, żeby zaczerpnąć powietrza. – Zadzwoń do niego i umów się na spotkanie. Najlepiej jeszcze dzisiaj.

– Do Romana? Pojebało cię?

– Nie, kretynie, do Kawęckiego. Wybadaj, co wie na ten temat. Nie wierzę, że ten chuj nie jest w to zamieszany.

Rozłączył się. Uniósł głowę i objął wzrokiem firmowe budynki. Jego pieniądze. Jego krwawica. Nie pozwoli sobie na stratę tego, na co tak ciężko pracował.

Bez względu na to, ile będzie go to kosztowało.

Artur otworzył drzwi do gabinetu Adamskiego, jakby chciał je wyrwać z zawiasów. Wparował do środka. Na kilku metrach, które dzieliły drzwi od biurka naczelnika, nieco wyhamował, ale i tak wyglądał na gotowego rozszarpać każdą przeszkodę. Rzucił teczkę na blat. Stał przed Adamskim, szeroko rozstawivszy nogi, z rękoma skrzyżowanymi na piersi.

– Co to jest? – spytał naczelnik.

– Gówno – odburknął Artur. – Ponowne rozgrzebywanie sprawy Bułeckiej to jeden wielki bullshit. Czuję się, jakbym codziennie przeżywał Dzień Świstaka. To głupiego robota, a wyście mnie w nią wrobili.

Kiedy mierzyli się spojrzeniami, które mogłyby stopić stal, do uchylonych drzwi nieśmiało zapukał Witold.

– Przyszedłem nie w porę? – zapytał.

– Wejdz – odparł Adamski. – Właśnie rozmawiamy o ponownym rozpatrywaniu sprawy Bułeckiej. Artur uważa, że to bez sensu.

– A tak nie jest? – obruszył się Waliszewski. – Dłubiemy w tym od kilkunastu dni. Nie znaleźliśmy żadnego nowego tropu. Choćby, kurwa, jednej informacji, która zmieniałaby nasze postrzeganie tego, co się z nią stało.

– Liczyliśmy się z tym, że to nie będzie proste.

Artur pokręcił głową, stukając palcem wskazującym w rzucony na biurko raport.

– Moim zdaniem nawet nie zagładasz do tych wypocin. – Odwrócił się do Witolda. – Gówno was obchodzi, czy tam coś znajdziemy, czy nie.

Wymyśliliście to, żebyście sami mogli zająć się czymś innym. Czymś, co ma bezpośredni związek z Kostką. Dlatego kazaliście mi dowiedzieć się czegoś na temat jego matki. – Ponownie przeniósł wzrok na Adamskiego. – Co wy kombinujecie?

Naczelnik poprawił swoją jasną grzywkę. Przesunął na bok myszkę, pochylił się nad biurkiem i splótł dłonie na blacie. Zerknął na Witolda.

– Chyba możemy mu zaufać, co? – spytał.

Witold skinął głową. Przeszedł kilka kroków, żeby zamknąć drzwi, a następnie usiadł na krześle. Sąsiednie wskazał Arturowi, ale ten nawet się nie poruszył. Wciąż był wściekły. Wciąż wyglądał tak, jakby chciał im wpierdolić, tylko nie wiedział, od którego zacząć.

– Prawdopodobnie ktoś wynosi z wydziału informacje i przekazuje je prokuratorowi Wardze – powiedział Witold. – Nie podejrzewaliśmy, że to ty, ale też nie mogliśmy tego ze stuprocentową pewnością wykluczyć. Dlatego wymyśliliśmy tę grupę do sprawy Bułeckiej. Nie włączyliśmy do niej tylko tych osób, co do których Bartosz miał absolutną pewność, że są w porządku.

– Sorry, ale nie znałem cię dość dobrze – odezwał się Adamski. – Zapewnienia Witolda były dla mnie niewystarczające.

Artur zerknął na Witolda z góry. Łagodniej niż poprzednio. W końcu zmiękł i opadł na krzesło.

– I co, znaleźliście kreta? – zapytał.

– Jeszcze nie – powiedział Witold. – Ale wygląda na to, że nasze przypuszczenia były słuszne, bo od jakiegoś czasu nie czujemy oddechu Wargi na plecach. Jest właściwie odwrotnie.

Witold opowiedział Arturowi o nagraniu z dnia zabójstwa Magdy Giętkiej, na którym widać samochody Kostki i Wargi. A także o tym, że od kilku dni razem z Kawęckim nie odstępują prokuratora na krok.

– Jeszcze nie wiemy, co o tym sądzić – skwitował. – Nie mamy pojęcia, dlaczego Kostka sprzedał Wargę. A teraz w całej tej gmatwaninie pojawiła się jeszcze jedna postać. Właściwie to o niej chciałem pogadać. – Zwrócił się do

Adamskiego. – Wczoraj podpatrzyliśmy Wargę w towarzystwie Zbigniewa Halberta. To biznesmen i polityk. Jeden z najzamożniejszych i najbardziej wpływowych ludzi w mieście. Za chwilę po raz kolejny zostanie radnym.

– Co robili? – zapytał Adamski.

– Nie wiadomo. Widzieliśmy tylko, jak się rozstawali po spotkaniu w jakiejś korporacji.

– Może Wargę szykuje się do wejścia w politykę. Przygotowuje spadochron na wypadek, gdyby jego prawnicza kariera legła w gruzach.

Witold pokręcił głową, jednocześnie sięgając do kieszeni po telefon.

– Jeszcze pięć minut temu też tak myślałem. Ale wtedy Kawęcki wysłał mi ten link.

Podał Adamskiemu telefon.

– O kurwa! – zaklął naczelnik, wpatrując się w ekran. – Jesteś pewien, że to nie fejk?

– Raczej nie. To serwis internetowy „Expressu Łódzkiego”. Fotka nie została podpisana, a nazwisko Halbert nie pojawia się w artykule, dlatego on sam może nawet nie zdawać sobie sprawy, że istnieje takie zdjęcie. Nie mam pojęcia, w jaki sposób Kawęcki do tego dotarł. Chyba musiał przekopać cały internet.

Adamski podał telefon Arturowi, który bez większego entuzjazmu popatrzył na zdjęcie.

– Kim są ci ludzie? – zapytał.

Witold przysunął się do niego i przyłożył palec do ekranu.

– To Zuzanna Szymczak, była wiceprezydent Łodzi. Obok niej stoi Zbigniew Halbert. A ten facet z tyłu to Borys Weliński.

– Kto?

– Gość, który razem z dwoma kumplami zgwałcił Alicję Mioduszewską. Wygląda na to, że w przeszłości był ochroniarzem Halberta. Zdjęcie pochodzi z dwa tysiące dwunastego roku. Halbert był wtedy radnym, a Weliński nieco wcześniej wrócił z Afganistanu.

– Ja pierdołę! – zaklął ponownie Adamski. – Chyba wolałem o tym nie wiedzieć.

Na kilkadziesiąt sekund w pomieszczeniu zapadła cisza. Zmącił ją jedynie odgłos postukujących o siebie kluczy, kiedy Witold próbował wyciągnąć z kieszeni fajki.

– Myślę, że musimy wdrożyć nasz plan – odezwał się w końcu Adamski. – Nie mamy wyjścia.

– Właściwie to nie jest nasz plan, tylko Kawęckiego – odparł Witold.

– O czym wy, kurwa, mówicie? – zirytował się Artur, który coraz bardziej nie nadążał za ich słowami.

Popatrzył na marsowe twarze policjantów. Cokolwiek planowali, nie zamierzali mu o tym powiedzieć.

Jakub Możejko zatrzymał się przed efektowną dwupiętrową willą na Muncypalnej, stojącą ledwie kilkaset metrów od Rudzkiej Góry, w samym sercu osiedla domków jednorodzinnych. Zamierzał skorzystać z zamocowanego obok furtki dzwonka, ale kiedy zbliżył się do bramy, zrozumiał, że nie musi. Jego myśli zagłuszyły dwa wściekle ujadające psy: owczarek kaukaski i rottweiler. Kiedy gapił się na ich strzelające śliną pyski, drzwi do budynku uchyliły się i na ganek wyszła filigranowa kobieta po pięćdziesiątce, odziana w gruby czerwony sweter i džinsy, w fikuśnych futrzanych bamboszach. Prawdopodobnie ważyła mniej od swoich rozwścieczonych bestii. Gdy zbliżyła się do furtki, psy zamilkły i zgodnie ustawiły się po jej bokach. Jakby były zaprogramowane na bezwzględne posłuszeństwo.

– Wbrew pozorom nie są takie groźne – powiedziała profesor Zofia Grajewska, dziekan Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Łódzkiego, była przełożona Możejki. – Po prostu lubią być w centrum mojej uwagi.

Kiedy otworzyła przyciskiem furtkę, a psy pochyliły grzbiety, jak gdyby szykowały się do skoku, Możejko zrobił krok do tyłu. Ale zwierzęta nie

zamierzały odstąpić od swojej pani. Po prostu wysłały mu sygnał, żeby nie próbował żadnych sztuczek.

– Zapraszam – powiedziała Grajewska.

Możejko wszedł na teren posesji pełen obaw. Odetchnął dopiero wtedy, gdy Grajewska wpuściła go do mieszkania, zostawiwszy bestie na zewnątrz. Zdjął wypchany po brzegi plecak i ściągnął buty. Rozejrzał się po spektakularnym, zanurzonym w lśniącym drewnie westybulu, z którego wyrastały jadalnia, kuchnia, salon, łazienka oraz schody na wyższe piętra.

– Domyślałem się, że zarabia pani lepiej ode mnie, ale nie przypuszczałem, że aż tak – powiedział, podążając za Grajewską, która prowadziła go na górę do jednego z pokoi dla gości.

– Mam bogatego męża – odparła bez ogródek.

– Czym się zajmuje?

– Jak by to powiedzieć... z zawodu jest dyrektorem. A mówiąc brzydko, interim managerem.

– Kim?

– Facetem od zadań specjalnych. Zajmuje się restrukturyzowaniem firm. Zatrudniają go przeżywające problemy korporacje, które chcą, żeby w nich posprzątał. Ściął koszty, uporządkował struktury, uprościł procesy. A mówiąc wprost: żeby wyrzucił jak najwięcej osób. Zatrudnia się go po to, żeby to na nim, a nie na szefach firmy, zogniskował się gniew pracowników.

Zatrzymali się przed pokojem, który rozmiarem dorównywał przeciętnemu salonowi w dużym mieszkaniu w bloku. W środku wszystko wydawało się ultranowoczesne: designerskie lampy, biurko z regulowaną wysokością, starannie zaścielone łóżko.

– I jak się pani czuje, mieszkając z kimś takim pod jednym dachem? – zapytał Możejko, zapatrzony na śnieżnobiałą garderobę z wysuwanymi koszami.

– Dopóki mamy osobne sypialnie, nie mam z tym problemu. – Grajewska kwaśno się uśmiechnęła. – Proszę się rozgościć, a potem zejść do jadalni. Wypijemy herbatę i pogadamy.

Możejko skinął głową i zaczął wypakowywać swoje rzeczy. Nie czuł się komfortowo, zgłaszając się po pomoc do byłej szefowej. Ale po awanturze z Samurajem, która niemal skończyła się mordobiciem, musiał znaleźć nowe lokum. Nową kryjówkę. Przypuszczał, że ludzie Halberta nie wpadną na pomysł monitorowania willi kobiety, której przysporzył wielu problemów, wdając się w romans ze studentką.

Zszedł do jadalni. Grajewska przygotowała dwie owocowe herbaty i postawiła je na podłużnym mahoniowym stole. Czekaając na Możejkę, wstukiwała wiadomość w iPhonie.

– Napisałam mężowi, że przez kilka dni będziemy mieli gościa. Nie powinno to być dla niego problemem. Tydzień temu dostał nowe zlecenie i ma mnóstwo pracy. Częściej go nie ma, niż jest.

– Dziękuję. Ratuje mi pani życie. Dosłownie.

– Jest aż tak źle?

Możejko wzruszył ramionami i zapatrzył się w blat.

– Zacząłem uciekać, gdy zobaczyłem dwóch zakapiorów czających się na mnie pod domem. Potem dowiedziałem się o Alicji Mioduszeńskiej. Działaliśmy razem, więc zakładam, że ci ludzie mają wobec mnie podobne plany. Albo gorsze. – Podniósł wzrok na Grajewską. – Chciałem panią przeprosić.

– Za co?

– Najbardziej za to, w jaki sposób odszedłem z uczelni. Powinienem był wszystko wyjaśnić. Opowiedzieć o romansie z Martyną. O tym, co ją spotkało. A także o książce, którą postanowiłem napisać, żeby... – westchnął głęboko – chociaż częściowo odkupić swoje winy.

– Przecież to nie pan ją zamordował.

– Ale mogłem się do tego przyczynić.

– Jak to?

– Ten zabójca wybiera kobiety wyzwolone. Swobodne. Otwarte seksualnie. I karze je za to, co robią ze swoimi ciałami. Za niewierność, spotkanie się

z wieloma partnerami, prostytutkę. Być może także za seks ze starszymi mężczyznami.

Grajewska pokręciła głową.

– Nie mógł pan przewidzieć, że wasz romans doprowadzi do tragedii. Ale domyślam się, że to, co dla kogoś z zewnątrz jest oczywiste i logiczne, osobie bezpośrednio zaangażowanej w sprawę zawsze wydaje się niejednoznaczne.

Ostrożnie napiła się herbaty. Następnie podniosła się z krzesła i zniknęła w kuchni. Po chwili wróciła z talerzem herbatników i ciasteczek, który podetknęła Możejce pod nos. Posłała mu serdeczny, pełen ciepła uśmiech, jaki często widywał w murach uczelni. Choć dzieliło ich mniej więcej dziesięć lat, nie traktowała go jak młodszego kolegi. Raczej jak syna, który nie radzi sobie z dorosłością.

– Była pani kiedyś reportażystką – odezwał się Możejko.

– To zbyt wiele powiedziane. Napisałam jeden reportaż.

– Wiem. Czytałem.

– Poważnie? – zdziwiła się. – Wydała go małeńka oficyna. Nakład był symboliczny. Ledwo starczyło, żebym rozdała książkę znajomym.

– Znalazłem ją, gdy szukałem tekstów o Łodzi z okresu transformacji ustrojowej. Pani reportaż skupiał się na dołujących doświadczeniach ludzi, których życie legło w gruzach na początku lat dziewięćdziesiątych. Pamiętam pani wywiady z włókniarkami i kierownikami fabryk. A także z politykami, którzy sypali jak z rękawa pomysłami na zatrzymanie niszczycielskiej fali. – Parsknął pod nosem. – Już wtedy przebąkiwali, że szansą dla miasta są ludzie młodzi oraz przemysł kreatywny. Podejrzewam, że pewne pomysły gospodarcze pojawiają się cyklicznie, bez względu na to, co się akurat dzieje na świecie.

– Do czego pan zmierza?

Możejko westchnął i zmusił się do uśmiechu.

– Nie jestem krytykiem ani znawcą reportażu, ale moim zdaniem to, co pani napisała, było zupełnie niezłe. Pomyślałem, że... – zamilkł na chwilę – że może pani rzucić okiem na roboczą wersję mojej pracy.

– Po co?

– Z dwóch powodów. Przede wszystkim chciałbym, aby ktoś, kto się na tym zna, ocenił, czy to się trzyma kupy. To dopiero draft tekstu, ale na jego podstawie można sobie wyobrazić, jak będzie wyglądała całość.

– Nie może pan zgłosić się z tym do swojego wydawcy?

– Taki miałem plan. Ale okazało się, że ci smutni ludzie, o których pani mówiłem, już do niego dotarli. I przekonali go do swoich racji.

– Rozumiem. A jaki jest drugi powód?

Możejko rozejrzał się po jadalni.

– Pani mąż działa w biznesie i doskonale rozumie jego mechanizmy. Poznał większość liczących się łódzkich przedsiębiorców. I jestem całkowicie pewien, że kojarzy człowieka, który próbuje mnie zabić. Razem z żoną literatką mógłby zrobić pożytek z tego tekstu, gdyby jego autorowi przytrafiło się coś niedobrego.

Grajewska zaśmiała się nerwowo. Splotła ręce na piersi, rzucając Możejce wyzywające spojrzenie.

– A więc nocleg był tylko częścią planu? Tą łatwiejszą? – Potrzęsnęła głową.

– Klasyczna „stopa w drzwiach” Cialdiniego. Mogłam się tego domyślić.

Możejko zapatrzył się w zawartość kubka. W końcu bezradnie uniósł dłonie.

– Zrozumiem, jeśli pani odmówi. Ale proszę się nad tym zastanowić. Nawet jeśli nie będzie pani chciała dokończyć mojej pracy, zależy mi na tym, żeby ten tekst trafił w dobre ręce. Żeby nie przepadł. Żeby stanowił świadectwo czynów tych ludzi.

Grajewska długo milczała. Nie powiedziała, że się zgadza. Ale też nie kazała Możejce spieprzać. A to oznaczało, że i tak osiągnął więcej, niż się spodziewał.

Alicja Mioduszevska siedziała na pierwszym piętrze niedawno otwartego pubu na placu Wolności. Gdyby wybrała miejsce przy oknie, widziałaby centralnie usytuowany pomnik Tadeusza Kościuszki, krzątającą się wokół niego młodzież oraz okrążające go tramwaje, a także wyrastającą za nim ulicę Piotrkowską – ponadczterokilometrowe, podłużne, niejednorodne serce miasta. Ale ona wolała

usiąść w maleńkiej, ciemnej, ukrytej w głębi lokalu salce, która mogła pomieścić jedynie dwa stoliki. Niegdyś wykorzystywano to pomieszczenie jako palarnię. Teraz była idealnym schronem dla osoby, która chciała unikać kontaktu ze światem.

I która musiała zrobić coś, na co nie miała najmniejszej ochoty.

Coraz bardziej zniecierpliwiona popijała cappuccino, gdy do jej zaciemnionej kanciapy zajrzał mniej więcej czterdziestoletni mężczyzna z zaniedbaną siwiejącą brodą, w dżinsach, skórzanej kurtce i czapce z daszkiem. Spojrzał na nią, a potem na telefon. W końcu ściągnął plecak i podszedł do jej stolika.

– Alicja Mioduszevska? – zapytał i nie czekając na odpowiedź, wyciągnął rękę na powitanie. – Waldemar Bajolek. Jestem researcherem telewizji Nowa Polska zatrudnionym przy realizacji programów interwencyjnych. Współpracuję między innymi z Janiną Sternik.

Przez kilka sekund Alicja przyglądała mu się zza okularów przeciwsłonecznych.

– Może pan pokazać dowód? – zapytała. – Albo legitymację prasową?

Facet parsknął śmiechem.

– Oczywiście mogę pokazać dowód. Przy odrobinie szczęścia mógłbym też znaleźć w plecaku legitymację, choć już nie pamiętam, kiedy po raz ostatni była mi potrzebna. Ale będzie znacznie prościej, jeżeli odszuka pani mój profil na LinkedIn.

Rzucił Alicji drwiący uśmiech, a potem skinął brodą na jej telefon. Kiedy ta weryfikowała jego tożsamość, wypakował z plecaka notatnik oraz dyktafon. Następnie podszedł do zlokalizowanego przy schodach baru i zamówił kawę.

– I co, wszystko się zgadza? – spytał, gdy wrócił do stolika.

– Kontaktowałam się mailowo z Janiną Sternik – odparła Alicja. – To z nią umówiłam się na spotkanie. Z nią – podkreśliła – a z nie z jej pomagierem.

Bajolek ciężko westchnął.

– Jest pani dziennikarką prasową, więc zakładam, że zna się pani na pisaniu do gazet. Ale najwidoczniej nie ma pani bladego pojęcia o pracy

w ogólnopolskiej telewizji. – Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i wysmarkał w nią nos. Następnie złożył ją na pół, uniósł czapkę i otarł spocone czoło, do którego przykleiła się mokra grzywka. – Janina jest twarzą i główną prowadzącą programu, ale pracuje nad nim kilkanaście osób. Gdyby miała samodzielnie zajmować się researchem i wyszukiwaniem bohaterów, w najlepszym wypadku robilibyśmy jeden program miesięcznie, a nie trzy w tygodniu. – Wzruszył ramionami. – Jeśli jednak tak bardzo pani zależy na Janinie, mogę wypić kawę, wrócić do Warszawy i tam się z nią rozmówić. Ale szczerze wątpię, żeby chciała zrobić dla pani wyjątek.

Alicja siedziała wbita w skórzany fotel i przyglądała się Bajołkowi. Jak na jednej z ostatnich stron notatnika sprawdza, czy nie wypisał mu się długopis. Jak ogląda się za kelnerką, która przyniosła kawę. Jak napawa się swoją przewagą. Pozycją siły. Arogancją. Skurwiel z warszawki, pomyślała. Nie wyobrażała sobie, co musiałoby się stać, żeby podzieliła się z nim swoją historią. Swoim dramatem.

– Proszę do niej zadzwonić – powiedziała.

– Słucham?

– Proszę zadzwonić do Janiny Sternik.

– I co mam jej powiedzieć? Że niedoszła bohaterka materiału okazała się do tego stopnia nieufna i zarozumiała, że nie chce ze mną rozmawiać?

Alicja ściągnęła okulary i odłożyła je na stolik.

– Może jej pan powiedzieć, że siedzi przed kobietą, która właśnie przegląda listę kontaktów w pożyczonym telefonie, ponieważ z własnego boi się korzystać ze względu na podsłuch. I że na tej liście ma ludzi, którzy w ciągu paru minut mogą ją skontaktować z prowadzącymi trzech z czterech najważniejszych programów interwencyjnych w tym kraju. – Oderwała się od fotela i pochyliła nad stołem. Uśmiechnęła się najszerzej, jak potrafiła. Chciała, żeby Bajołek ją widział. Żeby widział jej rany. Żeby w każdym ułamku sekundy miał świadomość, z kim ma do czynienia. – Wybrałam was nie dlatego, że macie największy zasięg, lecz ze względu na Janinę. Uwierzyłam w jej empatię. Ale

jeżeli stać ją wyłącznie na to, by na spotkanie z kobietą, która przeszła piekło, wysłać jakiegoś spoconego aroganta, wolę pogadać z jej konkurencją. Jakoś przeboleję stratę pięćdziesięciu czy stu tysięcy widzów.

Bajołek zaśmiał się pod nosem, co najwidoczniej było jego standardową reakcją obronną. Patrzył przez chwilę na Alicję, po czym skupił się na kawie. Wsypał do napoju całą saszetkę cukru. Mieszał kawę, nieelegancko dzwoniąc o ściany filiżanki. Gorączkowo myślał nad słowami Alicji.

– Sądzę, że pani blefuje – powiedział w końcu.

– Zawsze może pan to sprawdzić. Ale jeżeli pan się myli, to nie będzie już odwrotu.

Gapiąc się na zdezorientowaną twarz Bajołka, Alicja sięgnęła po telefon.

Klienci Soboty mogliby pomyśleć, że Kawęcki bezmyślnie wpatruje się w stojące kilka metrów dalej naczynia. Że zaciągając się papierosem, przez przypadek łypie na wypełniony wódką kieliszek oraz kufel, do którego cycata barmanka wlewa chrzczone piwo. Że po prostu ogniskuje wzrok na jakimś ruchu.

Ale dla Kawęckiego gapienie się na źródło udręki miało głębszy wymiar. Było elementem rytuału. Fragmentem, który nadawał sens całemu kartoflowatym puzzlom. To był jego ulubiony moment dnia. Kilka ekscytujących sekund poprzedzających upadek. Czuł się wtedy jak przed heroinowym strzałem. Jak przed wytryskiem. Jak przed egzystencjalnym resetem. Jakby ze świadomością, że przez cały rok był grzeczny, rozpakowywał położony pod choinką prezent i wiedział, że w środku znajdzie to, o co prosił w liście do Świętego Mikołaja – naładowaną dubeltówkę z krótką lufą i luźnym spustem.

Kiedy barmanka podetknęła mu alkohol pod nos, wprawnym ruchem opróżniła kieliszek, a następnie popił piwem. Zapalił kolejnego papierosa i poprosił o następną rundę. Czekał, zerknął w kierunku wejścia. Zaklął.

Wiedział, że zaraz nastąpi najmniej przyjemny moment dnia. Przeczuwał go w odgłosie ciężkich buciorów spadających na brejowatą podłogę i odklejających

się od niej tak, jakby chciały wyrwać deski. W obrzydliwych pociągnięciach nosem, jakimi przybysz powitał barmankę. A także w ciszy, która zapanowała w lokalu, kiedy do środka wparował zły bliźniak Frankensteina.

– Jak to dobrze, że jesteś pijakiem – oznajmił Procent, przysiadając się do Kawęckiego. – Dzięki temu łatwo można cię znaleźć.

– Normalni ludzie lokalizują się za pomocą telefonów – odparł Kawęcki.

– Nie bądź, kurwa, taki dowcipny, bo się kiedyś zdziwisz.

– *Symetria*.

– Co?

– Nieważne. Czego chcesz?

– Mam kilka pytań. – Procent zapalił szluga. W żołnierskich słowach kazał barmance nalać sobie lufę i browar. Potem ponownie skupił się na Kawęckim. – Po jaką cholere chlejesz w tej spelunie, skoro i tak z nikim tu nie rozmawiasz? Przecież byłoby taniej, gdybyś kupił flachę w sklepie i wytrąbił ją w domu. Albo na ławce przed blokiem. Albo, kurwa, gdziekolwiek.

Kawęcki odwrócił się i zerknął w głąb lokalu, jak gdyby szukał kandydata na kompana. Napotkawszy wrogie spojrzenia, uznał, że nie będzie się z nikim bratał. Dla obopólnego dobra.

– Powiedziałaś, że masz kilka pytań – przypomniał Procentowi. – Słucham.

Gangster opróżnił kieliszek, po czym zaciągnął się papierosem, jakby chciał się go pozbyć jednym machem. Wydmuchnął przed siebie gęsty, gryzący dym.

– Kto jest twoim informatorem w psiarni? – zapytał. – Ten twój przygłupi kumpel Witold Jakiśtam?

– Dlaczego chcesz to wiedzieć?

– Mariusz jest ciekaw, jak wyciągasz dla nas informacje, skoro już nie jesteś psem. Zresztą wcale mu się nie dziwię. Odkąd przeszedłeś na emeryturę, dzieją się niepokojące rzeczy.

Kawęcki popatrzył z uśmiechem na jego pokancerowaną gębę.

– Masz coś konkretnego na myśli?

Procent nie zrozumiał aluzji. Albo zrozumiał aż za dobrze, ponieważ pochylił się do Kawęckiego, jakby zamierzał strącić go z krzesła.

– Przekaż Mariuszowi, że kupuję informacje od pewnej policjantki. To bezpieczne źródło. Nie powinno szybko wyschnąć. Nic więcej nie mogę zdradzić.

Gangster przyglądał się Kawęckiemu, próbując wyczuć, czy mówi prawdę.

– Dlaczego Roman cię nie zajebał? – zapytał, zmieniając temat

– Mariusz już o to pytał.

– A teraz ja pytam.

Kawęcki głęboko westchnął, gapiąc się na kufel.

– Być może docenił moją wolę życia.

Procent głupio się uśmiechnął.

– Przecież ty, kurwa, nie masz woli życia.

Kawęcki wątpił, żeby gangster rozumiał, co właśnie powiedział. W zasadzie był pewien, że z tej wytatuowanej cysterny głupoty wydobywały się jedynie przypadkowe sformułowania, które upuszczał wyłącznie po to, by zanieczyścić czymś eter. Był zwierzęciem wychowanym w walce, przez co z automatu kontrował wszystkie wypowiedzi Kawęckiego. Dlatego tak zadziwiające było to, że tym razem miał rację.

– Nie wiem, czemu mnie nie zabił – stwierdził Kawęcki. – Parokrotnie próbował. Za każdym razem był tego bliski. Nie sądzę, żeby się zniechęcił. Raczej zmienił taktykę. Może chce uspić moją czujność, żebym się rozluźnił i opuścił gardę. A może uznał, że skoro już nie jestem psem, nie stanowią dla niego zagrożenia.

Procent gapił się na Kawęckiego, obmacując rany na gębie. Gdy niechcący rozdrapał któryś ze strupów, z jego poharatanego policzka pociekła strużka krwi.

– Będziesz mógł go o to zapytać – oznajmił.

Gangster zgasił papierosa i sięgnął do kieszeni. Wydobył złożoną na czworo kartkę. Położył ją na brudnym blacie. Kawęcki niechętnie sięgnął po papier.

– Co to jest?

– Kolejne zadanie od Mariusza.

– Nie tak się umawialiśmy. – Kawęcki potoczył wzrokiem po lokalu, upewniając się, że nikt ich nie słyszy. – Miałem być jego łącznikiem w policji, a nie chłopcem na posyłki.

Procent opróżnił kufel, odstawił go z hukiem na stół i zsunął się ze stołka. Wetknął papierosa do ust.

– Może doszedł do wniosku, że twoje informacje są głównie warte. – Wzruszył ramionami. – Zresztą nie wiem. Nie moje małpy, nie mój cyrk. Ja tylko przekazuję informacje.

– To przekaz Mariuszowi, że nie będę się uganiał za facetem, który próbuje mnie zajebać.

– Jeśli chcesz, sam mu to powiedz. Wiesz, gdzie go szukać. – Procent wyjął z portfela pięćdziesięciozłotowy banknot i rzucił go na ladę. – Na mój koszt. To twój szczęśliwy dzień.

Kawęcki odprowadził go wzrokiem. Kiedy Procent opuścił lokal, pospiesznie dopił browar i zwrócił się do barmanki:

– Jeszcze raz to samo.

– Rozpędzasz się – odparła kobieta, zgarniając z blatu pozostawiony przez Procenta kufel. – A ja miałam cichą nadzieję, że za jakiś czas przestaniemy się widywać.

– Nie lubisz swoich klientów?

– Lubię do momentu, w którym nie muszę ich ściągać z baru. – Odmierzyła kolejną porcję czystej i podała Kawęckiemu kieliszek. – Coś się stało, że postanowiłeś wrócić do gorzały?

Potrząsnął głową, rzucając barmance zagadkowy uśmiech.

– To po prostu mój szczęśliwy dzień – odparł, a następnie wychylił kolejny kieliszek.

Prokurator Adam Warga czuł się niewolnikiem swoich porannych rytuałów. Wstawał za piętnaście szósta, zawsze po uprzedniej dziesięciominutowej drzemce. Wyłączał budzik w telefonie, wciskał stopy w solidnie znoszone pantofle, które już od paru lat planował wymienić, i usiadłszy na skraju łóżka, dochodził do siebie. Akceptacja tego, że nastął kolejny dzień, zwykle zajmowała mu około minuty. Następnie szedł do łazienki zlokalizowanej na końcu czteropokojowego apartamentu.

Kiedy już się wysikał, stawał przy zlewie. Mył zęby, golił się, łykał kilka suplementów diety mających mu pomóc schudnąć i obniżyć cholesterol. Rozciągał mięśnie karku, rozgrzewał nadgarstki i wykonywał kilka wymachów ramionami, jak gdyby szykował się do pływania. Z reguły była to jego jedyna świadomie i celowo podejmowana aktywność fizyczna w ciągu dnia. Następnie brał szybki letni prysznic, wycierał ciało grubym białym ręcznikiem, smarował pachy antyperspirantem w sztyfcie i wkładał majtki. Nie do końca wysuszony wychodził z łazienki – już bez pantofli, przez co wytyczał płatfusowaty szlak do kuchni.

Zawsze przygotowywał solidne śniadanie. Słuchając porannej audycji w Radiu Łódź, wkładał ser pomiędzy złożone kromki chleba, a potem cztery takie pary ładował do opiekacza. Tymczasem w niewielkim rondelku gotował tyle samo parówek. Kiedy tosty były już przyrumienione, umieszczał je na

dużym okrągłym talerzu, który z kilku stron oblewał ketchupem, musztardą i chrzanem. Potem jeszcze kładł na nim parówki. Każdą bombę kaloryczną popijał szklanką coli lub soku oraz filiżanką kawy z ekspresu. Espresso lungo. Gorzką. Nie chciał przesadzać z cukrem.

Ubranie do pracy czekało na niego w garderobie, naszykowane dzień wcześniej przez ukraińską sprzątaczkę, która zaglądała do apartamentu podczas jego nieobecności. Spodnie garniturowe, długie czarne skarpety, biała koszula, kolorowy krawat i ciemnogrnatowa marynarka. Nic wyszukanego. Proste wyjściowe łąchy, które można skompletować w pierwszej lepszej galerii handlowej. Może to dlatego Warga zwykle już po kilku godzinach wyglądał w nich jak łapciuch. Jakby jego nieforemne cielsko ponadprzeciętnie je deformowało. Czasem popadał przez to w irytację, ponieważ widział, w jaki sposób ludzie na niego patrzą. Jak na zaniedbanego tłuściocha. Spasioną fleję. Rozlazłą, niechlujną, spoconą świnię.

Na koniec Warga pakował swoją czarną aktówkę. Nosił w niej dziewięciocalowego notebooka, kilka teczek z dokumentami, przybory do pisania, parę awaryjnych krawatów, leki i suplementy, chusteczki, krakersy i mnóstwo makulatury, której już dawno powinien był się pozbyć. W cieplejsze dni upychał tam jeszcze wodę. Jego aktówka zwykle sprawiała wrażenie przeładowanej. Wypchanej do granic absurdu. Warga słyszał, jak ludzie z niej drwili. Mówili, że jest przedłużeniem jego racic. Kolejnym serdelkiem doczepionym do wykoślawionego ludzika Michelin. Naturalnym zwieńczeniem tłustego kutafona, z którym musieli się użerać.

Wszystkie poranne obrządki zajmowały Wardze około godziny. Zwykle o szóstej czterdzieści pięć stawał przed lustrem w przedpokoju. Przyglądał się sobie. Swoim niedoskonałościom. Monstrualnej tuszy. Pierwszym kroplom potu, które pojawiały się na jego czole w wyniku porannej krzątaniny. Aktówce czyniącej go jeszcze bardziej surrealistycznym. Nienawidził tego, co widział. Ale jednocześnie jeszcze bardziej nienawidził wszystkiego innego. Tych wszystkich wymuskanych, idealnych kolegów prokuratorów, sędziów, radców

i adwokatów. Całego świata, który tuszował swoje tajemnice, lęki i pęknięcia. Czasem przepełniała go taka nienawiść do tego, co czai się za drzwiami jego mieszkania, że nie rozumiał, jakim cudem jeszcze tego wszystkiego nie zniszczył. Nie wysadził. Nie stał w prochu.

Tego dnia prokurator Adam Warga wyrobił się w niecałą godzinę. Przez kilkadziesiąt sekund stał przed lustrem. Przyglądał się umęczonej gębie. Potem spuścił nieco wzrok i zerknął na koszulę opinającą ciało. Już jakiś czas temu zdał sobie sprawę, że jeśli nic się nie zmieni – a na to się nie zanosilo – będzie musiał wymienić całą garderobę na nową, w większym rozmiarze. Miał wrażenie, że jego wielgachny bęben w każdej chwili może rozsadzić koszulę i niczym rurobomba wystrzelić z niej guziki.

Nie był to jednak problem, którym zamierzał się teraz zajmować. Zarzucił płaszcz na grzbiet i wyszedł z mieszkania.

Zamknął drzwi i wetknął klucze do bocznej przegrody aktówki. Zaczął schodzić po schodach. Powoli, żeby się nie zmęczyć, żeby się jeszcze bardziej nie spocić, żeby nie wyjść z budynku zdyszany. Zejście z trzeciego piętra na parter zajęło mu mniej więcej czterdzieści sekund. Kiedy pokonał ostatni stopień, zostało niecałe dziesięć metrów do wyjścia. Przemierzając ten dystans, grzebał w kieszeni płaszcza, szukając kluczyków do auta. Przez kilka sekund koncentrował się tylko na tym. Martwił się, czy między papierkami po cukierkach jego tłuste paluchy wymacają kawałek metalu z infantylnym breloczkiem w kształcie misia.

Dlatego gdy zobaczył stojącego w narożniku klatki schodowej mężczyznę, nie zwrócił na niego uwagi. Nie zorientował się, że ściska w dłoni chusteczkę. Że stoi na lekko ugiętych nogach, jak gdyby szykował się do skoku. Że nie widać jego twarzy, ponieważ przysłania ją kominiarka.

Kiedy w końcu umysł Warga wyczuł niebezpieczeństwo, było już za późno.

Ostatnią rzeczą, jaką prokurator zapamiętał z tego poranka, było jego unoszące się nad chodnikiem ciało. Jakby był piórkiem. Motylem. Pozbawionym masy bytem, któremu ktoś pomógł wlecieć do bagażnika samochodu.

Kawęcki i Witold zamilkli, nasłuchując odgłosów dobiegających z tylnej części pojazdu. Dźwięk przypominał regularne, rytmiczne postukiwanie. Jak gdyby ktoś rozwścieczony, a zarazem mający ograniczony zakres ruchu okładał samochód po bebechach.

– Co to? – zapytał Kawęcki.

– Tuleje albo wahacze – odparł Witold po krótkim namyśle. – Ewentualnie amortyzatory. Tak czy inaczej, parę stów pójdzie się jebać.

Jeszcze przez kilka sekund wsłuchiwali się w stukot, zanim Witold pogłodził radio i przyspieszył, wbijając się w sznur samochodów rozciągnięty niemal na całej długości Radwańskiej. Przejechali kilkaset metrów i skręcili w Piotrkowską, kierując się w stronę placu Niepodległości.

– Myślisz, że Kostka zajebał swoją matkę?

Witold, wyraźnie zaskoczony tym pytaniem, zerknął na Kawęckiego. Jego cuchnący strawionym alkoholem partner spokojnie popijał kawę z termosu, gapiąc się przez szybę na pasażerów właśnie mijanego tramwaju.

– Nie byłoby to takie dziwne – odparł Witold. – Pewnie się dowiedział, że go porzuciła. I że była puszczalską narkomanką. Pasuje do charakterystyki jego ofiar.

– Wprost idealnie.

Witold ponownie zerknął na Kawęckiego.

– Co ci chodzi po głowie? – zapytał.

– Kostka zabija kobiety, które puszczają się za pieniądze, biorą narkotyki, robią skrobanki albo zdradzają swoich facetów. Wygląda to tak, jakby karał je za grzechy. Za nieprzestrzeganie katolickiego kodeksu. Wiemy, że jest zafascynowany Starym Testamentem, więc być może bardzo dosłownie traktuje wszystkie krwawe reguły, jakie w nim wyczytał. Ale wiemy też, że nie jest idiotą. Facet, który trzymał w domu książki Hume'a, Schopenhauera czy Heideggera, a ewangelicką Biblię Warszawską wypełnił bardzo szczegółowymi zapiskami, raczej nie powinien dać się zaślepić fanatycznym dyrdymałem wymyślonym przez jakichś zwyrodnialców kilka wieków przed naszą erą.

Zresztą proboszcz z Radogoszcza powiedział, że rozmawiało mu się z nim jak z kolegą po fachu. Jakby Kostka miał wykształcenie teologiczne.

– Jaką masz teorię?

– Wydaje mi się, że Kostka stworzył jakieś autorskie wyjaśnienie tego, co robi. Być może ciągle je modyfikuje. Stara się racjonalizować swoje wybory.

– Racjonalizować mordowanie kobiet?

– Wiem, jak to brzmi. Ale według mnie to jedyne sensowne wytłumaczenie. Opierając się na Biblii, tekstach teologicznych, mszach i rozmowach z księżmi, Kostka buduje jakąś dziwaczną koncepcję świata. Własną wiarę.

Witold przez chwilę zastanawiał się nad słowami Kawęckiego.

– Może uważa się za Boga – zasugerował.

– Raczej za jego namiestnika. Albo kogoś, kto koryguje dzieło stworzenia świata. Własną wiarę.

– W każdym razie pewnie nie mamy po co szukać jego matki.

– Niekoniecznie. Może Kostka odnalazł tę kobietę, zobaczył, że się zmieniała, i jej wybaczył. A jednocześnie postanowił, że w dalszym ciągu będzie walczył z rozprzestrzeniającym się zepsuciem.

Witold ciężko westchnął.

– Nie uważasz, że te teorie są ze sobą sprzeczne? Gdyby docenił przeobrażenie swojej matki, powinien także dać szansę na zmianę innym kobietom, które w żaden sposób go nie skrzywdziły.

– Może wybiera tylko te, których według niego nie da się już uleczyć. Albo po prostu brakuje mu cierpliwości. – Kawęcki wzruszył ramionami. – Musimy się dowiedzieć, co się stało z Majewską. Ona może być kluczem do tej sprawy.

Witold zerknął w lusterko wsteczne, a następnie przeciął jezdnię w niedozwolonym miejscu, przejeżdżając przez podwójną ciągłą i torowisko, żeby zatrzymać się na wąskim brukowanym chodniku. Wyłączył silnik.

Wysiedli z samochodu, zapalili po papierosie i spojrzeli na imponującą jasnożółtą katedrę, która wyrastała z betonowego placu.

– Wiesz, że to jeden z najwyższych kościołów w Polsce? – zapytał Kawęcki.

Witold uniósł głowę i powiódł wzrokiem po bazylice zwieńczonej strzelistą wieżą.

– Na taki wygląda – odparł.

– A wiesz, jak się nazywa ta parafia?

– Jak myślisz? Wyglądam na gościa, który wie takie rzeczy?

Kawęcki uśmiechnął się do niego. Chwilę później wyciągnął z kieszeni telefon. Wstukał hasło w wyszukiwarkę Google. Przeleciał wzrokiem po stronie i przekazał smartfona Witoldowi. Ten spojrział na fotografię bazyliki. A właściwie na znajdujący się pod nią napis.

Archikatedra św. Stanisława Kostki

– Może to przypadek – powiedział Kawęcki. – A może przypadki nie istnieją.

Witold głośno wypuścił powietrze z płuc.

– Mam już dość tych jebanych księży i kościołów.

Kawęcki pociągnął kilka szybkich machów i wyrzucił peta na chodnik.

– Obawiam się, że to dopiero początek.

Bartosz Adamski spojrział na Zbigniewa Halberta. A właściwie na jego półtorametrową, graficznie upiękzoną gębę, przyspawaną do gigantycznego billboardu reklamowego, z którego spoglądał na pasażerów dworca Łódź Kaliska. Znany lokalny biznesmen i polityk przypominał na plakacie robota, którego ktoś próbował nauczyć się uśmiechać. Raczej z marnym skutkiem.

– Ciesz się, ciesz, skurwielu – syknął Adamski.

Naczelnik Wydziału Kryminalnego zaparkował na alei Unii Lubelskiej, tuż obok postoju taksówek i wjazdu na dworcowy parking. Wyłączył silnik i wysiadł z auta. Przeszedł na drugą stronę jezdni. Zaczął okrążyć niekompletny, uzbrojony w zaledwie jedną trybunę stadion Łódzkiego Klubu Sportowego, aż dotarł na obszerny parking, sąsiadujący z boiskiem i halą Atlas Arena. Obok niego, na kawałku betonowego placu, tłoczyło się kilkadziesiąt osób skupionych wokół straganu. Kilka połączonych ze sobą podłużnych stołów pokrywały ulotki reklamowe, plakaty, streszczenia programów wyborczych, półlitrowe butelki

wody i słodkie przekąski. Za nimi stało paru wystrojonych w garnitury kandydatów do Rady Miejskiej oraz członkowie ich sztabów. Przypominało to mieszankę pikiety z osiedlowym festynem.

Brakuje tylko Big Cyca albo Zenka Martyniuka, pomyślał Adamski.

Naczelnik szybko zlokalizował Halberta. Biznesmen rozmawiał z jakimś mężczyzną, który co chwila podnosił siatkę z Biedronki, traktując ją jak rekwizyt. Adamski przedarł się do stołu i przedstawił jednemu ze sztabowców. Ten chwilę później podszedł do Halberta i szepnął mu coś do ucha. Biznesmen pokiwał głową, a następnie złapał wzrokiem Adamskiego. Grzecznie odprawił marudzącego faceta, przekazał coś swoim pracownikom i podszedł do policjanta.

– Interesuje się pan piłką? – spytał Adamski, ściskając sztywną dłoń biznesmena.

– Kiedyś się interesowałem – odparł Halbert, razem z policjantem oddalając się od tłumu. – Wychowałem się na Retkini. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych regularnie chodziłem na mecze ŁKS-u. Potem przygniotły mnie biznesowe obowiązki. A pan?

– Zawsze było mi bliżej do Widzewa. Mój ojciec jest widzowiakiem.

– No cóż, nikt nie jest doskonały. – Halbert posłał policjantowi uśmiech z billboardu. – W czym mogę panu pomóc?

– Chciałem porozmawiać o Borysie Welińskim.

Adamski zamilkł, obserwując reakcję Halberta. Ale z jego kamiennej twarzy trudno było cokolwiek wyczytać.

– Kojarzy go pan? – zapytał.

– Oczywiście. Przez kilka lat był moim ochroniarzem.

– Jak się panowie poznali?

– Ktoś mi go polecił.

– Kto?

– Nie pamiętam. Pewnie któryś z moich współpracowników. Jeśli panu bardzo na tym zależy, mogę to sprawdzić.

– Poproszę. – Adamski na chwilę zawiesił głos. – Jak go pan wspomina?

Halbert odwrócił się w stronę stoiska, jakby nagle stracił zainteresowanie Adamskim. Jakby policjant znudził go samą swoją obecnością.

– Nie mam żadnych szczególnych wspomnień – odparł Halbert, ponownie skupiając się na Adamskim. – Nie rzucał się w oczy. Nie przeszkadzał. Przypuszczam, że był niezły w tym, co robił. Na szczęście nie miałem okazji się o tym przekonać, ponieważ nic złego mi się nie przytrafiło. Nie byłem radnym wzbudzającym wiele negatywnych emocji.

– To dlaczego pan go zwolnił?

– Nie zwolniłem. Po prostu zrezygnował z pracy.

– Czymś mu pan podpadł?

– Wątpię. O tym, że odchodzi, poinformował tylko mojego asystenta. Nie rozmawiałem o tym z Borysem. Od początku utrzymywaliśmy chłodną relację zawodową. – Halbert zaśmiał się pod nosem do własnych myśli. – Nie był moim Edwardem Meechumem.

– Kim?

– Ochroniarzem Franka Underwooda z *House of Cards*.

– Jasne. Rozumiem. – Adamski wydobył z kieszeni niewielki notes i coś w nim zapisał. Kiedy to robił, czuł na sobie ponagląący wzrok Halberta.

– Dlaczego interesuje się pan Welińskim? – spytał biznesmen.

Adamski popatrzył mu głęboko w oczy.

– Jest podejrzany o brutalny gwałt. Prawdopodobnie razem z dwoma innymi napastnikami zaatakował młodą kobietę. Upokorzyli ją, torturowali i prawie zatłukli na śmierć.

Halbert długo milczał. W końcu głośno wypuścił powietrze z płuc.

– To potworne. Ale nie jestem tym zaskoczony.

– Nie?

– Wiem, że Weliński jest byłym wojskowym. Przez kilka lat służył w Afganistanie. Mam paru znajomych z zagranicy, którzy w młodości uczestniczyli w różnych wojnach. Takie przeżycia zawsze zostawiają ślady w psychice. Często paskudne.

– A pan ma jakieś wojskowe doświadczenie?

– Na szczęście nie. Brzydzą się agresją. Nie mógłbym być żołnierzem.

Adamski ponownie coś zapisał, a potem wycelował palcem w stoisko.

– To pański wiec wyborczy?

– Zwykle spotkanie. Z ludźmi, których mam reprezentować w radzie.

– Myślałem, że jest pan bardziej przedsiębiorcą niż politykiem.

Halbert uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Muszę być i jednym, i drugim. Cały wic polega na tym, żeby złapać odpowiednie proporcje.

– Panu się to udało?

– Żeby mieć realny wpływ na Łódź, powinienem związać się z partią, która wygra wybory. Zainwestować w nią. Zaprzyjaźnić się z lokalnymi baronami. Nie muszę się zabijać o sympatię ludu i obrażać politycznych rywali, ale powinienem jasno określić swoją przynależność. To wymaga mniej czasu i poświęcenia niż regularna kampania.

– To ciekawe, bo właśnie widziałem wielki billboard z pańskim zdjęciem.

– A więc przyłapał mnie pan na próżności. – Halbert ponownie wykrzywił nienawykłą do ekspresji twarz. – Poproszę moich ludzi, żeby przesłali panu wszystkie informacje na temat Welińskiego. Może uda się coś z nich wydobyć.

– Będę wdzięczny.

Halbert uściśnął dłoń policjanta i wrócił za stół. Zamienił słowo ze sztabowcami, a następnie posłał potencjalnym wyborcom kilka sztucznych uśmiechów. Odczekał parę sekund, zanim zerknął w stronę Adamskiego, który stał kilkanaście metrów dalej.

Policjant nadal mu się przyglądał.

I nadal nie wierzył w ani jedno jego słowo.

Ksiądz Zygmunt Wolski mieszkał na pierwszym piętrze odrapanego szarego bloku na Marynarskiej, usytuowanego naprzeciwko popularnego baru z azjatyckim żarciem. Kawęcki i Witold zaparkowali pod klatką i wdrapali się na

górze. Dzwonek nie działał, więc załomotali w drzwi. A gdy po kilkudziesięciu sekundach nie doczekali się żadnej reakcji, zrobili to jeszcze raz, tyle że z większą mocą. Kiedy bliscy rezygnacji mieli zrobić to ponownie, usłyszeli dobiegający z wnętrza mieszkania kaszel. Chwilę później rozległ się trzask zamka.

– Zygmunt Wolski? – spytał Witold, kiedy w minimalnie uchylonych drzwiach pojawił się kawałek siwej głowy. – Jesteśmy z policji. Chcielibyśmy z księdzem porozmawiać.

Mężczyzna przyglądał im się nieufnie. Nie zamierzał uchylić drzwi choćby o milimetr.

– Mogę zobaczyć wasze blachy? – wychrypiał.

Wyciągnęli legitymacje policyjne. Kawęcki musiał oddać swoją kilka tygodni wcześniej. Ale przecież nic nie stało na przeszkodzie, żeby Witold ją odzyskał.

Wolski, przyglądając się dokumentom, mocno zmrużył oczy. Chwilę później zniknął w mieszkaniu. Dopiero po mniej więcej minucie pofatygował się z powrotem do wejścia i ściągnąwszy trzy łańcuchy blokujące drzwi, odbezpieczył swoją twierdzę.

Był niepokojąco chudym mężczyzną o mocno pomarszczonej twarzy i maleńkiej głowie, którą pokrywały krótkie siwe włosy. Miał na sobie szare spodnie dresowe, znoszoną białą koszulkę i srebrny łańcuszek z krzyżykiem. Jak przystało na emerytowanego księdza, żył skromnie. Jego dwupokojowe lokum wypełniały proste drewniane meble, dewocjonaalia, naczynia pamiętające czasy peerelu i kineskopowy telewizor, który wypluwał jakiś religijny program w Telewizji Trwam.

Mimo to trudno byłoby się domyślić, że to mieszkanie księdza. Na jednej ze ścian w dużym pokoju wisiała mniej więcej dwumetrowa flaga Polski. Na biurku leżały patriotyczne wpinki i portfel z orzełkiem. Przez oparcie krzesła Wolski przewiesił prostą czarną bluzę z symbolem Polski Walczącej, a do wiszącej nad komputerem szafki przypiął biało-czerwony szal.

Sądziłem, że to choroba wieku dziecięcego, pomyślał Kawęcki, rozglądając się po salonie, który przypominał kryptę bojówkarza ONR-u, a nie sześćdziesięcioletniego klechy.

– Przepraszam za tę nieufność – powiedział Wolski. – Ale mam swoje powody. Ciągłe się tu kręcą te smoluchy.

– Smoluchy? – dopytał Witold.

Wolski wyciągnął z paczki papierosa i pomachał nim, jakby święcił mieszkanie.

– Głównie żółtki i arabusy. Czasem trafi się jakiś czarnuch. Otworzyliśmy granicę dla tych śmieci i już zaczynamy odczuwać tego skutki. Jeszcze chwila i brudasy złączą tu zakładać szkoły i kościoły. Gwałcić nasze kobiety. Deptać polską tradycję. Jeśli rząd nie zatrzyma tego ścierwa, będą robić, co im się żywnie podoba.

Witold uniósł brwi. Odchrząknął.

– Nie powinien ksiądz miłować bliźniego? Bez względu na to, w co wierzy i skąd pochodzi?

– Bliźniego? – Wolski parsknął z niedowierzaniem. – Przecież to są zwierzęta. Pozbawione duszy mały. Miałbym miłować ich tak samo jak ludzi, wśród których spędziłem całe życie?

W końcu zapalił peta. Gryzący dym momentalnie rozszedł się po mieszkaniu.

– W czym mogę pomóc? – zapytał.

– Szukamy pewnej kobiety – oznajmił Witold. – Nazywa się Janina Majewska. Ksiądz mógł ją poznać podczas pracy w Parafii Świętego Stanisława Kostki.

– Nie przypominam sobie.

Witold wydobyl z kieszeni fotografię.

– To zdjęcie zostało zrobione w latach siedemdziesiątych. Od tego czasu Majewska mogła się sporo zmienić.

Wolski podrapał się po pomarszczonym czole.

– Pamiętam ją. Coś jej się stało?

– Nie wiemy. Próbujemy ją odnaleźć.

Ksiądz wolno pokiwał głową.

– Prosiła, żeby jej tak nie nazywać – powiedział. – Ciągle powtarzała, że Janina umarła.

– Umarła?

– I w jej ciele narodziła się inna dusza.

Kawęcki i Witold popatrzyli po sobie.

– Proszę nam opowiedzieć tę historię.

Gapiąc się na zdjęcie, Wolski powoli usiadł na skrzypiącym krześle.

– Znacie trochę Biblię?

– Z każdym dniem coraz lepiej – odparł Witold.

– Co sądzicie o Starym Testamencie?

Witold wymownie westchnął. Wyręczył go Kawęcki.

– „Oko za oko, ząb za ząb, rękę za rękę, nogę za nogę, oparzenie za oparzenie, ranę za ranę, siniec za siniec”⁶. – Wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów. Zapalił. – Stary Testament jest bezpośredni, prosty i sprawiedliwy. Unika dwuznaczności. Niektórzy uważają go za zbyt dosadny i brutalny. Ale mnie się podoba.

Wolski w żaden sposób nie skomentował jego słów. Zamiast tego zapatrzył się w okno.

– Według mnie tylko Stary Testament powstał pod wpływem prawdziwego natchnienia – stwierdził. – Druga księga Biblii, nowsza, napisana kilkadziesiąt lat po narodzinach Chrystusa, jest tylko czymś w rodzaju reportażu. Spisało go kilkunastu sprawnych skrybów na bazie zasłyszanych opowieści. To ugrzecznona zbieranina historii i lekcji, które zostawił po sobie Jezus. Nie uważam, że jest bezwartościowa, ale według mnie nie powstała w wyniku bożej interwencji. – Zerknął na Kawęckiego. – „Jeśliby ktoś uderzył niewolnika lub niewolnicę w oko i spowodował jego utratę, winien za oko obdarzyć ich wolnością. Również gdyby wybił ząb niewolnikowi swemu lub niewolnicy, winien za ząb uczynić ich wolnymi”⁷.

– Janina Majewska podzielała księdza poglądy? – zapytał Witold.

– Waleria. Prosiła, żeby nazywać ją Walerią. – Wolski zgasił szluga i po sekundzie wyciągnął z paczki następnego. – Kilkanaście lat temu utworzyła się grupa ludzi, którzy umiłowali sobie Stary Testament. Zacząłem przychodzić na spotkania.

– Co na nich robiliście?

– Czytaliśmy. I analizowaliśmy to, co przeczytaliśmy. Waleria też się tam udzielała. Zadziwiające było to, że ludzie, którzy myśleli podobnie i często mieli zbieżne doświadczenia życiowe, tak różnie interpretowali słowa proroków.

– Długo się spotykaliście?

– Przychodziłem tam przez kilka miesięcy. Potem dowiedzieli się o tym moi szefowie. Potępili mnie za to. Zrobiła się niezła afera. Niewiele brakowało, żeby mnie ekskomunikowali. – Wolski parsknął pod nosem. – Paru kretyków zarzucało mi herezję.

– Co się stało z ludźmi z tej grupy?

– Nie mam pojęcia. Przestałem się nimi interesować, odkąd zabroniono mi chodzić na spotkania. Ale zakładam, że Kanoniczni Prorocy nadal się widują.

– Kanoniczni Prorocy? Tak się nazywała ta grupa?

– Nieoficjalnie. Oficjalnie nigdy nie istniała.

Wolski uśmiechnął się do Witolda, jakby właśnie zdradził mu skrzętnie skrywany sekret. Nadkomisarz ponownie zanurkował do kieszeni i wyjął następne zdjęcie.

– A kojarzy ksiądz tego człowieka? – zapytał.

Wolski zmrużył oczy i przyjrzał się fotografii. Pokręcił głową.

– Kto to? – zapytał.

– Syn Janiny Majewskiej.

– No tak. Wspominała o nim.

– Co mówiła?

– Że to przez niego umarła jej dusza.

– Co to znaczy?

– Domyślcie się.

Wolski wyjrzał przez okno. Nieoczekiwanie poderwał się z krzesła.

– Zobaczcie. – Wycelował palcem w znajdujący się po drugiej stronie osiedla bar. – Dwóch kozojebców idzie się nażreć do Chińczyków. Noż kurwa ich mać!

– Zerknął na Kawęckiego i Witolda. – To nimi powinniście się zająć. Zróbcie coś z tymi pierdolonymi brudasami, zanim ta zaraza nas zniszczy.

Chwilę później otworzył okno i zaczął wyzywać Arabów, którzy najprawdopodobniej nie mieli bladego pojęcia, kim jest ten szaleniec ani co do nich wykrzykuje. Kawęcki i Witold uznali, że to dobry moment, aby cichaczem ulotnić się z mieszkania.

Ból. Tępy. Otumaniający. Wydawało się, że towarzyszył mu od dawna. Może od zawsze, nieprzerwanie. Także w chwilach braku przytomności. Jakby podrażniając go mikroimpulsami, czał się w zakamarkach mózgu, aby po przebudzeniu uderzyć z pełną mocą.

Drzewo. Niezbyt grube. Niezbyt wysokie. Wyczuły to jego wyciągnięte do tyłu, ciasno związane w nadgarstkach ręce, których nie mógł opuścić, ponieważ znajdowały się ponad stawiającą opór gałęzią.

Czas. Musiało go sporo upłynąć. Czuł to w poprzecieranych nadgarstkach i bolących stawach. Czuł w nagim, przylegającym do drzewa ciele, które drżało przy każdym późnojesiennym podmuchu wiatru.

Kroki. Szeleszczące. Niespieszne. Kroki palacza, który spacerował w tę i z powrotem, szurając nogami po ściółce.

Adam Warga nie miał pojęcia, gdzie się znajduje, jak tu trafił ani dlaczego. Był tylko pewny, że nie jest dobrze. Że nie jest w stanie nic zrobić. Że jest całkowicie zdany na łaskę palacza, który przechadza się kilka metrów od niego. Z powodu naciągniętego na głowę i związanego pod brodą worka nie wiedział, z kim ma do czynienia. Nie mógł z nim porozmawiać, gdyż porywacz wepchnął mu kawałek szmaty do ust, a następnie zakleił je taśmą. Czy ten człowiek w ogóle zamierzał z nim negocjować?

Modlił się, żeby to nie był On. Żeby nie musiał znosić tego wszystkiego, przez co przechodziły Jego ofiary.

Ale to nie może być On, przekonywał sam siebie. On nie pali. Nie przemieszcza się tak niedelikatnie. Nie traci czasu. Poza tym, gdyby to był On, już dawno umierałbym w katuszach.

W pewnym momencie nieznajomy przestał chodzić po własnych śladach. Oddalił się od drzewa. Warga po raz pierwszy usłyszał jego głos. Lekko chropowaty. Nieprzyjemny. Porywacz miał specyficzny sposób mówienia: agresywny i niecierpliwy, jak gdyby każdym wypowiedzianym słowem spluwał komuś w twarz. Nie odsunął się zbyt daleko. Nie zależało mu na tym, żeby Warga nie mógł rozpoznać go po głosie. Chodziło tylko o ukrycie głosu rozmówcy. Jego mocodawcy. Faceta, który pociągał za sznurki. Który wymyślił to szaleństwo.

Porywacz zakończył rozmowę. Zbliżył się do Wargi.

– Zostaniesz tutaj na noc, tłuściochu – oznajmił. – Raczej nie uśniesz, więc będziesz miał mnóstwo czasu, żeby przemyśleć swoje życie. Zgaduję, że masz się nad czym zastanawiać.

Podszedł jeszcze bliżej. Warga poczuł smród mentolowego papierosa. A potem żar peta, kiedy porywacz zgasił go na jego gołym brzuchu.

Drażnił jak tysiące maleńkich szpilek wbijanych pod paznokcie. Jak spotkanie z rozwścieczonym rojem os. Jak wyjątkowo chujowy dzień w biurze.

Nie mógł krzyczeć.

Nie mógł uciekać.

Nie mógł upaść.

Nie mógł zniknąć.

– Rano będę miał do ciebie kilka pytań. W zasadzie mógłbym zadać je już teraz, ale gdybyś okazał się takim frajerem, za jakiego cię uważam, wyśpiewałbyś wszystko od razu. A wtedy nie miałbym żadnej frajdy z torturowania.

Mężczyzna uderzył Wargę w brzuch. Potem jeszcze raz. I ponownie. Jakby testował, jak głęboko jest w stanie zanurzyć pięść w jego sadło.

Gdy skończył go okładać, zarechotał. Wybuchł prymitywnym, zdyszczanym, ryszczokowym śmiechem, nad którym na kilka sekund zupełnie stracił kontrolę. Kiedy się opanował, odsunął się na kilka metrów. Warga usłyszał szmer. Grzebanie w plecaku albo w torbie. Chwilę później oprawca ponownie się do niego zbliżył i zarzucił mu coś na głowę. Przez moment prokurator sądził, że chce go udusić, ale to był tylko koc. Zwyczajny zmechacony koc. Porywacz otulił nim jego zziębnięte ciało.

– Pilnuj tego koca – powiedział. – Nocą temperatura ma spaść do czterech stopni. Podobno wychłodzenie organizmu zwiększa produkcję ciepła, ale z doświadczenia wiem, że w niskich temperaturach organizm różnie reaguje. Nie zawsze tak, jak byśmy sobie tego życzyli. A nie chcę, żebyś wykitował. Jeszcze nie teraz. – Poklepał Wargę po piekącym brzuchu. – Pogadamy za dziesięć godzin. Dobranoc.

Oprawca zgarnął leżący kilka metrów dalej plecak i odszedł. Wkrótce jego kroki ucichły.

Warga zaczął się wrywać. Próbował uwolnić ręce. Wygiąć drzewo na tyle, żeby je złamać, albo chociaż urwać gałąź, przez którą nie mógł usiąść. Napierał na nie ciałem. Bez skutku. Po kilku minutach szamotaniny dał sobie spokój.

Był spragniony, głodny, zziębnięty, zmęczony i kompletnie zdezorientowany. Tępy ból głowy nie pozwalał mu jasno myśleć. Próbował odtworzyć przebieg zdarzeń. Przypomnieć sobie, co się stało, odkąd wyszedł z mieszkania. Jakim cudem znalazł się w tej głuszy. Kto mógł mu to zrobić. Jaki ten ktoś ma plan. Nad czym, kurwa, ma się zastanowić. I co ten psychol zamierza z nim zrobić.

W pewnym momencie potok pytań, na które nie potrafił znaleźć odpowiedzi, brutalnie się urwał. Wtedy zaczęło się najgorsze. To, czego najbardziej się obawiał.

Panika. Wszzechogarniająca, niemożliwa do opanowania panika.

Miała rozpuszczone czarne włosy i lekko zadarty nos. Jej chude ręce były ozdobione prostymi bransoletkami i rzemykami. Uśmiechała się nawet wtedy, kiedy nikt jej nie widział i gdy nie było ku temu powodu, jakby żyła w wyimaginowanym, irracjonalnie dobrym świecie. Każdemu, kto miał z nią do czynienia, przypominała Indiankę albo Cygankę.

Jednak Seweryn wiedział, że nie jest ani jedną, ani drugą. Że jest tylko zwykłą polską kurwą.

Przyglądał się jej przez okno przy zgaszonym świetle. Widział, jak kręci się po pokoju. Sprzątała. Zapewne zmuszona do tego przez apodyktyczną matkę, która wydzierała się na nią kilka razy dziennie, jakby chciała ją rozpruć krzykiem. Obserwował jej drobne dłonie. Zaciskała je na drewnianym kiju od szczotki, którą sprawnie wygarniała brud z zakamarków pokoju.

Pół godziny wcześniej również gapił się na jej dłonie. Ale wtedy, siedząc na ławce ukrytej głęboko w parku, zaciskała je na czymś innym. Na czymś, czego nie powinna dotykać.

Choć chłopak, któremu obciągała, pewnie był innego zdania.

– To Małgosia – odezwała się baba, która zadziwiająco cicho weszła do pokoju.

Seweryn długo mierzył ją wzrokiem, jak gdyby nie mógł się ustosunkować do jej obecności. Do tego niespodziewanego wtargnięcia do pokoju. W końcu ponownie skupił się na oknie.

– Dobrze ją znasz? – zapytał.

– O tyle, o ile. Kiedyś często kręciła się po podwórku. Później zaczęła spotykać się ze znajomymi ze szkoły, chodzić z chłopakami. Podrosła. – Spojrzała na Seweryna. – Ale i tak jest dla ciebie za młoda.

Poznał kiedyś podobną dziewczynę. Nazywała się Ilona. Miał wtedy siedemnaście lat. Zgodził się pójść z nią na imprezę do znajomego ze szkoły. Wypił dwa piwa, żeby zająć czymś ręce. Ilona wypila znacznie więcej. Usiadła obok niego na kanapie. Wyrzucała z siebie potok niezrozumiałych, bełkotliwych słów. W pewnym momencie umilkła. Przysunęła się do Seweryna. Przyłgnęła do

niego ciałem. Rzuciła mu zdzirowaty uśmiech, a potem położyła dłoń na jego kroczu i zaczęła wodzić palcami po fiucie. Liczyła na to, że w końcu coś się wydarzy. Że poczuje w tych wyuzdanych paluchach jego nabrzmiałą pałę. Że zabawi się z nim w sypialni rodziców swojego durnego kumpla. Ale po mniej więcej minucie bezowocnego macania wybuchła śmiechem. Idiotycznym rechotem, który przez wiele następnych lat prześladował Seweryna.

– Wiesz, kim jest jej chłopak? – zapytał teraz.

– Zależy który. – Kobieta rzuciła Sewerynowi szczerbaty uśmiech, po czym wetknęła papierosa między lukę w zębach. – Ostatnio widziałam ją z takim ciemnowłosym szcurkiem. Wydawał się sympatyczny i grzeczny. Chłopaczek ma z szesnaście lat, a jest mniej więcej twojego wzrostu. Wszystko przez to GMO. – Zapaliła szluga i wydmuchnęła przed siebie dym. – O niego pytasz?

– Ten, którego widziałem, był rudy.

Baba pokręciła głową.

– Z takim jej jeszcze nie spotkałam. To musi być ktoś nowy.

Seweryn wyciągnął z kieszeni zdjęcie. Spojrzał na młodą kobietę, która uśmiechała się do aparatu słabej jakości i jeszcze gorszego fotografa. Wydawała się szczęśliwa. Miała wtedy około osiemnastu lat. Możliwe, że właśnie poznała przyszłego męża. Z pewnością dotykała go tak samo jak Małgosia swoich absztyfikantów; tak jak Ilona próbowała dotykać jego. Z pewnością niejednokrotnie robiła mu dobrze. Przez spodnie, ręką, ustami. Może w jakiś inny wyuzdany sposób. A potem identycznie zaczęła się zabawiać z kimś innym. Spita, znieczulona, kompletnie otumaniona miętoliła kutasa, do którego nie powinna była się zbliżyć. O którym nawet nie powinna pomyśleć.

Pierdolona głupia kurwa.

– Zrobiłam kolację – oznajmiła baba. – Zjesz ze mną?

Seweryn schował zdjęcie z powrotem do kieszeni.

– Nie. Mam jeszcze trochę pracy.

– To może dołączysz później?

– Potem będę się modlić.

Baba ze zrozumieniem pokiwała głową. Jednak Kostka, który przez cały czas wpatrywał się w dziewczynę, nie mógł tego zobaczyć.

– Co zamierzasz z nią zrobić? – Kobieta wycelowała palcem w Małgosię.

– Nic. Będę się za nią modlił. Reszta zależy od Boga. – Zerknął na babę, posyłając jej obrzydliwy uśmiech. – Ja jestem tylko wykonawcą jego woli.

Myślał, że się topi. Że skrępowany, bezradny, pozbawiony szans na ratunek został wepchnięty do wody. Że tylko desperackimi przedśmiertnymi szarpnięciami udaje mu się raz po raz wystawić głowę nad powierzchnię, aby po chwili ponownie się zanurzyć.

Kiedy był pewien, że to już koniec, woda nagle zniknęła. Jakby ktoś zakręcił kran.

– Dobrze ci się spało, królewno?

Prokurator Warga zaczął desperacko łąpać oddech. Usłyszał brzęk odstawianego na ziemię blaszanego wiadra. Usłyszał rubaszny śmiech. Usłyszał zgrzyt kamienia zapalniczki. Poczuł promienie słońca przebijające się przez worek na głowie. Poczuł wracający jak bumerang ból wewnątrz czaszki. A także nieznośną suchość w ustach i głód.

Żył. Trząsał się z zimna tak mocno, że musiał żyć.

Nie wiedział tylko, jak długo to jeszcze potrwa.

– Pożyczyłem od ciebie telefon, żeby wysłać maila do twojej asystentki – oznajmił porywacz. – Napisałem, że jesteś chory. Kazałem jej odwołać wszystkie spotkania, które zaplanowałaś na najbliższe dni. Potem wpadłem do twojej kamienicy na Tuwima. Wiesz, że monitoring wczoraj nie działał? Co za pech. – Zbliżył się do Wargi. – A na koniec zerknąłem do twojego mieszkania.

Musiałem się upewnić, że nie jesteś tak głupi, żeby trzymać w nim pornografię dziecięcą.

Wydmuchnął dym w twarz prokuratora, a potem odszedł na kilka kroków. Warga usłyszał pociągnięcia suwaka. Torba. Obszerna. Prawdopodobnie sportowa. Taka, w której można zmieścić absolutnie wszystko.

Nieznajomy wyciągnął jakieś metalowe przedmioty. Uderzał nimi o siebie, żeby Warga słyszał pobrzękiwanie. I pozwolił się złamać, powodowany samym strachem.

– Byłeś kiedyś w pierdłu? – zapytał oprawca. – Nie musisz odpowiadać. Wiem, że nie byłeś. W przeciwnym wypadku nie mógłbyś zostać prokuratorem. Ale pewnie słyszałeś, czego doznają w pierdłu wielbicielki dzieci. Nie mają lekko. Często nie przeżywają pierwszej nocy. A nawet jeśli, to już następnego dnia tego żałują. Gitowie robią im z dupy jesień średniowiecza. Potrafią się wykazać zadziwiającą kreatywnością, kiedy trzeba komuś zmasakrować odby. Sprawiają, że cwele zaczynają się modlić o śmierć. A ona jak na złość nie chce przyjść. – Pocmokał, zapewne kręcąc przy tym głową. – Ale nie martw się. Ty nie trafisz do pierdła. Nie pozwolę na to.

Ponownie podszedł do Wargi. Ściągnął mu worek z głowy. Prokurator, odzwyczajony od światła, potrzebował paru sekund, żeby przyzwyczaić wzrok do nowych okoliczności. W końcu dostrzegł schowanego pod kominiarką oprawcę.

Warga miał dobrą pamięć do twarzy. Sądził, że jeśli zobaczy choćby fragment sylwetki porywacza, maleńki kawałek jego gęby, to go rozpozna. Powiąże głos z wyglądem, a wygląd z nazwiskiem. Odkryje, kto go porwał i dlaczego. Rozgryzie, jak z nim negocjować. Ale ten chudy świr z roześmianymi, lekko zmrużonymi oczami nikogo mu nie przypominał. Prawdopodobnie nigdy go nie spotkał.

A to czyniło jego sytuację beznadziejną.

Posępne rozważania przerwał mu odgłos wycofywanego kurka. Porywacz przystawił Wardze pistolet do skroni.

– Gdzie się ukrywa Kostka? – zapytał, po czym oderwał taśmę z twarzy prokuratora, a z jego ust wyciągnął szmatę.

– Nie wiem – wychrypiał Warga.

– Zła odpowiedź. Bardzo zła.

– Przysięgam! Nie mam pojęcia, gdzie on jest.

Porywacz ponownie się rozcmokał. Zgodnie z przypuszczeniami Wargi kręcił przy tym głową.

– Zapytam po raz drugi i ostatni. Gdzie jest Kostka?

– Nie wiem! Nie mam pojęcia! Musisz mi, kurwa, uwierzyć.

Chudy przycisnął pistolet do skroni Wargi. Prokurator zamknął oczy, kiedy zobaczył palec opadający na spust. Usłyszał trzask. A potem śmiech. Ten sam ostry, kretyński śmiech.

Komora nabojoya była pusta.

Oprawca spuścił głowę. Wycelował pistolet w stopy Wargi, a jego śmiech jeszcze się nasilił. Prokurator wreszcie zrozumiał, co go tak bawi. Nieczęsto się widuje grubasów szczających sobie na nogi.

Kiedy nieznajomy przestał rechotać, ponownie wcisnął Wardze szmatę do ust. Obkleił mu gębę taśmą i z powrotem założył worek na głowę.

– Musisz być strasznie naiwny, skoro sądzisz, że tak łatwo ci odpuszczę – powiedział.

Podszedł do torby i zaczął w niej gmerać. Ale inaczej niż poprzednio. Wolno. Spokojnie. Metodycznie. Jakby coś konstruował. Warga wsłuchiwał się w obrzydliwy chrzęst metalu. Był sparaliżowany ze strachu. Nawet nie czuł, że łzy spływają mu po policzkach.

– Słyszałeś kiedyś o eksperymencie Pitești? – zapytał oprawca. – Mówi się, że to najbardziej barbarzyńskie więzienie współczesnego świata. Podobno przy tym, co rumuńscy stalinowcy wymyślili dla swoich nacjonalistycznych kolegów, Abu Ghraib to plac zabaw. Żaden z więźniów nie był już tym samym człowiekiem po wizycie w Pitești. A niektórzy z osadzonych nie byli nawet mężczyznami.

Podszedł do Wargi. Ukucnął. Prokurator poczuł na udach coś zimnego. Próbował się wyrwać, ale nie był w stanie, ponieważ drut kolczasty wbijał mu się w nogi. Psychol oplótł nim jego tłuste gicze, całkowicie odbierając mu możliwość ruchu. Przymocował drut do drzewa, a potem się odsunął. Milczał. Prawdopodobnie oglądał swoje dzieło. Podziwiał je. Kiedy skończył, jeszcze raz skierował się w stronę torby.

– Nigdy nie rozumiałem, dlaczego ludzie czytają książki. Po jaką cholere męczą wzrok, skoro mogą obejrzeć film, który opowiada o tym samym. Ale reportaż o eksperymencie Pitești przeczytałem z przyjemnością. To zresztą jedna z trzech książek, które przeczytałem. Druga była o torturach, jakim poddawały Polaków te skurwysyny z UPA. Trzeba chujom oddać, że byli kreatywni. – Zaśmiał się pod nosem. – A trzecia książka była o Władzie Palowniku. Jak się pewnie domyślasz, to mój ulubiony bohater historyczny.

Warga próbował poruszyć rękoma. Poluzować wiązania. Wygiąć swoim ciężarem drzewo. Zrobić cokolwiek, żeby pokrzyżować plany tego szaleńca. Ale każdy, nawet najdrobniejszy ruch sprawiał, że drut wrzynał mu się w nogi. W końcu ogarnęła go panika, która rosła z każdym cichym krokiem zbliżającego się do niego świra.

– A słyszałeś o biskupie Antonim Baraniaku? Też nie? – Oprawca zapalił papierosa i wydmuchnął przed siebie dym. – Facet podobno wytrzymał dwadzieścia siedem miesięcy tortur w areszcie na Rakowieckiej. Stalinowcy zrywali mu paznokcie i trzymali w wypełnionej gównem celi. Chcieli, żeby im sprzedał prymasa Wyszyńskiego. Ale gość był twardy. Wytrzymał sto czterdzieści pięć przesłuchań. – Przykucnął. Przyłożył Wardze coś zimnego do stopy. – My do tyłu sesji raczej nie dociągniemy.

Warga poczuł rozrywający ból. Zawył, dusząc się szmatą, która wypełniała jego usta.

A kiedy pierwsza fala bólu minęła, natychmiast pojawiła się kolejna.

Oprawca potrzebował zaledwie paru sekund, żeby przybić stopy prokuratora do ziemi.

– To na rozgrzewkę – powiedział szalencie. – Potraktuj to jako poranek zapoznawczy. Albo grę wstępną. W końcu tylko dziwki pierdolą się na pierwszej randce.

Ponownie zarechotał. Ale Warga już go nie słyszał. Wszystkie dźwięki zagłuszył jego przeraźliwy skowyt.

– Zastanawiałeś się, co będziesz robił, jak to wszystko się skończy? – zapytał Witold, okrążając samochodem plac Wolności.

– Jak co się skończy?

– Śledztwo. Jak już złapiemy Kostkę i tych, którzy mu pomagają.

Skręcili w Pomorską i przecisnęli się obok tramwaju sunącego blisko osi jezdni. Zatrzymali się na światłach przed skrzyżowaniem ze Wschodnią.

– Nie zakładam, że stanie się to szybko – odparł Kawęcki. – Ani że wszystko skończy się dobrze.

– Nie o to pytam. Jestem ciekaw, co chcesz ze sobą zrobić. Nie za tydzień, nie za miesiąc, ale za rok, dwa. Zakładam, że nie zamierzasz być do końca życia cieciem, który szantażuje kierownika magazynu, żeby nie musieć pracować.

– A co w tym złego?

– To nieetyczne, niezgodne z prawem i cholernie mało ambitne, a na dodatek myślę, że szybko ci się znudzi. Uchlewanie się i zabawa z buldogiem mogą nie uratować sytuacji.

– Nie wybiegam tak daleko w przyszłość.

– Spróbuj. Jesteś kreatywnym gościem. Na pewno potrafisz sobie wyobrazić, co będziesz robił, mając na przykład pięćdziesiąt lat.

Kawęcki pociągnął łyk kawy z termosu. Milczał. Witold już sądził, że olał jego prośbę, uciekając myślami do jakiegoś oddalonego świata, do którego nikt poza nim nie ma dostępu. Ale wtedy nieoczekiwanie się odezwał.

– Któregoś dnia przestanę szantażować kierownika magazynu i po prostu odejdę z pracy. Założę agencję detektywistyczną albo coś w tym stylu. Wykorzystam kilka dni względnej trzeźwości, żeby wszystko ogarnąć. Na

początku będzie mi się wiodło nieźle. Ludzie dadzą się nabrać na mit byłego policjanta z kryminalnego. Uwierzą, że skoro przez dwadzieścia lat łapałem największych zbirów w mieście, to poradzę sobie z tropieniem niewiernych mężów, zdradzieckich współników czy zaginionych nastolatków. Ale z czasem będzie coraz gorzej. Klienci w końcu się połapią, że jestem niesumiennym chlorem, z którym trudno się współpracuje. – Wykrzywił z bólu usta i chwycił się za brzuch. Chwilę trwało, zanim zdołał przechylić się na bok i wydobyć z kieszeni paczkę papierosów. Wyjął jednego i zapalił. – Sytuacja skomplikuje się jeszcze bardziej, gdy siądzie mi wątroba. To zapewne doprowadzi do upadku mojego życia zawodowego. Nici z udawania detektywa, powrotu do policji czy czegokolwiek, co tam wymyślę. Wtedy stanę się tylko zapijaczonym byłym psem, dla którego największą atrakcją będzie wyprowadzanie buldoga na spacer. Chyba że nauczę go korzystać z kibla.

Witold popatrzył na Kawęckiego.

– To cholernie smutna wizja.

Kawęcki wzruszył ramionami.

– Najbardziej prawdopodobna.

Witold zaparkował wzdłuż ulicy, najeżdżając dwoma kołami na chodnik. Oficyna wyglądała dokładnie tak, jak się spodziewali. Jak budynek, który nie ma prawa istnieć. Trzypiętrowa kamienica w połowie przypominała ofiarę bombardowania i kilkadziesiąt lat zaniedbań, a w połowie cud architektury. Na kilku różnokolorowych tabliczkach, przymocowanych do ściany między wejściem a pierwszym z wielu zabitych deskami okien, wypisane były nazwy firm stacjonujących w środku: kancelarii radcowskiej, biura rachunkowego i gabinetu fizjoterapii.

Żadna z nich ich nie interesowała. A przynajmniej nie bezpośrednio.

Przemknęli przez odrapaną bramę. Stanęli przed domofonem. Wybrali pierwszy numer na liście. Przywitał ich ciepły kobiecy głos. Przedstawili się i weszli do budynku.

W recepcji kancelarii siedziała najwyżej dwudziestopięcioletnia kobieta w eleganckim szarym kostiumie. Gdy Kawęcki z Witoldem zbliżyli się do lady, odłożyła książkę na blat i powitała ich wymuszonym uśmiechem.

– W czym mogę pomóc? – spytała.

– Pani zapewne w niczym – odparł Witold, pokazując jej legitymację policyjną. – Chyba że zna pani historię tego budynku.

Pokręciła głową.

– Pracuję tu dopiero od wakacji. Ale z tego, co wiem, mecenas Dorna wynajmuje ten budynek od dobrych kilku lat. – Zerknęła na telefon. – W tej chwili jest na spotkaniu, ale niedługo powinna wrócić. Mogą panowie na nią poczekać.

Wskazała dwa fotele i stół, które jakimś cudem udało się wcisnąć między recepcję a okno z widokiem na rozrastające się po drugiej stronie ulicy chaszczce. Zapropowała gościom kawę, ale zgodnie odmówili.

– Gdzie jest toaleta? – zapytał Kawęcki, a recepcjonistka wskazała mu drugie drzwi po prawej stronie. – Zaraz wracam – powiedział do Witolda.

W łazience podszedł do zlewu. Odkręcił zimną wodę i spojrzał na swoje odbicie. Nie był to budujący widok. Coraz bardziej przypominał czterdziestoparoletniego starca, na którego twarzy odciskały się najróżniejsze grzechy. Zwłaszcza największy z nich: nieumiarkowanie w picciu.

Włożył dłoń do kieszeni płaszcza. Wydobył stumililitrową butelkę wódki. Odkręcił ją i opróżnił do połowy. Popił kranówką. Ponownie spojrzał na swoje odbicie.

– Co ty, kurwa, wyczyniasz? – wyszeptał do lustra.

Był nieprzejednany. Cholernie uparty. Przekorny. Uwielbiał iść pod prąd. I choć nie chciał się do tego przed sobą przyznać, czerpał frajdę z działania ludziom na nerwy. Dlaczego więc nie potrafił powstrzymać swojego chlania? Dlaczego uciekał w wódkę, gdy tylko czuł dyskomfort? I dlaczego to dokuczliwe, palące w trzewiach uczucie pojawiała się zawsze wtedy, kiedy myślał o tym, co będzie? Gdy musiał się zastanowić, jak będzie wyglądało jego

życie po rozprawieniu się z demonami terażniejszości. Jak gdyby to one stanowiły stabilizator dla jego psychiki.

Były to pytania, na które nie znał odpowiedzi. I nie przypuszczał, żeby kiedykolwiek miał je poznać.

Schował butelkę z powrotem. Zapiął kieszeń na guzik, jakby mogło go to powstrzymać przed sięgnięciem po wódkę. Poprawił roztrzepane włosy, które opadały na jego podkrążone oczy, i wyszedł z łazienki.

Mecenas Janina Dorna przyjechała do kancelarii po niespełna dwudziestu minutach. Okazała się zadbaną kobietą po sześćdziesiątce. W towarzystwie Witolda i Kawęckiego wyglądała na filantropkę litującą się nad bezdomnymi. Zaprosiła gości do gabinetu, który składał się z masywnego drewnianego biurka z komputerem, trzech skórzanych foteli, imponującego regału na dokumenty i oprawionych w ramki orientalnych ornamentów.

– Kiedyś interesowałam się arabistyką – wyjaśniła, widząc, że jej goście strzelają wzrokiem po ścianach. – Bliski Wschód jest moją wielką niespełnioną miłością. Liczę na to, że po zakończeniu kariery, kiedy kancelarię przejmie najstarszy syn, będę mogła się tam przeprowadzić.

– Nie boi się pani tego, co się tam teraz dzieje? – spytał Witold.

– Czego na przykład?

– Choćby Państwa Islamskiego.

Dorna uśmiechnęła się pobłaźliwie.

– Boję się tylko tego, że Europejczycy nigdy nie przestaną traktować Arabów jak barbarzyńców. I że któregoś dnia przeżyją szok, kiedy się okaże, że ta zgraja nieokrzesanych dzikusów przerosła nas ekonomicznie i kulturowo.

– Wierzy w to pani?

– To nie kwestia wiary, tylko chłodnej analizy. – Ponownie posłała Witoldowi dobrotliwy uśmiech, jak gdyby rozmawiała z niepełnosprawnym dzieckiem. – Zostawmy geopolitykę, zanim się o nią pokłócimy. Co panów sprowadza do kancelarii?

– Podobno wynajmuje pani ten budynek od kilku lat.

– Od kilkunastu. I nie cały budynek, tylko jedno piętro.

– To nawet lepiej. Szukamy pewnej kobiety. Według naszej wiedzy przed paroma laty spotykała się tutaj grupa ludzi, którzy nazywali się Kanonicznymi Prorokami.

Dorna parsknęła śmiechem.

– Nie miałam pojęcia, że tak się nazywali, ale wiem, kogo panowie mają na myśli. Przez długi czas przychodziła do tego budynku grupa fanatyków religijnych. Wynieśli się dopiero dwa lata temu. Kiedyś niechętnie podsłuchiłam ich sesję.

– Sesję?

– Sesję, spęd, spotkanie... jak zwał, tak zwał. W każdym razie było to dość osobliwe przeżycie. Ci ludzie mentalnie utknęli w średniowieczu albo jeszcze głębiej. Zachowywali się jak członkowie sekty.

– Czyli jak?

– Najpierw odczytywali na głos fragmenty Biblii. Potem po kolei przemawiali, dzieląc się swoimi przemyśleniami na temat świata. A te były dość osobliwe. Ci ludzie byli przeciwnikami szczepień, zanim to się stało modne. Wierzyli w bruzdy na twarzach dzieci z in vitro, powszechną pedofilię wśród gejów i inne tego typu bzdury. Czasem korciło mnie, żeby zadzwonić na policję albo wezwać kogoś, kto by ich wywiózł do zakładu zamkniętego. Całe szczęście, że spotykali się wieczorami, kiedy do kancelarii nie przychodzili już klienci. – Dorna pokręciła głową. – Ale to nie ze mną panowie powinni rozmawiać o tych świrach.

– A z kim?

– Z Wiesławem Kellerem, zarządcą tego budynku. To urzędnik miejski, który opiekuje się takimi kamienicami jak ta. – Szeroko rozłożyła ręce, spoglądając na ściany. – Zbyt starymi, żeby je wyburzyć, ale też do tego stopnia zdewastowanymi, że remont kosztowałby fortunę.

– Ma pani do niego jakiś kontakt?

Wyciągnęła z torebki telefon i parę sekund później położyła go na biurku, tak żeby Witold z Kawęckim mogli odczytać numer.

– Ode mnie przeważnie nie odbiera, ale może panowie będą mieć więcej szczęścia. Tylko proszę uważać.

– Na Kellera?

– To skrajny prawicowiec i zatwardziały katolik. Nie byłam zaskoczona, kiedy kilka lat temu wpuścił tu tych sekciarzy. Moim zdaniem niczym się od nich nie różni.

– Poznała pani tych ludzi? – zapytał Kawęcki.

– To znaczy?

– Widywała ich pani w budynku? Rozmawiała z nimi?

– Raczej starałam się ich unikać. Katolicycy fundamentaliści są dla mnie równie groźni jak islamscy.

– A czy widziała pani kiedyś tę kobietę?

Kawęcki zerknął na Witolda, a ten wyciągnął z kieszeni zdjęcie Janiny Majewskiej i położył je na blacie. Dorna wydobyla okulary z etui. Przystawiła je do oczu i uniosła fotografię.

– Przykro mi, nie kojarzę. – Odłożyła zdjęcie. – To tej kobiety panowie szukają?

– Właściwie jej syna – wyjaśnił Witold.

– A kim on jest?

– Diabłem – odparł Kawęcki. – Dobrze zakamuflowanym diabłem.

Artur Waliszewski wyglądał przez okno Komendy Wojewódzkiej Policji w Łodzi. Gapił się na dwóch facetów stojących przed budynkiem. Byli to mniej więcej siedemdziesięcioletni cywile, ubrani w jednakowe dżinsowe kurtki, w identycznych siwych kaskach na głowie. Wyglądali jak bracia. Bracia rozumiejący się bez słów. A przynajmniej nieczujący potrzeby, żeby otwierać jadaczkę – odkąd Artur zaczął się im przyglądać, nie zamienili ze sobą ani słowa. Za to niemal z namaszczeniem zaciągali się papierosami. Jakby palili

ostatnie fajki w życiu. Jakby po tych kilku branych z pietyzmem, powolnych i głębokich machach wszystko miało się skończyć. Jakby delectowali się ostatnią przyjemnością dostępną na tym gnijącym świecie.

Boże, ale bym zajarał, pomyślał Artur.

Parokrotnie zaciągnął się e-papierosem, którym od paru miesięcy oszukiwał swój organizm. Odłożył go na blat i rozejrzał się po biurze. Korzystając z tego, że był sam, wyjął z szuflady teczkę. Trzymał w niej gruby plik notatek dotyczących Seweryna Kostki, Adama Wargi, Janusza Dębca, Zbigniewa Halberta i Borysa Welińskiego. Zabójca, prokurator, komendant, biznesmen i gwałciciel. Zgraja chorych i zepsutych, a przy tym powiązanych ze sobą osób. Tylko jak? W jaki sposób to się zaczęło? Czy korzenie tego syfu sięgają libertyńskich imprez inicjowanych przez prokuratora Andrzeja Pszoniaka, protektora Wargi? Ilu z nich rzeczywiście jest zaangażowanych w ten proceder? Czy dotarł już do istoty problemu, czy jedynie widzi wierzchołek góry lodowej?

Pytania z każdym dniem się mnożyły. Odpowiedzi wciąż brakowało. A Artur coraz częściej żałował, że dał się w to wplątać.

Zwłaszcza że nie było już odwrotu.

Kiedy nie mogąc skoncentrować się na lekturze, po raz enty przeglądał informacje od miesięcy gromadzone przez jego kolegów, usłyszał sygnał iPhone'a. Dzwoniła Aleksandra Celińska, aspirant z Wydziału Kontroli. Artur poznał ją na jednej z policyjnych imprez. Chciał przelecieć, oczywiście. Ale kiedy się okazało, że ma kochającego męża, kilkuletniego syna i niewyparzoną gębę, która z zadziwiającą łatwością katapultuje w jego kierunku dziesiątki obelg, stracił zainteresowanie. Postanowił się z nią zakumplować. Przestać gapić się na jej cycki, a zacząć traktować ją jak kolegę od wódki.

Połowicznie mu się to udało.

– Możesz rozmawiać? – zapytała Celińska.

Artur odchylił się na krześle i rozejrzał po biurze.

– Mów.

– Słuchaj uważnie, bo to, co robię, jest kurewsko niebezpieczne i nie będę się powtarzać. – Zamilkła, zapewne sprawdzając, czy nikt jej nie podsłuchuje. – Zweryfikowałam komendanta. Wydaje się czysty. To znaczy nie służy na niego więcej skarg niż na innych pierdzistołków. Trudno też doszukać się jakiejś powtarzalności, ponieważ zażalenia dotyczą różnych spraw. Większość wygląda na efekt frustracji podwładnych, sąsiadów albo jakichś gości, którym policja zaszła za skórę. Ale jedna skarga różni się od pozostałych. W zasadzie nie jest to skarga, tylko list zaniepokojonej kobiety.

– Kogo?

Celińska ponownie zamilkła.

– Niejakiej Ewy Zając. To dyrektorka jednej ze szkół, do których chodziła Marcelina Dębiec. Córka komendanta. Zając uważa, że dziewczyna mogła paść ofiarą molestowania seksualnego albo być świadkiem jakichś obscenicznych zachowań. Dołączyła do listu notatkę szkolnej psycholożki.

– Dyrektorka podejrzewa Dębca?

– Nie do końca. To znaczy: nie pisze tego wprost. Uważa, że Dębiec mógł doprowadzić do tego, że jego córka miała styczność z pornografią. Albo z czymś gorszym.

– Z pornografią live?

– Na przykład. Według psycholożki dziewczynka jest wycofana, zagubiona i zdradza wiele cech typowych dla molestowanych dzieci. Dyrektorka próbowała porozmawiać o tym z Dębcem. Nawrzeszczał na nią, a niedługo później wypisał dziecko ze szkoły. Zrobił to zresztą nie po raz pierwszy.

– Jak to?

– Pogrzebałem trochę w tej sprawie. Marcelina ma dziesięć lat i właśnie chodzi do swojej szóstej podstawówki. Samo zmienianie szkół nie jest takie zaskakujące. Osoby publiczne, a komendant policji może za taką uchodzić, często zmieniają miejsce zamieszkania i żeby chronić dzieci, przenoszą je z jednej placówki do drugiej. Zwykle jest to zupełnie nieuzasadnione, choć ostrożności nigdy za wiele. Ale sześć szkół w ciągu trzech lat to zdecydowana

przesada. Nawet jeśli Dębiec nie wykorzystuje córki, to funduje jej niezły mindfuck.

– Kiedy Zając napisała ten list?

– Parę tygodni temu. Ale do zdarzeń, które w nim opisuje, doszło wcześniej. Długo się zbierała, żeby coś takiego przygotować.

– Nie dziwię się. A właściwie dziwię. Przecież jest, kurwa, pedagogiem. Powinna zareagować natychmiast.

– To nie wszystko.

– Co jeszcze masz?

– Dębiec nie mieszka z żoną i córką. On ma dom niedaleko lotniska, a im wynajmuje mieszkanie na Marysinie.

– Może się między nimi nie układa?

– To trwa od dziesięciu lat. Odkąd w ich życiu pojawiło się dziecko. To co najmniej zastanawiające.

– Pojebane, a nie zastanawiające. – Artur się zamyślił. – Co zrobiliście z listem tej kobiety?

– Nic. Naczelnik Wydziału Kontroli jest kolegą komendanta. Dębiec zwerbował go zaraz po tym, jak został szefem tego burdelu.

– Ja pierdołę! – Artur zaklął głośniejszym głosem, niż zamierzał.

– Wyślę ci wszystko na prywatną pocztę. Nie wiem, co zamierzasz z tym zrobić, ale dobrze by było, gdybyś przez jakiś czas się ze mną nie kontaktował.

Celińska się rozłączyła. Artur podjechał na krześle do biurka i oparł głowę na dłoni. Ponownie wyjrzał przez okno. Bracia wciąż ze sobą nie rozmawiali. Wciąż palili papierosy. Wciąż robili to tak, jakby miało nie być jutra.

Alicja często się zastanawiała, jak się czują osoby niepełnosprawne, upośledzone, zdeformowane czy straumatyzowane, kiedy spotykają się z bliskimi. Czy bardziej je frustruje, gdy okazuje się im nadmierne zainteresowanie i wlepia w nie wścibskie gały, czy gdy się udaje, że ich nie ma. Że nie istnieją. Że to całe niedołęstwo tkwi w jakiejś niewidzialnej bańce.

Ale kiedy wylądowała po drugiej stronie, zrozumiała, że dla kaleki nie ma to żadnego znaczenia. Liczy się tylko, jak sama siebie postrzega. Do jakiego stopnia się nienawidzi. Innych bowiem – bez względu na to, kim dla niej są, jak się zachowują czy jakie mają plany – nienawidzi się jednakowo mocno.

Na wymuszonym rodzinnym obiedzie bliscy Alicji zachowywali się tak, jakby chcieli przetestować na niej wszystkie warianty zachowań. Matka zgrywała troskliwą, dobrotliwą, zamartwiającą się Bunię, która swoim nachalnym zainteresowaniem starała się przewiercić córki na wylot. Nie tylko Alicję, ale także swobodną, zupełnie nieskrępowaną Karolinę, w półleżącej pozycji rozwaloną na krześle, udającą, że nic się nie stało. Jak gdyby chciała swoim luzem zarazić siostrę. Z kolei ojciec wydawał się lustrzanym odbiciem Alicji: zagubionym, cichym człowieczkiem, który przez przypadek wylądował w sąsiadującej z kinem azjatyckiej restauracji na Piłsudskiego. Z obrzydzeniem i zarazem żalną akceptacją grzebał w zalanych sosem owocach morza, które według niego należałoby przynajmniej jeszcze raz zabić.

– Zaczęłaś już szukać pracy? – zapytała matka, bojaźliwie badając grunt.

– Jeszcze nie – odparła Alicja.

– Nie szkodzi. Daj sobie tyle czasu, ile potrzebujesz. Odłożyliśmy z ojcem trochę pieniędzy, więc możemy wspierać cię tak długo, jak będzie trzeba.

Zerknęła na męża, który uniósł głowę znad talerza i nerwowo nią pokiwał.

– Dziękuję, ale wolałabym żyć za swoje.

Matka machnęła ręką.

– Ty już masz na co zbierać. Dom. Wakacje. Samochód. – Zamilkła, uświadomiwszy sobie, że to od rozbitego auta wszystko się zaczęło. Że ludzie, którzy skrzywdzili Alicję, najpierw zdewastowali jej wysłużonego opla. – Tak czy inaczej, pieniędzmi się nie przejmuj. I pamiętaj, że propozycja, aby się do nas wprowadzić, jest nadal aktualna.

– Daj jej spokój, mamó – włączyła się Karolina, zawieszając na chwilę wymianę wiadomości z mężem na Messengerze. – Jak sobie znajdzie bogatego faceta, to nie będzie musiała martwić się o kasę.

Puściła do Alicji oko, licząc na to, że rozbawi ją tym stwierdzeniem. Że wywoła u niej naturalny, niekontrolowany wybuch śmiechu. Że zmiecie tym niewyszukanym żartem jej marsową minę. Ale nic takiego się nie stało. Zresztą nawet się nie zorientowała, że się zbłąźniła, ponieważ zanim usłyszała zirytowane westchnienie Alicji, ponownie zatopiła się w telefonie. W swoim wygładzonym, skrzętnie planowanym, do bólu przewidywalnym życiu, którego niespodziewana katastrofa siostry nie mogła przewrócić.

W pewnym momencie Alicja przestała słuchać matki. Te wszystkie uwagi, sugestie, nachalne próby pomocy i domorośle diagnozy zaczęły przelatywać obok niej. Cała jej uwaga skupiła się na kobiecie siedzącej dwa stoliki dalej, która co jakiś czas łąpała na nią znad nietkniętej zupy. Kiedy ich spojrzenia zetknęły się po raz trzeci, zrozumiała, że to nie może być przypadek.

Szpicel, pomyślała. Blondwłosa, elegancki szpicel. Te pieprzone cwaniaki posłały za nią kobietę, aby uspić jej czujność. Sądziła, że są sprytni. Ale ona okazała się sprytniejsza.

Nie słuchając matki, która akurat przebąkiwała coś o dentyście, Alicja poderwała się z krzesła. Ruszyła przez środek lokalu w stronę blondynki. Widziała przerażenie malujące się na twarzy tej wysokiej zdziry. Jak w rozgorączkowaniu szuka jakiegoś rozwiązania. Ale było już za późno. Alicja podeszła do stolika, oparła dłonie na blacie i pochyliła się w jej stronę.

– Mogłabyś, kurwa, być bardziej dyskretna – warknęła.

Blondynka nic nie odpowiedziała. Zamiast tego zaczęła nerwowo rozglądać się po lokalu.

– Nie chciałam ci przeszkadzać – wymamrotała.

– W czym? W gapieniu się na talerz? W wysłuchiwaniu matczynych dyrdymałów?

– Chciałam porozmawiać, gdy skończysz spotkanie z rodziną.

– Łazisz za mną od tygodni, suko. Mogłaś wybrać lepszy moment.

Blondynka zmarszczyła brwi. Wstała od stołu. Włożyła rękę do kieszeni. Wyciągnęła odznakę i położyła ją na blacie.

– Jestem z policji.

Alicja przez kilka sekund przesywała kobietę wzrokiem, jak gdyby chciała wydrzeć z niej prawdę. W końcu zerknęła na blachę. Westchnęła.

– Kawęcki cię przysłał? – zapytała.

– Nie. To znaczy nie bezpośrednio. Zresztą to i tak nieistotne.

– Może dla ciebie. Ja nie chcę mieć z tym człowiekiem nic wspólnego.

– Pogadajmy. Mogę ci pomóc.

Alicja parsknęła śmiechem.

– Niby jak? Wysłuchując moich żalów? Robiąc mi, kurwa, psychoanalizę? Myślisz, że mnie rozumiesz, bo jesteś kobietą?

– Przepraszam, co tu się dzieje? – zapytała zaniepokojona awanturą matka, która pofatygowała się do stolika blondynki.

Policjantka zgarnęła odznakę z blatu. Sięgnęła do zawieszanej na sąsiednim krześle torebki. Wyjęła niewielką brązową kopertę oraz wizytówkę. Położyła je na stole.

– Nie łażę za tobą od tygodni, tylko od kilku dni. Wystarczyło, żeby zrobić zdjęcia facetowi, który cię śledzi. – Wskazała palcem kopertę. – Znajdziesz tam jego fotografie i kilka informacji, które mogą cię zainteresować. O ile rzeczywiście chcesz ukarać tych skurwysynów. – Wysunęła się zza stołu. – Naprawdę mogę ci pomóc. Zadzwoń, gdy się namyślisz.

Alicja odprowadziła ją wzrokiem. Potem zerknęła na stół.

– Kim jest ta kobieta? – spytała matka.

– Nie mam pojęcia – odparła Alicja, gapiąc się na wizytówkę Anny Stelmach.

Ocknął się.

Nie mógł się poruszyć. Miał wrażenie, że jego nogi wrosły w ziemię. Zakrzepły razem z brudem, krwią i moczem, które spływały po nich od co najmniej kilkunastu godzin. Częściowo zdrętwiały ze zmęczenia i od bezruchu, na jaki skazał go ten pieprzony psychopata, obwiązując mu uda drutem kolczastym i przybijając stopy do ziemi. Ale przede wszystkim cholernie go

bolą. W każdym miejscu. W każdym najdrobniejszym punkcie. Jakby były jednym gigantycznym wrzodem.

– Nareszcie – usłyszał Wargę. – Zaczynałem się niecierpliwić.

Głos. Inny. Niższy i bardziej chropowaty. Znajomy.

– Pewnie jesteś zbyt zszokowany, żeby mnie rozpoznać. Ułatwię ci to.

Mężczyzna zapalił papierosa i zbliżył się do prokuratora. Wypuścił przed siebie dym, podrażniając jego nozdrza. Zaciągnął się jeszcze parokrotnie. Flegmatycznie. Leniwie. Jakby celowo przeciągał przerwę w robocie.

W końcu postawił jeszcze jeden krok i ściągnął Wardze worek z głowy.

Prokurator przez chwilę nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył. Ale potem wszystko zaczęło się składać w spójną całość. Obraz nabrał kolorów. Wszystkich odcieni szarości.

– Pamiętasz nasze rozmowy w kiblu? – zapytał Tomek Kawęcki, rzucając prokuratorowi drwiący uśmiech. – Za pierwszym razem obiecałem, że cię dopadnę. Za drugim, udając pijanego, przyznałem się do błędnej oceny twojej osoby. Nie przypuszczam, że bym był dobrym aktorem, ale mimo wszystko uwierzyłeś. Nie sądzisz, że to strasznie naiwne?

Kawęcki zerwał taśmę z jego ust. Stęskniony tlenu grubas łapczywie zaciągnął się powietrzem.

– Uwolnij mnie – wymamrotał. – Powiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć. Wszystko. Błagam cię.

Kawęcki wolno pokręcił głową. Zaciągnął się po raz ostatni i wyrzucił papierosa pod nogi. Przygniótł go butem. Wargę ponownie się zaniepokoił, kiedy się zorientował, że Kawęcki ma na nogach pomarańczowe gumki. I znowu – gdy podniósł peta i włożył go do plastikowej torebki. Umysł Wargi jeszcze nie określił, co to dokładnie oznacza, ale instynkt wyraźnie wskazywał, że nic dobrego.

– Nie ściągnąłem tej taśmy, żebyś zebrał o życie – stwierdził Kawęcki. – Zadałem pytanie i liczę na odpowiedź.

Warga zaczął się gorączkowo rozglądać, jakby na wyłaniających się z mroku drzewach wisały odpowiedzi.

– Jakie pytanie?

Kawęcki głośno westchnął. Wyciągnął kolejnego papierosa.

– Naprawdę uwierzyłeś, że dam ci spokój? Że odpuszczę? Że zadowolę się gonitwą za psychopata, któremu od początku pomagasz?

– Nikomu nie pomagam – zaprotestował Warga. – Nie z własnej woli. On mnie szantażował. Robiłem to, żeby przeżyć.

Kawęcki uniósł głowę i wydmuchnął dym.

– Znowu nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

– Uwolnij mnie. Wszystko ci opowiem.

Z twarzy byłego policjanta nie schodził irytujący uśmiech. Jakby Kawęcki słuchał wyjaśnień seksoholika wypierającego się romansu. W końcu wycelował palcem w jego stopy.

– To nie był mój pomysł. Nie znam się na torturowaniu. Nie wychwytyję tej subtelnej różnicy między sprytnym zadawaniem cierpienia a bezmyślnym sadyzmem. Nie wiedziałbym, w których miejscach naciskać, żeby zabolalo cię to, co powinno.

– Czego chcesz? – przerwał mu Warga. – Złapać Kostkę? Dowiedzieć się, o co w tym chodzi? Uwolnij mnie, to dostaniesz wszystko na tacy.

Ale Kawęcki go nie słuchał. Cierpliwie czekał, aż prokurator skończy wyrzucać z siebie słowa.

– Na szczęście znam kogoś, kto co nieco o tym wie. Ba, jest ekspertem w zadawaniu bólu. A przynajmniej chciałby za niego uchodzić. – Kawęcki zbliżył się do Wargi. – Pewnie się zastanawiasz, co musiałem zrobić, żeby przekonać kogoś takiego do pomocy. Za ile sprzedałem duszę diabłu. Więc wyobraź sobie, że nic mnie to nie kosztowało. Null. Psychopata, który przygwoździł cię do tego drzewa, zrobił to zupełnie za darmo. W ramach treningu. Dla przyjemności. Właściwie to on jest moim dłużnikiem. A jego dług będzie tym większy, im dłużej pozwolę mu się z tobą zabawiać.

Kawęcki zgasił papierosa w identyczny sposób jak poprzednim razem i ponownie wrzucił kiepa do torebki. Poklepał się po kieszeniach kurtki, jak gdyby chciał się upewnić, że niczego nie zgubił. Że o niczym nie zapomniał.

– Przecież, kurwa, powiedziałem, że wszystko wyjaśnię. Przecież...

Warga nie dokończył myśli, ponieważ Kawęcki zakleił mu usta taśmą.

– Jutro. Jutro wszystko mi opowiesz. Dzisiejsza noc nie należy do mnie. Dobranoc.

Kawęcki zasalutował i odszedł. Zniknął gdzieś za drzewem, do którego przymocowane było tłuste cielsko prokuratora. Po kilku sekundach jego kroki ucichły.

Zastąpiły je inne. Bardziej nerwowe. Bardziej energiczne.

Kroki dziecka pędzącego do pierdolonego Disneylandu.

Mężczyzna w kominiarce wesoło pogwizdywał. Warga kojarzył tę melodię. *Eine kleine Nachtmusik* Mozarta. Utwór, który nucił, kiedy widział się z Kawęckim w kiblu.

Kurwa jego mać!

Oprawca postawił torbę na ziemi i stanął przed Wargą. Nie przestając gwizdać, przebiegł wzrokiem po jego ciele. Uśmiechnął się. A potem założył mu worek na głowę.

To było kilka upiornie długich godzin spędzonych w ciągłym strachu i dyskomforcie.

Wynajęty przez Kawęckiego psychol zafundował Wardze niekończący się koszmar. Przez całą noc zasypywał go słowami. Opowieściami o torturach. O bólu, jaki wywołuje wyrywanie paznokci, waterboarding czy gruszka doodbytnicza. O tym, co może mu zrobić, jeżeli tylko najdzie go ochota.

Nie przestawał mówić. Nie przestawał pogwizdywać. Nie przestawał wybuchać najbardziej irytującym śmiechem na świecie. Nie przestawał grzechotać narzędziami tortur. A kiedy tylko Warga zaczynał odpływać, wrzeszczał na niego i polewał wodą, żeby nie zasnął. Żeby był w pełni świadomy swojej sytuacji.

Tej nocy ani razu go nie dotknął. Ani razu nie użył swoich wymyślnych zabawek. Całkowicie bezinwazyjnie doprowadził do tego, że ofiara straciła ochotę do życia.

Kimkolwiek jest ten człowiek, zna się na rzeczy, pomyślał Warga.

Była to ostatnia swobodnie dryfująca myśl, jaką zapamiętał.

Kiedy odzyskał świadomość, poczuł, że ma coś pod tyłkiem. Coś twardego. Krzesło. Siedział. Znowu siedział. Po tylu godzinach stania przy pierdolonym drzewie, z rękoma związanymi za plecami i przełożonymi nad gałęzią, w końcu usiadł. W nogi nie wrzynał się już żaden drut. Stopy potwornie bolały – jak

gdyby oprawca przekłuł je rozżarzonymi prętami, a nie dwoma chudymi gwoździami – ale mógł nimi poruszać. W dodatku czuł, że są zabandażowane.

Ktoś się nim zaopiekował.

Miał na sobie ubranie. Albo chociaż koc. Czuł, że między jego poranionymi udami znajduje się jakiś zmechacony materiał, który ścisnął niczym kółkę podczas upalnej nocy.

Nadal bolała go głowa, ale inaczej niż do tej pory. Łżej. Nie tak uporczywie. Jak po grubej, przeciągniętej do rana imprezie, którą po prostu musi odespać. Jakby po raz pierwszy od kilkudziesięciu godzin nieznacznie odpoczął.

– Obudził się – usłyszał, a po chwili ktoś zerwał mu worek z głowy.

Upłynęło kilka sekund, zanim wzrok Wargi przyzwyczaił się do ostrego sztucznego światła, które bombardowało jego oczy z przymocowanych do sufitu lamp. Z ciemnożółtej plamy wolno zaczęły się wyłaniać kontury postaci. Dwóch mężczyzn, którzy stali w progu ogołoczonego z mebli pokoju. Wysokiego bruneta i blondyna średniego wzrostu. Brzydala i przystojniaka.

Witolda Ptaka i Bartosza Adamskiego.

Warga myślał, że to zwidy. Że nadal śpi. Albo że umarł i po śmierci okrążyły go upiory. Ale kiedy zza jego pleców wyłonił się kolejny facet, który zerwał mu taśmę z ust, prokurator zrozumiał, że nic takiego się nie stało. Że po wielogodzinnej sesji z psychopatą czeka go następna.

Prawdopodobnie jeszcze gorsza.

– Zaczynamy – powiedział Tomek Kawęcki, stając z żarzącym się petem między Ptakiem a Adamskim.

Alicja zaciągnęła żaluzje w kuchni i przesunęła pod parapet leżące na stole talerze. Położyła na blacie zdjęcie mężczyzny w granatowej kamizelce, dżinsach i bejsbolówce mocno naciągniętej na czoło. Postukała w nie palcem.

– Kto to jest? – spytała.

– Nie mam pojęcia, aż taka dobra nie jestem. – Stelmach uśmiechnęła się do niej pobłażliwie. – Wiem tylko, że od kilku dni za tobą łązi. Po jego gabarytach,

aparycji, diecie i sposobie wysławiania się wnoszę, że to były wojskowy, bokser albo ochroniarz. Ktoś, kto żyje z dawania ludziom po mordzie.

– Wspaniale.

– Chyba nie sądziłaś, że wyślą za tobą doktora habilitowanego? – Stelmach próbowała rozbawić dziennikarkę, ale kąciki ust Alicji nawet nie drgnęły. Jak gdyby miała zadrutowaną szczękę. – To akurat dobra wiadomość. Taki przygłup jest do bólu przewidywalny, a przez to łatwy do kontrolowania. Przy odrobinie szczęścia uda nam się dowiedzieć, kto jest jego zleceniodawcą.

– Według ciebie to nie jest oczywiste?

– Według mnie przydałby się na to jakiś dowód. Jeśli się wytacza działa przeciwko prokuratorowi, warto mieć do nich proch. – Stelmach wzruszyła ramionami. – Chyba że nie masz takiego zamiaru.

– O czym ty mówisz?

– Może obawy ludzi, którzy cię skrzywdzili, są nieuzasadnione, a ja niepotrzebnie zaprzątam sobie tobą głowę. Problem w tym, że nie dowiem się tego, dopóki nie wyjaśnisz, jaki masz plan.

Stojąc przed oknem, z rękoma splecionymi na piersi, Alicja przez dłuższą chwilę intensywnie wpatrywała się w Stelmach. Nie była pewna, czy może jej zaufać. Czy mając na uwadze to, jak zakończył się jej poprzedni nieformalny deal z policjantem – Kawęckim, powinna wchodzić w kolejny. Czy ta blondwłosa gidyja nie pogłębi jej problemów. W końcu się poddała. Usiadła przy stole naprzeciwko Stelmach i objęła dłońmi kubek gorącej herbaty.

– Złamali mnie – powiedziała. – Przez kilka tygodni miałam ochotę umrzeć. Każdego dnia, w każdej pieprzonej sekundzie, chciałam zdechnąć. Wielokrotnie wizualizowałam sobie chwilę, w której wyjdę ze szpitala, odprowadzę rodziców i zostanę sama. Przerobiłam w myślach najróżniejsze warianty samobójstwa. Ale wszystkie łączył jeden element. We wszystkich to oni wygrywali. Osiągali swój cel najniższym możliwym kosztem. – Pokręciła głową. – Wciąż nie ma we mnie nawet krzty woli życia. Za to odkryłam tam ogromne pokłady nienawiści.

Stelmach chwyciła ją za dłonie. Drżały tak, jakby za moment miały rozgnieść kubek.

– Długo się zastanawiałam, jak mogę ich ukarać – kontynuowała Alicja. – W jaki sposób pozostawiona sama sobie... bez żadnego wsparcia, bez argumentów, bez znajomości... mogę im zaszkodzić. Czy jestem w stanie ich zaskoczyć. I tylko jedno rozwiązanie przyszło mi do głowy. Coś, czego się nie spodziewają. Bo przecież nie zakładają, że mogę po raz drugi wejść do tej samej rzeki.

– Chcesz napisać kolejny artykuł? – zdziwiła się Stelmach.

Alicja pokręciła głową.

– Chcę, żeby ktoś inny to zrobił. Ktoś, do kogo macki Wargi i jego ludzi nie sięgają. Jakiś mądrała ze stolicy, dla którego łódzki prokurator jest tylko pieprzonym urzędasem, a nie geniuszem zbrodni.

– Znalazłaś już kogoś?

– Jeszcze nie. Odmówiły mi dwie dziennikarki z programów interwencyjnych. Ale mam jeszcze kilka nazwisk w zanadrzu. Prędzej czy później ktoś się zgodzi. Ktoś musi mieć dość duże jaja, żeby zająć się tym tematem.

Stelmach ze zrozumieniem pokiwała głową.

– Mogę ci pomóc.

– Jak? Masz znajomych w mediach?

– Znam kilka osób w policji, które mogą spowodować, że dziennikarze zainteresują się twoją historią.

– Nie – zaprotestowała Alicja. – Żadnych psów. Nie chcę, żeby mieszały się do tego policjanci. Wystarczająco chujowo czuję się z tym, że rozmawiam z tobą.

– Rozumiem. Żadnych psów. W takim razie będę twoim wingmanem.

– Kim?

– Ze mną u boku będzie ci łatwiej przekonać jakiegoś dziennikarza, żeby zajął się twoim tematem. Uwiarygodnię ciebie i twoją historię.

Alicja podrapała się po czole.

– Okej – powiedziała. – Możemy spróbować.

– A poza tym będę cię chronić.

Alicja parsknęła śmiechem.

– Ty? Przed takimi skurwysynami? – Wskazała palcem zdjęcie. – Jak to sobie wyobrażasz?

– Normalnie. Będę twoim osobistym ochroniarzem.

– Jak Kevin Costner w *Bodyguardzie*?

– Raczej jak Anioł Stróż. – Stelmach się uśmiechnęła. – Żeby cię skutecznie chronić, twoi wrogowie nie mogą wiedzieć o moim istnieniu. Muszę być dla nich niewidzialna.

Alicja zapatrzyła się w parującą zawartość kubka. Wolno pokiwała głową.

– Co chcesz w zamian? – zapytała.

Stelmach puściła jej dłonie. Odchyliła się na oparcie krzesła.

– Kawęckiego – powiedziała. – Chcę, żebyś opowiedziała mi wszystko, co o nim wiesz.

Prokurator Warga łąpczywie napił się wody. Podniósł głowę i natknął się na trzy pary wbitych w niego oczu. Przełknął ślinę, która przecisnęła się przez gardło, jak gdyby była najeżona tysiącami niewidzialnych kolców.

– Są dwa warianty – powiedział Kawęcki, zaciągając się papierosem. – Możesz nam pomóc. Opowiedzieć swoją historię. Spróbować się jakoś usprawiedliwić i zmniejszyć obrzydzenie, jakie do ciebie czujemy.

– Albo? – wychrypiał Warga.

– Albo cię rozjebimy.

Kawęcki wyciągnął z kieszeni smartfona. Odszukał w jego pamięci zdjęcie – zrzut ekranu z niezbyt wyraźnego nocnego nagrania – i pokazał je Wardze.

– Mamy film, na którym widać, jak zaraz po zabójstwie Magdy Giętkiej oddalasz się samochodem z miejsca zbrodni. Tuż przed tobą jedzie Seweryn Kostka. Wiemy też, że byłeś w mieszkaniu Henryki Świst po tym, jak ten świr ją

udusił. Pomogłeś mu posprzątać po zabójstwie. Mając pewność, że jesteś jego współnikiem, z największą przyjemnością cię zabiję. Albo pozwolę to zrobić dżentelmenowi, którego miałeś przyjemność poznać w lesie. – Kawęcki zgasił peta i zerknął na swoich kompanów. – Pewnie sobie myślisz: to niemożliwe. Przecież nie zajebią mnie policjanci. Problem w tym, że ich tu nie ma. – Uśmiechnął się. – Nikt nie wie, że ci dwaj spotkali się w garażu opuszczonego domu, ponieważ wyszli z komendy o różnych godzinach i pojechali w przeciwnych kierunkach. Nikt nie wie, gdzie spędziłeś kilkadziesiąt ostatnich godzin. Nikt nie wie, że zostałeś porwany, bo w dniu zniknięcia poprosiłeś mailowo sekretarkę, aby wypełniła za ciebie wniosek urlopowy. Wreszcie nikt nie przypuszcza, że były pies, który od kilku tygodni nachlany szlaja się po mieście i dorabia jako ochroniarz na magazynie, mógłby wykombinować taki diabelski plan. – Postawił krok w stronę Wargi. Przykucnął. – Dlatego bez żadnych skrupułów cię zajebię. Ubiję jak świnie. Zrobię to, co już dawno powinno zostać zrobione.

Warga ważył w myślach jego słowa. Patrzył na Kawęckiego spode łba. Wycieńczony. Przegrany. Przepelniony rezygnacją.

– Co chcecie wiedzieć? – zapytał w końcu.

Kawęcki wyciągnął kolejnego szluga. Zapalił i wypuścił do góry dym.

– Wszystko – powiedział. – Zaczynij od początku.

– Zgubiłem go.

– Jak to „zgubiłeś”?

– Normalnie. Śledziłem Kawęckiego do momentu, aż mi spierdolił.

Procent stał przed biurkiem Mariusza Rytera, drapiąc się po pokancerowanej łysej głacy, przez co jeszcze bardziej niż zwykle przypominał troglodytę.

– Jak ci spierdolił? – zapytał Ryter.

– Zwyczajnie.

– Co to znaczy?

– Przez kilka dni Kawęcki jeździł wszędzie razem z Ptakiem. Drażal przyjeżdżał do niego pod dom, a potem wozili się po mieście i spotykali z różnymi ludźmi. To było kompletnie pojebane, ponieważ każdego dnia odwiedzali kościoły. Jak jacyś, kurwa, świadkowie Jehowy.

– Świadkowie Jehowy nie chodzą do kościołów rzymskokatolickich.

– Jakich?

– Nieważne. Kontynuuj.

– Dzisiaj Ptak po niego nie przyjechał. A Kawęcki prawdopodobnie wyszedł z domu w środku nocy, bo nie ma go w chacie.

– Skąd wiesz?

– Dzwoniłem do niego domofonem. Poza tym od rana czatuję pod jego klatką.

Ryter prychnął ze złości.

– Musiał wiedzieć, że go obserwujesz.

– Byłem dyskretny.

– Najwyraźniej niewystarczająco. – Ryter zamilkł, gapiąc się na ekran nokia. Dostał wiadomość. Inną, niż się spodziewał. – Rozpytałeś na mieście o nasz magazyn?

Procent pokiwał głową.

– Ludzie nic nie wiedzą albo boją się powiedzieć. Tak czy inaczej, wszystko wskazuje na to, że musiał to być ten Rusek.

– Gruzin.

– Jeden chuj.

Ryter odpisał na esemesa. Odłożył telefon na biurko. Patrząc na Procenta, który drapał się po łbie, jakby chciał wskrobać spod czaszki resztki mózgu, ciężko odetchnął.

– Dowiedz się, co się stało z Kawęckim. Znajdź go i wypytaj. Od dłuższego czasu leci z nami w chuja. Jeśli się okaże, że knuje z Romanem, będziemy musieli skrócić go o głowę.

– I tak zamierzamy to zrobić, nie?

– Wolelibyśmy to zrobić później. Najpierw chciałbym wykorzystać cały potencjał Kawęckiego. Wycisnąć go jak gąbkę.

Kiedy Procent wyszedł z gabinetu, Ryter ponownie sięgnął po telefon. Wysłał kolejną wiadomość do jednego ze swoich ludzi. Kolejną, która miała potwierdzić jego najgorsze obawy. W odpowiedzi facet do niego oddzwonił.

– Nie mam dobrych wieści, szefie – powiedział. – W zasadzie mam bardzo chujowe wieści.

– Mów.

– Nasi chłopcy znowu obskoczyli wpierdol. Tym razem na Chojnach. Na naszym terenie.

– Od kogo?

– Nie wiedzą. Ale mówią, że to byli jacyś goście ze Wschodu. Rusczy albo Ukraińcy.

Albo Gruzini, pomyślał Ryter. Sytuacja zaczynała się robić naprawdę nieprzyjemna.

– Mówili coś jeszcze?

– Zanim zostali dojechani, przyszli po kabzę do naszych klientów ze Rzgowskiej. Ale nie zebrali hajsu.

– Jak to?

– Klienci nie chcieli im zapłacić, bo chwilę wcześniej odwiedzili ich ci faceci. Mówią, że bardziej boją się Rusków niż nas.

– Kurwa mać!

Ryter się rozłączył. Rzucił telefon na biurko. Wstał. Zaczął się nerwowo przechadzać po biurze. Wgapiając się w różnokolorowe romby zdobiące wykładzinę, analizował wydarzenia ostatnich kilkunastu dni. Atak na jego przybocznego. Pobicie kilku żołnierzy. Włamanie do magazynu i kradzież komponentów. Zastraszanie i podbieranie klientów. Roman uderzał na kilku frontach jednocześnie. Podgryzał jego biznes i autorytet. Odbierał mu pieniądze i podkopywał morale pracowników. Wykonywał zaplanowany, przemyślany,

bezprecedensowy atak, którym zamierzał go zniszczyć. Co do tego nie było żadnych wątpliwości.

Ryter nie mógł dłużej czekać na rozwój wypadków. Musiał odpowiedzieć na tę napaść. W sposób najbardziej zrozumiały dla każdego uczestnika sporu. A więc najbrutalniej, jak tylko potrafił.

Ale najpierw musiał się spotkać z tym pierdolonym Gruzinem.

Zawołał asystentkę.

– Przez najbliższą godzinę muszę mieć absolutny spokój – powiedział, kiedy filigranowa kobieta o wiecznie smutnej twarzy nieśmiało zajrzała do biura. – Jeśli tego nie dopilnujesz, wyjebię cię na zbity pysk. Zrozumiano?

Asystentka nerwowo pokiwała głową i zniknęła za drzwiami. Kiedy Ryter został sam, podszedł do biurka i po raz kolejny sięgnął po telefon.

– Seweryn przyłapał mnie na czymś, czego nie powinienem był robić.

– Ty skurwysynu! – warknął Witold, podrywając się z krzesła, jakby nagle zaczęło pod nim płonąć.

– To nie to, o czym myślisz. Nie jestem pedofilem. – Warga posłał policjantom błagalne spojrzenie. – Nie mam nic wspólnego z tym, co wyczyniał Andrzej Pszoniak. To znaczy... – zawahał się – wiedziałem, co odstawia. Wykorzystałem to. To był mój hak na Andrzeja. Szantażowałem go swoją wiedzą. Dzięki temu, niewiele robiąc, mogłem się wspinać w prokuraturze po jego plecach. Z mojej strony to był czysty makiawelizm.

– To na czym Kostka cię przyłapał? – zapytał Kawęcki.

Warga zdobył się na uśmiech. Pierwszy, odkąd odzyskał przytomność. Pierwszy od kilkudziesięciu godzin.

– Nie zastanawiało was, skąd Seweryn miał pieniądze na to wszystko? Na to, by mieszkać na fajnym osiedlu, mieć kilka nieruchomości i samochód? By urządzić tę pieprzoną chryję?

– Weterynarze nieźle zarabiają – powiedział Adamski. – Kostka żył skromnie, nie wydawał kasy na używki, nie wyjeżdżał na wakacje. Mógł sporo odłożyć.

Warga pokręcił głową.

– On był kimś więcej niż skromnym weterynarzem i asystentem stomatologicznym.

– Kim? – spytał Kawęcki.

– Ostatnią deską ratunku dla ludzi pokroju Andrzeja. – Warga zapatrzył się w podłogę. – Seweryn w jakiś sposób zdobył ich zaufanie i w pewnym momencie zaczął po nich sprzątać. Cucił ich po tych patologicznych imprezach. Dbał o to, żeby jak najszybciej dochodzili do siebie i nazajutrz mogli z uśmiechem na ustach wciskać głodne kawałki kumplom z pracy, klientom, wyborcom czy parafianom. Podłączał ich do kroplówek i szprycował farmaceutykami. Czasem ratował starszych panów, których pikawy przestawały nadażać za zabawą. A czasem wybawiał nie tylko ich.

Warga popatrzył po twarzach porywaczy. Rozumieli, co ma na myśli.

– Poznałem go na jednej z takich imprez – kontynuował. – Andrzej poprosił mnie, żebym mu pomógł. Miał problem z pewnym biznesmenem. Facet przesadził z koką i zrobił się agresywny. Trzeba było go uspokoić i przetransportować do mieszkania, bo następnego dnia rano miał spotkanie w sprawie sprzedaży jednej ze swoich firm. Andrzej potrzebował kogoś, kto uspokoi tego byczka, i dyskretnego szofera, który bez zadawania zbędnych pytań odstawi delikwenta do domu.

– I wybrał ciebie? – zdziwił się Witold. – Człowieka, który go szantażował?

– Jakkolwiek dziwnie to zabrzmie, osiągnęliśmy spory poziom zrozumienia i zaufania. Jak wspólnicy połączeni traumą.

– Traumą? Traumą, kurwa! – Witold ponownie się uniósł. – Dobry Boże, przecież to wy fundowaliście traumę tym dzieciakom.

– Kontynuuj – powiedział Kawęcki, rzucając Witoldowi karcące spojrzenie. Chwilę później skupił się na Wardze.

– Ta impreza odbywała się w luksusowym apartamencie na Piotrkowskiej. Należał do jakiegoś dzianego przedsiębiorcy. Nie chciałem wchodzić na górę i poznawać tych ludzi. Nie zamierzałem w żaden sposób uczestniczyć w tym, co

tam robili. Dlatego zaparkowałem tak blisko wejścia do budynku, jak tylko się dało, i czekałem. Po kilkunastu minutach jakiś facet zniósł tego biznesmena, kompletnie otumanionego lekami, załadował go do tyłu i usiadł obok. Podał mi adres i zamilkł. Kiedy odstawiliśmy gościa, poprosił, żebym odwiózł go do domu. – Warga potrząsnął głową. – Doskonale pamiętam uśmiech, który zobaczyłem, gdy zerknąłem w lusterko. Wstrętny dziąsłowy uśmiech. Miał na sobie przebranie, więc nie widziałem dokładnie jego twarzy, ale zapamiętałem ten cholerny uśmiech.

– Co się stało potem? – ponaglił go Kawęcki.

– Zaczął mówić.

– Mówić?

– Wiedział o mnie wszystko. Jak się nazywam, co robię, z kim się znam. Wiedział, co mam na sumieniu. Wiedział, gdzie należy nacisnąć, żeby mnie zabolalo. I tak to się zaczęło. Z szantażującego zamieniłem się w szantażowanego. – Warga podniósł głowę i spojrzał na Kawęckiego. – Kostka potrzebował gościa, który będzie pełnił rolę żywej tarczy. Kogoś, kto ochroni go przed policją. Kto przetrze mu szlak i pomoże w realizacji misji. Wtedy nie miałem bladego pojęcia, co planuje. Właściwie nadal nie mam. Wiem tylko, że to zrobi. Bez względu na to, jak bardzo będziecie próbowali mu przeszkodzić. Jego nie da się zatrzymać.

W garażu zapadła cisza. Mącił ją jedynie syk nerwowo palonych papierosów.

Wściekły skowyt ulicy ucichł, gdy Seweryn wjechał na teren osiedla. Zaparkował przy chodniku wzdłuż wąskiej uliczki, wcisnąwszy się między dwa równoległe stojące samochody. Po jego prawej stronie, w odległości mniej więcej trzydziestu metrów, znajdowała się świeżo wyremontowana klatka schodowa. Właśnie wchodziła do niej kobieta, którą obserwował od kilkunastu dni.

Wszystkie musiał poznać na wskroś. Wiedzieć, jak się zachowują w domu. W jaki sposób traktują swoich bliskich. Ile czasu spędzają z dziećmi albo

mężem. Z jakim natężeniem okazują im czułość. Do jakich absurdów są w stanie się posunąć, żeby zafałszować rzeczywistość.

Nie chodziło już nawet o dopieszczenie misji. O dogranie szczegółów i usunięcie mikroelementów, które mogłyby coś pokrzyżować. Seweryn robił to dla siebie. Dla osobistej satysfakcji. Żeby jeszcze mocniej utwierdzić się w przekonaniu, że jego wybór jest słuszny. Że dokonał właściwej selekcji. Że te kurwiska zasłużyły na to, co dla nich zaplanował.

Sięgnął po leżący pod fotelem pasażera plecak i położył go obok siebie. Wyciągnął kanpkę starannie zapakowaną w folię aluminiową. Jednocześnie zerknął do pozostałych przegród, w których trzymał półlitrową butelkę wody niegazowanej, paczkę chusteczek, notatnik, lornetkę oraz nóż. Zawsze ten sam zestaw, który w połączeniu z drelichowym kombinezonem dozorczy oraz trzymanymi w bagażniku narzędziami, wiadrem oraz mopem stanowił jego niezbędnik operacyjny. Bez niego nie ruszał w pogoń za ofiarą. Nie rozpoczynał obserwacji. Nie próbował demaskować tych dziwek.

Ledwo zdążył rozpakować kanpkę, kiedy po swojej lewej stronie usłyszał pukanie. Odwrócił się i zamarł. Potrzebował kilku sekund, żeby zrozumieć gest mężczyzny, który kazał mu opuścić szybę.

– Wie pan, że tu nie można parkować? – Facet odsunął się na dwa kroki i wycelował palcem w coś, co znajdowało się za samochodem Seweryna. Potem ponownie zbliżył się do auta. – Tam jest znak. D-40. Strefa zamieszkania. Wolno parkować tylko w wyznaczonych do tego miejscach. A ta uliczka nie jest jednym z nich.

– Nie wiedziałem – odparł Seweryn. Zastanawiał się, czy światło stojącej kilka metrów dalej latarni jest dość silne, żeby ten wścibski facet mógł dostrzec nóż w jego plecaku.

– Niewiele osób o tym wie. Zresztą ci, którzy wiedzą, z reguły i tak mają to w dupie. Dlatego strażnicy miejscy co jakiś czas przypominają im o przepisach ruchu drogowego.

Seweryn pokiwał głową. Nerwowo. Zbyt nerwowo. Jak uczeń przyłapano na ściąganiu. Czuł, że powinien się pokajać i okazać skruchę, ale nie był na to przygotowany. Nie w stosunku do tego człowieka.

– Jestem tu po raz pierwszy – skłamał. – Dzięki za ostrzeżenie.

Facet wzruszył ramionami.

– Miałem wyjątkowo paskudny dzień. Chciałem panu oszczędzić tego samego.

– Tym bardziej dziękuję.

Mężczyzna pozdrowił Seweryna machnięciem ręki, a ten czym prędzej wrzucił kanapkę do plecaka i zasunął suwak. Uruchomił silnik. Jednak zanim ruszył, aby przeparkować auto, odprowadził faceta wzrokiem. Widział, jak zapala papierosa i z wolna kieruje się w stronę klatki. Jak bierze ostatnie łąpczywe machy przed wejściem do bloku i pośpiesznie przegląda coś w smartfonie, jakby na górze korzystanie z telefonu było zakazane. Jak stresuje się przed spotkaniem z kobietą, która notorycznie przyprawia mu rogi.

Zdradzony mąż. Człowiek, który prawdopodobnie każdym skrawkiem ciała wyczuwa nadciągającą katastrofę, ale nie jest w stanie jej zapobiec. Jak leming świadomy czyhającej za urwiskiem śmierci, a mimo to niebędący w stanie przeciwstawić się niszczycielskiej mocy społeczności. Obezwładniony wewnętrzną chętnością oraz naiwnym pragnieniem, żeby życie było proste i niezmiennie. Zaślepiiony idiotyczną wiarą, że nie może go spotkać koszmar. Nie jego. Nie gościa, który na to nie zasłużył.

Seweryn wiedział, że parkując w tym miejscu, popełnił kardynalny błąd. Naraził się na zdemaskowanie. Tym jednym kretyńskim występkiem mógł pogrzebać całą misję. Pozwolił, aby zakiełkowała w nim pycha. Wiedział, że będzie musiał to odpokutować. Ale wiedział też, że to uderzenie podniecenia, ta ciepła fala, która rozlała się po jego organizmie, gdy ten biedny facet zostawił go w spokoju, będzie go niosła aż do szczęśliwego finału.

Kolejnego błędu już nie popełni.

Frenchie zatrzymał się w progu łazienki i po chwili wahania usiadł na zimnej posadzce. Zdezorientowanym wzrokiem patrzył na swojego nowego pana, który pochylał się nad kibelem, aby wyrzucić z żołądka resztki wczorajszej kolacji.

Kawęcki nie miał pojęcia, co się dzieje w jego bebechach. Wiedział tylko, że to coś okropnego. Że w jego organizmie zaszła jakaś nieodwracalna zmiana, przez którą regularnie nawiedza go ostry, rwący i wywołujący mdłości ból. Marzył o czymś, co go uzdrowi. Odtruje i zaleczy wszystkie rany. Marzył o ibogainie. O skrojonym do własnych potrzeb lekarstwie, które wyciągnie go z nałogu. Albo o czymś całkowicie odmiennym. O złotym strzale.

Kłopot w tym, że skoro nie miał dość odwagi, aby się dowiedzieć, co mu dolega, to tym bardziej nie było go stać na wybranie którejś z dróg. Na podjęcie decyzji: wóz albo przewóz. Całkowita abstynencja albo wielki finał. Jedna z dwóch genialnych kuracji, która wszystko zakończy. Raz na zawsze.

– Żyjesz?! – zawołał Witold z głębi mieszkania.

Kawęcki wstał z kolan. Wytarł grzbietem dłoni usta, a następnie przemył nad zlewem twarz. Zerknął spode łba w swoje przepite, zaczerwienione oczy, jak gdyby łytał na największego wroga, i w asyście psa wyszedł z łazienki.

– Wszystko w porządku? – ponownie zapytał Witold.

Kawęcki spojrział na drągała z niepokojem palącego papierosa. Potem przeniósł wzrok na przechadzającego się po salonie Adamskiego, który bardziej niż jego porannym rzyganiem wydawał się zdziwiony tym, że były policjant może mieszkać w takich warunkach: w squatopodobnym lokalu na obrzeżach eleganckiego osiedla.

– Który z was podrzuci mnie do Wargi? – zapytał Kawęcki, zapalając ponownie szluga zostawionego w popielniczce przed desperackim biegiem do kibla.

– Nie wyglądasz na gościa, który nadawałby się do przesłuchiwania skorumpowanego prokuratora – zauważył Adamski.

– Nie zamierzam go przesłuchiwać.

– A co chcesz z nim zrobić? Torturować razem z tym swoim psycholem?

Kawęcki rzucił naczelnikowi złowrogie spojrzenie.

– Jak chcesz to rozegrać? – spytał Witold.

Kawęcki, zanim zdecydował się otworzyć usta, wziął kilka leniwych machów.

– Zmuszę go do współpracy. Do tego, żeby razem ze mną ruszył w pogoń za Kostką.

– Jak to sobie wyobrażasz?

– Przekonam go, że powinien nam pomóc.

– I myślisz, że ci się uda? – Adamski zmarszczył brwi. – Że facet, którego katowałeś przez kilkadziesiąt godzin, tak po prostu zechce ci pomóc?

– Tak.

Kawęcki dopalił papierosa i zgniótł peta w przepelnionej popielniczce. Wyglądał na faceta, który albo jeszcze nie wytrzeźwiał, albo zupełnie zwariował.

– A my co mamy robić? – spytał Witold.

– Nic. Nie potrzebuję was, tylko podwózki. Byliście potrzebni wczoraj, kiedy musieliśmy przekonać Wargę, że sprawy zaszły za daleko, aby mógł się wywinąć bez konsekwencji. Kiedy trzeba było pokazać, że poważni ludzie w policji mają dowody, przez które może na wiele lat trafić do pierdła. Ale teraz jesteście

zbędni. – Kawęcki rzucił im drwiący uśmiech. – On się was nie boi. Uważa, że jesteście zbyt porządni, by wyrządzić mu krzywdę.

– Zbyt porządni? – zdziwił się Adamski.

– W porównaniu ze mną. Warga wie, że w waszym towarzystwie nic mu nie grozi. Kiedy jestem sam, tej pewności nie ma. – Kawęcki podszedł do zastawionego piwem biurka i zaczął podnosić kolejne puszki. Kiedy w końcu natknął się na pełną, upił duży łyk zwietrzałego alkoholu. – Warga pomagał Kostce nie ze strachu przed więzieniem, ale w obawie o swoje życie.

– Skąd wiesz?

– Widziałem to w jego oczach. On się przeraźliwie boi tego człowieka. Nieporównywalnie bardziej niż nas. Musimy doprowadzić do sytuacji, w której dojdzie do wniosku, że jest ktoś groźniejszy dla niego niż Kostka. Na przykład nieźrównoważony psychicznie były glina, który trzyma go na muszce.

Witold i Adamski wymienili spojrzenia. Milczeli. Nie mieli ani jednego kontrargumentu. Dlatego choć bardzo nie podobało im się zaproponowane przez Kawęckiego rozwiązanie, musieli na nie przystać.

– Zawiozę cię – oznajmił Witold i podniósł się z krzesła.

Adamski podszedł do Kawęckiego i przyłożył mu palec do klatki piersiowej, jak gdyby chciał go postrzelić w serce.

– Tylko go nie zabij.

– Spróbuję – odparł Kawęcki.

Nie zabrzmiało to zbyt przekonująco.

Wysoki, szczupły, dobrze zbudowany. Z silnie zarysowaną szczęką, którą za każdym razem poruszał tak, jakby chciał komuś wpierdolić. Z aroganckim spojrzeniem mówiącym, że ma wszystkich i każdego z osobna w dupie. Że bez względu na to, jaka hierarchia panuje w tym burdelu i kto kogo powinien lizać po jajach, on jest sam sobie szefem.

Lubił go. Lubił to, co sobą przedstawiał. Widział w nim siebie sprzed lat.

To wrażenie towarzyszyło komendantowi Januszowi Dębcowi za każdym razem, kiedy widział Artura Waliszewskiego. Cieszył się, że ten dzieciak – bo dla niego trzydziestoparoletni policjant to dzieciak – zwracał się ze swoimi problemami bezpośrednio do niego. Doceniał to. Podobało mu się, że robił to tak bezczelnie: pomijając pośredników, nie umawiając się mailowo na audiencję, nie wyczekując, aż komendant łaskawie okaże mu zainteresowanie, tylko ładując się z buciorami do jego gabinetu.

Sam też tak robił. To jeden z powodów, dla których zaszedł tak daleko.

– Artur, zgadza się? – Komendant wstał zza biurka i uściśnął dłoń policjanta.
– Jeśli mnie pamięć nie myli, ostatnim razem zarzuciłeś mi na korytarzu, że pozwalam prokuratorowi Wardze włączyć sobie na łeb.

Artur kornie pokiwał głową.

– Myliłem się – odparł.

– Skąd wiesz, że się myliłeś?

– Bo żeby ta układanka miała sens, jednym z jej elementów powinien być Bartosz Adamski. A on najwyraźniej ma z prokuratorem nie po drodze. Zresztą nie tylko z nim.

– Przyszedłeś tu, żeby się poskarżyć na szefa?

– Nie. Przyszedłem przeprosić. – Spojrzał Dębcowi w oczy. – Myliłem się co do pana i prokuratora Wargi. Choć nadal uważam, że ściągnięcie Adamskiego było błędem.

Dębiec się roześmiał. Kiedy się opanował, postukał palcami w blat, patrząc na swoją karykaturę przymocowaną do ściany.

– Nie jest łatwo przyznać się do błędu – powiedział. – Ale trzeba mieć jaja ze stali, żeby przyznając się do błędu, jednocześnie dalej stawiać na swoim. To oznacza, że albo jesteś upartym głupkiem, albo masz rację, podczas gdy wszyscy wokół ciebie się mylą. – Rzucił Arturowi drwiące spojrzenie. – Ale ty nie wyglądasz na głupka. Czym ci podpadł Adamski?

Artur zacisnął usta.

– Nie chciałbym wyjść na gościa, który donosi na przełożonego.

– *Come on!* – Dębiec machnął ręką. – Skoro już tu przylazłeś, powiedz coś, co mnie zainteresuje.

Artur długo zbierał się w sobie, zanim w końcu się odezwał.

– On i Witold Ptak doszli do wniosku, że trzeba się jeszcze raz przyjrzeć zabójstwu Martyny Bułeckiej. Że skoro od tego wszystko się zaczęło, to tylko w ten sposób jesteśmy w stanie się dowiedzieć, gdzie jest Kostka.

Dębiec nie wyglądał na zaskoczonego.

– Niech zgadnę: kazali ci przekopać się przez tony dokumentów, które znasz na pamięć, a ty uważasz, że to do niczego nie prowadzi.

– Moim zdaniem zupełnie stracili kontrolę nad śledztwem. Wzajemnie wywierają na siebie zły wpływ.

– Co sugerujesz?

– Nic. Po prostu stwierdzam, że mamy problem. I nie chodzi o to, że zepchnęli mnie na boczny tor.

– Na pewno?

– Wspomniałem o tym tylko dlatego, żeby komendant potraktował mnie poważnie.

Dębiec przyglądał się Arturowi, wystukując palcami regularny rytm. W końcu oderwał od niego wzrok i odchylił się na oparcie fotela.

– Rzeczywiście, grzebanie w sprawie Bułeckiej, podczas gdy wiemy, kim jest morderca, wydaje się dziwne. Ptaka dobrze nie znam, ale Adamski nie jest idiotą. Nie zrobiłby czegoś tak głupiego, nie mając w tym jakiegoś ukrytego celu. Domyślasz się, o co może mu chodzić?

Artur pokręcił głową.

– Podzielili nasz wydział na podgrupy zadaniowe, jakbyśmy mieli wystartować w jakichś pieprzonych wyścigach.

– Na pewno zrobił to po coś. Trzeba tylko ustalić, co chce osiągnąć. – Dębiec na moment zastopował stukot. – Zajmiesz się tym?

Artur wydawał się zaskoczony pytaniem. Ale po chwili wahania pokiwał głową.

– Tylko bądź dyskretny – powiedział komendant. – Zaufałem Adamskiemu, wierząc, że jest facetem, który może odbudować wydział po swoim nieudolnym poprzedniku. I nadal uważam, że jest to możliwe.

– Chciałbym się mylić, komendancie.

Dębiec wstał i wyciągnął rękę.

– Dobrze, że przyszedłeś z tym do mnie. Lepiej okazywać lojalność mundurowi niż ludziom, którzy w nim błędzą.

– Dziękuję.

Artur uścisnął dłoń przełożonego i posłał mu nikły uśmiech. Zanim ruszył do wyjścia, wycelował palcem w stojącą na biurku ramkę ze zdjęciem.

– To pańska żona? – zapytał.

– Od ponad trzydziestu lat.

– Gratuluję. Ja jestem żonaty od dwunastu. I codziennie się zastanawiam, jak mi się udało tak długo pociągnąć.

Dębiec zaśmiał się nerwowo, zerkając na wibrujący na stole telefon. Przyciągnął go do siebie i wygasił wyświetlacz.

– Macie dzieci? – zapytał.

– Dwie córki. A pan?

Dębiec ciężko westchnął.

– Nie chcieliśmy mieć dzieci. Robiłem karierę i często wyjeżdżałem w sprawach służbowych, więc wiedziałem, że w najlepszym wypadku mogę być ojcem na pół etatu. Wiele lat temu uznaliśmy, że wyrządzilibyśmy dziecku krzywdę, skazując je na życie z jednym rodzicem.

– Brzmi to bardzo... dojrzałe.

– Nie była to łatwa decyzja. Dobrze ją przemyśleliśmy.

– Co się potem stało? Zmienili państwo zdanie?

Dębiec potrząsnął głową.

– Nie wszystko wychodzi tak, jak to sobie człowiek zaplanuje. – Komendant ponownie zapatrzył się w karykaturę. – Ale niczego nie żałuję. Marcelina to najlepsza rzecz, jaka mnie w życiu spotkała. To moje największe szczęście.

– *Rise and shine!*⁸

Kawęcki poklepał Wargę po policzkach, najpierw przerywając jego ciężkie chrapanie, a następnie wybudzając go ze snu. Usiadł naprzeciwko prokuratora na plastikowym krześle, założył nogę na nogę i zapalił papierosa. Zaciągnął się parokrotnie, patrząc na zaróżowioną gębę więźnia, który wolno dochodził do siebie.

– Wiesz, gdzie jesteśmy? – zapytał, a Wargę niepewnie pokręcił głową. – To jeden z garaży Seweryna. Kiedy znaleźliśmy to miejsce, było zupełnie puste. Żadnych mebli, słoików, narzędzi, samochodów. Pomieszczenie zostało starannie wysprzątane. Nie znaleźliśmy odcisków palców. Ani Seweryna, ani ofiar, które tu prawdopodobnie przetrzymywał.

– Dlaczego mi o tym mówisz? – zapytał zachrypniętym głosem Wargę.

Rozglądając się po nagich ścianach, Kawęcki leniwie zaciągnął się papierosem.

– Zupełnie nie kręci mnie uganianie się za ludźmi twojego pokroju – powiedział, posyłając prokuratorowi lekceważący uśmiech. – Skorumpowany urzędnik państwowy, który zrobił karierę na plecach zwyrodniałego kolegi po fachu. Postępujący tak, jak na jego miejscu zapewne postąpiłoby dziewięćdziesiąt procent ludzi. W uganianiu się za kimś takim nie ma nic seksownego. Mało w tym psychologii. Nie muszę wgryzać się w twój umysł, żeby zrozumieć motywacje i pragnienia. Wystarczy na ciebie popatrzeć. – Wycelował w niego palcem. – Gdybym był poniżanym przez rówieśników grubasem, pewnie też bym się zadowolił wysokim statusem społecznym. Bez względu na to, w jaki sposób miałbym go osiągnąć. – Strzepnął popiół na podłogę i pokręcił głową. – To, że dowiedzieliśmy się o tobie i Pszoniaku, można uznać za wypadek przy pracy. Szukając Seweryna, natknęliśmy się na trop, który doprowadził nas do ciebie i tego zbrojnego. Ptak i Adamski żywo interesują się tym, co z tego wyniknie. Mają nadzieję, że ktoś beknie za te libertyńskie popisy. Ale mnie to gównem obchodzi. Przestałem się tym

interesować w momencie, w którym się okazało, że żaden z was nie jest zabójcą tych kobiet.

– To czego ode mnie chcesz?

– Seweryna. – Kawęcki uśmiechnął się do prokuratora. – Dobrze doprawionego i podanego na srebrnej paterze.

– Nie mam pojęcia, gdzie on jest. Nie kontaktowałem się z nim od miesiący.

– Któregoś pięknego dnia zostałeś jego współnikiem. Przez kilka lat pomagałeś mu popełniać i tuszować zbrodnie. Zdejmowałeś z niego odpowiedzialność. Poznałeś go.

Warga pokręcił głową.

– Nie poznałem. Dopóki nie trafiliście na jego trop, nawet nie wiedziałem, jak się naprawdę nazywa. Kurwa, nawet nie wiedziałem, jak on wygląda. Na spotkania zawsze przychodził w przebraniu.

– To bez znaczenia. I tak jesteś jedyną znaną nam osobą, której udało się do niego zbliżyć. Do prawdziwego Sewerynka. Zbłąkanego dzieciaka, który uwierzył w jakieś religijne bzdety i wyciągnął z nich fatalne wnioski.

– Nie mam pojęcia, kim on jest. A tym bardziej jak go złapać.

Kawęcki sięgnął do tyłu. Wyjął zza paska pistolet.

– Tak czy inaczej, wyruszysz ze mną na łowy.

– Na co?

Kawęcki odłożył pistolet na plastikowe siedzenie i sięgnął do stojącej pod krzesłem torby, która dopiero teraz zwróciła uwagę Wargi. Włożył rękę do środka i po chwili grzebania wyciągnął notebooka. Uruchomił go. Wpiął do niego małeńki czarny modem z internetem mobilnym. Z gotowym do pracy sprzętem podszedł do Wargi i położył mu komputer na kolanach. Potem rozpiął kajdanki.

– Zabawimy się – powiedział, wracając na swoje miejsce.

Warga, kompletnie zdezorientowany, zerkał to na Kawęckiego, to na sielankową tapetę w komputerze. Czuł potworny dysonans.

– Co mam zrobić? – zapytał.

– Co chcesz. Możesz napisać do któregoś ze swoich kumpli w prokuraturze, że były policjant przetrzymuje cię w garażu Kostki. Możesz wysłać wiadomość jakiemuś skorumpowanemu psu, z którym współpracujesz. Możesz pograć w sapera, postawić pasjansa albo przejrzeć newsy. Ale możesz też o kilka dni przedłużyć urlop, tłumacząc asystentce, że twój niespodziewany wyjazd potrwa dłużej, niż sądziłeś. Wybór należy do ciebie. – Kawęcki uniósł pistolet, odbezpieczył go i wycelował w Wargę. – A ja spróbuję odgadnąć, jaką podjąłeś decyzję.

Odkładając słuchawkę, Zbigniew Halbert uśmiechnął się w duchu. Najwyższy czas, pomyślał. Podniósł się zza biurka i ruszył do drzwi. Zatrzymał się przed wejściem do gabinetu i spojrzał w zamocowane na bocznej ścianie lustro. Wyglądził kilka kosmyków odstających z jego starannie ułożonej fryzury i rozpiął najwyżej położony guzik białej koszuli, odsłaniając kępkę posiwiałych włosów na kłacie.

Przywołując na twarz udawany uśmiech, zupełnie niepasujący do jego dostojnej aparycji, zastanawiał się, dlaczego każdy człowiek chce, żeby wszyscy pragnęli go zerznąć. Skąd bierze się ta stała, niezmiennie silna i wszechobecna potrzeba seksualnej adoracji. Dlaczego tak bardzo zabiegamy o to, żeby inni pragnęli nas wyruchać – choćby wzrokiem, na odległość albo w najbardziej skrytych wyobrażeniach. Bez względu na to, czy jesteśmy na konferencji ludzi biznesu, czy szwendamy się po galerii handlowej. Bez względu na to, czy jesteśmy w związku, czy sami. Bez względu na okoliczności. W każdym z nas musi tkwić jakieś perwersyjne dziwactwo, skoro chcemy podniecać nawet swoich największych wrogów.

– Czekałem na ciebie – powiedział, witając w progu Jakuba Możejkę. – Sądziłem, że przyjdiesz wcześniej, zaraz po naszym... nieporozumieniu. Że będziesz chciał się wytłumaczyć i oczyścić atmosferę.

Zdobył się na kolejny sztuczny uśmiech i wskazał przybyszowi krzesło. Możejko po długim wahaniu zdecydował się usiąść.

– Nie uważam, żebym musiał się z czegoś spowiadać – powiedział. – To raczej ty powinieneś wyjaśnić, dlaczego dwaj goryle czyhali pod moim domem.

Możesz rzucić Halbertowi wyzywające spojrzenie.

– To był środek zapobiegawczy.

– Śledzenie moich rodziców, nękanie znajomych i wypytywanie dilerów też były środkami zapobiegawczymi?

– Każdy stosuje takie środki, na jakie pozwalają mu środki. – Halbert się uśmiechnął, zadowolony ze swojej gry słownej. – Byłem na ciebie wściekły. W pierwszym odruchu rzeczywiście chciałem zrobić coś nieprzyjemnego. Ale potem uznałem, że złożę ci propozycję. Stricte biznesową.

– To znaczy?

– Wtedy brzmiała tak: dwieście pięćdziesiąt tysięcy złotych w zamian za dyskrecję. Ćwierć miliona za niewspominanie o tym, co widziałeś na spotkaniu w willi. Za wyrzucenie z pamięci, że kiedykolwiek w czymś takim uczestniczyłeś. Ale teraz – Halbert przejechał dłońmi po biurku – na stole nie ma już żadnej oferty. Czas minął. Mogłeś dostać więcej, niż w ciągu kilku lat zarobisz na swojej działalności pisarskiej, ale wolałeś kombinować. Dzisiaj nie mam dla ciebie żadnej propozycji.

– Nie szkodzi – odparł Możejko. – Tym razem to ja chciałbym ci zaproponować układ.

Podniósł z podłogi brązową aktówkę. Otworzył ją i wyjął gruby plik spiętych zszywaczem kartek formatu A4. Położył go na biurku i przesunął w stronę Halberta. Biznesmen zerknął na pierwszą stronę, na której widniało nazwisko Możejki oraz nagłówek: *WRZASK*. Następnie otworzył plik w przypadkowym miejscu i przeczytał kilka losowo wybranych zdań.

– To zarys książki o zabójstwie Martyny Bułeckiej – wyjaśnił Możejko. – Początkowo miała być dla mnie formą autoterapii. Ale im głębiej wgryzałem się w temat, tym mocniej przekształcała się w reportaż śledczy. I w coraz mniejszym stopniu dotyczyła Martyny. A kiedy w końcu trafiłem na twój trop, zrozumiałem, że nie będzie to tekst o śledztwie w sprawie zabójstwa, tylko o pedofilii

i korupcji. Oraz kaście zdemoralizowanych facetów, którym się wydaje, że są bogami.

Halbert zmroził Możejke wzrokiem.

– Nikt by ci tego nie wydał – powiedział. – Założę się, że nie zgromadziłeś dość dobrej dokumentacji, żeby nie narazić się na proces. Studiowałem prawo, więc wiem, jaki materiał dowodowy jest potrzebny, żeby coś takiego przeszło.

– Prędzej czy później znalazłby się ktoś odważny. A jeśli nie, mógłbym się zdecydować na self-publishing. Poza tym wiem, że studiowałeś prawo. Od osiemdziesiątego pierwszego do osiemdziesiątego czwartego roku na Uniwersytecie Łódzkim. Byłeś trójkowiczem, który nie miał większych szans na spektakularną karierę prawniczą. Dlatego rzuciłeś studia i zacząłeś kombinować, jak się dorobić.

Możejko zagadkowo uśmiechnął się do Halberta, który połykał kolejne fragmenty tekstu.

– Na czym ten układ miałby polegać? – zapytał biznesmen.

– Udało wam się wyeliminować Alicję, więc zostałem waszym jedynym zagrożeniem. Nikt oprócz mnie nie wie, że pracowałem nad książką. Nikt nie ma pojęcia, do jakich wniosków udało mi się dojść. W dodatku to, co leży przed tobą, to jedna z dwóch kopii tekstu. Druga jest tutaj. – Możejko wyciągnął z kieszeni pendrive. Położył go na biurku. – Układ jest taki: ty otrzymujesz gwarancję, że tekst nie zostanie opublikowany, a ja mam zapewniony święty spokój.

Halbert zerknął na Możejke znad pliku kartek.

– Już nie jesteś idealistą?

– Czasem dopiero z pistoletem przystawionym do skroni możesz poznać prawdę o sobie. W ciągu ostatnich tygodni dowiedziałem się, że jestem facetem, który lubi zasypiać we własnym mieszkaniu. Bez lęku, że już się nie obudzi.

Halbert odłożył papiery na biurko. Myślał.

– Już raz mnie oszukałeś. Dlaczego miałbym ci zaufać?

Możejko nerwowo poruszył się na krześle.

– Kiedyś stwierdziłeś, że grasz wyłącznie w otwarte karty. A ja właśnie wyłożyłem przed tobą całą talię.

Biznesmen intensywnie przyglądał się Możejce. Wyczytał z jego twarzy strach, usilnie tuszowany dobrze przemyślanym planem i sztucznie pompowaną butą. Dostrzegł na niej wstręt do siebie. A przede wszystkim zmęczenie. Przepotworne zmęczenie.

Uśmiechnął się. Nawet jeśli Możejko zamierzał go wykiwać, był zbyt słaby, żeby mu się to udało.

– Czuję, że popełniam błąd – stwierdził Halbert. – Ale masz w sobie urok, któremu nie potrafię się oprzeć. – Postukał dłonią w blat biurka. – Chciałbyś jakoś uczcić naszą umowę?

Możejko zmarszczył brwi.

– Co masz na myśli?

Halbert otworzył kluczem jedną z szuflad. Zanurkował do środka, otworzył maleńkie pudełko i wyjął z niego tytkę z białym proszkiem.

– Sporo nas dzieli. Ale przynajmniej mamy kilka wspólnych zainteresowań.

– Opowiedz, jak to wyglądało – nakazał Kawęcki. – Krok po kroku.

Warga zerknął na tego wymizerowanego faceta, który stał między dwoma drzewami na skraju szerokiej polany w Lesie Łagiewnickim – w miejscu, w którym kilka miesięcy wcześniej znaleziono zwłoki Magdy Giętkiej. Były policjant, z papierosem zwisającym z ust, spoglądał w górę, jakby spodziewał się tam dostrzec niewidzialny ślad pozostawiony przez ciało swojej dawnej partnerki.

– Zadzwoił do mnie około północy – zaczął Warga. – Stwierdził, że mam mu pomóc. Począł, aż wezmę coś do pisania, i wolno podyktował współrzędne geograficzne. Zawsze tak robił. Jakby był jakimś pieprzonym kartografem.

– Nie wiedziałeś, dlaczego cię wezwał?

– Nie. To była pierwsza taka sytuacja. Wcześniej chciał jedynie, żebym zacierał po nim ślady i dostarczał mu informacje. Zresztą i tak nie robiłem tego

często, zwykle doskonale radził sobie sam. – Warga podążył za wzrokiem Kawęckiego. – On jest jak duch. Wielki, niewiarygodnie zwinny duch. Potrafi dostać się w każde miejsce zupełnie niezauważony. A nawet jeśli popełnił jakiś błąd...

– ...to miał ciebie, swojego Sancho Panse – wszedł mu w słowo Kawęcki. – Od razu pojechałeś na miejsce?

– Byłem tam mniej więcej pół godziny po północy. Zaparkowałem w miejscu, w którym kończył się asfalt, tam gdzie kilka godzin później stał sznur samochodów policyjnych. Ruszyłem w głąb lasu. Kiedy doszedłem na miejsce, wszystko już było przygotowane.

– Co znaczy „wszystko”?

– Siekiera, drabina, kombinezony ochronne. Magda. Ona też była przygotowana do rytuału. Seweryn nafaszerował ją jakimiś farmaceutykami. Leżała na ziemi. Z otwartymi oczami. Była martwa.

– Sprawdziłeś to?

Warga kiwnął głową.

– Seweryn się wściekł. Powiedział, że jeśli jeszcze raz jej dotknę bez jego pozwolenia, to odrąbie mi rękę.

– Jak ją określił?

– Co?

– Kogo – poprawił go Kawęcki. – Magdę. Jak o niej mówił? Używając jej imienia?

Warga potrząsnął głową.

– Nie pamiętam – odparł łamiącym się głosem. – Chyba nazywał ją Magdaleną.

Kawęcki po raz pierwszy zerknął na prokuratora. Odziany w przymałe ciuchy, z kolorową kurtką ledwo zakrywającą pępek i obandażowanymi stopami wciśniętymi w klapki przypominał żalostną postać z kreskówki dla dorosłych.

– Pomogłeś mu powiesić ciało?

– Kazał mi wejść na drabinę i przywiązać sznur do gałęzi. On wlaź z drugiej strony. Z Magdą na ramieniu. To kawał chłopca, ale nie przypuszczałem, że może mieć aż tyle pary.

– Weszliście na drabinę i co dalej?

– Kazał mi ją przywiązać. Najpierw do jednej, a potem do drugiej gałęzi. Za rękę i za nogi. Wyglądała jak kawałek mięcha zawieszony nad ogniskiem.

– Co potem?

Warga spojrział na Kawęckiego, który nadal hipnotycznie wpatrywał się między gałęzie, wizualizując przebieg wypadków.

– Posiekał ją. Rozciął siekierą na pół. A później zmasakrował jej twarz młotkiem, żeby utrudnić identyfikację. – Prokurator zaszlochał. – Kazał mi pozbierać jej zęby z ziemi.

Kawęcki ponownie spojrział na Wargę. Albo grubas był świetnym aktorem, albo szczerze zdewastowały go te wspomnienia.

– Przekopaliście ziemię pod jej ciałem. Po co?

– Seweryn się bał, że będziecie mogli znaleźć tam jakieś ślady biologiczne. Kazał mi zebrać wierzchnią warstwę ziemi, wsypać ją do worka i wywieźć w pizdu.

Kawęcki spojrział na glebę.

– Czy on rzeczywiście ma takie małe stopy?

– Nie rozumiem.

– Na miejscu zbrodni znaleźliśmy odciski butów w rozmiarach czterdzieści jeden i czterdzieści dwa. – Kawęcki wycelował palcem w zabandażowane stopy Wargi. – Facet jest od ciebie wyższy o głowę i nosi mniejsze buty?

– Coś jest nie tak z jego nogami. Lekko kuleje.

– Ludzie z małymi stopami nie kuleją.

– Nie wiem, kurwa, o co chodzi – zirytował się prokurator. – Widziałem go kilkanaście razy w życiu. I za każdym razem cholernie się bałem. Nie gapiłem się na jego stopy, tylko modliłem o to, żeby mnie nie zabił.

Kawęcki popatrzył na tłuściocha. Zupełnie beznamiętnie. Jak na rozhisteryzowane ścierwo, któremu pod żadnym pozorem nie powinno się współczuć.

– Co teraz? – spytał Warga.

– Wybierzemy się na wycieczkę. Odwiedzimy wszystkie miejsca, w których spotykałeś się z Kostką.

– Myślisz, że to coś da? Że znajdziesz tam jakieś ślady? – Prokurator pociągnął nosem. – Mówiłem ci, że ten facet jest jak duch. On nie popełnia błędów.

Kawęcki wyrzucił peta pod nogi i przydepnął go butem. Pokręcił głową.

– Każdy popełnia błędy. Nawet jeśli nikt ich nie zauważa.

Po rozmowie z Wiesławem Kellerem, urzędnikiem odpowiedzialnym za budynek, w którym spotykali się członkowie grupy Kanonicznych Proroków, Witold pojechał na Zachodnią. Zaparkował na chodniku, wysiadł z auta i rozejrzał się po okolicy. Zatrzymał się pomiędzy zespołem szarych budynków, niemal sąsiadujących z Piotrkowską, i popatrzył na niezgrabne graffiti namalowane na odrapanych murach. Esencja miasta, pomyślał, kiedy się zorientował, że w to śródmiejskie zagłębienie obskurności udało się wcisnąć klinikę weterynaryjną, hostel, lombard, a nawet małe stragan.

Wszedł do klatki schodowej jednego z budynków i wdrapał się na drugie piętro. Spojrzał na zegarek. Dziewięta piętnaście. Jeśli Keller nie ściemniał, od kwadransa katolickie świry powinny się modlić, czytać, obradować czy co tam one wyczyniają. A kolejny świr – poważny policjant uczestniczący w zupełnie niepoważnym porwaniu prokuratora – za moment miał popsuć im zabawę.

Stojąc przed sfatygowanymi białymi drzwiami przypominającymi wrota do szkolnego kibla, Witold pokręcił głową.

– Co ja odpierdalam? – zapytał szeptem sam siebie.

Nie wiedział, czy powinni nękać ludzi, którzy być może byli tylko nieco nadgorliwymi katolikami. Nie sądził, że porwanie Wargi, samo w sobie wydające się poronionym pomysłem, pomoże im złapać Kostkę. Nie miał

natomiast wątpliwości, że wielkim błędem było oddanie prokuratora w ręce Kawęckiego. Czuł się przez to jak nierokujący pensjonariusz psychiatryka. Jak facet snujący się nago po korytarzu pełnym wariatów, uzbrojony jedynie w idiotyczny plan.

Ale na jego zmianę było już za późno.

Zapukał i pociągnął za kłamkę.

Nie miał pojęcia, czego powinien się spodziewać. Mimo to zaskoczył go widok około dwudziestu osób – młodych, w średnim wieku, starych – siedzących na ustawionych w koło prostych drewnianych krzesłach. W milczeniu, niemal w bezruchu, jakby zbyt głośne oddychanie było grzechem, wertowali jakieś kolorowe książeczki.

Kiedy Witold oswoił się z sytuacją, przebiegł wzrokiem po twarzach zgromadzonych.

– Chcesz dołączyć? – spytała jedna z kobiet, posyłając mu życzliwy uśmiech.

Witold przyglądał się jej przez chwilę, po czym potrząsnął głową. Wyciągnął z kieszeni legitymację policyjną.

– Nadkomisarz Witold Ptak – przedstawił się. – Przepraszam, że przerywam. Poszukuję pewnej osoby, która należała lub wciąż należy do państwa... organizacji.

Ponownie zanurkował do kieszeni. Miał już wyciągnąć zdjęcie Janiny Majewskiej i puścić je w obieg, kiedy usłyszał szurnięcie krzesłem. Uniósł wzrok i zobaczył mężczyznę w bluzie z kapturem, który zerwał się z miejsca i popędził na drugi koniec pomieszczenia. Otworzył okno i wdrapał się na parapet. Wyskoczył, nim Witold w jakikolwiek sposób zdążył zainterweniować.

Po sali rozszedł się trwożliwy jęk. Witold podbiegł do okna i zerknął w dół. Mężczyzna nie ustał skoku. Po wylądowaniu poleciał do przodu, w stronę jednego z dwóch samochodów zaparkowanych na betonowym podwórku. Wył z bólu, trzymając się za nogę. Ale kiedy zerknął w górę i zobaczył w oknie policjanta, zerwał się do ucieczki.

Witold błyskawicznie wystrzelił z sali i zbiegł po schodach. Otworzył drzwi na zewnątrz, jakby chciał je wywarzyć. Wydobył broń i ruszył w pogoń za uciekinierem.

Ta jednak nie trwała długo.

Nieznajomy nie zwał daleko. Zdołał się wydostać za bramę i przekuśtykać przez ulicę, ale utknął na przecinającym jezdnię torowisku tramwajowym. Nie był w stanie pokonać mniej więcej metrowej barierki.

Kiedy Witold do niego dobiegł, zrozumiał dlaczego. Dżinsy uciekiniera były rozdarte na wysokości piszczeli. Z nieregularnego otworu wystawała zakrwawiona kość.

– Pojechało cię?! – warknął Witold, celując do faceta z pistoletu. – Skakać z sześciu metrów na beton? Chciałeś się zabić?

Krótko ostrzyżony mężczyzna, mający zapewne niewiele ponad trzydzieści lat, nie zareagował na serię pytań. Z jego wykrzywionych w bólu ust wydobywał się wyłącznie wrzask.

Witold rozejrzał się dookoła. Ścigany i ścigający skupili na sobie uwagę przechodniów, pasażerów czekających na autobus na pobliskim przystanku, kierowców, a nawet motorniczego, który zatrzymał tramwaj kilka metrów przed nimi. Czując na sobie dziesiątki zdziwionych spojrzeń, Witold schował broń do kabury.

– Dlaczego spierdalałeś? – zapytał.

Mężczyzna nie był w stanie odpowiedzieć. Wył z bólu, gapiąc się na wystającą ze spodni kość.

– Gadaj! – wrzasnął Witold. – Im szybciej to wyjaśnisz, tym prędzej trafisz do szpitala.

– Przez drągi – jęknął facet, nie mogąc oderwać wzroku od swojego koszmarnego urazu.

– Przez co?

Mężczyzna poklepał kieszeń bluzy.

– Jeśli coś kombinujesz, zastrzelę cię jak psa – zagroził Witold, wymownie kładąc dłoń na kaburze.

Pochylił się nad facetem. Włożył rękę do wskazanej przez niego kieszeni. Wyjął niewielkie zawiniątko w chusteczce. Rozwinął je. Popatrzył na zawartość. A potem z niedowierzaniem zerknął na faceta.

– Wskoczyłeś przez okno, bo miałeś przy sobie gram palenia?

Facet pokiwał głową.

Witold się wyprostował i ponownie rozejrzał wokół. Ruch uliczny całkowicie ustał. W ciągu paru chwil zebrało się wokół nich kilkudziesięciu gapiów. Jedni modlili się na głos. Inni dokumentowali telefonami szaleństwo, do jakiego tam doszło. A jeszcze inni mieli po prostu niezły ubaw.

– Kurwa mać! – zaklął Witold.

Czuł, że ktoś zarzucił mu pętlę na szyję. I z każdą sekundą zaciskał ją coraz mocniej.

Pałac papierosa, Kawęcki po raz kolejny toczył walkę z porannymi mdłościami. Z łokciami opartymi na kolanach siedział w dużym pokoju i spoglądał w kierunku swojego posłania: rozłożonej pod drzwiami wejściowymi karimaty, przy której trzymał laptopa, dwa telefony oraz pistolet. Warował tam całą noc w towarzystwie psa. Uznał, że to najlepszy sposób, aby odciąć Wargę od elektroniki i uniemożliwić mu wyjście z mieszkania. A właściwie był to jedyny pomysł, na jaki wpadł. Być może gdyby skonfrontował z kimś swój plan albo przeanalizował go na trzeźwo, doszedłby do wniosku, że to kompletny kretynizm. Ale na to nie było szans.

– Jak się kontaktowaliście? – zapytał.

Prokurator Warga siedział w rogu pokoju, jakby próbował zająć miejsce najbardziej oddalone od Kawęckiego. Gapiąc się na swoje zabandażowane stopy, popijał kawę i zastanawiał się, czy przy tak prostackiej opiece medycznej, zafundowanej przez zapijaczzonego ekspolicjanta, nie nabawi się sepsy albo innego świństwa.

– Dzwoniliśmy do siebie – powiedział Warga. – Używaliśmy kart prepaid.
– A po wejściu w życie ustawy antyterrorystycznej?
– Tak samo. Nawet nie wiesz, jak łatwo można kupić w sieci zarejestrowaną kartę SIM. Wystarczy kilka minut. Czasem korzystaliśmy także z bramek esemesowych. Żeby nie dać się namierzyć, Seweryn wysyłał wiadomości z kafejek internetowych.

– Myślałem, że one już nie istnieją.

– Kilka się ostało, a on korzystał chyba ze wszystkich. Seweryn jest cholernie ostrożny. Nigdy nie zadzwonił do mnie z prywatnego numeru. Prawdę mówiąc, nawet nie wiem, czy taki ma.

– Co byś zrobił, gdybyś chciał się z nim skontaktować?

– Nie mam pojęcia. Nigdy nie miałem takiej potrzeby.

– Zastanów się. Gdybyś chciał go przed czymś ostrzec, to w jaki sposób dałbyś mu znać?

Wolno siorbiąc kawę, Warga zastanawiał się nad pytaniem Kawęckiego.

– Wiem, że uważnie śledził strony internetowe policji i prokuratury. Znał nasze metody pracy, strukturę jednostek, nazwiska funkcjonariuszy. Moglibyśmy zamieścić na stronie Prokuratury Okręgowej komunikat, w którym byłaby jakaś wzmianka o mnie. Zorganizować spotkanie na uniwersytecie albo coś w tym stylu.

– Odpada.

– Dlaczego?

– Bo wtedy mógłbyś mi się wywinąć.

Kawęcki poderwał się z krzesła. Włożył rękę pod brudny T-shirt i masując obolały brzuch, zaczął się przechadzać po pokoju. Przy okazji wprawił w ruch głowę leżącego w prowizorycznym kojcu buldoga, który leniwym wzrokiem podążał za swoim panem.

– Odwiedziliśmy wczoraj osiem miejsc twoich spotkań z Wargą – powiedział Kawęcki. – W niektórych widywaliście się parokrotnie. Są to odludne, ukryte przed cywilizacją lokalizacje, najczęściej usytuowane na obrzeżach miasta.

Parkingi, porzucone place budowy, opuszczone budynki, tereny leśne. Dostrzegasz jakiś wzór?

Warga pokręcił głową.

– Spotykaliśmy się na terenie całego miasta i poza nim. Po prostu wybierał miejsca, w których nikt nie mógł go zobaczyć.

– Gdzie się czuł najbardziej swobodnie?

Warga zamyślił się na moment.

– Chyba w lesie pod Łodzią, niedaleko Kuluszek. Spotkaliśmy się tam niedługo po tym, jak odkryliście zwłoki Henryki Świst. Było kompletnie ciemno, a on poruszał się po lesie jak kot. Niemal bezszelestnie. Jakby znał to miejsce na pamięć.

Kawęcki ponownie usiadł. Zapatrzył się w buldoga, który przewrócił się na plecy, wydał z siebie kilka chrapliwych odgłosów i zasnął.

– Kto jest twoim kretem w policji?

– Nie mam informatora.

– Adamski twierdzi coś innego – upierał się Kawęcki.

– To bałaganiarz. Wszędzie zostawia dokumenty. Wystarczy trochę się pokręcić obok niego, żeby zdobyć każdą informację.

Kawęcki posłał Wardze badawcze spojrzenie. Nie wierzył w ani jedno jego słowo.

– Coś jeszcze? – spytał grubas.

– Maja Zielińska. Zgwałciłeś ją?

Warga zaprzeczył.

– Nie kłamałem, mówiąc, że omyłkowo wzięła mnie za sprawcę, kiedy odwiedziłem ją w szpitalu. Gdy dwa lata później spotkaliśmy się na sali rozpraw, umysł wyciął jej nieprzyjemny numer.

– Zdziwiający przypadek.

– To nie przypadek. – Warga zerknął na Kawęckiego. – Ktoś bardzo wpływowy chciał, żebym zajął się sprawą Zielińskiej. Ktoś, komu nie jesteście w stanie nic zrobić.

– Zbigniew Halbert?

Warga nie potwierdził przypuszczeń Kawęckiego. Nie musiał.

– Słyszałem, że ma w kieszeni całe miasto.

– Dobrze słyszałeś – przyznał prokurator.

– Słyszałem też, że jest gejem, więc nie mógł zgwałcić Zielińskiej.

– Nikt nie twierdzi, że to zrobił. Ale najwyraźniej zależało mu na tym, żeby sprawca nie został ukarany.

– Ty wiesz, kto to zrobił.

To nie było pytanie, mimo to Warga pokręcił głową. Chwilę później uciekł przed hipnotycznym wzrokiem Kawęckiego.

– Jak długo zamierzasz to ciągnąć? – zapytał, wpatrując się w poszarzałą od dymu ścianę.

– Co?

Prokurator szeroko rozłożył ręce.

– To. Porwanie.

– Nie traktuję tego w takiej kategorii.

– A w jakiej?

– Zadośćuczynienia i naprawiania błędów. W końcu po raz pierwszy od czasu zabójstwa Bułeckiej prokurator odpowiedzialny za tę sprawę zaangażował się w śledztwo. – Kawęcki zgasił peta w popielniczce. Następnie zerknął do pustej paczki i zaklął pod nosem. – Potrwa to tyle, ile będzie trzeba. Czyli aż złapiemy Kostkę.

– A co potem?

Kawęcki posłał Wardze enigmatyczny uśmiech.

– Nie wiem, czy będzie jakieś „potem”.

Mariusz Ryter spojrzał na drugą stronę kortu tenisowego. Jego przeciwnik, młody bankier inwestycyjny, którego imienia nie mógł zapamiętać, szykował się do odbioru serwisu na stronie przewagi. Stanął tuż przed końcową linią, wbijając lewą stopą w połowę korytarza deblowego. Ryter uśmiechnął się pod nosem.

Imbecyl, pomyślał. Facet jak ognia unika gry bekhemem, a jednocześnie nie daje sobie czasu, aby go obieć. I właśnie dlatego przegrywa. Przez głupotę i niekonsekwencję. Przez elementarne błędy taktyczne, które powodują, że ten potężny forhend może sobie wsadzić w dupę.

Ryter posłał serwis do zewnątrz, co przy tak ustawionym rywalu oznaczało zagranie na ciało, i ruszył do siatki. Bankier pokracznie zareturnował sprzed siebie, do samego końca nie mogąc się zdecydować, którą stroną rakietki powinien uderzyć. Piłka wolno i wysoko przeleciała nad siatką, dzięki czemu w kolejnym zagranu Ryter mógł ją swobodnie skierować forhendowym wolejem po przekątnej. Bankier dynamicznie wystartował do piłki, ale był bez szans. Mógł jedynie wściekle zakląć pod nosem.

Kretyn.

Przed kolejnym punktem Ryter ponownie zerknął na drugą stronę siatki. Znow to samo: przeciwnik ustawił się bliżej osi kortu, żeby zwiększyć szansę na zagranie returnu forhendem. Ryter mógł uzyskać przewagę bez względu na to, czy zaserwowałby płasko do środka, czy ostrym slajsem do zewnątrz. Łatwizna.

Ale kiedy kątem oka zobaczył faceta, który pojawił się przy wejściu na kort, przestało go interesować bezmyślne ustawienie rywala.

– Zróbmy krótką przerwę – powiedział.

– Teraz? Żartujesz? – obruszył się bankier. – Przy pięć do pięciu i po trzydziści?

Czekał na wyjaśnienia, ale Ryter nie zamierzał go nimi uraczyć. Zszedł z kortu i wsunął rakietę do podłużnej torby tenisowej. Pociągnął kilka łyków wody, włożył cienką rozpinaną bluzę, zarzucił ręcznik na szyję i ruszył w kierunku przybysza – człowieka w czerwonych spodniach i sztruksowej marynarce, z włosami ostrzyżonymi na jeża, nieco mętym wzrokiem i ze zdeformowaną lewą dłonią.

– Nigdy nie rozumiałem, dlaczego tenis nazywany jest białym sportem – powiedział Roman Basznikow. – Przecież każdy gracz po paru minutach wygląda tak, jakby nie mógł poradzić sobie z ciotą.

Ryter zerknął na unurzane w mączce ceglanej buty. Westchnął.

– Przejdźmy się – powiedział.

W milczeniu wyszli poza teren klubu tenisowego, który udało się wbudować między park Baden-Powella a ulicę Niciarnianą. Minęli kompleks niewysokich budynków oraz parking. Weszli na zielone klepisko, które przecinało kilka ścieżek wydeptanych przez ludzi łąjących na skróty. Zatrzymali się na środku odsłoniętej przestrzeni, smagani zimnym wczesnojesiennym wiatrem, przez który musieli mrużyć oczy.

– Dlaczego chciałeś się spotkać? – zapytał Roman.

Ryter przyglądał mu się przez chwilę, po czym parsknął śmiechem.

– Naprawdę chcesz to w ten sposób rozgrywać? Zamierzasz udawać, że nie masz nic wspólnego z włamaniem do mojego magazynu? Z podbieraniem moich klientów? Z napaścią na mojego człowieka?

– Działamy w różnych branżach. Dlaczego miałbym robić ci koło pióra?

– Ponieważ z jakiegoś powodu postanowiłeś się przebranżowić.

Roman zaśmiał się chrapliwie.

– Najwyraźniej wiesz o moim biznesie więcej ode mnie.

– Wiem tyle, ile powinienem wiedzieć – burknął Ryter. – Właściwie nie mam z tym problemu. Rynek jest pojemny, starczy na nim miejsca dla nas dwóch. Nie ma żadnych przeszkód, żebyśmy współlistnieli. Ba, możemy nawet wzajemnie napędzać swoje organizacje. Tak jak w tenisie. – Wycelował kciukiem za siebie. – Nie rozegrasz wybitnego meczu, jeżeli nie zmotywuje cię do tego przeciwnik. Jeżeli po drugiej stronie kortu nie stanie ktoś równie utalentowany.

– Do czego zmierzasz? – przerwał mu Roman.

– Żeby rozgrywać wybitne mecze, gracze muszą darzyć się respektem. W branży, do której wszedłeś, okazuje się go poprzez szanowanie cudzej własności.

– Nie lubię być oskarżany o coś, czego nie zrobiłem.

Ryter przeszył Romana lodowatym wzrokiem.

– „Nigdy do niczego się nie przyznawaj. Złapią cię pijanego w samochodzie, to mów, że nie piłeś. Znajdą ci dolary w kieszeni, mów, że to pożyczone spodnie. A jak cię złapią na kradzieży za rękę, mów, że to nie twoja ręka”. Wiesz, z jakiego to filmu?

Roman pokręcił głową.

– No tak. Pochodzisz z Gruzji. Przyjechałeś do nas zbyt późno, żeby załapać się na falę popularności *Młodych wilków*. I za bardzo się od nas różnisz, żeby ją zrozumieć. – Ryter wzruszył ramionami. – Być może nie pasujesz tu do tego stopnia, że już niedługo stąd znikniesz.

Roman zrobił krok w stronę Rytera. Patrzył na niego tak, jakby chciał wyrzucić mu krzywdę. Jakby niczego bardziej nie pragnął. Ale po chwili się odsunął i zaczął masować skroń.

– Słyszałem, że twoja organizacja coraz lepiej radzi sobie za granicą – powiedział. – Czechy, Belgia, Holandia. Czytałem w gazecie wywiad z jednym z twoich dyrektorów. Wciskał dziennikarzowi kit, że to wyjście za granicę jest ekspansją, a nie koniecznością podyktowaną problemami na lokalnym rynku. Pismak nie był wystarczająco dociekliwy, żeby zapytać o wasze problemy z policją.

– O ile mi wiadomo, też nie narzekasz na brak zainteresowania ze strony organów ścigania.

– To prawda. Tyle że ja nie muszę dbać o wizerunek. A ty tak. – Roman posłał mu chytry uśmiech. – To, co robi twój przeciwnik, kimkolwiek on jest, możesz nazywać agresją, atakiem lub napaścią. Możesz wyzywać go od skurwysynów i planować zemstę. Ale tak naprawdę on wyświadcza ci przysługę. Pomaga podjąć właściwą decyzję. Zrozumieć, że musisz stąd spierdalać, zanim zrobi się naprawdę nieprzyjemnie.

Ryter lekko przekrzywił głowę i przyjrzał się Romanowi. Następnie podciągnął suwak bluzy, rozłożył szeroko ręce i obrócił się wokół własnej osi.

– Wiesz, dlaczego cię tutaj ściągnąłem? Dlaczego facet z Chojen umówił się na tyłach kortów tenisowych na Widzewie?

Roman, masując skroń, włożył rękę do wewnętrznej kieszeni marynarki. Wyjął opakowanie tabletek przeciwbólowych i wycisnął jedną na dłoń.

– Kiedyś było tu boisko piłkarskie – kontynuował Ryter. – Grali na nim młodzicy i trampkarze Widzewa. Trenowałem wtedy piłkę na ChKS-ie. Nigdy nie byłem szczególnie utalentowany, ale miałem niezłą wydolność, więc z braku laku trener wystawiał mnie na boku obrony. Z reguły moim jedynym zadaniem było uprzykrzanie życia najszybszemu zawodnikowi drużyny przeciwnej. W tym akurat byłem niezły. Kiedy przyjechaliśmy na mecz z Widzewem, musiałem kryć najlepszego strzelca ligi. Takiego wkurwiającego gnojka, który za każdym razem, gdy dostawał piłkę, próbował wszystkich okiwać. Nazywał się Cyprian Majer. Był naprawdę dobry. Szybki, zwinny, świetnie wyszkolony technicznie. Nie miałem przeciwko niemu żadnych argumentów. Poza jednym – bezwzględnością. Kiedy na początku meczu dostał podanie od kolegi i zaczął taniec z piłką, podbiegłem do niego i wykonałem ślizg. Wyprostowaną i lekko uniesioną nogą. Dostałem za to czerwoną kartkę. Ale było warto. Majer też musiał zejść z boiska. Zerwałem mu więzadła w kolanie. I wiesz co? – Zaśmiał się pod nosem. – Wygraliśmy ten mecz.

– I co z tego? – fuknął Roman, po czym wrzucił tabletkę do ust.

– Nie zrobiłem kariery, ponieważ nie miałem talentu. Ale wielce utalentowany Cyprian Majer też jej nie zrobił. – Podeszedł do Romana. – Nawet jeśli psy mnie wykończą, nie pozwolę, żebyś zajął moje miejsce. Zniszczę wszystko, co zbudowałeś.

Roman intensywnie wpatrywał się w rozszerzone źrenice Rytera. W końcu szeroko się uśmiechnął i położył mu dłoń na ramieniu.

– Nie składaj obietnic, których nie jesteś w stanie spełnić.

Poklepał go po ramieniu i pomaszerował w stronę parkingu, zostawiając Rytera na smaganym wiatrem klepisku.

Adamski młócił zębami gumę do żucia, przyglądając się grupce czterech emerytowanych kobiet, które gorączkowo rozmawiały na korytarzu Komendy

Wojewódzkiej Policji w Łodzi. A właściwie gorączkowo się modliły, ściskając w pomarszczonych dłoniach różańce i wypowiadając na głos biblijne formułki. Odwrócił się do nich plecami i spojrzał na Witolda, który ze zwieszoną głową siedział po przeciwległej stronie korytarza, obracając w palcach paczkę papierosów.

– Chodź – powiedział. Dał głową znak Witoldowi i ruszyli do wyjścia.

Znaleźli się przed budynkiem. Witold momentalnie sięgnął po papierosa, jakby czekał na tę okazję cały dzień. Adamski stanął naprzeciwko niego, przykładając do ust dłońie złożone jak do modlitwy. Kiedy się zorientował, co robi, momentalnie je cofnął.

– Podsumujmy – powiedział, nie przerywając energicznego żucia gumy. – Napadłeś na ludzi, którzy określają się mianem Kanonicznych Proroków.

– Nie nazwałbym tego napaścią.

– Napadłeś, odwiedziłeś, jeden chuj. – Adamski wyraźnie nie miał ochoty na subtelności. – Kiedy wparowałeś na ich spędy, jeden z członków tej grupy, niejaki Marcin Koper, uciekł przed tobą, wyskakując przez okno z drugiego piętra. Ze złamaną nogą nie zdołał jednak za daleko zwiać, więc dopadłeś go na środku ruchliwej ulicy. Na oczach dziesiątków gapiów. I wtedy odkryłeś, że uciekał nie z powodu Majewskiej czy Kostki, tylko ze względu na niecały gram marihuany, który kitrał w bluzie.

Witold mocno się zaciągnął. Wydmuchnął dym pod stopy, jakby chciał je ogrzać.

– A ty co byś zrobił na moim miejscu? – zapytał zirytowany. – Pozwoliłbyś mu uciec?

– Nie mam do ciebie pretensji. Jestem po prostu wkurwiony, że tak to się potoczyło. Że zamiast złapać matkę Kostki albo chociaż się dowiedzieć, gdzie należy jej szukać, narobiliśmy tylko mnóstwo smrodu w centrum miasta.

– Nie do końca. – Witold skinął brodą na budynek. – Te baby znają Janinę Majewską.

– Skąd wiesz?

– Zanim po zatrzymaniu tego chłoptasia zapanował kompletny chaos, pokazałem tym religijnym świram zdjęcie Majewskiej. Większość osób z automatu odpowiadała, że jej nie zna. Może nie chcieli wkopać kobieciny, może mają wąty do policji, a może rzeczywiście nie skojarzyli Majewskiej ze zdjęcia. Ale te emerytki ją poznały.

– Powiedziały ci to?

– Nie, ale nie były dość dyskretne. Puściłem zdjęcie Majewskiej w obieg. Widziałem, jak o nim rozmawiały.

– Kurwa! – syknął Adamski. – Równie dobrze mogły się zastanawiać, czy baba ze zdjęcia ma trwałą.

– Zaufaj mi. – Witold spojrział szefowi głęboko w oczy. – One ją znają. A sposób, w jaki patrzyły na tę fotografię i wymieniały się spostrzeżeniami, sugeruje, że nie jest to powierzchowna znajomość.

– Sporo wniosków potrafisz wyciągnąć ze sposobu, w jaki stare baby gapią się na zdjęcie.

– Zaufaj mi – powtórzył Witold. – One coś wiedzą. Trzeba je tylko nacisnąć w odpowiednim miejscu.

Adamski przez kilkanaście sekund gorączkowo myślał nad słowami Witolda. W końcu pokiwał głową.

– W takim razie potrzebujemy kogoś, kto je zbajeruje. Kogoś, kto sprytnie przejdzie od rozmowy o tym połamanym gnojku do tematu Majewskiej.

– Artur – rzucił głośno Witold. – Artur się do tego nadaje. Zauroczy te baby, a potem przejdzie do konkretów.

– Albo będzie próbował je wydymać.

– Nie są w jego typie.

– On chyba nie ma żadnego typu.

Policjanci się uśmiechnęli. Pierwszy raz od wielu godzin.

– Nawet jeśli coś z nich wyciągnie, straciliśmy nasz największy atut – powiedział Adamski.

– Jak to?

Naczelnik wyjął telefon. Znalazł coś w internecie i przekazał smartfona Witoldowi.

– Strona główna „Expressu Łódzkiego”. Od paru godzin wisi tam artykuł, do którego dołączono filmik jednego z gapiów. Widać na nim, jak ty i ten ćpun rozmawiacie na torowisku tramwajowym. Dębiec już mnie poprosił o wyjaśnienia, a media rozdzwoniły się z pytaniami. Wszyscy wiedzą, że zajmujesz się sprawą Kostki, więc niełatwo będzie z tego wybrnąć. – Naczelnik podrapał się po policzkach, jakby chciał rozmasować ostro pracujące zuchwy. – To oznacza koniec z anonimowością. Jeśli Kostka zagłąda do sieci, może się domyślić, że trafiliśmy na trop jego matki.

– O ile nasze przypuszczenia są słuszne – zauważył Witold.

Adamski wypluł gumę do popielnicy.

– Sprowadzę tu Artura, a ty wymyśl, co mu powiedzieć. Musimy się spieszyć. Nie mamy pojęcia, jak Kostka zareaguje na te informacje.

Zatrzymał się w wąskim przedpokoju. Spojrzał w lewo. Jego wzrok przykuł migający ekran komputera. Starego, dupiastego rzęcha, który od momentu uruchomienia wypluwał z siebie niesłabnący warkot. Tym razem wypluł coś jeszcze. Coś niepokojącego.

Seweryn podszedł do komputera i pochylił się nad monitorem. Przeskanował wzrokiem artykuł. Potem najechał kursorem na zdjęcie. Powiększył je. Pochylił się jeszcze bardziej. A kiedy w końcu rozpoznał człowieka na fotografii, delikatnie rozchylił usta.

Policjant. Wścibski wielkolud, który kilka tygodni wcześniej czaił się pod jego domem w przebraniu księdza, właśnie go rozszyfrował. Odkrył jedną z jego najszczelniej skrywanych tajemnic.

Seweryn się uśmiechnął.

Nareszcie, pomyślał. A już się martwiłem, że niespodzianka przejdzie wam koło nosa.

– Tu jesteś – powiedziała baba, wchodząc do pokoju. – Wołałam cię. Dlaczego nie odpowiedziałeś?

Seweryn wyprostował się i odwrócił do kobiety. Widział, jak przechyla się na bok, żeby podejrzeć, co oglądał w komputerze. Widział, jak się dziwi. I jak zamiera, kiedy wreszcie do niej dotarło, o co w tym wszystkim chodzi. Rozkoszował się tym widokiem. Czystym, naturalnym, niewzburzonym wątpliwościami strachem, który pojawił się na jej twarzy. I który miał jej towarzyszyć już do końca.

Mówi się, że w chwili największej trwogi ludzie potrafią wykrzesać z siebie ekstramoce. Sięgnąć do swojego pajęczego zmysłu. Spowolnić przebieg wypadków. A gdy już czas się rozciągnie, zaskoczyć siebie i innych nietuzinkową reakcją. Ale w przypadku tej kobiety nic takiego się nie wydarzyło. W zasadzie stało się coś dokładnie odwrotnego. Zaczęła działać na zwolnionych obrotach. Flegmatycznie powędrowała wzrokiem za rękoma wielkoluda, które spoczęły na grubym, mniej więcej metrowym kawałku kabla. Chwilę później przypomniała sobie niedziałający telewizor. A potem pełne nienawiści słowa, którymi ten mężczyzna częstował ją od kilku tygodni. Spojrzała mu w oczy. W te guzikowate, puste oczy. I nagle wszystko stało się dla niej jasne. Oczywiście. Tak idiotycznie proste, że nie potrafiła pojąć, jak mogła się w tym wcześniej nie połapać.

Chciała zniknąć. Wyparować. Zapomnieć o tym, jak potwornie się wygłupiła, wpuszczając go pod swój dach.

Odwróciła się. Uniosła lekko głowę, żeby namierzyć drzwi. Zaczepnęła głęboko powietrza i rzuciła się do ucieczki.

Ale Seweryn tylko na to czekał.

Od bardzo, bardzo dawna.

co?

Witold rzucił to pytanie, zanim Artur zdążył wejść do gabinetu Adamskiego. Naczelnik Wydziału Kryminalnego siedział schowany za kompletnie zagraconym biurkiem, pijąc kawę szybkimi, nerwowymi siorbnięciami. Już czwartą tego dnia. Albo piątą. Nie mógł się doliczyć.

– Dobra wiadomość jest taka, że te babki znały Majewską – powiedział Artur.

– A zła?

– Od kilku tygodni jej nie widziały. Po prostu któregoś dnia przestała przychodzić na spotkania grupy. Nikogo o niczym nie poinformowała. Zresztą nie miały w zwyczaju utrzymywać bliższych kontaktów. I oczywiście nie mają pojęcia, gdzie mieszka.

– Trudno więc powiedzieć, że ją znały.

– Bo to nie są miłe staruszki, które spotykają się na herbatkę i pogaduchy. Te baby to czarownice. Jędze z piekła rodem. Nie zgodziły się na rozmowę z udziałem kamery czy choćby dyktafonu, ponieważ uważają, że to diabelskie wynalazki. Na początku w ogóle nie chciały ze mną gadać. Musiałem je przekonać, że jestem gorliwym katolikiem, który został policjantem, żeby wypłenić zło z tego miasta.

– Zło?

– Pedalów, imigrantów, lewaków i jeszcze paru innych. Odniosłem wrażenie, że te baby nienawidzą wszystkich. Gdyby były trochę młodsze, toby podkładały bomby pod akademikami. – Artur podniósł ręce w uspokajającym geście. – Żeby było jasne: ja też nie jestem fanem multikulti, ale to już gruba przesada.

– No dobra, a co z Majewską? – odezwał się zniecierpliwiony Adamski.

– Twierdzą, że była inna.

– To znaczy?

Artur otworzył notatnik.

– Przede wszystkim dołączyła do nich jako Waleria, tak kazała na siebie mówić. Nie opowiedziała im o swojej przeszłości. Wspomniała tylko, że miała problemy z narkotykami i alkoholem. I że w swoim poprzednim życiu sporo nabroiła. Te baby twierdzą, że była bardzo uduchowiona. Przez większość czasu wydawała się nieobecna. Zatopiona we własnych rozważaniach. Według nich nie była tak bardzo wkręcona w te bzdety ze Starego Testamentu, ale z jakiegoś powodu zależało jej na pozostaniu w tej grupie. Pośród ludzi, którzy myślą inaczej. Którzy inaczej postrzegają wiarę.

– Mówiła coś o synu? – zapytał Witold.

– Tylko to, że go ma. A właściwie miała: w poprzednim życiu. Majewska uważa, że Bóg w bardzo dosłowny sposób dał jej drugą szansę.

Witold i Adamski spojrzeli po sobie, a potem przerwali wzrok na Artura.

– Szukamy kobiety, która uważa, że zmartwychwstała? – spytał naczelnik.

Artur bezradnie rozłożył ręce.

– Nie ja to wymyśliłem. Nie patrzcie na mnie w ten sposób.

Adamski dopił kawę i z hukiem odstawił kubek na biurko. Chwilę później wrzucił do ust orbitkę. Czwartą lub piątą tego dnia. Nie mógł się doliczyć.

– Wspaniale. A czy te baby powiedziały cokolwiek, co pomogłoby nam namierzyć Majewską?

– Żaliła się, że dojazd na spotkania zajmuje jej pół godziny. Przyjeżdżała tramwajem.

– A więc mieszka na obrzeżach miasta – stwierdził Witold po chwili zastanowienia. – Przyjmijmy, że wysiadała na Zachodniej. Na przystanku przy Legionów. – Wycelował palcem w komputer Adamskiego. – Wejdz na stronę MPK. Zobaczmy, co jeździ z tego przystanku.

Naczelnik spełnił jego prośbę. Przekrzywił ekran komputera, żeby Witold z Arturem mogli go zobaczyć.

– Dwójka, trójka, szóstka, siódemka i jedenastka – wyliczał Adamski. – Teofilów, Marysin, Palki, Koziny, Helenówek. Spory rozstrzał. Jesteśmy w stanie jakoś zawęzić ten obszar?

– Według jednej z tych bab Majewska lubi przyrodę – powiedział Artur, zerkając do notatnika. – Wspominała, że źle się czuje w zamkniętej betonowej przestrzeni. To by sugerowało, że nie mieszka w bloku.

– Na dom jednorodzinny raczej nie uzbierałaby kasy – zauważył Witold.

– A więc powinniśmy zawęzić obszar poszukiwań do kilku osiedli i wolno stojących domów, które wyglądają tak, jakby w nie pierdolnęła bomba. – Adamski na moment przestał młócić zębami gumę i zerknął na sufit. – Jest nas trzech i mamy pierdyliard innych spraw na głowie, ale w dwa tygodnie powinniśmy przeszukać ten teren.

– Naprawdę chcecie szukać matki Kostki? – zdziwił się Artur.

– Masz coś lepszego do roboty?

– Właściwie mam. – Wyjął włożoną do notatnika kartkę, pokrytą trudnymi do rozszyfrowania bazgrołami, i położył ją na biurku. – Zdobyłem kilka ciekawych informacji na temat naszego komendanta. Wiecie, że odkąd urodziła mu się córka, trzyma ją razem z żoną w mieszkaniu na Marysinie?

– Trzyma? – zdziwił się Adamski.

– Nie mieszka z nimi. Finansuje je, regularnie odwiedza, czasem u nich nocuje, ale tam nie mieszka.

– To rzeczywiście dziwne, tylko co z tego?

– Jego dziesięcioletnia córka co kilka miesięcy zmienia szkołę. A jedna z jej byłych dyrektorek twierdzi, że mogła paść ofiarą molestowania seksualnego.

– Chcesz powiedzieć, że szef tego pierdolnika jest pedofilem? – spytał Witold, zerkając na zapiski Artura.

– Tego nie wiem. Ale moim zdaniem Dębiec więzi te kobiety. Patologicznie uzależnił je od siebie. Sprawił, że są bezwolne. W dodatku zabezpieczył się na okoliczność skarg czy podejrzeń, sadzając kumpla na stołku szefa Wydziału Kontroli.

– Kumoterstwo to nie pedofilia – zauważył Adamski.

Artur spojrział na niewzruszoną minę naczelnika, a potem na Witolda, który mechanicznie kiwał głową, zgadzając się ze słowami przełożonego.

– Jesteście ślepi? Ten facet przez lata kumplował się z prokuratorem Pszoniakiem, który okazał się pieprzonym zwyrolem. Teraz prawdopodobnie kryje Wargę, a przynajmniej dobrze się z nim dogaduje. Poza tym od dziesięciu lat więzi żonę i córkę. Czego jeszcze potrzebujecie, żeby rzucić mu się do gardła?

– Tylko jednego – powiedział Adamski. – Czasu. Jak uporamy się z Kostką, wrócimy do sprawy komendanta.

Artur miał ochotę go zamordować. Na początek zrobił to wzrokiem.

– Jak możecie nie reagować, wiedząc, że facet gwałci dziecko? A zwłaszcza ty. – Artur spojrział na Witolda. – Ojciec dwójki dzieci. Policjant. Jebany stróż prawa.

Witold wystartował w kierunku Artura, ale Adamski na tyle szybko poderwał się z fotela, że zdążył wyjść zza biurka i stanąć pomiędzy przeciwnikami.

– Żadnych, kurwa, burd w moim gabinecie – powiedział, patrząc na Witolda. Potem przeniósł wzrok na Artura. – *Argumentum ad personam*.

– Co?

– Kiedy powołujesz się w dyskusji na cechy przeciwnika, automatycznie przegrywasz. Równie dobrze mógłbyś porównać go do Hitlera.

Artur przez chwilę przeszywał obu mężczyzn wzrokiem. Nie bardzo rozumiał, co przed chwilą usłyszał.

– *Argumentum ad chujam*. Pierdolcie się! – warknął i wyszedł z gabinetu.

Inaczej chciał to rozegrać. Zamierzał wyjaśnić, w jaki sposób podchodzi komendanta. Że próbuje się wkupić w jego łaski. Że poniekąd wykorzystuje do tego Adamskiego i jego dziwne rozgrywki w wydziale. Ale w tej sytuacji nie zamierzał nikogo o niczym informować.

Jebał ich pies.

Jeździli po mieście od dobrych kilkudziesięciu minut, kiedy Warga w końcu odważył się zawiesić wzrok na Kawęckim na tyle długo, że ten się zainteresował.

– Myślisz, że to bezpieczniejsze rozwiązanie? – spytał prokurator. – Że posadzenie za kółkiem faceta z poprzebijanymi stopami, który nie czuje dobrze pedałów, jest lepsze niż umieszczenie tam pijaka?

– Dla mnie na pewno – odparł Kawęcki. – Dzięki temu mogę się skupić na obserwowaniu miasta. I rozkoszować tym, że przy każdym przyspieszeniu albo hamowaniu odczuwasz ból. – Pociągnął z nakrętki łyk parującej kawy. Kawy z prądem. A w zasadzie prądu z kawą. – Poza tym ludzie najebani z reguły wychodzą z wypadków cało, więc nie martwię się tym, co mogą zrobić twoje dziurawe sztafy.

Zakręcił termos i umieścił go między stopami. Rozłożył na kolanach solidnie sfatygowaną mapę miasta. Cała była pokreślona. Zaznaczał na niej punkty, które miały jakiś związek z Kostką: jego mieszkanie na Janowie, przerobiony na prywatne sanktuarium garaż, przychodnie lekarskie i weterynaryjne, w których pracował, miejsca zabójstw i spotkań z Wargą, a także bliskie mu kościoły. Według tylko sobie znanego wzoru połączył liniami kilkadziesiąt czarnych krzyżyków.

Zapalił papierosa. Wydmuchnął dym przez lufcik i zerknął na mapę.

– Kostka jest metodyczny – powiedział. – Nie podejmuje impulsywnych decyzji. Nawet jeśli musi działać szybko, żeby coś naprawić... jak wtedy, gdy pozbywał się Świst... potrafi przygotować fortel, żeby nas zmylić. To dlatego

kazał ci wrócić do domu tej baby i rozstawić w nim grzejniki. Chciał przyspieszyć procesy gnilne i utrudnić nam sprecyzowanie, kiedy tam był.

Warga skrzywił się na to wspomnienie.

– I co w związku z tym? – zapytał.

– Jeśli nic w jego życiu nie jest dziełem przypadku, to każde z tych miejsc wybrał po starannej analizie. Z jakiegoś powodu. Albo żeby ułatwić sobie życie, albo żeby nas zmylić. A że Kostka nie jest facetem, który zwykł wybierać najprostsze rozwiązania, obstawiam to drugie. – Kawęcki postukał palcem w mapę. – Zdaje sobie sprawę, że wiemy o tych miejscach. Dlatego nie ma sensu tam go szukać. Musimy wymyślić coś innego. Znaleźć jakiś niewidzialny punkt, który objawi się wyłącznie pod wpływem określonych działań. Gdybym musiał zgadywać, powiedziałbym, że znajdziemy go gdzieś tutaj. – Zatoczył na mapie okrąg. – Las Łagiewnicki jest jedyną lokalizacją, która powraca w jego działaniach. To tu wiele lat temu zabił Katarzynę Wolańską, a potem załatwił Magdę. Tu spotkał się z gruzińskimi bliźniakami, żeby oddać im psa, który zgwałcił Martynę Bułęcką. Tu umówił się z tobą na jedno ze spotkań. Musi się czuć w tej okolicy jak ryba w wodzie. To jego królestwo. – Zerknął na prokuratora, jakby oczekiwał, że potwierdzi te przypuszczenia. Ale on w milczeniu gapił się na drogę. – Na najbliższym skrzyżowaniu skręć w prawo.

Warga wykonał polecenie i zjechał z Okólnej w Łagiewnicką. Mieli przed sobą około trzech i pół kilometra asfaltowej drogi oddzielającej las od domów jednorodzinnych i działek. Warga ostrożnie rozpędził auto Kawęckiego do sześćdziesięciu kilometrów na godzinę.

– Skąd Seweryn miałby wiedzieć, że znacie miejsca naszych spotkań? – zapytał.

Kawęcki wahał się przez kilka sekund, zanim mu odpowiedział.

– To on cię wystawił.

– Jak to?

– Za chwilę będziemy przejeżdżać obok domu człowieka, który mieszka na tyle blisko ulicy, że jego monitoring obejmuje większość jezdni. To on wysłał

Adamskiemu nagranie, na którym widać ciebie i Kostkę. Ale nie zrobił tego z własnej woli. Wcześniej odwiedził go wielki, kulawy i bardzo przekonujący facet, który zostawił mu dokładną instrukcję, jak powinien postępować.

– A więc Seweryn chciał mnie za coś ukarać.

– Albo się zabawić. Wie, że została mu do zrealizowania ostatnia akcja, więc chce ją przeprowadzić najbardziej spektakularnie jak to możliwe. Nawet jeśli naprawdę wierzy, że jest wybawicielem, bożym posłańcem albo kimś, kto musi ukarać te kobiety za ich grzechy, to w głębi duszy pozostaje małym chłopcem, który uwielbia fajerwerki.

Kawęcki wskazał palcem dom faceta, który podrzucił policji nagranie. Pomachał do kamery.

– A co później? – zapytał prokurator. – Jak już złapiemy Seweryna?

– Jeśli tylko nadarzy się okazja, to go zabiję. Wolałbym, żeby nie trafił do pierdła. Żeby nie mógł się dzielić z nikim swoimi przemyśleniami i fundować światu kolejnych zwyrodnialców. Nie jestem zwolennikiem kary śmierci, ale w takich przypadkach robiłbym wyjątki. Takie skurwysyny muszą mieć świadomość, że finałem ich historii nie jest sława i dożywotnia odsiadka, tylko trucizna albo krzesło elektryczne.

Warga długo milczał, zaciskając i rozluźniając palce na kierownicy.

– Właściwie pytałem o mnie.

Kawęcki wystrzelił peta przez lufcik.

– Nie wiem. Jeszcze nie podjąłem decyzji. Ale na twoim miejscu nie nastawiałbym się na happy end. – Posłał prokuratorowi kwaśny uśmiech, a potem ponownie skupił się na mapie.

Mniej więcej minutę później przejechali pod wiaduktem i dotarli do skrzyżowania.

– W dniu zabójstwa Magdy jechałeś tędy za Kostką – powiedział Kawęcki. – Widziałeś, w którą stronę skręcił?

– Byłem wtedy śmiertelnie przerażony. A on znajdował się kilkaset metrów z przodu.

– Widziałeś, kurwa, czy nie?

– W prawo. Chyba w prawo.

– To ciekawe. Gdyby zamierzał wrócić do mieszkania na Janowie, pojechałby w lewo, aby się dostać do Inflanckiej. Skręć w prawo i zatrzymaj się przy pierwszej możliwej okazji. I nawet nie próbuj myśleć o ucieczce.

Z bocznych drzwi wyciągnął pistolet i pomachał nim Wardze. Uśmiechnął się. Nigdy nie przypuszczał, że terroryzowanie za pomocą broni może sprawiać tyle frajdy.

Kudłaty facet z kocią bródką, przypominający perkusistę jakiejś przebrzmiałej metalowej ekipy, wyciągał z futerałów kolejne statywy. Zerkając co jakiś czas na upatrzone wcześniej fotele ustawione przy krótszej ścianie pokoju, rozstawiał swój sprzęt. Regulował wysokość statywów, mocował blendy, przygotowywał mikroporty. W końcu wyjął dwie kamery i zainstalował je na stojakach.

– I jak, wszystko w porządku? – zapytała Grażyna Jurkowska.

Ta pięćdziesięcioletnia kobieta, ubrana w długą, sięgającą do połowy ud bluzkę, mającą przynajmniej częściowo zatuszować kilkanaście zbędnych kilogramów, była jedną z najlepiej rozpoznawalnych polskich dziennikarek telewizyjnych. Jedną z pierwszych, które wybiły się na prowadzeniu łzawych talk-show, występach w telewizjach śniadaniowych i wycieraniu się w kolorowych pisemkach. Jedną z tych, którymi Alicja gardziła najbardziej.

Ale Jurkowska była też dziennikarką o potężnych możliwościach. Swoimi programami kształtowała opinię społeczną, a nawet wpływała na wyniki wyborów. W dodatku jako jedyna zgodziła się zaprezentować historię Alicji w dużym ogólnopolskim medium.

– Straszna klita – odezwał się metalowiec, który gorączkowo przestawiał statywy, szukając odpowiednich kadrów. – Łatwiej byłoby to nakręcić w celi.

– Nie ciebie pytałam – burknęła Jurkowska i posłała Alicji współczujący uśmiech. – Trzymasz się?

– Jest okej – odparła Alicja. Jej głos nie brzmiał zbyt przekonująco.

– Byłaś już po drugiej stronie? – Jurkowska położyła dłoń na jednej z kamer.

– Po tekście o Bułeckiej oblepili mnie lokalni reporterzy. Kilka razy musiałam się wypaszczyc przed kamerą.

– Jak ci poszło?

– Koledzy twierdzą, że nieźle.

– To dobrze. Ale teraz czeka cię coś zupełnie innego. Będziesz musiała mówić o sobie. O wyjątkowo przykrych doświadczeniach. Ważne jest, żebyś nie próbowała wypaść mądrze, tylko naturalnie i szczerze.

– Domyślam się.

– Mów z serca. A jeśli tylko będziesz chciała zrobić przerwę, daj znać.

Alicja pokiwała głową. Jeszcze kilka godzin temu nie chciała zgrywać ofiary. Słabej, bezbronnej dziewczynki, którą jacyś straszni ludzie wmanewrowali w swoją chorą grę. Ale potem pomyślała, że może tak będzie lepiej. Może współczucie dla niej wzmocni niechęć do tych skurwysynów. Może zgrywając bidulkę, zdoła ugrać więcej.

– Jak chcesz poprowadzić rozmowę? – zapytała.

Jurkowska spojrzała na Alicję znad swoich wydruków, jakby ta poprosiła ją o wyjawienie głęboko skrywanej tajemnicy.

– Zaczniemy od ciebie. Kim jesteś, czym się pasjonujesz, jak zostałam dziennikarką. Potem pogadamy o twojej pracy w „Expressie”. A jak już się rozkręcisz, przejdziemy do konkretów. Do tego, co cię spotkało. Później dogramy jeszcze trochę przebitek, i tyle.

– A potem pojedziecie do Wargi? Do Halberta? Do policjantów, którzy zajmowali się tą sprawą?

Jurkowska położyła jej dłoń na ramieniu.

– Nie martw się. Wiemy, co robimy. Kręcimy ten program od czterech lat. Mam do dyspozycji researchera i reportera. Od rana krążą po mieście, zbierając informacje o ludziach, którzy cię skrzywdzili. Zrobimy taki materiał, że z pewnością pójdzie im w pięty. Bardziej, niż mogliby się tego spodziewać. Ty powinnaś się skupić wyłącznie na tym, żeby jak najdokładniej opowiedzieć

o swoich przeżyciach. – Niczym dobra ciocia, Jurkowska czule pogłaskała Alicję po policzku. Potem odwróciła się do makijażystki, która siedziała na oparciu jednego z foteli i dłubała w telefonie. – Przypudrujmy ją trochę. Troszeczkę. Jest zbyt ładna, żeby kłaść jej pełną tapetę.

– Do przebitek przydałby się inny komputer. – Metalowiec wycelował palcem w stojącego na biurku MacBooka.

– Inny, czyli jaki? – zapytał Patryk Gradowski.

Antyterrorysta zgodził się na nagranie wywiadu w jego mieszkaniu. W neutralnym miejscu, w którym ekipa telewizyjna mogła się zainstalować bez żadnej krępacji. Zresztą nie mógł odmówić Annie Stelmach, która stała teraz u jego boku, z fascynacją obserwując powstawanie medialnego świata.

– Biedniejszy – odparł metalowiec. – Zwykły pecet. Czarny laptop, na którym widać ślady użytkowania. Nie możemy opowiadać łzawych historii, pokazując w tle komputer za pięć patyków.

– Za siedem.

– *Whatever*. MacBook odpada.

– Mogę dać wam swój – odezwała się Stelmach. – Nie jest szczególnie zniszczony, ale ma już trzy lata. Wygląda bardzo zwyczajnie.

– Spróbujmy.

Przez następne kilkanaście minut przygotowywali scenografię i sprzęt wideo, montowali mikroporty, testowali dźwięk i poprawiali makijaż Jurkowskiej, która co chwila przypominała metalowcowi, aby pokazał ją tak, by nie było widać jej ponadprogramowych kilogramów. Kiedy skończyli, mieszkanie Gradowskiego przypominało mieszankę filigranowego studia telewizyjnego i studenckiej pakamery.

– Jesteś gotowa? – zapytała Jurkowska.

Alicja, nie zastanawiając się ani chwili, pokiwała głową. Już nie chciała o niczym myśleć. Chciała działać. Skoczyć skurwielom do gardeł, dopóki była w stanie wydobyć z siebie odrobinę odwagi.

– To trochę potrwa, więc radziłabym wam wyjść na spacer – powiedziała Jurkowska, zwracając się do Alicji i Patryka. – Chyba że potraficie przesiedzieć godzinę w absolutnej ciszy.

– Ja tak, ona nie.

Gradowski, stojąc w progu pokoju z rękami skrzyżowanymi na piersi, wskazał palcem Stelmach. Policjantka uderzyła go w ramię. Kiedy zdała sobie sprawę ze swojej reakcji, zdziwiła się, jak szybko i w jak dziwnych okolicznościach można się odmłodzić o dwadzieścia lat.

– Przespacerujemy się – powiedziała. – Zadzwońcie, gdy skończycie.

Chwilę później w towarzystwie swojego nowego faceta ruszyła do wyjścia. Po raz ostatni zerknęła na Alicję. Spotkały się wzrokiem. Były jak dwie antylopy z lwimi spojrzeniami. Gotowe na odwrócenie ról. Gotowe do walki. Gotowe na rewolucję w ekosystemie.

Witold brał ostatnie machy papierosa, gapiąc się na pajęczynę światła pokrywającą budynek Komendy Wojewódzkiej Policji. Chroniąc się przed wiatrem wysoko postawionym kołnierzem płaszcza, uświadomił sobie, że prawdopodobnie popełnił nieodwracalny błąd. I to wiele lat temu. W chwili, w której podjął decyzję, że swoje życie zadedykuje policji. Nawet jeśli będzie musiał poświęcić pasję. Nawet jeśli ucierpi na tym jego życie rodzinne. Wiedziony jakąś egoistyczną, bufoniastą, kompletnie kretyńską myślą, postanowił stać się zakładnikiem tego cholernego budynku. I to nie dostając nic w zamian: ani solidnego wynagrodzenia, ani szacunku, ani satysfakcji.

To miejsce go wciągnęło, przeżuło i zaczęło usuwać w częściach. Jak kawałki jedzenia wygrzebywane wykałaczką spomiędzy zębów.

Zerknął na telefon. Osiemnasta. Za godzinę powinien zobaczyć się z Edytą. Po raz pierwszy od kilku dni. Po tylu latach spędzonych razem – nawet jeśli przez większość czasu oddawali sobie tylko strzępki swoich codzienności – rozłąka go dobijała. Wynosząc się ze wspólnego domu, zabierając swoje rzeczy, uzgadniając godziny spotkań z córkami, które wcale nie miały ochoty się z nim

widywać, czuł się jak wygnaniec. Jakby przegrał życie. Jak frajer, który w jedną wyjątkowo długą, zimną i ciemną noc przepuścił wszystko.

Zgasił peta w popielnicy i wszedł do budynku. Zanim dotarł na umówione spotkanie, ponownie wyciągnął telefon. Mozolnie wdrapując się po schodach, odebrał połączenie od Artura.

– To jest bez sensu – usłyszał.

– Co?

– Łaźnię po jakichś zadupiach i wypytywanie ludzi, czy znają Majewską.

– Masz lepszy pomysł?

– Musimy zdobyć jej aktualne zdjęcie. Pokazując ludziom fotkę sprzed czterdziestu lat, nie mamy najmniejszych szans. Tylko narażamy się na śmieszność.

Witold zatrzymał się i ciężko westchnął. Artur miał rację. Sam spędził kilka ostatnich godzin na Kozinach, obchodząc wszystkie wolno stojące budynki, które udało mu się zlokalizować na mapach Google. Te obskurne, sąsiadujące ze Starym Cmentarzem, i bardziej zadbane, wybudowane wzdłuż Ossowskiego i Bardowskiego. Odniósł wrażenie, że ludzie patrzą na niego jak na akwizytora, którego jak najszybciej trzeba się pozbyć. A nawet jeśli wytężali mózgownice, próbując doszukać się podobieństwa między kobietą ze zdjęcia a widywanymi w okolicy staruszkami, błyskawicznie dochodzili do wniosku, że nikogo takiego nie kojarzą.

To było jak szukanie igły w stogu siana. I to nie pierwszej lepszej, ale konkretnej, różniącej się od wszystkich pozostałych igieł niezauważalnymi dla nieuzbrojonego oka szczegółami.

– Musimy próbować – powiedział Witold. – To nasza jedyna szansa.

Artur przez kilka sekund milczał, zapewne przeklinając Witolda w duchu.

– Co tak dyszysz? – zapytał wreszcie. – Marszczysz fieda?

– Chciałbym. Ale niestety idę na spotkanie z Adamskim. Powiedział, że chce mi coś pokazać.

– Może spodoba ci się na tyle, że spełnisz swoje marzenie.

Artur się roześmiał, zachwycony swoim niewybrednym żartem. Chwilę później się rozłączył.

Chowając telefon do kieszeni, Witold myślał o beztrosce Artura. O jego niezwykłym talencie do zamieniania dramatów w błahostki, którego tak bardzo mu zazdrościł.

Kiedy dotarł do gabinetu Adamskiego, kurtuazyjnie zapukał do lekko uchylonych drzwi.

– Co się stało? – zapytał.

Adamski w szerokim rozkroku stał na środku pomieszczenia. Głęboko zamyślony, gapił się na kilkanaście rozłożonych na podłodze kartek w przezroczystych, szczelnie zamkniętych koszulkach. Wycelował w nie palcem.

– Odkąd wyznaczyliśmy nagrodę za wskazanie miejsca pobytu seryjnego mordercy, ludzie zaczęli do nas pisać listy. Zdecydowana większość jest bezwartościowa. Jedni wariaci uważają, że za wszystkim stoi ich sąsiad, mąż albo brat. Inni sami się przyznają do morderstw. Co jakiś czas ktoś pisze, że widział Kostkę w centrum handlowym, na Piotrkowskiej albo w sklepie. Wtedy musimy sprawdzić ten trop, tracąc na to czas i zasoby, a przede wszystkim nerwy. Czasami dostajemy też bełkotliwe anonimy, z których trudno cokolwiek zrozumieć.

– Dlaczego mówisz mi coś, o czym wiem?

– Dzisiaj rano przyszło coś takiego. – Adamski schylił się i podniósł jeden z listów. – „Drodzy policjanci i ich współpracownicy, zbliża się finał. Zagęście ruchy, jeżeli chcecie się załapać. SM”. – Naczelnik podał Witoldowi kartkę. – List był zaadresowany do mnie, ale nadawca zwraca się do wszystkich policjantów i ludzi, którzy nam pomagają. Jest napisany odręcznie. Starannym, niemal kaligraficznym pismem. Są też na nim odciski palców.

– Wiadomo czyje?

– Jeszcze nie. Poprosiłem kumpla z laboratorium, żeby jak najszybciej to ustalili. Dla własnego dobra. Równolegle grafolog ma porównać ten charakter pisma z podpisami na dokumentach, które znaleźliśmy w mieszkaniu Kostki.

Witold powoli przeczytał list. A potem zrobił to ponownie. I jeszcze raz.

– SM? – zapytał.

– Seweryn Majewski.

Policjanci popatrzyli po sobie.

– Czyli Kostka oficjalnie rozpoczął z nami grę – powiedział Witold.

– W dodatku prawdopodobnie wie o Kawęckim.

– A więc może też wiedzieć o Wardze. – Witold podniósł list na wysokość głowy. – To jest przyznanie się do winy. Kostka wie, że nie wyjdzie z tego cało.

Adamski wrzucił orbitkę do ust. Rozgryzł ją tak, jakby chciał na niej połamać zęby.

– I szykuje coś, co nas przerazi. Swoje najbardziej krwawe dzieło.

Prokurator Warga długo wpatrywał się w ladę barową, na której stały kieliszek wódki oraz kufel piwa. Czuł na sobie ponaglące spojrzenia Kawęckiego, cyncatej barmanki i klientów Soboty.

– Jeśli chcesz, żeby się przestali gapić albo chociaż robili to mniej natarczywie, powinienes to wypić – poradził mu Kawęcki.

Warga ciężko westchnął. Wyciągnął przed siebie rękę. Ale tylko przesunął kieliszek w stronę Kawęckiego.

– Nie piję – powiedział. – Nigdy nie piłem.

– Poważnie? Nie wiesz nawet, jak smakuje wódka?

– Nie mam pojęcia.

– Jak to możliwe?

Prokurator wzruszył ramionami.

– Będąc nastolatkiem, zorientowałem się, że trochę się różnię od rówieśników: pod względem wyglądu, wagi czy swobody nawiązywania kontaktu. A właściwie nie tyle różnię, ile odstaję. Zacząłem się zastanawiać, co mogę zrobić, żeby nie być gorszym. Żeby nadrobić dzielący nas dystans. Kiedy kilku chłopaków przyszło do szkoły totalnie napruty i zobaczyłem, że wszyscy

próbują ich unikać, wykombinowałem, że zrobię to za pomocą trzeźwego, niczym niezmaconego umysłu.

– Czyli nie pijesz, bo jesteś obleśnym tłuściochem – stwierdził Kawęcki. – Większość osób na twoim miejscu właśnie dlatego by piła.

– Nie jestem taki jak większość.

– Zadziałało?

– A jak myślisz? – Warga prychnął i pokręcił głową. – Jako niepijący grubas byłem przegrany. Traktowali mnie jak odszczepieńca, a nie interesującego ekscentryka.

Kawęcki opróżnił swój kieliszek i popił piwem.

– Okazałeś się naiwnym idiotą, który został klasowym pośmiewiskiem. A mimo to ci zazdroścę. Jak to o mnie świadczy?

Kawęcki uśmiechnął się do Wargi, a potem zapalił papierosa. Zacisnął palce na kieliszku, jakby się obawiał, że prokurator zmieni zdanie. W niektórych sprawach bywał bardzo przezorny.

– A ty dlaczego pijesz? – zapytał Warga.

Kawęcki rozejrzał się po odpychającym wnętrzu Soboty, które zdawało się nikczemnieć z każdą minutą, z każdym opróżnionym kieliszkiem i wypalonym szlugiem, z każdym chrapliwym wybuchem śmiechu, z każdym wyplutym z głośnika akordem disco polo. Zatrzymał wzrok na drewnianej gablocie wypełnionej szalikami angielskich drużyn piłkarskich, dewocjonaliami i czarnymi koszulkami z nadrukowaną grafiką. Tuż pod nią zamocowana była półka z alkoholem.

– Z dokładnie odwrotnego powodu – powiedział. – Żeby się wtopić w tłum.

– Zataczając się od krawężnika do krawężnika?

– Ludzie zadziwiająco szybko przestają się oburzać alkoholikami. Najpierw na nich obojętnieją, a potem przestają zauważać. Traktują ich jak skażone powietrze. A kiedy ktoś staje się niewidzialny, może robić, co mu się żywnie podoba.

– Na przykład współpracować z gangsterami. – Warga rzucił Kawęckiemu złośliwe spojrzenie. – Odrobiłem pracę domową. Wiem, z kim mam do czynienia.

Kawęcki opróżnił kieliszek przeznaczony dla prokuratora. Chwilę później zamówił u barmanki dwa następne.

– Nie szkoda ci samego siebie? – spytał Warga. – Swojego organizmu? Mózgu? Bebechów? – Wycelował palcem w korpus Kawęckiego. – Widziałem, jak się skręcasz z bólu. To mi wyglądało na wrzody żołądka. Wiem, bo przez to przechodziłem. Powinieneś z tym pójść do lekarza.

– Już byłem. Wtedy gdy pewien facet zabawiał się z tobą przy drzewie.

– I co?

Kawęcki przekrzywił się na stołku barowym i zgasił peta w popielniczce. Gdy tylko barmanka podstawiła mu kieliszek pod nos, wlał w siebie kolejną porcję wódki.

– Wiesz, dlaczego tu przyszliśmy? – zapytał, ignorując ciekawość prokuratora.

Warga zerknął na zalane ketchupem frytki. Nie dojadł ich, mimo że był cholernie głodny.

– Domyślam się, że nie ze względu na żarcie ani wystrój.

– Trafiłem tu po raz pierwszy po zabójstwie Martynty Bułeckiej. Znalazłem w internecie pub z najniższą oceną. Traf chciał, że był blisko mojego domu. Kiedy tu przyszedłem, wyglądał identycznie jak dzisiaj. – Kawęcki zatoczył ręką okrąg. – Klientela rodem z zakładu karnego. Znudzona barmanka, która ma ochotę wydłubać ci widelcem oko. Ścianka wstydu wyglądająca jak mokry sen prawicowego nastolatka. – Wskazał palcem gablotę z dewocjonaliami, szalikami i koszulkami. – To miejsce było jeszcze gorsze, niż sugerowały to ocena i opinie w sieci. Jeszcze bardziej obskurne. Było idealne.

– Idealne do czego?

– Do oczyszczenia. Przez pierwszy miesiąc od zabójstwa Bułeckiej nie piłem. Ćwiczyłem silną wolę, katując się widokiem tych wszystkich butelek i pijaków.

Nawet zamawiałem wódkę, żeby przez cały czas mieć kieliszek przed nosem. Przez moment łudziłem się, że to zadziała. Że zdołam się wyrwać ze szponów nałogu. Wrócić na względnie normalną ścieżkę. Ale wtedy Kostka zabił Magdę. – Podniósł wzrok na prokuratora. – I tak zaczął się ciąg, który trwa już ponad pół roku.

Warga próbował wytrzymać świdrujące spojrzenie Kawęckiego, ale po paru sekundach spuścił wzrok. Żeby zabić niezręczność i zająć czymś ręce, sięgnął po frytkę. A potem po kolejną. Kilka sekund później całą gębę miał umazaną ketchupem.

– Wciąż nie rozumiem, dlaczego mnie tu ściągnąłeś – powiedział z pełnymi ustami.

– Musisz przyznać, że niewiele jest miejsc, w których doświadczasz wyłącznie przykrości. W których czujesz się tylko źle. Tak doskonale brzydkich i odpychających. Niemałą sztuką jest stworzenie czegoś takiego, a ja znalazłem tę spelunę w dwie minuty. Może dlatego tak trudno jest mi się z nią rozstać. – Kawęcki pociągnął ostatni łyk piwa i odstawił kufel na blat. Momentalnie przysunął do siebie nietknięty browar Wargi. – Ale już czas.

Patrząc, jak Kawęcki wkłada papierosa do ust, a następnie gmera w kieszeni spodni w poszukiwaniu zapalniczki, jakby chciał wywiercić dziurę w udzie, prokurator przestał ładować frytki do gęby.

– Na co?

– Na reset. – Kawęcki w końcu zapalił papierosa. – Gdy złapiemy Kostkę, skończy się coś więcej niż śledztwo. I dla ciebie, i dla mnie.

– Co to znaczy?

– Domyśl się. – Kawęcki wydmuchnął dym prosto w rumianą twarz prokuratora. – Ściągnąłem cię tu, żeby moje ostatnie wspomnienia z Soboty były równie paskudne jak pierwsze.

Warga pokręcił głową.

– Jesteś obłąkany.

– Ty też. – Kawęcki wyszczerzył żółte zęby. – I dlatego razem pójdziemy na dno.

Artur zaparkował pod blokiem. Warczącym i dudniącym drumandbassowymi rytmami bmw najechał na niebieską kopertę dla niepełnosprawnych.

– Pięć minut go nie zbawi – powiedział.

– Dla ciebie to pięć minut, dla niego całe życie – odparł Witold.

– Od kiedy jesteś rzecznikiem kalek?

– Mam niepełnosprawnego kuzyna. Czasem na rodzinnych spędach siadamy przy oknie i wspólnie się wkurwiamy na kretynów parkujących na kopertach.

– Przeparkować?

Witold wyjrzał przez szybę.

– Nie mamy czasu. Oby to rzeczywiście było pięć minut.

Wysiedli i ruszyli w stronę klatki schodowej, przed którą stała grupka ludzi – dwaj młodzi cywile i dwoje funkcjonariuszy spisujący ich zeznania. Wszyscy czworo gapili się na manewrującą kilka metrów dalej śmieciarkę, która przy akompaniamencie irytującego pikania wycofywała się z gęsto obstawionej samochodami uliczki, typowej dla osiedla imienia Jagiełły.

– Nadkomisarz Witold Ptak. Prowadzę poszukiwania Seweryna Kostki. – Witold pomachał zebrany legitymacją policyjną. – Co się stało?

Policjantka, która przedstawiła się jako starsza posterunkowa Anita Kaczmarek, wystąpiła z grupy. Zerkając do notatek, wprowadziła Witolda

i Artura w sytuację.

– W piątek około godziny dwudziestej drugiej trzydzieści pan Marcin Dudek – wskazała palcem jednego z dwóch facetów ubranych w luźne bluzy, którzy ewidentnie czuli się nieswojo w towarzystwie policjantów – wracał z imprezy. W klatce schodowej minął się z człowiekiem, którego wziął za dozorcę. Był to rosły, mniej więcej dwumetrowy mężczyzna z nienaturalnie gęstą brodą. Po powrocie do domu pan Marcin poszedł spać. Ale z samego rana zadzwonił na policję, twierdząc, że tym dozorcą mógł być Seweryn Kostka.

Witold przeniósł wzrok z policjantki na Marcina Dudka.

– To prawda? – zapytał.

– To mógł być on – odezwał się Dudek. Prawdopodobnie dobijał do trzydziestki, ale przez piskliwy głos i zniewieściałą twarz, z której nie zszedł jeszcze trądzik, wydawał się o dziesięć lat młodszy. – Widziałem zdjęcia tego faceta w internecie. Człowiek, którego minąłem na klatce, był do niego podobny.

– Rozpoznał go pan pomimo brody? W dodatku będąc pijanym?

– Nie byłem pijany, co najwyżej lekko wstawiony. Zresztą to i tak bez znaczenia. Zajmuję się fotografią portretową. Mam dobrą pamięć do twarzy.

– Da się z tego wyżyć? – spytał Artur, żeby nieco rozluźnić atmosferę.

– Jeśli człowiek od czasu do czasu potrafi schować ambicje do kieszeni i pochałturzyć, to tak.

– A kim pan jest? – Witold zwrócił się do stojącego obok Dudka chłopaka, który wyglądał jak jego starszy brat: przystojniejszy, pewniejszy siebie, bardziej męski.

– Kolegą – odparł zapytany, wyrzucając na chodnik wypalonego do połowy mentolowego papierosa. – Przekonałem Marcina, żeby się do was zgłosił.

– Dzwoniliśmy do administracji – odezwała się Anita Kaczmarek. – Dozorcy sprzątaj klatki schodowe między dziewiątą a piętnastą, kiedy większość mieszkańców jest w pracy. Zresztą w tym rejonie robią to głównie kobiety, młode ukraińskie dozorczyńce.

Witold podziękował jej szybkim skinieniem głowy. Zanurkował do kieszeni. Wyjął zdjęcie i podał je Dudkowi.

– Tego człowieka pan widział?

Dudek uważnie przyglądał się fotografii. Po paru sekundach zaczął potakiwać.

– To on – zawyrokował. – Ale teraz wygląda inaczej. Ma mniejszy nos i węższą twarz. Wydawał się młodszy i szczuplejszy niż na zdjęciu.

Witold spojrział na Artura, ale nic nie powiedział. Nie musiał. Obaj doskonale wiedzieli, co to oznacza. Już wcześniej podejrzewali, że Kostka chirurgicznie zmodyfikował swój wygląd. Jego jedyne zdjęcie zamieszczone w internecie znacznie różniło się od tego, które miał w dowodzie osobistym. Jeśli Dudkowi coś nie poprzestawiało się w głowie, Kostka prawdopodobnie przeszedł kolejną metamorfozę.

– Chcielibyśmy, żeby popracował pan z naszymi grafikami i pomógł im zaktualizować wygląd mężczyzny ze zdjęcia – powiedział Artur.

– A więc to on? Ten zabójca?

– Wiele na to wskazuje.

Dudek wydawał się wstrząśnięty nowiną. Taka reakcja oraz fakt, że jeszcze nie wspomniał o nagrodzie, mogły oznaczać, że mówi prawdę.

– Gdzie dokładnie pan go zobaczył? – spytał Witold.

– Minęliśmy się między pierwszym a drugim piętrem.

– Proszę nam pokazać. Państwo mogą tu poczekać.

Witold z Arturem ruszyli za Dudkiem, który wpisał kod w domofonie i wszedł do budynku. Wdrapali się po schodach na półpiętro, na którym świadek miał widzieć Kostkę. Witold rozejrzał się dookoła. Klatka schodowa była schludna i czysta. Sprawiała wrażenie miejsca, o które w najwyższym stopniu dbają sami lokatorzy – nie zagracając jej rowerami ani wózkami dziecięcymi, nie śmiejąc, nie krusząc, nie bazgrząc po ścianie. Z pewnością nie potrzebowała ponadprogramowego sprzątnięcia.

– Co ten mężczyzna miał ze sobą? – spytał Witold.

- Mopa i wiadro. Oraz dużą torbę sportową.
- Dawno nie widziałem swojego dozorca, ale o ile pamiętam, nie nosi ze sobą torby – zauważył Artur. – Widział pan, co zawierała?
- Chyba była zamknięta. Bardziej skupiłem się na jego twarzy.
- Słyszał go pan po wejściu do budynku? – zapytał Witold.
- Wydaje mi się, że tak.
- Co robił?
- Schodził.
- Jest pan pewien, że to nie był któryś z pańskich sąsiadów?
- Nikogo poza nim nie spotkałem. To musiał być on.

Witold zerknął w górę.

- Proszę tu zaczekać.

Pokonał kilkanaście schodów i zatrzymał się na kolejnym poziomie. Rozejrzał się. Potem wdrapał się na najwyższe półpiętro. Po mniej więcej minucie dołączył do niego Artur. Wydawał się równie zdezorientowany jak Dudek.

- Co on mógł tu robić? – zapytał.

Witold podszedł do szerokich okien, przez które wlewały się promienie słoneczne, rozświetlając wnętrze. Były czyste. Podobnie jak cała klatka schodowa.

- Obserwował. – Wycelował palcem w oddalony o kilkanaście metrów budynek. – Obserwował kogoś, kto mieszka po drugiej stronie ulicy.

Artur podążył za palcem Witolda. Przez kilkanaście sekund przyglądali się w milczeniu betonowej ścianie, z której wyrastało kilka mniej lub gorzej widocznych okien z porozsuwanymi żaluzjami.

Z tego dziwnego odrętwienia, w którym jednocześnie dało się wyczuć radość i trwogę, wyrwały ich wibracje telefonu. Witold wyjął go z kieszeni i zerknął na wyświetlacz.

- Kurwa mać! – warknął.
- Co się stało?

Witold przez dłuższą chwilę wpatrywał się w ekran. Milczał.

– Muszę na moment zniknąć – powiedział w końcu. – Postaram się szybko wrócić. A ty w tym czasie wyprowadź stąd tych ludzi i poinformuj o wszystkim Adamskiego. I spróbuj się dowiedzieć, kto mieszka w lokalach, które widać z dwóch najwyższych półpięter. Możemy tam znaleźć ostatnią potencjalną ofiarę Kostki.

– Ostatnią?

– Miejmy nadzieję.

– Jak to „ci uciekł”?

Kawęcki włożył do ust dwie tabletki przeciwbólne. Popił wodą z kranu, którą kilka minut wcześniej nadludzkim wysiłkiem zdołał przelać do butelki. Siedział na łóżku, oparty plecami o ścianę, i gapił się na swoje nogi, czekając, aż świat przestanie wirować.

– Upiłem się – powiedział.

– To widzę – prychnął Witold. – W jaki sposób ci uciekł?

– Nie wiem. Byliśmy wczoraj w Sobocie. Sporo wypłem. On okazał się abstynentem. Wróciliśmy do domu i położyłem się z gnatem pod drzwiami, żeby nie mógł wyjść. Ale jakoś mu się to udało.

– Jakoś – powtórzył Witold. – Nic nie pamiętasz?

Kawęcki ostrożnie pokręcił głową.

– Zabrał mój samochód. A przynajmniej tak mi się wydaje. Nie widziałem nigdzie kluczyków.

Witold zrobił obchód po mieszkaniu Kawęckiego. Wyglądał przez wszystkie okna po kolei, wypatrując auta. Gmerał w śmieciach rozrzuconych na biurku. Szukał jakichkolwiek śladów, które mógł zostawić Warga. Jakichkolwiek podpowiedzi, dokąd mógł pojechać. Nic jednak nie znalazł.

Kiedy wrócił do sypialni, Kawęcki siedział w takiej samej pozycji jak przedtem. Przypominał trupa, którego nikt nie chciał przetransportować do prosektorium.

– Powiedz, proszę, że to zaplanowałeś. Że zabrałeś Wargę do Soboty, aby oswoił się z myślą, że nic mu nie zrobisz. Żeby poczuł, że nie wyrządzisz mu krzywdy. Że może ci zwać. – Witold podszedł do łóżka. Położył Kawęckiemu dłonie na ramionach. – Powiedz, proszę, że w tym twoim pokręconym mózdzku zrodził się kolejny popieprzony plan. Że Warga spierdolił, ponieważ chciałeś, żeby to zrobił.

Kawęcki uniósł głowę i spojrzał Witoldowi w oczy. Ale raczej nie dostrzegł, jak niewiele dzieli go od tego, żeby dostać w mordę.

– Powiedz, że zostawiłeś w samochodzie nadajnik, który doprowadzi nas do tłuściocha, a przy odrobinie szczęścia również do Kostki.

Kawęcki nadal milczał. Jakby ktoś zasznurował mu usta niewidzialną nicią.

– A mogłeś trzymać go w tym jebanym garażu – warknął Witold.

– Nie mogłem – wymamrotał Kawęcki.

Witold odsunął się od łóżka i z wściekłością trzasnął swoim wielkim łapskiem w szafkę nocną. Kawęcki zaczął uważnie mu się przyglądać. Wolałby go nie irytować. Nie dokładać zmartwień. Nie podsycać drzemiącej w nim furii. Ale ten teatrzyk jest niezbędny.

O pewnych sprawach Witold nie powinien wiedzieć.

Kiedy Alicja wyjrzała przez wizjer, zamarła. Nie spodziewała się, że jeszcze kiedyś zobaczy tego mężczyznę przed swoimi drzwiami. Nie chciała go widzieć. Nie teraz. Nie w sytuacji, w której nie wie, czy powinna go nienawidzić, czy mu współczuć. Czy rzucić się w jego objęcia, czy splunąć w twarz.

Mimo to zerknęła w lustro. Poprawiła swój luźny, niechlujnie wyglądający sweter. I przez sekundę pożałowała, że nie włożyła na siebie czegoś lepszego.

Otworzyła drzwi.

– Pamiętałem kod do domofonu – wyjaśnił Możejko, a następnie wyciągnął zza pleców pudełeczko czekoladek. – Przepraszam.

Alicja popatrzyła na podarunek. Spodziewałaby się po nim czegoś innego. Kwiatów albo wina. Czegoś – zważywszy na okoliczności – mocno

przestrzelonego. Ale Możejko wybrał wariant bezpieczny. Nijaki. Idealnie wyśrodkowany między pełnym przebaczeniem a ciosem w zęby.

Wpuściła go. Podreptała do kuchni i rzuciła czekoladki na stół. Jak bezużyteczny śmieć, który zrobił tylko krótki postój przed wylądowaniem w koszu.

– Już się nie ukrywasz? – zapytała, stając przy stole z rękoma splecionymi na piersi. – Już jesteś odważny?

– Nigdy nie byłem i nie będę tak odważny jak ty. Chyba już ci to mówiłem.

– Po co przyszedłeś?

Możejko wyczuł, że Alicję drażni jego spojrzenie, więc przeniósł wzrok w głąb jej skromnie umeblowanej kuchni.

– Dogadałem się z Halbertem. Pokazałem mu książkę. Chciałem, żeby miał świadomość, o co toczy się gra. Żeby wiedział, że też mamy argumenty.

– I?

– Zawarliśmy pakt o nieagresji. Myślę, że w sytuacji, w której się znaleźliśmy, to najlepsze, co mogliśmy ugrać.

– Co ty mogłeś ugrać – poprawiła go Alicja. – Ja już przegrałam. Wypadłam z gry. Jestem jedynie duchem. Pozbawioną ciała zmorą, która krąży nad tą historią.

– Nie mów tak.

– Ale to prawda. Ty powinieneś wiedzieć o tym najlepiej.

Podeszła do zlewu. Nalała wodę do szklanki. Postawiła ją na stole i przesunęła w stronę Możejki. Odpowiedział jej oszczędnym, ale wdzięcznym uśmiechem.

– Szukasz pracy? – spytał, zerkając na ekran laptopa.

– Najwyższy czas.

– W mediach?

– Prawie. W PR. Nie uśmiecha mi się perspektywa pisania informacji prasowych na temat jakichś korporacyjnych bzdetów, ale przypuszczam, że to jedna z niewielu rzeczy, z którymi sobie poradzę. Poza tym dziennikarze z reguły

nie mają problemu z tym, aby dostać się do agencji PR. Nawet ci ze zszarganą opinią.

– Zaliczasz się do nich?

– Zdziwiłabym się, gdyby było inaczej. Ludzie, z którymi postanowiłeś pójść na układ, pewnie zamknęli mi drzwi do większości redakcji w mieście.

Możejkowi chciał jej powiedzieć, że przesadza. Że dramatyzuje. Że z całą pewnością nie jest tak źle. Ale nie miał odwagi. Ani pewności, czy powiedziałaby prawdę.

– Chętnie ci pomogę – oznajmił. – Nie tylko w szukaniu pracy.

– Niby w czym?

– We wszystkim. W czymkolwiek zechcesz. Chciałbym po prostu być blisko ciebie.

Parsknęła i pokręciła głową. Ściągnęła rękawy swetra i wczepiła się w nie palcami, niemal zasłaniając dłonie. Jakby się bała, że Możejko może wykorzystać każdy nagi kawałek jej ciała, żeby się do niej przysaść.

– Po co? – spytała.

– Może dlatego, że bardzo cię lubię i dobrze mi w twoim towarzystwie. Albo ze względu na naszą krótką romantyczną przeszłość. A może podskórnie czuję, że jestem ci coś winien, i próbuję się odplacić. Nie jestem pewien. Nie rozbraiałem tej potrzeby na czynniki pierwsze. Po prostu wiem, że chcę być blisko ciebie. Jako twój przyjaciel.

– Jak to sobie wyobrażasz? Bo jak na mój gust kumplowanie się z seksoholikiem i kokainistą może być trudne. Zwłaszcza dla kobiety, która od pewnego czasu nienawidzi mężczyzn.

– Nie chcę władować ci się do łóżka. Zależy mi na tym, aby od czasu do czasu do ciebie zadzwonić, umówić się z tobą na kawę, może raz na jakiś czas zaprosić na wino. W moim życiu niewiele jest rzeczy prostych, łatwych do przewidzenia, typowych. Nasza relacja też taka nie będzie. Nie ma na to żadnych szans. Ale chciałbym, żeby jakaś była. Żebyśmy nie udawali, że nie istniejemy.

Alicja przejechała językiem po zębach, jakby się chciała upewnić, że jej kompozytowe licówki jeszcze się trzymają.

– Okej – powiedziała.

– Okej?

– Spróbujmy. Nie planujemy niczego, nie narzucamy ram naszej znajomości. Po prostu przestańmy udawać, że nie istniejemy.

Możejko przeniósł na nią wzrok. Uśmiechnął się. Jednym ze swoich firmowych uśmiechów. Jeszcze nie lubieźnym, ale już nie neutralnym.

– Tylko musisz o czymś wiedzieć. – Alicja także się uśmiechnęła. – Ja z tymi ludźmi jeszcze nie skończyłam.

– Wiem. Mówiłaś o tym ostatnio.

Pokręciła głową.

– Już się za nich wzięłam.

– Jak to?

– Oglądasz czasem telewizję? – zapytała, obserwując z satysfakcją, jak uśmiech zsuwa się z twarzy Możejki.

Adamski wszedł do stuningowanego bmw Artura. Popatrzył na kierowcę, który skrzętnie coś zapisywał w notatniku, zupełnie nie przejmując się naporzającymi z głośników elektronicznymi dźwiękami. A wręcz bazgrząc w ich rytmie.

– Przycisz to – powiedział Adamski. – Co już wiadomo?

Artur poruszył pokręteł głośnika, po czym wycelował długopisem w okna.

– Z tych dwóch okien Kostka mógł obserwować łącznie sześć mieszkań. Rozmawiałem z facetem z administracji. Udało mi się ustalić, kto tam mieszka.

– I co?

– Nico. – Artur przekręcił się w stronę naczelnika i przybliżył notatnik do oczu. – Dwa trzydziestoparoletnie małżeństwa z dziećmi w wieku wczesnoszkolnym. Samotny dyrektor firmy ubezpieczeniowej. Para czterdziestolatków pracujących w korporacjach. Grupa zagranicznych studentów, która wynajmuje mieszkanie od sześćdziesięcioletniego małżeństwa. I dwoje

emerytów. – Przeniósł wzrok na Adamskiego. – Jeżeli facet z administracji przekazał mi aktualne dane, to nie ma tu nikogo, kto pasowałby do charakterystyki ofiar Kostki. Żadnych studentek, rozwódek, samotnych młodych kobiet.

Adamski przymknął oczy i pomasaował czoło.

– Rozmawiałeś już z tymi ludźmi?

– Jest dwunasta, więc pewnie większości z nich nie ma w domu. Poza tym nie wiem, jak się do tego zabrać. Nie chcę się tam szwendać, żeby nie spłoszyć Kostki.

Adamski rozchylił usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale zaraz potem się rozmyślił. Przez kilkanaście sekund siedzieli w milczeniu, kombinując, jak wyjść z impasu, gdy nagle ktoś otworzył tylne drzwi. Witold wcisnął swoje cielsko na tylną kanapę.

– A ty gdzie polazłeś? – spytał Adamski.

– Później ci powiem. – Witold rzucił szefowi zimne spojrzenie. – Na czym stoimy?

Artur szybko wprowadził go w sytuację, opowiadając mu to samo, co chwilę wcześniej przekazał Adamskiemu.

– Czyli na pierwszy rzut oka nie ma tam nikogo, kim mógłby się interesować Kostka, a w dodatku nie możemy tego w prosty sposób zweryfikować – podsumował Witold. – Co robimy?

– Ustawmy zasadzkę – zaproponował Artur. – Poczekamy do wieczora i zobaczymy, czy się pojawi.

Adamski pokręcił głową.

– Nie możemy beczynn timer czekać. Może się okazać, że Kostka już zakończył obserwację i teraz poluje na którąś z tych osób na mieście. Musimy z nimi czym prędzej porozmawiać.

– Czyli chcesz, żebyśmy sprawdzili wszystkich, najlepiej trzymając się z dala od tego miejsca? Żeby nie wypłoszyć Kostki?

– Właśnie tak.

– Chcesz mieć ciastko i zjeść ciastko – odezwał się Witold. – To możliwe. Znamy nazwiska i pewnie wystarczy trochę pogrzebać w necie, żeby się dowiedzieć, gdzie ci ludzie pracują. – Ciężko westchnął. – Gorzej, jeśli nic nie znajdziemy. Wówczas trzeba będzie zajrzeć pod dywan.

– To znaczy?

– Kostka morduje zdeprawowane kobiety. Jeżeli przygląda się którejś z tego bloku, może wiedzieć o niej więcej niż jej mąż. A to oznacza zadawanie niewygodnych pytań. – Witold wyciągnął papierosa, ale zamiast włożyć go do ust i zapalić, pomachał nim, jakby święcił pokarm w Wielką Sobotę. Zapomniał tylko wykonać znak krzyża. – Do tych starców też musimy dotrzeć. Kostka może polować na ich córkę albo wnuczkę. Jeśli będzie trzeba, przebiorę się za kominiarza albo hydraulika i do nich pójde.

– Albo za księdza – rzucił Adamski.

Chciał w ten sposób rozładować napięcie, ale ani Witold, ani Artur się nie roześmiali. Jakby na parę sekund ogłuchli.

– A co z zasadzką? – spytał Artur.

– Zostawimy jednego z naszych przed budynkiem – powiedział Adamski. – A do tego ściągniemy antyterrorystów. Będą czekać w gotowości. Ruszą, gdy tylko nasz człowiek zobaczy Kostkę.

– Mam dzisiaj wolny wieczór. Mogę się na niego zacziąć.

– To musi być nierzucający się w oczy człowiek w nierzucającym się w oczy samochodzie. Ciebie i twoją betę trudno byłoby przeoczyć.

– Nie kupiłem jej po to, żeby być niewidzialnym.

Adamski wymownie westchnął.

– Szkoda, że Kostka też tak nie pomyślał. – Zerknął na zegarek. – Mamy trzy i pół godziny, zanim ludzie zaczną wychodzić z pracy. Do roboty.

Zaciągnął żaluzje. Ktoś mógłby pomyśleć, że to dziwne. Że odcinanie się od światła słonecznego w środku dnia jest czymś nienaturalnym. Niepokojącym. Wampiryzm. Ale Seweryn zadbał o to, żeby nikt tak nie pomyślał. Wybrał pokój,

który dla ludzi z zewnątrz był praktycznie niewidoczny, ponieważ przesłaniało go osobliwe, rosnące niemal w poprzek drzewo.

– Założę się, że to było twoje ulubione pomieszczenie – powiedział.

Pokój miał niedużą powierzchnię. Był wąski i nieproporcjonalnie długi. Bardziej niż graciarnię, w której jeszcze kilka godzin wcześniej leżały dawno nieużywane narzędzia, książki, kilka zniszczonych krzeseł i dwa rozłożone na części rowery, przypominał przedsionek. Albo korytarz w maleńkiej bibliotece. Nawet kiedy już Seweryn usunął z niego wszystkie rupiecie, wydawał się klaustrofobiczny. Był odstręczającą klitką. Ciasną norą. Miejscem, które porażało skromnością i minimalizmem.

Idealnym na prywatną kapliczkę.

– Zakładam, że przychodziłaś się tu pomodlić. Porozmawiać z Bogiem. Pokontemplować. Że prosząc o przebaczenie, myślałaś o mnie. – Seweryn spojrzał w kąt pokoju. Na nią. – Wyobrażam sobie, że chowałaś się tutaj, żeby się wypłakać.

Przy jednej z dłuższych ścian, poprzecinanej licznymi zadrapaniami i plamami ze smaru, zaczął rozstawiać świece. W równych kilkunastocentymetrowych odstępach. Wszystkie były jednakowo białe i nieskazitelnie czyste. Niczym wypływające z oczu łzy, które zamiast skapnąć na podłogę, trafiają w niekończący się obieg. Seweryn zastawił świeczkami całą ścianę. Zrobił kilka kroków do tyłu, jakby się przymierzał do zrobienia zdjęcia, i przyjrzał się swojej konstrukcji. Pokiwał głową. Był zadowolony.

Wszedł do przedpokoju. Schylił się i podniósł z podłogi dwie długie kantówki, które przypominały wyrwane ze stropu belki. Zważył je w dłoniach. Powinny się nadać. Powinny ją utrzymać.

Ułożył je na podłodze w taki sposób, że uformowały literę „T”. Sięgnął po skrzynkę z narzędziami. Za pomocą młotka oraz gwoździ zaczął łączyć ze sobą belki.

Kiedy skończył, podniósł krzyż i wszedł z nim do wąskiego pokoju. Przyłożył go do ściany.

Pasował idealnie. Tak jak to sobie wyobrażał.

– Wiesz, że Jezus nie zmarł przez ukrzyżowanie? – zapytał, nie licząc na odpowiedź. – Mógł umrzeć przez wycieńczenie, odwodnienie albo, co najbardziej prawdopodobne, wykrwawienie. Najpewniej był już ledwo żywy, kiedy przybijano go do krzyża. Jego los został przesądzony po biczowaniu i ukoronowaniu cierniem. Dlatego niektórzy uważają, że Jezus nie wdrapał się na Golgotę o własnych siłach. Że nie było żadnego pocieszania niewiast. Żadnego obiecywania rajy Dobremu Łotrowi czy kosztowania octu. Jeżeli mają rację, to ukrzyżowanie jest mistyfikacją albo daleko idącym uproszczeniem. – Zerknął w ką. – Ale ja nie mam z tym problemu. W końcu to tradycja.

Podszedł do niej. Pogłaskał ją po głowie. Po zniszczonych popielatych włosach, które przez kilka tygodni tak bardzo pragnął wyrwać. Potem dotknął wierzchem dłoni jej policzków. Uśmiechnął się, jakby chciał ją po raz ostatni zirytować.

– Żałuję, że nie umrzesz na krzyżu. Zasłużyłaś na męczeńską śmierć. Dam ci przynajmniej namiastkę tego, na co tak ciężko pracowałaś.

Uklęknął na jedno kolano. Zanurkował do kieszeni. Wyjął taśmę samoprzylepną. Pomagając sobie zębami, oderwał dwa kilkucentymetrowe kawałki. Przyłożył je do jej powiek, które następnie podkleił do czoła, aby nie opadły.

– Pozwolę ci obejrzeć wielki finał.

Przez większość życia była ślepa. Nie dostrzegała Boga. Nie zauważała swoich grzechów. Nawet nie poznała jedynej istoty, której dała życie. Ale Seweryn chciał, żeby na koniec widziała wszystko dokładnie. Żeby podziwiała. Żeby w końcu mogła go zrozumieć. Chciał, żeby była rejestratorem jego wyczynu. Czujnym, milczącym świadkiem, który niczego nie przegapi. Którego nic nie zgorszy. Z którym będzie mógł prowadzić jednostronną konwersację.

A przede wszystkim chciał zaglądać w martwe oczy swojej wyrodnej matki.

Tak. Tego pragnął najbardziej.

Od kilku minut samochód Quentina stał na poboczu. Kierowca nie używał świateł ani wycieraczek. Przyglądał się dużym kroplom deszczu, które rozbijały się na przedniej szybie jego samochodu. Ograniczały mu widoczność, ale nie do tego stopnia, żeby nie był w stanie dojrzeć zdezelowanego auta zaparkowanego przy jednym z dystrybutorów paliwa. Oraz otyłego faceta, który niezdarnie próbował zatankować nienależący do niego pojazd.

Debil, pomyślał Quentin. Choć jeździ tą furą od kilku dni, nie zdołał się połapać, czy to benzyniak, czy diesel.

Quentin nieznacznie uchylił okno, zapraszając do środka nieprzyjemnie zacinający deszcz. Chciał się trochę ocucić. Inaczej niż zazwyczaj. Bez używania koksu. Bez doładowywania się dragami. Bez sztucznych dopalaczy. Postanowił, że je ograniczy. Że nie pozwoli im się zdominować. Że nie stanie się kolejnym nakoksowanym trepem, który przez większość dnia jest zbyt nakręcony, żeby podejmować racjonalne decyzje.

Nie. On miał plan. I wiedział, co powinien zrobić, żeby ów plan wypalił.

Kiedy grubas wyszedł ze sklepu i wpakował cielsko do fury, Quentin podniósł szybę. W końcu zapalił światła i uruchomił wycieraczki. Poczekał, aż spaślak wyjedzie ze stacji, po czym włączył się do ruchu. Zachowując mniej więcej

pięćdziesięciometrowy dystans, ruszył za nim aleją Włókniarzy. W uciążliwych strugach deszczu wolno sunęli na południe miasta.

Quentin miał nadzieję, że już niedługo nie będzie musiał uczestniczyć w takich akcjach. Nie dlatego, że ich nie lubił. Po prostu uważał, że nie licują z jego pozycją. Z doświadczeniem, jakie zdobył. Z jego znajomościami. Ze statusem, na który tak ciężko pracował. W końcu był capo. A przynajmniej tak nazywał go Roman, jego rozmówany w filmach gangsterskich szef. Tyle że gdy to mówił, zawsze się głupkowato uśmiechał. Nie traktował Quentina jak capo. Nie ustalał z nim strategii. Nie konsultował decyzji. Nie widział w nim najbliższego doradcy, tylko psa gończego. Bestię do szczucia wrogów. Pieprzonego psychopatę. Rozwścieczony kawałek mięcha armatniego, który w dowolnej chwili może rzucić na pole bitwy.

Dlatego kiedy rok temu Roman wezwał go do gabinetu i przedstawił swój plan, Quentin bardzo się zdziwił. Tego się po szefie nie spodziewał. Ani tego, że sam tak szybko będzie musiał przejść transformację. Dojrzeć. Udowodnić, że jest kimś więcej niż facetem od mokrej roboty. Że może być liderem.

A to wymagało żelaznej dyscypliny. Żadnego koksu. Żadnych prywatnych wendet. Żadnej samowolki. Swoją gotowość musiał udowodnić idealną realizacją planu Romana.

Kiedy dojechali do świateł, Quentin zmienił pas, żeby mieć obiekt na oku. Widział, że Tłuszcioch po raz kolejny przystawił telefon do ucha. Nic nie mówił. Postępował zgodnie z przypuszczeniami Kawęckiego. Gdy tylko wy dostał się z jego mieszkania, pojechał do siebie. Upewnił się, że w środku nie ma nikogo, i wszedł na górę. Wrócił po kilku minutach, przebrany w czarne spodnie i białą bluzę. Wsiadł do samochodu Kawęckiego i wyjechał z centrum. Kierował się w stronę Zgierza, jadąc najpierw Kościuszki, a potem Zgierską. Ale w pewnym momencie nieoczekiwanie zawrócił.

To nie była jego decyzja. To nie on pociągał za sznurki. Tłuszcioch jedynie pokornie wykonywał polecenia faceta, z którym rozmawiał przez telefon. Jadł,

srał i jechał tylko wtedy, kiedy tamten mu na to pozwalał. Był jego bezwolną marionetką.

Faceta, który zajeżdżał im ciężarówkę. Pieprzonego zabójcy kobiet.

– I co teraz, grubasie?

Quentin wolno wystartował ze świateł i zanim ponownie zjechał na środkowy pas, dał się wyprzedzić kilku samochodom. Podążając za spaślakiem, zastanawiał się, czy nadaje się do roli, której tak pragnął. Czy byłby dobrym bossem. Nie miał wątpliwości, że miałby posłuch u ludzi. Już teraz odnosił wrażenie, że niektórzy szanują go bardziej niż Romana. A przynajmniej bardziej się boją. Nie miałby oporów przed rządzeniem twardą ręką i wymierzaniem srogich kar za nieposłuszeństwo. Poradziłby sobie ze skompletowaniem armii oddanych żołnierzy. Tylko czy poszliby za nim dlatego, że jest dobrym liderem, czy ze strachu? Czy rozumieliby jego decyzje? Czy uważaliby, że jest właściwym facetem na właściwym miejscu? Czy widzieliby w nim naturalnego sukcesora Romana, czy też traktowałiby go jak twardogłowego buca, któremu dla własnego dobra lepiej się nie sprzeciwiać? Czy przetrwałby pierwszy bunt w organizacji? Czy ludzie stanęliby po jego stronie, gdyby zgraja wkurwionych maminsynków postanowiła go obalić?

Czasami myślał, że Roman tylko się z nim droczy. Że dla świętego spokoju obiecuje rzeczy, których wcale nie zamierza mu dać. Ale wtedy próbował wejść w buty szefa. Postawić się na jego miejscu. Pomyśleć tak jak on. I dochodził do wniosku, że Roman by tego nie zrobił. Nie zaryzykowałby jego gniewu. Był na to zbyt bystry. Zbyt ostrożny. I mimo wyjątkowo niesprzyjających okoliczności zbyt mocno pragnął żyć.

Quentin przerwał swoje rozważania, kiedy tłuszcioch zjechał na prawy pas i ominął potężną estakadę wyrastającą nad Karolewską, Mickiewicza i Bandurskiego. Na wysokości dworca Łódź Kaliska ustawił się w sznurze samochodów szykujących się do skrętu w prawo. Obok kawalkady aut maszerował chodnikiem rozwrzeszczany tłum kibiców ŁKS-u. Quentin zerknął

na zegarek. Piętnasta. Zostały dwie godziny do meczu, a tłuścioch nie wyglądał na fana piłki nożnej.

– Co ty kombinujesz?

Gapiąc się na grupę zataczających się facetów w jasnych bluzach, nieprzejmujących się coraz silniejszym deszczem, Quentin zrozumiał, o co w tym wszystkim chodzi. Ktoś, z kim tłuścioch rozmawiał przez telefon, kazał mu się wtopić w tłum. Zniknąć między dziesiątkami naprutyh ełkaesiaków. Wiedział, że Kawęcki założy mu ogon.

Sprytnie, pomyślał Quentin. Ale nie dość sprytnie. Ten geniusz nie przewidział, że grubasowi siądzie na ogonie facet, który od trzydziestu lat chodzi na mecze ełksy. I który zna stadion jak własną kieszeń.

Quentin nie wiedział, dlaczego Romanowi tak bardzo zależało, żeby to on zajął się tym facetem. Ale jeśli miał to być jego pierwszy prawdziwy test, zamierzał zdać go celująco. Chciał naprawić wszystkie błędy, które dotąd popełnił. Raz na zawsze.

Marzena Gawin wyglądała tak, jakby w każdej sekundzie mogła zemdleć. Ubrana w gruby rozpinany sweter, miała nieco potargane ciemne włosy, które sięgały jej do ramion, i złęknione spojrzenie. Siedziała przed policjantami, obejmując się rękoma i ściskając w dłoni wymiętą chusteczkę, którą nieustannie wycierała zaczerwieniony nos. Choć ostatnie osiem godzin spędziła w biurze, sprawiała wrażenie poważnie wyziębionej. W dodatku ciągle niepewnie zerkała w stronę okna, jak gdyby się obawiała, że szalejące na zewnątrz piekło może się wedrzeć do środka.

– Przepraszam – powiedziała z tak zapchany nos, że ledwo dało się ją zrozumieć. – W normalnych firmach ludzie idą do lekarza albo zostają w domu, kiedy są chorzy. Ale to nie jest normalna firma.

Nerwowo rozejrzała się po wnętrzu salki konferencyjnej usytuowanej na parterze dwupiętrowego domu, siedziby niewielkiej agencji nieruchomości.

Jakby się spodziewała, że w kątach pomieszczenia mogą być pochowane pluskwy.

– Nie zabierzemy pani dużo czasu – powiedział Witold, wymieniając z Arturem porozumiewawcze spojrzenie. – Musimy natomiast zadać kilka pytań, które mogą się pani wydać nieprzyjemne.

Kobieta pociągnęła nosem, po czym przytknęła do niego chusteczkę. A właściwie to, co z niej zostało.

– Mówiliście, że chodzi o faceta, który podgląda nas przez lornetkę.

– Nie mamy pewności, że tak jest. Ale jeśli nasze podejrzenia są słuszne, mogą państwo być w niebezpieczeństwie. Prawdopodobieństwo jest małe, ale nie możemy tego wykluczyć.

Gawin wzruszyła ramionami.

– Pytajcie. Zawsze miło jest się oderwać od komputera.

Tylko tak ci się wydaje, pomyślał Witold. Przesunął się w stronę biurka i położył ręce na blacie. Był spięty. Przy każdej tego typu rozmowie czuł dyskomfort. Zwłaszcza na początku.

– Czy uważa pani swoje małżeństwo za udane?

Gawin się zawahała. Szukając odpowiedzi, ponownie potarła nos.

– Chyba tak. Nie wiem. Czym według pana jest udane małżeństwo?

Witold chrząknął i zmienił pozycję na krześle.

– Może zapytam inaczej: czy dobrze się pani dogaduje z mężem?

– Myślę, że tak. Nie jest łatwo, kiedy ma się na głowie dwoje dzieci, pracę i kredyt we frankach, ale jeszcze się nie pozabijaliśmy.

Zmusiła się do uśmiechu.

– Nie planowali państwo trzeciego dziecka?

– Nie.

– A czy zdarzyło się pani dokonać aborcji?

Witold chciał, żeby to pytanie zabrzmiało zupełnie niegroźnie. Neutralnie. Żeby było pozbawione ładunku emocjonalnego. Jak pytanie o zwyczaje

śniadaniowe albo porę wstawania. Ale Gawin, wyraźnie zmieszana, rozdziawiła usta.

– Nie rozumiem, dlaczego pan o to pyta. Jaki to ma związek z facetem, który nas podgląda?

– Jeśli mamy rację, tym człowiekiem jest Seweryn Kostka. – Witold zamilkł, żeby sprawdzić, czy to nazwisko coś Gawin mówi. Z jej przerażonej miny wyczytał, że tak. – On prawdopodobnie poluje na kobiety, które nie przestrzegają nauk Kościoła.

– A jeśli się mylicie? – spytała po chwili Gawin.

– Wtedy zadamy Bogu ducha winnym osobom parę niewygodnych pytań. Chyba warto zaryzykować, co?

Kobieta jeszcze mocniej otuliła się ramionami, jak gdyby chciała się ścisnąć do rozmiaru pudełeczka i schować w kąt.

– Nie – powiedziała. – Nigdy nie dokonałam aborcji. Nie miałam takiej potrzeby. A nawet gdybym zaszła w nieplanowaną ciążę, tobym tego nie zrobiła.

Witold pokiwał głową.

– Czy zdradziła pani kiedyś męża?

– Nie.

– Ta informacja nigdy do niego nie dotrze. Musimy to wiedzieć, żeby...

– Powiedziałam, że nie.

Gawin posłała mu gniewne spojrzenie. Nie kłamała.

– A czy w państwa małżeństwie działo się coś, co mogłoby zgorszyć głęboko religijnego człowieka?

– Na przykład co?

– Kłótnie, przemoc domowa, pijaństwo. Wszystko, co tylko przyjdzie pani do głowy. Proszę się nad tym chwilę zastanowić.

Kobieta zamilkła na kilkanaście sekund. Ciszę mąciły jedynie jej pociągnięcia nosem.

– Naszym największym grzechem jest to, że jesteśmy nudni – wyznała. – Okazujemy sobie zbyt mało zainteresowania. Nie robimy wspólnie nic

ciekawego. Myśleliśmy, że gdy dzieci podrosną, to się zmieni. Ale zamiast ponownie się sobą zainteresować, daliśmy się pochłonąć pracy.

Gawin sposepniała, gapiąc się na środek stołu.

– Długo tu pani pracuje?

– Cztery lata. Czyli o cztery za długo.

– A czym zajmuje się pani mąż?

– Jest przedstawicielem handlowym firmy produkującej elektronikę. Jeździ po Europie i wciska firmom jakiś koreański szmelc.

– Myślałem, że Koreańczycy już się nauczyli produkować elektroniczne zabawki – włączył się milcząco do tej pory Artur.

– Najwyraźniej nie wszyscy – odparła Gawin.

– Gdzie możemy znaleźć pani męża? – spytał Witold.

– W Berlinie. Dzisiaj rano poleciał na jakieś targi branżowe.

– Jak możemy się z nim skontaktować?

– Dam wam jego numer. Zadzwońcie. Połączenia z nieznanym numerem zawsze odbiera. Podejrzewa, że może dzwonić klient.

Kiedy kilka minut później policjanci stanęli przed budynkiem, Witold wyciągnął papierosa i włożył go do ust. Ale zanim zapalił, wpisał do kontaktów numer Macieja Gawina.

– Znowu pudło – powiedział Artur, zerkając do notatek. – Już czwarte. Krążymy wokół tych ludzi jak prawiczek w majtkach dziwki.

– Może zadajemy im złe pytania. Może naciskamy w niewłaściwych miejscach. A może powinniśmy się skupić na facetach. – Witold wzruszył ramionami. – Mam wrażenie, że tylko ślizgamy się po powierzchni.

– Albo jesteśmy w czarnej dupie.

Witold w końcu zapalił. Następnie zerknął na zegarek. Szesnasta.

Albo jesteśmy w czarnej dupie, pomyślał.

– Mamy jeszcze trochę czasu. Pogadajmy z innymi. Potem ustawimy tę pieprzoną zasadzkę.

Im mniej wiesz, tym dłużej żyjesz.

Zbigniew Halbert zawsze uważał, że to wyjątkowo durne powiedzenie. Wygłaszane przez aktorów w tandetnych filmach akcji. Zarezerwowane dla prymitywów i efekciarzy. Traktowane jako nędzne usprawiedliwienie niewiedzy. Jako argument za życiem w nieustannym półmroku.

Ale zdarzały się okoliczności, w których było prawdziwe. Na przykład wtedy, gdy Halbert stał między ociekającymi wodą kontenerami na śmieci i przyglądał się dwóm mężczyznom w fartuchach, leniwie palącym papierosy na zapleczu jakiejś mordowni. Nie wiedział, jak się nazywają. Nie miał pojęcia, czym się zajmowali, zanim tu trafili. Nie znał ich przeszłości. Nawet nie próbował się dowiedzieć, kim dla siebie są: braćmi, przyjaciółmi, współnikami czy kochankami. Wiedział tylko, że znali się z Borysem Welińskim.

I wiedział, w czym razem z nim wzięli udział.

– Już czas – oznajmił. – Wiecie, co macie robić?

Zgodnie pokiwali głowami, wypuszczając z obrośniętych gęstą szczecina ust kłęby dymu. Wierzyli w to, że wiedzą. Ale Halbert za grosz im nie ufał. A na ryzyko nie mógł sobie pozwolić.

– Jutro rano zgłosicie się na policję. Będziecie zmęczeni i pijani. Ale nie zalani w trupa, ponieważ musicie zostać uznani za wiarygodnych. Przyznacie się do gwałtu. Powiecie, że zrobiliście to razem z Welińskim. Czy to jasne?

Ponownie pokiwali głowami. Tym razem z delikatnymi uśmiechami przyklejonymi do twarzy. Jakby rozweseliło ich wspomnienie tamtego wieczoru w parku.

– Powiecie policjantom, że poznaliście się w pubie English Breakfast na Piotrkowskiej. Okazało się, że sporo was łączy. Wojskowa przeszłość, fascynacja bronią i sportami walki, zainteresowanie historią, nacjonalizm. Zaczęliście się regularnie widywać i coraz lepiej poznawać. W końcu wymyśliliście plan. Pomysł na to, jak ukarać to panoszące się wszędzie lewactwo. Te domagające się swoich praw, nieustannie ujadające dziwki. Aktywistki, miłośniczki joggingu i jogi, dziunie robiące karierę w korporacjach. Postanowiliście dopaść jedną

z nich. Nastraszyć. Upokorzyć. Ale sytuacja wymknęła się spod kontroli. Poniosło was. Podpaliliście się. Takie rzeczy się zdarzają, prawda?

Uśmiechnął się do nich, a oni odpowiedzieli mu synchronicznym, kretyńskim rechotem. Jak Beavis i Butt-head. Choć wolałby, żeby byli niczym Richard Hickock i Perry Smith. Dwaj idioci, którzy poznali się w więzieniu i wymyślili, że obrabują rodzinę Clutterów z Holcomb. Ale nie wszystko poszło zgodnie z planem. Zamiast obrabować Clutterów, zamordowali ich. Niedługo później zostali schwytani w Las Vegas, a kilka lat później powieszani w więzieniu stanowym w Kansas.

– Najtrudniej będzie przekonać policję, prokuratora i sędziego, że ta kobieta była przypadkową ofiarą – kontynuował Halbert. – Że nie wiedzieliście, czym się zajmuje ani że miała z kimś na pieńku. Wybraliście ją, bo uosabiała waszą nienawiść do kobiet. Zobaczyliście w parku seksowną laskę i postanowiliście, że to na niej przeprowadzicie pokaz. Decyzję podjęliście w ciągu kilku sekund. A właściwie zrobił to Borys. Wy byliście tylko jego zbrojnym ramieniem. Nadążacie?

Westchnęli i pokiwali głowami. Wydawali się coraz bardziej zirytowani nieufnością, z jaką Halbert traktował ich intelekt.

– Mamy swoich ludzi w policji i prokuraturze – kontynuował. – Pomożemy wszystkim uwierzyć w tę historię. Ale najwięcej zależy od was. Od tego, czy pod presją zdołacie trzymać się tej samej wersji wydarzeń. Czy nie wymiękniecie.

– Nigdy, kurwa, nie wymiękamy – odezwał się po raz pierwszy wyższy z mężczyzn, sprawiający wrażenie mniej prymitywnego i bardziej władczego w tej parze. – Zrobimy to, na co się umówiliśmy. To, za co dostaliśmy pieniądze.

– Świetnie. To teraz najważniejsze. – Przyjrzał im się bacznie. – Wiecie, kim jestem?

Wiedzieli. Musieli wiedzieć. Często pojawiał się w mediach, a od kilku tygodni jego gęba wisiała na billboardach w całym mieście. W którymś momencie musiała im się zaświecić lampka. Halbert tylko sprawdzał, czy są z nim szczerzy.

– Politykiem – powiedział starszy z mężczyzn. – Widziałem cię w telewizji. Ale nie wiem, jak się nazywasz. Ani dlaczego tak bardzo ci zależało, żebyśmy dorwali tę dziwkę.

– I oby tak zostało. Dla waszego dobra.

Kiedy się oddalał, czuł, że przewiercają go wzrokiem. Że życzą mu śmierci. Że chętnie sami by mu ją zadali. Gdyby tylko tak bardzo nie bali się konsekwencji. Gdyby Borys odpowiednio ich nie ustawił.

Spojrzał na zegarek. Osiemnasta. Przed paroma minutami miasto utonęło w mroku. Jego miasto. Za kilka dni, zaraz po wyborach samorządowych, miał zacząć ponownie nim rządzić. Z tylnego fotela. Tak jak lubi najbardziej. Musiał tylko w pełni zapanować nad swoim losem. Przeprowadzić kontrolowany wybuch. Zdetonować ładunek, kiedy będzie mu to na rękę. I gdy nikt nie będzie się tego spodziewał.

Czuł się jak piroman w szeregach straży pożarnej.

– I jak?

– Ciasno jak w cinquecento. Taką furą można parkować w piwnicy. – Artur zaśmiał się ze swojego dowcipu. – Skąd ją wytrzasnęliście?

– Pytałem o sytuację. – Adamski zerknął na Witolda i przewrócił oczami. – Widziałeś kogoś podejrzanego?

– Kilku studenciaków, jakiś czterdziestolatek w gajerze, dwie kobitki wyprowadzające psy. Nuda. Od dwóch godzin skupiam się głównie na tym, żeby nie usnąć. Szczanie do butelki jest moją jedyną atrakcją.

Naczelnik zaklął pod nosem. Siedział z Witoldem w jego samochodzie, kilka przecznic od obserwowanego budynku. Był w stałym kontakcie z Arturem, prokuratorem zastępującym Wargę oraz szefem grupy antyterrorystycznej. Czuł, że wszyscy robią się podenerwowani. Jego też zaczynał zżerać stres.

Zerknął na zegarek. Dwudziesta druga trzydzieści. Sięgnął po krótkofalówkę.

– Czekamy do pierwszej w nocy – oznajmił.

– Przyjąłem – odparł szef antyterrorystów.

Chwilę później Adamski zobaczył, że dzwoni do niego Artur. Odebrał.

– Serio? Chcesz, żebym gnił tu do pierwszej?

– A nawet dłużej, jeśli w mieszkaniach, które może obserwować Kostka, będzie się palić światło. O pierwszej planuję zluzować chłopaków z AT. Nie chcę ich wkurwić.

– Wierzysz w to?

– Nie, pewnie już są wkurwieni.

– Mam na myśli Kostkę. Myślisz, że to był on? Że przyjeżdża tu, aby obserwować ten blok?

– Nie mam pojęcia. Ale jeśli jest choćby minimalna szansa na schwytanie go, musimy spróbować. Przez kilka tygodni pierdzieliśmy w stołek i drapaliśmy się za uchem, więc nic się nie stanie, jeśli teraz przesiedzimy kilka godzin w furze.

– Zrobił pauzę na oddech. – I nie dzwoń do mnie więcej.

Rozłączył się i wrzucił telefon do schowka w podłokietniku. Przejechał dłonią po twarzy. Był wyczerpany. Wiedział, że wtedy robi się irytujący, niemiły i niesprawiedliwy.

Witold uchylił okno i zapalił papierosa. Zanim schował paczkę do kieszeni, poczęstował Adamskiego. Dobrze wiedział, że naczelnik nie pali, ale pomyślał, że tym razem może mieć na to ochotę. Żeby się pobudzić. Żeby się trochę zrelaksować albo chociaż zająć czymś ręce. Żeby się delikatnie sponiewierać. Przygotować na mocniejszy cios, który niebawem może na niego spaść. Ale Adamski odmówił.

– On nie przyjdzie – zawyrokował Witold. – Kostka jest konsekwentny. Skoro ten fotograf widział go o dwudziestej drugiej, pewnie bywał tu wcześniej o tej samej porze.

– Może tym razem postanowił przyjechać później.

– Później nie będzie miał kogo obserwować. Ci ludzie pogaszą światła i pójdą spać. A Kostka nie gapi się na nich dlatego, że ma taki fetysz, tylko po to, by poznać ich zwyczaje. On poluje na kogoś z tego bloku.

Adamski pokręcił głową. Zapatrzył się w szyby samochodu, w które ponownie zaczął bębnić deszcz.

– Kostka przyjdzie. Musi przyjść. Musi, kurwa, przyjść.

Chciał w to wierzyć. Ale wiara nigdy nie była jego mocną stroną.

Spojrzał na zegarek. Dwudziesta trzecia. Jeszcze kilkanaście godzin temu sądził, że o tej porze będzie gdzie indziej. W miejscu znacznie mniej przyjemnym. Obcym. Otoczony ludźmi, którzy go mierzili. Zmuszony do udawania kogoś, kim nie jest.

Jak przez większość życia. Jak przez ostatnie dwadzieścia pięć lat.

Seweryn schylił się i przejechał mopem po podłodze. Mył ją po raz drugi. Lubił czystość. Nie mógłby wytrzymać we własnej skórze, gdyby nie uprzątnął tego chlewu. Nie miało znaczenia, że po nim prawdopodobnie już nikt tam nie zamieszka.

Odstawił mopa do kąta i odczekał, aż podłoga wyschnie. W ciszy. W skupieniu. Nie machając paluchem po ekranie telefonu. Nie wzdychając, jakby ta krótka bezczynność była dla niego karą. Nie memląc jęzorem. Uważał, że brak cierpliwości jest jednym z największych grzechów współczesnych społeczeństw. Powoduje, że ludzie przestają analizować swoje zachowania. Bezmyślnie prą do przodu, nieświadomie niszcząc po drodze to, na czym naprawdę im zależy. Zatracają się w kretyńskim pędzie w nicość. Nie znając przystanków. Nie znając mety. Nie mając bladego pojęcia, po jaką cholere to robią.

Są głupszy niż małpy, pomyślał Seweryn. Kompletnie bezużyteczni. Zbędni. Chętnie by się ich wszystkich pozbył.

Czasem żałował, że nie starczy mu do tego życia.

Spojrzał w głąb pokoju, który przeszyły dwa jasne snopy światła. Po chwili usłyszał cichy pomruk silnika i chrzęst opon na żwirze. Ktoś zaparkował na podwórku. Wyłączył silnik. Wysiadł.

Seweryn, który nadal stał pod ścianą, czekając, aż podłoga wyschnie, nie widział kierowcy. Nie musiał. Wiedział, że rozgląda się wokół, próbując zlokalizować właściwy budynek. Że zerka do folderu z wiadomościami w telefonie, aby przypomnieć sobie instrukcję. Że próbuje oświetlić drogę głównianą poświatą ekranu.

Wyobrażał sobie jego strach. Nieokiełznany łomot serca. Rozszerzone, niespokojne źrenice. Wiedział, jak ludzie reagują w takiej sytuacji. Ci, którzy rzeczywiście go poznali. Nieliczni, którzy przeżyli.

Kierowca zapukał do drzwi. Po kilku sekundach, nie doczekawszy się żadnej reakcji, pociągnął za klamkę. Wszedł. I zamarł, kiedy spotkał karcący wzrok olbrzyma.

– Zdejmij buty – nakazał Seweryn. – Właśnie umyłem podłogę.

Mężczyzna potrzebował kilku sekund, żeby zrozumieć. Ale gdy w końcu załapał, zaczął w pośpiechu ściągać obuwie.

Jakby zapomniał o okaleczonych stopach.

– Czekałem na ciebie.

Seweryn podszedł do prokuratora Wargi. Przyjrzał mu się z bliska.

Po raz pierwszy pokazał mu się bez maski. I po raz pierwszy szczerze cieszył się na jego widok.

– A teraz chodź. Oprawdę cię po twoim nowym domu.

Miał mniej więcej dwadzieścia pięć lat, ogoloną głowę i efektowny tatuaż, który ciągnął się przez całe ramię. Patriotyczna koszulka szczelnie opinała jego muskularne ciało. Na wielkiej jak bochen dłoni widniało kilka blizn, mogących sugerować, że zdarzyło mu się potrzaskać kości na czyjejs facjacie. Potwierdzało to podejrzliwe spojrzenie, którym na wejściu potraktował Kawęckiego. Jednoznacznie zdradzało, że mimo wieku już niejedno w życiu widział.

Stojąc przy barze, Kawęcki zastanawiał się, czy ten młody człowiek wie, jak skończył poprzedni barman Hydry. Czy wie, kim są jego szefowie i w jaki sposób rozprawiają się z wrogami. Czy ma świadomość, że nawet drobna niesubordynacja może go kosztować życie. Czując na sobie baczny, gniewny i pełen irytującej pewności siebie wzrok, Kawęcki odnosił wrażenie, że jest bohaterem komediodramatu. Słodko-gorzkiego filmu, w którym roi się od absurdałnego, niczym nieuzasadnionego okrucieństwa i kawałów z brodą. Miał ochotę doradzić chłopakowi, by jak najprędzej stąd zwiął. Odciął się od tych ludzi. Zniknął, zanim go od siebie uzależnią. Żeby nie popełnił tego samego błędu co on.

Ale zamiast go ostrzec, milczał, siedząc przy schowanym w głębi sali stoliku i gapiąc się na szybko wysychający kufel.

Po kilku minutach pojawił się Quentin. Bez słowa podszedł do stolika. Nie wyglądał na zadowolonego. Jak zwykle.

– Zakładam, że skoro chciałeś się tutaj spotkać, nie masz dla mnie dobrych wieści – odezwał się Kawęcki.

– Zgubiłem go – odparł Quentin. – Spierdolił mi w tłumie.

– W tłumie?

– Na meczu ełksy. Zostawił samochód na parkingu i ruszył w stronę stadionu. Tuż przed wejściem straciłem go z oczu. Musiał znaleźć jakiś kąt, w którym udało mu się zaszyć. Wróciłem na parking, żeby czatować przy jego furze, ale on już po nią nie wrócił.

Kawęcki przez chwilę zastanawiał się nad jego słowami.

– Warga nie wygląda na fana piłki nożnej – powiedział. – Ani czegokolwiek, co wymaga ruchu.

– To nie był jego pomysł. Grubas kilkanaście razy do kogoś dzwonił. Ktoś nim sterował. Jak jakąś pierdoloną spasioną marionetką.

Quentin odwrócił się w stronę barmana. Strzelił palcami. Chłopak pracował w Hydrze od niedawna, ale doskonale wiedział, co to znaczy. Że musi szybko przygotować drinka, ponieważ brak cierpliwości jest jedną z głównych wad jego psychopatycznego szefa. Pewnie już nieraz miał okazję się o tym przekonać.

– To było dziwne – powiedział Quentin. – Na początku myślałem, że Warga chce jak najszybciej wyjechać z miasta. Spieszył się. Zapieprzał w kierunku Zgierza, łamiąc wszelkie przepisy. Ale w pewnym momencie zwolnił, a potem zawrócił. Jakby się nagle zorientował, że za nim jadę.

Kawęcki zapalił papierosa.

– W którym miejscu zawrócił?

– Na wysokości cmentarza. Skręcił w Liściastą, dojechał do Włókniarzy, a potem ruszył w kierunku stadionu. Wtedy przestał się spieszyć. Znalazł nawet czas, żeby zajechać na stację.

– Co tam robił?

– A co się, kurwa, robi na stacji? Tankował.

– Widziałeś go przy kasie?

– Nie.

– A więc nie masz pojęcia, co robił?

– Przecież to właśnie powiedziałem. Czego, kurwa, nie zrozumiałeś?

Barman podszedł do ich stolika i postawił przed Quentinem drinka. Whisky z lodem. Zerknął na Kawęckiego, czekając na zamówienie, ale on tylko pokręcił głową. Nie chciał tego dnia wchodzić w mocny alkohol. A przynajmniej nie przed południem.

– Pokażesz mi, gdzie zostawił samochód?

Quentin popatrzył na Kawęckiego, jakby ten zaproponował mu niezobowiązujący numer. Podniósł drinka do ust i opróżnił go jednym dużym haustem, który jeszcze bardziej wykrzywił jego naturalnie skrzywioną twarz.

– To ostatnia rzecz, jaką dla ciebie zrobię. Potem będziesz musiał spłacić dług. – Quentin włożył rękę do kieszeni kurtki i wyciągnął kluczyki od auta. – Rusz dupę. Długi dzień przed tobą.

Witold wszedł do gabinetu Adamskiego i zamknął za sobą drzwi. Naczelnik spojrzał na niego znad biurka zastawionego brudnymi kubkami i stertą papierów. Próbował ukryć wycieńczenie za wyprasowaną białą koszulą, ogoloną twarzą i starannie ułożonymi włosami, w które musiał wetrzeć sporo żelu. Gdyby jeszcze był w stanie zrobić coś z zaczerwienionymi i podkrążonymi oczami, ktoś mógłby się nabrać i pomyśleć, że jest w niezłej formie.

Ale nie Witold. Nie facet, który od wielu tygodni serwował sobie identyczne tsunami: złożone z kilkunastogodzinnych dni pracy, podczas których bezowocnie uganiał się za psychopatą. A ten raz po raz robił z nich durniów. Tak jak wczoraj, kiedy przygotowali zasadzkę, w którą nie raczył wpaść.

– Źle odłożyłeś słuchawkę. – Witold wycelował w telefon stacjonarny, ledwo widoczny na zagruzowanym biurku.

– Celowo – odparł Adamski. – Mam dość wysłuchiwania marudzenia szefa antyterrorystów i baranów z kierownictwa. Wszystkim się wydaje, że łapanie

seryjnych zabójców jest proste jak walenie konia. A skoro o wilku mowa... – Naczelnik odchylił się w fotelu i splótł ręce na piersi. – Mamy wyniki badań daktyloskopijnych.

– I co?

– Dwie osoby. Jedna z nich to Martyna Bułecka. Prawdopodobnie Kostka zebrał odcisk z jej odrąbanego kciuka.

– A druga?

– Nie wiadomo. To ktoś, kogo nie ma w naszej bazie.

– Kolejna ofiara Kostki?

Adamski potrząsnął głową.

– Raczej sam Kostka. Odcisk należy do mężczyzny. Jeżeli tak, to miałeś rację. On się przyznaje do winy. Nie tylko w sprawie Bułeckiej. – Przesunął w stronę Witolda kartkę umieszczoną w przezroczystej koszulce. – Dostaliśmy kolejny list. Tym razem nadawca dołączył do niego tę kartkę. Nie ma na niej żadnej treści. Jest za to od pyty odcisków.

Witold spojrzał na wymięty świstek. Nie wydawał się świeży. Nie wyglądał, jakby wyszedł spod rąk przebiegłego pedanta, który nie zostawił w mieszkaniu żadnego śladu wiążącego go z zabójstwami. Jeżeli Kostka rzeczywiście wysłał tę kartkę, to znaczy, że nie mogła wyglądać inaczej. Że razem z nadawcą wiadomości musiała wiele przejść.

– Co napisał? – spytał Witold.

Naczelnik sięgnął po kolejną koszulkę, tym razem z listem.

– „Drodzy policjanci i ich współpracownicy, macie dobre chęci, ale niemiłosiernie bładzicie. Spróbuję ułatwić wam pracę. SM”.

– Kurwa! – zaklął Witold. – On wie, że się na niego zaczailiśmy.

Adamski pokręcił głową.

– List przyszedł dzisiaj rano, więc musiał wysłać go wcześniej. Zanim ustawiliśmy zasadzkę. I zanim ten fotograf powiedział, że go widział.

– To skąd wie, że bładzimy? Obserwuje nas?

– Albo ma tutaj wtykę. Do tej pory sądziłem, że to może być Warga, ale przecież Kawęcki więził go przez kilka dni i kontrolował każdy jego ruch. – Adamski postukał palcem w list. – Kostka musiał wysłać tę wiadomość, zanim tłuścioch zwił twojemu zapitemu koleżce.

– Jeśli nie Warga, to kto?

Spotkali się wzrokiem. Pomyśleli o tym samym kandydacie. I ani trochę im się to nie spodobało.

Pierwszy list uznał za pomyłkę. Nie zwrócił uwagi na jego treść. Bezrefleksyjnie go przeczytał i wyrzucił do kosza. Nad drugim przez chwilę się zastanawiał. Zaniepokoił go. Sądził, że mógł zostać wysłany przez kogoś z komendy. Kogoś, kto go dobrze znał i był blisko śledztwa. Przez jakiegoś żartownisia albo człowieka, który lubi stąpać po cienkim lodzie. Jednak dopiero trzeci list go zmroził. Wtedy zrozumiał, kim jest nadawca.

I jak dużo o nim wie.

Komendant Janusz Dębiec zaparkował na początku wąskiej uliczki, która wiała się między blokami, prowadząc do okazałego socrealistycznego gmachu szkoły. Wyłączył silnik. Zerknął w stronę wejścia do podstawówki, przez które masowo wybiegały dzieciaki. W identyczny sposób, w jaki robiły to w jego czasach. Jakby zostały uwolnione z łagru. Widział ich różnokolorowe kurtki, buciki, telefony. Uśmiechy skaczące między buziami, które za chwilę miały się zaczerwienić od wiatru. Te maleńkie, przepełnione radością oczy należące do istot, które jeszcze nie zaznały krzywdy. Które jeszcze nie wiedziały, czym jest zło. Które nie miały pojęcia, że ich radosne popiskiwanie są tylko niepozornym zwiastunem nadciągającej katastrofy.

Pomiędzy tymi dziećmi wypatrzył dziewczynkę. Poruszała się inaczej niż pozostali. Wolniej. Dojrzej. Smutniej. Jakby zachorowała na dorosłość, zanim była w stanie zrozumieć, czym ona właściwie jest.

Niepewnie podniosła głowę. Zlokalizowała jego samochód. Stał w tym samym miejscu, w którym widywała go od kilku dni. Ruszyła w jego stronę.

Czekając na nią, Dębiec po raz kolejny przeczytał list, który otrzymał rano. Pokręcił głową. Nie miał pojęcia, jak do tego doszło. W jaki sposób ten tępy grubas się w to wplątał. Nie miał pojęcia, gdzie się podziewa i co kombinuje. Nie wiedział, czy sam decyduje o swoim losie, czy też wszystko zależy od tego świra. Od faceta, który wysłał listy.

Komendant nieznacznie schylił głowę i opuścił szybę.

– Troszkę szybciej! – zawołał.

Dziewczynka przyspieszyła kroku. Dochodząc do auta, zaczęła ściągać tornister. Wrzuciła go do tyłu i usiadła obok kierowcy.

– Zapnij pasy. Nie chcemy, żebyś przy ostrzejszym hamowaniu wyleciała przez szybę.

Była za mała, aby siedzieć z przodu. Brakowało jej kilku centymetrów. Ale Dębiec chciał mieć córkę obok siebie. Chciał ją widzieć. Kontrolować. A jednocześnie traktować jak równą sobie, a nie jak rozwydrzoną dziesięcioletnią gówniarę.

– Nie zapomniałaś o czymś?

Wychylił się w jej stronę i nadstawił policzek. Dziewczynka poluzowała pas. Pocałowała go. Musnęła ustami jego skórę, jakby poraził ją prąd.

– Dziękuję, że po mnie przyjechałeś, tato.

Spojrzał na nią z uśmiechem. Było jasne, że po nią przyjedzie. Musiał mieć ją blisko. Bliżej niż kiedykolwiek.

– *You're the most precious thing in my life*⁹.

Była dla niego wszystkim. Dosłownie. Tym, co najlepsze. I tym, o czym nikomu nie mógł powiedzieć. Nie chciał z kimkolwiek się nią dzielić. Nie mógł. Nie był w stanie wyrwać kawałka serca i podarować go jakiemuś obłąkańcowi.

Położył dziewczynce dłoń na kolanie. Przekręcił kluczyk w stacyjce. Ruszył.

Wskakując na wyższe obroty, silnik zsynchronizował się z dygotem ciała Marceliny. Jakby byli dwoma jednakowo strapionymi organizmami, skazanymi na niekończące się istnienie.

– Czyli podejrzewacie, że Kostka właśnie przyznał się do wszystkich zbrodni. – Kawęcki spojrział na Witolda, który stał na chodniku przed wejściem na cmentarz Świętego Rocha. Wpychał ręce do kieszeni płaszcza i zasłaniał szyję przed wiatrem. Przypominał wyrosniętego żółwia, który za nic w świecie nie może się wgramolić do skorupy. – Logiczne.

– Co w tym logicznego? – zdziwił się Witold.

– To pokaz dominacji. Pamiętasz tego świra, którego odwiedziliśmy w Gostyninie?

Witold skrzywił się na to wspomnienie.

– Faceta, który poćwiartował siostrę i prawdopodobnie zgwałcił matkę? Pewnie. Takich ludzi się nie zapomina. Niestety.

– On też się przyznał. Zgłosił się na policję i pozwolił skazać. Ośmieszył system, pokazując, że to on będzie do samego końca rozdawał karty. Kostka robi to samo.

– Myślałem, że on karze te kobiety za rozwiązłość, przerywanie ciąży i cholera wie co jeszcze. Że to jest jego misją. Po co miałby jeszcze ośmieszać policję?

– Bo to nie jest tępy katol, któremu nie pasują puszczalskie bzdziągwy. Jego mierzi cały mechanizm społeczny. System, który pozwala się rodzić takim wynaturzeniom. Według Kostki policjanci są współwinni jego istnienia. Zresztą nie tylko oni.

– Te mądrości to efekt twoich sesji terapeutycznych z Wargą?

Kawęcki zignorował złośliwość Witolda. Odwrócił się do niego plecami, żeby się osłonić od wiatru i zapalić papierosa.

– Przypomnisz mi, co tutaj robimy?

Witold rozejrzał się dookoła. Wzdłuż wysokiego cmentarnego muru rozstawione były stragany z wiązkami i zniczami. Każdy z nich zajmowały pary opatulonych od stóp do głów emerytek, których rozmowy ginęły w szumie samochodów sunących Zgierską.

– Warga wcale mi nie uciekł. Wypuściłem go. – Kawęcki poczuł na sobie ciężkie spojrzenie Witolda. – Zalałem się w trupa i chujowo go związałem, żeby mógł się uwolnić. Kiedy wyszedł z mieszkania, mój człowiek usiadł mu na ogonie.

Witold parsknął śmiechem.

– Ten pojeb, który torturował go w lesie? Nie wiedziałem, że teraz nazywasz go swoim człowiekiem.

– Jakoś muszę. – Kawęcki wyciągnął rękę z kieszeni i wskazał skrzyżowanie. – Warga pognął do swojego mieszkania, przebrał się, a potem dojechał Zgierską na wysokość cmentarza i skręcił w Liściastą. Kazał mu to zrobić ktoś, z kim rozmawiał przez telefon.

– I co z tego?

– Warga chciał pojechać prosto do Kostki. Wiedział, gdzie on przebywa. Zadzwonił do niego, żeby go o tym poinformować, a wtedy ten kazał mu zawrócić, bo domyślił się, że to może być podstęp. Że tłuścioch może nas do niego doprowadzić.

Witold przez kilkanaście sekund analizował słowa Kawęckiego.

– Przyjmijmy, że to prawda – odezwał się w końcu. – Co proponujesz?

– Matka Kostki potrzebowała około pół godziny, żeby dotrzeć na spotkania tych dziwaków – powiedział Kawęcki. – Mogła na nie dojeżdżać z Helenówka.

– Przepytaliśmy mieszkańców tamtejszych domów. Nikt jej nie kojarzy. Nikomu nie zaświeciła się lampka.

– Majewska mogła zaokrąglić czas dojazdu. Doliczyć kilka minut, które zabierało jej dojście na przystanek, zakup drożdżówki w kiosku albo podrapanie się po dupie. Moim zdaniem w tramwaju spędzała najwyżej dwadzieścia minut. A to oznacza, że wsiadała na którymś z tych przystanków. – Kawęcki wyjął z kieszeni mocno sfatygowaną mapę. Kiedy wreszcie zdołał ją rozłożyć, wskazał trzy punkty zlokalizowane wzdłuż Zgierskiej.

– Sikorskiego, Pasieczna, Świtezianki. – Witold spojrzał na Kawęckiego. – Przecież to Radogoszcz. On musi wiedzieć, że tam mieszkasz.

– Z całą pewnością wie. – Kawęcki mocno się zaciągnął i wyrzucił peta pod nogi. – Pewnie dlatego ta gra sprawia mu niewypowiedzianą frajdę.

Stelmach zakończyła rozmowę i odłożyła smartfona na stół. Usiadła w fotelu, pochyliła się do przodu i schowała twarz w dłoniach.

– I co?

Grażyna Jurkowska bezszelestnie weszła do pokoju, co przy jej posturze wydawało się wręcz niemożliwe. Wyrosła przed policjantką niczym pucołowata góra, której zbocza obciążnięto bawełnianym materiałem.

– Bez szans. Dzisiaj nie pozwolą nam pogadać z Welińskim – powiedziała Stelmach. – Chyba że możemy przesunąć emisję materiału o kilka dni, to wtedy...

– Nie możemy. – Jurkowska weszła jej w słowo. – Nie podoba mi się to. Nie mamy gwałciciela ani ludzi, których Alicja oskarża o kierowanie przestępstwem. Wygląda to zbyt jednostronnie. Ktoś może się przypieprzyć do materiału. – Wyjęła z torebki cienkie papierosy, zapaliła jednego i opadła na sąsiedni fotel. – A co z tym prokuratorem? Udało ci się czegoś dowiedzieć?

Stelmach pokręciła głową. Odkąd dziennikarze usłyszeli od asystentki Wargi o jego niezapowiedzianym urlopie, podejrzewała, że jakoś się dowiedział, co planują, i postanowił się ukryć. Przyszło jej na myśl, że ktoś z ich kilkusobowej ekipy nie był wystarczająco dyskretny. Albo że Alicja miała rację, twierdząc, że jest pod nieustanną obserwacją.

Ale potem przestało to być dla niej takie oczywiste. Pod kamienicą, w której mieszkał Warga, zobaczyła jego samochód i wydało jej się dziwne, że ktoś o takiej tuszy mógł się gdzieś ruszyć bez auta. Obdzwoiła więc wszystkie popularne firmy taksówkarskie w mieście i po kilkunastu burzliwych rozmowach ustaliła, że w ciągu paru ostatnich dni żaden otyły mężczyzna nie zamawiał kursu spod tego adresu. Porozmawiała z sąsiadami, którzy nie widzieli Wargi i nie słyszeli, żeby się pakował. Z kolei pracownicy prokuratury niechętnie przyznali, że nie mieli pojęcia o jego planach urlopowych i że poza dwoma

lakonicznym mailami niczego po sobie nie zostawił. Jakby nagle rozpułynał się w powietrzu.

Zadzwoiła do Kawęckiego, podejrzewając, że może coś wiedzieć na ten temat. Nie odebrał, więc pojechała do jego mieszkania. Nie wpuścił jej. Udawał, że go nie ma. Zapomniał tylko zamknąć okno, przez które się ulatniał papierosowy dym.

Stelmach była pewna, że dzieje się tam coś dziwnego. Nie wiedziała tylko co.

– Prokurator zapadł się pod ziemię – powiedziała. – Ale raczej nie przez nasz materiał.

– A przez co?

– Nie wiem. Próbuję to ustalić. Nie jest to proste.

Jurkowska wolno pokręciła głową.

– Zdarzało mi się już puszczać materiały, które nie były, delikatnie mówiąc, idealnie udokumentowane. W których brakowało pewnych elementów. W których druga strona nie odpowiadała na stawiane jej zarzuty. Ale robiłam to tylko wtedy, kiedy miałam stuprocentową pewność, że to, co emitujemy, jest prawdą. – Zerknęła na Stelmach. – Pytałam o ciebie w Warszawie. Okazało się, że mamy w policji wspólną znajomą. Wypowiadała się o tobie bardzo pochlebnie. Mówiła, że jesteś rzetelna i nieustępliwa. Że, cytuję, twarda z ciebie suka. Mam jednak wątpliwości co do Alicji. Boję się, że ona za wszelką cenę próbuje dokonać wendety. Nawet jeśli nie ma pewności, czy prawidłowo wytypowała sprawców.

Stelmach przyjrzała się dziennikarce, po czym wstała i przeszła się po pokoju. Też się nad tym zastanawiała. Od momentu, w którym Kawęcki opowiedział jej o Alicji. O tym, co ją spotkało. Bała się, że mogą strzelić do niewłaściwego człowieka. I to z przyłożenia. A wtedy nie będzie już czego zbierać.

Z rozmyślań wyrwał ją dzwonek do drzwi. Stelmach poszła do przedpokoju. Wyjrzała przez wizjer i zobaczyła na korytarzu Alicję. W towarzystwie faceta, którego poznała kilka tygodni wcześniej. I którego nie spodziewała się ponownie zobaczyć.

Otworzyła drzwi.

– Możemy nagrać jeszcze jedną osobę? – spytała Alicja, wskazując kciukiem stojącego za nią Jakuba Możejkę.

Po raz pierwszy mógł się uważnie przyjrzeć swojemu utrapieniu. Jego koślawym krokom, którymi przemierzał mieszkanie, żeby zgromadzić wszystkie niezbędne narzędzia. Ospałym, flegmatycznym ruchom, jakimi pakował sportową torbę, ubierał się i przyklejał do twarzy brodę mającą całkowicie zmienić jego oblicze. Odczarować tę dziwną dziecięcą gębę, której widok wywoływał dreszcze.

Właśnie wtedy, przybierając swoją nową tożsamość, Kostka zauważył w lustrze spojrzenie Wargi.

– Co teraz? – zapytał prokurator, żeby jakoś usprawiedliwić to, że się na niego gapi.

– Co masz na myśli? Najbliższe dziesięć minut? Godzinę? Dzień?

– Mam na myśli twój plan.

– Dlaczego sądzisz, że ci go zdradzę?

Kostka skończył charakteryzację, odwrócił się do Wargi i posłał mu zagadkowy uśmiech. Następnie podszedł do torby i zerknął do środka. Policzył narzędzia. Upewnił się, że każde jest na swoim miejscu. Był pedantyczny i staranny. Przestrzegał wielu zwyczajów i wykonywał dziesiątki specyficznych mikroruchów, które miały jakieś znaczenie wyłącznie dla niego. Był jak chirurg z nerwicą natręctw.

– Wcale cię nie obchodzi, co zamierzam zrobić – odezwał się. – Jesteś ciekaw, dlaczego cię wybrałem. I jaki mam wobec ciebie plan.

Warga milczał. Wiedział, że Kostka nie oczekuje od niego słów, tylko czynów, i właśnie tym się kierował. Dlatego zgubił ogon. Porzucił samochód i zdobył inny. To dlatego od kilku lat mu pomagał. Był na każde jego skinienie. Zdobywał wszystkie informacje, jakich ten się domagał, i szczegółowo relacjonował, co policjanci wiedzą na jego temat. Nieustannie łamał prawo i żył

w izolacji. Nie dlatego, że wierzył w te religijne brednie, tylko ze strachu. Żeby chronić własny tyłek. Żeby jakoś przetrwać.

Nie wiedział tylko jednego: czy ma to jakieś znaczenie. Czy dobrymi uczynkami może uchronić się przed losem, który tamten dla niego wymyślił.

– Odpowiedzialność zbiorowa. – Kostka zasunął ekspres w torbie. Wyprostował się. – Czy uważasz, że członek gangu, który nikogo nie zabił, zasługuje na przebaczenie? Albo ksiądz zatrudniony w parafii, w której proboszcz gwałci dzieci? Albo nawalony pasażer w towarzystwie nawalonego kierowcy? – Wolno podszedł do Wargi. Górował nad nim niczym Goliat. – Odpowiedz.

– Nie – wymamrotał prokurator. – Żaden z nich na to nie zasługuje.

Kostka przyglądał mu się przez dłuższą chwilę. Jak gdyby próbował wyczytać z jego twarzy, czy rzeczywiście tak myśli.

– Bycie dobrym człowiekiem wymaga odwagi. Tobie jej zabrakło. A to, co zamierzam zrobić, jest właśnie aktem odwagi. – Położył Wardze dłoń na głowie, jakby chciał go ochrzcić. – Platon powiedział, że tolerowanie krzywdy jest największym złem. Zgadzam się z nim. Zawsze się zgadzałem. Ale dopiero teraz zamierzam dać temu wyraz. A ty mi w tym pomożesz. – Zdjął dłoń z jego głowy. – Dlatego cię nie zabiję.

Wyciągnął rękę do Wargi. Ten, zaskoczony i zdjęty strachem, chwycił się jej, jakby była rzuconym z zaświatów kołem ratunkowym. Pozwolił mu zaprowadzić się do sąsiedniego pokoju – do prywatnej kaplicy Kostki. Pozwolił posadzić się na podłodze i przypiąć kajdankami do kaloryfera. Pozwolił wetknąć sobie knebel do ust. Bez jakiegokolwiek oporu pozwolił uwięzić się w pokoju z trupem przybitym do krzyża.

Zupełnie bezwolny czekał na kolejny ruch swojego prześladowcy.

– Odpocznij – powiedział Kostka. – Będziesz mi jeszcze potrzebny.

Adamski zorientował się, że ma spocone dłonie, kiedy podniósł telefon i wybrał numer ojca. Dawno ze sobą nie rozmawiali. Właściwie miał wrażenie, że nie robili tego od dziesięciu lat. Od śmierci babci. Od wypadku samochodowego ojca. Od jego zaskakującego odejścia z policji. To było dziesięć długich, trudnych dla rodziny lat, w których zupełnie rozsypało się to, na co tak ciężko pracowali. Normalność. Zwyczajna, nieosiągalna dla większości policyjnych rodzin proza życia.

Zawsze sobie wyobrażał, że po przejściu na emeryturę ojciec będzie monitorował rozwój jego kariery. Stanie się dla niego sprawiedliwym, choć ostrym sędzią. Najsurowszym ze wszystkich. Że doskonale znając jego słabości, nie będzie się bał zarówno wbijać szpilek, pouczać, a nawet drwić, ale też doradzać i instruować. Miał nadzieję, że zyska w nim mentora. Ojciec jednak zachowywał się tak, jakby kariera syna była mu zupełnie obojętna. Jakby za wszelką cenę chciał odizolować się od policji i swojego dawnego życia. A czasami wręcz tak, jakby się wstydził tego, że syn poszedł w jego ślady.

Mimo to Adamski bardzo pragnął mu zaimponować. Udowodnić, że lekcje, które dostał od niego przed laty i na których oparł swój system wartości, przyniosły efekt. Pozwoliły mu zostać dobrym policjantem. A przynajmniej za takiego uchodzić.

– Halo?

Przywitał go ochrypniętym, dawno nieużywanym głosem. Adamski miał wrażenie, że go obudził.

– To ja, Bartek. Masz chwilę?

Ojciec się zawahał. Jego milczenie mogło sugerować, że szuka wymówki. Tyle że komuś takiemu jak on – emerytowi rzadko wychodzącemu z domu – trudno było ją znaleźć.

– Czego chcesz?

W telefonie rozległ się szelest, a potem syk zapalnego papierosa.

– Chciałem cię zapytać o Janusza Dębca.

– Nie będę rozmawiał o policji. Dobrze o tym wiesz.

– Interesuje mnie tylko jedna rzecz. To ważne. Bardzo ważne.

Ojciec westchnął. Coś powiedział, ale zagłuszyło go szczekanie. Jego chow-chow musiał się zorientować, że stary się obudził, i zażądał wyprowadzenia na spacer.

– Możesz powtórzyć?

– Nie widziałem go od dziesięciu lat.

– Nie szkodzi. Chodzi mi o to, co się działo w czasie twojej służby.

– A konkretnie?

Adamski odchrząknął. Nie podobało mu się to, że rozmawiając z ojcem, musi tak bardzo uważać na słowa. Czuł się jak petent. Niechciany, nielubiany, wkurwiający typ, który niepotrzebnie zawraca dupę.

– Dębiec kumpłował się z prokuratorem Pszoniakiem. Znali się od lat. Mieli wielu wspólnych znajomych i prawdopodobnie jeszcze więcej wrogów. Czy to możliwe, by Dębiec nie wiedział, że Pszoniak był pedofilem? – Zrobił pauzę, czekając na odpowiedź ojca. Ten jednak najwyraźniej nie zamierzał się odzywać.

– Nie oczekuję, że przedstawiś mi jego portret psychologiczny. Chcę się tylko dowiedzieć, czy Dębiec jest uczciwym i dobrym człowiekiem. Czy gdyby wiedział o czymś bardzo złym, co się obok niego dzieje, to czy próbowałby coś z tym zrobić?

Adamski przez kilka sekund wsłuchiwał się w ujadanie małego lwa. Kiedy stary w końcu się odezwał, nie dało się zrozumieć ani jednego słowa.

– Co powiedziałaś?

– Żebyś trzymał się z dala od tego człowieka.

– Dlaczego?

– Chciałaś mojej rady, to masz. Nie dzwoń więcej w tej sprawie.

Rozłączył się. Adamski przez kilka sekund tępo wpatrywał się w wyświetlacz, po czym odłożył telefon na biurko. Przejechał dłonią po twarzy, jakby właśnie przyjął serię ciosów i nie mógł się zdecydować, który zabolął go najbardziej.

A gdy zastanawiał się nad zagadkowymi słowami ojca, komendantem Dębem, prokuratorem Wargą oraz Kostką, posypały się kolejne uderzenia. Jeszcze mocniejsze. Od wkurwionego boksera wagi ciężkiej.

Jego telefon zawibrował. Spojrzał na niezapisany numer i błyskawicznie skojarzył ciąg cyfr ze swoim największym koszmarem. Odebrał.

– Możesz swobodnie rozmawiać?

Głosu Romana Basznikowa nie mógł pomylić z żadnym innym.

– Powiedzmy – odparł Adamski.

– To słuchaj uważnie. Dzisiaj ktoś wyświadczy wam przysługę.

– Nam?

– Policji. Społeczeństwu. Wszystkim mieszkańcom tego pieprzonego miasta. Nie chciałbym, żebyście pomyśleli, że to ja jestem Świętym Mikołajem.

– O czym ty mówisz?

– Twoi ludzie mają zrobić nalot na moją firmę. Najlepiej około dziewiętnastej, żeby magłowali mnie co najmniej do dwudziestej pierwszej. Wymyślcie jakiś bzdurny pretekst: podejrzenie wałków VAT-owskich, wymuszeń albo handlu narkotykami. Wszystko jedno.

– Co się stanie o dwudziestej pierwszej?

Adamski czekał na odpowiedź kilka sekund. Ale gdy ją usłyszał, wolał, żeby nigdy nie padła.

Po ostatnich ulewach zwykle ubita droga przypominała grzędawisko. Wzdłuż ulicy wyrastały kolorowe bramy obstawione z obu stron pojazdami. Jakby strzegły dostępu do zadbanych podwórek, na których mieszkańcy Cyprysowej stawiali efektowne piętrowe domy.

– Myślisz, że to tutaj? – zapytał Witold.

W przeciwieństwie do niego Kawęcki nie rozglądał się i nie zerkał pod nogi, tylko wdeptywał w kolejne kałuże, nieustannie gapiąc się na zabazgrany fragment mapy.

– Myślę, że nie – odparł. – Tu jest zbyt ładnie. Zbyt bogato, żeby Majewska mogła wylądować w którymś z tych domów.

– To co my tu robimy?

– Na tym etapie niczego nie można wykluczyć. Już zbyt wiele razy się myliliśmy. A poza tym – Kawęcki podniósł głowę i odwrócił się w bok – kiedyś był tu jeden z najdroższych burdeli w mieście.

– I co w związku z tym?

– Ludzie związani z tym wspaniałym przybytkiem zapewne znają okolicę. Mogli zwrócić uwagę na byłą dziwkę.

– Mówisz poważnie? – zdziwił się Witold. – Myślisz, że ktoś mieszkający na tym zadupiu rozpoznałby starą dziwkę z obcego miasta? Skąd niby miałby ją znać? Z targów branżowych? Z katalogu? Z książki o pabianickich kurwiszonach?

Kawęcki, niezrażony rozgorączkowaniem Witolda, wyjął z kieszeni papierosa. Zapalił. Wolno wypuścił dym.

– Niektóre rzeczy nie wychodzą z ludzi. Zostają w nich niczym toksyny. Jak znamiona widzialne wyłącznie dla ich bratnich dusz. – Zerknął na Witolda. – Jak ty jesteś w stanie rozpoznać emerytowanego psa, tak sutener czy dziwka są w stanie poznać kobietę, która kiedyś popuszczała szparę za pieniądze.

Witold parsknął. Z niedowierzaniem pokręcił głową.

– A jeśli niczego nie znajdziemy?

– To będziemy szukać dalej. – Kawęcki pomachał do niego mapą. – Zaznaczyłem wszystkie miejsca na Radogoszczu i w jego okolicy, w których znajdują się wolno stojące domy. Kostka gdzieś tu musi być. Jestem tego pewien.

– A wiesz, czego ja jestem pewien? – Witold spojrział na ekran dzwoniącego telefonu. – Że wciąż błądzimy we mgle.

Odebrał. Po krótkiej rozmowie, w której trakcie głównie kiwał głową, ze złością wepchnął smartfona do kieszeni.

– Co się stało? – zapytał Kawęcki.

– To Adamski. Dzisiaj rano na policję zgłosili się dwaj faceci, którzy twierdzą, że razem z Welińskim napadli na Alicję Mioduszewską. Nie ma jeszcze wyników badań DNA, ale znają sporo szczegółów przestępstwa. Wszystko wskazuje na to, że to zrobili.

– To dlaczego jesteś taki wkurwiony?

– Twierdzą, że Alicja była przypadkową ofiarą. Według Adamskiego mówią to, co ktoś kazał im powiedzieć. Muszę tam jechać.

Kawęcki spojrział na efektowny podjazd łączący bramę ze schowanym w głębi podwórka domem.

– To jedź – powiedział. – A ja poszukam sobie towarzystwa.

Czekając na Witolda, Adamski po raz kolejny czytał sporządzony przed paroma godzinami raport z zatrzymania Jacka Gorlewicza i Przemysława Koteckiego. Od dłuższego czasu zadawał sobie dwa pytania. Dlaczego faceci, którzy byli na dobrej drodze, aby uciec przed sprawiedliwością, przyznali się do ataku na Alicję Mioduszewską? I dlaczego zrobili to właśnie teraz, w przededniu wyborów samorządowych?

Nie miał wątpliwości, że ktoś steruje tymi trzema półgłówkami. Najpierw zlecił im napaść na dziennikarkę, a potem poinstruował, jak mają postępować z policją. Starannie zaplanował całe przedsięwzięcie. Wiedział, że Weliński zostanie rozpoznany – stąd u niego ten brak zaskoczenia po zatrzymaniu –

i przewidział, że policjantom trudno będzie namierzyć jego współników. I wreszcie doskonale zdawał sobie sprawę, że ich przyznanie się do winy będzie wstrząsem. Dla wszystkich: policjantów, opinii publicznej i dziennikarzy, którzy osaczyli komendę, jakby Gorlewicz i Kotecki poinformowali pismaków o swoim udziale w zbrodni, zanim pofatygowali się na policję.

Adamski starał się mieć otwartą głowę. Próbował dopuścić różne wytłumaczenia tego, co się wydarzyło. Ale tylko jedno wydawało mu się logiczne.

Warga.

To on musiał wszystko zorganizować. Zlecił tym troglodytom napaść na dziennikarkę, która mu zagrażała. W najdrobniejszych szczegółach opracował ich linię obrony i zapewne wymyślił, jak będą mogli się z tego wyłgać albo zminimalizować konsekwencje. Wreszcie zdecydował się odpalić bombę zaraz po tym, jak uwolnił się od Kawęckiego. To musiał być on.

A teraz zniknął. Zapadł się pod ziemię. Ukrył gdzieś swoje tłuste dupsko. I pewnie pokaże je ponownie, kiedy będzie po wszystkim. Gdy nikt i nic nie będzie mu zagrażał. Nawet Kostka.

– Kurwa mać! – zaklął Adamski.

Opadł na oparcie fotela. Czuł, że grunt pali mu się pod nogami. Wiedział, że za chwilę może wylecieć z roboty. Zostać – jak Mariusz Szczebiot, jego nieudolny poprzednik – karnie zesłany do jakiejś pipidówki, gdzie będzie się uganiał za menelami napadającymi na monopolowe. Ale najbardziej bolała go całkowita utrata kontroli. To, że choć przez kilka ostatnich miesięcy pracował ciężiej niż kiedykolwiek wcześniej, dał się ograć jak dziecko.

Może ojciec ma rację, pomyślał. Może to najbardziej kurewski zawód na świecie. Może powinienem był to zostawić, zanim wdepnąłem w gówno, którego nie da się zeskrobać z podeszwy.

Usłyszał stukanie do drzwi. Podniósł głowę i zobaczył w progu Artura. Artur pukał jedynie pro forma. Nigdy nie zakładał, że może usłyszeć odmowę.

– To kiepski moment – oznajmił Adamski.

– Chcę ci tylko powiedzieć, że być może mamy przełom. – Artur podszedł do biurka i przekazał naczelnikowi kartkę. – Maciej Gawin. Sprzedawca koreańskiego szmelcu, ten, który pojechał na targi do Berlina. W końcu udało nam się do niego dodzwonić.

– I? – Adamskiemu nie chciało się nawet rzucić okiem na notatkę.

– Nie powiedział nic odkrywczego. Ale kilkanaście minut później oddzwonił i stwierdził, że chce się z nami spotkać.

– Po co?

– Nie wiadomo. Stwierdził tylko, że to nie jest rozmowa na telefon. Ale musi to być coś ważnego, skoro postanowił przerwać targi i kupić bilet do Warszawy.

Adamski popatrzył na Artura, a potem błyskawicznie przeskanował notatkę. Kiwnął głową.

– A z obserwacji tego bloku coś wyniknęło? – zapytał.

– Na razie nic.

Naczelnik ponownie zerknął na kartkę.

– O której możemy tu mieć tego Gawina?

– Jutro o dziewiątej ląduje w Warszawie.

– Wyślij kogoś po niego. Chcę z nim jak najszybciej porozmawiać.

Wszystko szło zgodnie z planem.

Halbert siedział na wygodnej skórzanej sofie i gapił się w telewizor zajmujący sporą część ściany w jego salonie. Od godziny skakał między kanałami, zbierając z programów informacyjnych doniesienia na temat dwóch głąbów, których znalazł Borys. Potwierdzały to, co usłyszał od znajomego z policji: że nieźle się spisali. Dobrze sprzedali swoją historyjkę. Dość wiarygodnie, żeby uznać ich za popaprańców, którzy w akcie nienawiści skrzywdzili przypadkową kobietę. Dlatego, że są niewydukowanymi i nieszczęśliwymi tłukami wierzącymi w siłę pięści i marzącymi o ponownych narodzinach Hitlera. I dlatego, że uwierzyli Borysowi, byłemu wojakowi

z zespołem stresu pourazowego, mózgowi całej operacji, który wyładował swoje traумы na Bogu ducha winnej kobiecie.

Uśmiechnął się. Sam był gotów w to uwierzyć.

Sięgnął po pilota i przełączył na kanał sportowy, kiedy jeden z jego politycznych pomagierów otworzył drzwi balkonowe i wszedł do salonu. Magister ekonomii. Bananowy dzieciak, który zawsze żył ponad stan. Halberta bawiło, że mógł go traktować jak psa, który musi warować przed domem. Jak burka z brudnymi łapami i nieświeżym oddechem. A jeszcze bardziej bawiło go to, że ukrywa przed nim swoje prawdziwe zainteresowania, mimo że ten nie jest w stanie w żaden sposób mu zagrozić. Czuł się jak w ostatnich miesiącach beznadziejnego małżeństwa, kiedy zamykał się w łazience, odkręcał wodę i trzepał gruchę do gejowskich pornoli.

– Właśnie ktoś o panu wspomniał w telewizji – oznajmił doradca, przez cały czas trzymając telefon przy uchu.

– W jakim kontekście? – zapytał Halbert.

– Złym.

– Znowu mają problem z milionerem gmerającym w polityce?

– Tym razem chodzi o coś innego.

Doradca rozłączył się i spojrzał na telefon. Uruchomił wyszukiwarke internetową. W pośpiechu coś odnalazł i przekazał smartfona szefowi. Halbert spojrzał na okienko, w którym znajdowała się trzydziestosekundowa zapowiedź jednego z popularnych programów interwencyjnych. Uruchomił ją.

Zobaczył ludzi, których nie miał ochoty oglądać. I usłyszał rzeczy, których wolałby nie słyszeć.

– Dlaczego nic o tym nie wiem? – zapytał.

– Dzisiaj męczył nas jakiś reporter. Ale kazał nam pan zrzucić wszystkich na drzewo.

– Kiedy chcą to wyemitować?

– Teraz. – Doradca wycelował palcem w telewizor. – Obawiam się, że już nic nie możemy zrobić.

Halbert przez kilka sekund ścisnął telefon, jakby chciał go rozgnieść w dłoni. W końcu zaklął, rzucił smartfona na kanapę i sięgnął po pilota. Przełączył kanał.

Przez następne dwadzieścia minut patrzył, jak ludzie, których zniszczył, odpłacają mu się tym samym.

– Dobrze zrobiliśmy? – spytała Alicja tuż po emisji programu.

Możejko zerknął na nią niepewnie. Jednak nie mogąc znieść widoku jej zapłakanych oczu, ponownie skupił się na telewizorze. A konkretnie na sexistowskiej reklamie proszku do prania, utrwalającej najgorsze stereotypy relacji damsko-męskich: że to kobieta ma sprzątać, że jej rola sprowadza się do zarządzania domem, że właściwie powinna zamknąć mordę i nie narzekać. Czuł się dziwnie, siedząc obok osoby, która była dokładnym zaprzeczeniem tego obrazu. Zwłaszcza po tym, co przed chwilą obejrżeli.

– Nie wiem – odparł. – Naprawdę nie wiem.

Grażyna Jurkowska nie zawiodła. Przygotowała materiał o dziennikarce, która została potwornie ukarana za wykonywanie swoich obowiązków. Która nie otrzymała wsparcia od policji ani kolegów po fachu. Która przez kilka tygodni niewyobrażalnie cierpiała, tkwiąc w wybudowanej dla siebie samotni. I która wykazała się ogromną odwagą, decydując się opowiedzieć swoją historię.

Autorka reportażu nie mogła w tym materiale rozstrzelać wrogów Alicji, ale zdołała zadać niewygodne pytania, na które żaden z nich – ani Dębiec, ani Warga, ani Halbert – nie odważył się odpowiedzieć. Rozegrała to na tyle sprytnie, że w policji, prokuraturze czy Radzie Miejskiej nikt się nie zorientował, jak poważny jest temat, którym się zajmuje. Jurkowska i jej ludzie zostali zlekceważeni przez poważne instytucje, które wykazały się najwyższą arogancją. A tego widzowie nie lubią najbardziej. Pogardy. Wywyższania się. Żarcia ośmiorniczek i zatrudniania misiewiczów. Uznawania zwykłych ludzi za debili. Za ciemny, bezwartościowy motłoch, którym można dowolnie sterować.

Jurkowska doskonale знаła te mechanizmy, ponieważ przez kilka lat pracowała w tabloidzie. Wiedziała, gdzie trzeba nacisnąć, żeby zakłuło.

– Co teraz? – zapytała Alicja.

Możejko wiedział tylko jedno: że Halbert mu tego nie daruje. Że pojawiając się w tym programie i wspominając o biznesmenie, ponownie naraził się na jego gniew. Nie miał pojęcia, w jaki sposób Halbert będzie chciał go za to ukarać. Ale był pewien, że zrobi to boleśnie. Najdotkliwiej jak to możliwe.

– Nic – powiedział po dłuższym namyśle. – Będziemy czekać na tsunami.

Po raz pierwszy tego dnia Alicja się rozplakała, kiedy pojechała na komendę, aby zidentyfikować facetów, którzy ją zgwałcili. Rozryczała się ponownie, gdy zobaczyła siebie w telewizji, schowaną w ciele skulonej, złęknionej, potwornie cierpiącej dziewczyny, opowiadającej o rzeczach, które nie chciały jej przejść przez gardło. Teraz rozplakała się po raz trzeci. Wtuliła się w Możejkę, który nieco nieporadnie objął ją ramieniem. Zatopiła się w jego klatce piersiowej, zaciskając oczy tak mocno, jakby chciała już nigdy ich nie otworzyć.

Razem wsłuchiwali się w kakofonię nieustannie dzwoniących telefonów.

– Co to, kurwa, miało być?

Procent z dezaprobatą popatrzył na dziewczynę z sąsiedniego fotela. Miała zaczerwienioną, zgrzaną twarz. Do jej czoła kleiły się cienkie farbowane blond włosy. Głośno oddychała ustami, a jej niewielkie piersi falowały pod stanikiem. Pociągała nosem, bezskutecznie powstrzymując łzy.

Twierdziła, że ma osiemnaście lat, ale wyglądała młodziej. Na szesnaście. Może nawet mniej. W każdym razie była stanowczo za młoda, żeby żyć z obciążania gangsterom.

– Przepraszam – wymamrotała. Bała się spojrzeć w oczy Procentowi, który przewiercał ją rozgniewanym spojrzeniem.

– To był twój pierwszy raz? – zapytał.

– Pierwszy raz za pieniądze.

– Ja pierdolę. Czuję się, jakbym walił konia lewą ręką. – Procent wygiął się na fotelu i wciągnął z powrotem bokserki. – I co mam z tobą zrobić?

Było mu zupełnie obojętne, ile ma lat. Zapytał ją o wiek wyłącznie z ciekawości. Poznał zbyt wiele dziwek, aby się łudzić, że któraś powie mu prawdę. Nie spodziewał się też, żeby taka siksa potrafiła robić laskę jak Jenna Jameson albo Sasha Grey. Nie był aż tak naiwny. Ale z całą pewnością nie miał ochoty pieprzyć się za kasę z rozhisteryzowaną gówniarą.

– Zrobimy tak. – Z wysiłkiem podciągnął spuszczone do kostek dresy, wciąż odczuwając ból połamanych żeber, i zawiązał je na sznurek. – Zapłacę tyle, na ile się umówiliśmy. Ale w zamian za to dasz mi swój numer. Za jakiś czas zadzwonię i to powtórzymy. Tym razem za darmo. Jeśli w ciągu paru tygodni nie nauczysz się porządnie robić loda, będzie to oznaczać, że nie nadajesz się do tej roboty i powinnaś zająć się czymś innym: gonieniem dragów, kradzieżami albo, kurwa, szydełkowaniem. Czy to jasne?

Dziewczyna energicznie pokiwała głową. Nawet jeśli ten pomysł ani trochę jej się nie podobał, zrobiłaby wszystko, żeby wysiąść z auta. Żeby jak najszybciej uciec od tego capiącego wódą brutala.

– Czy to jest, kurwa, jasne? – Procent powtórzył pytanie, jakby nie potrafił rozgryźć jej reakcji.

– Tak.

– Co „tak”?

– Za jakiś czas zadzwonisz i zrobię ci loda za darmo. – Drżącymi dłońmi wygrzebała z torebki jakiś paragon. Zapisała na nim szminką swój numer. – Dzwon, kiedy chcesz.

– Nie. – Pochylił się w stronę dziewczyny i wetknął jej za stanik pięćdziesięciozłotowy banknot. – Zadzwonię, kiedy już będziesz gotowa. A przynajmniej kiedy powinnaś być. A teraz spierdalaj.

Tym razem nie musiał się powtarzać. Dziewczyna niemal wybiegła z samochodu. Odprowadził ją wzrokiem, jak gdyby chciał zgwałcić na odchodne. Zaklął. Pięć dych poszło się jebać, pomyślał. Tak się kończy dziadowanie w tym pierdolonym mieście.

Przesunął fotel w stronę kierownicy, przywracając go do pozycji wyjściowej, i uruchomił silnik. Zapalił papierosa. Szybko się wydostał z wąskich śródmiejskich uliczek. Włokąc się prawym pasem na Kopcińskiego, wyjął telefon i wszedł na Odloty.pl, jeden z największych polskich serwisów z ogłoszeniami towarzyskimi. Zaczął przeglądać kandydatki.

Mieszkał w Łodzi tak długo, że powinien wrosnąć w to miasto. Zasymilować się z ludźmi. Zaprzyjaźnić z murami i ulicami. Nawyknąć do tego specyficznego klimatu. Ale on cały czas czuł się tutaj obco. Jak wyrzutek. Odszczepieniec. Niepasujący element. Już dawno powinien był poznać najlepsze burdele i panny po mistrzowsku obsługujące klientów. Ale zamiast tego odwiedzał stronę, na której laski przedstawiały się jako „Mistrzynie Francuza”, „Słodka Kasia” albo „Justyna Rakietka”, ściemniały na temat rozmiaru cycków i za pół godziny marnego jebania życzyły sobie co najmniej stówę.

To nie jest moje miasto, pomyślał.

Gdyby miał wybór, już dawno by stąd wyjechał. Dokądkolwiek. Choćby do Anglii. Z kumplami z dawnego życia mógłby tam założyć drużynę piłkarską. Albo i dwie.

Ostro wdepnął hamulec. Granatowa mazda, która chwilę wcześniej go wyprzedziła i zjechała na jego pas, gwałtownie zwolniła.

– Co to ma być, do chuja? – zaklął.

Odrzucił telefon na fotel pasażera. Popatrzył przed siebie, a potem rozejrzał się na boki. Próbował zrozumieć, dlaczego ten kierowca tak raptownie zahamował. Ale poza ich dwoma autami nie było na drodze kompletnie nic – żadnych pojazdów, ludzi, fotoradarów ani świateł.

Ten skurwiel zrobił to specjalnie, pomyślał Procent. A kiedy mazda rozpoczęła slalom między niewidzialnymi pachołkami, nie miał już co do tego wątpliwości.

Przez moment myślał, że to policja. Ale psy nie odstawiały takich szopek. Nie jeździły, jakby się napruły albo naźarły dopalaczy. Nie stwarzały zagrożenia w ruchu, a już na pewno nie urządzały czegoś takiego na popularnej ulicy. Nie

zachowywały się jak gówniarze, którzy po raz pierwszy dostali od starych samochod. A tym bardziej nie otwierały okien i nie wymachiwały środkowymi paluchami.

– Zaraz was, kurwa, dojadę – warknął.

Zmienił pas i przyspieszył. Ale wtedy kierowca mazdy po raz kolejny zajechał mu drogę. Nie pozwalał się wyprzedzić. Bawił się z nim. Chciał go podkurwić albo ośmieszyć. Jakby nie miał bladego pojęcia, z kim ma do czynienia.

– Ciekawe, co teraz wymyślisz.

Przed nimi zapaliły się czerwone światła. Do skrzyżowania z Piłsudskiego zostało najwyżej dwieście metrów, więc nie było szans, żeby się zmieniły, zanim tam dojadą. Kierowca mazdy o tym wiedział. Przyspieszył. Chciał przejechać na czerwonym. Przebić się na drugą stronę skrzyżowania między sznurem aut przecinających jezdnię. Ale w ostatniej chwili zrezygnował z tego samobójczego pomysłu. Ostro zahamował, zatrzymując się tuż przed przejściem dla pieszych.

Procent stanął tuż za nim. Sięgnął do schowka po krótką pałkę, którą zawsze ze sobą woził. Rozejrzał się dookoła i wysiadł.

Podszedł do mazdy od strony kierowcy. Zapukał pałką w przyciemnioną szybę. Nie doczekał się żadnej reakcji, więc spróbował pociągnąć za klamkę. Bez powodzenia.

– Otwieraj! – wrzasnął. Chwilę później zamachnął się pałką. – Bo zaraz, kurwa, sam sobie otworzę.

Jeszcze raz się rozejrzał. Wciąż byli sami. Towarzyszyło im tylko subtelne powarkiwanie dwóch stuningowanych silników oraz szmer samochodów przecinających skrzyżowanie. Czuł się jak aktor na środku wielkiego planu filmowego, na którym rozmieszczono dziesiątki dobrze ukrytych kamer, widocznych jedynie dla reżysera spektaklu.

Kierowca mazdy w końcu opuścił szybę. Procent pochylił się, żeby zajrzeć do środka.

I momentalnie tego pożałował.

Zaparkowała pod blokiem. Wyłączyła silnik i zgasiła światła. Wyjęła z torebki telefon. Zerknęła na zdjęcia grafiku swoich dzieci. Kończyły zajęcia o dziewiętnastej, więc prawdopodobnie zdążyły już wrócić do domu, wykąpać się i wyjść ze znajomymi. Normalne, pomyślała. Który nastolatek chciałby siedzieć w piątkowy wieczór z matką? Sam pomysł był jak pocałunek śmierci. Dla obu stron.

Dzięki temu miała więcej czasu dla siebie. Mogła naprędce zrobić coś do jedzenia, odpiętać wino, rozsiaść się na kanapie, przykryć kocem i odpalić Netflixa. Opróżnić kieliszek albo dwa. Może trzy. Tyle, ile zdąży, zanim znokautuje ją zmęczenie. Zanim myśli zaczną bezwiednie krążyć wokół jej pokręconego życia. Zanim banieczka, w której na moment je zamknęła, pęknie z hukiem.

Wysiadła. Nogi, zmęczone prawie dwunastoma godzinami chodzenia na obcasach, ledwo niosły ją w stronę klatki. Próbując wygrzebać klucze z torebki, zerknęła na stojącego przed blokiem kuriera. On z kolei wpatrywał się w kartkę przyklejoną klipsami do podkładki, jakby zasięg jego wzroku sięgał najwyżej dwudziestu centymetrów. Wyglądał nieporadnie. Ciągłe poprawiał uchwyt zafoliowanej paczki, którą przyciskał łokciem do żeber. Drapał się po twarzy, jakby w jego krzaczastej brodzie zalęgły się wszy.

Żałowała tego chłopaka. Kojarzył jej się z wielkim upośledzonym dzieciakiem, którego ktoś wepchnął w dorosłość: wystroił w głupkowaty kombinezon, naciągnął czapkę na łeb i kazał zapieprzać od świtu do nocy. Dlatego zatrzymała się obok niego i posłała mu uprzejmy uśmiech. Zapewne zupełnie inny od pobłażliwych uśmieszków, które zwykle widywał.

– Mogę panu jakoś pomóc? – zapytała.

Spojrzał na nią nieufnie. Jakby nie mógł uwierzyć, że ktoś zaoferował mu pomoc. Albo jakby za nic w świecie nie mógł się przyznać do nieudolności. W końcu przełknął dumę i zrobił krok w jej stronę. Uderzył w nią smród jego spoconego ciała.

– Szukam tego adresu. – Pokazał jej kartkę i wycelował brudnym paznokciem w jedną z pozycji na liście. – Dziewięć A.

– To w tej klatce – odparła, starając się nie oddychać nosem. – Prawdopodobnie ma pan paczkę dla mojej sąsiadki.

Na kudłatej twarzy kuriera oczekiwała wyrazu potwierdzenia. Albo chociaż wdzięczności. Ale on tylko bezmyślnie wpatrywał się w listę.

– Nie mogę pani powiedzieć. RODO.

– Rozumiem. Tak czy inaczej, to tutaj. Na domofonie musi pan wybrać numer dziewięćdziesiąt dziewięć.

– Dziękuję – wymamrotał i zakreślił coś długopisem na kartce.

Ominęła go, zaciągnęła się świeżym powietrzem i weszła do klatki. Wpisała kod i otworzyła drzwi. Zanim zaczęła się wspinać po schodach, spojrzała za siebie. Kurier dalej bezmyślnie wpatrywał się w kartkę, jak gdyby jego system zawiesił się w trakcie procesowania informacji. To by tłumaczyło, dlaczego musiał rozwozić paczki po zmroku. Westchnęła i ruszyła na górę.

Było tak, jak przypuszczała: mieszkanie miała tylko dla siebie. Dzieci rzuciły brudne ubrania na płytki w łazience, wykapały się, wystroiły w najlepsze ciuchy i wyszły. Nic nie zjadły – sos do spaghetti, który przygotowała poprzedniego dnia, stał nietknięty w lodówce. Kiedy skończyła pospieszny obchód mieszkania, wróciła do przedpokoju i zdjęła buty. W końcu poczuła ulgę. Nienawidziła obcasów. Wiedziała, że sfatyguje nimi kręgosłup i stawy. Była pewna, że za trzydzieści lat przez te cholerne buciory nie będzie w stanie zleźć ze schodów. A już na pewno zleźć bez bólu. Ale wiedziała, jak działają na mężczyzn. Czują na sobie ich wzrok. Na swoich wyeksponowanych pośladkach. Na nogach, które wydawały się dłuższe i smuklejsze. Nawet jeśli noszenie obcasów miałyby kosztować ją częściowe kalectwo, była gotowa zapłacić tę cenę.

Poszła do sypialni i rzuciła wyjściowe ciuchy: żakiet, spódnicę i rajstopy. Przebrała się w legginsy oraz luźną koszulkę, która nadawała się już wyłącznie do noszenia po domu. Poszła do łazienki i stanęła przed umywalką. Nasączyła

dwa płatki kosmetyczne płynem do demakijażu. Pierwsze pociągnięcie po powiece oznaczało, że tydzień oficjalnie dobiegł końca.

Pozbywając się tapety, myślała o weekendzie. Po raz pierwszy od wielu tygodni nie miała żadnych planów. Żadnych wyjazdów, spotkań, obowiązków. Jeśli nie liczyć rutynowego cotygodniowego sprzątania, mogła go spędzić zupełnie dowolnie. I właśnie to ją martwiło. Przez wiele lat wiodła precyzyjnie zaprogramowane życie, w którym odhaczała kolejne zadania. Zapomniała, jak się improwizuje. Jak się odpoczywa. Jak się miło spędza czas. Starannie wszystko planując i ciągle kombinując, jak czegoś nie spieszyć, zabiła swoją kreatywność. Pozbawiła się właściwości. Przeobraziła w dziwną, nienaturalną istotę wyciętą z jakiegoś pieprzonego stockowego zdjęcia.

Teraz miało się to zmienić. Choć już wiedziała, że nie będzie to proste. Że zmiana nie przyjdzie od razu. I że początkowo może być jej ciężko zaakceptować tę nową kobietę, którą zamierzała się stać.

Kiedy zakręciła wodę, usłyszała pukanie do drzwi. Przez chwilę myślała, że tylko jej się zdawało, ale po chwili pukanie rozległo się ponownie. Wytarła mokrą twarz w ręcznik i wyszła na korytarz. Wyrzała przez wizjer. Kurier. Wydawał się wciąż tak samo nieporadny jak wtedy, kiedy stał przed klatką. Wciąż gapił się na kartkę, jakby miał tam wypisane schematy zachowań, których nie mógł opanować.

Otworzyła drzwi.

– To pan – powiedziała, udając zaskoczenie.

– Sąsiadki nie ma w domu.

Czekała, aż rozwinie wątek i wytłumaczy, co tu robi, ale nie był zbyt wylewny. Wycelowała palcem w paczkę.

– Chce pan, żebym to dla niej przechowała?

Pokręcił głową.

– To nie dla niej.

– A dla kogo? – zdziwiła się.

– Dla ciebie.

Potrzebowała paru sekund, aby zrozumieć, co ma na myśli. W ciągu tych kilku chwil kurier zdążył jednym pociągnięciem rozerwać paczkę i wyjąć z niej kawałek szmaty.

Wtedy zrozumiała, że jest źle. Bardzo źle. Fatalnie.

Próbowała zatrzaskać drzwi, ale te nawet nie drgnęły, ponieważ mężczyzna przytrzymał je ręką. Chwilę później wparował do środka.

Cofnęła się. Chciała pobiec w głąb mieszkania i zabarykadować się w salonie. Odseparować od tego psychopaty i wezwać pomoc. Ale zamiast tego potknęła się o swoje cholerne obcasy i upadła.

Musiała natychmiast coś wymyślić. Uratować się. Ale nie potrafiła nic zrobić. Jej myśli były kompletnie splątane. Miała wrażenie, że jest sparaliżowana. Nie była w stanie krzyknąć ani wyciągnąć przed siebie ręk. Nawet nie mogła zamknąć oczu, by nie patrzeć, jak kurier się nad nią pochyla i przykłada jej szmatę do twarzy.

Przyglądała mu się tak długo, aż wszystko wokół stało się czarne.

Halo?! Nic panu nie jest?

Nie wiedział, skąd dobiega głos ani do kogo należy. Nie wiedział, gdzie jest. Nie wiedział, która godzina. Wiedział tylko, że potwornie boli go łeb. Jakby ktoś przez całą noc okładał go łopata.

Otworzył oczy, rozwierając zaciśnięte mocno powieki. Po paru sekundach zza mgły wyłoniła się staruszka w eleganckim czarnym berecie i ze skórzaną torebką przewieszoną przez ramię. Stała lekko pochylona, opierając się o zawaloną reklamami skrzynkę na listy, i przyglądała się sąsiadowi, który leżał w kącie klatki schodowej, blokując ciałem drzwi do piwnicy.

– Jak można się tak upodlić? – zapytała, potrząsając głową.

– Można – wymamrotał Kawęcki, z najwyższym trudem zbierając się z podłogi. Upłynęło kilka długich sekund, nim osiągnął pion. – Która godzina?

Zamiast mu odpowiedzieć, staruszka prychnęła i wyszła z budynku.

Kawęcki odczekał, aż jego błędnik zacznie prawidłowo funkcjonować, i odwrócił się w stronę schodów. Zmierzył je wzrokiem. Do tej pory nie były dla niego zbyt strome. Nawet gdy wracał na autopilocie, nie mając bladego pojęcia, co się działo przez kilka wcześniejszych godzin.

Zawsze musi być ten pierwszy raz, pomyślał.

Nie był pewien, jak do tego doszło. Większość poprzedniego dnia była zamazana niczym niechlujnie zeszkrobana zdrapka. Pamiętał wędrówkę po

Radogoszczu Zachodzie. Rozmowy z facetami, którzy się wyparli, jakoby mieli coś wspólnego z prowadzeniem burdelu, a tym bardziej z Majewską. Pamiętał spotkania z emerytami, którym trudno było wyjaśnić, kogo właściwie szuka. Pamiętał niezrozumienie i niepewność wymalowane na twarzach ludzi, których nękał. Czuł się niczym upierdliwy domokrążca. Jak łązący od osady do osady piewca ekscentrycznej idei, uznawany przez wszystkich za nieszkodliwego idiotę. Bez szans na to, że swoją nieskładną gadaniną przekona kogoś do wyteżenia mózgowicy.

Pamiętał, że ta wędrówka niewiele mu dała. Odkrył jedynie, że na Radogoszczu jest zadziwiająco dużo miejsc, w których Kostka mógłby się ukryć. I zadziwiająco dużo sklepów monopolowych.

Stanął zdyszany przed wejściem do mieszkania. Włożył rękę do kieszeni i z ulgą odkrył, że nie zgubił kluczy. Nieporadnie, drżącymi dłońmi, otworzył drzwi. W przedpokoju przywitała go kałuża moczu, wokół której skakał spragniony wyjścia na spacer buldog.

– Przepraszam. Zjebałem. – Kawęcki niepewnie się pochylił, żeby pogłaskać psa po pysku. Frenchie błyskawicznie mu wybaczył. Może nawet nie zdążył się pogniewać. – Gdy następnym razem zawalę, naszczaj na coś cennego, żebym tego pożałował.

Ominął kałużę i poszedł do sypialni. Z kieszeni ubrudzonych džinsów wyjął telefon. Był rozładowany. Odszukał w plątaninie kabli ładowarkę, wpiął ją do gniazdka i podłączył do niej smartfona. Rozsiadł się na łóżku. Zapalił papierosa. Ze zwieszoną, wciąż wściekle pulsującą głową czekał, aż telefon wróci do żywych. Kiedy to się stało, dowiedział się, że ma kilkanaście nieodebranych połączeń. Wszystkie z tego samego numeru. Pociągnął łyk zwietrzałego piwa, które od dwóch dni stało na jego nocnej szafce, i postanowił oddzwonić.

– W końcu – westchnął Witold na powitanie. – Cały wieczór próbowałem z tobą pogadać. Wszystko w porządku?

– Powiedzmy.

Witold musiał poznać po głosie, że Kawęcki zaliczył wyjątkowo trudny poranek, i na kilka sekund zamilkł. Zapewne odsunął telefon od ucha, żeby wyrzucić z siebie fontannę przekleństw.

– Znalazłeś coś? – zapytał w końcu.

– Nic.

– Żadnego tropu?

– Ani jednego. Ale obszedłem dopiero połowę osiedla. A przynajmniej tak mi się wydaje.

– Nadal wierzysz, że te poszukiwania mają sens?

– Tak – skłamał Kawęcki. – Dlaczego próbowałeś się połączyć ze mną aż dwanaście razy?

– Musimy się spotkać. Mamy kolejny problem.

Maciej Gawin nie wyglądał na faceta, który urwał się z targów, bladym świtem poleciał z Berlina do Warszawy, a potem w asystencji jednego z policjantów pognał z Okęcia do Łodzi. Miał na sobie elegancki grafitowy garnitur i starannie wyprasowaną białą koszulę, która wyglądała tak, jakby włożył ją chwilę przed wejściem na komendę. Starannie ogolony, pachniał wyrazistymi perfumami. Można było odnieść wrażenie, że miesiącami przygotowywał się do tego spotkania.

Był szczupły i wysportowany. Mierzył około stu osiemdziesięciu pięciu centymetrów i mimo pociągłej, nieco końskiej twarzy, mógł się podobać kobietom.

– Żebym pana dobrze zrozumiał. – Gawin pochylił się do przodu i położył ręce na stole. – Podejrzewacie, że morderca, którego od dłuższego czasu szuka cała Polska, kilka dni temu wszedł przebrany za dozorcę do jednego z bloków, żeby obserwować moje mieszkanie.

– Tego właśnie próbujemy się dowiedzieć – odparł Adamski, który siedział po drugiej stronie stołu w niewielkim pokoju przesłuchań. Od Gawina oddzielała go kamera i wypchana dokumentami teczka. – Możemy z dużym

prawdopodobieństwem stwierdzić, że był w tym budynku i obserwował mieszkania w sąsiednim bloku. Wskazaliśmy sześć lokali, którymi mógł się interesować. Jeden z nich należy do pana i pańskiej żony.

– Dlaczego miałyby się nami interesować?

– Mieliśmy nadzieję, że pan nam to powie. Że to dlatego zerwał się pan z arcyważnej konferencji w Berlinie i przyjechał do Łodzi.

Gawin przez dłuższą chwilę przyglądał się naczelnikowi, po czym osunął na oparcie krzesła.

– Podejrzewacie, że może mu chodzić o moją żonę?

– Tak nam się wydawało, dopóki z nią nie porozmawialiśmy. Ale z tego, co nam powiedziała, wyłonił się obraz kobiety niepasującej do profilu ofiar Kostki.

– To znaczy?

Adamski zerknął do notatek.

– Pańska żona wydaje się ustatkowaną kobietą w średnim wieku. Przykładną matką dwojga dzieci. Pracującą i odpowiedzialną. Nie bierze narkotyków i nie nadużywa alkoholu. Utrzymuje, że nigdy nie dokonała aborcji. I że zawsze była wierna mężowi. – Podniósł wzrok na Gawina. – Jeśli ma pan inną wiedzę na ten temat, dobrze by było, gdyby się nią z nami podzielili.

Gawin pokręcił głową.

– Wszystko się zgadza. Przynajmniej taką mam nadzieję. – Posłał Adamskiemu wymuszony uśmiech. – Na kogo ten człowiek poluje?

– Przeważnie na rozwiązłe kobiety.

– prostytutki?

– Raczej na dwudziesto- i trzydziestoparolatki, które wiodą względnie normalne życie. Tyle że nie postępują w zgodzie z zasadami religijnymi, w które Kostka wierzy. Przeszkadzają mu aborcjonistki, kobiety niemające stałego partnera albo takie, którym zdarzają się skoki w bok. I o ile nam wiadomo, jest bardzo zasadniczy. Raczej nie robi wyjątków od swoich reguł.

– W takim razie Marzena może się czuć bezpieczna.

– To już ustaliliśmy. Wiem też, że mój kolega wyjaśnił panu to wszystko we wczorajszej rozmowie telefonicznej. A mimo to postanowił pan opuścić konferencję, żeby się z nami spotkać. Dlaczego?

Gawin sięgnął po stojącą na skraju stołu szklankę wody. Pociągnął spory łyk, jakby chciał sobie przepłukać usta.

– Kiedy widziano tego człowieka? – zapytał.

– W poprzedni piątek około dwudziestej drugiej trzydzieści. Był pan wtedy w domu?

Gawin ciężko westchnął i rozejrzał się po pokoju, jakby spodziewał się znaleźć odpowiedź na którejś ze ścian.

– Nie pamiętam.

– To proszę sobie przypomnieć. Wiemy, że pańskiej żony i dzieci wtedy nie było. – Adamski ponownie zajrzał do notatek. – Podobno powiedział pan żonie, że musi zostać dłużej w pracy. Do wieczora. Dlatego zabrała dzieci i pojechała do matki. Pan miał do nich dołączyć następnego dnia.

– To prawda.

– Czy o dwudziestej drugiej trzydzieści, po ciężkim dniu w biurze, wrócił już pan do domu?

– Chyba tak.

– Czy był pan sam?

Gawin próbował wytrzymać świdrujące spojrzenie Adamskiego, ale w końcu odwrócił wzrok. Sięgnął po szklankę i kilkoma nerwowymi haustami opróżnił jej zawartość.

– Byłoby dobrze, gdyby w końcu zaczął pan odpowiadać na moje pytania – stwierdził Adamski. – W przeciwnym razie uznam, że próbuje pan utrudniać śledztwo.

Gawin wolno pokiwał głową. Rozumiał swoją sytuację. Wiedział, jakie są konsekwencje. A mimo to nie zamierzał się otworzyć przed naczelnikiem.

– Zanim cokolwiek powiem, chciałbym porozmawiać z adwokatem – oznajmił.

Adamski przez kilka sekund gromił go wzrokiem. W końcu wzruszył ramionami.

– Ma pan do tego prawo. – Pochylił się nad stołem. – Jeśli w tym czasie Kostka wykończy kolejną kobietę, to pan będzie musiał z tym żyć.

Gawin głośno przełknął ślinę. Chwilę później zaczął wertować listę kontaktów w telefonie.

– Co za sajgon! – westchnął Artur. – Widziałeś kiedyś coś podobnego?

Witold patrzył na ciekawskie twarze kierowców, którzy wolno przejeżdżali przez skrzyżowanie marszałków, jedną z najważniejszych łódzkich arterii komunikacyjnych. Spoglądali w stronę skupiska samochodów policyjnych otaczającego niebieski namiot oględzinowy. Każdy z nich – bez względu na to, czy był prezesem korporacji spieszącym się na śniadanie biznesowe, białym kołnierzykiem zasuwanym na spotkanie z klientem czy robotem zapieprzającym na budowę – oczekiwał tego samego: chciał zobaczyć trupa.

– Nie – odparł Witold, wolno kręcąc. – Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

Wyrzucił peta na asfalt i razem z Arturem ruszył w stronę namiotu. W środku stało kilku techników kryminalistyki, na czele z Beatą Tarką w opuszczonym do bioder kombinezonie ochronnym. Popijała herbatę z plastikowego kubka, wpatrując się w krwawą plamę.

Kilka godzin wcześniej pozostawiło ją na jezdni ciało Jacka „Procenta” Sity. Były mokotowski gangster wyjechał do Łodzi, żeby uciec przed dawnymi kolegami. Ale nie zdołał uciec przed dawnym życiem.

– Co tu się stało? – zapytał Witold.

Tarka wycelowała palcem w stojący obok namiotu samochód.

– Ofiara podjechała na światła i zatrzymała się tuż za sprawcami. Wsiadła i podeszła do auta napastników. Kazała im opuścić szybę. Kierowca to zrobił, a wtedy mężczyzna siedzący na fotelu pasażera otworzył ogień. Oddał dwa strzały w klatkę piersiową. A potem dwa kolejne, kiedy ofiara leżała na jezdni.

Śmierć na miejscu. – Tarka zrobiła pauzę, żeby wytrzeć zasmarkany nos. – Facet nie mógł się tego spodziewać, ponieważ samochód miał przyciemniane szyby.

– Skąd to wszystko wiesz?

– Z nagrania – odezwał się jeden z techników, który trzymał w rękach tablet.

– Monitoring wyłapał całe zajście. Było dokładnie tak, jak mówi Beata. – Podszedł do Witolda i uruchomił film.

Policjant obejrzał kilkudziesięciosekundowe nagranie z kamery umieszczonej na biurowcu sąsiadującym ze skrzyżowaniem. Zobaczył, jak Procent gwałtownie zatrzymuje samochód, wychodzi z auta i z pałką bejsbolową w ręce zbliża się do stojącej przed nim mazdy. Przez kilka sekund wrzeszczy i wymachuje łapami. Potem kierowca opuszcza szybę, a gangster momentalnie osuwa się na ziemię. Chwilę później strzelec wystawia broń przez okno i oddaje kolejne strzały. Na koniec sprawcy rzucają w Procenta czymś białym i odjeżdżają ze świateł, które właśnie zmieniły się na zielone.

Nic nie zostawili przypadkowi, pomyślał Witold.

– Co to było? To białe? – zapytał.

– Zwinięta kartka. – Technik pokazał mu torbę na dowody, do której spakowano wymięty świstek. – „Pozdrowienia ze stolicy”. Wygląda na to, że jego dawni koledzy dali o sobie znać.

Witold długo wpatrywał się w dowód. Coś mu w nim nie pasowało.

– Kogo oni pozdrawiają? – rzucił pytanie w eter, patrząc na twarze zebranych w namiocie ludzi. – Nas? Kryminalnych? Dlaczego mokotowscy mieliby wysłać nam jakiś sygnał? Przecież ten śmieć nie jest naszym człowiekiem. Nie chroniliśmy go. Nie wyciągaliśmy od niego informacji na temat jego dawnego życia. Właściwie dopiero niedawno odkryliśmy, że urządził się w Łodzi niczym księżę.

– Może to żart – zasugerował Artur. – Takie mrugnięcie okiem.

Witold zgromił go spojrzeniem.

– To żadne mrugnięcie, tylko ściema. – Wskazał palcem plamę krwi. – Procenta nie rozjebali mokotowscy, tylko ludzie, z którymi zadarł tutaj.

W Łodzi. – Zerknął na Artura. – Co wiadomo o sprawcach?

– Niewiele. Przyjechali mazdą szóstką na kradzionych blachach. Nie jesteśmy w stanie ich rozpoznać, bo byli w kominiarkach. Zbieramy nagrania z rozlokowanych w mieście kamer, licząc na to, że zakryli twarze tuż przed akcją.

– Prawdopodobnie są niscy – odezwała się Tarka. – Trudno ocenić wzrost siedzącego człowieka, ale w momencie strzału głowa kierowcy ledwo wystawała znad drzwi. A pierwsze dwa naboje trafiły ofiarę tuż nad żebrami. Muszę jeszcze raz dokładnie obejrzeć nagrania, ale przypuszczam, że za zabójstwem stoi dwóch facetów mierzących najwyżej sto siedemdziesiąt centymetrów.

Bliźniacy, pomyślał Witold.

Kurwa mać.

– Wezwij tu Ferenc – polecił Arturowi. – Powiedz, że ma się zorientować, co w czasie zabójstwa robił Roman Basznikow. To w tej chwili główny wróg Mariusza Rytera, który był szefem Procenta.

– Już to zrobiła. – Artur wyjął z kieszeni notes. – Basznikow rozmawiał wtedy z policjantami.

– Co takiego?

– Ktoś zadzwonił na policję i powiedział, że był świadkiem pobicia, do którego doszło na terenie firmy Basznikowa. Paru facetów miało komuś spuścić wpierdol na podwórku, a potem wciągnąć go do budynku. Dyspozytor wysłał tam patrol.

– Niech zgadnę: nic nie znaleźli. Nie było żadnego pobicia.

– Spotkali Gruzina i kilku jego przydupasów. Zebrali zeznania, rozejrzeli się po okolicy i odjechali. Mogę komuś zlecić, żeby dokładnie zbadał temat.

Witold machnął ręką.

– Spróbuj tylko ustalić, kto zadzwonił na policję. I pogadaj z Ryterem. Pewnie się wyprze, że Procent był jego żołnierzem, ale może podrzuci nam coś na Gruzina.

Wyszedł z namiotu. Myślał. Próbował zrozumieć, co tu się stało. Jak do tego doszło? I dlaczego odbyło się to w taki sposób, jak w latach dziewięćdziesiątych, kiedy co brutalniejsi i głupszy gangsterzy strzelali do siebie na ulicy? Ale nawet wtedy nie robili tego na środku ruchliwych skrzyżowań, obstawieni z każdej strony kamerami, w przededniu wyborów.

Kurwa, zaklął w myślach. Jakby ktoś wydobył z lodu jakiegoś prehistorycznego zbója.

Poczuł wibracje telefonu. Dzwonił Kawęcki. Nareszcie.

– Nie przychodź tutaj – warknął Witold do słuchawki. – Spotkajmy się przed stacją benzynową na Wydawniczej.

Nie czekając na reakcję rozmówcy, rozłączył się i podreptał w umówione miejsce. Kawęcki dołączył do niego kilka minut później. Poruszał się ślamazarnie, powłócząc nogami, jakby ktoś wsypał mu gruzu w portki. Witold często widywał takich ludzi na swoim osiedlu. Kursowali niczym zombie między najtańszym monopolowym a miejscówką, w której betonowali się do wieczora. Tylko po to, żeby nazajutrz powtórzyć cykl.

– Wyglądasz jak gówno – powiedział na powitanie.

– Nic nowego.

Witold dał Kawęckiemu znak, żeby za nim poszedł. Gdy tylko oddalili się od stacji, zapalił papierosa. Kawęcki natychmiast poszedł w jego ślady.

– Wiedziałeś o tym? – zapytał Witold. – Wiedziałeś, że facet, który jeszcze kilka tygodni temu chciał cię zabić, postanowił pozbyć się twojego kumpla?

– Procent nie był moim kumplem. Dobrze o tym wiesz.

– Nie wyglądasz na zaskoczonego.

– Właśnie spędziłem czterdzieści pięć minut w komunikacji miejskiej. Miałem czas przywyknąć do myśli, że Procent nie żyje. Nawet mi się spodobała.

Witold nieufnie przyjrzał się Kawęckiemu.

– Wczoraj wieczorem ktoś zadzwonił na komendę i powiedział, że widział bójkę na terenie firmy Romana. Dyspozytor wysłał na miejsce patrol. Zgłoszenie okazało się ściemą. Za to zapewniło Romanowi alibi na czas zabójstwa. –

Wyrzucił wypalonego do połowy peta na chodnik i przydepnął go butem. Czuł, że robi mu się niedobrze. Od nadmiaru nikotyny. Albo z zupełnie innego powodu. – To ty zadzwoniłeś z tym anonimem?

Kawęcki uniósł brwi. Nie odpowiedział.

– Dopilnuj, by dziennikarze się dowiedzieli, że Procent był żołnierzem Rytera. – Kawęcki wycelował palcem w stronę skrzyżowania. – W przeciwnym wypadku cała ta szopka pójdzie na marne.

– Kurwa. – Witold z niedowierzaniem kręcił głową. – Chcesz przegonić Rytera z miasta. A przy okazji się oczyścić.

– Nie. Chcę go tylko przegonić z miasta. Dla mnie już nie ma ratunku.

– Co to, kurwa, ma znaczyć?

Kawęcki odwrócił się do Witolda bokiem. Zaciągnął się mocno i zaczął masować skroń.

– Załatw to, a ja wracam na osiedle szukać Kostki.

Witold chwycił go za ramię.

– Jeśli wyjdzie na jaw, że maczałeś w tym palce, nie będę cię chronił.

– Nie wyjdzie, bo to nie ja dzwoniłem. – Kawęcki spojrzał koledze głęboko w oczy. – Poza tym nie oczekuję, że będziesz mnie krył. Teraz nie ma to już znaczenia.

Wyrwał się z uścisku Witolda i ruszył w kierunku, z którego przyszedł.

Plan był prosty.

Dostać się do Rady Miejskiej. Obstawić wszystkie istotne komisje gospodarcze: planu przestrzennego, budownictwa, urbanistyki i architektury; gospodarki mieszkaniowej i komunalnej; finansów, budżetu i polityki podatkowej; rozwoju i działalności gospodarczej. Zostać wiceprzewodniczącym jednej z nich, a w pozostałych uczynić przewodniczącymi swoich giermków. Otoczyć się grupą ludzi takich jak on: niepolitycznymi graczami, którzy podpięli się do partyjnego cycka nie ze względów ideologicznych, ale żeby zyskać realny wpływ na decyzje.

Zamierzał działać bezszelestnie. Z cienia. Będąc niewidocznym i niedostępnym dla innych, a zwłaszcza dla mediów i opinii publicznej. Miał zostać prawdziwym decydentem, który będzie bezdźwięcznie dyrygować miastem. Bez względu na to, kto zostanie prezydentem. Kto wygra przyszłoroczne wybory parlamentarne. Kto stanie mu na drodze.

Zbigniew Halbert już dawno się nauczył, że na koniec dnia nie ma znaczenia, kto świeci mordą w telewizji, pozuje na ściankach czy dierży tytuł prezesa, przewodniczącego albo prezydenta. Liczy się to, kto ma najwięcej do powiedzenia, kiedy gasną kamery. Kto jest dość szalony, by wyłożyć miliony na ideę, z której może nic nie wyjść. Kto pokaże jaja w momencie, gdy inni będą się wstydzili rozpiąć kurtkę. Dopiero wtedy widać, kto jest najbardziej przystosowany. Kto jest prawdziwym zwycięzcą doboru naturalnego. I komu należy się pierwsze miejsce w kolejce do dziobania.

Dawno też się nauczył, że najprostsze plany zwykle biorą w łeb.

Jego plan znalazł się na zakręcie, kiedy pewna głupia pizda w porozumieniu z inną głupią pizdą i jej zakłamanym chłopakiem postanowili go oczernić. Ale teraz, stojąc w lokalnej siedzibie partii, która miała go wywindować na szczyt, i gapiąc się na przymocowany do ściany sześćdziesięciocalowy ekran, był pewien, że właśnie wyszedł na prostą.

– Niezły syf, co? – zagadnął doradca, stając obok szefa. – Rozpieprzyli skrzyżowanie marszałków. Podobno w całym mieście tworzą się korki. Ciekawe, kto za to beknie.

– Obecna władza – odparł Halbert. – Zawsze obrywają ci, którzy w danej chwili powinni się zajmować odchwaszczaniem miasta. Bez względu na to, jakie błędy popełniali ich poprzednicy i jak wielkim wykazywali się nieróbstwem. Dla nas to podwójnie dobra wiadomość.

– Myśli pan, że ludzie zapomną o tym programie?

– Część zapomni, a część zajmie się nim dopiero po pierwszej turze. Najważniejsze, że dzisiaj mamy spokój. Ludzie, którzy chcieli nam zaszkodzić, zaczęli działać zbyt późno. Dziennikarze boją się grzebać w tych idiotycznych

wynurzeniach, żeby nie złamać ciszy wyborczej. A do tego mają temat zastępczy. – Wycelował palcem w ekran. – Ktokolwiek zabił tego gangstera, wyświadczył nam przysługę.

Mężczyźni odwrócili się w stronę długonogiej recepcjonistki, która podeszła do nich z prawej strony. Sztuczny uśmiech przyklejony do sztywnej twarzy, w połączeniu z ostro wymalowanymi ustami, upodabniał dziewczynę do wyrosniętej lalki Barbie.

– Jakaś policjantka chce z panem rozmawiać – oznajmiła. – Właściwie nalega.

– Policjantka? – zdziwił się Halbert.

– Z Warszawy. Nazywa się...

– Wiem, jak się nazywa. Zaraz do niej przyjdę.

Halbert zostawił doradcę, recepcjonistkę oraz burdel na skrzyżowaniu i ruszył w kierunku windy. Kiedy drzwi się zatrzasnęły, odwrócił się do lustra. Poprawił sztywny kołnierzyk koszuli. Wyszczерzył zęby, upewniając się, że nie zostały na nich resztki lunchu. Strzepnął z ramion pojedyncze siwe włosy, które kłuły w oczy na granatowym materiale. Był gotowy na spotkanie z kobietą, która pragnie go zniszczyć.

Wyszedł z windy i ruszył prosto w kierunku Anny Stelmach. Policjantka siedziała w skórzanym fotelu i przeglądała leżącą na stoliku gazetę.

– Pani zapewne do mnie – oznajmił, wyciągając dłoń. – Zbigniew Halbert.

– Komisarz Anna Stelmach. Dziękuję, że znalazł pan dla mnie czas. Domyślałam się, że na dzień przed wyborami nie było to proste.

– Wbrew pozorom dzisiaj nie mamy wiele do roboty. Zajmujemy się głównie obgryzaniem pazurów i zamartwianiem o wynik. – Posłał jej serdeczny uśmiech.

– Jak mogę pani pomóc?

– Chciałabym porozmawiać o wczorajszym programie telewizyjnym.

Halbert pokiwał głową.

– Chce pani wejść na górę? Napić się kawy?

– Wolałabym się przejść, jeżeli nie ma pan nic przeciwko. Jeszcze nie miałam okazji poznać miasta, a wiem, że Piotrkowska jest tuż obok.

Halbert, zaskoczony propozycją, z pewnym opóźnieniem wskazał dłonią drzwi. Wyszli przed budynek i ruszyli w kierunku oddalonego o jakieś sto metrów deptaka.

– To prawda? – spytała bez ogródek Stelmach.

– A jak pani myśli?

– Nie wiem.

– Ale jak się pani wydaje?

– Bohaterowie tego materiału wypadli przekonująco. Jakby wiedzieli, o czym mówią.

Kiedy dotarli na Piotrkowską, Halbert nieco przyspieszył kroku. Stelmach musiała się sprężyć, żeby za nim nadążyć.

– To kompletna bzdura – wypalił biznesmen. – Nie mam pojęcia, skąd ci ludzie wytrzasnęli te rewelacje. I dlaczego przypuścili na mnie homofobiczny atak.

– Homofobiczny?

– Jakuba Możejkę poznałem ledwie parę tygodni temu. Chciał się do mnie zbliżyć. Podejrzywałem, że podobnie jak ja jest biseksualistą. – Zrobił pauzę, żeby sprawdzić, czy Stelmach o tym wie. Z jej poważnej miny trudno jednak było cokolwiek wyczytać. – Ale najwyraźniej próbował wciągnąć mnie w jakąś grę. Po pewnym czasie przestał odbierać telefony. Zerwał kontakt. Zniknął. Aż któregoś dnia niespodziewanie odwiedził mnie w biurze.

– Po co?

– Nie mam pojęcia. Przyjąłem go w gabinecie i przez kilkanaście minut rozmawialiśmy o pierdołach. Był bardzo tajemniczy. Nie wyjaśnił swojego wcześniejszego zachowania. I oczywiście nie wspomniał o tym, że zamierza mnie publicznie oczernić.

– Nigdy nie zaprowadził go pan do willi, o której wspomina na nagraniu?

– Byliśmy na kilku imprezach, w tym raz w gejowskim klubie. Ale to wszystko. Przypuszczam, że te straszne libacje, o których mówił, są wytworem jego bujnej wyobraźni. Dziwię się, że dziennikarze z poważnej ogólnopolskiej telewizji nie próbowali zweryfikować tych bzdur.

– Może nie powiedział wprost, co to za miejsce.

– Właśnie. To zastanawiające, prawda?

– Może się bał.

– Albo zmyślał. Tak czy inaczej, zamierzam wyciągnąć konsekwencje prawne wobec niego i stacji.

– A co z Alicją Mioduszewską? Dlaczego próbuje panu zaszkodzić?

Po przejściu jednej przecznicy Halbert się zatrzymał, wzruszył ramionami i zawrócił. Najwyraźniej nie chciał przeciągać tego nieoczekiwanego spaceru.

– Nigdy jej nie poznałem. Nigdy z nią nie rozmawiałem. Prawdopodobnie nigdy nawet nie starała się do mnie dotrzeć. Przypuszczam, że połączyła mnie z tą sprawą tylko dlatego, że kiedyś moim ochroniarzem był Borys Weliński.

– Dziwi jej się pan?

– Już zeznawałem. Powiedziałem pani kolegom, że musiałbym wymyślić tę obrzydliwą zbrodnię w dwa tysiące dwunastym roku, ponieważ wtedy po raz ostatni miałem styczność z Welińskim.

Halbert długo wpatrywał się w Stelmach, jak gdyby chciał ją onieśmielić albo przekonać do swojej prawdomówności. Potem zerknął na zegarek. Przyspieszył.

– Biseksualista kandyduje z ramienia partii, która nienawidzi gejów – powiedziała Stelmach, jakby niechcący przeniosła swoje myśli na język. – To bardzo przewrotne.

Halbert się roześmiał.

– Trochę jak Hoover, prawda? Lubię chodzić pod prąd.

– Nie wolałby pan powalczyć o fotel prezydenta jako kandydat bezpartyjny?

– Mógłbym, gdybym był zawodowym politykiem. Ale polityka to dla mnie tylko narzędzie. Sięgam po nie chętnie i bez skrupowania, ponieważ służy moim interesom. Zwłaszcza że swoimi inwestycjami nie wyrządzam nikomu krzywdy.

– Jest pan bardzo bezwzględny.

– Raczej pragmatyczny.

Stelmach potrząsnęła głową.

– Bezwzględny. I zepsuty do szpiku kości. Jako biznesmen i polityk musi pan mieć niebywałą wprawę w manipulowaniu ludźmi.

Kiedy znaleźli się kilka metrów przed wejściem do budynku partii, Halbert znów przystanął.

– Zapuściła się pani na nieznane wody – powiedział. – Warszawski funkcjonariusz Biura Spraw Wewnętrznych musi się czuć nieswojo, łażąc po brudnych łódzkich uliczkach. Być może niewiele rozumie pani z tego, co się tutaj dzieje.

Potraktował Stelmach pobłażliwym uśmiechem. Jak gdyby w maksymalnie eufemistyczny sposób chciał oznajmić, że uważa ją za kretynkę. Ale ona odpowiedziała mu tym samym.

– To ciekawe – stwierdziła. – Wspominałam ludziom z recepcji, że przyjechałam z Warszawy. Ale nie mówiłam nic o BSW.

Przez kilka sekund gapili się na ludzi nieustannie przeciskających się przez drzwi obrotowe.

– A więc nie ma sensu już grać, co? – zapytał Halbert.

– Może pan próbować, ale nie wywinie się z tego. Za daleko to już zaszło.

Nie spuszczać policjantki z oczu, biznesmen ciężko wypuścił powietrze.

– Mioduszevska i Możejko nie zdołaliby przekonać tej grubej kwoki, żeby wypuściła te brednie. Ten materiał nie ujrzałby światła dziennego bez pomocy stołecznej policjantki. Brawo. Rozegrała to pani jak doświadczony polityk. – Parokrotnie klasnął w dłonie. – I dlatego pani także poniesie karę.

– Pan mi grozi?

– Tylko stwierdzam fakty. – Rozejrzał się wokół, a następnie zrobił krok w kierunku Stelmach. – Faktem jest to, że znam wielu wpływowych ludzi w policji. Nie tylko w Łodzi. Wiem, co zrobić, żeby panią zniszczyć. Dlatego

proszę uważać na swój następny krok. – Wyciągnął do niej dłoń. – Miło się z panią spacerowało.

Chwilę później zniknął w budynku. Stelmach przyglądała się, jak przyciskając telefon do ucha, pędzi w stronę windy. Do partyjnych kolegów, z którymi tak bardzo pragnął zasiąść przy korycie. Do świata pieniędzy i władzy. Do alternatywnej rzeczywistości, w której zgraja pozbawionych idei politykierów i cwanych biznesmenów steruje życiem setek tysięcy mieszkańców tego miasta. Do ludzi, którzy uważają się za lepszych od innych.

Ale nawet ci lepsi się stresują. Pozwalają sobie na krótkie momenty nierównowagi psychicznej, w których trakcie ich boskość doznaje niespodziewanego zaburzenia. Jak gdyby cała ta wyjątkowość była tylko sztucznym tworem wyrzeźbionym na potrzeby ogłupiania mas.

A wtedy popełniają błędy. I wtedy należy w nich uderzyć.

Tak jak to przed chwilą zrobiła Stelmach.

Mariusz Ryter dobrze pamiętał dzień, w którym rozbił się samolot prezydencki. Podobnie jak wielu Polaków obudził się już po katastrofie. Zmęczony. Zmaltretowany piątkowym wieczorem. Zamulony od nadmiaru blantów i taniej whisky. Włączył telewizor i dowiedział się, że para prezydencka nie żyje. Że dziewięćdziesiąt sześć osób zginęło w Smoleńsku. Że nikt nie przeżył katastrofy.

Podobnie jak wielu Polaków długo oswajał się z tą nowiną. Trawił ją. Myślał, co to wydarzenie może zmienić. I podczas gdy większość osób ostatecznie potraktowała katastrofę jako wyjątkowo przykrą ciekawostkę, epizod, od którego ani nie zbiednieje, ani się nie wzbogaci, jako w gruncie rzeczy mało znaczącego dla ich losów newsa, Ryter uznał, że to zdarzenie definitywnie odmieni jego życie.

Osiem lat temu był przesadzającym z trawką wiecznym studentem, który nie ukończył ani prawa, ani stosunków międzynarodowych i właśnie zamierzał porzucić zarządzanie i marketing. Był nikim. Ale wtedy, patrząc na wrak samolotu i przetaczając się przez media panikę, postanowił to zmienić. Wierzył,

że w kraju rozpęta się chaos. Dzika walka o władzę. Chałupnicze stanowienie nowego porządku, w którym ludzie tacy jak on – bez wykształcenia, bez specjalistycznej wiedzy, bez znajomości, z przypadku – zupełnie niespodziewanie będą mogli zostać nową siłą. Jak po osiemdziesiątym dziewiątym roku. Albo jak w Rwandzie, gdzie po ludobójstwie zaczęły krajem rządzić kobiety – przejęły parlament, gospodarkę i rynek pracy, ponieważ ich tępi faceci wycięli się niczym barbarzyńcy.

Oczywiście nic takiego się nie stało. Ale wiara Rytera w to, że osoby jego formatu przejmą władzę, nie osłabła. Wymyślił sobie biznes. Pożyczył kapitał. Założył firmę. Zatrudnił kilku twardogłowych byłych przestępców, którzy wskoczyli w buty ochroniarzy. Zarobił pierwsze pieniądze. Wykombinował, że będzie nie tylko świadczył usługi ochroniarskie, ale też dostarczał systemy antywłamaniowe. Znalazł ludzi, którzy je zaprojektowali i znaleźli sposób, żeby wytwarzać je za półdarmo na gównianych komponentach. A potem zaczął optymalizować swój biznes. Odkrywać, że tylko grą na najniższych instynktach – strachu, wstydzie, stresie – jest w stanie zarobić poważne pieniądze.

Przy okazji odkrył, że nie cofnie się przed niczym.

Był bezczelnym ignorantem, który wyrywał brudnymi łapskami coś, co nie należało do niego. Wydawało mu się, że nikt ani nic go nie zatrzyma. Że żadne trzęsienie nie zmiecie go z powierzchni ziemi.

Aż do tej soboty.

Ryter siedział w biurze i przeglądał newsy w internecie. Czytał o zabójstwie Procenta i czekał na pierwszą wiadomość, w której zostanie wspomniany. Jednocześnie myślał o swoich dwóch największych wrogach. O Kawęckim i Romanie. Byłym policjancie i gangsterze, którzy cichaczem zawiązali przeciwko niemu pakt.

Musiał przyznać, że rozegrali to koncertowo. Kawęcki od paru tygodni go zwodził. Udając, że ukrywa się przed Romanem, tak naprawdę działał w jego imieniu. Stał się jego bezwolnym sługusem. Z kolei Roman wiedział, że nie stać go na długą i wyniszczającą walkę o wpływy. Nie miał wystarczająco dużo ludzi,

środków ani kontaktów na mieście. Musiał znaleźć miękkie podbrzusze Rytera, a następnie wyprowadzić nokautujący cios. I znalazł je dzięki Kawęckiemu.

Procent. Moje przekleństwo, pomyślał Ryter. Jedyne naprawdę słaby punkt. Straszak, którym przez kilka lat wymachiwał, zdobywając kolejne osiedla i kontrakty. I który nagle nieoczekiwanie wypalił tuż przed jego nosem.

Kiedy Ryter w końcu zobaczył swoje nazwisko w sieci, zamknął wszystkie karty przeglądarki i otworzył jeden z dwóch plików tekstowych, które przygotował na tę okoliczność. Napisał w nim list. Formalnym, wręcz urzędowym językiem. Pełen zwrotów, których nigdy nie używał. I słów, jakie nigdy nie wyszłyby z jego ust.

Był to list rezygnacyjny.

Rezygnował z funkcji prezesa swojej spółki. Wiedział, że po aferze z Procentem jest to nieuniknione. Że to jedyny sposób, aby jakoś wybielić Herkulesa. Bo na wybielenie jego – bez względu na to, co policja zdoła ustalić – było już za późno. Wiedział, że media go zjedzą. Że dla opinii publicznej, a tym samym dla swoich klientów i partnerów biznesowych, stanie się bezwartościowym śmieciem. Odejście było jedynym sposobem, żeby nie pociągnąć firmy na dno.

Ale w pełni nie załatwiało sprawy.

Drugi z otwartych plików był umową zbycia udziałów w spółce. Przekazywał je w ręce dwóch zaufanych ludzi. Najlepszych handlowców, jakich udało mu się sprowadzić do firmy. Ryter miał nigdy nie dostać od nich pieniędzy, za które oficjalnie przejmowali jego udziały. Byli zwykłymi gołodupcami, którzy, podobnie jak on, pewnego dnia postanowili zmienić swoje życie, tyle że nie mieli dość odwagi, aby założyć własny biznes. Obiecał im, że jeśli kiedyś powinie mu się noga, jeżeli doprowadzi do tego, że stanie się persona non grata we własnym domu, odda im firmę za frajer. Pod jednym warunkiem – że znajdą inwestora, który ją od nich odkupi, i podzieli się z nim pieniędzmi ze sprzedaży. W stosunku fifty-fifty. Gdyby im się to udało, Ryter zostałby multimilionerem.

Wiedział, że go nie oszukają. Za bardzo się bali. Zbyt wiele im pokazał, żeby odważyli się z nim pogrywać.

Przeglądając po raz ostatni oba dokumenty, z całą mocą sobie uświadomił, że jego ośmioletni sen właśnie dobiega końca. Że passa się skończyła. Szczęście, które tak często mu dopisywało, w końcu go opuściło. A właściwie nie tyle opuściło, ile wytknęło palcem i wyśmiało. Zniweczyło osiem lat jego ciężkiej pracy. Oddania się idei. Poświęcenia celowi, który komuś takiemu jak on wydawał się nieosiągalny. Osiem lat spędzonych na samobójczej misji.

Czy było warto?

Jasne, kurwa, że było warto.

Uśmiechnął się do siebie i nacisnął przycisk Drukuj. Wysłał esemesa do prawnika. Odbył dwie krótkie rozmowy telefoniczne z nowymi właścicielami firmy. Zaaranżował spotkanie, ostatnie, na którym wystąpi w roli prezesa. W końcu podpisał wydruki i włożył je do dwóch osobnych teczek.

Kiedy uporał się ze wszystkimi formalnościami, sapnął ciężko i rozsiadł się wygodnie w fotelu. Odmierzył sobie podwójną porcję dwunastoletniego glenfiddicha. Opróżniając szklanek małymi łykami, zaczął szukać lotów do Tajlandii.

Witold wrócił na komendę późnym popołudniem. Adamski czekał na niego w gabinecie, oglądając nagranie rozmowy z Maciejem Gawinem. I stresując się jak uczeń przed powrotem ojca z wywiadówki.

– I jak? – zapytał, kiedy Ptak wszedł do pokoju.

Witold nie kwapił się z odpowiedzią. Starannie zamknął drzwi i podszedł do okna. Pomachał Adamskiemu paczką papierosów, a kiedy ten zgodził się na zasmrodzenie biura – uchylił okno i zapalił.

– Dwóch sprawców: jeden prowadził samochód, drugi strzelał. Wpakowali w Procenta cztery kule, choć prawdopodobnie już dwie pierwsze załatwiły sprawę.

– Wiadomo, kim są?

Witold pokręcił głową, rozdmuchując na boki dym.

– Mieli kominiarki. Z nagrań monitoringu możemy wywnioskować, że są niscy. Według Tarki mają około stu siedemdziesięciu centymetrów wzrostu. Po zabójstwie rzucili w Procenta kartką z napisem „Pozdrowienia ze stolicy”.

– I kogo niby pozdrawiają?

– No właśnie. To podpucha. Mokotowscy rozwiązaliby tę sprawę inaczej. Zamiast odstawiać szopkę w mieście, którego nie znają, wywieźliby go do lasu i zatłukli na śmierć. Za tym musi stać któryś z miejscowych.

– Masz swój typ?

– Tylko jeden. – Witold ciężko westchnął. – Roman Basznikow. Jestem pewien, że to on zlecił zabójstwo Procenta. Ale nigdy mu tego nie udowodnimy.

Niscy goście w kominiarkach, fura na kradzionych blachach, strzelanina. Gruzińscy bliźniacy – Szota i Lewan. Etatowi cyngle Romana. Adamski przypomniał sobie wczorajszą rozmowę z gangsterem. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że to jego sprawka. I że pomógł temu skurwysynowi wywinąć się od odpowiedzialności.

Przełykając ślinę, miał wrażenie, że przez jego gardło przeciska się najeżona kolcami kula.

– Rozmawialiście z nim? – zapytał niepewnie.

Witold odwrócił się w stronę okna i wzruszył ramionami.

– Ma alibi. I to niezłe, ponieważ w trakcie strzelaniny odwiedził go patrol policji. Sam natomiast chroni bliźniaków, twierdząc, że nie było ich wtedy w mieście. Ponoć ma na to dowód.

– Pewnie sfabrykowany.

– Co nie zmienia faktu, że i tak chuja im zrobimy.

Wyrzucił peta przez okno i podszedł do biurka. Zawiesił wzrok na Adamskim, który siedział wbity w fotel, jak gdyby zapomniał, o czym chciał pogadać.

– Kto to jest? – wyręczył go Witold, wskazując brodą ekran.

– Maciej Gawin. Mieszka w bloku, który obserwował Kostka.

– Kojarzę. Rozmawialiśmy z jego żoną. Dała nam do niego numer. Artur próbował go złapać.

– W końcu mu się udało. A Gawin okazał się na tyle zdeterminowany, by się z nami spotkać, że postanowił przedwcześnie opuścić konferencję w Berlinie.

– I co powiedział?

– Jeszcze nic. Facet coś wie, ale boi się z nami rozmawiać. W pewnym momencie przerwał zeznania i powiedział, że dokończy je w towarzystwie adwokata. Zresztą sam zobacz. – Adamski wznowił odtwarzanie filmu. Pokazał Witoldowi ostatnie dwie minuty rozmowy z Gawinem. – I co o tym myślisz?

– Rzeczywiście, on coś wie. I czegoś się boi.

– O co może mu chodzić?

Witold przyjrzał się Gawinowi. Elegancki strój i nienaganna fryzura. Sposób siedzenia wskazujący na pewność siebie, wyrobiony podczas dziesiątków spotkań biznesowych. Ledwo zauważalny, irytujący półuśmiech przyklejony do gęby. Facet pewnie pochodził z inteligenckiej rodziny, która go wysłała do renomowanej szkoły. Na studiach musiał zgarniać wszystkie możliwe stypendia. Mógł zostać, kim tylko chciał, ale postanowił pójść do biznesu. Tam gdzie może najwięcej zarobić. Gdzie roi się od efekciarzy chełpiących się fajnymi zegarkami, nowymi samochodami i dupami, które na nie wrywają.

Gawin uosabiał wszystko to, czego Witold nienawidził.

– Tacy jak on zawsze coś kręcą – oznajmił, zerkając na Adamskiego. – Daj znać, gdy w końcu zaczniesz czekać.

Naczelnik pokiwał głową, a potem położył na stole jakiś wydruk.

– Jeszcze jedno – powiedział. – Ktoś zgłosił zaginięcie Wargi.

Witold przyglądał mu się przez dłuższą chwilę. Jakby liczył na to, że to tylko żart, z którego za moment się wycofa.

– Kto?

– Niejaki Zygmunt Fuchs. To jego kumpel z dawnych lat. Jest właścicielem komisji samochodowego. Warga zadzwonił do niego w czwartek rano. Był zdesperowany. Chciał pożyczyć samochód. Natychmiast.

– Jak to uzasadnić?

– Tłumaczył, że jego auto się zepsuło, a musi pilnie wyjechać za miasto.

A więc z całą pewnością nigdzie się nie ruszył, pomyślał Witold.

– Co to za samochód?

– Zielona dacia duster. – Adamski postukał palcem w kartkę. – Tutaj masz jej blachy oraz namiary na tego Fuchsa. Pogadaj z nim. Może zauważył w zachowaniu Wargi coś, z czego tylko facet, który zna jego sytuację, będzie w stanie zrobić pożytek.

Witold sięgnął po wydruk. Westchnął.

– Ruszyły już poszukiwania? – zapytał.

– Przed chwilą.

– Ledwie dwa dni po ostatnim widzeniu?

– Policjant, który zajął się tym zgłoszeniem, skontaktował się z prokuraturą. A gdy się dowiedział, kim jest Warga, jakimi sprawami się zajmuje i że wybrał się na niezapowiedziany urlop, połączył kropki i wzniósł larum. – Adamski przysunął się do biurka i ściszył głos. – Dlatego byłoby dobrze, gdybyś powiedział swojemu pijanemu koleźce, że musi się sprężyć, bo za chwilę wszyscy pójdziemy siedzieć. Co on w ogóle teraz robi?

Witold odszukał w pamięci ostatnie spotkanie z Kawęckim. Spróbował zwizualizować sobie jego zachowanie. I momentalnie tego pożałował.

– Mam nadzieję, że szuka Kostki – powiedział. – Jeszcze kilka godzin temu był przekonany, że ten psychol ukrywa się na Radogoszczu. Że po prostu gra mu na nosie.

– Czyli teraz to jego prywatna wojna z Kostką?

– Albo zadziwiający zbieg okoliczności.

Adamski nie wiedział, w co ma wierzyć. Ani w co chce wierzyć. Marzył tylko o tym, żeby to wszystko jak najszybciej się skończyło. Bez względu na finał. Bez względu na konsekwencje.

– Oby, kurwa, miał rację.

– Zielona dacia duster. Widziałeś tu taką ostatnio?

Mateusz Pająk, dobijający trzydziestki dresiarz z ogoloną na łyso głową i twarzą nieskalaną myśleniem, nie wyglądał na faceta, który miałby ochotę na pogawędkę z Kawęckim. Właściwie wyglądał na faceta, który miał ochotę wyrzucić mu krzywdę. Jemu albo komuś innemu. Na przykład pierwszemu lepszemu przechodniowi, który odrobinę zbyt długo będzie się gapił na jego szare portki lub bluzę z kapturem.

Kawęcki umówił się z nim na środku ronda oddzielającego aleję Romantyczną od skupiska bloków, kilkadziesiąt metrów od wejścia do kościoła.

Wybrał uczęszczany szlak, ponieważ nie wiedział, jak się Pająk zachowa. A wpierdol od osiedlowego męta był ostatnią rzeczą, na jaką miał ochotę.

Schylił się do stojącej na ławce torebki. Wyjął z niej butelkę piwa i podał ją dresiarzowi.

– Wisisz mi sporo hajsu – oznajmił Pająk. – Jednym tanim browarem nie spłacisz długu.

– Od czegoś trzeba zacząć. – Kawęcki wyciągnął z kieszeni kurtki kopertę i przekazał ją Pająkowi. – Browar to tylko preludium do pojednania.

– Co to jest?

– Pieniądze. Otwórz. Przelicz. To jeszcze nie wszystko, co jestem ci winien, ale w tej chwili więcej nie mam.

Pająk podejrzliwie popatrzył na Kawęckiego, mimo że kiedyś – jeszcze kilka miesięcy temu – darzył go niemal bezgranicznym zaufaniem. Miał ku temu dobre powody. Parę lat wcześniej Kawęcki uchronił go przed największym koszmarem w życiu. Wykorzystał swoje kontakty w policji i prokuraturze, żeby młodociany kryminalista – z dużymi przestępczymi tradycjami w rodzinie, paskudną kartoteką i wyrokiem w zawieszeniu – nie trafił do pierdła. W zamian oczekiwał, że Pająk zostanie jego okazjonalnym szoferem, pomagierem, a czasem nawet współnikiem. Przez pewien czas nieźle to funkcjonowało. Ale w którymś momencie w małym mózdzku Pajaka zrodziła się myśl, że już dostatecznie się zrewanżował. Odtąd za każdą przysługę kazał sobie płacić. I tak zaczął się rodzić dług, który z czasem urósł do kilku tysięcy złotych.

Po ostatniej wizycie w mieszkaniu Kawęckiego dresiarz nabrał przekonania, że nigdy nie odzyska tych pieniędzy. Ale gdy wreszcie otworzył kopertę, zagwizdał z podziwem.

– Skąd masz kasę? – zapytał.

– Kilka lat temu, zaraz po rozstaniu z Teresą, założyłem konto oszczędnościowe. Przez jakiś czas regularnie wpłacałem na nie środki, budując sobie poduszkę bezpieczeństwa. Ale w pewnym momencie o nim zapomniałem.

Przypomniałem sobie parę dni temu, kiedy po pijaku odebrałem telefon od konsultantki z banku.

Pająk pokręcił głową.

– Nie wylądowałeś zbyt miękko na tej poduszce.

– Dlatego bez żalu ją oddaję.

Dresiarz przez dłuższą chwilę przyglądał się Kawęckiemu, drapiąc się po łysej głacy, jakby coś mu się zaległo pod skórą. W końcu wyjął zapalniczkę i otworzył sobie piwo. Stuknął się butelką z Kawęckim, a następnie pociągnął spory łyk.

– Nie przypominam sobie zielonej dacji – oznajmił. – Ale domyślam się, że to nie o niej chciałeś pogadać.

– I tak, i nie.

Kawęcki przycupnął na pozbawionej oparcia ławce i zapalił papierosa. Chwilę później dołączył do niego Pająk. Siedzieli przodem do kościoła, patrząc na mieszkańców osiedla, którzy spacerowali z psami albo przygarbieni wgapiali się w telefony. Dresiarz i były glina milczeli. Przypominali starych kumpli, którzy tak dawno się nie widzieli, że zdążyli już zapomnieć, jak ongiś ze sobą rozmawiali.

– Dalej szukam tego zabójcy – odezwał się wreszcie Kawęcki. – Przypuszczam, że ukrywa się w tej okolicy.

– Na Radogoszczu?

Kawęcki kiwnął głową.

– Najprawdopodobniej w domu matki, która porzuciła go przed wieloma laty.

– Skoro go zostawiła, pewnie nie jest jej największym fanem.

– Pewnie nie. – Kawęcki posłał Pająkowi wiele mówiące spojrzenie. – Jego matka prawdopodobnie mieszkała w jakiejś ruderze. Zapomnianym przez Boga domu. W miejscu niekojarzącym się z milutką sypialnią na obrzeżach miasta. W radogoszczańskich slumsach, które może znać tylko ktoś, kto żyje tam od dawna. Ktoś taki jak ty.

Dresiarz w zamyśleniu zeszkrobywał etykietę z butelki.

– Kiedyś było tu sporo takich miejsc – powiedział. – Przy torach kolejowych, za boiskiem na Świtezianki, w okolicach dawnej cegielni, na Sitowiu. Ale osiedle się rozwija. Deweloperzy ze wszystkich stron obstawiają je betonowymi klockami, parkami i placami zabaw.

– To źle?

Pająk wzruszył ramionami.

– Bo ja wiem? Dawniej chodziłem na cegielnię kopcić jointy, pić piwo albo spotykać się z pannami. Teraz w miejscu, w którym zaliczyłem swój pierwszy raz, nawet nie mógłbym się odlać, boby mnie pały zawinęły za machanie fujarą przy dzieciach. A już za chwilę po cegielni nie będzie ani śladu. Miasto sprzedało działkę przy Łososiowej za osiem baniek z okładem. Do przytulnych mieszkańek wpierdola się kolejni nowobogaccy ze swoimi pieprzonymi bachorami.

– Nie lubisz dzieci?

– Nie o to chodzi. Po prostu czuję, że jest tu coraz mniej miejsca dla ludzi takich jak ja.

– Czyli jakich?

– A co ty, kurwa, oślepieś? Z choinki się urwałeś? – Pająk cisnął peta na chodnik i przydepnął go adidasem. – Kiedyś jeździłem z chłopakami na mecze Widzewa i ganialiśmy Żydów po osiedlu. Gdy się umawialiśmy na miejscówkach, to przychodziło nas czterdziestu. Trzęśliśmy tym osiedlem. Było nasze i to my wyznaczaliśmy tu reguły.

– A teraz?

– Teraz każdy jest sam. I każdy jest nikim. Ludzie patrzą na mnie jak na małpę. Jakbym spierdolił Gucwińskim z zoo.

Nic dziwnego, pomyślał Kawęcki.

– A nie przyszło ci do głowy, że od początku tu nie pasowałeś? Może jakimś złośliwym zrządzeniem losu wylądowałeś w miejscu i czasie, w którym nigdy nie powinienes się znaleźć.

– O czym ty mówisz?

– Może jesteś jednym z ostatnich przedstawicieli wymierającego plemienia.

Dresiarz spojrział na niego spode łba.

– Chcesz mnie wkurwić?

Kawęcki nic nie odpowiedział. Zamiast tego wstał i poklepał Pająka po ramieniu.

– Wracam do poszukiwań. Daj znać, jeśli przypomnisz sobie jakieś osiedlowe ruiny albo zobaczysz zieloną dacie duster.

– Zapomniałeś browarów.

Kawęcki spojrział na leżącą na ławce siatkę.

– To dla ciebie. Za fatygę. I na zgodę. Mimo wszystko chciałbym zostawić po sobie przyzwoite wrażenie.

– Mówisz, jakbyśmy mieli się więcej nie zobaczyć.

– Kto wie. – Kawęcki zasalutował po amerykańsku i posłał Pająkowi skąpy uśmiech. – Jeśli chcesz, żeby ludzie przestali się na ciebie gapić, pomyśl nad zmianą stylówki. W tych dresach wyglądasz jak obwoźny sprzedawca ziemniaków.

Pająk pożegnał go soczystym bluzgiem i wyciągniętym środkowym palcem. Ale Kawęcki już go nie widział, ponieważ odwrócił się na pięcie i skierował na wschód – w stronę torów kolejowych położonych równolegle do osiedla. Miał jeszcze kilka punktów do obskoczenia i coraz mniej czasu, żeby to zrobić. A także coraz mniej wiary, że ma to jakikolwiek sens.

Dla komendanta Janusza Dębca słuchanie muzyki klasycznej było jak nauka słówek. Niczym nużąca, pozbawiona choćby żdźbła ekscytacji czynność, którą trzeba powtarzać do bólu, bo inaczej nie przyniesie efektu. Żeby się ukulturalnić, wzmocnić intelektualnie, a przede wszystkim nabyć właściwości, dzięki którym mógłby się wyróżniać spośród policyjnych menedżerów i błyszczeć na bankietach, musiał się zdobyć na ten znój. Dlatego połączył słuchanie klasyki z inną czynnością, która nie sprawiała mu frajdy.

– Chodź – powiedział, zakładając obrożę dwuletniemu dogowi arlekinowi, który już nie mógł się doczekać wyjścia na spacer. – Dzisiaj Sibelius, jutro Rachmaninow. A pojutrze strzelę sobie w łeb.

Uzbroił psa w jego wyjściowe odzienie, a potem włożył cienki jesienny płaszcz, wcisnął słuchawki na głowę i wyszedł z mieszkania.

Dębiec mieszkał w piętrowym domu jednorodzinnym na Rokiciu, niedaleko lotniska Lublinek i centrum badawczego Bionanopark. Między efektownymi budynkami wiły się na przemian gruntowe i zbudowane z betonowych płyt drogi, jakby nie mogły się zdecydować, czy w większym stopniu należą do człowieka, czy do natury. Spacerując z psem, komendant zawsze zerkał przez mijane ogrodzenia. Obserwował podwórka, trawniki, garaże i domy sąsiadów. Oceniał zastosowane przez nich rozwiązania i ozdoby. Analizował ich gust, pomysłowość, a przede wszystkim zamożność. Zgadywał, czy wywodzą się z majątnych rodzin, nawykłych do życia w wysokim standardzie, czy też są parweniuszami, którzy jeszcze nie nauczyli się obchodzić z forszą. Czy budują te domki, bo ich na to stać, bo są w stanie sfinansować zakup ciężką pracą albo fortunami rodziców, czy zaryzykowali i postawili wszystko na jedną kartę, wciągając się w trzydziestoletni kredyt. Czy są lepsi, czy gorsi od niego. Czy ma ich za co nienawidzić.

Zatrzymał się przed zwieńczonym bordową dachówką dwupiętrowym domem, przy którym jego pies postanowił się wysrać. Przyglądając się fasadzie budynku, myślał o Jeanie Sibeliusie. A konkretnie o poemacie symfonicznym *Finlandia*, którego właśnie słuchał. Uśmiechnął się. Przed wyjściem z domu przeczytał, że Sibelius napisał go na kolanie. Bez głębszego przemyślenia. Bez natchnienia. Bez przekonania, że tworzy coś wiekopomnego. Potraktował tę kompozycję jak najzwyklejszą chałturę, którą musiał sklecić na potrzeby jakichś państwowych obchodów. W najśmielszych snach nie przypuszczał, że stworzy najważniejszy utwór w historii swojego kraju. Patriotyczną pieśń, którą jego rodacy, pod groźbą więzienia, będą się pokrzepiać w walce o niezależność od

Rosji. I która sto lat później ozdobi *Szklaną pułapkę 2* i jakiś durny serial o zombie.

Bombardowany burzliwymi dźwiękami *Finlandii*, Dębiec nie zauważył, że zatrzymał się za nim samochód. Dopiero po paru sekundach zwrócił uwagę na światła i usłyszał dyskretnie pracujący silnik. Odwrócił się i zdjął słuchawki. Zdziwił się na widok człowieka, który wyłonił się zza uchylonej szyby nowiutkiego lexusa ls.

– Zapraszam do środka, panie komendancie.

Dębiec rozejrzał się, jakby nie był pewien, czy zaproszenie Zbigniewa Halberta było skierowane do niego.

– Z psem?

– Proszę przywiązać go do lusterka i usiąść z przodu.

Chwila zawahania komendanta trwała dłużej, niż mu się wydawało. Być może podświadomość wysłała mu sygnał, że to nie jest najlepszy pomysł. Że powinien stąd spieprzać. Trzymać się z dala od tego człowieka. Ale ten samozachowawczy komunikat ugrzązł w brei oddzielającej rozsądek i dobre wychowanie.

Kilka sekund później Dębiec skończył mocować smycz do lusterka i wgramolił się do auta. Halbert siedział za kierownicą, ubrany w dżinsy i szarą marynarkę. Towarzyszyli mu dwaj rośli faceci w czarnych garniturach. Dwie wielkie, nieforemne świnię, które zdecydowanie naturalniej wyglądałyby w dresach albo drelichach.

– Wie pan, kim jestem? – zapytał Halbert.

– Musiałbym być ślepy i głuchy, żeby nie wiedzieć – odparł Dębiec. – Rzuca się pan w oczy.

– Pewnie kojarzy mnie pan z telewizji albo billboardów. Być może czytał o moich inwestycjach albo programie wyborczym. Czasem pojawia się w radiu. Ale to nie dlatego powinien pan mnie kojarzyć. – Pochylił się do przodu. – Wbrew pozorom jesteśmy sobie znacznie bliżsi, niż się panu wydaje.

– Co pan ma na myśli? I czemu ma służyć to spotkanie?

Halbert ponownie opadł na fotel. Wyrżał przez szybę.

– Od jakiegoś czasu bezskutecznie próbuję się skontaktować z przyjacielem, prokuratorem Adamem Wargą. Nie wie pan, gdzie mogę go zastać?

Dębiec zerknął na psa nerwowo przestępującego z nogi na nogę obok samochodu, po czym pokręcił głową.

– Od paru dni nie ma z nim kontaktu – stwierdził. – Nie odbiera telefonów, nie odpisuje na esemesy i maile. Nie ma go w domu. Zanim zniknął, zostawił wiadomość, że wybiera się na nieplanowany i z nikim niekonsultowany urlop. Dzisiaj rano znajomy Wargi zgłosił jego zaginięcie.

– Ma pan pomysł, co się mogło z nim stać?

Komendant westchnął.

– Mam nadzieję, że tylko przechodzi jakieś niegroźne załamanie. Że ukrył się przed światem, aby naładować akumulatory.

– Jest pan bardzo naiwny, panie komendancie.

Kiedy tylko Dębiec rzucił Halbertowi ostrzejsze spojrzenie, jeden z ochroniarzy biznesmena nerwowo poruszył się w fotelu. Jego sygnał był jasny: nawet, kurwa, nie próbuj.

– O co panu chodzi? – zapytał komendant.

– Biznes nauczył mnie, że gdy coś może nie wyjść, to z reguły nie wychodzi. A gdy coś stanowi zagrożenie, zazwyczaj przeradza się w śmiertelną pułapkę. Prokurator Warga jest osobą, która może nam obu zaszkodzić.

– Nie rozumiem.

– Doskonale pan rozumie. Tylko nie ma pan w sobie dość odwagi, żeby się przyznać do swoich skłonności. Ale ja i Warga o nich wiemy. Maja Zielińska też się dowiedziała. – Halbert położył dłoń na ramieniu komendanta. – Bez obaw. Nie musi się pan tego wstydzić. Powinien pan traktować swoje upodobania jako odmienność, a nie słabość.

Dębiec zacisnął zęby. Długo wpatrywał się w zadbaną dłoń Halberta, która przylgnęła do jego ramienia.

– Wygląda na to, że jedziemy na tym samym wózku – wymamrotał komendant.

Biznesmen delikatnie go poklepał, po czym cofnął rękę.

– Zaczyna pan łąpać. Szkoda, że tyle to trwało. Ale w końcu jest pan policjantem.

Po tym niewybrednym żarcie Halbert odwrócił się w stronę szyby. W stojącym naprzeciwko lexusa domu zobaczył niebieską poświatę telewizora. Zerknął na zegarek. Dziewiętnasta piętnaście. Serwis informacyjny. Ostatnie godziny przed wyborczą wojną, spędzone przy akompaniamencie relacji ze strzelaniny na skrzyżowaniu marszałków, łzawych historii z patologicznych domów i dyrdymałów pogodowych.

– Już od wielu lat dbam o to, żeby nasz wózek się nie wykoleił – powiedział. – Zwykle staram się osobiście przywracać go na właściwy tor. Ale nie zawsze jestem w stanie to zrobić. Tym razem będę potrzebował pańskiej pomocy. Jest bowiem pewna osoba, która może nam zagrozić. – Strzelił palcami, po czym kierowca otworzył schowek między fotelami i wyjął z niego czarną teczkę. Przekazał ją Dębcowi. – Komisarz Anna Stelmach z Biura Spraw Wewnętrznych w Warszawie – wyjaśnił. – Złożyła mi dzisiaj bardzo nieprzyjemną wizytę. Dała do zrozumienia, że wie o mnie więcej, niż powinna. Prawdopodobnie to ona stoi za tymi brzydkimi wynurzeniami na mój temat, które pojawiły się w mediach.

Komendant otworzył teczkę. Było w niej kilkanaście zdjęć Stelmach zrobionych w różnych rejonach Łodzi. Na kilku z nich samotnie szwendała się po mieście, przyciskając telefon do ucha, popijając kawę z tekturowego kubka albo jedząc coś naprędce. Na innych rozmawiała z Alicją Mioduszewską i Jakubem Możejką – ludźmi, których przesłuchiwała kilka tygodni wcześniej, kiedy doszukiwała się nieprawidłowości w działaniach Tomka Kawęckiego. Ale tym razem nie wyglądało to tak, jakby ich nękała. Raczej jakby starała się im pomóc.

– Czego pan oczekuje? – zapytał Dębiec.

– Kreatywności. Polotu. A przede wszystkim skuteczności. Zakładam, że osoba z pańskim doświadczeniem poradzi sobie z młodą funkcjonariuszką ze stolicy. I że uda się to panu zrobić szybko. W końcu *time is money*. – Halbert się uśmiechnął, choć mięśnie na jego twarzy ledwie drgnęły. – I jeszcze jedno. Chciałbym, aby miał pan świadomość, że ta sprawa jest dla mnie śmiertelnie ważna. Dlatego muszę to panu udowodnić.

Biznesmen wycelował palcem w przednią szybę. Dębiec odwrócił się w kierunku jazdy. Przez kilka sekund gapił się w nieruchomy mrok, bojąc się tego, co może się z niego wyłonić. Nagle usłyszał trzask zamykanego zamka. Chwilę później poczuł ucisk na szyi. Siedzący za nim goryl chwycił go swoimi wielkimi łapskami i przyciągnął jego głowę do fotela.

Dębiec próbował się bronić przed duszeniem. Usiłując poluzować uchwyt, złapał przeciwnika za dłonie. Wierzgał nogami. Próbował nawet ugryźć go w rękę. Ale był zupełnie bezsilny. Czuł, jak pod wpływem ucisku na tętnice wyparowuje z niego energia.

Wtedy wydarzyło się najgorsze.

Komendant powiódł mglistym wzrokiem za swoją lewą ręką. Drugi z goryli odciągnął mu ją od szyi, położył na schowku i przygniótł kolanem. Następnie chwycił go za nadgarstek. Dębiec dostrzegł kątem oka ruch na tylnym fotelu. Zauważył Halberta, który wychylił się do przodu, jakby chciał się przesiąść na jego miejsce. A potem zobaczył błysk. I gdy już mu się wydawało, że za moment odpłynie, poczuł przeszywający ból w dłoni.

Stracił przytomność.

Kiedy się ocknął, zobaczył szarą zakrwawioną szmatę na pulsującej dłoni. Nie mógł wrzeszczeć, ponieważ siedzący za nim goryl wepchnął mu coś do gęby. Spojrzał w prawo. Zobaczył wielki czarno-biały pysk doga, który wspiął się na tylne łapy, jakby chciał go polizać przez szybę. Widząc nieme cierpienie swojego pana, pies zaczął żałośnie skomleć.

– Jeśli spisz się pan bez zarzutu, zwrócimy pański kciuk – powiedział Halbert, potrząsając przezroczystym pojemnikiem, w którym kawałek palca

objął się o ścianki. – Znam dobrego chirurga, który mógłby go panu przyszyć. Za darmo i dyskretnie. Oczywiście jeśli będzie pan tego chciał. – Dał kierowcy znak, żeby otworzył drzwi. Chwilę później rozległ się charakterystyczny trzask. – Na dzisiaj to wszystko. Proszę pamiętać o psie.

Komendant wytoczył się z samochodu. Wyjął knebel z ust i zwymiotował. Chwilę później odwiązał psa. Lexus odjechał, a on, potykając się o własne nogi, pokuśtykał do domu.

Możejko zaparzył herbatę. Wrzucił do kubków po plasterku cytryny. Zaniósł napoje do salonu. Postawił je na szklanym stole, od którego czym prędzej odwrócił wzrok.

Źle mu się kojarzył. Z drobinami białego prochu, które przylepiały się do tafli. Które wciągał za pomocą zwiniętych w rulon banknotów. Których resztki nabierał na ośliniony palec i wcierał w dziąsła. Które łapczywie wybierał spod stołu, żeby ani szczypta się nie zmarnowała. Kojarzył mu się ze śladami brudnych paluchów rozgorączkowanego ćpuna, który obmacywał przy tym stole tytki z koksem, banknoty i karty płatnicze. A także prostytutki i laptopa nieustannie wypluwającego filmy porno. Przede wszystkim zaś siebie. Do bólu. Do utraty tchu. Aż wstyd brał górę nad niesłabnącym podnieceniem.

– Coś się stało? – spytała Alicja.

Już od paru godzin siedziała na kanapie: z nogami podciągniętymi pod brodę i szczelnie przykryta kocem. Oglądała telewizję. A właściwie nieustannie skakała między kanałami informacyjnymi, zbierając strzępy doniesień z miasta. Jakby nie mogła zapanować nad złąknioną sensacji wyobraźnią.

Każdy jest od czegoś uzależniony, pomyślał Możejko.

– Nie, nic. – Posłał jej wymuszony uśmiech. – Mówili coś o tobie? O nas? O nich?

– Ostatnio kilka godzin temu. Przez tę pieprzoną ciszę wyborczą wszyscy nabrali wody w usta.

– Może to i lepiej.

– Dlaczego?

Możejko usiadł obok Alicji. Albo mu się zdawało, albo odruchowo się odsunęła, aby zwiększyć dzielący ich dystans.

– Teraz i tak wszyscy żyją tą strzelaniną. Jutro i pojutrze będą mówić wyłącznie o wyborach. Dopiero jak to wszystko wybrzmi, zajmą się Wargą i Halbertem.

Alicja skwitowała jego słowa parsknięciem.

– Raczej będą mieć to w dupie. Zapomną o temacie. Zostaniemy z tym sami. My kontra wpływowy prokurator i biznesmen, który trzęsie miastem. Wspaniale.

– Zawsze zostaje Jurkowska. Powiedziała, że pójdzie za ciosem. Że albo ona, albo ktoś z jej redakcji spróbuje dotrzeć do Wargi i Halberta. Miej trochę wiary w ludzi.

Zerknął na Alicję i momentalnie pożałował swoich słów. Widząc, jak kuli się pod kocem, jak stara się zachować wobec niego dystans, jak nerwowo reaguje na każdy dźwięk dobiegający spoza jego mieszkania, powinien zrozumieć, że jej wiara w ludzi bezpowrotnie umarła.

– Rozmawiałem ze Stelmach – oznajmił, żeby jak najszybciej zmienić temat.

– I co?

– Powiedziała, że przez jakiś czas będzie w stanie zapewnić naszym bliskim ochronę. Pomoże jej ten mięśniak, z którym się spotyka.

– Zaangażuje do tego antyterrorystów?

– Aż tak to nie. Poprosi kumpli z wydziałów prewencji i ruchu drogowego, żeby pokręcili się obok ludzi, na których nam zależy. Będą pełnić rolę straszaków i obserwatorów.

Alicja odetchnęła.

– Lepsze to niż nic. Długo będą to robić?

– Przez dwa tygodnie.

– Tylko?!

– Najpierw chcą wywęszyć, czy zagrożenie jest realne.

– Masz jakieś wątpliwości?

– To nie mnie trzeba przekonać. – Możejko schylił się po herbatę, żeby zająć czymś ręce. Pociągnął maleńki łyk i ponownie odstawił kubek. – Rozmawiałaś z siostrą i rodzicami?

Alicja kiwnęła głową.

– Byli podejrzliwi, ale w końcu udało mi się wyciągnąć to, czego potrzebujemy.

– Miejsca, adresy, godziny?

– Wszystko. Koledzy antyterrorysty dostaną szczegółowy harmonogram. Jakby, kurwa, mieli z nimi zamieszkać.

– Powiedziałaś im, że mają na siebie uważać?

– Skąd. Nie chcę, żeby żyli w ciągłej psychozie. Wystarczy, że ja przez to przechodzę. Każdego dnia. W każdej pierdolonej sekundzie.

Alicja sięgnęła po pilota i ponownie wpadła w telewizyjny trans: skakała między kanałami, szukając informacji, doniesień, prawdy. Przypominała Możejce pokiereszowane zwierzę, które zostało pozbawione swojej wyjątkowości, stając się jednym wielkim kłębkim nerwów. Niezdolnym do okazania elementarnej zaufania. Do zbudowania zdrowej relacji z drugą istotą. Do funkcjonowania bez chronicznego lęku. Niezdolnym do czerpania radości. Nawet z porządnie zaplanowanej zemsty.

Wszystko, co w Alicji podziwiał i za co ją cenił, zniknęło. Wyparowało. Zostało wchłonięte przez rozpacz i strach. Przez potwory, które wyszły z ukrycia i rozkręciły w jej głowie niekończący się jubel.

Dla niej nie było już ratunku.

Dla niego – jeszcze tak.

Maciej Gawin był absolwentem I Liceum Ogólnokształcącego imienia Mikołaja Kopernika w Łodzi, jednej z najlepszych szkół średnich w kraju. Z drugim najlepszym wynikiem w swoim roczniku dostał się na finanse i rachunkowość na Uniwersytecie Łódzkim. Studia ukończył z wyróżnieniem. Po opuszczeniu uczelni próbował rozkręcić własną działalność, ale coś poszło nie tak – nie wiadomo co. W rezultacie trafił do świata korporacji. Zaliczył

paroletnie tournée po firmach konsultingowych, aby w końcu zakotwiczyć u koreańskiego producenta taniej elektroniki, konsekwentnie udającego, że tworzy sprzęt high-tech. Zdobył w nim pozycję szefa sprzedaży na Polskę i Europę Środkowo-Wschodnią. Od roku stara się wejść do zarządu firmy. Jak dotąd bezskutecznie.

– Mój klient chciałby ustalić kilka zasad, zanim złoży zeznania. – Prawniczka Gawina, nadpobudliwa brunetka o zaciętej twarzy, wyrzucająca słowa w tempie karabinu maszynowego, położyła dłonie na stole. Przypominała harpię. Gotową przegryźć aortę, jeżeli ktoś nadeptnie jej na odcisk.

– Co takiego? – zdziwił się Adamski, który siedział po drugiej stronie stołu, wertując zdobyte przez podwładnych informacje na temat Gawina.

– Chodzi o kilka reguł. Jeżeli państwo na nie przystaną, usłyszą całą historię mojego klienta.

Adamski parsknął. Odłożył notatki i skrzyżował ręce na piersi.

– Pani reguły mogą doprowadzić do skazania pana Gawina za utrudnianie śledztwa.

– Wątpię. W świetle tego, co wiem i co państwo powiedzieli o powodach przesłuchania, nie ma do tego podstaw.

– To tylko pani zdanie.

– Nie, to prawo. W tym przypadku artykuł dwieście trzydziesty dziewięty Kodeksu Karnego, na który pan się powołuje, nie ma zastosowania. – Prawniczka zacisnęła usta, a potem zerknęła na Gawina, który siedział lekko odchylony na krześle, z rękoma splecionymi na brzuchu. Sprawiał wrażenie wyluzowanego, choć niewątpliwie była to tylko fasada. – Mój klient nie zna człowieka, którego szukacie. Nie wie, w jaki sposób miałby mu pomóc w przestępstwie. A niezgodą na bezwarunkową rozmowę nie chroni sprawcy, lecz siebie i swoich bliskich. W efekcie jedyną osobą, która utrudnia uzyskanie jego zeznań, jest pan.

Adamski przeniósł wzrok na Gawina. Zobaczył, jak kąciki jego ust nieznacznie się unoszą. Cwany skurwiel, syknął w myślach.

Gawin poznał swoją żonę jeszcze w podstawówce. Marzena prawdopodobnie była jego pierwszą poważną dziewczyną. Pobrali się w trakcie studiów. Przed trzydziestką zaczęli się statkować: kupili mieszkanie na kredyt we frankach i urodziło im się pierwsze dziecko. Na papierze wyglądali na typowych przedstawicieli wyższej klasy średniej: niekontrowersyjnych, zwyczajnych, nudnych. Usatysfakcjonowanych swoim przeciętniactwem. Ale Gawin – wykształcony, inteligentny i przystojny modniś, który nie osiągnął zawodowego spełnienia – nie do końca pasował do tego obrazu.

Adamski pochylił się do przodu, po czym uśmiechnął się do Gawina.

– Po co ta szopka? – zapytał. – Co takiego wydarzyło się tamtego dnia, że musi się pan zasłaniać prawnikami?

– Mój klient ma swoje powody – stwierdziła prawniczka.

– Dlaczego utrudnia nam pan pracę? Co pan próbuje ukryć?

– Proszę się zastanowić nad tą ofertą. – Prawniczka podniosła głos, skupiając na sobie uwagę Adamskiego. – Jeśli przystaną państwo na nasze warunki, przygotuję umowę i zaraz po jej podpisaniu będzie pan mógł przesłuchać mojego klienta.

Koledzy Gawina twierdzą, że to bystrzak. Intelktem tłamsi wszystkich ludzi z zarządu, którzy dorwali się do koryta dzięki znajomościom i skutecznemu włożeniu Koreańczykom w dupę. Jest pracoholikiem. Perfekcjonistą. Facetem, który przychodzi do firmy bladym świtem, haruje do siedemnastej, spuszcza sobie wpierdol na siłowni, a potem wraca do domu. Tam zamienia się w potulnego bamboszwowca. Dobrego ojca. Spracowanego nudziarza, który po ciężkim dniu lubi zalec na kanapie i bezmyślnie wgapiać się w telewizor.

Doktor Jekyll i pan Hyde, pomyślał Adamski, nie spuszczał Gawina z oczu.

– Co to za warunki?

Odchylił powyginane żaluzje i wyjrzał na dziedziniec. Miejsce, w którym stał samochód, było teraz puste. W sąsiednich budynkach nie paliło się światło, choć wiedział, że gdyby się dobrze wsłuchał, usłyszałby dobiegające z nich odgłosy

kaszlu, urywanych rozmów i chrapliwie rzucanych przekleństw. Latarnie były ustawione za daleko, żeby rozświetlić podwórko. Od osiedlowych bloków odgradzały je resztki drzew. W efekcie panowała na nim nieprzenikniona ciemność.

Podobnie jak w nowym domu Seweryna Kostki.

Chodząc między pokojami, z których usunął większość mebli, nie potrzebował oświetlenia. Nauczył się rozkładu pomieszczeń na pamięć. Nie był skomplikowany, a on miał dużą wprawę w poruszaniu się po omacku. Doskonale wyczuwał długość kroków, wzrost czy szerokość barków. Potrafił bezbłędnie wkomponować swoje nieforemne cielsko w przestrzeń. Czasem miał wrażenie, że jest chodzącym kalkulatorem, na bieżąco przeliczającym każdy ruch. To jedna z rzeczy, których nauczył się samoistnie. W drodze ewolucji. W toku pulsującej nienawiści do własnego ciała. Chciał poznać wroga najlepiej, jak to możliwe. Był to bezwzględny wymóg jego wrodzonej rzetelności.

Sprawnie manewrując w mroku, wolno przemierzał przedpokój. Kierował się w stronę pomieszczenia, z którego dobiegały ciche, ledwo słyszalne dźwięki. Pojękiwania i szmery. Szelest sznura trącego o kawałek metalu. Głuchy stukot kończyn uderzających o linoleum. Ciężkie sapnięcia człowieka nieprzyzwyczajonego do wysiłku i niewygody. Delikatny skowyt, który jeszcze nie przerodził się w wycie.

Jeszcze.

Kiedy wszedł do pokoju, odgłosy się wzmożyły. Słyszał w nich strach. A także żal i wyrzuty sumienia. Oboje wiedzieli, że spieprzyli sprawę. Że popełnili masę błędów, które doprowadziły ich w to miejsce. Że przez wiele lat zwyrodniali podstawowe wartości. I że uratować może ich wyłącznie cud.

– Pewnie jesteście ciekawi, jak długo to jeszcze potrwa. – Mówił wolno, opanowanym głosem. Nie chciał im dokładać zmartwień. A przynajmniej nie w ten sposób. – Już niedługo. Zatroszczyłem się o to, żeby wasz dyskomfort nie trwał w nieskończoność. Nie chcę się nad wami pastwić, tylko was ukarać. A kara, którą przygotowałem, nie wymaga tortur.

Skowyt się wzmógł. Wytworzył kakofonię głosów rzeźących pod wpływem skrajnie negatywnych, a zarazem skrajnie różnych emocji. Jakby pochodziły z dwóch światów, które do tej pory nie wiedziały o swoim istnieniu.

– Podziękujecie mi za to – powiedział Seweryn. – Nie dzisiaj. Nie jutro. Nie za tego życia. Ale docenicie to, co dla was zrobiłem. Zaoferowałem wam oczyszczenie, którego nie otrzymalibyście od nikogo innego. Nawet od Boga. Zostaliście wyróżnieni przez człowieka posiadającego mandat do działania w jego imieniu. Od ucznia, który pod pewnymi względami przerósł mistrza. – Ponownie się uśmiechnął. – Potraktujecie to jako akt łaski. To wasze ostateczne i nieodwołalne rozgrzeszenie.

Wyciągnął rękę w kierunku ściany. Dotknął skóry starej kobiety. Przejechał palcami po brzuchu, jakby chciał coś napisać między łonem a piersiami. Jakby chciał opisać ją na nowo. Nazwać. Uzbroić w nowe atrybuty. Adekwatne do tego, kim była i jak go skrzywdziła.

– Wyśpijcie się. – Cofnął rękę i ponownie skupił się na nich. Na dwóch pojękujących istotach, które wiły się na podłodze. – Jutro ważny dzień dla nas wszystkich. Finał. Dzień Pański. „A gdy Bóg ukończył w dniu szóstym swe dzieło, nad którym pracował, odpoczął dnia siódmego po całym swym trudzie, jaki podjął”¹⁰.

Wyszedł z pokoju. Gdy zamykał drzwi, usłyszał, jak bojaźliwy jęk przechodzi w rozpacz. Jak przeobraża się w szczerą, beznadziejną, niczym nieskrępowaną desperację.

Przepraszam, że dzwonię w niedzielę rano – rozpoczął Adamski. – Nie robiłbym tego, gdyby to nie było konieczne.

– O co chodzi? – burknął Dębiec.

– Mamy świadka, którego zeznania mogą nam pomóc w poszukiwaniach Kostki. Przynajmniej tak nam się wydaje. Nazywa się Maciej Gawin. Mieszka w bloku, który kilka dni temu Kostka obserwował. Problem w tym, że nie jesteśmy w stanie przesłuchać tego faceta.

– Jak to?

– Nie chce z nami rozmawiać.

– Zmuście go.

– To nie takie proste. Zasłonił się wyjątkowo upierdliwą prawniczką. Zgodził się zeznawać pod pewnym warunkiem. Chce, żeby dwie osoby nie miały wglądu do jego zeznań.

– Kto?

– Ptak i Kawęcki. – Adamski zamilkł, czekając na reakcję Dębca. Nie doczekał się. – Kawęcki nie jest problemem, ponieważ kilka tygodni temu odszedł ze służby. Ale Ptak...

– Jest twoim najważniejszym śledczym – wtrącił się Dębiec. – O co chodzi temu facetowi?

– Trudno powiedzieć. Papuga twierdzi, że ten warunek podyktowany jest względami osobistymi. Cokolwiek to oznacza.

Komendant odłożył telefon na szklaną półkę nad zlewem. Spojrzał w lustro. W swoje podkrążone, przekrwione oczy. Już nie wyglądał jak amerykański menedżer, który przyjechał zza oceanu nauczyć Polaków luzu. Włać w ich smutne, skażone peerelem dusze trochę radości. Zarazić pewnością siebie. Wyplenić te wszystkie „nie”, „nie da się”, „tak musi być, bo tak było zawsze” i zastąpić je czymś nowym: „żaden problem”, „zrobię to”, „nic mnie, kurwa, nie powstrzyma”. Teraz Dębiec wyglądał gorzej od nich. Gorzej od tych wszystkich podstarzałych nieudaczników, którymi zawsze gardził. Jak trup dryfujący w świecie żywych jedynie dzięki przyzwyczajeniu zakorzenionemu w połączeniach nerwowych. Jak pierdolona bezgłowa kura, która nie może przestać biegać.

– Negocjujcie – powiedział, sięgnąwszy ponownie po telefon.

– Z całym szacunkiem, panie komendancie, ale gdybyśmy zamierzali się targować, tobyśmy nie zawracali panu dupy. – Adamski ciężko westchnął. – Możemy się z nimi pierdolić do końca weekendu. Przerzucać się pismami, szastać argumentami i formułkami prawnymi, sprzeczać z babą, której ewidentnie dawno nikt nie wybolcował. I pewnie w końcu byśmy wygrali. Ale możemy też przystać na ich warunki i zakończyć ten niedorzeczny spór w ciągu paru godzin.

Dębiec zastanawiał się nad jego słowami, gapiąc się na swoją dłoń. Na spuchnięty, otoczony krwawiącym strupem punkt, z którego jeszcze kilkanaście godzin wcześniej wyrastał kciuk.

– Zeznania tego faceta popchną sprawę do przodu? – zapytał.

– Nie wiem. Z pewnością coś ukrywa. A jednocześnie mam wrażenie, że chciałby jak najszybciej tym się z nami podzielić. Jakby musiał zrzucić z barków brzemię.

Dębiec ponownie odłożył smartfona. Spojrzał na kikut. I co ja mam, kurwa, powiedzieć w pracy? – pomyślał. Że się potknąłem i wpadłem pod topór? Że

niechcący odrąbałem sobie palec? Że przyszedł mi do głowy genialny pomysł, by nie jechać z tym na pogotowie? A w dodatku gdzieś mi się ten pierdolony kciuk zapodział, więc nawet nie jestem w stanie go przyszyć.

Szczęście w nieszczęściu, że to lewa dłoń. Może nikt nie zauważy.

– Jest pan tam? – spytał Adamski.

– Jestem. – Dębiec przytrzymał telefon ramieniem, zacisnął zęby i zaczął owijać palec bandażem. Najciaśniej jak to możliwe. Jakby chciał go zmiażdżyć.

– Nie jestem zwolennikiem negocjowania z terrorystami. Ale czasem negocjacje są jedynym sposobem na uratowanie zakładników. – Zamilkł, patrząc na dłoń. – Rób, co uważasz za słuszne. Nie potępię cię za żadną decyzję.

– A co by pan zrobił na moim miejscu?

Komendant ponownie zerknął w lustro. Na zmagającą się z bólem twarz. Na sfatygowaną gębę obłudnika, który po latach tkwienia w ciepłutkim kurwidołku został niespodziewanie wystawiony na mróz. Pierwszy raz w życiu poczuł, że to, co ma do powiedzenia, zupełnie się nie liczy.

How the fuck did this happen?

– Nie wiem – powiedział. – Naprawdę nie wiem.

Pierwszy łyk był najgorszy. Najmniej smaczny. Najbardziej zaskakujący. Wstrząsający dla organizmu, który mimo zebranego doświadczenia nie nawykł do trucizny, jak gdyby całkowicie oparł się ewolucji i wnioskowaniu. Pierwszemu haustowi zawsze towarzyszyło ryzyko, że nie utrzyma się w żołądku.

Kawęcki ciężko westchnął, zaglądając do nakrętki zdjętej z potężnego srebrnego termosu. Wypełniała ją mieszanka kawy i wódki, w proporcji dwa do jednego. Ale tym razem nie martwił się metabolizmem alkoholu, tylko tym, że jest to kolejny poranek, który rozpoczyna w ten sposób. Siódmy w tym tygodniu. Jakby to był jedyny sposób na wejście w dzień. Jakby bał się każdej godziny, którą może spędzić nie na rauszu. Jakby za każdym razem, żeby jakoś przetrwać, musiał budować powłokę z pijaństwa.

W końcu wlał napój z powrotem do termosu. Zakręcił naczynie i odstawił je na ławkę. Zapalił papierosa. Podniósł głowę. W miejscu jeszcze do niedawna porośniętym przez chaszczę, wdzierającą się między resztki pofabrycznych budynków i sterty gruzu, wyrósł efektowny park. Dawną cegielnię, której zgliszczca przeobraziły się w osiedlową melinę, zastąpiły plac zabaw, plenerowa siłownia i linarium. Chwasty zamieniły się w zgrabnie posadzone drzewa, krzewy i byliny. Wydeptane w krzakach ścieżki zostały zastąpione dwukolorowymi alejami, które wiły się między ławkami. Miejsce wagarujących uczniaków, obściskujących się nastolatków i osiedlowych ochlaptusów zajęli spacerujący emeryci, matki z rozkrzyczanymi dziećmi oraz wyżyłowani faceci próbujący akrobacji na drabinkach.

Inny świat, pomyślał Kawęcki. Przypomniawszy sobie słowa Mateusza Pajaka, który żalił się, że na tym piękniejącym i coraz bardziej ucywilizowanym osiedlu czuje się zupełnie wyobcowany. Kawęcki, choć zasadniczo różnił się od Pajaka, mógł to samo powiedzieć o sobie. On też był wymierającym gatunkiem. Reliktem przeszłości. Dziwaczną formą ludzką, która ukształtowała się w latach dziewięćdziesiątych i za nic w świecie nie chciała się dostosować do nowej rzeczywistości.

Tyle że w jego przypadku poczucie wyobcowania nie ograniczało się do Radogoszcza. On czuł się obco wszędzie. Przy każdym kontakcie z ludźmi. W każdym momencie życia, które nieustannie zadawało mu cierpienie. Jakby czerpało perwersyjną przyjemność z uprzykrzania jego codzienności.

Wyrzucił peta pod nogi i ponownie chwycił termos. Ale tym razem nie po to, żeby się napić. Ściągnął nakrętkę i wylał napój na trawnik.

Żeby go nie korciło. Żeby w którymś momencie krucha wola nie postanowiła wyrządzić mu psikusa, tak jak to robiła wielokrotnie wcześniej. Żeby się jeszcze bardziej nie znienawidzić.

Nie miał pojęcia, czy może się zmienić. Czy świat za daleko mu nie odjechał, a jego tolerancja dla tego, co inne – nieznanego, nieodkrytego, niekawęckiego – nie jest

zbyt mała. Ale musiał się tego dowiedzieć. Musiał próbować coś zmienić. Musiał.

Wyszedł z parku. Ruszył wzdłuż ulicy Łososiowej, kierując się na zachód. Zerkał w lewo, przyglądając się resztkom dawnej cegielni. A właściwie przestrzeni, którą jeden z deweloperów kupił za ponad osiem milionów złotych. Wkrótce miał tu powstać nowy świat. Nowe blokowisko. Wiele nowych istnień, które wychowają się w innych realiach od tych, do których przywykli ludzie pokroju Kawęckiego czy Pająka.

Zatrzymał się na wysokości ostatniego bloku na Łososiowej. Odwrócił się tyłem do wiatru, żeby przypalić papierosa. Zerknął przed siebie i zamarł.

Na ciągnącym się wzdłuż ulicy betonowym parkingu stał tylko jeden samochód.

I był to jedyny pojazd na świecie, który go interesował.

– Jak bardzo jesteś w stanie nagiąć się dla tego śledztwa? – zapytał Adamski.

– Nie rozumiem – odparł Witold.

– Czy byłbyś gotów schować się w cień, żeby złapać Kostkę?

Witold przełożył smartfona do lewej ręki, zmienił bieg i przyspieszył, zmniejszając dystans, jaki dzielił go od samochodu Romana Basznikowa. Nie podobało mu się to, co Adamski do niego mówił. A tym bardziej moment, który na to wybrał.

– Przecież wiesz, że nie robię tego dla sławy – odparł. – Ale dalej nie wiem, dlaczego o to pytasz.

Adamski głośno dmuchnął w głośnik.

– Z jakiegoś powodu Maciej Gawin nie chce, żebyś ty i Kawęcki poznali jego zeznania.

Witold parsknął śmiechem.

– A ja bym chciał, żeby Angelina Jolie zrobiła mi laskę.

– Mówię serio. Jego prawniczka postawiła taki warunek. Właśnie leży przede mną umowa, która dość klarownie wyjaśnia, że jeśli Gawin ma złożyć zeznania

i opowiedzieć o swoim życiu, to ty i Kawęcki nie możecie poznać jego historii.

– Co to, kurwa, ma być?

– Nie wiem. Pierwszy raz spotykam się z czymś takim. Radcy z zespołu prawnego twierdzą, że bez problemów zmiażdżyliby Gawina i tę babę. Kłopot w tym, że bujamy się z tym gościem już ponad dobę. Mamy faceta, który prawdopodobnie jest w stanie wnieść coś istotnego dla sprawy, i nic nie możemy z tym zrobić.

– Chcesz się zgodzić na jego warunki?

– Chyba tak. – Adamski czekał na reakcję Witolda, na lawinę obelg i erupcję agresji, ale słyszał tylko regularny szmer ulicy. Wulkan niepokojąco milczał. – Chciałbym, abyś uszanował wolę tego faceta i nie próbował poznać jego zeznań.

– Boisz się pozwu?

– Boję się, że narazimy się na śmieszność, jeśli ta sprawa wyjdzie na jaw.

Witold odbił w prawo i zatrzymał się na końcu niewielkiej zatoki autobusowej. Patrząc, jak bmw Romana oddala się i znika za kawalkadą pojazdów, zrozumiał, że się wygłupił. Że zupełnie niepotrzebnie śledził kutego na cztery kopyta gnojka, który z pewnością zabezpieczył się na taką ewentualność. Że równie dobrze mógłby nie wychodzić z domu. Nie tak miało to wyglądać.

– Skoro Gawin wie o mnie i Kawęckim, może być jakoś zamieszany w tę sprawę – powiedział. – Zrób z niego użytek.

– Dzięki. Dam znać, gdy tylko zbadamy ten trop.

Adamski się rozłączył, a Witold wzdrygnął na dźwięk klaksonu autobusu, który podjechał do niego od tyłu. Przepraszająco mrugnął światłami awaryjnymi i wyjechał z zatoki.

Zastanawiał się, co dalej. Co powinien zrobić, skoro nie wie, gdzie szukać Kostki ani jak się dostać Romanowi do dupy. Utknął między dwoma psychopatami. W jakiejś własnej krainie nieudolności. Na górze frajerów. Beznadziejnie strapiony. Bezradny. Poruszający się bez celu po mieście, które zamiast dawać, coraz więcej mu odbierało.

Zawrócił na najbliższym skrzyżowaniu i obrał kurs na komendę. Wtedy ponownie zadzwonił jego telefon. Spojrzał na wyświetlacz. Kawęcki. Westchnął. Nieszczęścia chodzą parami, pomyślał.

Nie wiedząc, jak bardzo prawdziwe są te słowa, przejechał palcem po ekranie i odebrał.

– Najgorszą rzeczą, jaka może spotkać faceta, jest poznanie żony, zanim się wyszaleje. Wiecie, co mam na myśli?

Maciej Gawin popatrzył na Adamskiego i Artura, naiwnie licząc na to, że mu przyklasną. Ale policjanci niewzruszenie się w niego wpatrywali, analizując jego mimikę. Czuł się przez to jak w jakimś pieprzonym laboratorium.

– No cóż – kontynuował Gawin – w moim przypadku tak było. Poznałem Marzenę jeszcze w podstawówce. Byliśmy kolegami ze szkoły. Dzieciakami, które większość dnia spędzały na podwórku, bawiąc się na trzepaku albo pod blokiem. Często sobie dokuczaliśmy. To były takie końskie zaloty. Chyba nikt nie mógł wtedy przypuszczać, że zrodzi się z tego poważny związek. – Uśmiechnął się cierpko, patrząc na środek stołu. – Oficjalnie spotykaliśmy się od liceum. Zaczęło się niewinnie, wręcz... – zawahał się, szukając odpowiedniego określenia – pragmatycznie. Powiedziałem Marzenie, że skoro się lubimy i spędzamy ze sobą tyle czasu, to może powinniśmy spróbować czegoś więcej. Czegoś innego. Nie byliśmy w sobie tak bardzo zakochani. Nie czuliśmy... a przynajmniej ja nie czułem... motylków w brzuchu ani niczego takiego. Może nawet wcale się nie kochaliśmy. Ale widzieliśmy, że wszyscy nasi znajomi zaczynają się umawiać na randki i uprawiać seks. Uznaliśmy, że też tego spróbujemy. Nie mieliśmy nic do stracenia.

Gawin zrobił pauzę. Musiał się napić wody. Wywlekanie wspomnień z młodości wyraźnie go krępowało. Mimo to starał się zachowywać tak, żeby nikt nie mógł go posądzić o stres. Siedział bokiem do stołu, z jedną ręką opartą na blacie i ze skrzyżowanymi nogami. Jakby zamierzał zamówić u Adamskiego kolejkę.

– Wydaje mi się, że już na etapie liceum wyeksploatowaliśmy nasze ciała. Osiągnęliśmy fizyczne maksimum. W efekcie znudziliśmy się sobą i przestaliśmy być dla siebie atrakcyjni. Mając po dwadzieścia parę lat, właściwie przestaliśmy uprawiać seks. Robiliśmy to w kilkutygodniowych odstępach. I to tylko dlatego, żeby zachować resztki przyzwoitości. Żeby w rozmowach ze znajomymi móc z czystym sumieniem powiedzieć, że my też to robimy. Że nie jesteśmy zgredami. Zresztą to jeden z powodów, dla których Marzena zaszła w ciążę dopiero po trzydziestce. Jeśli ludzie pieprzą się wyłącznie z musu, nie ma co marzyć o efekcie.

– Do czego pan zmierza? – zniecierpliwiał się Adamski.

Gawin się speszył, ale po chwili posłał policjantom jadowity uśmiech. Wiedział, że ma nad nimi przewagę. Zamierzał ją skwapliwie wykorzystać, od początku do końca grając na swoich warunkach.

– Nasze małżeństwo zaczęło rdzewieć, zanim pojawiły się dzieci, kredyt i zmartwienia zawodowe. Zniknął żar. Zniknęła fascynacja drugą osobą. Wkradła się rutyna. Marzena przeszła nad tym do porządku dziennego. Ale ja nie mogłem pogodzić się z losem. Nie chciałem stać się frajerem, który po ośmiogodzinnym dniu pracy będzie wracał do mieszkania i pierdział w stołek. To dlatego próbowałem rozkręcić własny biznes. Dlatego chodziłem od firmy do firmy, szukając miejsca, w którym będę mógł się rozwinąć. Dlatego przez kilka lat trenowałem kickboxing, udając, że wcale nie mam kruchych kości. – Gawin zamilkł na chwilę, bębniąc palcami w blat. – I dlatego w którymś momencie podjąłem decyzję, że spróbuję czegoś nowego. Czegoś innego niż nudny monogamiczny związek. Że spróbuję odrobić czas stracony z kobietą, która mnie nie kręci.

– I wtedy poznał pan kochankę – odpowiedział Adamski.

Gawin niechętnie kiwnął głową.

– Była dokładnie w takiej samej sytuacji. Niespełniona. Niezadowolona z pozycji w firmie. Zmęczona rodziną, a w szczególności mężem. Utknęła w małżeństwie z facetem, który przestał zaspokajać jej podstawowe potrzeby.

Który dał się pochłonąć pracy. – Wolno pokręcił głową. – Chyba właśnie przez te oczekiwania od życia zblżyliśmy się do siebie.

– Długo to już trwa?

– Poznaliśmy się kilka lat temu na konferencji w Poznaniu, ale spotykamy się dopiero od paru miesięcy. Niedawno zaczęliśmy myśleć o wspólnej przyszłości. Ale na razie ani moja żona, ani jej mąż nie mogą się o tym dowiedzieć.

W sali zapanowała cisza. Przerwał ją oskarżający głos Adamskiego.

– To ona była w pańskim mieszkaniu tego dnia. To ją obserwował Kostka.

– Nie sądzę. – Gawin chytrze się uśmiechnął. – Pewnie myślicie, że muszę być bezdusznym bydlakiem, skoro wystawiłem ją na takie ryzyko, żeby chronić własną dupę. Ale gdy tylko powiedzieliście, o co chodzi, napisałem do niej. Ostrzegłem ją. Odpisała, że wszystko jest w porządku i będzie na siebie uważać.

Adamski i Artur wymienili się spojrzeniami.

– Czy możemy zobaczyć tę wiadomość? – zapytał naczelnik.

– Nie musi pan niczego pokazywać – włączyła się prawniczka.

– Ale chcę. – Gawin posłał jej ostre spojrzenie. – To nic wstydliwego. Nie muszę tego ukrywać.

Wyjął z kieszeni iPhone'a. Odnalazł korespondencję z kochanką i przekazał smartfona Adamskiemu.

– Żeby żona nie nabrała podejrzeń, piszemy do siebie szyfrem. Zapisałem ją w kontaktach pod hasłem Marcin Lustro. Kiedyś pracowałem z facetem, który tak się nazywał.

Adamski przeczytał ostatnią wiadomość, jaką Gawin otrzymał od kochanki. Coś mu nie pasowało. Po paru sekundach zrozumiał, o co chodzi.

– Ona wie, że ma udawać faceta? – zapytał.

– Oczywiście. W przeciwnym wypadku nie miałoby to sensu.

Adamski ponownie przeczytał wiadomość.

– Czy ta kobieta cierpi na dysleksję?

Gawin zmarszczył brwi.

– Nie ona, tylko ja. Jakie to ma znaczenie?

– Takie, że tym razem kochanka nie podjęła pańskiej gry. Proszę spojrzeć na rodzaj czasowników.

Naczelnik oddał Gawinowi telefon. Ten długo wpatrywał się w ekran. W końcu załapał. Zrozumiał, że dostał wiadomość od obcej osoby.

– Kim jest ta kobieta? – zapytał Adamski.

Gawin przyglądał się naczelnikowi, jakby nie rozumiał jego słów. Był złąkniony i otumaniony. Po pewności siebie, którą od kilkunastu godzin tak umiejętnie żonglował, nie został nawet ślad.

Były tylko dwie możliwości. Albo Kawęcki zaczął uprawiać w domu jogging, albo nażarł się jakichś pobudzających narkotyków. Kiedy Witold go odwiedził, zobaczył osobliwą krzątanicę spoconego faceta, który przetrząsał każdy kąt mieszkania.

– Czego szukasz? – zapytał.

– Mapy.

– Nie możesz jej włączyć w telefonie?

– Nie takiej mapy.

Kawęcki w końcu znalazł to, czego szukał. Spod rzuconej na łóżko sterty ubrań wygrzebał zwiniętą w rulon i porozrywaną w kilku miejscach mapę Radogoszcza. Zepchnął ciuchy na podłogę i rozłożył ją na kołdrze. Gapił się na nią przez kilka sekund, ocierając pot z czoła i regulując oddech. Wreszcie pokiwał głową, jakby przytakiwał własnym myślom.

– Pamiętasz historię zabójcy gejów z Łodzi? – zapytał. – Albo Teda Kaczynskiego znanego jako Unabomber?

Witold stał w progu sypialni z rękoma skrzyżowanymi na piersi. Nie podobały mu się pytania Kawęckiego. Wiedział, że prawdopodobnie prowadzą do pseudopsychologicznej tyrady, po której będzie miał ochotę podciąć sobie żyły. Jeszcze bardziej niż teraz. Jeszcze bardziej niż autor tego bełkotu. Mimo to skinął głową, nie mogąc dłużej znieść maniakalnego wzroku Kawęckiego.

– Zabójca z Łodzi, kimkolwiek był, mordował pedałów, ponieważ prawdopodobnie sam był jednym z nich – wyjaśnił Kawęcki. – W ten sposób protestował przeciwko swojej orientacji. Wyrażał niezgodę na własną inność. Zapewne był zacofanym prostytutkiem, któremu homoseksualizm wyrządził niewypowiedzianą krzywdę. Pozbywając się ludzi podobnych do siebie, chciał chociaż częściowo zniszczyć źródło swojego cierpienia.

– A co ma do tego facet, który wysyłał ludziom bomby?

– Kaczynski był technofobem. Wrogiem społeczeństwa przemysłowego. Zdziwaczałym geniuszem, który przeraźliwie bał się tego, że technologia zabierze nam wolność. Dlatego zaszył się w maleńkim drewnianym domku w Montanie, bez dostępu do mediów, prądu, gazu czy bieżącej wody, i zaczął przygotowywać manifest. Jednoznaczną wykładnię swoich poglądów i obaw. Bomby były tylko dodatkiem do swoistej rozprawy naukowej. Ozdobą. Wykrzyknikiem. Sposobem na to, żeby dotrzeć do setek milionów ludzi.

– Uważasz, że Kostka robi to samo? Próbuje coś zmanifestować?

– Bez wątplenia. – Kawęcki wyprostował się i zapalił papierosa. – Podobnie jak zabójca gejów i Unabomber sprzeciwia się temu, co go mierzi.

– Kobietom?

– Być może za bardzo zafiksowaliśmy się na dewiacjach płciowych, przez co straciliśmy z oczu większy obraz. Może seksualna otwartość jego ofiar jest tylko jednym z elementów, za które je karze. Może równie mocno przeszkadza mu konsumpcjonizm, laicyzacja czy brak poszanowania dla tradycji. Może szukamy faceta, który zabija nie tylko ze względu na swoją niemoc seksualną, ale także przez niechęć do nowoczesnego społeczeństwa. Może Kostka jest zabójcą ideologicznym, który łączy w sobie cechy łódzkiego zabójcy gejów i Unabombera.

Witold głośno westchnął.

– Zdziwiająco sprawnie wplotłeś historie dwóch psychopatów w opowieść o Kostce. Ale to raczej nie trzyma się kupy.

– Nie? – Kawęcki uśmiechnął się ironicznie. – Mieszkanie na osiedlu dla bogaczy, niezły samochód i dobrze płatna praca mogły być tylko przykrywką. Fasadą, za którą Kostka ukrywał swoje poglądy na temat społeczeństwa.

– Nawet jeśli masz rację, to co z tego dla nas wynika?

– Wszystko. – Kawęcki pochylił się nad mapą. – Spójrz na to.

Witold ostrożnie przekroczył próg pokoju, jakby się bał, że pod walającymi się na podłodze ubraniami, butelkami i papierkami mogą się kryć miny przeciwpancerne.

– Na co?

Kawęcki zakreślił długopisem fragment mapy.

– To teren dawnej cegielni. Kiedyś dzieciaki chodziły tam palić jointy. Potem znaczna część terenu została przerobiona na park. Resztę – niechlujnie zakreślił kolejny odcinek – niedawno sprzedano za gruby hajs. Wkrótce stanie na tej ziemi kolejne blokowisko. Ale na razie oprócz nieużytków i chwastów jest tam tylko kilka zapuszczonych budynków mieszkalnych. – Lekko się uniósł i spojrzał na Witolda. – To prawdopodobnie jedyne wolno stojące budynki na Radogoszczu, których jeszcze nie sprawdziłem.

– I co z tego?

– Może to brakujący element układanki. Może Kostka chce zainfekować grunt, na którym za chwilę grupa nowobogackich buraków będzie próbowała ułożyć sobie życie. Może chce w taki sposób odcisnąć swoje ostatnie piętno na tym mieście.

– Czy w ogóle jeszcze pamiętasz, że szukamy domu jego matki?

Kawęcki przytrzymał peta wargami i zaczął wyliczać na palcach:

– Zapuszczona chałupa w sercu nieźle prosperującego osiedla. Odseparowana od ludzi i bloków. W dodatku położona blisko Lasu Łagiewnickiego, w którym Kostka prawdopodobnie dokonał większości zbrodni. Przecież to się składa w całość. Naprawdę tego nie widzisz?

– Nie. Przykro mi.

Kawęcki ponownie pochylił się nad mapą i zaznaczył na niej jakiś punkt.

– To jak wytłumaczysz to, że pięćdziesiąt metrów dalej znalazłem zieloną dacie duster? Tę, którą Warga pożyczył od znajomego?

Witold potrzebował kilku sekund, żeby przeprocesować tę informację. W końcu zareagował w najbardziej adekwatny sposób z możliwych.

– O kurwa. – Złapał się za twarz. – To może być on.

Kawęcki pokręcił głową.

– To musi być on. – Wrzucił kiepa do opróżnionej puszki, a następnie uniósł ją, jakby chciał wznieść toast. – Mamy go. Znaleźliśmy Kostkę.

Jeszcze z żadną zawodową decyzją Adamski nie czuł się równie niekomfortowo. Po raz pierwszy odnosił tak silne wrażenie, że postępuje niewłaściwie. Niegodnie. Podle. Mówiąc wprost: nigdy nie czuł się większym dupkiem. Zwłaszcza teraz, kiedy w towarzystwie Artura Waliszewskiego i dwóch osiłków skradał się do mieszkania kobiety, którą miał nadzieję przyłapać na podjadaniu czekoladek i oglądaniu seriali.

Bardzo chciał, żeby ten dyskomfort był uzasadniony. Żeby ona tam była. Cała i zdrowa. Bezpieczna. Rozleniwiona. Żeby miło spędzała niedzielne popołudnie, ledwo pamiętając o ostrzeżeniu, które dostała od kochanka.

Zapukał do drzwi. Czekał na reakcję, przyglądał się stojącym na schodach funkcjonariuszom, których pożyczył z grupy antyterrorystycznej. Wystrojonym w kamizelki kuloodporne, skoncentrowanym, wściekłym. Z pistoletami wycelowanymi w posadzkę. Wyraźnie mieli ochotę ich użyć. Bez kombinowania. Bez zadawania zbędnych pytań. Gdy tylko zachrząścił zamek, unieśli giwery, gotowi podziurawić każdego, kto się pojawi w drzwiach.

Może z wyjątkiem tej dziewczyny.

Adamski rozpoznał ją ze zdjęcia na Facebooku. Miała piętnaście lat, choć starała się wyglądać na więcej. Przywitała ich w niepasującym do tak młodej twarzy makijażu i dziwacznych dresach, które równie dobrze mogły być

spodniami od pizamy. Do jej twarzy przywarło charakterystyczne dla nastolatków znużenie.

Adamski poczuł ulgę. Najgorszy scenariusz się nie sprawdził. Choć to jeszcze nie oznaczało, że może odpalić szampana.

Naczelnik przedstawił się szeptem, a następnie pokazał dziewczynie legitymację policyjną.

– Zastaliśmy twoją matkę? – zapytał.

Pokręciła głową.

– Jestem tylko ja i siostra. Ale mama powinna niedługo wrócić.

– Możemy wejść?

– A o co chodzi?

– Wyjaśnimy to w środku, okej?

Nie wydawała się przekonana. Mimo to obojętnie wzruszyła ramionami i otworzyła drzwi na oścież.

– Zaczekajcie tutaj – powiedział Adamski do antyterrorystów, którzy zdążyli schować broń, nim dziewczyna dosięgnęła ich wzrokiem. Wyglądali na rozczarowanych przebiegiem wypadków.

Adamski z Arturem weszli do środka. Mimo jednoznacznego spokoju dziewczyny zachowywali się tak, jakby z każdego rogu mógł na nich wyskoczyć potwór. Poza tym traktowali to mieszkanie jak potencjalne miejsce zbrodni, uważnie zaglądając w każdy kąt i szukając śladów: walki, ucieczki albo obecności intruza.

– Czy coś się stało? – spytała dziewczyna.

Konsekwentnie ją ignorowali, przechodząc do kolejnych pomieszczeń. Ledwie zauważyli, że tymczasem dołączyła do niej młodsza siostra – jeszcze mniej zainteresowana nieproszonymi gośćmi. A przynajmniej nie na tyle, żeby ściągnąć słuchawki i odkleić wzrok od smartfona.

– Gdzie jest wasza matka? – zapytał Adamski, gdy weszli do kuchni.

– W pracy – odpowiedziała starsza z sióstr. – Musiała jechać w delegację.

– W weekend?

Dziewczyna wzruszyła ramionami, jakby to był jej tik nerwowy.

– Miała do zrobienia audyt czy coś w tym stylu. Dowiedziała się przed samym wyjazdem.

– Kiedy widziałyście ją po raz ostatni?

– W piątek rano. Wyszła do pracy, kiedy szykowałyśmy się do szkoły. Potem jeszcze wpadła na chwilę do domu.

– Skąd wiesz?

– Zostawiła nam kasę i mrożone pizze. Zawsze się boi, że pod jej nieobecność umrzemy z głodu.

– Powiedziałaś, że powinna niedługo wrócić – zauważył Artur.

– Tak nam napisała.

– Kiedy?

– Dzisiaj. Ze dwie godziny temu.

– Możemy zobaczyć tę wiadomość? – spytał Adamski.

Dziewczyna zanurkowała do tylnej kieszeni spodni i wyjęła białego smartfona. Ciężko wzdychając, jakby rozstanie z telefonem zadawało jej fizyczny ból, przekazała go policjantom. Ci zaś stanęli obok siebie i przejrzeni wiadomości, które kobieta wysłała starszej córce.

19 października

*Mama (20.32): Kochanie, muszę wyjechać na weekend. Jeden z naszych klientów chce, żebyśmy zrobili audyt w firmie, którą zamierza przejść... w poniedziałek. Zostawiłam wam pieniądze i pizze. Wiem, że sobie poradzicie, ale w razie jakichkolwiek problemów dzwońcie. Całuski:**

20 października

Mama (11.17): I jak? Wszystko w porządku? Nie muszę się o nic martwić?

20 października

Mama (11.23): U mnie zatrząsienie roboty... Mam nadzieję, że się wyrobię ze wszystkim do wieczora. Buziaczki.:*:**

21 października

Mama (16.36): Powoli kończymy. Jeśli na ostatniej prostej nic się nie wydarzy, późnym wieczorem będę w domu. Wszystko w porządku?

21 października

*Mama (16.40): To super! Niedługo się zobaczymy. Pa, pa:**

– Dzwoniłyście do niej? – zapytał Adamski, oddając dziewczynie telefon.

– Tylko raz. Nie odebrała, ale potem oddzwoniła.

– Kiedy?

– Wczoraj. Koło szesnastej. Powiedziała, że u niej wszystko w porządku. I że w niedzielę wieczorem wróci do domu. Właściwie powtórzyła to, co pisała w esemesach.

– Możesz do niej zadzwonić i wrzucić ją na głośnik?

– I co mam jej powiedzieć?

– Zapytaj, gdzie jest i o której będzie.

Dziewczyna niechętnie spełniła prośbę Adamskiego. Stała obok policjantów i wybrała numer matki. Po paru sekundach w głośniku rozległ się utwór *Born to Be Wild* zespołu Steppenwolf. Adamski i Artur popatrzyli po sobie. Obaj wyczuli, że ten rebeliancki kawałek nie pasuje do wyważonej finansistki, która prowadzi spokojne rodzinne życie. Ale najwyraźniej niewiele o niej wiedzieli. Podobnie jak jej córki i mąż.

– Nie odbiera. – Dziewczyna zakończyła połączenie i schowała telefon do kieszeni. – Jeśli chcecie, spróbuję zadzwonić później.

Adamski skinął głową, po czym ponownie rozejrzał się po mieszkaniu. Wydawało się nienaruszone. Ot, stateczne rodzinne lokum, nieznacznie zabałaganione po dwóch dniach nieskrępowanego urzędowania nastolatek.

Żadnych śladów szarpaniny. Żadnych dowodów na obecność kogoś niepożądanego.

Zupełnie jak w mieszkaniach Martynty Bułeckiej i Magdy Giętkiej, pomyślał Adamski.

Pierwszą Kostka dopadł w domu. Drugą uprowadził sprzed bloku. W obu przypadkach się zatroszczył, żeby zrobić to pod nieobecność ich bliskich. Z dala od wścibskich spojrzeń sąsiadów. Cicho i dyskretnie, żeby zyskać kilka dni przewagi nad policją.

To był jego modus operandi.

– Czy zostawiła coś poza mrożonkami i kasą? – zapytał Adamski.

Starsza z sióstr wycelowała palcem w stojący pod ścianą kuchenny stół. Na blacie leżała duża brązowa koperta. Podobna do tych, które w ostatnich dniach trafiały na komendę.

– Ruszałyście ją?

Dziewczyny, sprawiające wrażenie coraz bardziej zaniepokojonych, synchronicznie pokręciły głowami.

– Uznałyśmy, że to coś związanego z jej pracą. Dokumenty, bilanse albo coś w tym stylu.

Coś w tym stylu, powtórzył w myślach Adamski. Ciężko westchnął. Założył rękawiczki ochronne, a następnie otworzył kopertę.

– Kurwa mać! – zaklął pod nosem, a następnie pokazał zawartość koperty Arturowi. – Trzeba wezwać techników. I musimy namierzyć jej telefon.

Artur przyglądał się zawartości koperty, smętnie kiwając głową.

– Czy mamie coś się stało? – zapytała niewinnym, łamiącym się głosem młodsza z dziewczyn.

Adamski na nią spojrzał. Na jej wypełniające się łzami oczy. Na słuchawki, które z przejścia zsunęła na szyję. Na dłoń kurczowo ściskającą palce stojącej obok siostry.

Pokiwał głową. Tylko na tyle było go stać.

– I jak? – zapytał Kawęcki.

Mateusz Pająk ze wstrętem popatrzył na Witolda, jakby uwłaczało mu spotkanie z tym roslym policjantem – choć logika podpowiadała, że powinno być odwrotnie. Zapalił papierosa, a następnie przeniósł wzrok na Kawęckiego.

– Jeden większy budynek i parę mniejszych – powiedział. – Zupełnie jak na wsi: dom, a obok niego kilka szop i baraków. U mojej ciotki wygląda to podobnie.

– Widziałeś tam jakichś ludzi?

Pająk pokiwał głową. Zerknął do kolorowego zeszytu, który wyglądał jak wygrzebany z tornistra ucznia podstawówki.

– Kilka osób wchodziło lub wychodziło. Najpierw pojawił się dziadek, który targał torbę na zakupy, taką na kółkach. Potem przyjechał facet w średnim wieku. Zaparkował na podwórku opla z dziurawym tłumikiem. Na końcu wylazła jakaś kobieta. Gdzieś się spieszyła. Pobiegła w stronę bloków przy Okoniowej, a kilka minut później wróciła do chałupy.

– Jak wyglądała?

– Zwyczajnie.

– Co to znaczy? Jak twoja siostra? Matka?

– Jak zwykła baba. Ciemne włosy, kozaki, gruba puchowa kurtka.

– A ten facet?

– Kurdupel. Przypominał mi trochę karła z *Gry o tron*. Choć chyba nie był aż tak niski.

– To nie on – odezwał się Witold. – To nie Kostka.

– Ani jego matka. – Kawęcki przycupnął na ławce pośrodku podwórka, a następnie zapalił papierosa. Przez kilkanaście sekund zastanawiał się nad czymś w milczeniu, ze spuszczoną głową. Jakby jego ciało pogodziło się z porażką, ale umysł nie mógł tego zaakceptować. – Tam jest jeszcze jeden budynek, który może być wykorzystywany jako mieszkalny. Wygląda jak kilkuizbowa szopa. Sądząc po kablach, podciągnięto do niego prąd. W jednym z pomieszczeń pali się słabe światło. Widziałeś tam kogoś?

– Nikogo. – Pająk wyrzucił kiepa na ziemię, po czym podszedł do Kawęckiego, jakby chciał mu nasikać na kolana. – Zapłacisz mi za to czy znowu chcesz mnie wkurwić?

Kawęcki zerknął na Witolda. Ten ciężko sapnął i wyjął z kieszeni portfel. Wydobył kilka banknotów o niskich nominałach i wręczył je Pająkowi.

– Tylko wydaj je mądrze – powiedział.

– Tak zrobię, psie.

Kiedy Pająk się oddalił, Witold stanął przed Kawęckim. Przykucnął, żeby zobaczyć jego twarz. Mimo to nie potrafił z niej nic wyczytać. Żadnych emocji, żadnych planów. Żadnych pomysłów. Nagle wydało mu się kompletnie surrealistyczne, że jest ciekaw opinii tego faceta. Skompromitowanego gliny. Pijaka. Zabójcy. Człowieka, który żeby dopaść psychopatę, wymyślił porwanie prokuratora. A potem w tym samym celu go uwolnił.

– Nie ściągniemy antyterrorystów, żeby zrobili wjazd do szopy – powiedział.

– Wiem. Mogę sprowadzić faceta, który pomógł nam z Wargą.

Witold nawet nie chciał o tym myśleć. Czym prędzej pokręcił głową.

– Żadnych gangsterów. Twoją obecność będę w stanie jakoś wytłumaczyć. Ale gdybyśmy wparowali tam z przestępcą i coś poszłoby nie tak, obaj byśmy wylądowali w pierdłu.

– W takim razie wchodzimy sami.

Kawęcki wyrzucił pod nogi papierosa i podniósł się z ławki. Rozejrzał się, strzelając wzrokiem po martwych oknach bloków. Czuł, że został uwięziony w betonowej klatce. Zamknięty w małym kwadraciku razem z całą stertą problemów. Z nałogami. Z niesłabnącą pokusą. Chciał się napić. Piwa. Wódki. Czegokolwiek, co by go sponiewierało. Co choć częściowo przywróciłoby równowagę w jego odzwyczajonym od normalności organizmie.

Nie teraz, pomyślał. Później. O ile jeszcze będzie okazja.

Wyciszył telefon. Chwilę po nim to samo zrobił Witold. Przez kilka następnych sekund gapili się na siebie, jak gdyby czekali, aż któryś z nich pęknie. Wybuchnie śmiechem i powie, że to tylko żart. Psikus wyobraźni. Ułuda.

– Wiesz, że to będzie nieprzyjemne? – zapytał Kawęcki.

Witold posłał mu ponury uśmiech.

– Nie pamiętam, kiedy po raz ostatni robiłem z tobą coś przyjemnego – odparł, a następnie wręczył Kawęckiemu broń.

– Co z Witoldem? – spytał Adamski.

– Nie odbiera – odpowiedział Artur, który od dłuższego czasu przyciskał telefon do ucha. – Napiszę do niego wiadomość. – Zaczął stukać w klawiaturę smartfona, ale nagle oderwał wzrok od ekranu i spojrzał na szefa. – Jesteś pewien, że dobrze robimy? Ta prawniczka może nas za to dojechać.

– Mam ją w dupie – burknął Adamski. – Musimy znaleźć Witolda. Spróbuj go namierzyć. Obdzwoń jego bliskich i kolegów. Zacznij od Kawęckiego.

– Już to zrobiłem. On też nie odbiera.

Adamski pokiwał głową. No jasne, pomyślał. Pinky i Mózg. Jak zwykle nierozłączni. Dwie fatalnie ze sobą związane istoty, które razem tworzą jeden wielki generator nieszczęść.

Wyszedł z gabinetu i przyjrzał się zasuwanym w pocie czoła policjantom. Zerknął na zegarek. Dwudziesta pierwsza. Pokręcił głową. Postawił całą komendę na nogi, żeby zorganizować poszukiwania kobiety, którą uprowadził Kostka. Żeby naprawić swój błąd. Pozwolił, aby dorwał ją facet, którego od tygodni szuka całe miasto. Bez względu na to, z jak byстрыm, przebiegłym i świetnie przygotowanym przeciwnikiem się mierzył, nie miał prawa do tego dopuścić.

Kurwa jego mać, zaklął w myślach.

Kiedy stał na korytarzu, zatruwając swoje sumienie, podeszła do niego Marta Ferenc. Nawet ona, wiecznie zblazowana i zobojętniała, sprawiająca wrażenie w ogóle niezainteresowanej pracą, teraz wydawała się przejęta tym, co się wydarzyło. Wręczyła szefowi kilka spiętych zszywaczem kartek.

– Mamy komplet wyników badań daktyloskopijnych – oznajmiła. – Chodzi o odciski z kartki dołączonej do listu, który otrzymałeś. Witold poprosił mnie,

żebym się tym zajęła.

– Pamiętam. Co z nich wynika?

Ferenc ciężko westchnęła. Rozejrzała się na boki, aby się upewnić, że nikt jej nie usłyszy.

– Odciski należą do kobiet zamordowanych na terenie województwa łódzkiego w ciągu ostatnich osiemnastu lat.

– Jezu – westchnął Adamski. – Ile ich jest?

– Dwadzieścia jeden.

Naczelnik zakrył dłonią twarz, mamrocząc pod nosem coś niecenzuralnego. Domyślał się, że listy od Kostki miały uzmysłować policji, z kim ma do czynienia. Ale nie spodziewał się takiej skali. Dwadzieścia jeden morderstw. Więcej, niż udowodniono Bogdanowi Arnoldowi, Joachimowi Knychale, Władysławowi Mazurkiewiczowi czy Leszkowi Pękalskiemu. Więcej, niż przypisano Zdzisławowi Marchwickiemu. Więcej, niż popełnił każdy z tych świrów, o których opowiadał Kawęcki.

– Mądralom z laboratorium nie udało się zidentyfikować tylko jednego odcisku – powiedziała Ferenc. – Męskiego. Przypuszczają, że należy do sprawcy. – Spojrzała Adamskiemu w oczy, a następnie wycelowała palcem w kartki. – I jeszcze jedno. Komendant wie o wszystkim. Także o kobiecie, której szukamy. Podobno już jedzie na komendę.

– Wspaniale, kurwa.

Kiedy Ferenc się oddaliła, Adamski wrócił do gabinetu. Stał przed zagraconym biurkiem. Przypomnił sobie treść listów, jakie otrzymali od Kostki:

„Drodzy policjanci i ich współpracownicy, zbliża się finał. Zagęście ruchy, jeżeli chcecie się załapać. SM”.

„Drodzy policjanci i ich współpracownicy, macie dobre chęci, ale niemiłosiernie błądziecie. Spróbuję ułatwić wam pracę. SM”.

A potem spojrział na blat i odczytał treść kolejnego. Tego, który znaleźli kilka godzin temu w mieszkaniu uprowadzonej kobiety.

„Drodzy policjanci i ich współpracownicy, czas minął. Pokaz odbędzie się bez was. SM”.

Cokolwiek Kostka planował, nie zamierzał z tym dłużej zwlekać. Adamski wiedział, że w tym pieprzonym pochodzie fatalnych wiadomości ta jest najgorsza.

Kawęcki przyłożył dwa palce do szyi. Przez jakieś dwadzieścia sekund próbował zmierzyć puls. Wyszło mu około stu pięćdziesięciu uderzeń na minutę. Mniej więcej dwukrotnie powyżej normy. Zdecydowanie za dużo. Zwłaszcza że dopiero skradali się do domu, w którym mógł przebywać Seweryn Kostka.

Korzystając z Google Maps i zdjęć zrobionych z ukrycia przez Pająka, razem z Witoldem dokładnie przeanalizowali układ budynków. Od razu wykluczyli największy na tym specyficznym, wbudowanym między bloki a chaszczę podwórku. To do niego wchodzili i z niego wychodzili ludzie. To tam toczyło się życie: ktoś zakasłał, krzyknął, przesadził z głośnością telewizora. Skupili się więc na trzech innych budynkach. Surowych, zapuszczonych, stojących nieco na uboczu. Pokrytych albo drewnem, albo blachą falistą. Przypominających potwórki sklecone przez kogoś, kto nie ma wiedzy budowlanej, wyobraźni i dobrego smaku.

W jednym z nich paliło się słabe światło. Od niego zamierzali zacząć.

– Idziemy – powiedział Witold.

– Poczekaj. – Kawęcki chwycił go za nadgarstek. – Przygotuj się na najgorsze. Na coś, czego nawet nie potrafisz sobie wyobrazić.

– To znaczy?

– Licz się z tym, że jeśli spotkamy tam Kostkę, może się na naszych oczach zamienić w potwora. W gigantyczną wielokończynową bestię, która będzie próbowała nas pożreć.

– To raczej mało prawdopodobne, ale okej.

– I bądź przygotowany na najbardziej obrzydliwy widok, z jakim się do tej pory spotkałeś. Spodziewaj się koszmaru, z którego nie będziesz mógł się

wybudzić.

Witold popatrzył mu w oczy. Do tej pory sądził, że Kawęcki i Kostka są równorzędnymi rywalami. Dwoma niezdolnymi do lęku świrami, którzy stanęli po przeciwnych stronach barykady. Ale widząc w oczach Kawęckiego strach, zrozumiał, że się mylił. Że to Kawęcki jest tym słabszym. Tym goniącym. Próbującym doszłusować do stwora, który reżyseruje swój morderczy spektakl.

– Idziemy – powtórzył.

Skradali się od strony chaszczy, ponieważ na tyłach budynków nie było okien, przez które ktoś mógłby ich wypatrzeć. Pochyleni do przodu przedzierali się przez niewysokie zarośla, mijając milczące bloki po lewej stronie. W dłoniach kurczowo ściskali pistolety. Odbezpieczone i gotowe do użycia.

Dotarli pod budynek i zaczęli go z wolna obchodzić. Witold szedł przodem. Ostrożnie minął drzewo i niemal kucając, zbliżył się do okna, przez które przebijało światło. Wyprostował się na chwilę, ale przez zaciągnięte żaluzje nie dostrzegł, co jest w środku. Odwrócił się do Kawęckiego i pokręcił głową. Ten, z trudem uginając trzeszczące kolana, dołączył do niego pod oknem.

– Wchodzimy – szepnął Witold. – Obok są drzwi. Nie wyglądają na zbyt trwałe i otwierają się do wewnątrz. Będzie można łatwo je wyważyć.

Jednak nie musieli tego robić. Kiedy Witold pociągnął za klamkę, okazało się, że drzwi są otwarte. Rozejrzeli się po raz ostatni po podwórku i weszli.

Uderzył w nich zaduch. Wstrętny fetor szczelnie wypełniający pomieszczenie, wgryzający się w ściany i meble. Trupi smród, którego nie da się pomylić z żadnym innym.

Celując pistoletami w pustą przestrzeń, ruszyli w głąb spartańsko urządzonej chaty. Żółtawa poświata dobiegająca z sąsiedniej izby rozświetlała im drogę, dzięki czemu nie musieli używać latarek. Wyszli z przedpokoju, rozejrzeli się na boki, a następnie skierowali w stronę światła. Ku miejscu, z którego rozchodził się odór.

Witold ostrożnie uchylił skrzypiące drzwi i stanął jak wryty.

– Kurwa – fuknął.

Kawęcki natychmiast znalazł się przy nim. Musiał zasłonić usta rękawem, żeby stłumić kaszel.

Źródłem światła było kilkanaście dopalających się świeczek, które w równym rzędzie stały na podłodze. Niczym halogeny podświetlały przybitą do krzyża kobietę. Rozpoznali ją bez trudu.

Janina Majewska. Matka Seweryna Kostki. Ukrzyżowana przez własnego syna. Jej nagie zwłoki rozkładały się na pokrytej biblijnymi cytatami ścianie.

– Tam są jeszcze jedne drzwi – powiedział Kawęcki, nie mogąc oderwać wzroku od ciała.

Witold popatrzył na niego, jakby zamierzał dać mu w mordę. Jakby zapomniał o jego ostrzeżeniu. Jakby za wszelką cenę chciał się wybudzić z koszmaru, w który dał się wciągnąć.

– Idziemy – odezwał się w końcu.

Bez przekonania, bez choćby krzty wiary w to, że może ich spotkać coś dobrego, ruszyli w kierunku drzwi.

Komendant Dębiec wyglądał jak cień samego siebie. Był blady i zmęczony, a podkrążone oczy wlepił w podłogę. Nie zdjął ani płaszcza, ani rękawiczek, mimo że na całym piętrze panował zaduch. W dodatku sprawiał wrażenie kompletnie zdezorientowanego. Jakby nie potrafił się pozbyć uciążliwego i niespodziewanego kaca.

– Czy to prawda? – zapytał, podchodząc do Adamskiego.

– Mamy dwadzieścia dwie pary odcisków palców – odparł naczelnik. – Dwadzieścia jeden należy do kobiet zamordowanych na terenie naszego województwa. Ostatniej pary nie jesteśmy w stanie zidentyfikować. Wiemy tylko, że należy do mężczyzny – Przekazał komendantowi raport, który otrzymał od Ferenc. – To oznacza, że kilka niewinnych osób gnije w więzieniu albo psychiatryku.

Dębiec spojrzał mu głęboko w oczy. Chwilę później oddał Adamskiemu teczkę, do której nawet nie zajrzał. Jak gdyby parzyła go w dłonie.

– Może Kostka próbuje zrobić nas w chuja – powiedział. – Może ma w policji wtykę, która zebrała dla niego te odciski.

Adamski potrząsnął głową.

– Wątpię. Raczej próbuje zrobić z nas idiotów. Chce nam pokazać, jak bardzo błądziliśmy. Jak bardzo byliśmy nieudolni. – Otworzył teczkę i przeskanował wzrokiem nazwiska, mimo że znał je na pamięć. I to od dawna. – Kepler, Wolańska, Pietrzykowska, Kwiecień, Probiez. O większości tych kobiet słyszałem od Kawęckiego. On już kilka miesięcy temu podejrzewał, że szukamy seryjnego zabójcy. Tyle że wtedy nikt nie chciał w to uwierzyć.

Komendant odwrócił się do Adamskiego bokiem. Patrzył na krzątających się po biurze funkcjonariuszy, czując, jak kropla potu spływa mu ze skroni. Jak wszystkie antyseptyczne, znieczulające i przeciwgorączkowe leki zaczynają puszczać. Jak kolejny wielki płat odrywa się z jego uporządkowanego życia i spada w przepaść. Już drugi w tak krótkim czasie. I z pewnością nie ostatni.

– Musimy poinformować Komendę Główną – odezwał się Adamski. – Może...

– Wiem, kurwa, co musimy zrobić. – Dębiec zerknął na niego z wybałuszonymi oczami. – Musimy złapać tego człowieka. Wiesz, gdzie on jest?

– Wciąż go szukamy.

– To szukajcie szybciej.

Dębiec rozluźnił zaciśnięte dłonie. Spojrzał w dół. Jedna z jego skórzanych rękawiczek zaczęła nasiąkać krwią.

– A gdzie są Ptak i Kawęcki? – zapytał.

Adamski wzruszył ramionami. Sam chciałby to wiedzieć.

Witold pociągnął za klamkę. Drzwi ustąpiły ze skrzypnięciem, otwierając się do środka. Salka, dłuższa niż korytarz i szersza od pokoju z krzyżem, przywitała ich niemal całkowitą ciemnością. Zamiast szukać włącznika światła, policjanci

uruchomili latarki. Z wycelowanymi przed siebie pistoletami ostrożnie przekroczyli próg.

Strzelając snopami światła w różne punkty pomieszczenia, szybko doszli do wniosku, że są w nim sami. Kwadratowe lokum przypominało prowizoryczną pracownię stolarską. W jej centralnym punkcie sterczał masywny stół, do którego przymocowane było imadło. Na jego blacie leżało kilka śrubokrętów, równo obcięte deski, młotek oraz gwoździe. Brakowało tylko wiórów. Jakby to był stół ekspozycyjny, który za chwilę miał zostać wywieziony do skansenu.

Ciemność zapewniały zabite deskami okna. Pod sufitem wisiała pęknięta żarówka. Przy zbutwiałych ścianach stały regały, szczelnie wypełnione przetworami, narzędziami i łachmanami. Między dwiema uginającymi się od słoików meblościankami ukryte były drzwi. Spróchniałe, wąskie i niskie. Przypominały wejście do spiżarni. Albo do schowka.

To zza tych drzwi dobiegł ich dźwięk.

Śmiech. Charakterystyczny świński rechot, który mógł należeć tylko do jednej osoby.

Po raz pierwszy ucieszyli się na spotkanie z prokuratorem Wargą.

Kawęcki patrzył, jak Witold, kierując się w stronę maleńkich drzwi, wprawia w ruch swoje zwaliste ciało. Ale gdy tylko ruszył do przodu, rozległ się metaliczny brzęk. Coś błyskawicznie przecięło powietrze. Chwilę później Witold gruchnął z hukiem o podłogę.

Zanim Kawęcki się zorientował, co się stało, poczuł uderzenie w twarz. Zamroczony zatoczył się na ścianę. Wtedy spadł kolejny cios, po którym i on osunął się na podłogę. Próbował unieść pistolet. Chciał wycelować w niewidzialnego napastnika i oddać strzał. Ale nie był w stanie, unieruchomiony przez paraliżujący ból w nadgarstku. Wrzasnął. Uniósł wzrok i zobaczył kontury dwumetrowego mężczyzny, który ciężkim glanem miażdżył mu rękę.

Nie miał wyjścia – wypuścił broń. Podobnie jak Witold, który leżał kilka metrów przed nim. Nieprzytomny. Być może martwy.

Napastnik schylił się po pistolet, a potem, jakby słysząc myśli Kawęckiego, podszedł do Witolda. Sprawdził mu tętno, ale nie dał po sobie poznać, co wyczuł. Następnie zabrał także jego broń i zniknął w głębi pokoju.

Ukrył się za drzwiami, pomyślał Kawęcki, spluwając krwią ściekającą do ust z rozbitego nosa. Schował to swoje wielkie cielsko za drzwiami. W najbardziej oczywistym miejscu, w jakim się da. A zarazem jedynym, którego nie sprawdzili. Po prostu nie przyszło im to do głowy.

Napastnik zapalił lampę stojącą na jednym z regałów. Oświetlił nią nieruchome ciało Witolda. Potem skierował światło na Kawęckiego. Na jego zakrwawioną gębę. Zaśmiał się krótko.

– Zapomniałem się przedstawić. – Podeszedł do Kawęckiego i ściągnął kominiarkę. – Nazywam się Seweryn Majewski. Miło cię w końcu poznać.

Kawęcki przyglądał się odpychającemu dziąsłowemu uśmiechowi wielkoluda w czarnym kombinezonie. Stwora, który założył ludzką maskę na odrażającą gębę.

Piłka była po stronie Kostki. Od samego początku tej chorej gry kontrolował wydarzenia. Ale Kawęcki dopiero teraz, gdy z zakrwawioną twarzą i złamaną ręką leżał na zgniłej podłodze, widział to tak wyraźnie.

Adamski siedział przy biurku, z łokciami wbitymi w blat i czołem opartym na dłoniach. Myślał. Układał sobie to wszystko w głowie. Próbował wyłapać momenty, w których mogli przerwać tę morderczą serię. Kiedy wystarczyło trochę inaczej poprowadzić śledztwo, żeby w końcu dotrzeć do Kostki. Gdy należało powziąć szczególne środki ostrożności, aby ochronić ludzi, których tamten zamierzał skrzywdzić.

Miał wrażenie, że byli bezradni. Że cokolwiek by zrobili, Kostka i tak dopiąłby swego. Zwyciężyłby, bo był od nich lepiej przygotowany i sprytniejszy. A przede wszystkim bardziej zdeterminowany. Drzemiący w nim pęd do destrukcji był zdecydowanie silniejszy niż ich chęć, aby go zatrzymać.

Poderwał się z krzesła i wyszedł z gabinetu. Skierował się prosto do niewielkiej sali konferencyjnej, w której siedział komendant Dębiec. Przyłapał go na popijaniu wodą jakichś tabletek.

– I co? – spytał Dębiec.

– Nie przeszkadzimy mu. – Adamski zaczął się przechadzać wzdłuż ściany, na której parę minut wcześniej jeden z funkcjonariuszy rozwiesił fotografie wszystkich domniemanych ofiar Kostki. – Zrobi dokładnie to, co sobie zaplanował. To, co wymyślił dawno temu.

– O czym ty mówisz?

– Rozegrał nas. Ośmieszył. Ukrył się, żeby zaplanować ostatni cios i dać nam pożegnalną lekcję. – Adamski zatrzymał się przed biurkiem, przy którym siedział Dębiec. – A kiedy już to zrobi, odda się w nasze ręce. Ale wtedy będzie za późno. I dla mnie, i dla ciebie.

Komendant w milczeniu przewiercał Adamskiego wzrokiem. Rozchylił usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale ostatecznie nie odezwał się słowem.

– Wiedziałaś o tym – kontynuował Adamski. – Warga ci powiedział, z kim mamy do czynienia. Byłeś w pełni świadomy, jak to się może skończyć.

Dębiec parsknął pustym śmiechem.

– Pieprzysz. Łeb ci się przegrzał od tego śledztwa.

– Chciałeś mnie skompromitować, a potem uzależnić od siebie. – Adamski nie dawał za wygraną. – Sprawić, że stanę się twoim dłużnikiem. Facetem, którego będziesz mógł wykorzystywać do swoich celów. Tyle że sytuacja wymknęła się spod kontroli. – Ponownie zaczął się przechadzać po sali. – Rozmawiałem z ojcem. Przez wiele lat milczał na twój temat. Wstydził się. Nie potrafił przyznać się do tego, jak bardzo się wygłupił. – Teatralnie pomachał telefonem. – Ale właśnie odważył się opowiedzieć mi o wszystkim. O tobie i Wardze. O staraniach o fotel komendanta. O wypadku. – Potrząsnął głową. – Nie był dobrym ojcem. Nie angażował się w życie rodziny. Miał w dupie swojego syna. Za dużo chlał. Ale tylko dwa razy widziałem go naprawdę wściekłego. Po raz pierwszy, gdy złożyłem papiery do policji. Wyzwał mnie od

debila, który marnuje sobie życie. Był zły, że uparłem się pójść w jego ślady. Ale jeszcze bardziej się zezłościł, kiedy się dowiedział, że zostanę naczelnikiem Wydziału Kryminalnego. I że będziesz moim bezpośrednim przełożonym. – Ponownie zatrzymał się przed komendantem. – Nie chciał, żeby kolejny facet z naszej rodziny został twoją marionetką. Ja też tego nie chcę.

Dębiec posłał mu kwaśny uśmiech.

– Na niektóre rzeczy nie masz wpływu – powiedział. – Jesteś za cienki w uszach.

Adamski pochylił się do przodu i oparł dłonie na blacie.

– Ale na inne mam. Wiem, co zrobić, żeby nie dać ci satysfakcji.

W tym momencie do sali wparował Artur. Przez dłuższą chwilę przyglądał się tej dziwnej scenie.

– Nasi ludzie byli w mieszkaniu Kawęckiego – powiedział wreszcie. – Idiota zostawił otwarte drzwi. Pewnie znowu się najebał i...

– Co znaleźliście? – przerwał mu Adamski.

– Mapę osiedla. Jest cała pomazana. Ale jeden punkt Kawęcki zakreślił inaczej niż pozostałe.

– To znaczy?

– Sprawdziliśmy to w necie. Prawdopodobnie wskazał kilka budynków stojących obok dawnej cegielni. Chłopaki znalazły też zdjęcie samochodu prokuratora Wargi. Wygląda tak, jakby pies Kawęckiego je wszamał, a potem zwrócił. Niemniej fura prawdopodobnie stoi niedaleko tego miejsca z mapy.

Adamski się wyprostował. Posłał Dębcowi wrogie spojrzenie, jak gdyby chciał mu oznajmić, że jeszcze z nim nie skończył. Następnie ruszył do wyjścia.

– Wyślij tam ludzi – zwrócił się do Artura, który ledwo za nim nadązał. – Każ im przyjrzeć się tym budynkom. Jeśli zobaczą coś niepokojącego, niech natychmiast dadzą znać. Poinformuję antyterrorystów, żeby przygotowali się do wjazdu. Udało ci się skontaktować z Witoldem?

Artur pokręcił głową.

– Nie odbiera.

– Próbuje dalej. Do skutku. Musimy do niego dotrzeć.

Kawęcki patrzył na kieszeń w spodniach Witolda, z której przebijała jasna poświata bezdźwięcznie dzwoniącego telefonu. Trwało to jednak tylko chwilę, ponieważ Kostka przykucnął i skrupulatnie przeszukał Ptaka.

– Artur Waliszewski – powiedział, patrząc na wyświetlacz smartfona. – Wasz kumpel. Poligamista i ksenofob. Fan mocnych wrażeń. – Zerknął na Kawęckiego. Uśmiechnął się. – Do ciebie pewnie też będzie dzwonił. Dlatego chciałbym, żebyś oddał mi telefon.

Kawęcki, siedząc pod drzwiami, z plecami opartymi o ścianę, włożył lewą rękę do prawej kieszeni spodni. Wyjął smartfona i popchnął go po chropowatej podłodze. Kostka schylił się po komórkę, a następnie położył ją na stole razem z telefonem Witolda. Obok nich umieścił pistolety. Zadbął o to, żeby wszystkie zarekwirowane przedmioty leżały względem siebie równolegle. Żeby tworzyły symetryczną, idealnie uporządkowaną formację w jego prywatnym zbiorze trofeów.

– Twój kolega żyje. – Kostka zerknął na Kawęckiego. – Pomyślałem, że chciałbyś to wiedzieć. Poza tym dzięki temu nie będziesz wykonywał gwałtownych ruchów, kiedy znajdzie się obok ciebie.

Kostka schylił się i objął Witolda w pasie. Z zadziwiającą łatwością wyrwał stukilogramowe ciało policjanta. Przeniósł je w stronę drzwi, jak gdyby przestawiał biurko, i położył obok Kawęckiego.

Witold miał nabrzmiałą skroń i rozbity łuk brwiowy, z którego sączyła się krew. Ciężko oddychał przez otwarte usta. Kostka musiał uderzyć go czymś o sporej powierzchni. Czymś ciężkim, metalowym. Szpadlem albo łopatą. Kawęcki miał zdecydowanie więcej szczęścia. Ale jakoś trudno było mu się z tego powodu cieszyć.

– Dobrze, że pojawiliście się razem – odezwał się Kostka. – Martwiłem się, że przyjdiesz sam. Że będziesz zgrywał bohatera. Jak John McClane albo Dutch Schaefer. – Posłał mu kolejny uśmiech, a następnie ściągnął z regału butelkę

jakiegoś płynu i nasączył nim ścierkę. Rzucił ją Kawęckiemu. – To amoniak, więc lepiej się nie zaciągaj. Pomachaj koledze szmatą pod nosem. Dzięki temu powinien do nas wrócić. Pospiesz się. Nie mamy już dużo czasu.

Kawęcki popatrzył na szmatę, która leżała na jego nodze. Nie zamierzał się po nią schylać. Chciał grać na zwłokę, jak najdalej odsuwając to, co Kostka zaplanował. Czymkolwiek to coś było.

Ale wtedy Kostka sięgnął po jeden z pistoletów.

– Wybudź go, zanim przestrelę ci nogę. Albo brzuch. Nie jestem dobrym strzelcem.

Kawęcki spojrział w guzikowate oczy Kostki i wykonał jego polecenie. Poklepał Witolda po policzkach. A kiedy to nie poskutkowało, podetknął mu nasączoną amoniakiem szmatę pod nos. Po paru sekundach Witold poruszył nozdrzami i niemrawo potrząsnął głową.

– Dobrze – powiedział Kostka. – Dopilnuj, żeby był świadomy. To, co dla was przygotowałem, wymaga pełnej koncentracji oraz otwartego umysłu. Bez tego moglibyście niewłaściwie mnie zrozumieć.

Kostka nieporadnie zatknął pistolet z tyłu spodni, zapewne robiąc to pierwszy raz w życiu. Kuśtykając, dotarł do niewielkich drzwi między regałami. Wyjął z kieszeni klucz i otworzył nim starą nitowaną kłódkę. Wszedł do kanciapy.

Po chwili wrócił w towarzystwie Wargi. Ciągnął go na smyczy przymocowanej do obroży, która ciasno opinała szyję prokuratora.

Warga był nagi i roześmiany. Chaotycznie wymachiwał rękoma. Kostka musiał go czymś nafaszerować, żeby doprowadzić do jego ostatecznego zezwierżenia.

– Nawet nie zdajecie sobie sprawy, jak bardzo pomógł mi w zrealizowaniu misji. – Kostka spojrział na Wargę, który wił się na podłodze. – Przez wiele lat był moimi oczami i uszami w policji. Doskonale wodził was za nos. Szkoda tylko, że przez całe życie miał taką słabą wolę. Pieprzony tłuścioch. – Westchnął. Następnie przeniósł wzrok na Kawęckiego. – Nie jesteśmy jeszcze w komplecie.

Kostka przywiązał smycz do kaloryfera. Poklepał Wargę po twarzy i ponownie zniknął w kantorku. Chwilę później wrócił, trzymając na rękach nagą kobietę. Posadził ją pod jedną ze ścian. Odgarnął jej włosy z twarzy. Przytrzymał bezwładną głowę, żeby Kawęcki i Witold mogli się przyjrzeć twarzy.

– *Voilà* – powiedział. – Oto gwiazda wieczoru. To dla niej tu przyszliście.

W sali konferencyjnej zaroilo się od policjantów. Otoczyli Adamskiego, który od kilkunastu minut wisiał na krótkofalówce, rozmawiając z dwiema kilkusobowymi grupami funkcjonariuszy oraz zespołem antyterrorystów. Ci pierwsi szukali budynku, w którym mógł się ukrywać Kostka. Drudzy przygotowywali się do interwencji.

– Jak sytuacja? – zapytał.

– Znaleźliśmy samochód prokuratora – odparł jeden z policjantów. – Stoi na parkingu przy Łososiowej. Jakies sto metrów od tych budynków, które Kawęcki zaznaczył na mapie. Grupa Waldka już je obserwuje.

– To prawda, ale na razie nie zauważyliśmy nic ciekawego – powiedział Waldek. – Żadnych śladów Kostki, Ptaka czy Kawęckiego. Żadnych dziwnych zdarzeń. W największym budynku, przy zgaszonych światłach, krzątają się dwie osoby. Prawdopodobnie kładą się spać. Z drugiej strony podwórka jest kilka budynków gospodarczych. W jednym z nich widać słabe światło. Drzwi są nieznacznie uchylone.

Adamski wymienił spojrzenia z Arturem. Pomyśleli o tym samym. Nie zostawia się na noc otwartych budynków gospodarczych. Nie zostawia się w nich zapalonego światła. I kilka osób mieszkających naprzeciwko raczej by to zauważyło.

– Obserwujcie je dalej – nakazał Adamski. – Skupcie się na tych budynkach z tyłu podwórka. Zorientujcie się, czy ktoś jest w środku. Jeśli Kostka miałby się gdzieś ukryć, to właśnie tam. A jak sytuacja u was, Wojtku? – zwrócił się do szefa zespołu antyterrorystów. – Daleko jesteście?

– Wjeżdżamy na osiedle. Za dwie minuty będziemy na miejscu. Za trzy możemy ruszać.

– Świetnie. Czekać na sygnał.

Adamski wręczył Arturowi krótkofalówkę i wyszedł z sali. Włożył gumę do ust, już chyba dziesiątą tego dnia. Zaczął się przechadzać po korytarzu. Ciężko oddychał. Pocił się. Jego zwykle nienagannie ułożona fryzura wyglądała tak, jakby się celowo potargał. Czuł, że stracił kontrolę nad sytuacją. Że jakkolwiek podejmie decyzję, okaże się niedobra. Że nie wydobiją się z otchłani. Że jest już za późno.

– To normalne, że się stresujesz.

Za plecami Adamskiego niespodziewanie wyrósł Dębiec. Naczelnik odwrócił się. Nie miał ochoty z nim rozmawiać. Ale był zbyt zaaferowany akcją na Radogoszczu, żeby się go w sprytny sposób pozbyć.

– Kostka uprowadził kobietę – powiedział. – Ona może być w którymś z tych budynków.

Dębiec wzruszył ramionami.

– Nawet jeśli tam jest, prawdopodobnie od dawna nie żyje. Najważniejsze, żeby złapać albo zastrzelić tego gnojka i wyciągnąć stamtąd naszych ludzi.

– To nie takie proste.

– Wręcz przeciwnie. To bardzo proste. Prostsze już być nie może.

– Problemem jest ta kobieta. Ona wszystko komplikuje.

– Dlaczego?

Adamski ze zdziwieniem spojrzał na komendanta. Dębiec – zanurzony w marazmie, otumaniony, faszerujący się lekami przeciwbólowymi – najwyraźniej nie wczytał się uważnie w dokumenty, które otrzymał. Skupiając się na doniesieniach na temat zatrważającej liczby ofiar Kostki, przeoczył jedną z najważniejszych informacji.

Tę, która zmieniała wszystko.

Adamski zrobił krok w jego stronę, kiedy na korytarzu pojawił się jeden z policjantów.

– Antyterroryści już są na miejscu – powiedział funkcjonariusz. – Czekają na sygnał.

Naczelnik skinął głową i ruszył w kierunku centrum dowodzenia. Przystanął na wysokości Dębca. Pochylił się w jego stronę.

– Ta porwana kobieta jest żoną Witolda Ptaka.

Chwilę później zniknął w sali konferencyjnej, zostawiając zszokowanego komendanta na środku korytarza.

Witold potrzebował kilku sekund, żeby zrozumieć, co się stało. Żeby wyostrzyć obraz i skojarzyć fakty. Połączyć kropki, których nie miał ochoty łączyć. Kiedy w końcu odzyskał pełnię świadomości, zaczął pełznąć w kierunku żony.

– Natknąłem się na Edytę przypadkiem – powiedział flegmatycznie Kostka, zwracając się bezpośrednio do Kawęckiego. Stał przed jednym z drewnianych regałów. Idealnie wyprostowany, z rękoma spuszczoneymi wzdłuż tułowia. Wyniosły i niepokojąco pewny siebie. – Zobaczyłem w kawiarni parę, która zachowywała się nienaturalnie. Dwoje ludzi w średnim wieku wymieniało zdawkowe uśmiechy. Prawie się nie dotykali. Za to nieustannie rozglądali na boki, jakby się czegoś bali. Na przykład tego, że ktoś ich nakryje. Pojechałem za nimi. Czekałem dwie godziny, aż skończą się pierdolić. Ale było warto. Kobieta wyszła, wsiadła do taksówki i pojechała do domu. Do dzieci i męża. Nawet nie wiesz, jak się ucieszyłem, kiedy się okazało, że jest żoną jednego z policjantów, którzy na mnie polują.

Witold nieporadnie dotykał sinego ciała żony. Oparł ją na swojej klatce piersiowej. Szeptał do niej. Delikatnie klepał po twarzy. Dopiero po parunastu sekundach sprawdził jej tętno.

I wtedy zaczął wyć. Przerażliwie, bezdźwięcznie wyć.

Kawęcki zrozumiał, że przegrali. Spóźnili się. Pozwolili Kostce zadać ostatni cios. Najbardziej bolesny ze wszystkich.

– Musiałem ją ukarać – kontynuował Kostka. – Za miękkość charakteru. Za niepohamowanie. Za bezczeszczenie swojego ciała. Za to, że zdradzając męża,

sprzeniewierzyła się Bogu.

Uniósł wzrok w kierunku sufitu.

– Bóg kazał przebaczać – odezwał się Kawęcki. – „Niechaj bezbożny porzuci swą drogę i człowiek nieprawdy swoje knowania. Niech się nawróci do Pana, a Ten się nad nim zmiłuje, i do Boga naszego, gdyż hojny jest w przebaczeniu”¹¹.

Kostka uśmiechnął się do niego.

– Księga Izajasza, jedna z moich ulubionych – stwierdził. – Przygotowałeś się i doceniam to. Tyle że ja nie jestem Bogiem. Działam w Jego imieniu, ale na własny sposób. Czerpię z nauk Chrystusa, ale nie robię tego bezkrytycznie. Dopasowuję je do naszych czasów. Do potrzeb. Modyfikuję je, żeby nie popełnić tych samych błędów, które On popełnił. Dlatego nie rozgrzeszam, tylko karzę. – Wycelował palcem w żonę Witolda. – Karą dla niej była bolesna i upokarzająca śmierć.

Wyjął z kieszeni telefon. Potrzebował paru sekund, żeby znaleźć to, czego szukał. Podeszedł do ściany i położył smartfona na podłodze obok rozhisteryzowanego Witolda.

– To ostatnie wspomnienie, które dla ciebie zostawiła. Nagrałem ten film niedługo przed jej śmiercią.

Kostka odwrócił się od Witolda i posłał Kawęckiemu upiorny uśmiech. Najgorszy ze wszystkich dotychczasowych.

– Nie oglądaj tego! – krzyknął Kawęcki.

Ale było już za późno. Witold podniósł telefon i uruchomił filmik. Zobaczył swoją żonę – nagą, pobitą i półprzytomną. Leżała z twarzą przyciśniętą do podłogi i nieobecny wzrokiem utkwionym w obiektywie. Chwilę później pojawił się Warga. Również nagi. Ze wzwodem. Położył się na Edycie, zgniatając ją swoim cielskiem. Wszedł w nią. Zaczął poruszać biodrami, obrzydliwie przy tym dysząc.

Edyta się nie opierała. Nie była w stanie. Zapewne nawet nie wiedziała, że ją gwałci.

Witold wypuścił telefon z rąk. Jego histeryczny płacz zagłuszył postękiwania tłuściocha.

– Kilka rzeczy wymagało naprawy. – Kostka poklepał Wargę po głowie. – Chciałem, żeby ten przykry i niekochany człowiek choć raz w życiu zasmakował miłości. Musisz przyznać, że to całkiem hojny gest. Zresztą niejedyny, na jaki mnie stać. – Wskazał palcem Kawęckiego. – Dla ciebie też coś mam. Spodoba ci się.

Wyjął zza paska pistolet. Następnie przykucnął i popchnął broń po podłodze w kierunku Witolda. Chwilę później wstał, uniósł dwa palce i zamknął oczy.

– „Ktokolwiek zabije człowieka, będzie ukarany śmiercią. Ktokolwiek zabije zwierzę, będzie obowiązany do zwrotu: zwierzę za zwierzę. Ktokolwiek skaleczy bliźniego, będzie ukarany w taki sposób, w jaki zawinił” ¹².

Witold sięgnął po broń. Przyjrzał się jej, jakby widział ją po raz pierwszy. Jakby była ciałem obcym, które ktoś próbował wtłoczyć mu do organizmu.

– „Złamanie za złamanie, oko za oko, ząb za ząb. W jaki sposób ktoś okaleczył bliźniego, w taki sposób będzie okaleczony. Kto zabije zwierzę, będzie obowiązany do zwrotu. Kto zabije człowieka, będzie ukarany śmiercią” ¹³.

Witold mocniej chwycił broń. Spojrzał przed siebie. Na Kostkę, który wyglądał tak, jakby doświadczał objawienia. A potem na siedzącego obok Wargę. Na rozweselonego tłuściocha, który przyglądał mu się naćpanym wzrokiem. Wyciągnął przed siebie pistolet.

– Nie rób tego! – krzyknął Kawęcki, niezdarnie czołgając się w stronę Witolda. – On właśnie tego chce. Chce, żebyś ich zabił. Nie pozwól mu wygrać!

Witold zerknął na kolegę. Na chwilę. Na ułamek sekundy. Tyle wystarczyło, żeby Kawęcki dojrzał jego niewyobrażalne cierpienie. Desperację. I zalaną łzami furie, której żadna siła nie była w stanie zatrzymać.

– „Jednakowo będziecie sądzić i przybyszów, i tubylców, bo Ja jestem Pan, Bóg wasz!” ¹⁴.

Słowa Kostki przerwał strzał.

Potem kolejny.

Po nim pomieszczenie wypełnił zatrważający bezgłos.

Noc spędził w szpitalu. Lekarze nastavili jego złamaną kość promieniową i wsadzili rękę w szynę. Nafaszerowali go środkami przeciwbólowymi i uspokajającymi, dzięki czemu większość czasu przespał. Rano założyli mu gips, zalecając, żeby nosił go przez trzy tygodnie. Następnie lekarz i pielęgniarka sprowadzili go na dół, gdzie czekało na niego dwóch funkcjonariuszy.

Zawieźli go na komendę, żeby złożył zeznania. Policjanci z łódzkiego wydziału Biura Spraw Wewnętrznych musieli dojść do wniosku, że jest jednym z poszkodowanych, ponieważ traktowali go inaczej niż kilka tygodni wcześniej. Wtedy podejrzewali, że Kawęcki – jeszcze będąc policjantem – przekroczył uprawnienia, nie dopełnił obowiązków, zniszczył dokumentację służbową i naraził cywilów. Byli wobec niego oschli i podejrzliwi. Teraz wręczyli mu paczkę papierosów, a następnie postawili przed nim kubek parującej kawy i popielniczkę. Dopiero gdy wygodnie rozsiadł się na krześle i zapalił, uruchomili kamerę i przeszli do rzeczy.

– Inspektor Kacper Szumowski z łódzkiego wydziału Biura Spraw Wewnętrznych – przedstawił się wyższy z mężczyzn, surowy i poważny, z wypielegnowanymi siwymi wąsami. Wskazał ręką łysiejącego faceta w okularach siedzącego po jego lewej. – Podinspektora Łukasza Filipskiego poznał pan kilka tygodni temu.

Kawęcki leniwie wypuścił dym i na potwierdzenie skinął głową.

– Chcemy z panem porozmawiać o wydarzeniach z wczorajszego wieczoru. O strzelaninie. Proszę zacząć od początku. Od wyjaśnienia, jak w ogóle doszło do tego, że znalazł się pan w tym miejscu.

Kawęcki długo strzepywał popiół, wpatrując się w rozżarzony czubek papierosa. W końcu odkleił się od oparcia krzesła, wyprostował i pochylił przed siebie, z trudem kładąc zagipsowaną rękę na stole. Przez następne kilkanaście minut opowiadał o koszmarze, w który nawet jemu trudno było uwierzyć.

Kiedy skończył, salę wypełniła cisza. Nikt nie chciał jej przerwać. W końcu Filipski zebrał się na odwagę. Odchrząknął i nerwowo poprawił zsuwające się z nosa okulary.

– Dlaczego pomagał pan Ptakowi? Przecież od prawie trzech miesięcy nie pracuje pan w policji.

– Bo gdyby nie ja, Kostka dalej byłby na wolności.

Faceci z wewnętrznego popatrzyli po sobie. Filipski uczulił Szumowskiego, że Kawęcki to dupek z przerośniętym ego, święcie przekonany o własnej zajebistości. Ale nie był w stanie przygotować go na konsekwencje obcowania z tym dziwakiem. Na promieniującą od Kawęckiego mieszankę megalomaństwa i negatywizmu, która nawet z gruboskórnych psów potrafiła wyssać energię.

– Dlaczego sami weszliście do budynku? – zapytał Szumowski.

– Parę dni wcześniej Witold z Adamskim zmusili ekipę antyterrorystów do bezowocnego czatowania pod blokiem, w którym widziany był Kostka. Wyśmialiby nas, gdybyśmy próbowali namówić ich na wjazd do budynku na jakimś osiedlowym zadupiu, nie mając bladego pojęcia, co tam zastaną. Poza tym musieliśmy działać szybko.

– Czy według pana dało się tego uniknąć?

Kawęcki zgasił papierosa, jak gdyby chciał go przykleić do dna popielniczki. Następnie pokręcił głową.

– Kostka wiedział, że Witold zabije Wargę, a potem jego. I że po wszystkim będzie próbował strzelić sobie w łeb. Nie przewidział tylko tego, że zdąży

Witolda powstrzymać. – Wzruszył ramionami. – Mimo to Kostka wygrał. Wydymał nas wszystkich.

Odsunął się od stołu i spojrział w kierunku okna. Była szósta trzydzieści. Nad miastem dopiero wschodziło słońce. Niepewnie. Jakby się bało, co może zobaczyć z góry.

– Będzie pan musiał opowiedzieć nam to wszystko od początku – oznajmił Filipowski. – Bardziej szczegółowo.

– Najpierw muszę się napić.

– Przynieść panu wodę? – spytał Szumowski.

Kawęcki popatrzył na niego jak na idiotę. Ostrożnie potrząsnął głową. I ponownie spojrział w stronę okna.

– Po drugiej stronie ulicy jest sklep. Wiecie, o której otwierają?

Po przesłuchaniu jeden z funkcjonariuszy zaprowadził Kawęckiego do gabinetu Adamskiego. Naczelnik czekał w półśnie, opierając głowę na dłoniach, schowany za stertą papierów, pod którą ugięło się jego biurko. Kiedy usłyszał pukanie, machinalnie poderwał się z krzesła. Przywitał się z Kawęckim, ściskając jego lewą, niezagipsowaną dłoń, i zamknął za nim drzwi.

– Chcesz się czegoś napić? – spytał zachrypniętym, zaspanym głosem. – Kawy? Albo wody?

– Co wy macie z tą wodą?

Adamski posłał mu drętwy uśmiech.

– Rozumiem. Niestety, nie mam nic dla ciebie. Wszystkie płynne dowody wdzięczności rozdają znajomym. Nie chcę, żeby mnie korciły. Mój ojciec rozpił się między innymi dlatego, że ciężko było mu się oprzeć butelkom, które dostawał od ludzi. A przynajmniej tak utrzymuje.

Kawęcki usiadł na krześle dla gości. Rozejrzał się po biurze. Zmieniło się od czasu jego ostatniej wizyty. Przybyło w nim rupieci, dokumentów i szpargałów. Przypominało zanurzone w chaosie policyjne wysypisko. Jednoznacznie sugerowało, że facet, który je zajmował, stracił kontrolę nad sytuacją.

– Co z nim zrobią? – zapytał Kawęcki.

Adamski poklepał się po policzkach, żeby się ocucić.

– Zawieźli go do szpitala. Lekarze stwierdzili u niego wstrząśnienie mózgu, ale na szczęście nie ma złamań, wewnętrznych krwiaków ani niczego takiego.

– Pytałem o to, co się z nim stanie.

Naczelnik odchrząknął.

– Nie wiem. Ale raczej nic dobrego. Gdyby zastrzelił tylko Kostkę, wkleiliby mu zabójstwo w afekcie. Każdy sędzia na świecie by się nad nim zlitował. Dostałby stosunkowo krótki wyrok, a Komenda Główna pewnie zaczęłaby lobbować u prezydenta, żeby go ułaskawił. Ale zabójstwo Wargi, prokuratora, który był jedną z ofiar Kostki, wszystko komplikuje.

– A jeśli zdyskredytujemy Wargę?

– To znaczy?

– Wiemy, że od lat pomagał Kostce. Możemy to udowodnić. A przynajmniej zbudować wokół tego wiarygodną narrację.

– Kłopot w tym, że Warga został kilka dni wcześniej porwany. Na jego ciele widnieją ślady tortur. Tylko my wiemy, że nie są dziełem Kostki. – Adamski odruchowo zerknął w stronę zamkniętych drzwi. – W świat poszła informacja, że Witold zajeżdżał niewinnego człowieka. Że się podpalił i popełnił straszny błąd. Ludzie będą mu współczuć, ale prawnicy tego nie odpuszczą. Cokolwiek wymyślimy, pójdzie siedzieć. I to na wiele lat.

Kawęcki przymknął oczy i zaczął się masować po skroniach.

– Co z jego córkami? – zapytał.

– Siedzą u matki Edyty. Jest z nimi cały sztab psychologów i policjanci specjalizujący się w kontaktach z rodziną. Próbują utrzymać ich histerię w ryzach.

– Czy one wiedzą, co się stało? Że praktycznie straciły rodziców?

Adamski potrząsnął głową.

– Na razie usłyszały, że ich matka została zamordowana, a ojciec zastrzelił jej zabójcę i jego współnika. Na tym etapie lepiej im nie mówić, że Witold

większość życia spędzi w pierdlu.

Kawęcki wyjął z kieszeni paczkę papierosów. Nie pytając Adamskiego o zgodę, zapalił.

– Odciski palców Kostki pasują do tych, które znaleźliśmy na listach – oznajmił naczelnik. – To on stoi za tymi wszystkimi zabójstwami. Nie blefował.

– Wiem. – Kawęcki wydmuchnął do góry dym. – Od dawna wiedziałem.

– Znaleźliśmy w tym budynku trochę rzeczy należących do Kostki. – Adamski zanurkował w stertę papierów, w której tylko on potrafił się poruszać. Wyciągnął kilka złączonych zszywką kartek. – Książki, modlitewniki i notatniki, które zabrał z domu na Janowie. W tych zeszytach gromadził informacje na temat ofiar. Tych, z którymi się rozprawił, oraz przyszłych. Lista jest zatrważająca. – Zerknął na jedną z kartek. – Niejaka Dagmara Paczewska, menedżerka z agencji reklamowej, może być wam wdzięczna. Kostka szykował dla niej prezent na czterdzieste urodziny. Po tym, jak odkryliście jego tożsamość, musiał zmienić plan.

– Próbujesz mnie pocieszyć? – zapytał Kawęcki.

– Po prostu mówię, co znaleźliśmy. Pomyślałem, że chciałbyś wiedzieć.

Kawęcki podrapał się w środek czoła.

– Masz coś jeszcze?

– Kostka był bardzo metodyczny. Zebrał mnóstwo informacji na temat Edyty i Gawina. Znał ich plan dnia, zwyczaje, fobie. Wszystko bardzo precyzyjnie dokumentował. Jakby był detektywem wynajętym przez Gawinową lub Witolda. – Adamski położył dłonie na biurku. – Był ultraprecyzyjny i wyrachowany. Nie mieliśmy szans mu przeszkodzić. Przygotował plan, który musiał wypalić.

Kawęcki wypuścił dym, anemicznie kręcąc głową.

– Zawsze są jakieś szanse.

Adamski przyglądał mu się przez chwilę, po czym ze swojego prywatnego bałaganu wygrzebał teczkę. Otworzył ją i wysypał na biurko zdjęcia.

– Spójrz na to. – Podsunął Kawęckiemu jedną z fotografii. – Kostka amputował sobie większość palców. To dlatego uganiał się za wielkoludem

z maleńkimi stópkami. – Odchylił się na oparcie. – Ten pojeb został kaleką, żeby nie dać się złapać. Żeby móc robić to, co sobie ubzdurał. Podporządkował temu całe życie.

Kawęcki długo przyglądał się zdjęciu kikutów Kostki. W końcu zaśmiał się pod nosem.

– A my baliśmy się zrobić przynętę ze skorumpowanego prokuratora. Nic dziwnego, że przegraliśmy.

Adamski zerknął na wibrujący telefon. Odczytał wiadomość.

– Dębiec chce się z tobą widzieć. – Popatrzył na Kawęckiego. – Spróbuję go przekonać, że twoje zaangażowanie w śledztwo było niezbędne. Że bez tego Kostka byłby nadal na wolności.

– To nie wypali – odparł Kawęcki. – Dębiec potrzebuje kozła ofiarnego. Zapijaczony byłby glina, który sam się pchał do śledztwa, idealnie się nadaje.

Pochylił się nad biurkiem i odnalazł w tym rozgardiaszu talerz z reszkami jedzenia. Zgasił na nim peta.

– Dobrze, że powstrzymałeś Witolda – oznajmił Adamski. – Wprawdzie sytuacja wygląda beznadziejnie, ale byłoby jeszcze gorzej, gdyby zakończył to samobójem.

Kawęcki wzruszył ramionami. Nie wyglądał na przekonanego.

– On mnie pewnie za to nienawidzi. – Odwrócił się na krześle o sto osiemdziesiąt stopni i wycelował palcem w zagracone regały. – Czy w tym burdelu na pewno nie znajdzie się żadna flaszka?

Adamski z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Chodźmy stąd, zanim wyrządzisz sobie krzywdę.

Kiedy Kawęcki z Adamskim weszli do gabinetu, Dębiec nawet się nie poruszył. Nie wychylił się zza biurka, nie przywitał z gośćmi, nie przerwał wertowania raportu. I raczej nie był to wynik braku taktu, tylko skrajnego zmęczenia. Wciśnięty w fotel, z rękoma pod biurkiem i napuchniętymi oczami, nie

przypominał już dynamicznego menedżera z amerykańskim sznytem. Był najzwyczajszym polskim starcem.

Upłynęło kilka długich sekund, zanim Dębiec odłożył papiery i zainteresował się przybyszami, którzy rozsiedli się po drugiej stronie biurka.

– Dlaczego cywil wszedł do budynku, w którym ukrywał się wielokrotny morderca?

Komendant nie skierował tego pytania do nikogo konkretnego. Wypuścił je w eter i czekał, aż ktoś wpadnie w pułapkę.

– To był mój pomysł – odezwał się Adamski. – Kawęcki od początku był zaangażowany w sprawę. Odnalazł większość istotnych tropów. Pierwszy zrozumiał, że mamy do czynienia z seryjnym, a potem odkrył jego tożsamość. Uznałem, że jest nam potrzebny bardziej niż jakikolwiek funkcjonariusz pracujący w tej jednostce.

– Nawet z tak cuchnącymi podejrzeniami, jakie się za nim ciągnęły?

– Bez względu na wszystko. Przez te podejrzenia i... – Adamski się zawahał – kilka innych niefortunnych okoliczności nie chciałem formalizować tej współpracy. Dlatego w żadnym z raportów, które do pana dotarły, nie ma o nim nawet wzmianki.

Dębiec bezwiednie pokiwał głową. Po raz pierwszy spojrzął na Kawęckiego, który skrobał paznokciem po gipsie.

– Potwierdzasz jego wersję? – zapytał.

– Chciałem dokończyć to, co zacząłem – odparł Kawęcki. – Poza tym czułem, że między mną a Kostką wytworzyła się więź.

– Co takiego?

– Kostka wiedział, że go znajdę. To dla mnie przygotował ten pokaz. Dla jedynej osoby, która naprawdę starała się go rozgryźć.

Dębiec i Adamski z równym zniesmaczeniem gapili się na Kawęckiego, który nie przestawał bawić się gipsem. Najwyraźniej obaj mieli dość użerania się z wariatami. Tymi czy innymi.

– Kiedy po raz ostatni widzieliście prokuratora Wargę? – zapytał Dębiec.

Adamski doskonale pamiętał rozmowę z komendantem sprzed strzelaniny. Pamiętał, o co go wtedy oskarżył. Miał ochotę pójść za ciosem. Wbić zęby w jego kark i nie puścić. Ale to nie było odpowiednie miejsce ani czas. Skoro pierwszy atak przypuścił pod wpływem emocji, kolejny musiał wyprowadzić na chłodno. W sposób cywilizowany. Z pewnością nie w momencie, kiedy paru facetów rozpaczliwie próbuje wygrzebać się spod gruzów.

– Jakież dwa tygodnie temu – odparł. – Zamieniliśmy słowo po jednej z odpraw.

– A ty?

– Siedemnastego października. – Kawęcki spojrzał komendantowi głęboko w oczy. – Odwiedził mnie w pubie.

– Po co?

– Żeby pogadać. Był ciekaw, co u mnie słyszą. Jak sobie radzę. Czy dużo piję. Moim zdaniem chciał zweryfikować, czy stanowią realne zagrożenie dla Kostki. Dopóki byłem psem, łatwo mógł mnie kontrolować, ale kiedy odszedłem ze służby, stałem się dla niego zagadką.

– Jesteś pewien, że to był siedemnasty października?

– Mam dobrą pamięć.

Dębiec zerknął do raportów.

– Według śledczych Warga został uprowadzony dwunastego października. Przez kilka dni nikt go nie widział. Później, jak twierdzisz, spotkał się z tobą, a nazajutrz ze znajomym, od którego pożyczył samochód. Potem ponownie zniknął. W końcu odnaleźliście go w budynku na Radogoszczu. Nafaszerowanego jakimiś substancjami i ze śladami tortur na ciele. Miał poprzębijane stopy i ślady po oparzeniach na brzuchu. Według doktora Ronerta rany mogły powstać nawet tydzień przed śmiercią. – Dębiec z powrotem położył wydruki na biurku. – Może masz pomysł, dlaczego Kostka najpierw skatował Wargę, a potem go wypuścił i pozwolił mu się z tobą spotkać?

Kawęcki wzruszył ramionami.

– Potrzebował informacji. Kostka mnie szanował. Bardziej niż pozostałych policjantów zaangażowanych w tę sprawę. Dlatego wysłał do mnie Wargę.

– Nie zauważyłeś śladów tortur? Utykania? Przerażenia?

– Miałem już nieźle w czubie. Nawet gdyby przylazł do pubu z dziurą w głowie, mógłbym to przeoczyć.

Dębiec długo przyglądał się Kawęckiemu, który konsekwentnie unikał jego spojrzenia. Zamiast tego wpatrywał się w ścianę. W przymocowaną obok kijów golfowych ramkę z czarno-białą karykaturą komendanta. W jego wielką podłużną gębę, odstające uszy i nienaturalnie szeroki uśmiech, przez który przypominał Amerykanina z wodogłowie.

Rysownik zrozumiał istotę klienta, pomyślał Kawęcki.

– Wstawi się pan za Witoldem? – odezwał się Adamski.

– To zależy – odparł komendant.

– Od czego?

– Od dowodów. Jeżeli przekonają mnie, że Warga pomagał Kostce, nie widzę problemu.

– A jeżeli nie?

– Wówczas musiałbym wstawić się za człowiekiem, który wykorzystał okazję, aby zastrzelić swojego wroga. Wszyscy wiedzą, że Ptak nie był fanem Wargi. Przez kilka miesięcy razem z Kawęckim próbował go zgnoić. Gdybyście na niego nie naskakiwali i nie rozpylali teorii spiskowych, wszystko byłoby prostsze.

– To nie są teorie spiskowe – włączył się Kawęcki. – Trzeba być głupcem, żeby tego nie widzieć.

Dębiec próbował zgromić go wzrokiem, ale Kawęcki nadal gapił się na ścianę.

– Zobaczą, co da się zrobić – powiedział komendant. – Na razie musimy jakoś ogarnąć ten burdel. I przypilnować, żeby już żaden z naszych nie trafił do pierdła. Albo do piachu. – Spojrzał na zegarek. – Idźcie już. Za chwilę mam kolejne spotkanie.

Adamski poderwał się z krzesła. Ale Kawęcki nawet nie drgnął.

– Kiedy pan zlecił zrobienie tej karykatury? – zapytał.

Dębiec zapatrzył się w ścianę.

– Kilka lat temu – powiedział.

– Był pan już wtedy komendantem?

– Chyba tak. Dlaczego pytasz?

Kawęcki pogładził gips.

– Pewien psycholog kiedyś mi powiedział, że powieszona w gabinecie karykatura może świadczyć o kilku rzeczach. Najczęściej o egocentryzmie wieszającego, który nawet w rozładowujący atmosferę symbol musi wepchnąć swoją głowę.

Dębiec zaśmiał się pod nosem.

– Cóż, chyba każdy szef policji jest do pewnego stopnia egocentrykiem.

– Może też świadczyć o charakterze i intencjach wieszającego. – Kawęcki wreszcie spojrzął na Dębca. – Jeśli ktoś bawi się rysunkowym zniekształcaniem własnej twarzy, może być gotów zmieniać ją naprawdę. Przybierać maski. Żonglować nimi w zależności od potrzeb. Takim ludziom pod żadnym pozorem nie można ufać, ponieważ zawsze toczą z tobą grę. I z reguły gotowi są zrobić wszystko, żeby wygrać.

Kawęcki wstał i wyciągnął lewą rękę nad biurkiem. Dębiec niechętnie ją uścisnął. A z jeszcze większą niechęcią przyjął pytające spojrzenia Kawęckiego i Adamskiego, które zawisły na jego zabandażowanej dłoni.

Od dobrej minuty stali pod zadaszonym wejściem do komendy, przyglądając się ludziom wychodzącym z budynku i wpadającym w ścianę deszczu. Milczeli. Kawęcki leniwie palił papierosa, regularnie zerkając na gips. Najwidoczniej nie mógł się do niego przyzwyczaić. Albo już kombinował, jak się go pozbyć.

– Wszystko w porządku? – zapytał Adamski.

Kawęcki pokiwał głową.

– Jakoś to będzie – powiedział.

– Nie potrzebujesz niczego?

– Na przykład?

– Nie wiem. – Adamski chciał włożyć kolejną gumę do ust, ale wyjął z kieszeni puste opakowanie. Może to i lepiej, pomyślał, przypominając sobie o zakwaszonych mięśniach żuchwy. – Pomocy. Wsparcia psychologicznego. Kogoś, kto pogada z tobą o tym, co się stało.

Kawęcki uśmiechnął się do niego pobłaźliwie.

– Potrzebuję pięciu dych na taksówkę.

Adamski przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, ale nie potrafił rozstrzygnąć, czy mówi serio. W końcu zanurkował do portfela. Wyciągnął pięćdziesięciozłotowy banknot i podszedł do Kawęckiego.

– Kurs na Radogoszcz tyle nie kosztuje – powiedział.

– A kto mówi, że jadę do domu? – zachnął się Kawęcki, odbierając od Adamskiego banknot.

Wkrótce potem przemaszerował w deszczu kilkanaście metrów i wsiadł do taryfy. Nie pożegnał się z Adamskim. Nie podziękował mu za nic i za nic go nie przeprosił. Po prostu odszedł. Zniknął. Nie czując potrzeby, żeby cokolwiek po sobie zostawić. I żeby kiedykolwiek po to wrócić.

– Dokąd jedziemy? – spytał taksówkarz.

– Zna pan bar o nazwie Sobota?

Kierowca, mniej więcej pięćdziesięcioletni mężczyzna z solidnymi zakolami i różańcem zawieszonym na lusterku wstecznym, zaśmiał się chrapliwie.

– Dobry taksjarz zna każdy lokal w mieście – powiedział z dumą.

– To smutne.

– Słucham?

– Nic. Niech będzie Sobota.

Kawęcki odchylił się na oparcie i przymknął powieki. Bardziej niż zazwyczaj czuł się wrakiem człowieka. Choć spędził na deszczu ledwie kilka sekund, zdążył całkowicie przemoknąć. Jego ręka coraz silniej pulsowała. Środki przeciwbólowe przestawały działać, a opakowanie zostawił na komendzie.

W dodatku śmierdział – przykrą mieszanką potu, środków antyseptycznych i rozkładających się zwłok.

Być może ten zapach tkwił wyłącznie w jego głowie, wbity gdzieś pod skórę i podrażniający receptory. Być może miał zostać z nim na zawsze.

– Jak zeznania? – Taksówkarz nieznacznie się pochylił, żeby zobaczyć twarz Kawęckiego w lusterku. Poklepał się po przegubie. – Ręka w gipsie. Stąd wywnioskowałem, że pojechał pan na komendę, aby złożyć zeznania.

– Można tak powiedzieć – odparł Kawęcki.

– Co się stało, jeśli można zapytać?

Kawęcki przejechał dłonią po gipsie.

– Dwie bliskie mi osoby postanowiły wyrządzić sobie krzywdę.

– Niech zgadnę: próbował im pan przeszkodzić i sam oberwał?

– Coś w tym stylu.

– O co poszło?

– O to, co zawsze. O zdradę.

Taksówkarz zagwizdał pod nosem. Potem ponownie zerknął w lusterko, ale szybko odwrócił wzrok. Coś, co dojrzał w spojrzeniu tego ponurego faceta, co usłyszał z jego gęby, co wyczuł w powietrzu, odpowiedziało mu, że resztę drogi powinni pokonać w milczeniu.

Kawęcki przyłożył skroń do zimnej szyby i ponownie zamknął oczy. Chciał na chwilę zasnąć. Przestać myśleć o czymkolwiek. Zatrzymać trwający od kilkunastu godzin proces przetwarzania obrazów. Przewijania filmu i zatrzymywania go ciągle w tym samym momencie. Jakby był wrzucony na starą, sfatygowaną taśmę, na którą nagrano zbyt wiele programów. Horror Edyty. Dramat Witolda. Stand-up Wargi. A do tego to coś Kostki. Wszystkie mieszają się ze sobą, tworząc krzykliwą i chaotyczną papkę. Jak w jakimś pieprzonym reality show, w którym każdy uczestnik czuje się nieswojo. Zdezorientowany. Nagi. Skazany na widzimisję Wielkiego Brata, który marzy tylko o tym, żeby zamienić jego życie w piekło.

Odsunął te myśli na chwilę i sięgnął po telefon. Zobaczył, że jest prawie rozładowany. Mógł nawet nie zdołać wykonać połączenia. Mimo to wstukał numer, który znał na pamięć. Którego już bardzo dawno nie wybierał. Który usilnie próbował wyrzucić z pamięci. Długo wpatrywał się w ciąg dziewięciu cyfr na wyświetlaczu, zanim drżącym palcem najechał na zieloną słuchawkę.

Okłamał Adamskiego. Było jasne, że potrzebuje wsparcia. Rozmowy. Z kimś, kto go wysłucha. Kto zawsze tak bardzo pragnął się dowiedzieć, co mu chodzi po głowie. Kto chciał go poznać i zrozumieć. Pomóc mu przepędzić demony. Zniszczyć bariery, przez które od ponad czterdziestu lat był na tym świecie zupełnie sam. Odseparowany od innych. Zamknięty we własnym mikrokosmosie. Opętany i bezbronny.

Jak wtedy, kiedy stanął twarzą w twarz z Kostką.

Potrzebował rozmowy z Teresą. Bardziej niż wtedy, kiedy byli razem. Bardziej niż kiedykolwiek.

Ale zanim usłyszał pierwszy sygnał, przeciągnął palcem po ekranie. Rozłączył się. Chwilę później jego telefon się rozładował.

Wyjrzał przez szybę na spływający deszczem pawilon opustoszałego Rynku Bałuckiego. Byli już prawie na miejscu.

– Pięćdziesiątkę i piwo. Albo nie. – Kawęcki się zawahał. – Dwie pięćdziesiątki i piwo.

– Ostro zaczynasz. Kiepski dzień?

– Szybko łapiesz.

Cycata barmanka stuknęła kieliszkami o blat, dając wyraźnie do zrozumienia, że nie spodobała jej się ta uwaga.

– W najbliższym czasie nie będę się tu zbyt często pojawiał – oznajmił Kawęcki. – Właściwie widzimy się po raz ostatni.

– I dlatego wymyśliłeś, że nachlasz się na zapas? – Posłała mu drwiące spojrzenie. – Było już kilku takich, którzy składali podobne deklaracje. Ale jeszcze nie słyszałam, żeby któremuś udało się zerwać z wódką.

- Nie powiedziałem, że nie będę pił. Po prostu nie będę robił tego tutaj.
- A gdzie?
- Gdzieś.

Kawęcki zapalił papierosa. Wypuścił do góry dym. Następnie opróżnił pierwszy z dwóch kieliszków i popił piwem.

– Szkoda. Sporo kasy tu wydawałeś. Jesteś chyba jedynym gościem, który zostawia napiwki. Choć nie jestem pewna, czy robisz to świadomie. – Splotła ręce na piersi. – Poza tym wzbudzałeś ciekawość, która przyciągała klientów. Byłeś jak małpka próbująca robić magiczne sztuczki. Twoja nieobecność może sprawić, że będę musiała zmienić model biznesowy.

– Nie wiedziałem, że jesteś właścicielką – powiedział Kawęcki.

– Wiedziałaś. Ale wygodniej było ci traktować mnie jak głupią krowę, z której można zrobić popychadło. Tego akurat nie będzie mi brakować.

Kawęcki mocno zaciągnął się papierosem. Zastanawiając się nad słowami kobiety, wpatrywał się w półkę z alkoholem.

– Kiedy nie szanujesz siebie, trudno ci szanować innych. Wybacz. – Wzniósł toast i wypił drugą kolejkę. Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, barmanka zgarnęła jego kieliszki i zaczęła nalewać do nich czystą. – Dlaczego Sobota?

Wzruszyła ramionami.

– Najprzyjemniejsze rzeczy w moim życiu wydarzyły się w sobotę. Narodziny córki. Ślub. Rozwód.

Kawęcki zaśmiał się pod nosem.

– To inaczej niż u mnie. Dla mnie weekendy zawsze były najgorsze. Kiedy nie koncentrowałem się na pracy, często działo się coś niedobrego.

– I mówi to gość, który zawodowo ściga zbójów.

– Ścigał. Teraz traktuje to wyłącznie jako hobby.

Barmanka podała mu kieliszki i przeszła na drugą stronę baru, aby obsłużyć innego klienta. Kawęcki po raz pierwszy uważnie jej się przyjrzał. Zwalistej sylwetce, która sugerowała fastfoodową dietę. Przykrótkiej, ledwo zakrywającej sadło bluzce, mogącej świadczyć o problemach finansowych, chorobliwym

skapstwie albo wrodzonym niechlujstwie. Pstrokatym paznokciom hybrydowym, które musiała sobie samodzielnie nałożyć. Czarnym pasemkom mieszającym się z brązowymi odrostami. Była uosobieniem tego baru. Taniej speluny dla robotli, zblazowanych taryfiarzy i pogrążonych w depresji psów, którym nie przeszkadza chrzczone piwo, lepka podłoga i gówniana muzyka sącząca się z głośników.

Powinna nazwać ten lokal swoim imieniem, pomyślał Kawęcki i wychylił kolejny kieliszek.

– Tacy jak ty zawsze wracają. – Barmanka podeszła do niego ze ścierką w ręce, którą przecierała niedokładnie umyty kufel.

– Jacy?

– Samotni.

– Skąd wiesz, że jestem samotny?

Uśmiechnęła się z politowaniem.

– Przyglądałam się ludziom, którzy cię tutaj odwiedzali. To nie byli twoi koledzy.

– A kto?

– Pechowcy, którzy z jakiegoś powodu musieli się z tobą użerać. Którzy musieli wziąć udział w tym twoim dziwnym rytuale.

Kawęcki potrząsnął głową.

– Coraz mniej cię rozumiem. I to nie przez wódkę.

– Organizujesz rytuał odtrącenia. Za wszelką cenę starasz się udowodnić, że ludzie nie są ci do niczego potrzebni. Nie chcesz, żeby się do ciebie zbliżyli. Żeby cię poznali. Jakbyś próbował ich przed czymś chronić. – Odstawiła kufel i się roześmiała. – Jesteś idiotą. Bo co mógłbyś im zrobić? Zdenerwować ich? Obrazić? Powiedzieć im coś przykrego? Przecież, kurwa, nie zamieniasz się w wilkołaka w czasie pełni.

Kawęcki spojrział w jej rozbawione oczy.

– Mówisz jak psycholożka.

– Różni ludzie przychodzą się tu napić. Takich jak ty też już widziałam. Nie jesteś wyjątkowy.

Kawęcki długo jej się przyglądał, zanim wlał w siebie dwie następne porcje wódki. Popił piwem i stuknął pięścią w blat. Jeszcze raz to samo. Zamierzał pić tak szybko, jak to możliwe. Żeby w momencie nadejścia fali uderzeniowej nie było czego zbierać.

– Powiedz mi jedno. – Barmanka pochyliła się w stronę Kawęckiego, niemal kładąc biust na ladzie. – Dlaczego po prostu nie strzelisz sobie w łeb?

Kawęcki wzruszył ramionami.

– Podpadłem w życiu paru osobom. Czekam, aż któraś mnie wyręczy.

– Boisz się potępienia czy brakuje ci jaj?

– Boję się, że mógłbym się w ten sposób uszczęśliwić.

– A co w tym złego?

– Nie mam pojęcia. – Kawęcki zgasił peta, wgniatając go w dno popielniczki.

– Ludzie boją się tego, czego nie znają. Nie jestem wyjątkowy.

Puścił do barmanki oko. Kiedy przekrzywił się na stołku, żeby wyciągnąć papierosy, poczuł, że alkohol zaczyna robić swoje. Że zaczyna go rozbrajać i wygaszać jego świadomość. Uśmiechnął się. To była pierwsza i ostatnia dobra wiadomość w tym pierdolonym dniu.

Dwa miesiące po strzelaninie

Mogło być gorzej.

Mogła się bać wyjść z domu. Pojawić w tłumie. Przepisnąć między dziką tłuszcą gotową zdeptać wroga w wyścigu do kasy. Mogła się czuć zbyt skrępowana, żeby uczestniczyć w tej przedświątecznej krzątaniu. By razem z dziesiątkami innych spóźnialskich krążyć po centrum handlowym, gapić się na przesadzone bożonarodzeniowe ozdoby, a przy każdym kolejnym odsłuchaniu *White Christmas* marzyć o szybkiej i bezbolesnej śmierci.

Rzeczywiście, pomyślała Alicja. Mogło być znacznie gorzej.

– Byłem pewien, że kupujesz prezenty przez internet.

Możejko wyłonił się zza jej pleców i wskazał palcem zastawione różnokolorowymi torbami krzesło.

– Taki był plan – odparła Alicja. – Ale nie zdążyłam. Gdybym to zrobiła teraz, paczki doszłyby w połowie stycznia. Albo na walentynki.

– Co wybrałaś?

– Kilka książek, trochę ciuchów i jakieś duperele. Najtrudniej było znaleźć coś dla Frania. Nie mam pojęcia, czym się dzieciaki w jego wieku...

Możejko roześmiał się, nie dając jej dokończyć. Wysunął spod stolika jedyne wolne krzesło i usiadł naprzeciwko.

– Miałem na myśli kawę. – Wycelował palcem w stojącą przed nią filiżankę z parującym czarnym płynem. – Zawsze piłaś cappuccino.

– Ludzie się zmieniają. Ich gusta też.

Przejechała językiem po zębach. Nowy tik, którego chyba już nigdy się nie pozbędzie. Jakby została genetycznie zmodyfikowana. Biologicznie zmuszona do natrętnego wodzenia jęzorem po zębach i sprawdzania, czy jeszcze tam są. Czy są takie, jakimi je zapamiętała. Czy się nie ruszają. Czy nie wypadną pod wpływem nacisku. Nie mogła przestać myśleć o tym, że nosi w ustach coś, co nie należy do niej. Jakieś wstrętne ciało obce.

– Słyszałem, że wróciłaś do pracy.

Pokiwała głową.

– Przyjęła mnie jedna z kilku w miarę przyzwoitych łódzkich agencji PR. Właściwie wkręcił mnie do niej kolega. Były dziennikarz. Miał poczucie, że jest mi coś winien.

– Winien?

– Uważa, że niewystarczająco próbował mnie powstrzymać przed wejściem do tego bagna.

Pociągnęła nerwowo łyk i omiotła wzrokiem hol Manufaktury, w którym roiło się od radośnie poskakujących dzieciaków. Nie miała ochoty wdawać się w szczegóły. Nie chciała opowiadać o tym, jak z krnąbrnej dziennikarki przeistoczyła się w znudzoną biurwę, całymi dniami wklepującą informacje prasowe na temat jakichś gównianych produktów. Było jej wstyd, że coś, co jeszcze kilka miesięcy temu uznawała za zawodowy koszmar, stało się codziennością. I że bezwarunkowo to zaakceptowała.

– A ty co teraz robisz? – zapytała.

– Pracuję. – Możejko posłał jej szeroki, serdeczny uśmiech. Jeden z lepszych, jakie miał w repertuarze. – Zacząłem pisać nową książkę. Thriller korporacyjny.

– Brzmi intrygująco.

– Akcja rozgrywa się w Warszawie. To historia o trzech pracownikach firmy farmaceutycznej, między którymi rodzą się niezdrowe relacje. – Nagle zamilkł,

jakby się przestraszył, że popełni spoiler. – Uznałem, że kilka wyjazdów do stolicy dobrze mi zrobi. Poza tym staram się wrócić na uczelnię. Na Uniwersytecie Łódzkim jestem spalony, więc szukam szans gdzie indziej.

– Po co?

– Dla kasy. Jak wiesz, nie żyję najtaniej, więc przydałby mi się regularny dopływ gotówki.

– Przeprowadzisz się?

Wzruszył ramionami.

– Tylko jeśli będę musiał.

Przyjrzała mu się uważnie. Blefował. Nie wyprowadzi się stąd. Za bardzo wrósł w to miasto. Stał się jego integralną częścią. Cichym ambasadorem tego, co w nim najgorsze.

Trochę to trwało, ale w końcu nauczyła się Możejki. Poznała jego zwyczaje i dziwactwa. Zaczęła rozróżniać, kiedy jest naćpany, a kiedy ma zjazd. Kiedy mówi prawdę, a kiedy kłamie. Kiedy jest sobą, a kiedy odstręczającym gadem obciążonym ludzką skórą. Przeżyła z nim wiele szarych dni, w których trakcie był zwyczajnym inteligentem. Nieco melancholijnym i marudnym. Spędzającym sporo czasu w książkach i jeszcze więcej przed komputerem. Złośliwym, jeżeli nie powściągał cugli swojej naturze.

Zadziwiająco nudnym.

Kiedyś czytała o tym, że związki wyrastające na fundamencie silnych emocji rzadko przetrzymują się w coś trwałego. Jak gdyby więzi ukształtowane w ekstremalnych warunkach kruszyły się w zderzeniu z normalnością.

– Nie zamówisz nic? – spytała.

Pokręcił głową. Rozumiała, co to oznacza. Przed przyjściem do Manufaktury musiał przyjąć kreskę. Może dwie. Może więcej. Nie chciał za pomocą kofeiny pogłębić migotania przedsionków.

– Weź cokolwiek – powiedziała. – Herbatę. Gorącą czekoladę. Wodę.

– Dlaczego chciałaś się spotkać?

Uśmiech zniknął z twarzy Możejki. W jego szeroko rozwartych oczach z wyraźnie powiększonymi źrenicami zagościła niepewność.

– Żeby się pożegnać. – Alicja upiła kolejny łyk. – Muszę się odciąć od tamtego życia. Odseparować od ludzi i wydarzeń, które kojarzą mi się z traumą. Także od ciebie.

Przyglądał jej się tak długo, aż zmusił ją od odwrócenia wzroku.

– To twój pomysł? – zapytał.

– Mój, mojej matki i psychologa. Wszyscy uważamy, że tak będzie najlepiej.

Spotykali się przez kilka ponurych jesiennych tygodni. Alicja pomieszkiwała u Możejki. Właściwie po prostu ukrywała się w jego mieszkaniu, razem z nim wyczekując konsekwencji ich telewizyjnego wystąpienia. Ale one nie nadeszły. Być może przykryła je strzelanina, w której zginęli Kostka i Warga. Być może dały się przesłonić mrożącej krew w żyłach historii seryjnego mordercy terroryzującego miasto. Być może skala tego, co się wydarzyło w Łodzi, zamaskowała wszystkie, nawet najbardziej nikczemne występki lokalnych polityków, prawników czy biznesmenów. A być może Halbert umiejętnie pociągał za sznurki, sprawiając, że został zupełnie odseparowany od zamieszania ostatnich miesięcy.

W każdym razie czas, jaki Alicja spędziła u boku Możejki, nieodłącznie kojarzył jej się z lękiem. Z ukrywaniem się. Z niepewnością. Była mu dożgonnie wdzięczna za to, że przy niej był. Za wsparcie. Za to, że pomógł jej przełamać wstręt do mężczyzn. Ale nie mogła z nim być. Żeby wrócić do normalnego życia, musiała zamknąć najbardziej normalny rozdział w historii swojej znajomości z Możejką.

– Jesteś pewna?

Unikając kontaktu wzrokowego, pokiwała głową.

– Gdybyś zmieniła zdanie... – Poderwał się z krzesła i westchnął. – Odezwij się. Będę czekał.

Odszedł, zostawiając skonsternowaną Alicję przy kawiarnianym stoliku. Tym razem nie miała pojęcia, czy powiedział prawdę.

Może jednak tak dobrze go nie poznałam, pomyślała. I może już nigdy nie poznam.

Stelmach przestępowała z nogi na nogę, zerkając w stronę Pomnika Chwały Żołnierzy Armii Łódź, najbardziej charakterystycznego punktu parku Helenów. Było kilka stopni powyżej zera, ale ostro zacinający wiatr sprawiał, że czuła się jak na Grenlandii. Po półgodzinie czekania nawet gruby płaszcz, wełniana czapka i skórzane rękawiczki przestały zapewniać jej jakąkolwiek ochronę przed mrozem.

W końcu ten człowiek się pojawił. Zgodnie z jej przypuszczeniami szedł alejką od strony pomnika. Lekko pochylony, bardziej chroniąc żarzącego się peta niż pokrytą płataniną włosów głowę. Miał na sobie ten sam znoszony, zdecydowanie za duży płaszcz, w którym widziała go pod koniec poprzedniej zimy. Poruszał się jak flegmatyczny tetryk odwykły od chodzenia. Kiedy w końcu do niej doczłapał, posłał jej jadowite spojrzenie.

Kurwa, zakłęła w myślach Stelmach. Jakbym to ja wymyśliła to spotkanie.

– Nie mogliśmy umówić się w jakimś lokalu? – zapytała.

– Nie – odburknął Kawęcki.

– Dlaczego?

– Na świeżym powietrzu lepiej mi się myśli.

Stelmach rozejrzała się dookoła, naciągając mocniej czapkę na uszy.

– Ten park ma dla ciebie jakąś szczególną wartość?

Nie odpowiedział. Zamiast tego wyrzucił kiepa na chodnik i usiadł na ławce.

– Kiedyś wciągnąłem cię w tę historię, pokazując, że nie wszystko jest takie, na jakie wygląda. Teraz zamierzam wyjaśnić ją do końca. Ale najpierw muszę wiedzieć, co zamierzasz zrobić z tą wiedzą.

Stelmach głośno westchnęła.

– Właściwie już nic. Pobytem w Łodzi zafundowałam swojej szefowej emocjonalny rollercoaster. Najpierw chciała mnie wyrzucić, bo uważała, że zmarnowałam środki BSW na śledztwo prowadzące donikąd. Potem była

zachwycona, że ma człowieka tak blisko tego całego burdelu, jaki powstał wokół Kostki. Musiałem do niej codziennie dzwonić i relacjonować, co się dzieje. Czułam się jak narratorka opowiadająca starszej pani nudnawy serial. A kiedy historia Kostki ucichła, Olga znów zaczęła się wściekać, że śledztwo w twojej sprawie spełzło na niczym. W końcu postanowiłam zakończyć tę telenowelę.

– Co zrobiłaś?

– Powiedzmy, że już nie stanowią dla ciebie zagrożenia. Nawet gdybym bardzo chciała, nie wsadzę cię do więzienia. Twoja historia interesuje mnie już wyłącznie prywatnie. Chcę zaspokoić ciekawość. – Rzuciła mu skąpy uśmiech.

Wpatrując się w punkt między butami, Kawęcki zapalił kolejnego papierosa.

– Opowiem tę historię tylko raz, więc słuchaj uważnie. – Zerknął na Stelmach, żeby wychwycić jej potakiwanie, po czym ponownie skupił się na chodniku. – Dwa i pół roku temu zrobiłem coś bardzo głupiego. Coś, co pewien sprytny gangster wykorzystał przeciwko mnie.

– Ryter?

Kawęcki kiwnął głową.

– Zdobył informacje, które mogły mnie pogrążyć. I użył ich do szantażu. Dlatego przez kolejne dwa lata byłem jego bankiem informacji. Zdejmowałem go z policyjnych radarów, odsuwając od niego wszelkie podejrzenia. Znajdowałem przedsiębiorców, od których mógł ściągać haracz. Pomagałem mu niszczyć rywali. Krótko mówiąc: stworzyliśmy całkiem sprawny przestępczy kolektyw.

Stelmach z niedowierzaniem pokręciła głową.

– A więc to wszystko, o co cię podejrzewałam, jest prawdą.

– Długo szukałem wyjścia z tej sytuacji – kontynuował Kawęcki. – Ale nie potrafiłem znaleźć żadnego legalnego rozwiązania. Nie byłem w stanie wymyślić, jak udupić Rytera, jednocześnie nie pogrążając siebie. – Parsknął śmiechem. – Wierz mi lub nie, ale doszedłem do ściany. Byłem gotów odpuścić. Wyznać prawdę. Zgnoić nas obu i skończyć z tym wszystkim. Gdyby nie zabójstwo Bułeckiej, dzisiaj ja i Ryter siedzielibyśmy w pierdlu. – Odwrócił się

o sto osiemdziesiąt stopni i przez kilka sekund wpatrywał w surową przestrzeń parku, któremu zima i smog odebrały większość uroku. Potem wrócił do pozycji wyjściowej i ponownie spuścił wzrok. – W trakcie poszukiwań Kostki pojawiło się pewne rozwiązanie. Nie było idealne, ale pozwalało wyjść z impasu. Poznałem człowieka, który z odrobiną mojego wsparcia był w stanie przepędzić Rytera z miasta. A że ten facet przy okazji zamierzał mnie zabić, wykombinowałem, jak upiec dwie pieczenie na jednym ogniu.

– Ty egoistyczny skurwysynu! – Stelmach zagotowała się ze złości. – Pomogłeś Romanowi wejść na szczyt, żeby uratować własną dupę. Dałeś wyjątkowo groźnemu człowiekowi praktycznie nieograniczone możliwości.

– Spójrz na to z innej strony. Dzięki mnie zamiast dwóch gangusów w mieście pozostał jeden.

– Za to kompletnie nieobliczalny. Bez porównania groźniejszy od Rytera. Zamieniłeś katar na dżumę.

Kawęcki zaśmiał się pod nosem, po czym przydeptał peta.

– Mówisz z zadziwiającym przekonaniem jak na kogoś, kto ledwo zna to miasto.

– Uważasz, że jest inaczej? Że twój zachlany mózdzek wymyślił najbardziej przebiegły plan na świecie?

Kawęcki podniósł się z ławki i odszedł na kilka metrów. Przez jakiś czas gapił się na ogołoczone z liści drzewa. Potem odwrócił się do Stelmach.

– Roman jest śmiertelnie chory. Cierpi na stwardnienie rozsiane. Nie ma potomka, brata ani kogokolwiek, komu mógłby naturalnie przekazać władzę. A to oznacza, że już niedługo szefem jego organizacji zostanie Quentin.

– I powinnam się z tego cieszyć?

– To zależy.

– Od czego?

– Od twojej wrażliwości. Quentin rozwali tę organizację od środka. Zaprowadzi w niej zamordyzm. Każde nieposłuszeństwo będzie karał śmiercią. Każdego wroga będzie próbował zabić. Urządzi tu kilka jatek rodem z lat

dziewięćdziesiątych, przez co szybko doprowadzi do tego, że każdy policjant w Łodzi będzie chciał go złapać. Dlatego prędzej czy później wyląduje w pierdlu. Albo w piachu. – Kawęcki bezradnie rozłożył ręce. – Czasem trzeba zrobić coś pozornie nieracjonalnego, żeby osiągnąć normalność.

Wrócił na ławkę. Rozsiadł się wygodnie, kładąc lewą dłoń na oparciu. Uśmiechnął się głupkowato. Być może poczuł ulgę po wyrzuceniu z siebie tej historii. A być może bawiła go perspektywa chaosu, jaki rozpęta się w mieście pod rządami Quentina.

– Maczałeś palce w zabójstwie Procenta? – zapytała Stelmach.

Kawęcki potrząsnął głową.

– Akurat w tym mu nie pomogłem. Roman musi mieć jeszcze jedną wtykę w policji. Kogoś, kto nie boi się ubrudzić rąk.

– Kogo?

– Nie mam pojęcia. Ale dobrze, że ktoś taki jest. Procent już dawno powinien umrzeć. Nikt za nim nie zatęskni.

– Sądziłam, że coś was łączy. Był pośrednikiem między tobą a Ryterem. Pewnie widywałeś się z nim co najmniej raz w miesiącu.

– I każde spotkanie musiałem odchorować. Ryter doskonale o tym wiedział. Facet musi być niezłym psychologiem.

– Wątpię.

Spojrzał na nią zdziwiony.

– Pamiętasz zdjęcia, na których jesteś ty i Procent? – zapytała.

– Mam niezłą pamięć.

– Dostaliśmy je od asystentki Rytera. W którymś momencie połapała się, że jej szef jest przestępcą. Zobaczyła Procenta w jego gabinecie. Domyśliła się, co to za jeden. Zaczęła go śledzić. Wysłała te zdjęcia, ponieważ była święcie przekonana, że jest świadkiem spotkania dwóch gangsterów. Nie miała pojęcia, że jeden z nich to policjant.

Kawęcki uśmiechnął się pod nosem.

– Zrobiła to ze strachu czy z nienawiści?

– Słucham?

– Ta asystentka. Dlaczego podjęła takie ryzyko?

– W akcie odwagi. – Stelmach popatrzyła na Kawęckiego, który wolno kręcił głową. Nie wierzył w takie uzasadnienie. Nie wierzył w pozytywną motywację.

– Jakiego haka miał na ciebie Ryter? – zapytała.

Wyjął paczkę papierosów. Zajrzał do środka. Przeliczył szlugi. Cztery. Zdecydowanie za mało, żeby dokończyć tę historię.

– Może opowiem ci o tym następnym razem. – Posłał Stelmach zagadkowy uśmiech i szybko zmienił wątek. – Spotykasz się jeszcze z tym twardogłowym psem?

– Ma na imię Patryk. I nie jest twardogłowy. Przeczytał większość książek Sołżenicyna, Jerofiejewa i Nabokova. Intelktualnie przewyższa większość ludzi, których poznałam w policji.

– Słyszę, że to coś poważnego.

– Na to wygląda. Po Nowym Roku wprowadzam się do niego. Przenoszę się do Łodzi. Na stałe.

Słuchając Stelmach, Kawęcki wolno kiwał głową. Jakby odpowiadał na pytania, które równolegle wypluwał jego pokręcony umysł.

– Nie skomentujesz tego w żaden sposób? – odezwała się po chwili milczenia.

– W jaki?

– Nie wiem. Spodziewałam się, że będziesz próbował odwieść mnie od tej decyzji.

Kawęcki wzruszył ramionami.

– Wyglądasz na zdecydowaną. Poza tym miasto samo w sobie nie jest problemem. Przypuszczam, że przy odpowiednim nastawieniu można tu być szczęśliwym.

– To ciekawe. Sądziłam, że nienawidzisz Łodzi.

Pokręcił głową, szukając wzrokiem czegoś daleko przed sobą.

– To ona mnie nienawidzi. Dlatego nie pozwala mi odejść. – Z największym wysiłkiem podniósł się z ławki. – Jeśli jeszcze zainteresujesz się wewnętrznymi sprawami policji, daj znać. Mam dla ciebie temat.

– Jaki?

– Kiedy kierownictwo usuwało Adamskiego ze stanowiska, zwróciło uwagę, że stworzenie grupy, która miała ponownie się przyjrzeć zabójstwu Bułeckiej, było błędem. Że gdyby nie to, śledztwo toczyłoby się szybciej i być może udałoby się uniknąć kilku trupów. Ale tu nie chodziło o ponowne rozpatrzenie sprawy.

– A o co?

– O znalezienie kreta. Ktoś wynosił z wydziału informacje i przekazywał je Wardze. Ten człowiek nadal pracuje w policji. Nie poniósł żadnych konsekwencji. I pewnie gdy tylko nadarzy się okazja, przyssie się do nowego żywiciela. Jak minionek, który na swojego pana zawsze wybiera największego złoczyńcę.

Jaki, kurwa, minionek? – miała zapytać Stelmach. Ale nie zdążyła. Zanim uporządkowała swoje myśli, Kawęcki pozdrowił ją krótkim skinieniem brodą i skierował się w stronę pomnika.

W pewnym wieku zadziwiająco łatwo zyskuje się przewagę. Wystarczy być ciut przystojniejszym. Ciut bardziej zadbanym. Ciut lepiej ubranym. Ciut elokwentniejszym. Wystarczy zgrabnie żonglować uprzejmościami i emanować przesadną radością. Zawstydząć optymizmem, podczas gdy rywal tkwi uwięziony w skorupie rozgoryczenia, rozpamiętując wszystkie zmarnowane okazje.

Zbigniew Halbert był już grubo po pięćdziesiątkę, ale nie miał najmniejszych problemów z zawstydzaniem ludzi nawet sporo od niego młodszych. Jego ściągnięta botoksem twarz uniemożliwiała precyzyjne określenie wieku. Srebrzysta głowa przydawała mu powagi, a jednocześnie zanadto go nie postarzała. Był szczupły i energiczny, ponieważ każdy dzień zaczynał od

piętnastominutowej przejażdżki na rowerze stacjonarnym i serii brzuszaków. Poza tym trzymał dietę: unikał białego pieczywa, słodczy, smażonego mięsa oraz soków i napojów gazowanych. Był w formie, która pozwalała mu imprezować w identyczny sposób jak dwadzieścia lat temu. Która torowała drogę do jego organizmu najrozmaitszym narkotykom. I dzięki której, siedząc naprzeciwko otęłego pięćdziesięcioletniego samorządowca, czuł się jak młody bóg.

– Co o tym sądzisz? – zapytał.

Halberta oczywiście nie obchodziło zdanie grubasa. Ale nie chciał uchodzić w środowisku za faceta, który wygłasza tyrady, nie interesując się tym, co inni mają do powiedzenia.

– Muszę się nad tym zastanowić – odparł samorządowiec, drapiąc się po pomarszczonym czerwonym czole.

– Wiem, że zarzuciłem cię informacjami, które trzeba w spokoju przeprosować. Ale tak naprawdę wszystko sprowadza się do jednego: patriotyzmu. – Halbert przesunął w stronę gościa tackę z ciastkami. Nie tykał takich rzeczy od lat, ale wiedział, że grubas się nie oprze. Że właduje je do gęby, czym jeszcze bardziej umniejsza się w jego oczach. – Mamy okropny zwyczaj lekceważenia samych siebie. Tego, co polskie. Łódzkie. Nasze. Nie zrozum mnie źle: nie mam nic przeciwko chińskim czy koreańskim inwestorom. Nie jestem gospodarczym ksenofobem. Wręcz przeciwnie. Uważam, że dzięki zagranicznym inwestycjom nasze miasto odżywa i nabiera blasku. Nie rozumiem tylko, dlaczego miejsca pracy tworzone przez Chińczyków są ważniejsze od tych, które sam mogę zapewnić.

Grubas kiwał głową, pospiesznie przeżuwając ciastko. Jakby się bał, że nie zdąży wpakować do gęby kolejnego.

– Właściwie się z tobą zgadzam – powiedział w końcu, nieelegancko mlaskając. – Ale rozumiem też tych, którzy wolą dopieszczać zagraniczne firmy. Chcą mnożyć przykłady, licząc na to, że staną się podstawą do ściągnięcia kolejnych inwestorów.

– Tyle że jeszcze żadne miasto w tym kraju nie wyrosło na wyżebrywaniu zagranicznego kapitału.

– Może Łódź będzie pierwsza.

Halbert pokręcił głową.

– Może być pierwszym miastem, które jawnie gardzi lokalnymi przedsiębiorcami. A tym samym swoją historią.

Podniósł się i przemaszerował po gabinecie. Nie był zdenerwowany, ale chciał sprawiać takie wrażenie. Wiedział, że tłuścioch nie radzi sobie z presją. Że mięknie, gdy tylko pojawia się na horyzoncie perspektywa konfrontacji. Ponownie podszedł do biurka. Oparł na nim dłonie i ciężko westchnął.

– Nie oczekuję żadnych ulg. Nie liczę na to, że w wyniku niezadowolenia kilkudziesięciu zamożnych przedsiębiorców politycy rzucą się do gmerania w legislacji. Chciałbym tylko, żeby pozwolenia na budowę były wydawane szybciej. Nie może być tak, że facetowi, który zamierza zatrudnić kilkaset osób i zostawić w budżecie miasta kilka milionów złotych podatku, urzędnicy nieustannie rzucają kłody pod nogi.

Grubas przeżuł ciastko i popił je kawą. Wytarł tłuste paluchy w spodnie.

– Pogadam o tym z królową – powiedział.

– Posłucha cię?

– Jestem szefem komisji planu przestrzennego, budownictwa, urbanistyki i architektury. Poza tym znamy się ze dwadzieścia lat. Na pewno nie odprawi mnie z kwitkiem.

– To dobrze. – Halbert obszedł biurko i stanął obok gościa. Wyciągnął przed siebie rękę. – Odwdzięczę się.

Spaślak podniósł się z trudem i uściskał jego dłoń.

– Niczego nie obiecuję – odparł.

– Wiem. – Biznesmen się uśmiechnął, wyginając naprężoną nienaturalnie twarz. – Wiem też, że się postarasz. I że tego nie pożałujesz.

Odprowadził grubasa do wyjścia i zamknął za nim drzwi. Potem wrócił na swoje miejsce. Spojrzał z góry na pokryty okruchami blat. Pieprzony tłuścioch,

syknał w myślach. Chwycił talerz i wyrzucił pozostałe ciastka do kosza.

Chwilę później na jego biurku zadzwonił telefon. Halbert sięgnął po słuchawkę.

– Ma pan gościa. Nazywa się...

– Wiem, kto to jest – przerwał recepcjoniście. – Wpuść go.

Halbert usiadł przy komputerze. Poruszył myszką, żeby pozbyć się wygaszacza ekranu, a następnie wpisał hasło. Uważnie przyjrzał się pulpitemi. Od kilkunastu dni cieszył się nową tapetą. Wizualizacją centrum biznesowego, które zamierzał zbudować. Był to kompleks trzech połączonych ze sobą budynków tworzących jeden potężny, najwyższej jakości biurowiec z certyfikatem BREEAM Excellent. Wymarzone miejsce dla zachodnich korporacji, które przenoszą do Polski usługi księgowo, finansowe czy IT. I wymarzona inwestycja dla niego – lidera stada, który musi walczyć o utrzymanie statusu. Potrzebował jej, żeby wyjść z dołka, w który wpędziły go publikacje w mediach i nieudane wybory. Skoro nie mógł utrzymać się na szczycie za pomocą polityki, musiał spróbować zrobić to inaczej. Za sprawą pieniędzy. Najsilniejszego narzędzia wpływu, jakim kiedykolwiek się posługiwał.

Z rozważań wyrwało go pukanie do drzwi. Chwilę później do jego gabinetu wkroczył człowiek, którego kilka miesięcy wcześniej planował zabić.

– Miło cię widzieć – skłamał, witając się z Możejką. – Co dla mnie masz?

– Dobre wieści. – Możejko przez moment się wahał, ale w końcu usiadł na krześle. – Alicja definitywnie zerwała z dziennikarstwem. Zupełnie przestała się tobą interesować. Próbuje się odciąć od dawnego życia.

– To świetnie. Spotkało ją coś strasznego. Na jej miejscu zrobiłbym to samo.

– Pomyślałem, że mógłbyś jej odpuścić. Że skoro już nie stanowi dla ciebie zagrożenia, nie warto jej śledzić.

Halbert uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Myślisz, że kazałem ci na nią donosić, ponieważ się boję?

Możejko łamał sobie palce, gapiąc się na środek blatu.

– Nie – odparł. – Nie boisz się. Po prostu jesteś cholernie ostrożny.

Biznesmen pokiwał głową. Spuścił na chwilę wzrok i zanurkował do szuflady. Wyjął z niej białą, przewiazaną sznurkiem teczkę. Otworzył. W środku było kilkanaście zdjęć formatu A4. Położył teczkę na biurku i przesunął ją w stronę Możejki.

– Mniej więcej godzinę temu jeden z moich współpracowników wysłał mi paczkę zdjęć – wyjaśnił. – Pomyślałem, że zrobię z nich dla ciebie prezent świąteczny. – Zamilkł, przyglądając się Możejce, który ze zdziwieniem odkrywał kolejne fotografie Alicji: krzątającej się po mieszkaniu, robiącej zakupy, pijącej kawę w galerii handlowej i oznajmiającej mu, że to już koniec. – Przykro mi, że dała ci kosza. Po twojej reakcji sądzę, że w dalszym ciągu jesteś w niej zakochany. Zresztą wcale ci się nie dziwię. To niezła dupa. Dentyści dobrze sobie poradzili z jej zębami. Gdybym gustował w kobietach, pewnie też bym się nią zainteresował.

– Czego jeszcze chcesz? – Możejko drżącymi dłońmi odłożył zdjęcia. – Cała wina za to, co spotkało Alicję, spadła na Wargę. Ona porzuciła dziennikarstwo, a ja... zrozumiałem swój błąd. Wszyscy się od ciebie odpieprzyli. W końcu możesz w spokoju robić interesy i brylować w Radzie Miejskiej. Dlaczego nadal nas gnębisz? Dla frajdy?

Halbert potrząsnął głową.

– Jak na intelektualistę jesteś wyjątkowo mało domyślny. – Pochylił się w stronę Możejki. – Ty i ta dziwka nie jesteście w stanie uwolnić się ode mnie. Na tym polega kara. Podnosząc na mnie rękę, bezpowrotnie straciliście wolność. – Westchnął. – Kompletnie nie rozumiem, dlaczego to zrobiłeś. Dlaczego najpierw oddałeś mi książkę, a potem pojawiłeś się w telewizji, pomagając tej idiotce. Ale to nie moje zmartwienie.

Wyprostował się na krześle i zerknął na ekran. Na jego skrzynkę właśnie przyszła kolejna wiadomość. Kolejny plik. Kolejna porcja zdjęć. Tym razem nie Alicji, lecz ludzi, na których najbardziej jej zależy: matki, siostry i siostrzeńca.

- Nie przejmuj się tymi fotkami. – Uniósł głowę i uśmiechnął się do Możejki.
- Szkoda zaprzętać sobie myśli czymś tak błahym, gdy z przeciwnej strony nadciąga kataklizm.

Miał najwyżej trzydzieści lat, choć wyglądał młodziej. Krótka, nierówno obcięta ciemna grzywka oraz okulary w grubych oprawkach częściowo zasłaniały podłużne czoło. Usta otoczone były niechlujnymi wąsami i kozią bródką. Pognieciona kraciasta koszula, proste dzinsy i znoszone trampki wyglądały na jego standardowy strój.

Jeżeli zamierzał wyrzucić na kimś wrażenie, musiał to zrobić werbalnie.

Kawęcki przysiadł się do niego na korytarzu prowadzącym do gabinetu naczelnika Wydziału Kryminalnego Komendy Wojewódzkiej Policji w Łodzi. Przyglądał się, jak chłopak, który zdecydowanie bardziej przypominał informatyka niż policjanta, w zawrotnym tempie układa kostkę Rubika.

– Jest na to jakiś uniwersalny sposób? – spytał Kawęcki.

– Nawet kilka – odparł tamten, kiedy uporał się z sześcianem. – Ja opanowałem dwie podstawowe metody, a teraz uczę się trzeciej. Trudniejszej, ale pozwalającej osiągać lepsze wyniki.

– Jaki jest twój rekord?

– Trzydzieści ruchów.

– Myślałem, że układa się ją na czas.

– Można. Rekordziści potrafią ułożyć kostkę w cztery sekundy. Ale dla mnie ważniejsze jest to, żeby dokonać tego, wykonując jak najmniejszą liczbę ruchów. Minimalistycznie i efektywnie. Najbardziej zbliżając się do boskiej liczby.

– Boskiej liczby?

– Kilka lat temu grupa naukowców odkryła, że każdą kostkę można ułożyć przy użyciu maksymalnie dwudziestu ruchów. Możliwości jest jednak mnóstwo. Na dystansie osiemnastu ruchów kostka może się znaleźć w dwudziestu dziewięciu trylionach pozycji.

Kawęcki oderwał wzrok od sześcianu i spojrzał na chłopaka.

– Co tu robisz? – zapytał.

– Czekam na spotkanie z naczelnikiem.

– Miałem na myśli policję.

Młody wzruszył ramionami.

– Przyszedłem tu z nudów. Szachy wymagają mozolnego treningu i trudno jest się przebić do czołówki. Poker jest znacznie prostszy i można na nim łatwo zarobić, ale sama rozgrywka nie daje większej satysfakcji. Pomyślałem więc, że spróbuję sił w policji. – Ponownie wzruszył ramionami. – Ludzie nie działają logicznie, tym bardziej przestępcy. Uganianie się za nimi może być interesujące.

Kawęcki wpatrywał się w niego przez kilka sekund, zanim zobaczył mężczyznę wychodzącego z gabinetu komendanta. Podniósł się z krzesła. Westchnął.

– Policjanci też nie działają logicznie – oznajmił. – Nie daj im się pożreć.

Chwilę później wylądował w biurze naczelnika.

– Dobrze wrócić na stare śmieci, co? – Nadkomisarz Zbigniew Różga, nowy szef Wydziału Kryminalnego, wyskoczył zza biurka i serdecznie się z nim przywitał.

– Nie zdążyłem za nimi zatęsknić.

Różga głośno się roześmiał i wskazał Kawęckiemu krzesło dla gości. Rozsiadłszy się na swoim miejscu, zatoczył ręką okrąg.

– Jak widzisz, trochę się to miejsce zmieniło. Adamski preferował nieład artystyczny. Ja wolę porządek.

– Czyli tak jak jego poprzednik. – Kawęcki zerknął na tandetną srebrną choinkę w narożniku biura i dziwiąc się, że ktoś w ogóle wyprodukował takie paskudztwo, wyjął z kieszeni paczkę papierosów. – Mogę?

– Śmiało.

Różga uchylił okno i zapalił razem z Kawęckim. Był policjantem starej daty, który nie rozstawał się z siwymi wąsami i kawą. Gardził zakazem palenia, polityczną poprawnością i wszystkim, czego nie znał lub nie rozumiał: od

homoseksualistów po imigrantów. Szanował policyjną hierarchię i lubił sobie chlapać. Był zarazem podobny i niesamowicie różny od Kawęckiego.

– Słyszałeś o mnie? – zapytał.

– Co nieco.

– Czyli nie słyszałeś nic. – Zaśmiał się, jakby usłyszał dowcip. – To piąty wydział, w którym jestem naczelnikiem. Można zatem powiedzieć, że specjalizuję się w szefowaniu takim ludziom jak ty.

– To właśnie słyszałem.

– Zwykle zostaję naczelnikiem, kiedy w wydziale panuje burdel. Gdy trzeba zrobić restrukturyzację, podciągnąć wyniki, postawić do pionu kilku krnąbrnych jegomości. Albo gdy dochodzi do takiego cyrku jak u was.

– Nie u mnie. – Kawęcki wydmuchnął dym. – Ja tu od kilku miesięcy nie pracuję. A wcześniej byłem tylko pomocnikiem pomocnika murarza.

– Właśnie o tym chciałem pogadać. – Rózga zgasił szluga, na którego ewidentnie nie miał ochoty. – Czym się teraz zajmujesz?

Kawęcki wzruszył ramionami.

– Niczym szczególnym.

– Z czego się utrzymujesz?

– Z emerytury i oszczędności.

– Pijesz?

– Od tygodnia nie.

– Przednoworoczne postanowienie?

– Zalecenie lekarza.

– A co ci jest?

Zamiast odpowiedzieć, Kawęcki rozejrzał się po gabinecie.

– Dlaczego mnie wezwałeś?

Rózga posłał mu kolejny nieuzasadniony uśmiech, po czym otworzył górną szufladę. Wyjął spisany na kilku kartkach dokument. Napis na górze głosił: STRATEGIA NA LATA 2019–2020.

– Spędzę na tym stanowisku najwyżej kilkanaście miesięcy – oznajmił Rózga.
– Potem prawdopodobnie czeka mnie awans. Wiele wskazuje na to, że w końcu dostanę się do kierownictwa komendy. O ile uda mi się uporządkować ten bałagan. Jednym z moich zadań jest znalezienie człowieka, który przejmie po mnie wydział. – Przesunął dokument w stronę Kawęckiego. – Czasy się zmieniają. Przestępcy się wycwanili. Nie potrzebujemy osiłków, żeby ich łapać, tylko bystrzaków. Takich jak ten, którego widziałeś przed wejściem. Nazywa się Dawid Bresler. Jest arcymistrzem szachowym i pokerzystą. Niedawno zdał egzamin oficerski. Kiedy zobaczyłem jego papiery, zaniemówiłem. Jeszcze nie spotkałem faceta z takim potencjałem intelektualnym, który chciałby pracować w policji.

– I dlatego wymyśliłeś, że zostanie twoim następcą – stwierdził Kawęcki.

– Nie moim. Twoim. Chcę, żebyś to ty został moim następcą. – Rózga posłał Kawęckiemu kolejny uśmiech. – Najpierw będziesz moją prawą ręką i nauczycielem Breslera. Potem, jak już uporządkuję wszystkie sprawy w wydziale, oddam ci wodze, a Bresler ustawi się za tobą w kolejce.

Kawęckiego zamurowało.

– Jak wpadłeś na ten nedorzeczny pomysł?

– Dlaczego nedorzeczny?

– Musisz wiedzieć, że parę miesięcy temu wewnętrzni zagięli na mnie parol.

– Oczywiście, że wiem. Rozmawiałem z nimi. Odpuścili temat. Nie znaleźli nic, co mogłoby ci zaszkodzić. Obiecali mi, że zostawią cię w spokoju. Poza tym teraz tylko by się zbłąźnili, gdyby chcieli ci coś zrobić. Jesteś bohaterem. To ty złapałeś największego mordercę, jakiego widziało to miasto.

– Nie złapałem. Zrobiłem dokładnie to, czego on się spodziewał.

– Nieważne. Ludzie wiedzą, że ciągnąłeś to śledztwo. Nawet wtedy, kiedy formalnie nie byłeś policjantem i nie dostawałeś za to pieniędzy.

– Nie jestem zainteresowany.

Rózga odchylił się na oparcie. Po raz pierwszy trafił na opór, próbując wciągnąć na twarz uśmiech.

– Zastanów się nad tym. To dobra oferta. Dzięki tej robocie możesz z powrotem stanąć na nogi. A przy okazji zostawić coś po sobie. Odezwę się do ciebie po świętach.

Kawęcki wyszedł z gabinetu, bez słowa minął skoncentrowanego na kostce Dawida Breslera i skierował się w stronę schodów. Kiedy znalazł się przed budynkiem, zatrzymał się pod niewielkim daszkiem i zapalił papierosa.

– Słyszałem, że wracasz.

Artur Waliszewski dołączył do Kawęckiego w chwili, kiedy ten wyrzucał pustą paczkę do kosza.

– Nie wracam.

– Ptaszki ćwierkają coś innego.

– Fałszują. – Kawęcki wskazał palcem papierosy Artura. – Myślałem, że rzuciłeś.

Artur zapalił i stanął przed Kawęckim tak, jakby chciał zagrozić mu drogę. Wzruszył ramionami.

– Bo rzuciłem. Ponad pół roku nie paliłem. Udowodniłem sobie, że jestem w stanie to zrobić. Kłopot w tym, że wcale nie chcę. Palenie jest zbyt przyjemne, żeby z nim zerwać. – Zaśmiał się nerwowo. Jakby zdążył się zarazić od nowego szefa. – Co u ciebie?

Kawęcki spojrzał ponuro.

– Posłuchaj. Nie byliśmy kumplami, kiedy tu pracowałem, i raczej nie zostaniemy nimi teraz. Więc lepiej daruj sobie ten gówniany small talk i powiedz, czego chcesz.

– Słusznie. – Artur pokiwał głową. – Komendant Dębiec.

– Co z nim?

– Facet jest zamieszany w sprawę, która wstrząsnęła Polską, a mimo to nie został pociągnięty do odpowiedzialności. Nawet nie pojawił się taki temat. Przecież gość kumpłował się z Wargą. Musiał wiedzieć o jego współpracy z Kostką.

– Musiał, nie musiał.

– Wiedział. I doskonale zdajesz sobie z tego sprawę. Ale nie dlatego mam z nim problem. – Artur momentalnie spośpinał. – Chodzi o jego córkę. – Rozejrzał się na boki i włożył dłoń do kieszeni. Chwilę później wręczył Kawęckiemu zdjęcie. Była na nim mniej więcej dziesięcioletnia dziewczynka z długim warkoczem. Spoglądała w stronę obiektywu poważnym wzrokiem. – Nazywa się Marcelina. Właśnie zaczęła chodzić do swojej siódmej podstawówki. Popytałem o nią nauczycieli i dyrektorów. Jest wycofana i ma problemy z nawiązywaniem kontaktów. Trzy kobiety podejrzewają, że padła ofiarą molestowania. Wysłały nawet do policji pismo w tej sprawie. Ale Dębiec wykorzystał swoje kontakty, żeby zamieść sprawę pod dywan. W efekcie Marcelina nigdy nie została zbadana przez ginekologa dziecięcego.

– Domyślam się, że nie masz na to żadnych dowodów.

– Jeszcze nie. Ale znalazłem coś innego. – Artur ponownie zanurkował do kieszeni i wyjął kolejne zdjęcie. Tym razem mężczyzny w średnim wieku. – Przyjrzyj mu się uważnie. Widzisz podobieństwo z dziewczynką?

– Minimalne – powiedział Kawęcki, nie poświęcając fotografii przesadnej uwagi.

– Ten sam kształt oczu i twarzy, kolor włosów, dołeczki w policzkach. – Artur wycelował palcem w zdjęcie. – To młodszy brat Dębca, Władysław. Mieszka w Stanach. Wyjechał tam dziewięć lat temu. Niedługo po narodzinach Marceliny.

– I co w związku z tym?

– Marcelina nie jest córką Dębca, tylko jego brata. Dlatego ją krzywdzi. Dlatego pierdoli to dziecko.

Artur się odsunął, dając Kawęckiemu kilka sekund na przetrwanie informacji. Ten wypalił do końca papierosa i wrzucił niedopałek do popielnicy.

– To przykre – powiedział. – Ale nie mogę ci z tym pomóc.

– Nie mów, że cię to nie rusza.

– Rusza. Tyle że od jakiegoś czasu staram się skupiać wyłącznie na swoich problemach.

Artur chciał coś powiedzieć, ale się rozmyślił i tylko zacisnął usta. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w Kawęckiego.

– I jak ci z tym? – zapytał.

Kawęcki wzruszył ramionami.

– Lepiej. O dziwo, lepiej.

Z każdym rokiem objawy stawały się coraz dotkliwsze. Na początku zdarzało mu się tracić równowagę i czucie w dłoniach. Z czasem pojawiły się okazjonalne zaburzenia wzroku, spadki koncentracji i zawroty głowy. Potem doszły do tego skurcze mięśni, bełkotanie, zaniki pamięci, zmęczenie, impotencja i depresja. Oraz ból. Chroniczny, uporczywy ból.

Właściwie spodziewał się, że tak się to skończy. Że jedyną osobą, która może mu zaszkodzić, jest on sam. Że w którymś momencie dokona autodestrukcji. W ten czy inny sposób. Popełniając głupi błąd, strzelając sobie w łeb albo pozwalając, aby jego układ odpornościowy zniszczył własne komórki.

– Domyślasz się, dlaczego Kawęcki nam pomógł? – zapytał Roman Basznikow.

Siedzieli z Quentinem w jednym z ich nowych barów na Teofilowie. Roman, wystrojony w czerwone spodnie i jasną marynarkę, tradycyjnie popijał białego Rosjanina, zagryzając go kabanosami i ketonalem. Quentin, kiwając głową w rytm ryczącego z głośników ulicznego rapu, maleńkimi łykami opróżniał colę. Pociągał zapchanym nosem i ze wstrętem zerkał na jedzenie. Nie chciał wciągać kokainy przy szefie, ale nie potrafił ukryć, że zrobił to tuż przed spotkaniem. Aktorstwo zdecydowanie nie było jego atutem.

– Chciał zniszczyć Rytera – odparł. – Sam nie mógł tego zrobić, więc posłużył się nami. Poza tym wiedział, że chcemy go zajebać. Pomógł nam, żebyśmy go oszczędzili. Żeby ratować własną dupę.

– To logiczne wytłumaczenie, ale niekompletne. Pomyśl o tym jeszcze raz.

Quentin opróżnił colę do końca, ale nie znalazł żadnego innego wyjaśnienia.

– Kawęcki to pijak – oznajmił. – Nie sędzę, żeby był w stanie wymyślić jakiś chytry plan.

– Mylisz się. To bardzo przebiegły pijak. A zarazem dobry obserwator. Jest jedyną osobą, która podczas naszego pierwszego spotkania zwróciła uwagę nie tylko na moją dłoń, ale również na chorobę. Myślę, że już wtedy to wykombinował.

– Co takiego?

Roman rozmasował czoło.

– Słyszałeś o Czyngis-chanie?

– Nie jestem debilem – obruszył się Quentin. – Mongoł. Władca. Zbudował wielkie imperium w czternastym czy piętnastym wieku.

– W trzynastym. – Roman zamieszał drinkiem. – Czyngis-chan stworzył bardzo sprawną machinę wojenną, która zdobywała kolejne ziemie i jednoczyła podbite plemiona. Był genialnym dowódcą i strategiem. A przy okazji jebaką i potworem, który sterroryzował pół świata i stworzył największe państwo w historii. W pewnym momencie jego imperium rozciągało się od Morza Kaspijskiego do Pacyfiku. Było dwukrotnie większe od Cesarstwa Rzymskiego. Genetycy twierdzą, że Czyngis-chan jest praojcem ponad piętnastu milionów mężczyzn żyjących w Eurazji. – Roman przerwał, żeby napić się drinka. – Właściwie popełnił tylko jeden błąd. Nie przygotował następców. W efekcie jego spadkobiercy zdołali poszerzyć imperium mongolskie, podbić Koreę, Iran czy Kaukaz, stoczyć mnóstwo krwawych bojów w Europie Środkowej, a nawet przepłynąć morze i zmierzyć się z Japonią, ale przepuścili wszystko, co wypracował wielki wódz. Najpierw czterej synowie Czyngis-chana, a potem jego wnukowie pokazali, że rozdrobnienie władzy potrafi doprowadzić do ruiny coś, co pozornie nie ma prawa upaść. Że pod chujowym zarządem nawet największe imperium świata może się skruszyć i zamienić w biedną krainę stepów, którą zamieszkują idioci wypasający bydło.

– Dlaczego mi o tym mówisz?

Roman uśmiechnął się do Quentina, po czym zrobił dłuższą pauzę. Krzywiąc się, czekał, aż fala bólu ustąpi.

– Nie popełniłem błędu Czyngis-chana – stwierdził. – Postawiłem na jednego następcę, któremu zdecydowałem się przekazać całą władzę. Na ciebie. Kawęcki jakoś się o tym dowiedział. I zrozumiał, że to nie był najlepszy wybór.

Quentin zacisnął zęby. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w Romana, po czym dał ręką znak barmanowi. Musiał się napić. Pomysł, żeby spędzić w końcu jakiś dzień w trzeźwości, trzeba było odłożyć na później.

– Kiedyś myślałem, że będziesz dobrym liderem – kontynuował Roman. – Traktowałem cię jak diament, który wymaga oszlifowania. Próbowałem cię wyedukować. Nauczyć budowania relacji, planowania, wymierzania kar. Stawiałem cię obok siebie, żeby ludzie nabrali dla ciebie respektu. Ale po tych wszystkich latach oni się tylko boją. Wiedzą, że nie panujesz nad emocjami. Że za byle gówno możesz kogoś zabić. Że nie jesteś żadnym przywódcą, tylko pieprzonym sadystą ze zbyt dużą władzą. – Wolno pokręcił głową. – Jeśli ktoś miał co do tego wątpliwości, to rozwiąłeś je tym poronionym pomysłem na handel ludźmi. Na porywanie Ukraińców i sprzedawanie ich do Niemiec. To nie miało żadnego ekonomicznego uzasadnienia, a generowało największe ryzyko. Do dziś nie pojmuję, co ci strzeliło do łba.

Barman przyniósł do ich stolika whisky z lodem. Kiedy odszedł, Quentin wyjął z kieszeni portfel. Wyciągnął tytkę z białym proszkiem. Rozsypał górkę kokainy i zaczął rozdzielać ją na kreski.

– Sam jestem sobie winny – przyznał Roman. – Nie powieliłem błędu wielkiego przywódcy, ale okazałem się słabym hazardzistą. Postawiłem wszystko na niewłaściwego konia.

Quentin zwinął banknot w rulon i pozbył się pierwszej ścieżki. Potem drugiej. Następnie jednym dużym haustem opróżnił drinka. Gdy tylko odstawił szklanekę na stół, wysłał barmanowi sygnał, że na tym nie koniec.

– Jest jeszcze jedna możliwość. – Mocno pociągnął nosem. – Przez te wszystkie lata byłem dokładnie takim facetem, jakiego chciałeś mieć u swojego

boku. Bezwzględny i brutalny. Najpierw napierdalałem, a potem zadawałem pytania. Ale być może nie byłem sobą. – Posłał Romanowi zagadkowy uśmiech. – Może się za jakiś czas okazać, że ten półgłówek, którego mianowałeś swoim następcą, jednak ma trochę oleju w głowie. Wie, jak zarządzać taką organizacją. W końcu zna ten biznes od podszewki. I w przeciwieństwie do swojego poprzednika budzi lęk w każdym z graczy. – Odchylił się na krzesło, wyjął paczkę i zapalił papierosa. Wydmuchnął przed siebie dym. – Postawiłeś na niewłaściwego konia? A może tylko przez te wszystkie lata cholernie go nie doceniałeś?

Roman długo wpatrywał się w Quentina, wodząc zdrętwiałą ręką po skroniach. Miał nieobecny wzrok. Jakby ból przejął nad nim kontrolę. Albo jakby słowa Quentina zburzyły wszystko, w co do tej pory wierzył.

– Zrobisz coś dla mnie? – zapytał cicho.

Quentin wzruszył ramionami.

– Pewnie. Mimo wszystko jestem ci coś winien.

– Od kilku tygodni mój stan wyraźnie się pogarsza. Myślę, że już tego nie zatrzymam. Zresztą życie na lekach, które nie są w stanie zniwelować bólu, a jedynie mieszają mi w głowie, w ogóle mnie nie bawi. – Roman położył obie dłonie na stole. – Nie zamierzam robić pod siebie i zmuszać ludzi, aby się mną zajmowali. Dlatego chciałbym, żebyś zainterweniował, kiedy dojdę do tego etapu.

Roman wyciągnął przed siebie rękę. Quentin popatrzył na nią, a potem szeroko uśmiechnął się do szefa.

– Z przyjemnością – odparł. – Ale mam jeden warunek. – Wetknął papierosa do ust i położył rękę na zdeformowanej dłoni Romana. – Wezmę pamiątkę po tobie. W końcu w pewnym sensie jesteś moim ojcem.

Po chwili wahania Roman pokiwał głową. Uścisnęli sobie dłonie, pieczętując pakt.

Major Krystian Zeler, zastępca dyrektora Aresztu Śledczego w Łodzi, stał pod ścianą niewielkiego ponurego pomieszczenia. Z rękoma splecionymi na piersi przyglądał się dwóm strażnikom, którzy przeszukiwali Kawęckiego. Sprawdzali, czy nie próbuje czegoś przemyścić. Wprawdzie nie podejrzewali, aby chciał przeszmużlować gryps, żyletkę albo telefon, ale wydawało im się więcej niż pewne, że będzie próbował wnieść alkohol. Nawet byli gotowi mu na to pozwolić.

Ale ku ich zdumieniu Kawęcki przyniósł jedynie torbę wypełnioną żarciem.

– Bez giry? – spytał jeden z kławiszy.

– Ograniczam – odparł Kawęcki.

Strażnik zerknął na Zelera. Kiedy ten skinął głową, otworzył przymocowaną do biurka szafkę. Wyjął z niej butelkę czystej.

– Bez giry to nie impreza – powiedział. – Ty możesz ograniczać, ale on pewnie dałby się za to pokroić. Weź butelkę, żeby jeszcze bardziej nie spierdolić mu świąt. A teraz ubierz się, żeby nie spierdolić nam.

Kawęcki zaczął wkładać ubranie: najczystsze dżinsy, jakie znalazł, białą koszulę i czarny pulower. Kiedy skończył, zgarnął z biurka torbę oraz flaszkę i podszedł do Zelera.

– Co teraz? – zapytał.

– Teraz musisz tam wejść i spróbować umilić temu facetowi wieczór – odparł Zeler. – Jeżeli to w ogóle możliwe. Ile czasu potrzebujesz?

– Nie mam pojęcia. Liczę się z tym, że po minucie każe mi spieprzać. Ale może się też okazać, że będzie chciał przegadać ze mną całą noc.

Zeler spojrział na zegarek.

– Macie trzy godziny. Do dwudziestej trzeciej. Tylko pamiętaj. – Pogroził Kawęckiemu palcem. – Zgodziłem się na to, ponieważ dobrze znam Adamskiego i wyświadczyliśmy sobie w życiu niejedną przysługę. Poza tym jest mi cholernie szkoda tego gościa. Ale jeśli będziesz coś kombinował, dobiore ci się do dupy.

– Co mógłbym tu wykombinować?

– Nie wiem. Ale słyszałem o tobie. I nie były to ciekawe opowieści.

Zeler otworzył drzwi i wprowadził Kawęckiego do sali widzeń.

Witold już na niego czekał. Siedział przy prostym plastikowym stole ozdobionym jedynie stojącą na środku popielniczką. Miał posępną minę, która nie zmieniła się ani trochę, gdy zobaczył gościa. Był ogolony prawie na zero, przez co bardziej niż zwykle przykuwały uwagę jego krzaczaste brwi. Pomarszczone czoło przecinała blizna, niezmywalne wspomnienie fatalnego spotkania z Kostką. Miał na sobie adidas, czarne spodnie, niebieską koszulę i marynarkę, której rękawy ledwo sięgały mu do nadgarstków. Ktoś pożyczył mu strój na czas spotkania.

Kawęcki uniósł swoje dary na wysokość głowy.

– Chyba pierwszy raz cieszę się na widok wódki w twoich rękach – odezwał się Witold.

Kawęcki odpowiedział mu skąpym uśmiechem. Przywitał się z nim i siadł przy stole. Żeby nie musieć od razu inicjować rozmowy, zaczął wyciągać zawartość torby: świeże bułki, pół kostki masła, pokrojoną w plasterki kielbasę, ogórki kiszzone, sałatkę jarzynową, kawałek makowca i karton soku pomarańczowego. Rozłożył na stole plastikowe kubki i sztućce. Na koniec wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów i zapalniczkę.

– To ma być coś w rodzaju areztanckiej wigilii? – spytał Witold, sięgając po szluga.

– Coś w rodzaju – odparł Kawęcki.

– To chyba powinna być bezmięsna.

Kawęcki omiótł wzrokiem stół.

– Racja. Zapomniałem. Nigdy nie przywiązywałem wagi do tych religijnych bzdetów.

Kawęcki także zapalił. Następnie sięgnął po butelkę i uderzył otwartą dłonią w denko. Ściągnął banderolę i odkręcił zakrętkę. Odmierzył sporą, mniej więcej stumililitrową porcję i podał Witoldowi kubek. Drugi pozostawił nietknięty.

– Nie pijesz? – zapytał Witold.

Kawęcki pokręcił głową.

– Zauważyłem, że wszystkich to dziwi. Zapewne przez mój *track record*.

– Przez co?

– Historię dokonań. To popularne określenie w światku start-upowym. – Widząc pytające spojrzenie kolegi, wyjaśnił: – Ostatnio czytam sporo książek biznesowych.

Witold przysunął do siebie kubek i zajrzał do środka. Ciężko westchnął.

– W moim domu wigilie zawsze były bezalkoholowe. Ale nie mogłeś o tym wiedzieć. A poza tym to nie jest mój dom.

Opróżnił kubek do połowy. Skrzywił się. Odczekał kilka sekund, po czym odkręcił niewielki słoik i przegryzł ogórkiem.

– Mam dla ciebie kilka informacji – odezwał się Kawęcki. – Dobrych. Chyba.

– Wal.

– Cała policja stoi za tobą murem. Podobnie jak spora część prokuratury, która stara się za wszelką cenę zdystansować od Wargi. Jest duża szansa, że dostaniesz najniższy wyrok z możliwych za podwójne zabójstwo w afekcie.

Witold parsknął śmiechem.

– Podwójne zabójstwo w afekcie – powtórzył, gasząc papierosa w popielniczce. – Zawsze się śmiałem z takich wyroków.

– Co w tym śmiesznego?

– W wyniku silnego wzburzenia można zakląć albo trzasnąć drzwiami. Ale zastrzelić człowieka... – Pokręcił głową. – To można zrobić wyłącznie z premedytacją.

– Chyba że jest się pod wpływem bardzo silnych emocji, które uniemożliwiają kontrolę zachowania.

– Mój papuga też mi to powtarza. Kłopot w tym, że dla mnie nie ma znaczenia, czy dostanę osiem, czy dwadzieścia pięć lat. Kiedy wyjdę z pierdła, moje córki będą już dorosłe. Najważniejsze lata życia spędzą bez rodziców. W piekle okoliczności, które im stworzyłem.

– Stworzyliście.

Witold puścił uwagę Kawęckiego mimo uszu.

– Nie widziałem ich od ponad dwóch miesięcy. Nie mam pojęcia, jak się trzymają ani co o tym wszystkim sądzą. Pewnie mnie nienawidzą.

Wychylił kubek do końca.

– Powiedziałem, że mam dla ciebie kilka informacji – stwierdził Kawęcki. Zgasił peta i polał Witoldowi następną kolejkę. – Jedna z nich dotyczy właśnie twoich córek.

– Rozmawiałeś z nimi?

Kawęcki potrząsnął głową.

– Dla dobra sprawy chyba nie powinny mieć ze mną do czynienia. Ale Adamski tuż przed odejściem ze służby spotkał się z nimi i próbował je przekonać, że nie ponosisz winy za to, co się stało. Myślę, że nieźle mu poszło. Przynajmniej go nie zwyzywały.

– Gdzie one teraz są?

– U twojej teściowej. Zaczęły rok szkolny z opóźnieniem. Dwa razy w tygodniu spotykają się z psychologiem: raz indywidualnie, raz wspólnie. Podobno mają duże wsparcie w koleżankach. Według Adamskiego trzymają się zaskakująco dobrze.

Witold pokiwał głową. Następnie pociągnął nosem i starł łzy spod opuchniętych oczu.

– Jest szansa, żeby mnie odwiedziły?

– O ile wiem, psycholog im tego nie zakazał. Mogą to zrobić, jeżeli będą miały ochotę.

– Pewnie ta stara kwoka sączy im jad do ucha. Nigdy mnie nie lubiła.

– Albo nie są jeszcze gotowe na spotkanie. Daj im czas.

Witold sięgnął po kubek. Ale zamiast się napić, zapatrzył się w środek stołu. Myślał o córkach. O tym, co je czeka. O ich nastoletnim i wczesnodorosłym życiu. Widział zbyt wiele dzieciaków, które pochodziły z rozbitych i patologicznych rodzin, a potem wyrastały na złodziei, kurwy albo zabójców. Jego dziewczyny zostały bezpowrotnie naznaczone. Splamione. Straciły szansę na normalność. Tylko niewielki procent potrafi przerosnąć traumę i wybić się na

powierzchnię. Prawdopodobieństwo, że uda się tego dokonać obu jego córkom, było niemal zerowe.

– Zanim Adamski został usunięty, dał mi do przeanalizowania notatki Kostki – kontynuował Kawęcki. – Nie byliśmy w stanie uchronić twojej żony. Kostka jakimś sposobem trafił na jej ślad. Wylądowała na jego liście, zanim zaczęliśmy go ścigać. Nie zabił jej dlatego, że nosiła twoje nazwisko. To tylko przyspieszyło jego decyzję.

Witold długo się zastanawiał nad słowami Kawęckiego. Odtwarzał w pamięci ostatnie miesiące. Liczył. I z każdą chwilą czuł, jak jego świadomość wywraca się do góry nogami.

– To znaczy, że...

– Niestety – przerwał mu Kawęcki. – Zdradzała cię. Zaczęła się spotykać z Gawinem na początku roku, a więc jeszcze przed waszą separacją. Kostka zabił ją za rozwiązłość. Nie dlatego, że była żoną psa.

– Mam to traktować jako dobrą wiadomość?

– Na twoim miejscu chciałbym o tym wiedzieć. Niepewność zżerałaby mnie od środka.

Witold potrząsnął głową.

– Tyle że ja mogłem to powstrzymać. Widziałem go. Widziałem Kostkę. – Zerknął na Kawęckiego. – Kilka tygodni po jego zniknięciu zauważyłem na osiedlu samochód, który stał w niedozwolonym miejscu. Podszedłem do niego i zwróciłem uwagę kierowcy. Na widok wielkiego faceta z brodą powinna mi się zaświecić lampka. Ale tylko zajarałem szluga i poszedłem do Edyty. Tego dnia widziałem ją po raz ostatni.

Kilka kolejnych minut siedzieli w milczeniu, przez większość czasu tępo wpatrując się w stół. Unikali kontaktu wzrokowego. Doskonale wiedzieli, co mogą dojrzeć w swoich oczach.

– Dlaczego nie pijesz? – odezwał się Witold po dłuższej przerwie. – Znam cię dość długo, aby wiedzieć, że rozstajesz się z wódą tylko wtedy, kiedy masz w tym jakiś cel.

– Nowy naczelnik chce, żebym zajął twoje miejsce, a potem przejął cały wydział – wyjaśnił Kawęcki.

– Gratuluję.

– Nie ma czego. Odmówiłem. Nie zamierzam wracać. Gdybym jeszcze miał zarządzać ludźmi, mogłoby się to skończyć katastrofą.

– To o co chodzi? – Witold włożył ogórek do ust i wskazał palcem flaszkę.

Kawęcki wyjął z paczki kolejnego papierosa.

– Martwicze zapalenie trzustki – powiedział. – Jakiś czas temu lekarze mnie otworzyli i wycięli spory kawałek chorej tkanki. Przeleżałem miesiąc w szpitalu. Karmili mnie przez sondę, którą jakiś konował wepchnął mi do nosa. Wyglądałem jak słoń Jumbo.

Witold pokręcił głową.

– Kiedy dowiedziałeś się o chorobie?

– Parę miesięcy temu.

– I nic z tym nie zrobiłeś?

– Ścigaliśmy Kostkę. Nie miałem czasu rozczulać się nad sobą. Poza tym zapalenie trzustki nie zawsze kończy się tak dramatycznie. Ale najwyraźniej miałem pecha. U połowy ludzi z martwicą trzustki dochodzi do powikłań, które zwykle są śmiertelne. Jestem tykającą bombą. Możliwe, że widzimy się po raz ostatni.

Słowa Kawęckiego zawisły w powietrzu niczym groźba. Witold na moment przestał przeżuwać. Dopiero po parunastu sekundach przełknął to, co miał w ustach, i sięgnął po kubek.

– W takim razie twoje zdrowie.

Kawęcki uśmiechał się do Witolda, kiedy ten wlewał wódkę do gardła.

– Są pewne plusy tej sytuacji. – Zaciągnął się papierosem tak mocno, jakby chciał udowodnić, że nic mu nie jest. – Kiedy usłyszałem wyrok, pomyślałem: nareszcie. Od kilku lat życie nie sprawia mi frajdy. Męczę się nim. Wielokrotnie myślałem o tym, żeby ze sobą skończyć. Ale albo nie starczało mi odwagi, albo pojawiała się idiotyczne przeświadczenie, że jeszcze mam coś do zrobienia.

Dopiero po miesiącu spędzonym w szpitalu zrozumiałem, że jednak chcę żyć. – Kawęcki zacisnął wargi. Jego oczy zaszklily się od łez. – Nie wiem jak. Nie wiem po co. Nie wiem, czy w ogóle jeszcze to potrafię. Ale nie jestem gotowy, żeby z tym skończyć. Jeszcze nie teraz.

Witold długo wpatrywał się w człowieka, który na jego oczach rozpadał się na kawałki. Dopiero po raz drugi widział go w takim stanie. Za pierwszym razem, kilka miesięcy wcześniej, Kawęcki wyznał mu, że zabił nieuzbrojonego człowieka.

Widocznie śmierć wyzwalała w nim emocje, o których istnieniu nie miał pojęcia.

– Trochę późno się zorientowałeś – powiedział Witold. – Ale lepiej późno niż wcale.

Kawęcki potrzebował paru minut, żeby doprowadzić się do porządku. Kiedy przestał łkać, wytarł nos rękawem. Wrzucił do popielniczki peta, który w większości wypalił się sam.

Przechylił się na krzesło i z kieszeni spodni wyciągnął smartfona.

– Zeler nie zgodził się na rozmowy telefoniczne, ale powiedział, że możemy posłuchać muzyki – oznajmił.

Witold wolno pokiwał głową.

– Mam nadzieję, że nie zamierzasz włączać kolęd.

– Nienawidzę ich.

– A ja nienawidzę Mariah Carey. Ale jest kilka niezłych kawałków świątecznych.

– Wszystkie są niezłe, dopóki nikt cię nie zmusza, żeby słuchać ich dziesięć razy dziennie.

– Tutaj mi to nie grozi. – Witold objął gestem salę.

– Zazdroścę.

– Chcesz się zamienić?

Kawęcki się roześmiał. Szczerze. Pierwszy raz od wielu tygodni.

– Zeler chyba na to nie pójdzie.

– Później z nim pogadamy. Włączysz coś?

Kawęcki odblokował telefon. Wszedł na YouTube'a i wpisał kilka słów w wyszukiwarce.

– *Jingle Bell Rock*, kawałek Bobby'ego Helmsa – oznajmił. – Nie wiem, czy to mój ulubiony świąteczny numer, ale z reguły najdłużej go toleruję.

– Może być. – Witold sięgnął po butelkę i odmierzył sobie porcję. – Co teraz?

– Nic. Posiedzimy i posłuchamy muzyki. – Kawęcki zerknął na wyświetlacz. – Mamy jeszcze dwie godziny. Potem ty wrócisz za kratki, a ja zajmę się umieraniem.

Patrzył na rozweseloną gębę Witolda, który był już wystarczająco pijany, żeby śmiać się z jego niewyszukanych żartów. A więc wódka do czegoś się przydała, pomyślał Kawęcki. Rozparł się na krześle, a następnie zapalił papierosa. Przymknął oczy. Pozwolił, żeby dźwięk wypełnił pustkę w jego głowie.

Przypisy końcowe

1. Księga Jeremiasza 48, 10 (wszystkie cytaty biblijne za Biblią Tysiąclecia). ↩
2. Księga Jozuego 1, 18. ↩
3. Księga Kapłańska 20, 16. ↩
4. Fragmenty utworu *Ja pas!* Katarzyny Nosowskiej. ↩
5. Ang.: Szanowny Panie Vanmarcke, dziękuję za dokumentację, przesłałem ją naszym prawnikom i dyrektorowi finansowemu, ale jestem pewien, że wszystko jest w porządku. Czekać z niecierpliwością na naszą współpracę. Mam nadzieję, że wkrótce spotkamy się w Polsce. Pokażę Panu naszą słynną gościnność. I tym razem ja stawiam :) Z poważaniem, Mariusz Ryter ↩
6. Księga Wyjścia 21, 25. ↩
7. Księga Wyjścia 21, 26. ↩
8. Ang.: Wstawaj, pobudka! ↩
9. Ang.: Jesteś najcenniejszą rzeczą w moim życiu. ↩
10. Księga Rodzaju 2, 2. ↩
11. Księga Izajasza 55, 7. ↩
12. Księga Kapłańska 24, 17–19. ↩
13. Księga Kapłańska 24, 20–21. ↩
14. Księga Kapłańska 24, 22. ↩